

Wszystko dla pań
Wszystko dla pań

Elizabeth
ADLER



Leonia


AMBER



Elizabeth ADLER

Sławna angielska pisarka łącząca stylistykę romansu z konwencją thrillera, śmiało konkurująca z Judith Krantz

Elizabeth Adler stała się w ostatniej dekadzie jedną z najznakomitszych autorek powieści o kobietach i dla kobiet. Wszystkie jej książki, m.in. **Leonia** (1985), **Morelle** (1987), **Karuzela sukcesu** (1987), **Spadkobierczyni poszukiwana** (1989), **Szmaragd z korony carów** (1991), **Kobiety rządzą światem** (1992), **Dziedzictwo tajemnic** (1993), **Tajemnica willi Mimoza** (1995), **Teraz albo nigdy** (1997), trafiły na listy bestsellerów.

Biografia Elizabeth Adler przypomina po mistrzowsku napisaną przez nią powieść. Pełne przygód, szczęśliwe życie rozpoczęło się w 1965 roku, gdy wkroczył w nie Richard. Była wtedy skromną sekretarką, on – prawnikiem z Nowego Jorku. Wyjechali do Las Vegas, gdzie wzięli ślub. Zamieszkali w Rio de Janeiro, a potem w Hollywood. Elizabeth Adler, zaprzyjaźniona z gwiazdami – Frankiem Sinatrą, Tiną Turner, Stevie Wonderem, odgrywała rolę doskonałej hollywoodzkiej żony wspierającej karierę męża. Ta jednak została gwałtownie przerwana chorobą Richarda. Pomimo to ich życie nomadów trwało nadal: Hiszpania, potem południe Francji, aż w końcu osiedli na angielskiej wsi w hrabstwie Oksford, adaptując dwunastowieczny budynek klasztorny.

Elizabeth Adler zajęła się pisaniem książek, gdy córka poszła do szkoły. Jej powieści toczą się w świecie, od którego się odgradziła, ale który doskonale poznała.

Bohaterki to kobiety sukcesu osiągniętego dzięki własnej pracy. Interesy i dramaty osobiste zmuszają je do wędrówki po kontynentach. Opisywane realia są autentyczne, ponieważ autorka sama podróżuje po świecie w poszukiwaniu materiałów...

Leonia

Leonia Bakri, osierocona córka Francuzki i Egipcjanina, jest dziewczyną o niezwyklej, egzotycznej urodzie. Młodziutka Leonia decyduje się na śmiały krok: opuszcza rodzinną wieś i przyjeżdża do Paryża – Paryża końca XIX wieku, szalonej stolicy Europy. Spotka tu mężczyzn, których pokocha, osiągnie sławę jako aktorka, przeżyje chwile szczęścia – ale i momenty dramatyczne. Na całym życiu Leonii odcisnę piętno zaborcza miłość milionera, Gilesa de Courmonta...



Cena det. zł 27,80


AMBER



Elizabeth
ADLER

Leonia

Przekład
Elżbieta Delis-Modzelewska


AMBER

KSIĘGA PIERWSZA
1890-1893

1.

Cicha, księżycowa noc ścięta była mrozem. Cienka warstwa szronu obwiodła białą linią gałęzie drzew. Każda bruzda ziemi, każdy żywoplot zyskały niepowtarzalne, chłodne piękno. Tu i ówdzie mrugały niespokojnie światełka odległej wsi, a z kominów przysadzistych chat unosił się spiralami dym. Pociąg przecinał noc, zakłócając wiejską ciszę nagłym, ostrym gwizdem wypuszczonej pary, powtarzanym przez polującą gdzieś sowę.

Paul Bernard rozsiadł się wygodnie w ciepłym, komfortowym przedziale. Westchnął niezadowolony, gdy pociąg znów zaczął zwalniać. To była długa podróż. Spóźnił się na paryski ekspres i miał do wyboru albo trzygodzinne oczekiwanie na następny, albo skorzystanie z pociągu miejscowego, zmierzającego do stolicy przez całą normandzką prowincję. Prowincjonalna stacyjka nie mogła zaoferować wielu wygod, wsiadł więc do tego pociągu i teraz żałował. Ponownie wyciągnął z kieszonki swoją złotą cebulę i uśmiechnął się ponuro. Od momentu gdy po raz ostami sprawdzał godzinę, upłynęło zaledwie piętnaście minut. W oknie na tle ciemności widział jedynie własną postać. Wysoki brunet o spokojnych ciemnych oczach, miał niewiele ponad trzydzieści lat. Uśmiechnął do swego odbicia: oto człowiek zamożny, elegancki, obdarzony dobrym gustem. I bardzo zmęczony.

Jego wizerunek zaczął blednąć. Dojeżdżali do kolejnej słabo oświetlonej wiejskiej stacyjki. Rozległy się trzaskania drzwiami,

ładowano mleko i pocztę. W nieskończoność przedłużała się pogawędka konduktora z zawiadowcą. Czy nigdy nie dotrą do Paryża?

Para buchnęła z sykiem i pociąg ruszył powoli, zostawiając za sobą opustoszały peron. Nareszcie!

Drzwi trzasnęły nieoczekiwanie i Paul Bernard zobaczył najpierw sfatygowaną torbę, po chwili wypełnioną po brzegi wiklinowy koszyk, na koniec do przedziału wpadła ciężko młoda dziewczyna. W progu potknęła się i upadła. Kilka warstw wełnianych brązowych spódnic rozpostarło się na podłodze. Odgarnęła z twarzy potargane jasne włosy, podniosła się i obejrzała uważnie nogi. Grube wełniane pończochy opadały w obwarzankach wokół kostek, a wyrwane na kolanach dziury ukazywały sączącą się wolno krew. Dziewczyna patrzyła na to skonsternowana.

— No nie — zaczęła lamentującym tonem. — Przecież tak nie mogę!

— Czego, jeśli mogę wiedzieć? — zapytał Paul z uśmiechem.

— Nie mogę jechać do Paryża w dziurawych pończochach. Co sobie ludzie pomyślą!

Paul pochylił się i podniósł jej koszyk. Pozbierał rozsypane po całym przedziale jabłka i wrzucił obok wiejskiej kielbasy i pajdy chleba.

— Ludzie pewnie nie będą oglądali pani kolan — rzekł podając dziewczynie koszyk. — Na ogół to się nie zdarza.

Speszona dziewczyna opuściła spódnicę, wygładziła je i przysiadła sztywno wyprostowana na brzeżku siedzenia naprzeciw Paula. W zdenerwowaniu przygryzła wargę, policzki jej spurpurowiały.

Spojrzał ze zdumieniem; dziewczęta, które znał, nigdy się nie czerwieńczyły. Podniósł gazetę i udając, że czyta, dał jej czas, by mogła ochłonać. Nie ulegało wątpliwości, że znalazła się w niewłaściwym wagonie. Sądząc z jej wyglądu, powinna jechać trzecią klasą.

Dziewczyna zamknęła oczy i oparła się plecami o poduszki. Paul opuścił gazetę, by jej się przyjrzeć. Migoczące światło kładło się cieniami pod ukośnie rysującymi się kośćmi policzkowymi, podkreślając nieskazitelną gładkość brzoskwiniowej skóry. Miała może szesnaście lat; wiejska dziewczyna, zakutana w grubą, biedną odzież. Ale w tej młodziutkiej istocie było coś niezwykłego, można

by nawet powiedzieć — egzotycznego. Wokół jej głowy kłębiła się burza wspaniałych miedzianoblond włosów, a imponująco długich nóg nie były w stanie ukryć ani grube pończochy, ani okropne obuwie. Z niesmakiem oglądał pokryte błotem ciężkie buty na grubej podeszwie i spróbował wyobrazić sobie jej stopy w jedwabnych pończochach i eleganckich atlasowych pantofelkach na obcasach.

Spod zgrzebnej, źle uszytej odzieży, błota i wsiowego zachowania wyzierała niewątpliwa uroda. Ta dziewczyna w odpowiednich warunkach mogłaby stać się porywającą pięknoscia. Lata pracy z kobietami uczyniły go wszak koneserem.

Po co jedzie do Paryża? Uśmiechnął się. Wiadomo, po co młode dziewczyny tam się wybierają — aby pracować i „wyjść na ludzi”. Im zawsze się wydaje, że w Paryżu wszystko jest możliwe. Spojrzał w okno i zobaczył jej odbicie. Zamyślił się głęboko.

Zrobiłam to, myślała Leonia. Strach, podniecenie i bieg na stację sprawiły, że serce łomotało jej ciężko. Wreszcie to zrobiłam! Zacisnęła palce na cienkim zwitku banknotów w kieszeni. Nie musiała ich liczyć, doskonale wiedziała, ile ma pieniędzy. Był to cały jej majątek, wynik oszczędzania z zarobków pomocy kuchennej i kelnerki w kafejce w Masarde. Oczywiście, że w Paryżu znajdzie lepszą pracę. Poza tym ma przecież wykształcenie! Stary Cure osobiście uczył ją przez całe trzy lata — oczywiście zanim zmarła mama. Później nie było czasu na książki i naukę — musiała pracować na utrzymanie. Ale to książki ją tu doprowadziły. Bez nich nigdy by się nie dowiedziała, że świat to nie tylko mała wioska, gdzie się urodziła; nawet Masarde wydawało jej się początkowo wielkim miastem. Do dziś by tak myślała. Teraz już wie! Daleko stąd istnieje, czeka na nią prawdziwe życie — interesujący ludzie, cudowne przyjęcia, muzyka, romanse, śmiech. Znajdzie to wszystko, na pewno. Dlatego właśnie wyjechała.

Kiedy była małą dziewczynką, z otwartymi szeroko oczami słuchała powieści matki o ojcu. O jego podróżach z cyrkiem po świecie, jak sam mówił „od Francji do Rosji”, choć rzecz dziwna, matka spotkała go, gdy wraz z małym cyrkiem przybył do Masarde. Śniady woltyżer był bardzo męski; na jego grających pod błyszczą-

cym białym trykotem mięśniach załamywało się podniecająco światło i Emilia straciła głowę dla wspaniałego ciemnookiego Egipcjanina.

— Jesteś podobna do niego — mówiła córce. — Masz jego oczy, jego profil. Ach, gdybyś go знаła...

Ale Leonia nie poznała go nigdy, bowiem ojciec wrócił do cyrku w tydzień po jej narodzinach. Ma się rozumieć, obiecał Emilii, że przyjedzie, przyrzekł, że się pobiorą. Do ostatniego dnia żyła tą nadzieją.

Leonia zacisnęła mocno powieki. Nie chciała nawet o tym myśleć. Była dzisiaj na cmentarzu, gdzie smutna kamienna płyta sprawiała wrażenie zbyt małej, by mogła okryć jej piękną matkę. Mówiła matce, co ma zamiar zrobić. Stała nieporuszona, a przenikliwy wiatr szarpał jej włosy i ciął w oczy tak, że wciąż musiała wycierać łzy, by nie zamarzyły jej na policzkach. Stała i czekała na jakąś odpowiedź, jakikolwiek znak aprobaty. Nie doczekała się jednak. Zrozumiała, że jest sama i sama musi decydować o swoim życiu.

Pociąg zwalniał. Nagłe szarpnięcie wyrwało Leonię z niespokojnych marzeń. Otworzyła oczy i uchwyciła spojrzenie siedzącego naprzeciw mężczyzny.

— Och, czy to już Paryż? — poderwała się speszona i zaczęła przygładzać włosy.

— Nie, jeszcze pół godziny jazdy. Przespała pani niemal całą drogę.

Zaczerwieniła się znowu, patrząc na niego ogromnymi oczami. Było coś w tych zarysowanych ukośnie kościach policzkowych, w linii szczęki, w drobnych uszach. Wyrazista, bez zbędnych różowych pulchności twarz pyszniła się ostentacyjnie wszystkimi załamaniem i wklęsnięciami. W odpowiedniej oprawie dziewczyna będzie niewątpliwą pięknoscia.

Rozległo się stukanie do drzwi i po chwili konduktor wyciągał niecierpliwie rękę, gdy dziewczyna grzebała w kieszeni w poszukiwaniu biletu.

— Panienka powinna siedzieć w trzeciej klasie — oświadczył oficjalnie. — Tutaj nie ma prawa przebywać. Jedzie panienka w tym przedziale od samego Masarde i musi dopłacić.

— Bardzo przepraszam, nie wiedziałam o tym — wyjąkała.

— Niech mi tu panienka nie opowiada takich głupstw, tylko płaci zarazi — konduktor machnął groźnie ręką.

— Ta młoda dama jest ze mną — wtrącił się Paul Bernard i wcisnął kilka złożonych banknotów w wyciągniętą natarczywie dłoń.

— O, przepraszam szanownego pana, nie wiedziałem...

Konduktor wycofał się z przedziału. Paul podał dziewczynie wizytówkę.

— Mam nadzieję, że pozwoli pani, bym jej pomógł. Domyślam się że ma pani kłopoty.

Leonia spojrzała na mały arkusik. „Paul Bernard, dyrektor kabaretu *Music Hall*, Paryż, Place Royale". Taki elegancki, wytworny, musiał wziąć ją za głupią wiejską dziewczynę.

— Jest pan bardzo uprzejmy — wyjąkała zdeprymowana. Na pewno zwrócę panu te pieniądze.

— Co panią sprowadza do Paryża? — Zapalił cygaro.

— Musiałam odejść z domu — odparła z niespodziewaną dla niej samej gwałtownością. — Nie mogłam tam dłużej zostać — dokończyła i w tej samej chwili zapragnęła cofnąć swe słowa, sprawić by nigdy nie zostały powiedziane. Co ten pan sobie o niej pomyśli!

— A jakiej pracy pani szuka? Czy zna pani kogoś w Paryżu?

— Nie, proszę pana. — W oczach dziewczyny czał się strach, ale dumnie uniosła brodę. — Myślę, że dostanę posadę kelnerki. Mam już praktykę.

Mężczyzna napisał coś szybko na odwrocie wizytówki.

— To adres przyzwoitego pensjonatu. Proszę powiedzieć madame Artois, że to ja panią przysyłam. A jeśli to panią zainteresuje, mogę zaproponować też pracę.

— Pracę, proszę pana? — spojrzała na niego z nadzieją, ścisnąc kurczowo wizytówkę.

— Zawsze znajdzie się miejsce w *Music Hallu* dla dziewczyny takiej jak pani.

Co to znaczy „dziewczyna taka jak ona”? I cóż miałyby robić w kabarecie? Popatrzyła na niego nieufnie.

— Ależ ja nie umiem śpiewać ani tańczyć — powiedziała, spoglądając na swoje stopy. Sprawiały wrażenie jeszcze większych niż zwykle. Pewnie kpi sobie z niej.

— To nie ma znaczenia, moja droga — uśmiechnął się. — Dla tak pięknej dziewczyny zawsze jest w kabarecie miejsce.

Pięknej? Nie ulegało wątpliwości, że to wariat albo jeszcze coś gorszego. Przypomniały jej się opowieści o dziewczynach z paryskich ulic i spojrzała na niego wrogo spod na wpół spuszczonej powiek. Nie wyglądał na złego człowieka, sprawiał nawet wrażenie całkiem przyzwoitego, ale straciła do niego zaufanie.

Pociąg zwalniał, przeciskając się przez zaułki przedmieścia Paryża. Wreszcie wtoczył się na Gare du Nord. Gdy zatrzymał się z ostrym szarpnięciem, Leonia otworzyła błyskawicznie drzwi. Ściskając w rękę torbę, wyskoczyła na peron. Przypomniała sobie o pieniądzach i odwróciła się.

— Jak tylko zdobędę pieniądze, natychmiast je panu odeślę. Dziękuję raz jeszcze.

— Proszę poczekać. Może panią podwieźć? Przecież nie zna pani Paryża.

— Nie, proszę, nie...

Biegła peronem z rozwianymi włosami, a jabłka wysypywały się z koszyka. Widział jeszcze, jak toruje sobie drogę przez tłum przy barierze. Po chwili zniknęła w ciemnościach.

— Ciekawe, co się z nią stanie... — mruknął idąc powoli do wyjścia.

2.

Madame Artois była potężną kobietą, o przypominającej ciężki okręt wojenny kwadratowej sylwetce. W prowadzeniu pensjonatu łączyła energię z humorem, a jej naczelną zasadą było przyjmowanie wyłącznie kobiet. Swego czasu mężczyźni sprawiali jej zbyt wiele kłopotów. Każdy uwodził pierwszą napotkaną dziewczynę, by natychmiast zająć się następną. Okropne były potem te wszystkie wybuchy zazdrości.

Prowadziła pensjonat zaliczający się do domów niewątpliwie szanowanych i lubiła swoje dziewczęta — młode damy z kabaretów całego miasta. Dawno temu też była artystką — śpiewała niemal na wszystkich scenach Paryża — i teraz czerpała przyjemność z kierowania karierą oraz obserwowania sercowych perypetii „jej dziewcząt”.

Należała do kobiet, które wiedzą, czego chcą od życia, a tego ranka potrzebna jej była właśnie pomoc kuchenna. Ostatnia odeszła, by pielęgnować chorą matkę i madame czuła się niczym statek, który utknął na mieliźnie. Wściekła kucharka stwierdziła, że nie weźmie się do przygotowania obiadu, jeśli nie dostanie kogoś do czyszczenia warzyw i zmywania naczyń. Gdy Leonia pojawiła się na progu pensjonatu, po prostu spadła madame z nieba.

— Masz szczęście — usłyszała dziewczyna. — W Paryżu niełatwo dostać zajęcie, a ty za pracę u mnie będziesz miała pokój i wyżywienie.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się tak wielka ulga, że madame Artois zastanawiała się przez chwilę, co by się stało, gdyby jej odmówiła. Najwyraźniej ta mała przybyła do Paryża jak one wszystkie — bez pieniędzy i jakichkolwiek widoków na przyszłość; z pewnością nie miała nawet pojęcia, co będzie robić, gdy już znajdzie się w mieście. W ich wieku, pomyślała z mimowolnym westchnieniem nad lekkomyślnością młodości, już samo przybycie tutaj wydaje się rozwiązaniem.

— Dziękuję pani, zaraz biorę się do roboty.

Nie dając madame Artois czasu na zmianę decyzji, Leonia zrzuciła pośpiesznie płaszcz. Wstawiła talerze do zlewu i zanurzyła zmarznięte ręce w gorących mydlinach. Powoli wracało jej czucie w palcach. Nigdy nie przypuszczała, że można odczuwać takie szczęście przy zmywaniu naczyń.

Małeńki pokój na poddaszu był czysty i ciepły, a zaślane pierzyną żelazne łóżko wygodne. Rozpakowała swe ubogie mienie. Umieściła dwie sukienki w szafie, a zacerowane wełniane pończochy i komplet praktycznej ciepłej bielizny schowała porządnie złożone do komody, na której postawiła kilka książek oraz swoje lalki. Właściwie nie były to lalki, tylko małe, dziwnie rzeźbione figurki, ale nigdy nie miała innych zabawek, a poza tym należały do jej ojca. Przypuszczała, że są egipskie. Kot nie przypominał zupełnie tych, które widywała w wiejskich gospodarstwach. Ze swoją małą trójkątną główką i skośnymi oczami sprawiał wrażenie gładkiego i wyniosłego. W dzieciństwie uwielbiała go. I ta druga figurka; trudno powiedzieć — lwicy czy kobiety. W rzeczywistości i jedno, i drugie: głowa lwicy osadzona na ciele kobiety. Zawsze uważała ją za bardzo piękną. Przesunęła palcami po symbolach, wyrzeźbionych wokół podstawy. Setki razy zastanawiała się, czy te symbole mają jakieś znaczenie, a jeśli tak, to jakie.

Odetchnęła z ulgą. Ma już dom. Noc w lodowatym, biednym pokoiku przy stacji kosztowała dokładnie połowę sumy przeznaczonej na pierwszy tydzień. Wydatek zaszokował i przeraził dziewczynę. Gdyby nie wytworny pan z pociągu, źle by z nią było. W dodatku polecił ją madame Artois... Musi oddać dług jak najszybciej. Najważniejsze jednak, że jest tutaj. To jej pierwszy dzień w Paryżu i ma już pracę. Czegóż można więcej chcieć?

Cierpliwości, myślała trzy miesiące później, gdy wsparta na łokciach wyglądała przez okno małego pokoiku na ostatnim piętrze wysokiej, wąskiej kamienicy przy *Boulevard des Artistes*. Musi być cierpliwa. Spojrzała w dół. Gwarne ulice i place Paryża wyglądały, jakby zapraszały do jakiejś podniecającej gry. Tylko jak ona ma się do tej gry włączyć? Jakie są jej zasady? Jaka to cudowna ingrediencja sprawia, że człowiek zaczyna „należeć” do Paryża?

Straszne miasto. Straszne i fascynujące zarazem. Te ulice z kawiarniami i bistrami, teatrami i kabaretami, kasynami i sklepami. Ci ludzie sprawiający wrażenie, że zajmują się samymi cudownymi rzeczami; zapewne artyści, aktorki, pisarze i ludzie z pewnością bardzo bogaci.

Oraz pomoce kuchenne!

Westchnęła ciężko i włożyła kapelusz. Pokonała biegiem siedem kondygnacji schodów i znalazła się w kuchni. Wzięła niewielką paczuszkę z kanapkami, które przygotowała sobie poprzedniego wieczoru. Miała wolne. Było niedzielne popołudnie. Postanowiła spędzić je tak jak zwykle. Znow wychodziła odkrywać dla siebie miasto.

Skierowała się do Lasku Bulońskiego. Co chwilę przystawała na zabudowanych wielkimi domami ulicach. Zaglądała przez ogrodzenia, by choć w przelocie ujrzeć świetne marmurowe wnętrza, aż groźne oko konsjerżki zmuszało ją do odejścia.

Zatłoczona kawiarnia przy placu Saint-Georges przyciągała barwami i radością. Leonia przeszła z wahaniem kilka kroków. Bała się wejść tam sama, była też zbyt oszczędna, aby tracić pieniądze. Zdawało się, że każdy tutaj jest w towarzystwie. Nie wiedziała, czy tak jej się tylko wydaje, czy też rzeczywiście wszyscy się tu znają.

Z wnętrza kawiarni wynurzyła się jakaś para. Zajęci poufałą pogawędką ludzie szli trzymając się pod ręce, i mężczyzna pochylał się nad kobietą, a ona unosiła ku niemu uśmiechniętą twarz. Leonia wlepiła wzrok w elegancką damę. Ruszyła za nimi jak zahipnotyzowana. Nie mogła oderwać oczu od wytwornej sukni i pantofli na wysokich cienkich obcasach. Przyciągana ciepłem ich intymności przysunęła się bliżej, pragnąc stać się częścią obserwowanej sceny. Przysłuchiwała się bezwstydnie ich rozmowie, aż zatrzymali się nagle i spojrzeli na nią. Zawróciła speszona.

Usiadła na ławce, by zjeść kanapki. Karmiła drobne miejskie ptaki, które zleciały się natychmiast nie wiadomo skąd. Patrzyła

na jeźdźców przejeżdżających obok na wspaniałych wierzchowcach i wspominała konie, na których tak lubiła jeździć w rodzinnej wiosce.

Ruszyła dalej. Lasek Buloński zaskakiwał ją co chwila. Zatrzymała się przed afiszem cyrku i przesunęła palcem po liście występujących, a serce zabiło jej szybciej. Może wśród tych nazwisk znajdzie nazwisko swego ojca? Oczywiście nie znalazła. W pobliżu była sala tańca. Leonia odkryła ją już pierwszej niedzieli i co tydzień ciągnęło ją do tego miejsca. Nigdy tam nie weszła, tylko obserwowała z daleka. Słuchała muzyki, unoszącej się nad trawą, widziała tancerki i dziewczęta takie jak ona, flirtujące z młodymi ludźmi przy rozstawionych między drzewami stolikach. Zastanawiała się, jak to jest, gdy się flirtuje. Westchnęła przygnębiona, odwracając się od tego widoku. Cierpliwości, powtarzała znów sobie. Musze być cierpliwa. Któregoś dnia ja też się tam znajdę.

Niewątpliwie była samotna, ale niedzielne wieczory stanowiły coś więcej niż tylko rekompensatę za samotne popołudnia. Wszystkie dziewczęta siedziały wtedy w domu. Nie musiały spieszyć się do teatru i próżnowały, zabijając czas plotkami. To były najpiękniejsze godziny tygodnia. Cały dom wydawał się inny — wyciszony i spokojny. Leonia mogła rozkoszować się uwagą pozostałych dziewcząt. Wolno jej było przysiąść z boku, gdzie słuchała rozmów o ostatnich romansach i najnowszych gwiazdach kabaretu.

— Musimy zrobić coś z Leonią — rzekła Loulou, sącząc koniak. Rozsiadła się wygodniej na pluszowej kanapie w salonie. To był kolejny nudny niedzielny wieczór i Leonia przyniosła im właśnie kawę.

— O czym ty mówisz, Loulou? — zastygła zaskoczona.

— Spójrz tylko na siebie — odparła Loulou. — Ze swoimi włosami i pod całym tym okropnym ubraniem nie jesteś wcale brzydka. — Ujęła Leonie pod brodę i uniosła jej twarz do światła. — Tak, jesteś naprawdę ładna. A ty jak myślisz, Bella?

— Chciałabym mieć taką cerę — stwierdziła Bella, przyglądając się Leonii. — Nigdy nie będzie musiała używać pudru, może tylko trochę różu, o tu, na kości policzkowe, żeby podkreślić oczy.

— A włosy — zaczęła Jolie, stając obok Belli — trzeba by podpiąć do góry na czubku. O tak — ujęła w ręce włosy Leonii i zademonstrowała, jak sobie to wyobraża.

— Nie utrzymają się — zaprotestowała Leonia. — Nigdy się nie trzymają, choćbym nie wiem ile spinek w nie wpięła.

— Moja droga, to będzie część twojego uroku — uśmiechnęła się frywolnie Bella. — Troszkę rozczochrana, troszkę niedbała. Tak, to będzie bardzo pociągające. Ładny kontrast dla niewinności.

— No, dziewczęta, ostrożnie z Leonią — ostrzegła madame Artois. — Nie wybiera się na scenę, a ja nie chcę, żeby wyglądała pospolicie.

— Ależ madame Artois — obruszyła się Loulou — czy chce pani powiedzieć, że my wyglądamy pospolicie?

— Oczywiście, że nie, lecz wy jesteście dziewczętami ze sceny, a Leonia do takich nie należy. Nie mam nic przeciwko temu, by wyglądała ładniej, Bóg widzi, jak by się jej to przydało, ale uważajcie.

Madame Artois lubiła Leonię. Nie chciała, by ją zepsuły i zbyt uświadomiły. Widziała w swoim życiu wiele młodych dziewcząt, które kończyły jako zmęczone życiem, przedwcześnie postarzałe kobiety, przytłoczone latami spędzonymi w chórze. Kobiety pijące zbyt wiele alkoholu, w których życiu było też zbyt wielu mężczyzn.

— Bella, podaj puderko ze szminkami i szczotkę — poleciła Loulou — przerobimy ją. Siadaj, Kopciuszku — zwróciła się do Leonii, wyciągając do niej wielką bombonierkę czekoladek, które dostała od swego najnowszego wielbiciela.

Loulou była wysoka, zmysłową dziewczyną, skora do śmiechu. Lubiano ją w kabarecie i dobrze znano z wykonywania śmiałych piosenek. Nieco więcej niż trochę „pikantna”, z tryskającą zdrowiem twarzą stanowiła nader pociągającą, perwersyjną kombinację. Była przy tym wielkoduszna i lubiła Leonię. Wszystkie zresztą ją lubiły; była dla nich niczym młodsza siostra, którą zostawiły odchodząc z domu, może też niczym dawno utracona niewinność.

Delikatnie nałożyła Leonii róż, roztarła go na kościach policzkowych, dołożyła maleńki akcent na brodzie i troszeczkę na skroniach. Bella obejrzała uważnie wynik, po czym jednym gestem przedłużyła zewnętrzne kąci powiek mieniącym się brązem. Jolie w tym czasie pracowała bezlitośnie szczotką, ciągnąc włosy Leonii we wszystkie strony, aż dziewczyna jęczała protestując.

— Trzeba cierpieć, by być piękną — zaśmiała się Jolie. — Ale zawsze warto.

— No i jak, madame Artois? — spytała Loulou, gdy odsunęły się wreszcie, podziwiając swe dzieło.

To niewiarygodne, jak Leonia się zmieniała, pomyślała madame Artois.

— Trochę wyzywająco — odezwała się wreszcie.

— Wyzywająco? To bardzo dyskretne! Zakonnica mogłaby chodzić z takim makijażem.

— Zakonnica wcale by nie chciała, moja droga. No, jednak wyglądasz bardzo ładnie, moje dziecko — zwróciła się do Leonii.

Leonia podniosła rękę do włosów.

— Widzicie, już opadają.

— Ależ nie, tak właśnie ma być — zapewniła ją Jolie. — Takie trochę potargane.

— A może byś popatrzyła w lustro — odezwała się Loulou.

— Nie, jeszcze nie, poczekaj minutkę! — zawołała Bella i pobiegła schodami na dół. Po chwili była już z powrotem z wełnianą suknią w rękę. Zwodniczo skromna sukienka z wysokim kołnierzykiem miała delikatny morelowy kolor.

— Masz, powinna być na ciebie dobra — podała ją Leonii. — Mnie nigdy nie odpowiadała, ale tobie w tym kolorze będzie do twarzy.

— Och, Bella! — wykrzyknęła oszołomiona Leonia. — Naprawdę?

— Oczywiście — potwierdziła Bella, mile polechtana zachwytem Leonii. — Tyle że jest może trochę za luźna. No i pewnie będzie troszkę za krótka.

— No, Leonia, przymierz ją wreszcie — rzuciła niecierpliwie Jolie.

Jedna przez drugą pomagały jej ściągać kolejne warstwy odzieży, aż w wełnianej koszuli i reformach stanęła speszona przed ich oczami.

— Czy ty wiesz, że masz ładną figurę? — odezwała się Loulou. — Tylko giniesz pod tymi wszystkimi łachami.

Bella uniosła suknię i przełożyła Leonii przez głowę, uważając, by nie potargać jej fryzury. Zapięła stanik na plecach i obróciła dziewczynę, sprawdzając rezultat.

Leonia wpatrywała się w nie pełna niepokoju, z nieśmiałą nadzieją, że może jednak nie wygląda śmiesznie. Ich milczenie było tak deprymujące.

— Moje gratulacje, Leonio — powiedziała Loulou po chwili, unosząc szklanke. — Jesteś piękna! Coś mi się zdaje, że od dzisiejszego wieczoru staniesz się kimś innym.

Po raz drugi ktoś nazwał ją piękną. Czy to prawda, czy też Loulou także sobie zażartowała? Leonia przeszła przez salon i stanęła przed wielkim lustrem w poślacanej ramie. Chyba wyglądała tak samo. Nowe uczesanie podkreślało mocną linię szczęki; odsłaniające ładne uszy włosy opadały kaskadą na kark. Róż podkreślił wydatne kości policzkowe. Oczy stały się większe, a kolor sukni pogłębił ich bursztynowy blask. Ale to nadal była ona, to była jej twarz. Jaka piękna jednak ta suknia! Mimo że trochę za luźna, układa się prześlicznie na figurze, ujmując wcięciami talie i podwyższając sylwetkę. Sukienka rzeczywiście ją zmieniła. Leonii nie przeszkadzało, że jest trochę za krótka. Nigdy nie miała piękniejszej sukni.

— Jest jak młody kot, tyle że nie wie jeszcze, jaki użytek zrobić z pazurów — mruknęła Bella do Loulou.

Madame Artois patrzyła na Leonie w milczeniu. Zaniedbane dziecko, które nie tak dawno pojawiło się na progu jej domu, nabrało nowego wyrazu. Paul Bernard natychmiast zauważył, że jest ponętna. To oczywiście; dlatego jej pomógł. I miał rację.

Leonia podeszła bliżej do lustra. Rzeczywiście wyglądała ładnie, nawet pięknie. Zakręciła się usiłując zobaczyć, jak suknia wygląda z tyłu. Przyglądała włosy i potarła policzek, by przekonać się, czy róż nie schodzi.

— Dziękuję, bardzo wam wszystkim dziękuję — przemówiła wreszcie, a z oczu pociekły jej łzy, wymywając wąskie ścieżki w różu. — Jesteście takie miłe, takie dobre dla mnie.

— Nonsens — roześmiały się dziewczęta. To było bardzo zabawne. — Już nigdy nie będziesz taka jak dotąd, Leonio!

— I co, jak pani myśli? — spytała dziewczyna, stając przed madame Artois.

— Myślę — westchnęła kobieta — że muszę znaleźć sobie nową pomoc kuchenną, a tobie lepsze zajęcie. Pomówię jutro z panią Serrat ze sklepu z bielizną damską na ulicy Montalivet. Podobno potrzebuje pomocy sklepowej; sądzę, że będziesz równie dobra jak każda inna.

— Naprawdę? Naprawdę, madame Artois? Dziękuję, dziękuję pani bardzo.

Leonia zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała gorąco, po czym wycałowała Loulou, Belle i Jolie.

— Nigdy nie zapomnę dzisiejszego wieczoru — powiedziała z przejęciem.

Tego tygodnia w pensjonacie mówiono tylko przyszłości Leonii. Dziewczęta były przekonane, że dotychczasowa pomoc kuchenna otrzyma pracę u pani Serrat.

— Chociaż nie wiem, czym się tak przejmujesz — zwróciła się do Leonii Loulou. — Mogłabym wcisnąć cię do kabaretu w jednej chwili.

Leonia roześmiała się. Wiedziała, że to nieprawda, a poza tym bała się samego pomysłu pójścia do kabaretu. Madame Artois powiedziała, że praca u pani Serrat spodoba się jej i że jeśli będzie dobrze pracować, ma szansę zostać prawdziwą panną sklepową. W wolnych chwilach dziewczęta pomagały jej w przygotowaniach do zmiany. Jolie nauczyła ją samodzielnego upinania włosów i tym razem było to uczesanie zdecydowanie skromniejsze, z zebranym na karku gładkim koczkiem. Aby przedłużyć spódnicę sukienki, doszyły do dołu pas ciemniejszego brązowego welwetu, dołożyły też pasujący do całości welwetowy pasek. Problemem były jednak pantofle, gdyż żadna z dziewcząt nie miała takich, które pasowałyby na nogi Leonii. Dziewczyna chodziła nadal w swych starych butach, aż wreszcie madame Artois zabrała ją do sklepu i kupiła jej parę gustownych czarnych bucików na niewielkich obcasikach, jakie Leonia widziała u innych dziewcząt.

— Traktuj to jak inwestycję — powiedziała madame Artois do zaszokowanej ceną dziewczyny. — Te pantofle powiodą cię do sukcesów.

Bella i Jolie natychmiast kazały ćwiczyć jej chodzenie, by przyzwyczała się do obcasów. Leonia ze zdumieniem poczuła się elegancka. Po raz pierwszy nie przeżywała wstydu z powodu wielkości swych stóp. Madame Artois dała jej w prezencie na szczęście parę cienkich fildekosowych pończoch, Loulou zaś podarowała jej małą pozłacaną broszkę z ładnym bursztynem w środku.

— Nie ma żadnej wartości — wyjaśniła, opędzając się od podziękowań Leonii — ale pasuje do twojej sukienki.

W sobotę rano Leonia ubrana w nową sukienkę oraz brązową wełnianą pelerynkę z małym futrzanym kołnierzykiem, którą dała jej madame Artois, wyszła z domu. Rozmowa z panią Serrat była wyznaczona na dziewiątą trzydzieści i już piętnaście po dziewiątej dziewczyna spacerowała ulicą Montalivet, po raz dziesiąty przechodząc obok sklepu. Jej zdenerwowanie rosło z każdą minutą. Nie przypuszczała nawet, że sklep pani Serrat będzie tak onieśmielająco wytworny. Wysokie okna obwiedzione były różowym pluszem i wykończone markizami w różowe pasy z wypisanym ciemniejszym różem nazwiskiem Serrat, którego litery tworzyły półksiężyc w poprzek wygiętej linii marmurowych schodów. Gdy tak patrzyła, ze sklepu wyszedł młody smagły chłopak. Zamiótł różowy chodnik prowadzący do oszklonych drzwi i przeciągnął raz jeszcze ścierką połyskującą mosiężną tabliczkę na drzwiach, po czym zniknął w środku.

Leonia pomyślała, że na pewno zbliża się już dziewiąta trzydzieści i rozdygotana wkroczyła do sklepu w ślad za chłopakiem. Zamknęła za sobą drzwi i usłyszała delikatny dźwięk dzwonka. Przystanąła rozglądając się wokół. Znajdowała się w dużej sali, której ściany i sufit obite były różowym pluszem i ozdobione satynowymi taśmami. Kryształowe żyrandole oświetlały długie przeszlone lady oraz pyszniącą się wielką misę, pełną białych szali z łabędziego puchu, koronkowych kołnierzyków, jedwabnych wstążek i zapinek z masy perłowej. Cała ściana obwieszona była koronkowymi peniurami wykończonymi wirującymi w najłżejszym powiewie obramowaniami z piór i wstążek w kolorach brzoskwiniowym, perłowym, liliowym i pistacjowym, a ich delikatność przywodziła na myśl pieszczącą usta słodycz migdałów.

Leonia patrzyła oczarowana. Chciała dotknąć wszystkiego, pragnęła podnieść do policzka gładką satynę i owinąć ciało jedwabiem.

Z zaplecza sklepu wyłoniła się uśmiechnięta wysoka kobieta.

— Czym mogłabym pani... — zaczęła, lecz urwała raptownie, zaskoczona spojrzeniem Leonii. — Czego chcesz? — spytała szorstko, tonem już nie uniżonym, ale piskliwym z poirytowania. Co robi tu ta dziewczyna? Śmie wnosić pył ulicy na ich dywany!

— Przepraszam, czy pani Serrat? Miałam się zgłosić o dziewiątej trzydzieści. W sprawie pracy.

— W sprawie pracy? Więc co tutaj robisz? Powinnaś pomyśleć, zanim skorzystasz z wejścia dla klientów! Poza tym pani Serrat jest w tej chwili zajęta. Lepiej wyjdź stąd natychmiast, zanim zaczną przychodzić klientki. Nikt nie życzy sobie oglądać takich jak ty.

— Więc którędy mam wejść? — spytała zrozpaczona Leonia.

— Z drugiej strony, oczywiście, boczną uliczką! Co za głupia dziewczyna!

Leonia wycofała się do wyjścia. Dłonie spotniały jej ze strachu. Zatrzymała się na chwilę, by zetrzeć rękawem ślad, jaki zostawiła na wypolerowanej klamce. Uchwyciła jeszcze przez szybę drzwi spojrzenie kobiety i zbiegła po schodkach, rozglądając się za boczną uliczką. Najwyraźniej musiała ją przegapić, a czas płynął. Spóźni się. Straci szansę na pracę! Jak powie o tym po powrocie do pensjonatu?

Dzięki Bogu, znalazła wreszcie. Skręciła i przemykając wąskim, wijącym się między zabudowaniami zaułkiem, biegła, szukając wejścia na zaplecze sklepu. Chłopak, którego widziała niedawno, siedział na szczycie kamiennych schodków. Był przebrany za indyjskiego księcia. Jadł niespiesznie drożdżówkę, a okruchy spadały na wspaniały strój z połyskliwej różowej satyny. Obok leżał turban, na którym mienił się w porannym blasku kamień, przytwierdzający z przodu egretę. Leonia nigdy nie widziała nikogo tak ubranego.

— Co się tak dziwisz? — chłopak zaśmiał się na widok jej zaskoczenia. — To pomysł madame Serrat. Według niej tak powinien wyglądać w Paryżu elegancki goniec. Jestem tu chłopcem na posyłki. Otwieram klientom drzwi, podaję kawę i napoje, odnoszę paczki. Madame Serrat widziała gdzieś fotografię małego murzyńskiego służącego, i to właśnie jestem ja.

— A ty nie masz nic przeciwko temu? — spytała oszołomiona Leonia.

— Nie, to moja praca, chociaż może, jak będę starszy...

Wyglądał na czternaście lat, ale Leonia nie chciała być niegrzeczna i pytać go o wiek.

— Madame Serrat oczekuje mnie o dziewiątej trzydzieści — powiedziała, przypominając sobie nagle, po co tu przyszła.

— No to spóźniłaś się, ale nie martw się, jest teraz zajęta. Kupiec jedwabi przyjechał właśnie z Mediolanu i będzie siedział co najmniej pół godziny. Wejdź i poczekaj, jeśli chcesz.

— Mogę usiąść tu z tobą?

Nie uśmiechało się Leonii siedzieć w środku samotnie przez pół godziny. Ta zła kobieta znów mogłaby ją wyrzucić.

— Jak to się stało, że spóźniłaś się, skoro przychodzisz prosić madame Serrat o pracę? — spytał chłopak, widząc jej zdenerwowanie. — Chyba powinnaś przyjść wcześniej!

— Ależ ja przyszedłam! Weszłam przez frontowe drzwi i jakaś kobieta kazała mi wyjść. Powiedziała, że powinnam się zastanowić zanim tam wejdę.

— To Marianna. — Podał jej drożdżówkę z leżącej obok papierowej torby. — Wszystkie dziewczęta się jej boją. Jest tutaj prawdziwym postrachem.

— Dlaczego? — zdziwiła się Leonia.

— Nie mam pojęcia. Myślę, że niektóre kobiety takie są. Musisz na nią uważać, na pewno będzie zazdrosna o taką ładną dziewczynę jak ty.

Leonia rzuciła mu rozpromienione spojrzenie. Nazwał ją ładną!

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Marok.

— Marok? I to wszystko?

— Właśnie tak. Urodziłem się w Maroku. Ojciec przywiózł mnie do Paryża, gdy byłem mały, no i zniknął. Miałem cztery czy pięć lat. Wychowałem się w sierocińcu u zakonnicy i zawsze byłem znany jako *Le Maroc* — chłopiec z Maroka. Tak pozostało i nawet to lubię.

Leonia pomyślała, że mają wiele wspólnego. Oboje młodzi i równie samotni w Paryżu.

— No, czas już, żebyś weszła. — Założył swój nieprawdopodobny turban i uśmiechnął się do niej szeroko. — Powodzenia. Mam nadzieję, że dostaniesz tę pracę.

— Dziękuję. — Ruszyła za nim schodkami. Mimo że znaleźli się w ponurym korytarzu, czuła się zdecydowanie lepiej. — Wiesz, Marok — powiedziała, gdy zatrzymali przed drzwiami właścicielki sklepu — jesteś moim pierwszym przyjacielem w Paryżu.

— Cieszę się — uśmiechnął się znowu.

Leonia wyprostowała ramiona, zaczerpnęła głęboko powietrza i zastukała do różowych drzwi.

Po pięciu minutach pojawiła się na ulicy Montalivet jako pomocnica ekspedientki w sklepie pani Serrat. Cały ten nowo

poznany, wymoszczony różowym pluszem i satyną, aksamitnie gładki i jedwabiące perłowy świat luksusu był jej.

— Leonio! — zawołała Marianna histerycznym tonem. Gdzie są paczki pani Jourdan? Mają być natychmiast gotowe!

Leonia zawiązywała pośpiesznie ostatnią wstążkę. Pięć minut zaledwie zajęło jej przygotowanie trzech dużych paczek, choć miała złożyć starannie i owinać w bibułkę każdą sztukę bielizny, a potem osobno zapakować.

— Przepraszam, mademoiselle, już są.

— Coś ty zrobiła?! — wykrzyknęła Marianna i nagle wszyscy obecni w sklepie odwrócili się, zwracając uwagę na Leonie. — Proszę wybaczyć, madame — zwróciła się Marianna do zaskoczonej klientki z przeproszającym uśmiechem — ta dziewczyna zaraz je przepakuje. Zobacz, to się już rozlatuje — rzuciła do Leonii, szarpiać za wstążkę.

Marok, wyprężony na baczność za obitym różowym aksamitem wielkim fotelem madame Serrat, obserwował ze współczuciem całe zajście. Marianna nie cierpiała Leonii; zatruwała jej życie i wydierała się na nią bez końca, a niemal za punkt honoru stawiała sobie urządzenie scen, gdy w salonie przebywała madame.

— Co się dzieje z tą dziewczyną, Marianno? — spytała madame Serrat. — Wydaje się, że jest strasznie powolna.

— Jest niestaranna, madame, po prostu niestaranna — odparła Marianna z przymilnym uśmiechem. — Sama to zapakuje.

— Chodź tutaj, Leonio — poleciła madame.

Przyglądała się stojącej przed nią dziewczynie. Była biednie, lecz schludnie ubrana i w pewien szczególnie sposób pociągająca, tylko ten nieporządek na głowie...

— Od kiedy jesteś u nas?

— Od czterech miesięcy, madame.

— Co takiego?! Muszę powiedzieć, że to dość długo, by umieć zawiązać paczkę! Stanowczo musisz się lepiej starać.

— Ale madame, ja tylko...

Leonia dostrzegła spojrzenie Maroka. Chłopak zmarszczył brwi ostrzegawczo.

— Postaram się robić to lepiej, madame — dokończyła.

— I zrób coś z tymi włosami! Ściągnij je do tyłu. Nie chcę, aby mi tu wszędzie fruwały.

Ekspedientki spoglądały na Leonię ze współczuciem. Nie mogły niczego zrobić. Skarżenie się madame Serrât było bezcelowe. Marianna była jej prawą ręką i właścicielka nie życzyła sobie słyszeć o niej żadnego złego słowa.

Spurpurowiała od publicznego upokorzenia Leonia wróciła do swego zajęcia. Miała uporządkować długie oszklone gablotki.

Byłaby szczęśliwa w sklepie pani Serrât, gdyby nie Marianna. Dlaczego tak się nad nią pastwi? Bóg widzi, że stara się ze wszystkich sił. Poza tym przecież dobrze przygotowała te paczki.

Złożyła atlasowe kombinacje, po czym wzięła się do układania satynowych koszul nocnych. Wygładziła zdobiące ich przody różyczki i kokardki i na nowo włożyła do pudeł. Wiele z tej bielizny wykonywano na specjalne zamówienia, ale sklep miał zawsze bogaty wybór pięknych artykułów gotowych. Panowie lubili tu przychodzić, by kupować prezenty dla kochanek. Otworzyła leżące na stosie pudło i zerknęła na podniecające gorsety. Wykonane z czarnej i czerwonej satyny, wykończone były sznurowaniami z nęcących wstążek. Chyba setny już raz zadała sobie pytanie, kto może je nosić i na jakie okazje.

— Leonia, to od tego pana mademoiselle Gloriette — usłyszała szept Maroka i chłopak wcisnął jej w dłoń złożony kawałek papieru. — Widział, jak Marianna urządziła ci awanturę.

Gloriette, nowa gwiazda kabaretu *Carnavalet*, zawsze robiła zakupy w towarzystwie aktualnego kochanka.

Schowana za gablotą Leonia otworzyła liścik i przebiegła go błyskawicznie oczami. *Proszę się nie przejmować, ona jest tylko zazdrosna, ponieważ pani jest bardzo piękna. Czy mogę zaprosić panią na kolację któregoś wieczoru, by jej to wynagrodzić?* Podniosła wzrok zaskoczona. Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna o kędzierzawych jasnych włosach przyglądał jej się pewnym siebie spojrzeniem. Mademoiselle Gloriette stała tuż przed nim zajęta wybieraniem jedwabi.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko i unióśł brwi pytająco. Leonia odwróciła się speszona, czując jak krew napływa jej do policzków.

Ponownie zajęła się porządkami w gablocie, a serce łomotało jej z podniecenia. Napisał do niej mężczyzna, chce zaprosić ją na kolację! Oczywiście, że nie ma zamiaru pójść, ale co za historia dla Loulou, Belli i Jolie. Trudno jej będzie doczekać końca dnia pracy, chciała już pobiec do domu i wszystko im opowiedzieć. To takie niesamowite!

Panna Gloriette pożegnała się i zadzwieczał dzwonek przy drzwiach. Leonia odwróciła się szybko, by spojrzeć na nich przez okno.

— Leonia, daj mi ten liścik! — Ton Marianny nie znosił sprzeciwu. Daj mi to — powtórzyła, wyciągając rękę.

Leonia rozejrzała się przerażona. Dziewczęta krzątały się przy ladach, udając, że nic nie widzą. Marok przepadł — zapewne wyszedł, by zjeść drugie śniadanie na swym zwykłym miejscu na schodach.

— Jaki liścik? — spytała Leonia drżącym głosem. Cofała się, chowając za siebie rękę z karteczką.

— Ten od młodego pana towarzyszącego mademoiselle Gloriette. Widziałam, jak go pisał i uśmiechał się do ciebie za jej plecami.

— Nie wiem, o czym pani mówi — skłamała desperacko Leonia.

Nie miała zamiaru dać jej tej kartki. Doskonale wiedziała, że Marianna szuka pretekstu, by ją wyrzucić. Boże, wybac mi kłamstwo, ale nie mogę stracić pracy, modliła się zrozpaczona.

Marianna wykręciła jej rękę. Leonia oparta plecami o gablotę wepchnęła kartkę do pudła z bielizną. Ścisnana przez Mariannę ręka zabolala ją mocno, więc czym prędzej wyciągnęła drugą, by pokazać, że jest pusta.

— Proszę zobaczyć, nic nie mam!

Marianna popatrzyła na nią spokojnie przez chwilę.

— Wiem, że flirtowałaś z tym mężczyzną i wiem, że dostałaś od niego liścik. Słuchaj uważnie! Jeśli jeszcze raz cię złapię, zostaniesz natychmiast zwolniona. Nie chcę tu dziewcząt, które próbują utorować sobie drogę do kariery w salonie poprzez klientów. Trzymaj się swojego miejsca!

— Ależ ja nie...

— Nie próbuj ze mną dyskutować! Oczywiście, że to robisz. Widzę, jak mężczyźni na ciebie patrzą, gdy tak pysznisz się tymi

swoimi rozczochranymi nad czołem włosami. Radzę ci je obciąć, jeśli chcesz zachować pracę!

Marianna wróciła do swej wnęki przy drzwiach i usiadła przy biurku, popijając herbatę. Była blada z wściekłości, a ręce jej drżały tak, że herbata wylała się z filiżanki.

Leonia wsunęła palce pod wieko pudełka, wyciągnęła kartkę i wsunęła za rękaw. Wyśliznęła się na zaplecze, przebiegła ponury korytarz i znalazła Maroka, siedzącego na schodkach.

Usiadła obok niego i rozplakała się. Potrząsnęła głową, gdy wyciągnął do niej wielką kanapkę. Wciąż przeżywała napaść Marianny.

— Nie płacz, Leonio — rzekł ze współczuciem. — Nie warto. Ona jest po prostu zazdrosna. Założę się, że przez te wszystkie lata u Serrat nikt nie napisał do niej z propozycją, że ją gdzieś zabierze. Nie pozwalaj, by cię zmuszała do płaczu.

— Płaczę ze złości! To takie niesprawiedliwe! Wiem, że paczka była dobrze zawiązana i... nigdy nawet nie spojrzałam na tego mężczyznę, dopóki nie przysłał mi kartki. Ona wiecznie się nade mną wytrząsa. Co mam zrobić? Nie ma sposobu jej zadowolic? Nie toruję sobie drogi! To ja powinnam jej zazdrościć. Gdybym miała jej stanowisko, byłabym najszczęśliwszą kobietą w Paryżu!

— Naprawdę? Bardzo to wątpię. — Marok wyciągnął do niej papierową tutkę z dwiema rozmiękłymi czekoladkami. — Masz, to dla ciebie. Najlepsze trufle madame. Powinny poprawić ci humor.

— Och, Marok, strasznie jesteś kochany. — Leonia pochyliła się i pocałowała go w policzek, a on rozplynał się w uśmiechu.

— I co, spotkasz się z nim?

— Oczywiście, że nie — odparła zaszokowana.

— Musiałem dać ci tę kartkę, ale miałem nadzieję, że nie pójdziesz. Szkoda cię dla takich mężczyzn jak on. To nie są porządni ludzie. — Ich spojrzenia spotkały się i widziała, że chłopak mówi poważnie. — Ty możesz dostać od życia dużo więcej. Jesteś wyjątkowa.

Brzmiało to tak dojrzałe, że Leonia nie mogła powstrzymać pytania.

— Skąd ty tyle wiesz, przecież masz tylko czternaście lat?

— Całe życie spędziłem na ulicy — wzruszył ramionami chłopak. — Wiem różne rzeczy... Więcej niż ty.

Bolała ją ręka wykręcona przez Mariannę i rozcierała nadgarstek, myśląc o młodym mężczyźnie. To wprost niesamowite, że chciał się z nią spotkać! Podniesiona nieco na duchu zaczęła jeść kanapkę Maroka.

— Będę jej schodzić z drogi i zwiążę włosy jeszcze ściślej. Obetnę nawet, jeśli dzięki temu mam utrzymać pracę.

— Proszę cię, nie ścinaj. — Marok uniósł rękę i dotknął lekko jej włosów. — Są wspaniałe! Jak wielka złota grzywa... Nie mogę sobie wyobrazić ciebie bez tych loków.

Ruszyli z powrotem do sklepu.

— Nie obetnę, Marok, chyba że będę musiała.

Karolina Montalva przyszła do salonu pani Serrat po białe koronkowe pończochy. Jęknęła cicho na widok spieszącej na jej powitanie, uśmiechniętej z uniżonością Marianny.

— O Boże — odwróciła się do towarzyszącego jej młodego mężczyzny. — Znow ten babsztyl. Miałam nadzieję, że na nią nie trafię.

— Mademoiselle Montalva — rozpromieniła się Marianna. — Jak miło znow panią widzieć.

Karolina, dla przyjaciół Karo, odprawiła ją aroganckim ruchem ręki.

— Nie ma potrzeby, by się pani mną kłopotowała, Marianno. Przyszłam tylko po pończochy. Nie będę zabierała pani czasu pogawędkami. To dziecko może mnie obsłużyć.

Zasiadła na krześle, a Leonia wyszła z za lady zaskoczona.

— Ja, proszę pani?

— Tak, oczywiście, że ty. Chciałabym obejrzeć białe koronkowe pończochy.

Leonia spojrzała bezradnie na Mariannę. Mademoiselle Montalva była jedną z ich najlepszych klientek; zawsze kupowała rozrzutnie, biorąc wszystko tuzinami i we wszystkich kolorach. Marianna skinęła głową.

— Wiesz, gdzie się znajdują pończochy. Obsłuż mademoiselle Montalva tak, by była zadowolona. Kieliszek szampana dla pani, Marok — zwróciła się jeszcze do chłopaka, po czym wróciła do swojej wnęki i obserwowała od drzwi, jak Leonia wysuwa szufladę z pończochami i rozwija je przed klientką.

— Proszę, to trzy różne wzory koronki, mademoiselle.

Karo uśmiechnęła się do niej. Cóż to za niespodziewana piękność u Serrat! Rzuciła spojrzenie na Alfonsa. Najwyraźniej on również to zauważył.

— Który rodzaj jest według ciebie najładniejszy?

— Według mnie, mademoiselle?

— Tak, według ciebie — roześmiała się Karo. — Który jest najpiękniejszy?

— Mnie najbardziej podoba się ten, jest taki delikatny.

— Więc wezmę ten wzór. Zapakuj mi pół tuzina, a jeśli macie i czarne, wezmę jeszcze sześć par.

— Tak, proszę pani.

Leonia podbiegła skwapliwie do stołu i zaczęła pakować. Jej pierwsza sprzedaż! Spojrzała na mademoiselle Montalva. Jest taka piękna, pomyślała. Wspaniałe czarne włosy ma ściągnięte do tyłu w stylu hiszpańskim i upięte w węzeł na karku; jej czarne brwi wyglądają niczym skrzydła ptaka. I jaka szykowna! Żakiet i spódnica w kolorze czerwonego wina sprawiają wrażenie miękkich i drogich. Do tego pantofle dokładnie tego samego koloru co kostium; i takie maleńkie! Marok mówił, że jej przyjaciel jest bardzo bogatym arystokratą. Sprawia miłe wrażenie. Niezbyt wprawdzie wysoki i nieszczególnie arystokratycznej powierzchowności, ale miły. Uchwycił jej spojrzenie i mrugnął. Leonia natychmiast opuściła wzrok, przerażona, że Marianna znów oskarży ją o chęć zrobienia kariery za wszelką cenę. Skończyła pakowanie i wróciła do kontuaru, podając paczkę mademoiselle Montalva.

— Dziękuję za doradzenie — powiedziała Karo, uśmiechając się ponownie, gdy podawała Alfonsowi ramię w drodze do drzwi. — Jak ci na imię?

— Leonia, mademoiselle. — Dziewczyna znów poczuła na sobie wzrok obserwującej wszystko Marianny.

— Ach. Leonia. Bardzo ładne imię. Muszę zapamiętać, aby następnym razem poprosić właśnie o ciebie.

Nie obdarzając Marianny najmniejszą uwagą, zeszła z marmurowych schodów i zniknęła z Alfonsem na ulicy.

Marianna wróciła za biurko oniemiała, a Leonia wycofała się za ladę. Była dumna. Skoro mademoiselle Montalva chce, aby to właśnie ona ją obsługiwała, przybliżyła się o krok do funkcji panny sklepowej! I wszystko zrobiła dobrze, nawet Marianna nie może zaprzeczyć.

3.

Gilles, hrabia de Courmont, wyszedł z Pałacu Elizejskiego. Spojrzał w niebo. Nie ulegało wątpliwości, że będzie padał śnieg. Podświetlone żółtawym światłem chmury zwieszały się ciężko z nieba, ulicą gnał lodowaty wiatr. Zimno natychmiast przeniknęło pod jego marynarkę. Powinien był włożyć paltot, ale nikt w październiku nie oczekuje takiej zmiany pogody. Skulony ruszył zdecydowanie ulicą Rivoli w stronę biur Europejskiej Kompanii Żelaza i Stali na trzecie już spotkanie tego dnia. Była dopiero pierwsza, a on zdążył już przeprowadzić rozmowę z dwoma panami z Niemiec na temat rozszerzenia połączeń kolejowych z Rosją i zjadł śniadanie z ministrem, który poinformował go w zaufaniu, że są sugestie, by zaproponować mu stanowisko ambasadora w Londynie. Nie zgodzi się, oczywiście. Nie może utkwąć w Londynie. Sfera jego prawdziwych zainteresowań znajduje się w Ameryce. Do diabła, powinni mu dać Waszyngton! Umocnił już tam kontakty z nowo powstałymi spółkami automobilowymi i doskonale mógł zarówno pełnić obowiązki ambasadora, jak i prowadzić interesy. Ciekawe, kto przeciwko niemu wystąpił. Zanotował sobie w pamięci, że Verronet musi to sprawdzić. Przy jego znajomościach szybko powinien się dowiedzieć, kto nie życzy sobie, by hrabia de Courmont znalazł się w Waszyngtonie. Oczywiście, sam ma pewne podejrzenia, założyłby się nawet o sporą sumę, że to właśnie minister, z którym nie tak dawno jadł śniadanie. Musi polecić Verronetowi, by sprawdził

jego powiązania i interesy w Ameryce; jeśli minister jest w nie uwikłany, trudno się dziwić, że chce mieć tam swojego człowieka. Nikomu jeszcze nie udało się tak pokrzyżować planów Gillesa de Courmonta.

Gdy hrabia wszedł do pokoju, siedzący przy owalnym stole mężczyźni poderwali się na równe nogi. Przetrzymywał ich w oczekiwaniu przez dwadzieścia minut. Byli ludźmi bardzo zajętymi, ale dla niego mieli czas. Hrabia de Courmont, dyrektor Europejskiej Kompanii Żelaza i Stali, miał błyskotliwy umysł, jemu kompania zawdzięczała swoje sukcesy oraz to, że stała się jednym z najpotężniejszych przemysłowych imperiów Europy. Bez słowa przeprosin przeszedł bezpośrednio do interesów.

— Panowie, sytuacja przedstawia się następująco. Finanse Towarzystwa Stalowego Grunewalda są w opłakanym stanie. Jak panowie wiecie, stanowi ono własność rodzinną i trzy lata temu, po śmierci założyciela Towarzystwa, młodszy członkowie rodziny przejęli za nie odpowiedzialność. Nie jest tak źle, by nie dało się go uratować, wprowadzając twarde zarządzanie, ale zarazem łatwo wszystko pogorszyć poprzez złe doradztwo.

Spojrzał na raport, który przygotował mu Verronet. Nie było w nim niczego, czego by sam o Towarzystwie Grunewalda nie wiedział; żadnej tajemnicy czy szczegółu jego sytuacji finansowej. Odłożył trzymane w ręku papiery i przeszedł do drugiego sprawozdania: szczegóły prywatnego życia Karola Grunewalda; jego małżeństwo, dzieci, kobiety, przegrane w kasynach oraz na torach wyścigowych całej Europy, a także wysokość długów. Był wprawdzie młodszy bat, który robił wszystko, by nie dopuścić do upadku Towarzystwa, ale Karol trwonił kapitały po mistrzowsku.

— Młody Grunewald jest dalekim krewnym mojej żony — ciągnął dalej hrabia. — Spotkałem go ostatnio; nie całkiem przypadkowo — dodał z uśmiechem — w Baden-Baden, tydzień czy dwa tygodnie temu. Zwierzył mi się z pewnych kłopotów w interesach, a ja zaproponowałem, że przyślę mu jednego z moich ludzi w charakterze doradcy. Obiecałem również, że sprawdzę, co da się zrobić, by uzyskać dla Towarzystwa pomoc finansową. Może pożyczkę w *Agence de Credit de Paris*. — Uśmiechnął się. Agencja była również jego własnością. — Olivier — zwrócił się do mężczyz-

ny po lewej stronie — jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty. Za trzy miesiące nie będą w stanie spłacać pożyczki. Za cztery — znajdują się w sytuacji beznadziejnej. Chcę, żebyś wyjechał w przyszłym tygodniu. Umiesz postępować skutecznie. — Uśmiechnął się znowu, odkładając na stół oba raporty. — Spodziewam się, że przejęcie Towarzystwa Stalowego Grunewalda zajmie nie więcej niż pięć miesięcy.

Przyjemnie byłoby obserwować, jak stary rywal pada, i to dzięki własnemu marnotrawnemu synowi, pomyślał. Na tym świecie nie należy nikomu ufać, a najmniej własnym dzieciom. On sam w testamencie obwarował majątek takimi przepisami, by Gerard i Armand nigdy nie mogli zburzyć tego, co zbudował. Europejska Kompania Żelaza i Stali z jej potężnymi odlewniami i rozrastającymi się fabrykami, wypuszczającymi wielkie ilości maszyn, dźwigarów, szyn dla kolei żelaznej oraz broni stosowanej w każdej wojnie w dowolnym punkcie ziemi — hrabia nigdy nie dyskryminował ani nie popierał żadnej strony — będzie jego pomnikiem. Zrobił coś więcej niż zwykle powiększenie majątku, który pozostawił mu ojciec; rozważne inwestowanie sprawiło, że posiadłości Courmontów sięgały swymi mackami od Amiens do Aix i na wschód do Ruhry. Nikt nie będzie w stanie zburzyć jego imperium.

Następny zadrży Krummer — nienawidził starego. To z jego stali zrobiona była broń, która w **1870** rzuciła Francję na kolana. Francuz nigdy nie zapomni tej klęski.

Skinał szorstko głową i wyszedł z pokoju, a jego zarządcy pozostali pełni napięcia, ożywieni przez chwilę nadzieją, że uchwycą jego spojrzenie i jakikolwiek znak aprobaty. Hrabia nie wykonał jednak najmniejszego gestu; myślami był już daleko, planując kolejne ruchy w następnej grze.

Automobil, ta nowa zabawka świeżo zmechanizowanego świata, owładnął jego zainteresowaniami w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczał. Wszystko to — towarzystwa stalowe, handel nieruchomościami, przyjęcia dyplomatyczne, manewry polityczne — było niczym seria ćwiczeń, które wykonywał z największą uwagą, zawsze o krok przed innymi, zawsze zwyciężał i wyszarpywał im sprzed nosa kontrakty niczym trofea wojenne. Ale samochody olśniewały go swą mechaniczną urodą i utajoną mocą. Były to dopiero początki i właśnie on, Gilles de Courmont,

przesadzi Francuzów z ich wyszukanych powozików i szybkich dorożek do gładkich, lśniących pojazdów stalowych, piękniejszych od najbardziej pożądanых kobiet i napędzanych silnikami o mocy większej niż siła tuzina koni.

Jadł obiad sam. Jak zwykle, gdy nie musiał załatwiać żadnych interesów, zajmował w wielkiej sali jadalnej *Ritza* boczny stół pod oknem. Wszyscy go tu znali i wiedzieli dokładnie, czego sobie życzy. Zawsze jadł to samo — omlet *fines herbes* z zieloną sałatą. Nie wybierał menu — szkoda mu było czasu na rzeczy bez znaczenia. Z tego samego powodu nosił tylko białe koszule i ciemnoszare garnitury. Kiedy musi się podejmować w ciągu dnia tyle istotnych decyzji co on, wszystkie drobniejsze, jak co zjeść i w co się ubrać, stawały się irytujące. Nigdy jednak nie śpieszył się przy wyborze wina; zawsze musiało być czerwone, zawsze doskonały rocznik i zawsze tylko jeden kieliszek.

Karo Montalva przyglądała mu się ze swego miejsca. Siedziała dwa stoły za rum. Widziała tylko jego plecy, ale tych barczystych ramion pod doskonale skrojoną marynarką i ciemnych włosów układających się w pierścieniach nad mocnym karkiem nie sposób było pomylić. Gilles de Courmont był niewątpliwie bardzo przystojnym mężczyzną i mężczyzną nader zmysłowym. Mogłaby się założyć, że jest cudownym kochankiem; z pewnością miał dobre ciało. Szkoda, że to taki zimny drań. Miał kobiety, wiele kobiet — kilka z nich sama знаła — ale nigdy nie pozostawał w bliskim związku z żadną, nawet z żoną. Lub może zwłaszcza z żoną. Wiedzano powszechnie, że ich związek nie jest oparty na uczuciach. Rodzina Marie-France była nawet starsza od jego i małżeństwo stanowiło dla niego kolejną transakcję handlową. Nadal jednak mężczyzna tak potężny jak hrabia de Courmont wzbudzał wielkie zainteresowanie. Połączenie siły z bogactwem miało dla kobiet wielki powab, a jednocześnie hrabia potrafił być czarujący i zabawny, jeśli tylko tego chciał. Widziała kobiety zniszczone przez jeden jego uśmiech czy drobną uprzejmość. Potrafił sprawić, że każda wierzyła przez chwilę, iż to właśnie ona mogłaby swym urokiem przebić się przez chłód i barierę bezwzględności. Po czym odprawiał je nieoczekiwanie i szorstko.

— Jest bardzo przystojny, prawda? — odezwała się w półpytająco jej przyjaciółka Gabriela.

— Właśnie się nad tym zastanawiałam.

— No i?...

— I tak, i nie. Fizycznie — tak. Jest... popatrz na jego uda. Czy widziałaś go kiedyś na koniu? Ciekawe, jak by to było.

Gabriela odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

— Karo, wszystkie kobiety myślą o takich rzeczach, ale tylko ty masz odwagę o nich mówić.

Karo uśmiechnęła się z udawaną skromnością.

— Z drugiej strony — podjęła — jest taki zimny. — Spojrzała znów na plecy mężczyzny. — Myślę, że mógłby być straszny. Alfons twierdzi, że jest prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem we Francji. I jednym z najpotężniejszych. A przy tym możesz przyjść tutaj niemal każdego dnia i spotkasz go jedzącego samotnie obiad; nigdy z przyjacielem.

— Skoro tak mu współczujesz, dlaczego nie zaprosisz go na swoje przyjęcie w przyszłym tygodniu?

— Gillesowi de Courmontowi nikt nie współczuje. Ale masz rację; zaproszę go na przyjęcie.

Gdy podniosła się, kelner podskoczył, by odsunąć jej krzesło.

Podeszła do stołu hrabiego.

— Gilles — powiedziała z uśmiechem.

— Karo, jak miło panią widzieć — wstał. — Co u Alfonsa? — Uniósł jej rękę do ust. — Czy ma pani ochotę coś zjeść... może kieliszek wina?

— Nie, dziękuję panu, Gilles. Podeszłam tylko, by zaprosić pana na przyszły czwartek na moje przyjęcie urodzinowe.

— Takiego zaproszenia nie mogę odrzucić.

Spojrzał jej w oczy. Karo Montalva to wielka piękność. Ciekawe, czy byłaby też interesująca. Wiedział, że żyje z Alfonsem de Bergerac, ale nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

— Wiem, że nie lubi pan bywać na przyjęciach. — Karo przechyliła kokieteryjnie głowę. Zawsze flirtowała, czym nieodmiennie doprowadzała Alfonsa do wściekłości.

— Rzeczywiście, przyznaję. Ale pani są zawsze wyjątkowe.

— A więc oczekuję pana w czwartek około dziewiętej. Alfonsowi będzie bardzo miło pana widzieć. — Machnęła ręką w zdawkowym pożegnaniu i wróciła do swego stołu.

— No i? — spytała znów Gabriela.
— Powiedział, że przyjdzie, ale żałuję, że go zaprosiłam.
— Co ci znów przyszło do głowy?
— Nie wiem. — Karo wzdrygnęła się. — Mam po prostu dziwne uczucie, że nie powinno się wtrącać do życia kogoś takiego jak on. Mówi dokładnie to, co należy powiedzieć, a ma się wrażenie, że myśli o czymś zupełnie innym. No cóż — wzruszyła ramionami — może być zabawnie.

De Courmont wyszedł z *Ritza* i podążył do Boucherona, jubilera na Rivoli. Kierownik natychmiast pośpieszył z powitaniem, pragnąc zadowolić tak znacznego klienta.

— Potrzebne mi będą dwie rzeczy, Maurice — powiedział hrabia. — Coś małego i pięknego na urodziny pewnej damy oraz coś dużego, rzucającego się w oczy dla innej.

— Tak jest, rozumiem. — Słyszał już takie zamówienia i wiedział, czego klient oczekuje. Wyciągnął bransoletę z trzech rzędów brylantów połączonych złotymi pałeczkami, ściągniętą rubinową zapinką. — Czy to będzie dobre dla drugiej damy?

— Może być. Proszę to przesłać pod tym adresem. — Wyciągnął wizytówkę i skreślił kilka słów na odwrocie. Nigdy nie żegnał się czule, ale przynajmniej żadna z jego kochanek nie mogła zarzucić mu braku hojności.

— A na urodziny może to?

— Szafiry. Tak, to mi odpowiada.

Dyskretna broszka stanowiła niewątpliwie miły podarunek.

— Wezmę ją ze sobą — dorzucił hrabia.

Sprzedawca odprowadził go do drzwi i Gilles ruszył dalej. Szybka przymiarka u krawca i z powrotem do biura; nadal czekały na niego sprawozdania dotyczące transakcji kolejowej.

Dochodziła już dziesiąta, gdy Gilles znalazł się wreszcie na dziedzińcu swego pałacu na *Ile Saint-Louis*. Pograżony w myślach wracał mimo zimna na piechotę. Wchodził na schody nie zadając sobie trudu, by sprawdzić, czy drzwi nie są zamknięte. Wiedział, że lokal w liberii już je przed nim otworzył.

— Dobry wieczór, sir — powitał go majordom Anglik i pomógł zdjąć marynarkę. Była mokra, bo padał lepki śnieg.

— Czy pani jest w domu, Bennett?

W kilku zaledwie paryskich domach zatrudniano angielskiego majordoma, stało się to dobrze widziane w towarzystwie. Hrabia nie zwracał uwagi na panującą modę, ale jego żona była snobką.

— Pani hrabina udała się do swej sypialni, sir.

— Dziękuję, Bennett. Nie będę cię już potrzebował.

— Tak jest, sir. Dobranoc, sir.

Gilles był zawsze uprzejmy i troskliwy wobec służących, więc lubili u niego pracować. Przeszedł przez ogromny, wznoszący się na wysokość dwóch pięter hall, wszedł na marmurowe schody i nie zwracając uwagi na cherubinki i błękit nieba fresków nad głową, ruszył do swego gabinetu na pierwszym piętrze. W tym wielkim domu panował chłód; mimo przepychu i płonących kominków było w nim coś odpychającego. Drżąc lekko Gilles nalał sobie whisky z karafki, która wraz z kryształową szklanką stała na srebrnej tacy. Nigdy nie wprowadzał tu nikogo. To był jego pokój, nawet żonie wstęp tutaj był wzbroniony. Przełknął wódkę krzywiąc się, gdyż alkohol palił w gardło, a jednocześnie delektując się jego aromatem. Ogień płonął w kominku, a wielki skórzany fotel zapraszająco stał w pobliżu. Gilles podszedł jednak do okna i ze szklanką w ręku wpatrzył się ponuro ponad oświetlonym dziedzińcem w rzekę. Po chwili odstawił szklankę, rozluźnił krawat i ruszył do drzwi przyległej sypialni. Była tam półka na książki, fotel i biurko; tylko przerzucona przez wąskie łóżko futrzana narzuta wносиła zmysłowy akcent do spartańskiego pomieszczenia, łagodząc nieco smutek tego miejsca. Hrabia miał trzydzieści sześć lat i był człowiekiem samotnym.

Pogoda przyniosła tego października niespodziewane zimno i fala przeziębień oraz grypa przetoczyła się przez sklep i pracownię madame Serrat. Codziennie mniej osób przychodziło do pracy. Stale ktoś zostawał w łóżku złożony chorobą i wreszcie w poniedziałek tylko Leonia i sama madame pozostały, reprezentując firmę. Niebo nad miastem zawisło szare i groźne, gdy Leonia wyszła rano z pensjonatu, a o pierwszej zaczął padać śnieg, pokrywając ulice cienką białą warstwą.

— Mam nadzieję, że nie będziemy mieć dzisiaj wielu klientek — rzekła pani Serrat, która także nie czuła się zbyt dobrze. — Musisz sobie sama radzić, Leonio.

Madame odeszła do swego biura i Leonia poczuła radość. Była sama w salonie! Obchodziła salę, strzepując pył z kontuarów miotelką z piórek. Prostowała wieszaki na stelażach i modliła się, by ktoś przyszedł i zamówił dziesięć nocnych koszul lub tuzin kompletów bielizny. Miałaby tego jednego dnia przyjemność działania jak główna panna sklepowa. Nikt jednak nie przychodził. Leonia zaczęła się nudzić.

Otworzyła jedno z pudeł i z zachwytem patrzyła na czerwone jedwabne pończochy. Dotknęła ich lekko palcem. Jakie gładkie! Od dawna o takich marzyła. Odłożyła już trochę pieniędzy, ale było tego wciąż niewiele. Pończochy były nieprawdopodobnie drogie, a zresztą gdzie miałaby je nosić.

Zabrała się do przygotowania paczki według zamówienia, które mademoiselle Montalva złożyła w ubiegłym tygodniu. Jak zawsze zamówiła dużo — wiele kompletów bielizny oraz koszul w mocnych, jaskrawych kolorach. „Nie jestem stworzona do pastelowych barw”. Leonia zapamiętała słowa Karoliny Montalva, choć nigdy już nie miała okazji jej obsługiwać. Marianna tego pilnowała. Zapakowała starannie szafirowoniebieski szlafroczek z aksamitu i dobrane do tego pantofelki, po czym dołożyła paczkę do rosnącego stosu. Cały czas myślała o Karolinie Montalva. Gdy przychodziła, salon zawsze wydawał się odmieniony; nagle wesoły i pełen śmiechu. Była taka swobodna i czarująca, a z dziewczętami rozmawiała jak z przyjaciółkami. Po jej wyjściu w sklepie nadal trwał blask radości. Marok powiedział Leonii, że chodzą słuchy, iż mademoiselle jest córką hiszpańskiego hrabiego, ale rodzina wyrzekła się jej z powodu złego prowadzenia. Czy to może być prawdą?

O trzeciej śnieg pokrył już chodniki grubą warstwą.

— Idź wcześniej do domu, Leonio — odezwała się madame Serrat, wychodząc z biura. Była blada i wyglądała na chorą. — Po drodze możesz zanieść paczkę mademoiselle Montalva.

— Ja, madame... mam pójść do mademoiselle Montalva? — spytała dziewczyna ochryplym z podniecenia głosem.

— Weźmiesz dorożkę, nie chcę, by te paczki zmokły. Masz tu pieniądze, dasz dziesięć procent napiwku, a jutro oddasz mi resztę. I uważaj na pakunki. Jeśli upuścisz je w śnieg, mogą się zniszczyć.

— Och nie, nie upuszczę! Będę bardzo uważać. Dziękuję, że mi pani zaufała.

Leonia zarzuciła płaszcz, zebrała paczki i wyszła. Stała na ulicy trzęsąc się z zimna i wyglądała niecierpliwie dorożki. Trzy rzeczy, myślała. Trzy podniecające wydarzenia. Po raz pierwszy w życiu pojedzie dorożką powierzono jej wykonanie ważnego zadania, a wreszcie zobaczy dom Karoliny Montalva. Podekscytowana przytupywała, by rozgrzać nogi. Z trudem mogła uwierzyć w swoje szczęście. Gdyby inne dziewczęta nie miały grypy, ona nadal odkurzałaby półki, a z paczkami pojechałby Marok.

Wskoczyła do dorożki i podała adres w poczuciu ważności swej misji. Rozkoszowała się jazdą. Oglądała ulice, które tak dobrze знаła ze swych wędrówek; z wysokości, na jakiej siedziała, wydawały się mniejsze i bardziej swojskie.

Jakie będzie to mieszkanie? Czy będzie mogła wejść, czy też konsjerżka każe jej zostać na schodach?

— Jesteśmy na miejscu, panienko.

Leonia zebrała paczki i zeskoczyła lekko na chodnik. Stopy jej utonęły w śniegu. Opuściła wzrok i skonsternowana zobaczyła zamiast butów dwie czarne bryły, na wpół schowane pod tającym śniegiem. Ruszyła przez podwórze zostawiając za sobą głębokie ślady. Stała przed frontowymi drzwiami i patrząc na nie niepewnie, pociągnęła za dzwonek. Dom był bardzo duży; do okien takich kamienic miała zwyczaj zaglądać pełna tęsknoty w czasie swych niedzielnych spacerów.

— Czego chcesz? — odezwała się poirytowana konsjerżka. — Powinnaś z tymi paczkami wejść od podwórza. Ale skoro już tu jesteś, równie dobrze możesz wejść. Mademoiselle Montalva mieszka na pierwszym piętrze.

Szczęście jej jednak dopisało — wejdzie do środka. Konsjerżka mogła przecież wziąć od niej paczki, ale jest zbyt leniwa, by iść sama na górę. Natychmiast wróciła do swej gazety i filiżanki z kawą.

Na pierwsze piętro prowadziły wspaniałe marmurowe schody ze spływającym pośrodku czerwonym chodnikiem. Wyglądał na miękki i gruby, na każdym stopniu przytrzymały go błyszczące mosiężne pręty. Leonia popatrzyła na swoje buty i ruszyła na górę, trzymając się wąskiego skrawka marmuru z boku, by nie ubrudzić nieskazitelnego chodnika. Rozpromieniła się cała na widok wielkich dwuskrzydłowych drzwi. Nareszcie była na miejscu.

Nagle drzwi rozwarły się gwałtownie od środka i ktoś ją potracił. Zatoczyła się, pakunki wyleciały jej z rąk.

— Przepraszam, bardzo przepraszam. — Młody mężczyzna patrzył na nią z uśmiechem. — Nic się pani nie stało?

— Och, nie... tylko paczki.

— No cóż, pozbieramy je — roześmiał się. — Karo! — zawołał. — Przyszła do ciebie śliczna dziewczyna.

Leonia zaczerwieniła się speszona i mężczyzna roześmiał się znowu.

— To prawda — szepnął.

Karolina patrzyła zaskoczona na młodą piękność w znoszonym brązowym paltocie i mokrych butach, zostawiających bure plamy na jej pięknym dywanie. Rozpoznała dziewczynę od Serrat.

— Nie powiesz mi chyba, że w taką pogodę wysłali cię z moim zamówieniem — powiedziała oburzona.

— Madame Serrat mówiła, że pani potrzebuje tego dzisiaj, mademoiselle.

Karo westchnęła tylko nad głupotą pani Serrat.

— Biedne dziecko, zmarzłaś, pewnie przemoczyłaś buty.

— Ojej! Och, bardzo przepraszam, co ja narobiłam! — Leonia patrzyła na ciemne plamy na pięknym dywanie, a na jej twarzy malowała się udręka. — Już wychodzę, mademoiselle, bardzo panią przepraszam.

Błyskawicznie ściągnęła buty i chwyciła je kurczowo. Jeśli madame Serrat dowie się o tym, nigdy więcej mi nie zaufa, myślała przygnębiona. Dlaczego wszystko zawsze musi obracać się przeciwko mnie?! Tak łatwo było czytać w jej twarzy, że Karo wybuchnęła śmiechem.

— Nie martw się o dywan, wyschnie. Poza tym nie wyjdiesz, dopóki się nie wysuszysz. Biedne dziecko! Dostaniesz gorącą czekoladę, a potem rozwinjemy paczki i zobaczymy, czy wszystko jest.

— Czy ja też mogę zostać? — spytał młody mężczyzna przytulnie.

— Nie, Alfonsie, nie możesz. Powiedziała ci już do widzenia. Jesteś Leonia, prawda? — zwróciła się do dziewczyny, która skinęła tylko w odpowiedzi, dumna, że pani zapamiętała jej imię. — Leonia i ja mamy coś do zrobienia. Chodź ze mną, Leonip.

Leonia dreptała za nią, wciskając bosc stopy w miękki dywan. Nie mogła się powstrzymać i ukradkiem dotknęła palcem seledynowej ściany, by przekonać się, że jest naprawdę pokryta jedwabiem. To nieprawdopodobne, myślała z zachwytem. Ściany w jedwabiu! Zajrzała po drodze do głównego salonu, zadziwiona cieniutkimi połączanymi krzeselkami i głębokimi szafirowymi kanapami, potem do drugiego ze wspianiałym hebanowym fortepianem i złotymi pulpitemi pod nuty. Zobaczyła znów filigranowe połączane krzeselka, tylko tu stały ustawione w rzędy. Ze zdumieniem patrzyła na żyrandole. Światła się paliły, choć w pokojach nikogo nie było.

Małą bawialnię wypełniała wyrafinowana woń cieplarnianych hiacyntów. Stojący blisko trzaskającego na kominku ognia szezlong zarzucony był koronkowymi poduszkami. Dla Leonii pokój był cudowny. Zasłony z ciężkiego brzoskwiniowego jedwabiu podwiązane po bokach wielkimi kokardami tworzyły ramy dla widocznego za oknami śniegu, który padał nieprzerwanie, tworząc wysokie zaspę. Tu, w środku, świat był inny — piękny, przyjazny, ciepły i bogaty.

Pokojówka przyniosła gorącą czekoladę i drobne ciasteczka, ustawiła tacę na niskim stoliku przy kominku.

— Siadaj tutaj, Leonio—zaprosiła ją Karo. — Wypij czekoladę na rozgrzewkę. Paczkami zajmiemy się później.

Leonia przysiadła na brzeżku pokrytego koralowym aksamitem krzeselka. Piła czekoladę nie dowierzając, że znajduje się tu i patrzy na mademoiselle Montalva, piszącą przy biurczku list. Musi to wszystko zapamiętać, aby wieczorem, gdy będzie już w łóżku, mogła odtworzyć w myślach wszystkie szczegóły, kolory obić oraz unoszącą się wszędzie słodką woń. Tak musi wyglądać raj.

Karo popatrzyła na twarz dziewczyny w lustrze nad biurkiem. Kolory zaczęły wracać na jej policzki, wysychające powoli włosy unosiły się i wiły wokół twarzy. Była niebywale pociągająca; marnowała się u Serrat.

Leonia skończyła czekoladę i wzięła się do rozpakowania paczek, by pokazać ich zawartość mademoiselle Montalva. Układała delikatnie tuzin kompletów bielizny w kolorach szafirów, ametystów i topazów, z wyszytym na rąbkach maleńkim monogramem KM.

Żaden komplet nie był ozdobiony koronką; Karolina Montalva nie uznawała bielizny z koronkami. Leonia wygładziła fałdy granatowoczarnych jak letnia północ i głęboko seledynowych jak morze w tropikach szlafroczków z aksamitu, po czym ustawiła obok atlasowe, ozdobione puszkami z łabędziego puchu pantofelki na maleńkich obcasikach. Opuściła wzrok na swoje stopy i westchnęła cicho; może też sprawiałyby wrażenie drobnych i delikatnych, gdyby miała takie pantofelki.

Karo odrzuciła niedbale szlafrocзки i wyciągnęła się na szezlongu.

— Jak podoba ci się praca w sklepie pani Serrat? — spytała.

— Och, tam jest wspaniale, mademoiselle Montalva! To najcudowniejsze miejsce w Paryżu. To znaczy, było... — Leonia przerwała i powiodła wzrokiem po pokoju. — Tak sądziłam, dopóki tu nie przyszłam.

— Opowiedz mi coś o sobie — poleciła zaciekawiona Karo. Było już późno i dziś nie spodziewała się więcej gości. Leonia stanowiła miłą odmianę na wieczór.

— Nie mam wiele do opowiadania, proszę pani. Przyjechałam ze wsi, z Normandii, i teraz mieszkam tu i pracuję w salonie.

— A dlaczego opuściłaś Normandię? Dlaczego przyjechałaś do Paryża? I dlaczego pracujesz u Serrat? No, opowiedz mi wszystko, Leonio.

Słodyczą i przymilaniem się wyciągnęła z dziewczyny całą jej historię. Gdy Leonia płacząc opowiadała o śmierci matki i o tym, jak w wieku trzynastu lat została zupełnie sama i musiała iść do pracy w kawiarni, ujęła jej rękę ze współczuciem. Biedne dziecko, myślała. Biedne samotne małe stworzenie.

Słowa toczyły się bezładnym strumieniem, kiedy Leonia zawierzała obcej pięknej kobiecie marzenia o wspaniałej pracy i miejscu, gdzie mogłaby *należać*.

— Co rozumiesz przez *należać*?

— Bo ja tak naprawdę nigdzie nie należę. Zawsze jestem z boku i tylko zaglądam. Każdy w Paryżu gdzieś należy. Rozumie pani, co mam na myśli? W jaki sposób pani to robi, mademoiselle? Co pani robi, by być częścią tego wszystkiego?

Karo przyglądała się Leonii zaskoczona. Słyszała w jej słowach echo własnych młodzieńczych pragnień, gdy z potrzasku,

jakim była sztywna hiszpańska etykieta, obowiązująca w jej domu, pragnęła wyrwać się do świata romantycznych przeżyć, miłości i namiętności. Znów odczuwała to samo co wtedy. Wydawało jej się, że prawdziwe życie toczy się gdzieś indziej. Poczula do Leonii sympatię. Kiedyś, dawno temu, była równie prosta i niewinna. Spojrzała w twarz dziewczyny i westchnęła; tyle w niej było oczekiwania na odpowiedź, jakby Karo władała jakimś magicznym przepisem.

— Ile masz lat, Leonio?

— W przyszłym miesiącu skończę siedemnaście.

— A ja dwadzieścia cztery — nie tak znów wiele więcej niż ty. Nie jestem pewna, czy wiem, jak to się dzieje, że człowiek gdzieś „należy”. Po prostu przychodzi taki dzień, kiedy czujesz, że to się stało i że dorosłaś. Może wtedy, gdy po raz pierwszy jesteś zakochana, może kiedy nagle dostajesz dobrą pracę, a może po prostu pewnej wiosny świat czarodziejskim sposobem zmienia się w miejsce dla ciebie... To przyjdzie, na pewno. Czy masz tu przyjaciół?

— W sklepie pani Serrat moim przyjacielem jest Marok. Jeszcze Loulou, Bella i Jolie u madame Artois, ale są zbyt zajęte w kabarecie, więc widuję je na ogół tylko w niedzielę wieczór.

Można więc powiedzieć, że dziewczyna nie ma nikogo. Jak jej pomóc? Co jej powiedzieć? Karo zapatrzyła się w mrok za oknem. W wirujących płatkach lampy uliczne rozplywały się w blade, drgające plamy, śnieg zalegał zaspami na podwórzu. Nawet kawiarnia na rogu opustoszałej ulicy była zamknięta.

— Obawiam się, Leonio, że w taką pogodę nie możesz wrócić do domu. W głowie Karo zaczęła rodzić się pewna myśl. — To moja wina, nie powinnam była cię zatrzymać. Zostaniesz u mnie na noc. Możesz być moją przyjaciółką i dotrzymać mi towarzystwa. Zjemy razem kolację i ja też opowiem ci swoją historię.—Roześmiała się. — Poza tym tego wymaga uczciwość; przecież ty wszystko mi o sobie opowiedziałaś. Zjemy przy kominku, będzie miło.

Miło! Leonia nie mogła w to uwierzyć. Czy to rzeczywiście dzieje się z nią, Leonią Bahri? Podążyła za pokojówką do różowego pokoju. Różowy pokój! Stojące na podwyższeniu szerokie łóżce pod adamaszkowym baldachimem zasłane było koronkowymi poduszkami. Nacisnęła ręką materac, po czym usiadła podskakując lekko.

Pragnęła zakopać się w poduszki i miękkie pledy, przypominające ciepłym odcieniem letnie róże. Zobaczyła w przeciwległej ścianie drzwi. Podbiegła i otworzyła je. Pośrodku pięknej łazienki wyłożonej mahoniem stała wielka porcelanowa wanna. Leonia patrzyła z zachwytem na szerokie, wygięte nogi wanny i zawile w kształtach błyszczące mosiężne kurki. Po raz pierwszy w życiu widziała prawdziwą wannę. Zawsze kąpała się w małych, zimnych cynkowych baliach, które napełniało się wodą grzaną na kuchni. W takiej balii można tylko przysiąść z nogami podkurczonymi pod brodą i trzeba myć się szybko, by woda nie wystygła. Ta wanna natomiast była ogromna, można się było w niej swobodnie położyć. Niepewnie dotknęła chłodnej białej porcelany i przeciągnęła palcami po kurkach.

— Przygotuję dla panieki kąpiel — powiedziała pokojówka, wchodząc żwawo do łazienki.

— Och nie, sama to zrobię — zaprotestowała Leonia, odkręcając lśniące złoto kurki. Nie była tu przecież gościem, tylko zawieja zatrzymała ją w tym domu.

— Mademoiselle przysłała to pani do włożenia.

Pokojówka położyła aksamitny brązowy szlafrok na krześle i, rzuciwszy niedowierzające spojrzenie na stopy Leonii, ustawiła obok pantofle.

— Czy coś jeszcze podać?

Leonia spojrzała na nią zdziwiona. Coś jeszcze? r

— Nie, nie, dziękuję.

Zaczęła się rozbierać. Odłożyła na bok szorstką wełnianą koszulę i majtki i stanęła nago w ciepłym, zaparowanym pokoju. Przejrzała się w lustrzanej ścianie naprzeciwko; sama miała tylko małe kwadratowe lustro. Po raz pierwszy widziała siebie nagą w wielkim zwierciadle. Patrzyła na swe odbicie ze zdumieniem, muskając dłońmi wysokie, kragłe piersi, przesunęła ręce wzdłuż głębokiego wcięcia talii, po pochyłości długich ud i dotknęła palcami jasnej, kędzierzawej kępki. Zadrżała i odwróciła się. Wzrok jej przyciągnęły pucharki z niebieskozielonymi kulkami. Powąchała je i rzuciła na próbę garść do wody. Po łazience rozszedł się wspaniały aromat. Nasmarowała wielką, ciepłą gąbkę perfumowanym mydłem, aż zaczęła się pienić. Położyła się wygodnie w wannie. Gorąca woda uspokajała ją, wydobywający się z kulek olejek pieścił skórę. Zaczęła

masować powoli piersi; przyciskała je delikatnie kolistym ruchem, aż zaróżowione sutki obrzmiały i stały się twarde. Pełna nowego dla siebie podekscytowania wstała. Patrząc na swe obce w zaparowanym lustrze ciało zaczęła się namydlać. Cała rozdygotana odrzuciła głowę do tyłu. Z nagłym dzikim okrzykiem rzuciła się z powrotem do wody. Śmiejąc się głośno, przewracała się w wannie bez końca niczym delfin.

Karo podała Leonii wysoki kieliszek i patrzyła, jak dziewczyna pije swój pierwszy łyk szampana. Policzki Leonii zarumieniły się po kąpieli. Brązowy szlafrok dodawał ciepła jej brzoskwińowej cerze. Piła i palce wyglądających spod szlafrocka bosych stóp zagłębiała w miękkim dywan; widać było, że dobrze się czuje.

— To cudowne — rzekła. — Cały ten dzień jest cudowny, mademoiselle. — Rozluźniona, z w półprzymkniętymi oczami, oparła głowę o poduszki.

Karo przyglądała się jej zdumiona. Jakżeż ta dziewczyna się zmieniła! To już nie zmarznięte dziecko, które weszło do jej domu kilka godzin temu. Znikły wszystkie oznaki ubóstwa. Ze swymi złotymi włosami schnącymi przed kominkiem była po prostu taką dziewczyną jak Karo.

— Mów do mnie Karo — odezwała się mademoiselle Montalva — wszyscy tak mówią.

Przed kominkiem stał mały stolik, a opuszczone story odgradzały je od zamieci i cichej ulicy. Karo patrzyła na jedzącą Leonie. Sprawiał jej przyjemność widok kogoś, kto tak rozkoszuje się jedzeniem. Później usadowiły się na kanapie przed kominkiem i Karo obierała brzoskwinie, specjalnie dla niej wyhodowane w ogromnych oranżeriach wiejskiej posiadłości Alfonsa. Maczały kawałki owocu w szampanie i oblizywały z chichotem. Odizolowane od świata przez zamieć, schwyte niczym w potrzask, skazane tylko na swoje towarzystwo, poczuły rodzącą się między nimi bliskość.

— Jak panienki na pensji — śmiała się Karo.

— Proszę cię, opowiadaj — poprosiła Leonia. Siedziała na kanapie, nogę założyła na nogę, w rękę trzymała kieliszek. Otulona wspaniałym szlafrockiem, czuła się radosna i lekka; wszystkie jej zmysły były pobudzone, a ciało płynęło w morzu pianistego szampana.

— Co mam ci opowiedzieć?

— Swoją historię... Karo — dodała Leonia, pochlebilo jej, że ma prawo zwracać się do tej pani po imieniu.

— Ach tak, moją historię. — Piękna twarz Karo posmutniała nagle. — To było jak w bajce... Do czasu. Mój dom rodzinny znajduje się w Hiszpanii. Myślę, że jeśli być kochaną znaczy być rozpieszczoną, to ja właśnie byłam rozpieszczonym dzieckiem. Miałam przystojnego ojca i młodą, piękną matkę. Pamiętam, jak każdego ranka wyczekiwałam — a wydawało się to trwać bez końca — aż mama się obudzi i będzie mi wolno wejść do jej pokoju. Leżała we wspianiałym starym łóżu, drobna, ciemnowłosa, zawsze w czymś jasnym, ozdobionym koronkami, i zawsze wyciągała do mnie ręce ze śmiechem, a ja biegłam i wpadałam jej w ramiona. Tata słyszał nas i wsuwał głowę przez drzwi swojej garderoby. On także się śmiał, patrzył, jak pokrywam twarz mamy pocałunkami. Potem przychodziła kolej na niego. Brał mnie na ręce i czasami ścierałam z jego twarzy pozostałą z mydła pianę, czasami zaś razem trzymaliśmy długą brzytwę i pozwalał mi „pomagać” sobie przy goleniu. Potem muskał mnie delikatnie za uszami zwilżonymi jego wodą kolońską palcami. Siadaliśmy oboje na łóżku mamy i podjadaliśmy jej śniadanie. Pamiętam, jak wtykałam ukradkiem palec w mały talerzyk ze wspianiałą brzoskwinia, trzymałam przez chwilę, po czym dawałam tacie do oblizania. Byli oboje tacy młodzi, piękni i tacy w sobie zakochani. Teraz wiem, jak egoistyczni mogą być kochankowie i myślę, że byłam szczęśliwa, iż rodzice pozwalali mi dzielić ich miłość.

Jako starszy syn, mój ojciec był dziedzicem tytułu i majątku; do niego należał zamek, domy w mieście, posiadłości na wsi. Mama była równie bogata. Prawdziwi wybrańcy bogów. Pewnego dnia jednak los się od nich odwrócił. Wyjechali do wiejskiego domu swych przyjaciół. Był listopad, mglisto, drogi śliskie. Zdarzył się wypadek...

W twarzy Karo odbijał się cały ból sprzed dwudziestu lat i Leonia odwróciła wzrok, nie chcąc być niedelikatna.

— Nikt mi nie powiedział, że stało się najgorsze — wyszeptala Karo. — Myślę, że chciano oszczędzić mi bólu. Służący, którzy byli moimi przyjaciółmi, krążyli po domu z zaczerwienionymi oczami i na mój widok nie mogli powstrzymać się od łez. Mówili szeptem, story były opuszczone, lustra przesłonięte czernią. Nie

mogłam tego zrozumieć. Potem nagle dom zapełnił się krewnymi, prawnikami, księżmi... Wszyscy byli ubrani na czarno. Brat mojego ojca, który odziedziczył teraz tytuł, wythumaczył mi, co się stało. Zabrano mnie do kaplicy, bym ich zobaczyła. Leżeli w trumnach wybitych białą satyną. Wyglądali tak samo pięknie jak zawsze, ale nie wyciągnęli do mnie rąk. Miałam pięć lat, a oni odeszli ode mnie na zawsze. Odeszła też miłość i wszystko, co nas łączyło. Ja, która stanowiłam dla nich centrum świata, miałam teraz zamieszkać z wujem i ciotką oraz ich jedenastoletnim synem.

Karo wypila łyk szampana i westchnęła głęboko.

— Nie byłoby tak źle, gdyby nie ciotka. Oczywiście, teraz doskonale rozumiem, że ona i moja matka nie mogły być przyjaciółkami. Ciotka Macarene to prosta kobieta, której udało się wyjść za mąż za drugiego syna dobrej rodziny. Była surowa i apodyktyczna, wuj zaś był uczonym, zagubionym w świecie starych manuskryptów, greckich i łacińskich tekstów. Ciotka Macarene ułożyła swoje życie, teraz wzięła się do ustawiania mojego. Jedwabie i muśliny zastąpiły teraz sukienki z niebieskiej serży z białym fartuszkami. Nosila ciężkie, twarde trzewiki. Znikły kolorowe wstążki, wplatane w moje loki kochającymi rękami matki. Włosy szeszywano mi do tyłu tak mocno, że czułam, jak ciągną mnie w każdym splocie warkocza. Posiłki jadalam w pokoju szkolnym, wieczorem zaś zostawiano mnie samą w pokoju dzieciennym, bym nie przeszkadzała wujowi. Przynajmniej tak mówiła ciotka. Myśle, że musiałam stale płakać; po każdej nocy moja poduszka była mokra.

Karo spojrzala w oczy Leonii ze zrozumieniem.

— Byłam równie samotna jak ty. Starszy kuzyn chodził do szkoły i nie interesowała go moja niedola. Wuj odziedziczył wprawdzie wszystkie posiadłości, ale domy były pięknie utrzymane dzięki posagowi mojej matki, za jej pieniądze kupowano przedmioty zbytku, ona płaciła służbie i to ja byłam prawdziwą dziedziczką całego majątku. Sądze, że ciotka patrzyła na to z chciwością, pragnąc zagarnąć dla swego syna. Posiadłości i tytuły były niczym bez pieniędzy. Stopniowo udało jej się pozbawić mnie wszystkiego, do czego byłam przyzwyczajona i co tak kochałam; nie było już małych piesków matki, sprzedany został mój kucyk. Długie, nużące lekcje nie pobudzały wyobraźni czy ciekawości. Nie było sensu zwracać się do wuja;

wychodził często, by prowadzić wykłady o swych ukochanych klasycznych bohaterach, poza tym nie rozumiałby, o co mi chodzi. „Twoja ciocia troszczy się o wszystko” — to była jedyna odpowiedź, jaką od niego uzyskiwałam. Musiałam czekać do szesnastego roku życia, by wstrząśnięty wuj zdobył się na działanie. Szłam właśnie przez hall, gdy wyszedł ze swego gabinetu i pogrążony w myślach o francuskim tłumaczeniu odezwał się do mnie po francusku. Poraził go fakt, że nie potrafię odpowiedzieć. Natychmiast zatrudnił dla mnie francuskiego nauczyciela.

Karo nachyliła się do Leonii z uśmiechem.

— Rzadko miałam możliwość spotykania młodych chłopców, był tylko ten przystojny dwudziestodwuletni Francuz o niebezpiecznych oczach. — Roześmiała się, rozbawiona wspomnieniem. — Pierwszy raz całowałam mężczyznę, gdy wkroczyła moja ciotka.

Leonia wciągnęła gwałtownie powietrze, przeżywając wraz z Karo udrękę tamtej chwili.

— To był koniec dla nas obojga. Francuz odszedł, a ciotka zażądała, by mnie również wypędzono. I nie tylko z Barcelony, ale z Hiszpanii. Moim przeznaczeniem miał być klasztor w Paryżu. Spędziłam w jego szarych murach kilka miesięcy i uciekłam, co nie było trudne, gdyż nikt się nie spodziewał ucieczek dziewcząt. Znalazłam się w Paryżu sama, ubrana tylko w klasztorną szarą suknię. Udałam się do paryskiej filii banku mojej matki w przekonaniu, że mam tam pieniądze. Jednak przez te lata ciotce udało się przelać wszystkie środki do ich własnego banku w Hiszpanii. Była sprytna. Jako wykonawcy testamentu wujostwo stwierdzili, że pieniądze zostały wydane na spłacenie olbrzymich długów, które narosły w związku z ekstrawaganckim stylem życia moich rodziców, a także na moją edukację. Niewiele dla mnie zostało. Ale bankierem był Alfons.

— Zakochałaś się — westchnęła Leonia. Słuchała opowieści jak urzeczona.

— Nie minął rok, a wróciłam do pełnego radości świata, który został mi odebrany. Znowu miałam piękne stroje i swobodne uczesanie. Słuchałam koncertów, czytałam książki, chodziłam do teatru i tak jest do dzisiaj. Piję szampana i jestem kochana, Leonio. Alfons mnie kocha.

— A czy ty jesteś w nim zakochana?

Leonia pragnęła doskonałego zakończenia bajkowej historii, z Karo w roli promiennej panny młodej, wspartej na ramieniu przystojnego pana młodego; szczęśliwego zakończenia.

— Może... — uśmiechnęła się Karo. — Od siedmiu lat jesteście kochankami i co kilka dni prosi mnie, bym za niego wyszła. Za każdym razem odpowiadam „nie”, a on stale ponawia tę prośbę.

— Ale dlaczego? Dlaczego nie chcesz za niego wyjść?

— Bo jest mi dobrze tak jak jest — roześmiała się Karo. — Nie chcę zmieniać swojej sytuacji przez zamażpójście. Podoba mi się bycie niekonwencjonalną Montalva i może to właśnie tak pociąga Alfonsa. Czy nie byłoby głupotą z mojej strony, gdybym to zepsuła?

— Jaka ty jesteś mądra, Karo! — Leonia nie mogła wyjść z podziwu. — Skąd to wszystko wiesz?

Karo wzruszyła ramionami.

— Kiedy jesteś z kimś związana, szybko się uczysz, co twój mężczyzna lubi i czego pragnie. A Alfons bardzo się o mnie troszczy. Jego rodzina to bankierzy od prawie dwustu lat, i jest bardzo bogaty. Kupił to mieszkanie, zapewnił mi też stały dochód i inwestuje w moim imieniu. Jeśli jesteś w takiej sytuacji jak ja, musisz mieć odpowiednie zabezpieczenie; nie ma miejsca na finansową niepewność. Nie jestem żoną, a mężczyznę łatwo pociąga nowa ładna twarz. Znam wiele porzuconych kobiet. Zostawione bez niczego, znalazły się z powrotem w punkcie, od którego zaczynały.

— Ale ciebie nigdy nie porzuci! — wykrzyknęła Leonia.

Karo jest taka piękna, że żaden mężczyzna nie mógłby się jej oprzeć, pomyślała. Wszyscy ją uwielbiają.

Ogień palił się spokojnym płomieniem. Karo spojrzała na złożony zegar na gzymsie kominka.

— Zobaczmy, czy się uspokoilo — powiedziała, pociągając Leonię za rękę.

Patrzyły przez zimne szyby na iskrzącą się białą okrywą śniegu, która przemieniła drzewa na podwórzu w alabastrowe kolumny z dziwnymi palcami gałęzi. Cały Paryż był cichy, zastygły w bezruchu, tylko migotało światło ulicznych lamp. Rozwarły okno na oścież i ziębnącymi dłońmi zgarniały śnieg z parapetu. Gruba pokrywa śniegu tłumiała ich śmiech.

— To zaczarowana noc — wykrzyknęła Leonia, upojona szampanem i mroźnym powietrzem. — Bogowie zmienili dziś świat, a teraz przemieniają mnie. Nigdy już nie będę taka jak dotychczas!

Karo nachyliła się i pocałowała ją.

— I ty również masz magiczną moc, Leonio Bahri. Pewnego dnia ty również będziesz „należeć”. Wiem o tym.

Leonia leżała na szerokim łóżu owinięta gładkim prześcieradłem i miękkim wełnianym pledem. Wspominała i upiększała szczegółami opowiadanie Karo. Czy jej mogłoby się coś podobnego przydarzyć? Gdzie spotkać człowieka, który zakocha się w niej bez pamięci? Na pewno nie w sklepie pani Serrat i nie podczas samotnych spacerów po Lasku Bulońskim, z pewnością też nie u madame Artois! Tuląc do siebie poduszkę, marzyła o kimś, kto ją weźmie w ramiona. Marzyła o mężczyźnie, który powie: „Kocham cię, Leonio”.

Pokojówka podała jej śniadanie do łóżka. Na pięknej białej tacy stały dzbanki, miód i ciepłe bułeczki, świeżo wyjęte z pieca. Zgłodniała dziewczyna zanurzyła bułkę w filiżance z kawą.

Szybko jednak musiała otrzeźwieć i spojrzeć w twarz rzeczywistości. Wskoczyła z łóżka zdecydowanie i zaczęła wkładać swą wełnianą bieliznę. Przyglądała się swemu odbiciu w lustrze, gdy wkładała sukienkę i wsuwała stopy w czarne pantofle, które jeszcze kilka miesięcy temu uważała za bardzo eleganckie. Znowu wyglądała zwyczajnie. Ten wieczór to tylko sen, myślała ze smutkiem. Słodki, cudowny sen o przyjaźni i radości; kolejne przelotne muśnięcie świata, do którego — jak zawsze — nie należy.

Po raz ostatej spojrzała w lustro i wyszła, rozglądając się za pokojówką.

— Mademoiselle już się obudziła — usłyszała — i prosi do siebie, zanim pani wyjdzie.

Karo leżała w wielkim łóżu, wspartym na czterech kolumnach. Zasłony były częściowo opuszczone.

— Leonio, chodź tutaj! — zawołała, poklepując dłonią miejsce obok siebie. — Mam nadzieję, że dobrze spałeś?

— O tak... Chociaż nie chciałam spać. Bałam się, że zapomnę jakąś chwilę wczorajszego wieczoru.

Karo zaśmiała się.

— Jesteśmy teraz przyjaciółkami i nie mam zamiaru cię stracić. Wydaję w czwartek przyjęcie, może byś przyszła? Przyjdź, Leonio, będzie wesoło.

— Przyjęcie — powtórzyła niepewnie dziewczyna.

— Musisz przyjść, nie przyjmuję do wiadomości odmowy. Więc w czwartek, o dziewiątej.

Leonia nie posiadała się ze szczęścia. Nie musi jeszcze opuszczać tego świata!

— Och, dziękuję! Oczywiście, że przyjdę. — Pocałowała Karo w policzek.

Dozorcy czyścili chodniki, gdy Leonia szła z trudem, ślizgając się na zamarzniętych kałużach, obryzgiwana błotem przez dorożki. Nie dostrzegała tego; wciąż unosiła się w morzu pianistego szampa.

Czwartek... To już pojutrze. O Boże! Stała jak wryta, skamieniała w okropnej świadomości. W co się ubierze?!

4.

N

ie ma czasu, żeby coś zrobić — stwierdziła Loulou. — Bella, ty jesteś najbardziej podobna do niej z figury, może masz coś, co by się nadawało?

Przetrząsnęły wszystko w szafie Belli. Kazały Leonii zmierzyć czerwoną aksamitną, doszły jednak do wniosku, że nadaje jej cerze ziemisty wygląd; w czarnej koronkowej wyglądała z kolei zbyt poważnie. Nie było nic odpowiedniego. Leonia zdecydowała, że nie może pójść. Przecież nie ma odpowiedniej sukni!

— Poczekaj — odezwała się Loulou. — Myślę, że znalazłam rozwiązanie. Wkładaj palto, jedziemy do teatru.

W każdej innej chwili znalezienie się po raz pierwszy za kulisami kabaretu byłoby dla Leonii ekscytujące, ale teraz cała była pochłonięta problemem, gdzie znaleźć strój odpowiedni na przyjęcie. Zatrzymała się na moment, by spojrzeć na scenę, wdychając woń kurzu i farby z ozdobnej kurtyny, po czym ruszyła za Lolou i Bella. Obskurnym korytarzykiem przecisnęły się do długiego pomieszczenia zastawionego pełnymi kostiumów stojakami. Lolou przerzucała szybko suknie.

— Gloriette nosiła ją w scenie przyjęcia kilka miesięcy temu — zwróciła się do Belli przytłumionym głosem, gdy przepychała wiszące ciasno na wieszakach ubrania. — Tę złotą.

— Myślisz o tej? — Bella uniosła krótką, mieniącą się sukienkę ze złotej satyny.

— Zmierz — poleciła Loulou Leonii. — Na pewno będzie dobra.

Leonia rozpięła pośpiesznie suknię i wcisnęła się w złoty kostium. Sukienka była trochę za skąpa na piersi i wełniana koszula Leonii wybrzuszyła się nieładnie nad dekoltem, ale w talii przylegała ciasno, a w dole wirowała kaskadą brokatowej falbany. Długie rękawy ujęte były w brokatowe mankiety i niskie wycięcie przy szyi przechodziło w wysoki usztywniony kołnierzyk z brokatu, osłaniający kark i kończący się przy uszach.

— Jak zwykle za krótka — powiedziała Bella zirytowana.

Leonia opuściła wzrok na spódnicę, opływającą jej łydki.

— Och, Loulou — jęknęła zrozpaczona — co mam zrobić?

Loulou popatrzyła uważnie na sukienkę. Nie było sposobu, by doszyć na dole pas materiału tak, aby wyglądało to dobrze. Została tylko jedna możliwość.

— Jeśli nie można czegoś poprawić, trzeba zrobić z tego atut — oznajmiła stanowczo. — Potrzebne ci są jeszcze jedwabne pończochy, no i eleganckie pantofle. Podkreślisz, że sukienka specjalnie jest taka krótka.

Leonia patrzyła na nią niepewnie. Czy Loulou się nie myli? Pamiętała cenę jedwabnych pończoch w sklepie pani Serrat, a już o pantoflach nie miała co marzyć. Loulou odgadła jej myśli.

— Idziemy do Hektora — rzuciła. — Robi pantofle do wszystkich przedstawień i u niego będą tańsze niż w zwykłych sklepach.

Bella trzymała sukienkę pod paltem, gdy przemykały z chichotem obok drzwi konsjerżki, a później szły ulicą szewców do Hektora. W małym, ponurym, pachnącym skórą i szelakiem sklepiku prysły ostatnie nadzieje Leonii. Jak mogłaby tu znaleźć coś odpowiedniego?

— Czym mogę wam służyć, moje panie? Loulou i Bella były tu stałymi klientkami jak wszystkie dziewczęta z kabaretu.

— Nasza przyjaciółka potrzebuje pantofli. Złotych. I żeby nie były zbyt drogie — wygłosiła Bella twardo.

— Niezbyt drogie, co? — Spojrzał na dziewczęta z błyskiem w oku. Zawsze mówiły to samo. W jaki sposób ma ich zdaniem zarobić? Ale są takie urocze... Spojrzał na stopy Leonii, mierząc je doświadczonego okiem.

— Hm, niezbyt małe — stwierdził. — Nie mam wielkiego wyboru złotych... Właściwie mam tylko te — powiedział, stawiając

na kontuarze parę bucików. Wysokie, błyszczące i miękkie zachodziły wysoko na kostki, a ozdobne sznurowania z tyłu wykończone były złotymi, dyndającymi chwaścikami. Nie miały zbyt wysokich obcasów, ale one także rzucały się w oczy.

— Zmierz — poleciła Bella.

Leonia wsunęła delikatne buciki na ciężkie wełniane pończochy i zawiązała sznurowadła. Wstała i przeszła kilka kroków; na obcasach czuła się jak cyrkowy kucyk, tańczący po arenie na zadnich nogach.

— Doskonale — orzekła Loulou. — Z ładnymi pończochami będą wyglądać cudownie. Weźmiemy je, oczywiście jeśli cena jest odpowiednia.

Czwartek dłużył się w nieskończoność i Leonia liczyła godziny do szóstej, gdy mogła wreszcie wyjść. Wtajemniczony w całą awanturę Marok odprowadzał ją zatroskanym spojrzeniem, gdy przechodziła przez salon. Jest taka młoda, niedoświadczona... Miał tylko nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Wyszła punktualnie o szóstej. Z nowymi jedwabnymi pończochami w ręku biegła do domu, gdzie czekały na nią dziewczęta. Siedziała cierpliwie, a one ciągnęły i szarpały ją za włosy, aż ułożyły złote pukle na wzór fryzury kobiet z renesansowych obrazów. Jolie nałożyła jej na powieki odrobinę brązu i brzoskwiniove smugi na kości policzkowe, złotym pudrem nadała leciutki połysk dekolтови. Nie pozwoliły jej nałożyć koszuli, więc podciągała nerwowo sukienkę na obnażonych piersiach, gdy z tyłu Bella zapinała rząd guziczków. Wreszcie Leonia mogła włożyć nowe pończochy. Wciągała je i wygładzała, przestraszona ich delikatnością i nękana wyrzutami sumienia, że wydała tyle pieniędzy. Prawdziwe, eleganckie podwiązki pożyczyla od Loulou. Zasznurowała buciki, wiążąc je na zgrabne kokardki z podskakującymi z tyłu chwaścikami, po czym przeszła się sztywno po pokoju, by dziewczęta mogły ją obejrzeć.

— Ależ nie tak! — wykrzyknęła doprowadzona do rozpacz y Loulou. — Musisz się wyprostować; ramiona do tyłu, a piers do przodu! Nie możesz chować piersi pod ściągniętymi ramionami. Zobacz, jak ta sukienka wygląda! Do licha, dziewczyno, masz

figurę stworzoną do tego fasonu. Nie wstydz się, zadrzyj dumnie nosa — o, tak!

Z wysoko uniesioną głową i wysuniętym prowokacyjnie podbródkiem, Loulou ruszyła dumnym krokiem przez pokój, kołysząc się lekko na wysokich obcasach. Leonia wyprostowała się, próbując ją naśladować. Stała się wyższa, a jej ramiona zaczęły poruszać się swobodnie. Loulou ma rację — to nie jest sukienka do skromnej postawy, tu potrzebna jest pewność siebie. Tylko czy się na nią zdobędzie?

Niewiele brakowało, a Rupert von Hollensmark nie poszedłby na przyjęcie do Karo. Miał okropny dzień. Gdy o ósmej wieczorem wrócił z Monachium, panowało przejmujące zimno i śnieg wisiał w powietrzu. Zmęczony i głodny chciał tylko wypić szklaneczkę whisky i coś zjeść. Te długie podróże do narzeczonej były ciężkim obowiązkiem, chociaż lubił Puschi. Nie kochał jej, ale dziewczyna była miła i zabawna. Skoro musi się ożenić, dlaczego nie z Puschi. Jej ojciec był dziedzicem milionów Krummerów, jego ojciec zaś posiadał tytuł, no a Puschi była do szaleństwa zakochana. Będzie się o nią troszczył po ślubie — są przecież bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Z westchnieniem ulgi zrzucił ubranie i wszedł do wanny. Splukując zmęczenie strumieniem gorącej wody, sącył whisky. Od razu poczuł się lepiej. Może jednak pójdzie. Na przyjęciach u Karo zawsze jest wesoło.

Gdy Rupert płacił dorożkarzowi, dziedziniec pełen był już ludzi i powozów. Niecierpliwym gestem ręki odrzucił do tyłu blond włosy, potargane przez wiatr. Straszne zimno. Skulony przeszedł przez dziedziniec. Znalazł się przed domem w ostatniej chwili, by zobaczyć znikającą na schodach najbardziej zadziwiającą dziewczynę, jaką można sobie wyobrazić. Przez chwilę widział jeszcze obciążone czerwonym jedwabiem długie nogi i dziwaczne złote buciki. Bez wahania podążył za tymi nogami, musiał się dowiedzieć, kim jest ta dziewczyna.

— Rupert!

— Niech to diabli! — jęknął, gdy piękna dziewczyna w błękitnej sukni wpadła na niego przy drzwiach. Fascynująca nieznajoma znikła.

Gilles de Courmont wiedział, że niepotrzebnie tu przyszedł. Przyjęcia zawsze są takie same — te same twarze, te same rozmowy i te same kobiety. Wsparty o framugę okna, obserwował ponuro widok na zewnątrz, zastanawiając się, czy nie szkoda czasu na to przyjęcie. Może przeprosić po prostu Karo i wyjść? Ma do przejrzenia projekty nowych silników samochodowych...

Nagle dostrzegł niebywale zjawisko. Ubrana w dziwaczną sukienkę dziewczyna wkraczała do środka na niebywale długich nogach. Zatrzymała się przy wejściu, rozglądając się nerwowo. Najwyraźniej nie czuła się tu dobrze. Zawróci i wyjdzie, czy nie? Była jakaś inna. Nie całkiem piękność, ale niewątpliwie miała coś w sobie. Coś wręcz porywającego, i to coś pchało go do niej.

Leonia chciała odwrócić się i uciec. Diabli nadali tego mężczyźnę, który patrzy na nią. Skuliła się w kącie, szukając rozpaczliwie Karo. Nie powinna była przychodzić. Tak tu głośno, tyle muzyki, rozmów i śmiechu. Ponownie rzuciła spojrzenie na mężczyźnę przy oknie. Wciąż patrzył na nią z nieuchwytnym uśmiechem. Wie, że jestem tu obca, pomyślała żałośnie. „Nie wstydz się, zadrzyj dumnie nosa”, usłyszała odbijające się echem w głowie słowa Loulou. Nie, nie może przegrać, to jest jej wielka szansa. Wyprostowała plecy, rozluźniła ramiona i wysuwając wyzywająco brodę ruszyła do środka na obciągniętych czerwonym jedwabiem długich nogach, w stających dęba jak kopytka cyrkowego kucyka bucikach.

— Leonia! — wykrzyknęła Karo, osłupiała na widok fryzury, błyszczącej krótkiej sukienki, czerwonych pończoch i złotych buków dziewczyny. Najbardziej zadziwiające było to, że gdy ochłonęło się z pierwszego wrażenia, trzeba było przyznać, że Leonia wygląda cudownie. Mieniające się złotem stworzenie z innego świata. Ucałowała ją serdecznie.

— Moi drodzy, to jest Leonia — powiedziała, odwracając się do zafascynowanych gości, przyglądających się im w całkowitej ciszy.

Leonia, prawdziwy ośrodek ich milczącej uwagi, opuściła w zdenerwowaniu głowę, po czym, przypominając sobie znów napomnienia Loulou, wyprostowała się i podniosła hardo wzrok.

— Pamiętam panią, oczywiście—powiedział Alfons. — Takich twarzy nie zapomina się łatwo.

Leonia miała nadzieję, że to komplement. Nie czuła się tu pewnie w swojej sukience; żadna z kobiet nie miała sukni ani tak krótkiej, ani tak błyszczącej.

— Czy mogę pani zaproponować szampana, Leonio? — spytał gorliwie młody ciemnowłosy mężczyzna.

Wypiła trochę, zaczęła się powoli uspokajać. Kto wie, może nawet uda jej się zabawić na tym przyjęciu. Znów rozglądała się wokół i ponownie uchwyciła spojrzenie mężczyzny spod okna. Czym prędzej odwróciła głowę, by po chwili zerknąć na niego spod rzęs. Stał przy oknie, pijąc szampana. Nikt z nim nie rozmawiał. Był równie samotny jak ona, ale otoczony swoją ciszą wśród rozmów i śmiechów, wyglądał złowieszczo. Pomyślała, że jest w osobliwy sposób pociągający i poczuła jednocześnie niepokój.

— Leonio — usłyszała głos Karo. — Chciałabym, abys poznała Ruperta von Hollensmarka. Mamy szczęście, że przyszedł tu dzisiaj; właśnie powrócił z Monachium.

Leonia podniosła wzrok i zobaczyła głęboki błękit oczu stojącego przed nią mężczyzny. Miała wrażenie, że gwiazdy spadły na nią z nieba. Gdy zgiął się nad jej ręką, zadrżała. Dla niej był to wstrząs. Wstrzymała oddech, targana nowymi dla niej doznaniem. Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

— Widziałem już panią — powiedział. — Przyjechaliśmy prawie w tej samej chwili. Chciałem z panią porozmawiać, ale na takich przyjęciach trudno przecisnąć się przez tłum.

Zaprzagnęła, żeby mówił dalej, by ona mogła tylko słuchać. Głos miał głęboki, włosy opadały mu na czoło tak cudownie, że miała chęć ich dotknąć. Uświadomiła sobie nagle, iż on czeka na jakąś odpowiedź, ale nie mogła wydusić z siebie ani jednego słowa, patrzyła więc nadal rozszerzonymi ze zmieszania oczami. To jest mężczyzna moich marzeń, myślała spłoszona, a ja nie wiem, co mam mu powiedzieć.

Rupert ujął jej ramię.

— Kolację podają w sąsiednim pokoju — rzekł, chcąc pomóc jej wybrnąć z sytuacji. Zapewne jest pani głodna, tak jak ja.

Były to najbardziej romantyczne słowa, jakie Leonia kiedykolwiek słyszała.

— Och, Alfonsie! — jęknęła Karo, obserwując wychodzącą z salonu parę. — Co ja zrobiłam!

Stół ugiął się od wyszukanych potraw. Z lodowego rogu obfitości zielone i szkarłatne glazurowane winogrona wysypywały się na wielką srebrną tacę, na której piętrzyły się truskawki z długimi szypułkami, udekorowane świeżo rozkwitłymi pąkami róż. Srebrne misy pełne były fig i brzoskwiń z wiejskich cieplarni Alfonsa, a małeńkie, nadziewane truflami pieczone przepiórki przysiadły na krążkach pachnących bazylią grzanek. Lokaje roznosili kieliszki napełnione wystawym *Cios Lafite*. Zapachy mieszały się kusząco. Wyszukane kandyzowane owoce, ciastka i paszteciki, śmietankowe delicje i aromatyczne przysmaki, małeńkie czekoladowe cuda — wszystko tak zestawiono, aby drażniło zmysły i goście Karo oblegali stół, chcąc wszystkiego skosztować.

Leonia nie mogła jeść, wreszcie Rupert spróbował namówić ją na trufle.

— Co mam zrobić?! — wykrzyknął zrozpaczony. — Nie odzywa się pani do mnie, nie chce nic jeść... Czy jest pani boginią, której niepotrzebne są jedzenie ani rozmowa?

— Muszę się przyznać, że się boję — wyszeptwała dziewczyna.

— Boi się pani? Czego?

— Tego. — Zatoczyła ramieniem koło, wskazując pełen ludzi pokój. — Wszyscy tu się znają, wszyscy należą do tego świata.

— Pani również należy do tego świata. — Rupert ujął jej dłoń władczo. — A poza tym jest pani ze mną. — Podał jej kasek na widelcu. — Proszę jeść, bo obawiam się, że pani zniknie. O ile wiem, jest pani tak samo śmiertelna jak my wszyscy tutaj.

Cudowna dziewczyna, taka niewinna. Jest niczym małe zwierzątko, w każdym geście, w każdym ruchu ma niepowtarzalny wdzięk i urok. Jak mógł żyć, nie znając jej? Urzekwały go jej oczy, fascynowała czerwień warg, gdy otwierała usta, by wziąć podawane przez niego truskawki. Drżały mu ręce, pragnął jej dotknąć. Czyżby zakochał się w tej dziewczynie, która niemal nie odzywa się do niego, w dziewczynie, którą dopiero co poznał? Tak — zakochał się!

Zatroskana Karo obserwowała ich z drugiego końca pokoju. Znała rodzinne zobowiązania Ruperta, a jednocześnie jak ostatnia idiotka przedstawiła go Leonii. Patrzyła teraz na nich — siedzieli przy maleńkim stoliku tak blisko, że stykali się kolanami, głowy pochylali ku sobie — i z daleka wyczuwała rozdręganą atmosferę tamtego miejsca. Leonie tak łatwo skrzywdzić, jest taka młoda i zupełnie bezbronna; Rupert nie jest odpowiednim dla niej człowiekiem. Karo uznała, że musi coś z tym zrobić.

— Rupercie — usłyszeli nieoczekiwanie nad sobą głos Alfonsa. — Karo chciałaby cię z kimś poznać.

Rupert wstał niechętnie — nie mógł odmówić, bo zrobiłby afront gospodyni.

— Oczywiście. — Skinął głową i spojrzał Leonii w oczy. — Czy zobaczę panią jeszcze?

— Och tak, bardzo bym chciała — odparła.

Alfons ujął ją pod ramię.

— Proszę pozwolić, że przedstawię panią kilku osobom, Leonio. Rupert zagarnął panią tylko dla siebie.

— Od dawna na żadnym przyjęciu tak dobrze się nie bawiłem — rzekł Gilles de Courmont do Karo, całując jej dłoń na pożegnanie. Odszedł do Alfonsa, a Karo patrzyła za nim z niedowierzaniem. Zdecydowanie nie wyglądał na człowieka, który się dobrze bawi.

— Gilles...

Alfons był zaskoczony. De Courmont nigdy nie uważał za stosowne prosić, by go komuś przedstawiono.

— To mademoiselle Leonia Bahri — dokończył prezentacji.

Leonia spłonęła rumieńcem pod przeszywającym spojrzeniem mężczyzny. Ujął jej dłoń i przebiegła między nimi iskra. Oszalałające odczucie na moment zaparło jej dech.

— Pragnę podziękować państwu za gościnność, ale niestety muszę już iść. Wczesnym rankiem wyjeżdżam do Londynu. Bardzo się cieszę, że panią poznałem, Leonio — skłonił się przed dziewczyną. Ich oczy spotkały się ponownie; Leonia oblizła wargi nerwowo.

— Czy on umie się uśmiechać? — szepnęła do Alfonsa, gdy hrabia odszedł.

— Tak, kiedy dobija przeciwnika — oparł Alfons.

Rupert wiercił się niecierpliwie przy dziewczynie w niebieskiej sukni. Karo z wielkim naciskiem prosiła, by się nią zaopiekował, więc nie miał wyboru. Stali w grupce młodych ludzi, było już późno i goście zaczęli się żegnać. Gdzie jest Leonia? Nigdzie nie mógł jej dostrzec. Jak Karo mogła mu to zrobić?!

De Courmont skinął na Verroneta, swego osobistego sekretarza, stojącego w oczekiwaniu u drzwi.

— Ustal, kim ona jest — polecił ściszym głosem. — Chcę wiedzieć, skąd pochodzi, gdzie mieszka, co robi... jakie są jej pragnienia...

Verronet zrozumiał. Wypełniał już takie polecenia. Otwarte współzawodnictwo nie leżało w zwyczaju hrabiego de Courmont. Ani w interesach, ani w sprawach prywatnych. On działał inaczej. Podejmował przebiegłe, nader wyrafinowane kroki. Poznawał upodobania osoby, którą się interesował — czy były to pieniądze, sława, czy też perwersje seksualne — po czym wykorzystując swą wiedzę, spychał przeciwnika na słabszą pozycję i zmuszał, by wykonał dla mego ruch. Rywale nigdy nie mieli z nim szans, a kobiety również traktował jak przeciwników. Książę nie myślał o miłości. Wiedział, że każda kobieta ma swoją cenę. On kochał walkę.

Leonia odebrała od lokaja swoje stare brązowe palto. Schodziła powoli marmurowymi schodami w zimną noc, ale nie czuła chłodu; nie czuła niczego. Opadło z niej podniecenie. Rupert zostawił ją dla dziewczyny w niebieskiej sukni; jego słowa i jej uczucia nie miały żadnego znaczenia. Czy to znaczy, że tylko z nią flirtował? Przez pół godziny przeciągała pobyt w garderobie, mówiąc sobie przez cały czas, że skoro nie podszedł do niej, gdy przechodziła obok, powinna wyjść. Rozglądała się za wysokim mężczyzną

O przenikliwym spojrzeniu, ale przypomniała sobie, że wcześniej opuścił przyjęcie. Być może spotkał się z jakąś interesującą, piękną kobietą, zabrał ją na kolację, potem do swego mieszkania — i do łóżka. Zadrzała. Przerazali ją tacy mężczyźni jak on — starsi i doświadczeni. Od domu dobiegała muzyka i śmiech. Czekala ją daleka droga przez zimne ulice.

— Leonia! — usłyszała nieoczekiwanie i jej twarz rozjaśniła się nadzieją. Odwróciła się. Przy krawężniku stał Marok, przytrzymując otwarte drzwiczki powozu.

— Pomyślałem, że nie masz dość pieniędzy na powrót do domu, więc zabrałem tu Lansona, żeby ze mną poczekał. To mój przyjaciel — dorzucił. — Często jeżdżę jego powozem, kiedy muszę dostarczać paczki klientom do domu. Czasami robię mu jakąś przysługę, a on pomaga mnie.

— Och, Marok! — westchnęła rozdarta między radością a jego widok a rozczarowaniem, że to nie Rupert. — Jesteś taki kochany! Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Marok myślał o Leonii przez cały wieczór i teraz zrozumiał, że martwił się nie bez powodu. Nie wyglądała jak dziewczyna, która wyszła z cudownego przyjęcia; miał wręcz wrażenie, że za chwilę się rozpłacze.

— Dobrze się czujesz? — spytał zatroskany.

— Tak. Jestem tylko zmęczona.

Leonia oparła się o poduszki. Powóz turkotał po bruku, wioząc ją z jej pierwszego przyjęcia w Paryżu. Wracała do domu, trzymając za rękę Maroka.

— Ależ musisz pamiętać! — wykrzyknęła Bella. Była trzecia nad ranem, a one przybiegły do domu, nie mogąc się doczekać opowiadania o przyjęciu. Kogo poznała, co się działo... A ona teraz mówi, że nie pamięta!

— Co jadłaś? — spytała praktyczna Jolie. — Może zaczniemy od tego.

— Trufle — odparła Leonia. — I truskawki, zdaje się.

— Trufle! — jęknęła Loulou, tarzając się na łóżku w teatralnie wyrażanych śmiertelnych katuszach. — Nigdy nie mogłabym

zapomnieć trufli! A jeszcze truskawki, kiedy na ziemi leży śnieg. Musisz pamiętać!

Leonia usiadła na łóżku. Na pobladłej twarzy widać było zmęczenie. Zapomniała o zmyciu rózu i jej skórę pokrywały dziwaczne plamy, a złote cienie na powiekach zmieniły się w brudne smugi.

— Coś się za tym kryje — stwierdziła Bella. I podejrzewam, że to mężczyzna.

— Mężczyzna...? — Patrzyły na nią wyczekująco.

— No, Leonia, żadnych sekretów — roześmiała się Loulou.

— Och — zaczęła Leonia płaczliwie. — Och, Loulou! On ma na imię Rupert i jestem w nim zakochana.

Spojrzały po sobie zaskoczone. Potem znów przeniosły wzrok na Leonię, która zaczęła płakać.

— O mój Boże — powiedziała powoli Loulou.

Gdy Leonia śpieszyła do sklepu, przemyte śniegiem niebo było błękitne jak latem. Ślizgając się co chwilę, skręciła w zaułek i dopadła zdyszana tylnego wejścia. Przeskakiwała po dwa stopnie i biegnąc korytarzykiem do salonu, zrzucała po drodze palto. Marianna już na nią czekała.

— Leonia? Jest wpół do dziesiątej! Myślałyśmy już, że nie przyjdiesz.

— Bardzo przepraszam za spóźnienie. — Leonia pokornie spuściła głowę, oczy wbiła w posadzkę.

— I dlaczegoś to się spóźniłaś?

— Nie wiem, pani Marianno.

— Nie wiesz, dlaczego się spóźniłaś?!

— No... zasnęłam. Ja... nie czułam się zbyt dobrze w nocy.

Marianna poderwała się triumfalnie, rozkładając ręce niczym szpony.

— Tak?! A ja słyszałam coś innego! Wiem, że byłaś na przyjęciu! Skąd się dowiedziała? Leonia rzuciła Marokowi pytające spojrzenie, ale chłopak wzruszył tylko ramionami.

— Po przyjęciu nie czułam się dobrze — powiedziała cicho.

— Fatalnie, Leonio. — Marianna ruszyła w stronę swej wnetki. — Chodź ze mną.

Dziewczęta przyglądały się im wyczekująco.

— Oprócz spóźnienia jest jeszcze coś — odezwała się Marianna.

— Co takiego?

— Czerwone pończochy.

Leonia była oszołomiona. Nic nie pojmowała.

— Wzięłaś wczoraj czerwone jedwabne pończochy. — Marianna świdrowała dziewczynę wzrokiem. — I nie zapłaciła!

— Ależ zapłaciłam! To były wszystkie moje pieniądze.

— To znaczy, że masz kwit?

Kwit? Nie miała kwitu; dlaczego miałyby go samej sobie wypisywać? Zbyt późno zrozumiała, do czego zmierza Marianna.

— Leonio, muszę cię prosić, abyś natychmiast zapłaciła!

— Mówię pani, że zapłaciłam za nie wczoraj. Nie wypisałam kwitu, bo myślałam, że to niepotrzebne. Ale włożyłam pieniądze do kasy, przysięgam!

— Nie mam żadnego zapisu takiej sumy, a wczorajsze rachunki się zgadzają. — Marianna poprawiła się na krześle. — Niestety, Leonio, musisz odejść. Natychmiast! Nie podejmę żadnych kroków w związku ze sprawą pończoch. Jesteś młodą dziewczyną i nie chcę karać cię za kradzież, ale nie mogę tolerować tego w naszym zespole. Zabieraj palto i wynoś się.

Leonia patrzyła na nią zrozpaczona.

— Ja zapłacę — przekonywała. — Zapłacę jeszcze raz.

— Czym? — Marianna wstała. — Masz natychmiast wyjść. Nie pokazuj się tu więcej.

Leonia była tak oszołomiona, że nawet nie mogła płakać. Włożyła palto i wyszła w zaułek. Marok czekał na nią na schodkach; czuł, że stało się coś bardzo niedobrego.

— No i co?

— Powiedziała, że ukradłam pończochy — rzekła Leonia słabo. — Myślałam, że ma zamiar zwymyślać mnie za spóźnienie, ale ona stwierdziła, że wzięłam pończochy i nie zapłaciłam.

Chłopak przyzwyczajony był do małostkowości Marianny i jej nieustannego czepiania się dziewcząt, ale tego się nie spodziewał. Dlaczego właśnie Leonię wybrała na ofiarę? To więcej niż zwykła zawiść. Nagle coś mu zaświtało. Przychodząc dzisiaj do sklepu miał nadzieję, że Leonia pojawi się wcześniej i będzie mógł z nią

porozmawiać, ale zastał tylko Mariannę. Nie zauważyła go, zajęta rozmową z młodym mężczyzną, którego twarz wydała mu się znajoma. Nie mógł go sobie w żaden sposób umiejscowić, ale gdy teraz patrzył na Leonie, pamięć podsunęła wspomnienie. Dzisiejszej nocy ten mężczyzna stał na dziedzińcu niedaleko Leonii. To znaczy, że był na przyjęciu. Marok zapamiętał jeszcze pieniądze, które tego ranka przeszły z ręki do ręki. Widział, jak Marianna chowała je do kieszeni, ale wtedy myślał, że to wczesny klient zamawia prezent dla kochanki. W jednej chwili zrozumiał wszystko.

Omawiali sytuację bez końca, ale nie udało im się niczego ustalić. Leonia nie przypominała sobie żadnego gościa z przyjęcia, który odpowiadałby opisowi. Poza tym dlaczego ktoś miałby płacić za jej zwolnienie? Nie, Marok na pewno się myli. Marianna po prostu chciała się jej pozbyć i wykorzystała okazję. I co teraz robić? Za bardzo było jej wstyd, by przyznać się Karo, że została oskarżona o kradzież i wyrzucona z pracy. Poza tym Karo dzisiaj wyjeżdża i przez jakiś czas nie będzie jej w Paryżu.

— Musisz poprosić o pomoc Loulou — zdecydował w końcu Marok. — Może załatwi ci pracę w kabarecie.

— W kabarecie? Nie, nie mogłabym tego robić!

— Może za kulisami, jako pokojówka czy garderobiana — podsunął. Leonia potrzebowała pracy rozpaczliwie. Całe swe mizerne oszczędności, przeznaczone na zakup dobrych zimowych butów, straciła na złote buciki i jedwabne pończochy. Tydzień zaczął się tak wspaniale, a teraz była w gorszej sytuacji niż wtedy, gdy po raz pierwszy znalazła się w Paryżu. Zakochała się w mężczyźnie, który zabawił się flirtem z nią, no i straciła pracę.

Dyrektor kabaretu *Internationale* widział w swym życiu najróżniejsze dziewczęta, piękne i brzydkie, wyrefinowane i naiwne. Taksował Leonie wzrokiem, kiwając głową z zadowoleniem. Oczywiście, trzeba jej trochę obycia ze sceną i musi nabrać ekspresji, ale z jej figurą i nogami nie musi śpiewać ani tańczyć. Wcisnę się ją w trykoty, przypnie pióra i goście będą zachwyceni. Płacą przecież za to, by zobaczyć jak najwięcej ciała, a to jest wspaniałe ciało.

— Być statystką to tak, jak być częścią dekoracji — stwierdził. — Po prostu stoisz na scenie w pięknym kostiumie, a publiczność cię ogląda.

Leonii mrówki przebiegły po skórze.

— W jakim kostiumie? — spytała nieufnie.

— W takim samym jak inne dziewczęta. Nie przejmuj się, przykryje wszystko co trzeba. — Zaśmiał się rubaszenie. — Nawiasem mówiąc, wszystko to już widzieli. Czy umiesz jeździć konno?

— Tak, proszę pana.

— A więc zaczynasz jako statystką. Szykujemy przedstawienie, w którym znajdzie się składanka z numerów cyrkowych. Jak poćwiczysz, dam ci rolę. Coś w rodzaju wołyżerki. Co ty na to?

Jazda na koniu w cyrku. Ojciec to robił. A więc nie robi nic złego, jeśli pojeździ konno na scenie. Ożywiła się.

— Podoba mi się, proszę pana.

— W takim razie zaczynasz w przyszłym tygodniu. Loulou pomoże ci dobrać kostium, a po południu przyjdź z innymi dziewczętami.

Rupert przebiegł obok gderającej konsjerżki i zapukał do drzwi Karo.

— Mademoiselle nie ma w domu — wyjaśnił mu pełen uszanowania lokaj. — Dziś rano udała się z panem Alfonsem na wieś.

Tego się nie spodziewał. Miał nadzieję, że Karo da mu adres Leonii. Musi się z nią zobaczyć.

— Dokąd? — zapytał.

— Do *Chateau du Clamard*, proszę pana, w Rambouillet, a stamtąd państwo wybierają się do Londynu.

Londyn! Rupert spojrział na lokaja w osłupieniu, po czym rzucił się biegiem po schodach. Oczekiwano go na zebraniu w biurze Krummera po południu, ale do diabła z zebraniem. Musi znaleźć Leonie!

Raport Verroneta był bardzo krótki. Niewiele można o tej dziewczynie powiedzieć. Ustalenie wszystkich informacji stanowiło bardzo proste zadanie i zajęło sekretarzowi ledwie tydzień.

— To wszystko? — zdziwił się hrabia, podnosząc wzrok znad raportu.

— Tak, panie hrabio. Proszę pamiętać, że jest bardzo młoda. Nie ma jeszcze siedemnastu lat. Wykonałem pana polecenie dokładnie i dziewczyna nie pracuje już w sklepie.

— Wiem, wiem. — Zniecierpliwiony hrabia rzucił papiery na biurko. — Jest teraz w *Internationalu*.

— Zaczyna w czwartek, panie hrabio.

De Courmont spojrział na Verroneta. Nie znalazł w jego raporcie nic na temat pragnień i potrzeb dziewczyny. Pojedzie do kabaretu i ją zobaczy. Nie ma pośpiechu.

5.

Nie denerwuj się tak! Bella poprawiała szkarłatne pióra na włosach Leonii.

— To tylko trema — uspokajała ją Loulou. — Wszystkie ją przeżywamy, szczególnie przed nowym przedstawieniem. Musisz tylko pamiętać, żeby stać dokładnie tak jak na próbie i we właściwym momencie odrzucić do tyłu pelerynę.

Leonia chwyciła błękitną aksamitną pelerynę. Statystki wpadały i wybiegały z pokoju rozneglizowane. Odwracała skromnie oczy od ich wystawionej nonszalancko na pokaz nagości. Zastanawiała się, ile czasu trzeba, by przywyknąć do obnażania się przed ludźmi.

— Wstań. Spróbujemy jeszcze raz — poleciła Loulou spokojnie.

Podniosła się posłusznie; ramiona opadały jej żałośnie.

— Leonia! — jęknęła Loulou. — Weź się w garść! Chcesz tu pracować czy nie?

— Chcę — odpowiedziała twardo, prostując się.

— No więc rób coś! Pamiętaj, jak ci mówiłam, że nie masz co się wstydzić swej figury? Teraz właśnie jest moment, abyś ją pokazała. Jedna stopa przed drugą. Dobrze. Dalej! Peleryna, głowa do góry, uśmiech!

Rozległy się spontaniczne brawa i śmiech, gdy Leonia uniosła posłusznie głowę i stanęła uśmiechnięta w mieniącym się cekinami czerwono-biało-granatowym trykocie. Jej nogi, chwiejące się nie-

pewnie na wysokich obcasach, wydawały się jeszcze dłuższe, a obcisły trykot odsłaniał półksiężycę pośladków.

— Świetnie! — krzyknęła Loulou. — To mi się podoba. Wyglądasz oszalamiająco.

— Całkiem nieźle. — Bella szturchnęła Leonie życzliwie. — Pierwszy raz jest zawsze najgorszy.

— Proszę na scenę. — Chłopak wcisnął głowę przez uchylone drzwi. — Pięć minut do odsłony!

Pióra na głowie Leonii drżały z wdziękiem, gdy zaczęła się trząść. Jeszcze tylko pięć minut!

Rupert kroczył zdecydowanie w stronę sklepu pani Serrat. Karo wróciła wreszcie i wiedział już, gdzie pracuje Leonia. Bóg wie, co dziewczyna o nim myśli; nie zdziwiłby się, gdyby nie chciała go więcej widzieć. Z pewnością jest przekonana, że mu na niej nie zależy, a to przecież nieprawda. Zależy mu i to bardzo. Wreszcie doszedł do sklepu i wbiegł na schody. Na widok tyłu kobiet zawahał się chwilę w drzwiach. Był jedynym mężczyzną w sklepie z luksusową damską bielizną.

— Czym mogę panu służyć? — Wysoka szczupła kobieta stała przed nim, uśmiechając się służbiście. — Zapewne prezent dla pani?

— Szukam panny Leonii Bahri. Powiedziano mi, że tu pracuje.

Uśmiech znikł z twarzy kobiety tak szybko, że Rupert aż się zdziwił. Czyżby powiedział coś niewłaściwego?

— Panna Bahri już tu nie pracuje.

— Już nie pracuje? — powtórzył skonsternowany. — Więc gdzie jest?

— Nie mam pojęcia, proszę pana. Nasz salon nie jest już zainteresowany panną Bahri — dodała wyniośle.

— Ale na pewno macie jej domowy adres.

— Nigdy nie podajemy adresów naszych pracowników, proszę pana, nawet byłych pracowników.

— Nie rozumie pani — położył jej rękę na ramieniu z nalegaaniem. — Ja muszę się z nią zobaczyć! Powiedziano mi, że pani wie, gdzie można ją znaleźć.

— Obawiam się, że został pan źle poinformowany. A teraz, jeśli pan pozwoli, zajmę się klientkami.

Rupert zwlekał jeszcze przy drzwiach. Ta kobieta bez wątpienia wie, gdzie mieszka Leonia, tylko nie chce nic powiedzieć. Schodząc po schodkach odwrócił się jeszcze, jakby w nadziei, że zobaczy Leonie.

— Panie, panie! — wołał za nim jakiś chłopak. — Przepraszam pana, ja tu pracuję. Słyszałem całą rozmowę. Wiem, gdzie mieszka Leonia.

— Wiesz? — popatrzył na chłopaka z niedowierzaniem.

— Tak, proszę pana. To moja przyjaciółka.

Rupert przyglądał mu się zdumiony. Ten dziwny chłopak w satynowym stroju i przybranym piórami turbanie miałby być przyjacielem Leonii? Marok wytrzymał jego spojrzenie. Miał nadzieję, że dobrze robi, pomagając temu panu odnaleźć Leonie. Pamiętał, jaka smutna stała się od czasu przyjęcia.

— Mógłbyś mnie do niej zaprowadzić?

— Teraz nie. Muszę wracać do sklepu, ale dam panu jej adres.

Rupert zapisał szybko na odwrocie wizytówki, po czym wyciągnął rękę do chłopaka.

— Teraz jesteś również moim przyjacielem.

Internationale okazał się znacznie większy, niż przypuszczał Gilles de Courmont. Był też bardzo dobrze oświetlony i hrabia zdecydował się na miejsce w bocznych krzesłach parteru, nie w centrum widowni. Nigdy nie wiadomo, kto może tu przyjść, a on wołał zachować anonimowość. Teatr miał krzykliwe rokokowe wnętrze. Łuk proscenium zwieńczony girlandami stiukowych kwiatów i cherubinkami złożone wici łączyły z przyległymi łóżami i balkonami. Publiczność powoli zaczęła zajmować obite czerwonym aksamitem krzesła. Przychodzili tu głównie młodzi mężczyźni, by popatrzeć na dziewczęta. Bar na antresoli również cieszył się wielkim powodzeniem, gdyż panowie ruszali szturmem, by wypić coś, zanim podniesie się kurtyna. Hrabia uświadomił sobie, że mimowolnie szacuje koszty prowadzenia takiego lokalu i kalkuluje obroty. Rzykowne przedsięwzięcie, ocenił błyskawicznie. Ogromne nakłady, zmienna publiczność. Właściciel ma z pewnością dobrą passę, dzięki czemu teatr dobrze się prezentuje i ściąga tłumy, ale wystarczy kilka złych miesięcy i wypada się z interesu. Orkiestra

zaczęła wchodzić do kanału. Nastąpiło poruszenie — panowie pośpiesznie zajmowali miejsca na widowni. Gilles odczekał chwilę i gdy orkiestra wybuchła gromką uwerturą, udał się do pustego już baru.

— Traci pan początek — zauważył barman, stawiając przed nim kieliszek.

— Tak.

— To bardzo dobre przedstawienie, proszę pana. Domyślam się, że widział już pan Loulou. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że jest lepsza od Gloriette.

— Rzeczywiście. — Głos hrabiego był chłodny i pełen rezerwy. — Słyszałem, że tym razem są nowe dziewczęta.

— Statystki, tak... Będą w drugim akcie, proszę pana, w scenie „Parada narodów”. Powinien pan zobaczyć nogi tych panienek. — Barman zmrużył porozumiewawczo oko. — No i cycuszki. W tych kostiumach można wszystko zobaczyć.

De Courmont odstawił kieliszek. Zirytowany nagle przez tego człowieka przemierzał pograżony w mroku kąt za fotelami. Nie interesował się przedstawieniem, dopóki nie usłyszał zapowiedzi „Parady narodów”. Orkiestra gruchnęła melodią kozaka i kurtyna rozsunała się, ukazując wpadających w podskokach rosyjskich tancerzy. Dwie dziewczyny w ogromnych kozackich czapkach, wysokich białych skórzanych butach i śmiałych maleńkich satynowych szortach stały na wznoszącym się ponad sceną pomoście. Krótkie satynowe bolerka ukazywały w prowokacyjnie mignięciach różowe zaokrąglenia, wywołując spontaniczne oklaski oraz okrzyki publiczności. Gdy orkiestra doszła do porywającego finału, dziewczęta uniosły ręce nad głową i zastygły w monumentalnych pozach, co spowodowało kolejny aplauz i gwizdy zadowolenia. Gilles patrzył na scenę w absolutnym zdumieniu. Przedstawienie było tak okropne, że aż go zafascynowało. Dwie czarne dziewczyny, obwieszane paciorkami i bransoletami, wraz z nowym zespołem tancerek wykonywały teraz imitację afrykańskiego tańca plemiennego. Gilles popatrzył przez chwilę na kołyszące się biodra i podrygujące paciorki i znów opuścił widownię. Spacerował zniecierpliwiony po foyer, podczas gdy publiczność oglądała Japonię, Indie i inne, trudne do określenia krainy. Wreszcie zaczęły zbliżać się do finału. *La Belle France*.

Pośrodku sceny stała Leonia. Trwała nieporuszenie, ze zwieszoną głową ozdobioną piórami, od stóp do głów owinięta błękitną aksamitną peleryną, a tancerki maszerowały wokół niej, śpiewając patriotyczne pieśni. Muzyka zaczęła wznosić się w crescendo i dziewczyna uniosła głowę. Spojrzała na widownię dalekimi, poważnymi oczami. Była piękna i dumna; publiczność umilkła. Muzyka osiągnęła punkt kulminacyjny. Leonia postąpiła krok do przodu i odrzuciła do tyłu pelerynę. Mieniąca się czerwonymi, białymi i granatowymi cekinami zjawiskowa piękność zajaśniała uśmiechem. Mimo absurdalnie natrętnej symboliki jej kostiumu de Courmont wstrzymał oddech. Nie mógł oderwać oczu od zadziwiającego ucieleśnienia Francji. Dziewczyna uniosła ramiona nad głową i stojąc w rozkroku, całym ciałem oddawała zwycięstwo i triumf. Zrzucając pelerynę na ziemię, darowała swój uśmiech — i siebie — publiczności.

Widzowie wpadli w szal. Gwizdali i krzyczeli, domagając się bisów. Kurtyna opadła i hrabia wyszedł, a ich sprośne, ochryple uwagi wciąż jeszcze odbijały się echem w jego uszach.

Był zbyt podekscytowany, by rozglądać się za dorożką. Poza tym musiał się przejść. Pamiętał, jak czuł się jeszcze przed chwilą, gdy patrzył na Leonie i zdawał sobie sprawę, że wszyscy mężczyźni w teatrze w tym momencie czuli to samo. Czort jeden wie, jak jej się to udało: niewinna siedemnastoletnia dziewczyna na deskach sceny wyglądała jak ucieleśnienie seksu, żadna inna nie mogła się z nią równać. Te nogi w wyzywającym rozkroku! Oczywiście, już w czasie tamtego przyjęcia wyczuł w niej ognisty temperament; pod niewinnością kipiała wprost energia, siła tylko czekająca na uwolnienie.

W pałacu od razu wszedł do swego gabinetu i trzasnął drzwiami. Sięgnął po karafkę.

Zagłębił się w wielkim, obitym zieloną skórą fotelu. Myślał o Leonii. Niewątpliwie wzbudzała jego pożądanie — każdy mężczyzna w teatrze pożądał tej dziewczyny — ale było w tym coś więcej. Coś znajomego, wywołującego z dna podświadomości utajone wspomnienia. Syknał niecierpliwie. Oczywiście, mógłby ją zaprosić na obiad, dać prezent, ale wszystko to było zbyt proste. Kupiłby ją tak jak inne kobiety... nie, miał wrażenie, że Leonia

nie jest do kupienia. Nie, ma lepszy sposób, znacznie ciekawszą do rozegrania gry. Długo siedział w wielkim skórzanym fotelu i popijał whisky rozmyślając.

— Leonia! — Bella wpadła na ostami stopień schodów, dysząc z wysiłku. — Leonia!

— Co się stało, Bella?

— Masz gościa. Mężczyznę. To prawdziwy pan! Blondyn z niebieskimi oczami. Niejaki Rupert von Hollensmark.

Nie, to niemożliwe, przemknęło dziewczynie przez głowę. Przecież on nie wie, gdzie mieszkam.

— Czeka w salonie. Madame sama go tam wprowadziła. — Bella chwyciła ją w objęcia podniecona. — Leonio! Jest cudowny. To ten, prawda? Ten z przyjęcia? Ten, w którym się zakochałaś?

Leonia powoli skinęła głową.

— No to pośpiesz się! Przyczesz włosy, przebierz się w nową sukienkę, uperfumuj troszkę, szybciej, on czeka! Twój Rupert czeka!

Bella nie mogła się uspokoić. Wreszcie coś się Leonii powiezie. W nocy po przyjęciu widziała ją płaczącą i chociaż mogła to być jedynie rozpacz pierwszej naiwnej miłości — romantycznego uczucia siedemnastolatki, jak podkreśliła Loulou—Bella jej współczuła. Doskonale pamiętała, jak sama zakochała się po raz pierwszy w życiu. Ile było w tym cierpienia! A jednocześnie jakie to było cudowne!

— Prędzej! — ponaglała. — Pomogę ci.

Poprawiła Leonii włosy, dała jej swoje perfumy, a gdy schodziły ze schodów, ujęła ją za rękę.

— Pamiętaj, żebyś nie wyglądała na zbyt chętną — przestrzegła ją drugim piętrem. — Masz być powściągliwa i trochę chłodna. I w ogóle trzymaj go na dystans. Niech myśli, że mężczyźni ustawiają się w długiej kolejce, by tylko cię zaprosić.

Leonia stanęła w salonie madame Artois. Zobaczyła Ruperta i natychmiast zapomniała o radach Belli.

— Och, Rupercie! Myślałam, że nigdy cię już nie zobaczę!

Bella westchnęła z rozdrażnieniem. Zobaczyła jeszcze, jak oboje patrzyli sobie w oczy. Zamknęła cicho za sobą drzwi, gdy Rupert objął Leonie. Szła na górę, kiwając głową.

— Głupia — mruzczała cicho. — Mała głupia geś.

Spotykali się w *Cafe Anglaise* każdego wieczoru na kolacji i każdego wieczoru Rupert czekał niecierpliwie, zastanawiając się, dlaczego ona przychodzi tak późno. Gdy jednak pojawiała się w drzwiach, zapominał o wszystkim. Stawała w progu i na jej pięknej twarzy malowała się obawa, odnajdywała go oczami i rozjaśniała się w zachwycającym uśmiechu. Piwne oczy promieniały szczęściem. Ujmował ją za rękę i prowadził do stolika w rogu, gdzie z dala od oczu ciekawskich mógł kraść jej pocałunki. Oszalał na jej punkcie, była najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Była też słodka i niewinna. Absolutnie uczciwa, wolna od najmniejszej chytryści, choć jednocześnie skrywała w sobie jakąś tajemnicę. Nic o niej nie wiedział. Gdy pytał, dlaczego nie mogą się wcześniej spotykać, mówiła wymijająco: „Mam obowiązki”. Pomyślał, że pewnie musi się troszczyć o rodzinę i nie chce, aby on o tym wiedział.

Nie dopytywał się zbyt natarczywie, pragnął jedynie z nią być. Chciał zostać z nią na zawsze. Zapomniał o Puschi i rodzicach. Istniała tylko Leonia.

Przyszła w nowej sukni, błękitnej niczym Morze Śródziemne latem. Wyobraził ją sobie, jak pływa w ciepłych wodach z unoszącymi się falach długimi miedzianymi włosami. Ależ tak! Lazurowe Wybrzeże. Zabierze ją do starego zajazdu o bielonych wapnem ścianach.

— Strasznie się spóźniłam — powiedziała przeprasząco. Żałowała każdej chwili, którą mogłaby z nim spędzić, ale cóż, występy się przeciągnęły. Nie przyznała mu się, że pracuje w kabarecie. Co myślałby o niej, gdyby zobaczył, jak w obcisłym skąpym kostiumie stoi na scenie przed publicznością?

— Co się stało? Zimno ci? — zapytał zatroskany, obejmując ją ramieniem.

— Zimno? Nie — roześmiała się. Jestem po prostu szczęśliwa.

Napełnił jej kieliszek szampanem. Zawsze pili tylko szampa-
na — pasował do koloru jej włosów.

— Mam wspaniałą pomysł — oświadczył — ale nie zdradzę go, dopóki nie zjesz.

— Powiedz mi teraz — prosiła.

Spletli dłonie, Leonia całowała jego palce.

— Później — droczył się z nią. — Najpierw musisz jak grzeczna dziewczynka zjeść kolację.

Gilles de Courmont obserwował ich od swego stolika pod oknem. Prawie każdego wieczoru siedział tu, ukryty za dekoracyjnymi palmami. Vernet czekał na zewnątrz, by pójść za nimi, jak dotąd Rupert zawsze odprowadzał dziewczynę do domu. Nie ukrywając się wcale, jeździli długo dorożką, ale jeszcze nie zabrał jej do siebie. Gilles nie zwracał uwagi na stojące przed nim jedzenie. Popijał wspaniałe *Lafite*. Ruperta von Hollen smarka nie brał w ogóle pod uwagę. Dlatego przegrał. Ale tylko pierwszą rundę. Cierpliwe czekanie zazwyczaj przynosi największe korzyści pod koniec walki. Patrzył na nich, rozważając kolejne posunięcia.

— Siadaj i opowiedz mi wszystko — rzekła Karo z westchnieniem na widok promieniejącej szczęściem Leonii.

— Karo, on chce, żebym z nim wyjechała do maleńkiego zajazdu na Lazurowym Wybrzeżu. Będziemy zupełnie sami. Podobno jest tam ślicznie, cicho i spokojnie. Świeci słońce, a morze jest ciepłe i jeszcze bardziej błękitne niż niebo.

— Mamy grudzień — zauważyła rozsądnie Karo.

Leonia nawet na moment nie poczuła się zagubiona w swych marzeniach, oczami wyobraźni widziała prosty bielony pokój we wznoszącym się nad błękitnym morzem zajazdzie i wielkie białe łoże.

— Och, Karo, jak myślisz, czy powinnam to zrobić?

— Oczywiście, że nie! Przemyśl to dobrze, Leonio. To najważniejszy krok w życiu dziewczyny i nie ma od niego odwrotu. — Nie chciała jej zranić, ale powinna przedstawić jej fakty i wytłumaczyć, że Rupert nie może jej poślubić. — Jestem pewna, że kocha cię tak samo jak ty jego, ale jest zaręczony z dziewczyną w Niemczech i musi się z nią ożenić.

— Wiem, mówił mi o niej. Rupert nie ma przede mną tajemnic — powiedziała Leonia pewnym tonem. — Ale wytłumaczy tej dziewczynie, że nie może jej poślubić. Nie teraz, kiedy kocha mnie.

— Jego ojciec zaplanował ten związek. To coś więcej niż małżeństwo, Leonio. To związek dwóch potężnych rodzin. Jeśli chcesz zdobyć Ruperta, musisz stawić czoło niemal całemu imperium niemieckiemu.

— Och, Karo, jesteś taka zabawna! — Leonia roześmiała się beztrzesko. — Nie martw się o mnie. Rupert wszystko załatwi.

Co ja narobiłam! — pomyślała Karo. To skończy się nieszczęściem. Nawet jeśli Rupert przeciwstawi się rodzinie i ożeni z Leonią, nie będzie miał pieniędzy. Jak utrzyma żonę? Kochanka to co innego. Każdy mężczyzna może utrzymać kochankę.

Leonia rzuciła okiem na zegar. Musi biec do teatru. Dzięki Bogu, jeszcze tylko kilka tygodni; przyrzekła panu Briacowi, że nie odejdzie przed wykonaniem swej cyrkowej roli. Bardzo chciała wyznać Karo, że pracuje w kabarecie. Powstrzymała się z najwyższym wysiłkiem. Im mniej ludzi będzie wiedziało, tym lepiej. Nawet gdyby Karo przyrzekła zachować sekret, mogłaby po prostu powiedzieć Alfonsowi, a ten z kolei Rupertowi. Nie, lepiej nic nie mówić.

— Gdzie ty przepadasz na całe dni? — narzekała Karo. — Jesteś taka zajęta. Stanowczo musisz częściej do mnie przychodzić. Chodź z nami na kolację do Gillesa de Courmonta w przyszły wtorek. Jestem pewna, że nie obrazi się, jeśli cię przyprowadzę.

Musi odsunąć ją od Ruperta, pokazać w towarzystwie, niech dziewczyna pozna jak najwięcej ludzi...

— Przepraszam cię, Karo, lecz nie mogę — pokręciła głową Leonia; właśnie wtorek był dniem premiery nowego przedstawienia. — Ale bardzo ci dziękuje. Przyjdę w przyszłym tygodniu. Nigdy ci się nie odwdzięczę za to, że poznałaś mnie z Rupertem — dodała i pocałowała ją impulsywnie w policzek.

— Moja droga — westchnęła Karo — wolałabym, by to się nie stało.

Hrabia de Courmont prowadził podwójne życie. Oficjalnie w domu z własną żoną i wydarzeniami towarzyskimi, gdzie oczekiwano ich wspólnego pojawiania się, kiedy ona zaszczycą go obecnością dla jego interesów bądź celów politycznych czy też on stał u jej boku na rodzinnych uroczystościach — i drugie,

całkowicie odcięte od tamtego, szedł swą własną drogą, zawsze sam, spotykał się z ludźmi, których sobie dobierał, i odgrywając rolę gospodarza w eleganckich restauracjach, odwzajemniał się za gościnność ludziom, u których bywał na przyjęciach czy obiadach.

Co najdziwniejsze zaś, nikt nigdy mu nie odmawia, myślał Verronet, spacerujący dla rozgrzewki pod restauracją *Voisina*, gdzie czekał na pracodawcę. Lubili go czy nie, zawsze przychodzili. Verronet nie podjąłby nigdy zakładu o to, czy choć jeden przyjaciel zasiada teraz przy wielkim stole, a było tam przecież ponad dwadzieścia osób. Verronet uśmiechnął się z zadowoleniem. On również miał swą małą niszę w tej potędze. Nikt nie powie „nie” człowiekowi, który dysponuje taką siłą.

Karo zawsze lubiła *Voinna*. Uwielbiała intymny nastrój panujący w tej restauracji, ściany w kolorze głębokiego koralu, fałdy wykończonych ciężkimi chwastami aksamitnych zasłon, lustra w złożonych ramach, w których odbijały się półmiski z najbardziej wyszukаныmi daniami w Paryżu. Dla pragnących odosobnienia były tu specjalne gabinety — światło świec, kanapa i stół na dwie osoby — ukryte przed oczami ciekawskich za aksamitnymi kotarami dostatecznie ciężkimi, by wygłuszyć szeptane na ucho słówka, westchnienia i pocałunki. Karo uwielbiała wspominać swoje liczne rendez-vous w tych gabinetach.

Gilles wynajął osobną jadalnię i jak zwykle wszystko było doskonale. Personel *Voisina* od dawna znał *Pana Hrabiego*. Był uprzejmy, zawsze zdecydowany i nigdy nie miał szczególnych żądań, po prostu spodziewał się, że wszystko będzie najlepsze, a oni z zadowoleniem spełniali jego oczekiwania. „I niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdyby nie”, mawiał przejęty właściciel.

De Courmont witał gości, delektując się oczekiwaniem wieczoru. Przewidywanie stanowiło dla niego olbrzymią przyjemność i zawsze wzmagало jeszcze jego podniecenie, czy chodziło o kolejny śmiały krok w interesach, czy też o zdobycie kobiety. Gdy wiedział, co ma nastąpić i miał pewność zwycięstwa, dawało mu to co najmniej pięćdziesiąt procent radości z gry.

Lubił wydawać te obiady, były kolejną okazją do manipulowania ludźmi. Sadzał młodych mężczyzn przy wyrafinowanych starszych od nich kobietach, biznesmenów przy najbardziej ponętnych dziewczętach, i żonglując urodą jednych i namiętnością drugich

prowokował rywalizację lub zapoczątkowywał miłosne związki. Fascynowało go obserwowanie rezultatów. Tego wieczoru obok Ruperta von Hollensmarka posadził Marłę i widział, że to dobre posunięcie.

Zarówno wygląd jak i zachowanie Marli były wyzywające. Bogata, utytułowana, znana była ze swej skłonności do młodszych mężczyzn. Gilles widział, jak pochylona nad Rupertem dawała mu możliwość obejrzenia okazałego biustu. Nawet mężczyzna tak zakochany, jak Rupert, nie będzie w stanie pozostać obojętnym ani na to ciało, ani plotki, że Marla nie nosi nic pod suknią. Rozpalała wyobraźnię każdego mężczyzny. Przynęła się jeszcze bliżej do młodego człowieka i z dłonią wspartą na jego biodrze pytała go o coś. Gilles uśmiechnął się. Żaden młody mężczyzna nie jest przy niej bezpieczny. Dokonał dobrego wyboru.

Flirtująca z amerykańskim milionerem Karo zastanawiała się, dlaczego Amerykanie zawsze informują, ile posiadają milionów. Ten zarobił swoje na ropie i kolei żelaznej — nader korzystne połączenie. Opuścił swój jacht w Monte Carlo i spędzał czas przegrywając dolary w kasynie lub tracąc je na bardziej dotykalne rozkosze w Paryżu. Karo oczarowała go tak bardzo, że nabrał przekonania, iż jest najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Była ekspertem od flirtu. Podniosła wzrok i uchwyciła spojrzenie Gillesa. Uśmiechnął się do niej.

W szumie rozmów i śmiechów czuł niemal, jak przy płynącym winie kobiety otwierają się jak kwiaty do słońca, podczas gdy mężczyźni pławią się w samozadowoleniu i rozkoszują wykwinnym jedzeniem. Dwadzieścia cztery osoby. Czy kogoś z nich mógłby zaliczyć do swoich przyjaciół? Mężczyźni to w większości partnerzy od interesów, kobiety zaś... No cóż, niektóre znał niewątpliwie bliżej niż inne. Znów się uśmiechnął, rozbawiony. Przejęcie było sukcesem. Ale najlepsze miało dopiero nadejść.

— Panie i panowie — odezwał się, przyciągając ich uwagę. — Przyjaciele — dodał gładko — mam dla was niespodziankę. Wybieramy się do kabaretu.

— Do kabaretu? Zabawne! Gdzie? — dopypywali się podnieceni.

— Dziś wieczór jest premiera nowego przedstawienia. Słyszałem, że bardzo wystawne; zadziwiające kostiumy, nadzwyczajne dziewczęta, cudowne tancerki. Myślę, że się rozerwiemy.

Zadowolony z siebie uśmiechnął się do Ruperta.

Leonia chodziła nerwowo po garderobie w białych skórzanych butach na wysokich obcasach. Oczy miała pełne łez.

— Jak on mógł? — wyrzucała z siebie, wściekła na dyrektora. — Jak on mógł, Loulou? Popatrz tylko na mnie. Spójrz na ten kostium!

Loulou podniosła wzrok. Biały trykot opinał Leonię jak druga skóra, a sztywny satynowy pancerz, ściągnięty mocno srebrnymi sznurówkami, krępował talię, wypychając do góry piersi, aż wypływały w dwóch podkreślonych półkolistych wycięciach. Nabijany srebrnymi ćwiekami biały pas zwieszał się nisko na biodrach, spięty wielkim srebrnym sercem. Kostium uzupełniał srebrny bicz z cienkim białym rzemieniem. Blond włosy Leonii ściągnięte były do tyłu i splecione z mieniącymi się piórami, dokładnie tak samo jak ogon białego konia, którego miała dosiadać. Wyglądała wprost nieprawdopodobnie; biała, dziewicza buntowniczką z jakiegoś masochistycznego marzenia markiza de Sade.

— Za późno, by coś z tym zrobić, Leonio. Nie rozumiem, dlaczego nie protestowałaś w czasie przymiarki!

— Kiedy mierzyłam, wycięcie dekoltu nie było takie wielkie, a gorset tak mocno ściągnięty. Miała też być spódniczka, przykrywająca trykot. I nie było tej... kłódki!

— Myślę, że damy tu trochę cielistej gazy — Loulou wetknęła kawałek miękkiej tkaniny za wycięcie gorsetu Leonii — i będzie dobrze. W ten sposób ludziom wyda się, że widzą więcej niż jest naprawdę. To stara sztuczka. Zresztą nie ma to aż tak wielkiego znaczenia.

Loulou wzruszyła ramionami.

— Dla mnie ma — wybuchnęła Leonia.

— Tak, wiem, ale przejrzyj się. Teraz jesteś całkowicie zasłonięta.

Leonia spojrzała w lustro; rzeczywiście trochę lepiej.

— A co z pasem — nie ustępowała.

Był przymocowany do trykotu i nie można go było zdjąć.

— Nie mogę w tym wyjść na scenę! O Boże, gdybym mogła się gdzieś schować! — Po policzkach Leonii zaczęły spływać łzy, niszcząc wypracowany makijaż.

Loulou zastanowiła się.

— To jest myśl! Właśnie tak zrobisz, schowasz się! Poczekaj chwilę.

Sięgnęła do wielkiego kufra, gdzie przechowywane były szale, rękawiczki, rozmaite próbki, najdziwniejsze części kostiumów i po chwili wyciągnęła srebrną maskę od domina.

— W ubiegłym roku nosiłam ją w numerze pierrota z kolombiną. Włóż ją. Własna matka by cię w niej nie poznała.

Moja matka, pomyślała zrozpaczona Leonia, nigdy nie robiła niczego podobnego. Nigdy nie zhańbiła się roznegliżowaniem na scenie. Założyła maskę i stanęła przed lustrem. Choć nie zakrywała całkowicie, przynajmniej nie czuła się w niej tak odsłonięta.

Usłyszały jak orkiestra grzmi pierwsze takty uwertury.

— Muszę bieć! — wykrzyknęła Leonia. — Jestem w pierwszej scenie.

Jeszcze tylko cztery tygodnie, mówiła sobie, biegnąc mrocznym przejściem, prowadzącym na scenę. Tylko cztery tygodnie i będzie mogła rzucić to wszystko. Pojedzie z Rupertem na południe, do zajazdu z wielkim białym łóżem w zalanym światłem księżyca pokoju, gdzie rozpoczną swoje wspólne życie. I nigdy jej noga nie postanie w kabarecie.

Uczestnicy przyjęcia wypełnili środkowe miejsca dwóch pierwszych rzędów. Ze śmiechem i pokrzykiwaniami rzucali futra i peleryny i tłocząc się zajmowali miejsca. Patrzyli wyczekująco na reklamę środka wzmacniającego włosy oraz syropu przeciwkaszlowego na żelaznej kurtynie, wciąż jeszcze zasłaniającej scenę.

Balkon zajmowała grupa młodych ludzi, którzy przyszli, by popatrzeć na dziewczęta i podnieceni, głośno, ochryplymi głosami rzucali sprośne uwagi do tancerek i statystek. W bocznych łóżach i w fotelach parteru mężczyźni w białych krawatkach na wykrochmalonych sztywno białych gorsach koszul czekali cicho, oni także przybyli tu, by popatrzeć na dziewczęta.

W tym celu został stworzony kabaret, myślał siedzący w tyle widowni Paul Bernard. Przeglądał program i dopasowywał imiona do twarzy, w niektórych przypadkach do ciał, i zastanawiał się, co tym razem wymyślili jego rywale. Oczywiście, jego kabaret był subtelniejszy i miał wyższą klasę niż *Internationale*. Zawsze występowały u niego wspaniałe pieśniarki, a zespół rewiowy nie miał sobie równych w Paryżu. Przyszedł tu, by zobaczyć Leonie Bahri; zauważył ją w ubiegłym tygodniu, gdy wpadł, by obejrzyć jeszcze poprzednie przedstawienie. Rozpoznał w niej dziewczynę z pociągu. Zgodnie z jego przewidywaniami wyglądała wspaniale. Chciał wykorzystać ją w swym następnym przedstawieniu, jeśli tylko uda mu się ściągnąć ją z *Internationalu*.

Obsypany pudrem aż do nieskazitelnej bieli koń czekał w boksie przy scenie, grzebiąc nerwowo kopytem. Orkiestra grała już pierwsze melodie; tancerki wbiegały i na sygnał wybiegały ze sceny. Leonia słyszała, jak publiczność reaguje śmiechami na piosenkę Loulou, nagradzając ją oklaskami, gdy skończyła numer.

Tancerka, która miała grać wprowadzającego na cyrkową arenę tresera, rzucała na konia przestraszone spojrzenia, gdy parszkając bił tylnymi kopytami, strasząc robotników sceny.

— Na twoim miejscu uważałabym na niego — ostrzegła Leonie. — Nie jest przyzwyczajony do światła i hałasu.

Leonia poklepała konia po szyi i pogłaskała delikatnie jego chrapy, aż zadowolony przewrócił oczami.

— Będzie dobrze — powiedziała do niego ze współczuciem; wiedziała, jak zwierzę może się czuć.

Loulou zeszła ze sceny i Leonia precyzyjnie się, by złożyć jej gratulacje.

Jeden z robotników podniósł wiadro z wodą pod pysk uderzającego kopytem w słomę ściółki konia.

— Pij, ty głupie bydlę, może będzie ci lepiej.

Loulou była rozpromieniona. Publiczność jest dzisiaj niesamowita. Nie będziesz miała problemów, Leonio.

Piękny treser kroczył po scenie, strzelając z bata, wokół areny brykały cyrkowe „bestie” — długonogie dziewczyny w kostiumach

lampartów, tygrysów, kucyków i zebr. Małe pieski z szyjami ozdobionymi kryzami fikały koziołki, a klowni w wielkich workowatych spodniach, z maskami makijażu i czerwonymi nosami, robili przewroty przez plecy na pomostach.

De Courmont obserwował Ruperta. Młody mężczyzna bił brawo z zapalem, bawiąc się tak samo jak reszta towarzystwa, i z przechyloną głową słuchał komenarzy szeptanych przez Marłę, którą Gilles znów posadził obok niego.

Na scenie ukazał się piękny biały koń. Wyglądał jak zjawisko z baśni, gdy galopował wokół areny, unosząc kopyta w takt muzyki i potrzęsając srebrną grzywą. Widownia znów klaskała zachwycona. Rozległy się fanfary trąbek i na arenę wyszła dziewczyna w masce. Jej jedwabny trykot i wpółodkryta pierś wywołały poruszenie widowni. Z balkonu rozległy się gwizdy, gdy podrzucając głową strzeliła z bata. Ozdobione piórami włosy mieniły się srebrem jak ogon białego konia. Cóż za wspaniałe włosy, i te nogi, pomyślała Karo, wpatrując się w dziewczynę. Nie, to niemożliwe!

— To musi być Leonia — szepnął Alfons.

I to była Leonia! Więc to dlatego była tak zajęta wieczorami! Dlaczego nic jej nie powiedziała? A Rupert? Siedział teraz z oczami utkwionymi w Leonię. Czy on wie? Odwróciła się szybko i spojrzała na de Courmonta. Czyżby wiedział? Czyż nie dlatego przyprowadził ich tu dzisiaj? Nie patrzył na scenę, nie patrzył na Leonię. Obserwował Ruperta. Widząc napiętą twarz młodego człowieka, Karo przysięgłaby, że o niczym nie wiedział. Leonii udało się zachować tajemnicę przed wszystkimi. Oprócz de Courmonta, Karo mogłaby się założyć o to.

— To Leonia... Leonia, dziewczyna, która była na przyjęciu u Karo.

Podawane szeptem imię obiegło ich grupę i de Courmont z uśmiechem rozparł się w fotelu.

— Wiedział pan — szepnęła Karo.

— Wiedziałem, że będzie dla pani miłą niespodzianką zobaczyć, jak dobrze radzi sobie jej mała protegowana. — Wzruszył ramionami. — Proszę patrzeć, zaraz się zacznie.

Karo odwróciła się do Alfonsa i uniosła pytająco brwi. Czy miał z tym coś wspólnego? Alfons pokręcił głową, o niczym nie miał pojęcia. Jeszcze raz rzuciła spojrzenie na Gillesa. Siedział z oczami

utkwionymi w Ruperta, który zeszywniał jak rażony piorunem. Patrzył zaszokowany widokiem swej na wpół obnażonej na scenie Leonii.

Dziewczyna przebiegła przez scenę i przytrzymując się rękami, wskoczyła lekko na grzbiet cwałującego konia, a po chwili zeskoczyła zręcznie, gdy robił drugi nawrót.

— Brawo — wykrzyknął amerykański milioner, klaszcząc z zachwytem.

— Brawo, Leonia! — wtórowała reszta towarzystwa.

Wykrzykiwali jej imię, zachęcając, gdy demonstrowała swe małe sztuczki na końskim grzbiecie. Była naprawdę dobra. Rupert ochłonął z pierwszego zaskoczenia i przyłączył się do aplauzu. Karo zobaczyła, że znów się uśmiecha, rozradowany sukcesem dziewczyny.

De Courmont wychylił się z fotela, nie tego oczekiwał. Chciał ujrzeć oburzenie Ruperta, wstrząśniętego odkryciem, że Leonia nie jest ową czystą siedemnastoletnią dziewczyną, która go oczarowała. Jego zamysłem było zniweczenie marzeń młodzieńca.

Karo zmarszczyła brwi. Czy to możliwe, by Gilles nie chciał dopuścić do związku Ruperta z Leonią? Niemożliwe, przecież jej nie zna. A może? Był na przyjęciu. Coś niedobrego tu się dzieje, a ona nie zamierza przykładać do tego ręki.

Leonia pomyślała, że koń jest stanowczo zbyt nerwowy. Chwycała mocniej wodze, gdy kołysząc się na jego grzbiecie wyczuła, że zwierzę boi się oklasków. To przez ludzi z pierwszych rzędów, krzyczących i machających rękami. Czy oni nie rozumieją, że straszą zwierzę? Balansując, stanęła na jednej nodze i unosząc drugą, podkreśliła gestem pozę. Okrążając scenę, spojrzała przez światła rampy. Czy to nie Karo? I Alfons? Zachwiała się niebezpiecznie. Ci wszyscy ludzie wokół Karo, cała ta grupa? I... Boże, nie pozwól, aby to była prawda! Rupert! Uśmiechał się, oklaskując ją. Siedząca obok niego elegancka kobieta przechyliła się i ujęła go pod ramię. Zaszepotała mu coś do ucha, a on wybuchnął śmiechem. To z niej się śmieją.

Zapagnęła zeskoczyć z konia i uciec, ale było to niemożliwe. Musiała skończyć swój numer. Dzięki Bogu, niewiele już pozostało. Co ma mu powiedzieć? Jest z jakąś kobietą. Czy zechce się jeszcze

z nią spotkać? Teraz, kiedy już wie? Kiedy zobaczył ją w tym okropnym, wyzywającym stroju? Muzyka zwolniła i biały koń zadrżał na dźwięk trąbki. Gdy Leonia usiłowała przyjąć końcową pozę, nieoczekiwanie zaczął drobić nogami. Szarpnęła się do przodu rozpaczliwie i w **ostatniej** chwili zdołała odzyskać równowagę.

Gdy uniosła wysoko ramiona w zamykającej występ efektownej pozie, poczuła, że tak sprytnie umieszczona przez Loulou w jej dekolcie gaza wysunęła się. Jej piersi zostały obnażone przed całym teatrem. I przed Rupertem!

Publiczność szalała. Ludzie tupali, gwizdali i klaskali. Przewyciężając początkowe lodowate odrętwienie, opuściła ręce i przycisnęła je do piersi. Przez panującą wrzawę przebił się nowy dźwięk. Rozległ się dziwny syk i światła rampy zatrzeszczały i zmętniały, uderzone strumieniem spienionej cieczy. Zdenerwowany koń, który opił się wody przed występem, ten właśnie moment wybrał, by sobie ulżyć. Polewał środek sceny, a chichoczące tancerki z piskiem pierzchały na boki.

Widownia wyła. Leonia patrzyła przerażona na grupę w środkowym sektorze. Z głowami odrzuconymi do tyłu zanosili się wszyscy niepohamowanym śmiechem, bijąc jednocześnie brawo. Rupert także. Śmiał się z niej, wszyscy z niej szydzili. Chciała umrzeć, po prostu umrzeć. Zeskoczyła z konia i rzuciła się przez scenę, przeciskając się między tancerkami. Odepchnęła wybiegającą jej naprzeciw Loulou. Pragnęła uciec, zapaść się pod ziemię.

Tylko Karo się nie śmiała. Patrzyła na de Courmonta. Uśmiechał się lekko.

— Nie przypuszczałem, że będzie to aż tak zabawne — rzekł.

6.

Marok podążał spiesznie zaułkiem na tyłach Montalivet, po czym skręcił w sąsiedni. Szedł płataniną wąskich uliczek, które w miarę jak zbliżał się do domu, stawały coraz brudniej sze i biedniejsze. Nędzny dom z pokojami do wynajęcia, stojący tyłem do hałaśliwego skrzyżowania przy stacji kolejowej, wybrał tylko dlatego, że był najczystszy ze wszystkich, które oglądał. Właściciel czynszówki, skrupulatny stary człowiek, wymagał od lokatorów takiej samej skrupulatności; w korytarzach nie było śmieci, z maleńkiej wspólnej kuchni nie dobiegały żadne zapachy. Poza tym każdy lokator musiał raz w tygodniu myć swoje okno i co piątek płacić czynsz. Takie obowiązywały tu zasady, i albo ktoś się im podporządkował, albo się wynosił. Jednocześnie stary człowiek nie zadawał żadnych pytań i nie interesował się osobistym życiem swych lokatorów, a poza tym było to najtańsze miejsce, jakie udało się Marokowi znaleźć dla Leonii. Kiedy przyszła do niego tamtego wieczoru, bez zbędnych słów zrozumiał całą jej rozpacz. Wpuścił ją nie pytając, co się stało, ani dlaczego przyszła.

Nie mógł zapomnieć jej płaczu. Lzy lały się z jej oczu nie kończącym się strumieniem, aż zaczął się bać, że nigdy się nie uspokoi. Piękna twarz opuchła i pokryła się czerwonymi plamami. Wreszcie dziewczyna przycichła. Opowiedziała historię swego upokorzenia; mówiła o swym obnażeniu i wstydzie, i o śmiechu wszystkich tych ludzi. Stwierdziła, że nigdy więcej nie chce nikogo

z nich widzieć. Nawet Karo. Gdy to powiedziała, zrozumiał cały bezmiar jej poniżenia. Leonia uwielbiała Karo, była dla niej wzorem.

Marok zakradł się do domu madame Artois, by pozbierać rzeczy Leonii. Wślizgnął się do środka po obiedzie, wiedząc, że madame będzie w bawialni, drzemiąc nad kieliszkiem brandy. I to on znalazł Leonii pracę. Wprawdzie była to tylko praca kelnerki w kawiarni naprzeciwko dworca, ale wreszcie coś miała i cieszyła się z tego. Wzburzona oświadczyła, że nigdy więcej nie pójdzie do kabaretu. Kazała mu przysiąc, że dochowa tajemnicy. Ma mówić, że niczego o niej nie wie i nie ma pojęcia, gdzie ona jest.

Verronet już od dłuższego czasu siedział przy stoliku obok drzwi w *Cafe de la Gare*, marudząc nad filiżanką z pewnością najgorszej w Paryżu kawy. Czuł się zmęczony. Ileż można siedzieć w tej ponurej dziurze z szybami wiecznie zaparowanymi od perkoczących w kuchni czajników, które cuchnęły od grubej warstwy obrastającego je tłuszczu. Królująca przy ogromnej kasie kobieta zaczynała popatrywać na niego podejrzliwie. Siedział tu już od godziny, a niczego poza kawą nie zamówił. Skinął na kelnera bez przekonania.

— Koniak — rzucił. — Taki większy. I kawałek tego ciasta — dodał nierozważnie, uchwyciwszy spojrzenie kobiety.

Popatrzył z odrazą na wymęczone czekoladowe cukierki w szklanej gablocie pod cynkowym kontuarem. De Courmont musi być zadowolony, że dziewczyna nie robi nic poza wykonywaniem tej pracy, a wieczorem udaje się prosto do domu, nie rozmawiając z nikim. Porządek jej dnia jest taki sam od miesiąca i nie wygląda na to, by coś miało się w nim zmienić. Jedyńm jej przyjacielem jest bardzo młody chłopak, ale ten jest zupełnie nieszkodliwy. Hrabiemu jednak to także się nie podobało. Chciał, by dziewczyna nie miała w ogóle do kogo się zwrócić, aby mógł pojawił się i odegrać rolę wybawcy. Verronet wzruszył ramionami. Czego de Courmont od niego oczekuje? Co ma zrobić z chłopakiem? Przecież to tylko dzieciak.

Karo była przygnębiona. Dręczyło ją poczucie winy. To jej błąd. Gdyby nie była tak pochłonięta sprawami towarzyskimi

i bardziej interesowała się Leonią, może dziewczyna zaufałaby jej. Wtedy by jej odradziła wiązanie się z człowiekiem pokroju dyrektora *Internationalu*. Bez końca powtarzała sobie, że nie musiało dojść do publicznego upokorzenia dziewczyny. W równym stopniu jak siebie, o to, co się stało, obwiniała Ruperta.

— Spędzałeś z nią tyle czasu, a teraz mówisz, że nie wiedziałeś nawet, co ona robi? Jak mogłeś jej na to pozwolić!

— Ależ Karo, przysięgam ci, że nie wiedziałem. — Był taki nieszczęśliwy, taki biedny i zgnębiony, że złagodniała.

Tamtego wieczoru pobiegli razem za kulisy, ale Leonii już nie było. Zarzuciła palto na swój zadziwiający kostium i przepadła gdzieś w nocy.

— Nie mogłam jej zatrzymać — tłumaczyła się Loulou. — Po prostu odepchnęła mnie i wybiegła. Musiała pójść do domu.

Ale w domu jej nie było. Madame Artois jej nie widziała, a gdy wysłuchiwała ich opowiadania, z całą szczerością stwierdziła, że wcale nie jest zaskoczona ucieczką Leonii.

— Biedne dziecko! — wysapała z purpurową twarzą, gdyż dziewczęta robiły jej właśnie przymiarękę sukni. — Przy jej skromności pokazać ją w takim kostiumie przed całą widownią.

Karo nie miała pojęcia, gdzie szukać. Początkowo miała nadzieję, że Leonia wróci, ale dziewczyna nie pojawiła się. Potem przyszło nagle olśnienie.

— Jest tylko jedna osoba — powiedziała do Alfonsa po tygodniach zamartwiania się — której mogłaby zaufać. Marok. Z pewnością on. Dlaczego nie pomyślałam o tym wcześniej!

Marok kulił się w cieniu, unikając jej wzroku. Wiedziała, że coś ukrywa.

— Potrzebny mi jest chłopiec do odniesienia paczek — powiedziała.

— Oczywiście, mademoiselle Montalva. Marok!

Podszedł niechętnie i powłókł się za nią z opuszczoną głową.

— Powiedz mi, gdzie ona jest — poleciła zdecydowanie.

— Nie wiem, o czym pani mówi. Kto? — próbował udawać naiwnego.

— Oczywiście, że wiesz! Leonia!

Chłopak milczał.

— Posłuchaj — zaczęła cierpliwie. — Przyszłam tu, ponieważ chcę jej pomóc. Czuję się odpowiedzialna za to, co się stało. Powinnam mieć na nią baczenie. Powinnam była wiedzieć, co się dzieje... Muszę jej pomóc, i ty także.

— Trzeba było zostawić ją w spokoju wtedy, gdy pracowała jeszcze w sklepie — wybuchnął gniewnie. — Wszystko było dobrze, dopóki pani nie spotkała.

Czy rzeczywiście? — zastanawiała się Karo w poczuciu winy. Czy naprawdę zepsuła wszystko swoim wtargnięciem w jej życie? Jeśli tak, musi teraz coś z tym zrobić.

Przygnębiony Marok wbił wzrok w ziemię, rozdarty między lojalnością wobec Leonii a troską o nią. Podwójny cios, jakim była utrata miłości i zranienie jej dumy, zbierał żniwo. Blask, jakim kiedyś promieniała, skurczył się do przytłumionego cienia. Od tamtych wydarzeń minęło pięć tygodni i z każdym dniem dziewczyna była coraz szczuplejsza i coraz bardziej psychicznie odizolowana. W ramach wynagrodzenia miała otrzymywać w kawiarni dwa posiłki, ale podejrzewał, że nie interesuje się jedzeniem, a nigdy nigdzie poza tym nie bywała. W południe udawała się do kawiarni, o ósmej wieczorem wracała do domu. Co ma z nią począć? To straszna odpowiedzialność. Spojrzał niepewnie na Karo. Może gdyby przyrzekła, że nie powie Rupertowi... A poza tym jest jedyną osobą, która mogłaby Leonii pomóc. Karo wyczuła jego wahanie.

— Proszę cię, Marok! Muszę jej jakoś pomóc. Teraz potrzebna jest kobieta.

Niewątpliwie ma rację. W takiej chwili, jak ta, pomóc Leonii może tylko kobieta. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, ale kobiety to zagadka; nigdy nie wiadomo, co myślą, co może im wpaść do głowy. A on już zaczął się bać czarnego nastroju Leonii.

— Tylko musi pani przyrzec, że nikt więcej się nie dowie — rzekł.

Rozdrażniony de Courmont przemierzał pokład liniowca *Ile de France*, starannie unikając towarzystwa współpasażerów. Podróż do Ameryki była mocno nużąca, a powrót dłużył mu się jeszcze bardziej. Po tempie i działaniu, tak charakterystycznym dla No-

wego Jorku, życie na statku było zdecydowanie zbyt powolne. Trzeba przyznać, że podróż przyniosła mu wielkie korzyści, będzie we Francji jednym z pierwszych ludzi zaangażowanych w przemysł automobilowy. Auto, tak jak i kolej żelazna, to pojazd przyszłości. Był z siebie zadowolony.

Myślał o Paryżu, o powrocie do domu. Obiecał żonie, że postara się zdążyć na urodziny ich starszego syna. Gerard kończy sześć lat. Będzie musiał przypilnować, by chłopiec miał dobrego nauczyciela, który przygotuje go do pójścia na jesieni do szkoły. Ta głupia guwernantka jest do niczego. Marie-France lubiła ją oczywiście i twierdziła, że jest dobrą kobietą. Dobra! Chłopcu potrzebna jest wiedza, nie dobroć. Może powinien spędzać z nim więcej czasu; wyjechać na wieś, jeździć na koniu i takie tam głupstwa. Teraz, kiedy nie są już małą dziećmi, powinien okazywać synom więcej zainteresowania. Wystarczająco długo znajdują się pod wpływem Marie-France.

— Dzień dobry, sir. Depesza do pana. — Oficer zasalutował i odszedł.

Gilles czytał szybko. Kolejny raport od Verroneta; wszystko bez zmian, dziewczyna nadal pracuje w kawiarni. Rupert się nie pojawił. Tak, jego plan się powiódł. Leonia będzie chętna, spragniona wygody, pocieszenia współczującego słuchacza, pomocy, a on da jej nieco luksusu, odrobinę rozpieści, wydzielając wszystko po trochu i stopniowo, aż nie będzie się mogła bez tego obejść. Wkrótce zapomni o Rupercie von Hollensmarku. Jeszcze parę tygodni biedy i samotności nie zaszkodzi; pozwoli jej poczekać trochę, by uczynić najsłodszą własną rozkosz.

Karo wycierała dłonie z odrazą, usuwając to, co stanowiło dla niej wspomnienie tysięcy lepkich palców na poręczy chwiejących się schodów, po której bezmyślnie ciągnęła ręką, wspinając się na czwarte piętro. Kamienica była jednak czystsza, niż można było oczekiwać, sądząc po widoku z zewnątrz. Pokój Leonii, choć ciemny, był czystszy. I zimny! Karo wzdrygnęła się. Mimo błękitnego nieba i słońca na dworze, w tych starych czynszowych kamienicach panował chłód lochów.

Marok powiedział, że Leonia będzie w domu o ósmej i Karo krażyła nerwowo po pokoju w oczekiwaniu, a stukot jej wysokich obcasów odbija) się głośno na gołej posadzce. Wyjrzała przez okno na niewdzięczny widok stacji kolejowej. Podniosła tanią kwiecistą zasłonę, skrywającą żałośnie mały dobytek Leonii: dwie sukienki, wiszące krzywo na kołku w ścianie, para złotych bucików... Oczywiście, pamiętała, Leonia miała je na przyjęciu, na którym to wszystko się zaczęło.

Usłyszała kroki na schodach i odwróciła się.

Pograżona w myślach Leonia weszła z oczami wbitymi w podłogę. Nie był to pokój, do którego wkracza się radośnie, w przewidywaniu wygód.

— Leonia!

Na tle okna, które nigdy chyba nie wpuszczało ani światła, ani świeżego powietrza, zobaczyła stojącą Karo. Karo, której jasny, mieniący się świat zdobny był klejnotami. To tak jakby znaleźć orchideę w więzieniu. Zaczęła płakać.

— Leonio, moja biedna Leonio. — Karo objęła ją mocno. Całując jej włosy, szeptała słowa pociechy. — To wszystko przeze mnie — wołała w poczuciu winy. — Byłam twoją przyjaciółką. Gdybyś tylko powiedziała mi o kabarecie, pomogłabym ci, doradziła, ostrzegła. Ach Leonio, to nie powinno się nigdy stać!

Ich łzy zmieszały się i obie dziewczyny szlochały z ulgą.

— Najgorsze za tobą — pocieszała Karo. — Pójdziesz ze mną. Poradzimy sobie ze wszystkim.

Leonia odepchnęła ją nagle. Oczy w czerwonych obwódkach rozszerzyły się ze strachu. Tak mało przypominała złote dziewczątka z przyjęcia i niedawną gwiazdkę kabaretu, że Karo odczuła wstrząs. Zobaczyła teraz, jak Leonia wychudła. Kości policzkowe sterczały ostro w poszarzałej twarzy, pod tanią bluzką odznaczały się szczupłe łopatki. Zaczerwienione ręce miała spierzchnięte od zmywania, a ściągnięte w węzeł na karku i przytrzymywane spinkami włosy straciły połysk i charakterystyczne rozwichrzenie, które sprawiało, że zawsze spływały swobodnie, żyjąc swym własnym życiem.

— Nigdy więcej nie spotkam się z Rupertem!

Karo nie wiedziała, co powiedzieć. Ona również nie chciała, by Leonia zaczęła znowu spotykać się z Rupertem, ale on też był

strasznie nieszczęśliwy. Przychodził do niej codziennie, by dowiedzieć się, czy Karo nie słyszała czegoś na temat Leonii i gdy odprawiała go bez najmniejszej pociechy, za każdym razem wydawał się starszy i smutniejszy. Nie miała wątpliwości, że młody człowiek jest bardzo zakochany. Ale miała zahartowane serce. Nieraz widywała w swoim życiu zakochanych młodych ludzi, lecz nie chciała, by Leonia cierpiała po raz drugi.

— Nie musisz go więcej widzieć — przyrzekła. — Poradzimy sobie z tym, tylko chodź ze mną. Obiecuję ci, że nie dowie się, gdzie jesteś.

Leonia poczuła się nagle bardzo zmęczona. Za dużo tego. Zbyt wiele napięcia, rozpaczy i decyzji, które musiała podjąć. Jakie miłe byłoby życie, w którym nie musiałaby być zakochana, zrozpaczona, przeżywać namiętności, nienawiści i upokorzenia. Życie bez miłości toczy się wolno, przyjemnie i prosto.

Rozejrzała się po swym małym pokoiku. Nigdy nie był dla niej miejscem schronienia, nie dawał jej niczego, nawet odrobiny ciepła czy wygody. Pewnego dnia znajdzie miejsce, które jej to zapewni, własne miejsce.

— Niczego nie bierz — powiedziała Karo. — Te rzeczy nie będą ci potrzebne. Zaczyniesz wszystko od nowa.

Leonia zawahała się.

— Tylko to... rzekła.

Przyniosła małą torbę i przytuliła do siebie. Od czasu gdy Marok ją przyniósł, nie zwracała sobie głowy rozpakowywaniem. Nigdy jednak nie rozstałaby się z egipskimi „lalkami”. Były wszystkim, co kiedykolwiek do niej naprawdę należało. Gdy zamknąwszy za sobą drzwi nędznego pokoju ruszyły schodami w dół, Leonia zastanawiała się przez chwilę, co pomyśli następny lokator, kiedy znajdzie jej złote buciki.

7.

Baronowa von Hollensmark uwielbiała hazard. Pokryte zielonym rypsem stoły, napięcie graczy i nieprzeniknione twarze krupierów, cudownie kolorowe żetony i złote monety, rozsypujące się na suknie, wciąż jeszcze przyprawiały ją o dreszczyk podniecenia.

— Mam osiemdziesiąt lat — mówiła z ożywieniem do Ruperta, gdy popychał jej fotel przez hall hotelu *Grand Park* — i mojemu zartretyzowanemu stawowi biodrowemu zawdzięczam, że znowu znalazłam się w Baden-Baden. Twój dziadek często mnie tu zabierał. Oczywiście, jego przyciągały tu wyścigi, ale ja zawsze najbardziej lubiłam kasyna.

Piętnaście lat upłynęło od jej ostatniego pobytu tutaj, a ona ciągle jeszcze miała pewną nadzieję, że spotka kogoś ze starych przyjaciół, choć większość z nich już odeszła; wielu oddało życie ponad dwadzieścia lat temu na wojnie francusko-pruskiej. Rupert uwielbiał babkę. Łącząc jej tytuł z określeniem pokrewieństwa, nazywał ją zawsze barcią. Spośród wszystkich członków rodziny z nią właśnie najserdeczniej był związany, i spędzał długie próżniacze wakacje w jej zamku, wznoszącym się nad Renem. Ona też pocieszała go, gdy dąsał się odsyłany do szkoły, przyrzekała troszczyć się o kucyka i psy. I nie zapomniała. Teraz z radością towarzyszył jej, gdy wyjeżdżała do Baden-Baden leczyć swój artretyzm. Oczywiście, miała swoją małą asystę, pokojówkę i pielęgniarkę, ale bardzo ucieszyło ją towarzystwo ukochanego wnuka.

Baronowa odetchnęła zadowolona. Chwała Bogu, kasyno jest wciąż takie samo. W tych czasach wszystko zmieniało się tak szybko! Weneckie żyrandole jarzyły się równie wspaniałym blaskiem, stoły były oblegane jak dawniej, kobiety niezmiennie piękne, a mężczyźni we frakach i białych krawatkach tak samo przystojni. Na sufitach wciąż fruwały amorki między płynącymi chmurami, a czerwone dywany miały należytą grubość.

— Myślę, że zaczniemy od *chemin de fer* — rzekła uszczęśliwiona.

Rupert patrzył na rozradowanie babki, wracając myślami do poprzedniego tygodnia. Nie był z siebie zadowolony. Puschi dopytywała się, dlaczego do niej nie pisał i skąd tyle w nim rezerwy. To nie była jej wina. Nie miał zamiaru jej ranić, po prostu nie mógł zapomnieć Leonii. Już trzy miesiące, jak przepadła bez śladu. Chciał wynająć detektywa, ale Alfons odwiódł go od tego zamiaru, skoro Leonia nie chce, by ją odnalazł, powinien się z tym pogodzić. „Wie przecież, gdzie mieszkasz i może do ciebie przyjść, a przecież tego nie zrobiła”. W słowach Alfonsa brzmiała żelazna logika i Rupert był zmuszony ją przyjąć, ale ciągle jeszcze wpatrywał się w twarze na ulicach, mając nadzieję ją zobaczyć. Rzucił się w wir pracy, grzebiąc swe marzenia w zawilóściach rozwijania rynków zbytu na wyroby stalowni swego przyszłego teścia. Jego ciężka, wytrwała, pełna nowego u niego zaangażowania praca spotkała się z zaskoczeniem, ale i wielkim uznaniem dyrektorów paryskich biur. Toteż mimo skarg Puschi jej ojciec był z niego bardzo zadowolony.

— Ciężko pracuje, moje dziecko — powiedział córce. — Jest człowiekiem zajęтым — dodał z aprobatą, gdy rozważali możliwość ślubu jesienią.

Ślub jesienią! On przecież kocha Leonie! Po powrocie do Paryża znów spróbuje spotkać się z Karo. Ostatnio trudno było ją zastać, bo stale siedzi na wsi.

— Przepraszam pana. — Obok niego stała pielęgniarka baronowej. — Czas, by pani baronowa udała się na spoczynek. Pani miała dziś rano pierwszy zabieg i powinna odpocząć.

— Tylko kilka godzin — rzekła baronowa von Hollensmark gniewnie. — I proszę nie traktować mnie jak starą kobietę. Nie lubię tego. Nie jestem jeszcze stara. Wciąż jeszcze mogę wygrać przy stoliku.

— Wróć z tobą — zaofiarował się Rupert. — Dotrzymam ci towarzystwa, barciu.

— Ależ nie ma potrzeby, Rupercie. Niestety, ona ma rację. Muszę skończyć wcześniej; powiedziano mi, że leczenie jest męczące. Ty zostań i baw się. Proszę, weź je — pchnęła w jego stronę kupkę żetonów. — Spróbuj szczęścia. Może rozbijesz dla nas bank.

Rupert pochylił się i pocałował starszą panią w policzek. Tak jak zawsze pachniała wodą kolońską i różem. Patrzył przez chwilę, jak oddala się szerokim, jasno oświetlonym korytarzem. Odwrócił się. Poczul się nagle bardzo samotny. Wieczór dopiero się zaczynał — lecz nie budził żadnych nadziei. Pozbierał żetony i wrócił do stołu z *chemin de fer*.

Alfons zasugerował, by zabrać Leonię do kurortu i Karo skwapliwie podchwyciła ten pomysł. Uzdrowisko dające również możliwość rozrywki było doskonałym miejscem. Tego właśnie Leonii potrzeba. Poza tym nie wiadomo, jak długo jeszcze wytrzymałaby to ukrycie na wsi. Rambouillet było wprawdzie bardzo piękne, ale zbyt ciche. Baden-Baden to zabawa, śmiech, powieździała Karo Leonii, a im obu potrzeba właśnie trochę radości.

Podczas gdy Karo czerpała przyjemność z zabawy, Leonia rozkoszowała się urokami starego miasta, leżącego nad rzeką Ems. Z zachwytem oglądała też odległy widok lasów Szwarzwaldu, jaki roztaczał się z tarasu wielkiego hotelu. Ale najwięcej radości sprawił jej basen. Odkryła go już pierwszego ranka ich pobytu, gdy myszkowała po płataninie korytarzy pod *Grand Parkiem*. Wędrowała przez odbijające odgłos jej kroków halle pełne ciężkich siarczanych ch wyziewów. Minęła kąpiele borowinowe, gdzie personel ubrany w białe fartuchy dokonywał cudów ze zmęczonymi ciałami, i znalazła się przed basenem. Wysoka pływalnia z dwoma rzędami marmurowych kolumn była pusta. W panującej wokół ciszy słychać było tylko lekki plusk wody o ściany niebieskiego, wabiącego basenu. Patrzyła w wodę, zastanawiając się, jak to jest, gdy się pływa. Wyobrażała sobie cudowny, chłodny świat kojących wrażeń, gdzie człowiek może unosić się w miękkiej, mineralizowanej wodzie, pozwalając, by podtrzymywała jego ciężar i pieściła go swym dotykiem. Gdyby tylko umiała pływać! Zanurzyła na próbę

stopę. Poczula nieprzeparowane pragnienie, by zrzucić ubranie, wskoczyć i gładko przecinać błękitną wodę.

— W takim razie będziesz brała lekcje — powiedziała praktycznie Karo. — Pływalnia ma instruktora, a gimnastyka na pewno ci się przyda.

Każdego ranka, kiedy cały świat wokoło był pogrążony jeszcze we śnie, Leonia szła przez zaparowane korytarze na trening. Gdy znalazła się już w wodzie, basen wydał się jej dużo większy niż oglądany z brzegu. Pod koniec pierwszego tygodnia mogła już przepłynąć jego długość. Płynęła wolno, a całe ciało wypełniała radość z poczucia własnej siły. Podniecało ją poczucie mocy, możliwość pokonywania nowego żywiołu. Postanowiła, że dołoży wszelkich sił, by zostać naprawdę dobrą pływaczką. Lekcja kończyła się, a ona zostawała i ćwiczyła; wychodziła dopiero przed południem, gdy zaczęli się schodzić ludzie.

— Dziwię się, że jeszcze całkiem się nie pomarszczyłaś — droczyła się z nią Karo. — Tyle godzin spędzasz w wodzie.

Była jednak zadowolona. Leonia wyglądała zdecydowanie lepiej. Przybrała na wadze, a jej włosy, choć zachowywały lekki zapach wody z basenu, odzyskały blask. Trzeba się było zastanowić nad jej przyszłością. Nie stanowiła problemu, który należało rozwiązać; była dla Karo przyjaciółką i młodszą siostrą. Niezwykły powab Leonii sprawił, że już tamtego pierwszego śnieżnego popołudnia zaakceptowała ją i zapalała do niej szczerą przyjaźnią.

— Jesteś moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką — powiedziała Leonii. — Po raz pierwszy zwierzyłam się komuś ze wszystkich swoich tajemnic. Teraz gdy znowu cię odnalazłam, nie mam zamiaru tak prędko cię utracić.

— Ależ ja muszę znaleźć pracę — zaprotestowała Leonia. — Nie mogę zostać z tobą na zawsze. Poza tym byłoby to nieuczciwe wobec Alfonsa. Wystarczająco dużo zrobiliście już dla mnie.

Tylko jaką pracę, zastanawiała się Leonia, unosząc się na wodzie. Już nie jest tą dziewczyną, która pracowała w sklepie Serrat. Trochę wydorosła. Poza tym ma już siedemnaście lat. Dziewczęta z jej wsi w tym wieku były mężatkami, rodziły swe pierwsze, czasem nawet drugie dziecko. Nie myślała o Normandii, od kiedy ją opuściła. Nawet przelotną myśl o niej zepchnęła na dno podświadomości tak samo, jak wspomnienia o Rupercie. Co ma robić dalej?

— Baw się — powiedziała Karo, gdy tego popołudnia jechali wraz z grupą roześmianych przyjaciół przez las Szwarcwald. Ale Leonia wciąż czuła się obca, jak przypadkowy przechodzień, który do nich nie należy.

Nie zgodziła się, by Karo kupiła jej drogą odzież, przyjęła tylko stare rzeczy z jej garderoby i kilka prostych letnich spódnic. Nie potrzebowała niczego wyszukanego. Nigdy nie wychodziła wieczorami; kolacje spożywała w pokoju i wcześniej kładła się spać. W rzeczywistości bała się tych wszystkich ludzi, mieniącego się światłami kasyna i wspaniałej sali jadalnej.

Jechali przez Szwarcwald, a zieloną ciszę naruszały tylko ich głosy, niosące się pokrytym bujną trawą szlakiem. Wysokie drzewa precedzały blask słońca, **zamieniając** go w drgające błyski i cienkie pasemka czystego światła. Piękno tego miejsca pogłębiło jeszcze jej smutek. Przyszłość rysowała się przed nią bez żadnych widoków; bezkresna, nieprzebyta i samotna.

Nie mogła spać. Po świeżości dnia w pokoju było duszno. Przewracała się niespokojnie, czekając na świt. Obiecywała sobie, że gdy tylko się rozwidni, pójdzie na basen. Na myśl o chłodnej wodzie poczuła ożywienie. Wstała i wyszła na balkon. Stała wpatrzona w odległy widok za parkiem. Kasyno wciąż jarzyło się światłami, choć orkiestra dawno już przestała grać, a muzycy rozeszli się do domów i poszli spać. O tej porze pozostawali jedynie najpoważniejsi gracze. Wszyscy inni albo spali, albo bawili się na którymś z kilkudziesięciu bali. Na tarasie pod nią przechadzało się dwoje młodych ludzi. Leonia wychyliła się, by na nich popatrzeć. Stanęli, głowy ich zetknęły się i mężczyzna objął kobietę. Zdawała się wtapiać w niego, gdy całowali się, nie mogąc się od siebie oderwać. Przypomnił jej się Rupert. Wycofała się gwałtownie do pokoju i zamknęła szybko okno, zatraskując z powrotem wspomnienia.

Rupert patrzył załzawionymi oczami na stos żetonów przed sobą. Nie rozbił wprawdzie banku, ale miał nieprawdopodobną passę; barcią będzie się złościć, że ją to ominęło. Rozprostował

obolałe plecy. Był strasznie zmęczony. Może należałoby iść do łaźni parowej, wziąć masaż, przewietrzyć trochę głowę?

Wysokie marmurowe pomieszczenie pełne było mężczyzn, wyparowujących nocne ekscesy. Siedzieli nadzy na ławkach w obłokach pary i pocili się w milczeniu, przygotowując się do wyścigów w ciągu dnia i kolejnej nocy w kasynie czy też z obdarzaną względami damą. Masażysta wziął w obroty napięte mięśnie Ruperta i splotał go na zakończenie lodowatą wodą. Fantastyczne wrażenie, czuł niemal, jak jego pory zamykają się z trzaskiem.

— Mógłby pan teraz popływać, to bardzo odświeża—podsunął masażysta. — O tej porze basen jest zawsze pusty.

Było szaro i cicho. Słońce nie przetarło sobie jeszcze drogi przez mgłę. Pływanie — tego mu trzeba. Owinał się ręcznikiem i ruszył przez zaparowane sale. Błądził chwilę krętymi korytarzami, dopiero plusk wody uderzającej o kafle pozwolił mu odnaleźć basen. Zrzucił ręcznik i stanął w pozycji do skoku. Ktoś tu jednak był. I to kobieta. Pospiesznie podniósł ręcznik.

— Och, bardzo przepraszam! Nie miałem pojęcia, że nie jestem sam. Nie przypuszczałem, że o tej porze przychodzą tu panie.

Leonia z zamkniętymi oczami kołysała się na plecach. To musi być sen, skoro słyszy głos Ruperta.

Czy to możliwe? Nie, oczywiście, że nie. Rupert podszedł bliżej. Dziewczyna ma ten sam kolor włosów. To ona!

To nie sen! On tu jest! Na dźwięk swego imienia Leonia gwałtownie wciągnęła powietrze i dławiąc się połkniętą wodą, poszła na dno jak kamień. Przerażony Rupert wskoczył do basenu i zdążył poderwać ją do góry.

— Leonio, droga moja — mówił, tuląc ją gwałtownie. — Nie mogę uwierzyć, że to ty... Myślałem, że cię straciłem, że nigdy już cię nie zobaczę.

— Och, Rupercie, myślałam, że ci na mnie nie zależy, że śmiałeś się ze mnie...

— To nie z ciebie się śmiałem, tylko z konia. Byłaś cudowna, taka dzielna i bystra. I tak pięknie wyglądałaś! Byłem zazdrosny o tych wszystkich mężczyzn, zachwycających się tobą.

— Ale byłeś z jakąś kobietą i szeptaliście sobie coś o mnie...

— Ależ nie, kochanie, to nie tak!

Niewiele słów, a świat znów stał się dobry, pomyślała. Tyle bólu, a wystarczyło kilka słów, by wszystko znikło. Jaka głupia była wtedy, że uciekła.

— Wybacz, Rupercie. Powinnaś była ci zaufać. To wszystko moja wina.

— Nie, najdroższa, moja.

Całował z czułością mokre włosy i gładził policzek, patrząc w cudowne piwne skośne oczy. Jego malarzka ukochana jest tutaj! Ale co ona tu robi?

— Jestem tu z Karo i Alfonsem. Pomogli mi, Rupercie.

— Ale dlaczego Karo mi nie powiedziała? Przecież wiedziała, jak rozpaczliwie cię szukam!

— Prosiłam ją o to, myślałam, że tylko bawisz się mną.

— Wszystko to po prostu nieporozumienia. — Szepnął jej do ucha, tuląc jeszcze mocniej. — Ale teraz, gdy cię już odnalazłem, nigdy nie pozwolę ci się oddalić. — Znów całował jej powieki i szyję.

Nagle uprzytomnił sobie, że jest nagi i wyskoczył gwałtownie z basenu. Speszona Leonia odwróciła oczy, a on owinał się ręcznikiem. Podał jej rękę i gdy wyszła z wody, otulił ją białym kąpielowym płaszczem, wycierając z czułością całe ciało.

— Chodź, zjemy razem śniadanie — wyszeptał. — Musimy coś postanowić.

— Plany? — jej oczy zabłysły ożywieniem.

— Musimy pomyśleć o naszej przyszłości.

Ich śmiech rozbrzmiewał echem w wyłożonych kafelkami pomieszczeniach zdrojowych, gdy trzymając się za ręce biegli do jego pokoju.

Zamknął drzwi i chwycił ją w ramiona.

— Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Marzyłem o tym od miesięcy. Tak bardzo cię kocham, Leonio.

Wargi dziewczyny rozwarły się pod jego pocałunkiem i przyłgnęła do niego całym ciałem. Oszołomiona zastanawiała się, jak pocałunki mogą dawać tyle przyjemności, dlaczego cała czuła się jak rtęć: płynna choć tak ciężka. Więc tak wygląda miłość, tak czuje się człowiek, gdy do kogoś należy!

— Kocham cię, Rupercie... To zupełnie inaczej, kiedy się kogoś kocha... Wtedy wszystko jest dobrze, prawda?

Wyglądała tak pięknie i była taka młoda, taka porywająca. Rupert wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Nie przestając całować, rozchylił jej szlafrok i zsunął z ramion przyklejone do ciała ramiączka kostiumu kąpielowego. Patrzył na cudowne ciało, wydawało się tak wspaniałe. Dziewczyna była szczęśliwa, że jest piękna. Chciała być piękna — dla niego i dać mu rozkosz. Było jej tak przyjemnie, kiedy gładził. Dyszała lekko, gdy całował jej piersi, a kiedy jego ręka rozsunęła jej nogi, zamknęła oczy, nie mogąc znieść napięcia. To musi być raj na pewno.

Leżała spokojnie pod ciężarem jego ciała. Wiedziała, że to właśnie znaczy „należeć”. Jakie to proste! Dwoje kochających się ludzi i taka cudowna, nieprawdopodobna bliskość.

Objął ją i powiedział, że była wspaniała. Szeptem snuli plany na przyszłość.

— Jesteś teraz moja — powiedział jej cichutko na ucho. — Wyjedziemy stąd. Do naszego zajazdu. Pamiętasz, mówiłem ci o nim.

— Ten nad morzem, z chłodnym białym pokojem i dużym łóżkiem?

— Nasz pokój... nasze łóżko. — Pocałował ją znowu. — Wyjeżdżamy rano. — Nie mógł czekać, by mieć ją wyłącznie dla siebie. — Dopóki nie znajdę jakiejś pracy, wystarczy tego co mam na kilka miesięcy.

Zaśmiał się na wspomnienie wygranej ostatniej nocy. Przyda się. Myśl o Puschi wywołała w nim przelotne poczucie winy, ale odsunął ją natychmiast. Był zbyt szczęśliwy, by o tym myśleć. Później coś z tym zrobi.

A barcią? Oczywiście, powie jej. Zostawi jej list i poprosi o zachowanie całkowitej tajemnicy. Tylko Karo może być przeszkodą; tyle czasu trzymała Leonie z dala od niego. Nie chciał ryzykować, że stanie się tak po raz drugi.

— Musisz zostawić Karo list — zwrócił się do Leonii.

— Ależ, Rupercie, nie mogę tego zrobić! Sama jej powiem. Muszę jej powiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwa... my jesteśmy. Ona też będzie się cieszyć naszym szczęściem.

— Karo uważa, że cię krzywdzę i wiem, że nie pozwoli ci ze mną odejść.

— Ja jej powiem, wytłumaczę...

— Ona nie zrozumie.

Leonია zamilkła. Nie mogła przestać myśleć o Karo. Nie może tak po prostu odejść. Karo to jej przyjaciółka. Kocha ją i to ona ją odnalazła, pomogła. Powinna być lojalna i wszystko jej powiedzieć. Poderwała się gwałtownie.

— Muszę jej powiedzieć, Rupercie. Ona nie powie nic takiego, co powstrzymałoby mnie od odejścia z tobą.

Pogłaskał jej puszyste miękkie włosy. Całował kosmyki wijące się wokół twarzy o szeroko rozstawionych kościach policzkowych. Przecież ją kocha!

— Boję się, że znów cię stracę. — Przykląkł błagalnie u jej stóp. Była taka piękna, a jej ciało wysmukłe i takie silne zarazem. — Nie mogę pozwolić, by stało się to ponownie. Napisz do niej list, Leonio. Opisz, co się stało, poproś, by zechciała zrozumieć. Obiecuj, że odwiedzimy ją kiedy indziej, w Paryżu... że przyjdzie na nasz ślub.

— Och Rupercie... naprawdę tak myślisz? Nasz ślub?

Rzuciła mu się na szyję. Wszystko dla niego zrobi! Nawet napisze list do Karo, skoro on tego chce. On jest najważniejszy. Karo zrozumie — wie wszystko o miłości i namiętności. I oczywiście przyjdzie na ich ślub.

Zajazd był dokładnie taki, jak opisywał. W czystym południowym świetle jaśniał bielą na tle wyniosłych, zielonoczarnych cyprysów i starych drzewek oliwkowych. Zbudowany nad pasem bielutkiego piasku, miał rozchwiane drewniane schody, które z szerokiego, wyłożonego terakotą tarasu prowadziły przez skarpe do morza. Nie mogła wprost uwierzyć, że morze jest aż tak niebieskie. Zdawało się odbijać niebo i podwajając je, pogłębiać swój własny kolor. Nawet w świetle księżyca miało głęboki, atramentowy błękit. Ale nocą nie oglądała morza. Nocą Rupert trzymał ją w ramionach w szerokim, białym łożu ich chłodnego pokoju, i tylko łagodny szmer fal towarzyszył słowom ich miłości.

Było wszystko, co jej obiecał. Państwu Frenard, którzy prowadzili ten mały zajazd, sporadycznie udawało się znaleźć chętnych na trzy wynajmowane pokoje; najczęściej byli to przygodni po-

drożni. Zajazd był zbyt oddalony od uczęszczanych szlaków, od Monte Carlo czy Nicei, by zdobyć sobie popularność. Frenardowie utrzymywali się głównie z obiadów wydawanych miejscowym, którzy jadali w małej mrocznej jadalni z tyłu, pozostawiając taras Rupertowi i Leonii. Młodzi spodobali się Frenardom. Tacy zakochani i tacy piękni! Zbrazowali od świeżego morskiego powietrza, z włosami spłowiałymi od słońca i morskiej wody, wyglądali niczym para młodych bóstw. Odwracali się dyskretnie, gdy kochankowie przebiegali nago przez skarpe i rzucali w kołyszące się fale, szalejąc i śmiejąc się.

Ich życie było tak pełne zmysłowości, że Leonia nie mogła pojąć, jak istniała do tej pory bez wszystkich tych odczuć. Ciało jej pieściło słońce i woda, delikatna bryza i rozrzutna miłość. Energia i szczęście pulsowały w niej od chwili, gdy budziła się w jego ramionach, do momentu, gdy spleceni nadal po akcie miłosnym zapadali w sen. Kochali się wszędzie; na plaży ukrytej między skałami albo w trawie za białymi ścieżkami okrążającymi *Saint-Hospice*; i pełna zachwyty dziewczyna czuła się częścią ziemi, morza i nieba. Wszystko było dokładnie tak, jak być powinno.

8.

Marie-France de Courmont nie uradował powrót męża z Ameryki, ale ich dwaj mali synowie cieszyli się z tego bardzo. Rzucili się na powitanie ojca, widząc, że przynosi prezenty. Zawsze to robił —przynajmniej tyle musiała mu przyznać. Ją mógł zaniedbywać, ale o dzieciach nigdy nie zapominał. Właściwie nie wiedział, jak z nimi postępować, był na to zbyt sztywny, za mało miał w sobie czułości. Nie potrafiła tego określić; po prostu brakowało mu ciepła. Był człowiekiem niezdolnym do okazywania uczuć — nawet jeśli je odczuwał, choć podejrzewała, że nie. Kiedyś zastanawiała się przez moment, czy byłby inny, gdyby miał córkę. Jego zdaniem chłopcy powinni być młodymi mężczyznami. Ale jej ciężko było zdobyć się na to, by sześciolatniego Gerarda i zaledwie czteroletniego Armanda uznać za młodych mężczyzn. Byli małymi dziećmi i uwielbiała ich. Przynajmniej dzieci od niego otrzymała.

— Gerard, Armand... no, jak się macie? — Gilles uśmiechając się zmierzwił im dobrotliwie włosy. Pomyślał, że Gerard jest mizerny i trochę blade, choć ożywił się tak samo jak Armand.

— Gdzie są prezenty, tatusiu? — dopominał się niecierpliwie Armand, pociągając nogawkę spodni ojca. Gerard ociągał się trochę, trzymając się na dystans.

— Proszę. —Hrabia wyciągnął zza pleców rękę z paczkami. — Niebieskie pudełko jest dla Gerarda, a czerwone dla ciebie.

Młodszy chłopiec zaczął podskakiwać z podniecenia. Chwycił mocno pudełko, rozrywając opakowanie.

— Mama, choć zobacz, co ja dostałem — wykrzyknął, szarpiąc się z pudełkiem.

Marie-France pomagała mu, spoglądając z obawą na Gerarda. Chłopiec był przygnębiony wiadomością, że zostanie wysłany do szkoły. Będzie musiała przekonać Gillesa, że jeszcze na to za wcześnie. Jest za mały i zbyt wrażliwy, by mógł już opuścić dom. Za rok czy dwa nie będzie to dla niego problemem.

Gerard ukląkł na podłodze. Powoli otwierał swoje pudełko i odwijał papier, z rozmysłem opóźniając przyjemność.

Jest taki jak ja, pomyślał de Courmont. Cieszy go oczekiwanie. Uśmiechnął się do starszego syna i chłopiec popatrzył na niego zaskoczony.

— No jak, podoba ci się, chłopcze?

Gerard patrzył na małe auto. Była to idealna kopia prototypu, który niedługo miał zostać wdrożony do produkcji w zakładach ojca. Było niebieskie, a Armand miał identyczne, czerwone. To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał. Gdyby nie silny ból głowy, natychmiast zacząłby się bawić. Tak bardzo modlił się o to, by nie musiał jechać do szkoły. Koledzy w parku opowiadają takie straszne historie o tym, jacy okrutni są chłopcy w szkole, zwłaszcza dla nowych. Chyba mama nie zapomni poprosić tatusia, by go zostawił w domu.

Kolacja we dwoje z Marie-France stanowiła zawsze dla Gillesa ciężki obowiązek, ale robił wszystko, by ją zająć rozmową. Opowiadał żonie o podróży, tak barwnie opisywał Nowy Jork i Chicago, że się ożywiła.

— A co z samochodami? — spytała.

Dał znak majordomusowi, by napełnił ich kieliszki, z aprobatą wdychając bukiet *Magaux*.

— Samochody de Courmonta znajdują się na drogach Francji w przyszłym roku — powiedział, unosząc kieliszek. — A w ciągu kilku lat będziemy eksportować je do Ameryki.

— Wnoszę z tego, że cały swój czas będziesz poświęcał temu przedsięwzięciu.

— Niezupełnie. Jest jeszcze kilka innych spraw, których muszę przypilnować.

— Na przykład Gerard — wpadła mu w słowo, zmuszając go do uśmiechu. — Bardzo przeżywa, że zostanie wysłany do szkoły. Uważam, że jest jeszcze za mały.

— Wielu chłopców w jego wieku idzie do szkoły, Marie-France. Dlaczego miałby być wyjątkiem?

— Dlaczego? Dlatego, że to twój syn... nasz syn. Nie jest po prostu jakimś tam chłopcem. On ma uczucia. To dziecko wrażliwe, spokojne i bardzo inteligentne. Teraz właśnie bardziej potrzebny jest mu dom niż jakakolwiek szkoła.

— Nonsens!

Odsunął talerz i majordomus dał znak lokajowi, by go zabrał. Zniecierpliwiony pociągnął łyk wina, ale nie sprawiło mu już przyjemności. Jaka ta Marie-France jest irytująca, zawsze musi dręczyć go takimi drobiazgami. Spojrzał na nią nad kieliszkiem. Wciąż była piękną kobietą, w swoim rodzaju, oczywiście. Drobną, ciemnowłosa, teraz już raczej pulchna, nie była w jego typie. Wyobraźnia podsunęła mu nagle obraz Leonii. Tak, jutro musi się tym zająć. Dobrze będzie ją wreszcie zobaczyć i wziąć.

W drzwiach pojawiła się niania chłopców i zaczęła szeptać coś do ucha Bennettowi. Majordomus skłonił się i przekazał wiadomość panu.

— Idź na górę, Marie-France — powiedział hrabia. — Zdaje się, że Gerard ma gorączkę. Nie ulega wątpliwości, że za bardzo przeżywa się szkołą.

Marie-France rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, podniosła się i opuściła pokój bez słowa. Gilles kończył wino, patrząc na opuszczone miejsce, podczas gdy Bennett czekał cierpliwie.

Chłopiec był naprawdę chory. Zaalarmowany w środku nocy lekarz przybył natychmiast, nie tracąc czasu na odpowiedni ubiór. Zarzucił tylko płaszcz na piżamę i wziął torbę. Skoro pan hrabia twierdzi, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki, to znaczy, że tak jest.

Podczas gdy Marie-France wraz z lekarzem siedziała u dziecka, de Courmont przemierzał nerwowo pokój. Gerard nie może być chory, to jego dziecko, jego syn. Jest silny, wytrzymały. W jego życiu nigdy nie zdarzyło się nic naprawdę złego.

Doktor wyszedł i Gilles spojrzał na niego z niepokojem.

— I co? Co mu jest, panie doktorze?

— Obawiam się, że to dyfteryt. Chłopiec jest ciężko chory. Musimy otworzyć krtani i założyć rurkę, by umożliwić mu oddychanie.

— Rurkę w krtani? — Boże, to przecież jego syn! Czy ten człowiek oszalał? — Nie może pan tego zrobić! Nie może pan przecinać mu krtani... przecież on mógłby umrzeć!

— Panie hrabio — przerwał mu delikatnie lekarz. — On umrze, jeśli tego nie zrobie.

Gilles patrzył na niego przerażony. Jak to się mogło stać? I to tak szybko! Dopiero co Gerard z takim pietyzmem rozpakowywał swój prezent. Po raz pierwszy w swoich dzieciach dostrzegł siebie; aż do dzisiaj wydawały mu się częścią Marie-France. Odwrócił się.

— Więc proszę robić to, co trzeba, doktorze — rzekł ponuro. — Tylko błagam, niech pan ratuje moje dziecko.

Całą noc czekał pod drzwiami sypialni, podczas gdy wpatrzona w chłopca Marie-France siedziała na brzegu łóżka. Czekanie było wszystkim, co mogli robić; lekarz stwierdził, że choroba potrwa tyle, ile musi. Jednak dzięki otwarciu krtani chłopiec oddychał lżej.

Nie mógł już dłużej tego znieść i otworzył drzwi. W szarym świetle świtu zobaczył śpiącą w fotelu żonę. Wciąż trzymała rękę chłopca. Gerard obejmował swój samochód i tulił do wątlęj, unoszącej się w ciężkim oddechu piersi. W krtani dziecka groteskowo bulgotało. Gilles odwrócił się i pobiegł przez cichy dom do swego gabinetu. Patrząc na wschód słońca, wykończył butelkę whisky.

Dwa tygodnie upłynęły, nim lekarz powiedział, że niebezpieczeństwo minęło, i kolejne dwa, zanim Gerard mógł wstać. Chłopiec był tak wychudzony, że chodził z najwyższym wysiłkiem. Ciemnoniebieskie oczy w białej twarzy wydawały się ogromne. Marie-France była prawie tak samo blada. Sprawiała wrażenie, że przez ostatnie tygodnie przeżyła całe lata i przynajmniej raz Gilles patrzył na nią ze zrozumieniem.

— Dziękuję ci — powiedział.

— Za co? — zdziwiła się.

- Za to, że tak się nim opiekowałaś.
- Przecież jestem jego matką. Przecież nie mogłabym inaczej!
- Nie musi iść do szkoły, Marie-France.
- O, dlaczego? Wkrótce się poprawi... Czyżbyś znowu zmieniła zdanie? — spytała cynicznie. Zbyt dobrze go знаła.
- Ty wiesz najlepiej. — Był absolutnie poważny. — Rób to, co twoim zdaniem będzie dobre dla nich obu. Zdaję się całkowicie na ciebie.

Popatrzyła na niego zdumiona.

— Myślę, że przydałby się nam wyjazd — oświadczył nieoczekiwanie. — Gerardowi potrzebne jest dobre morskie powietrze, aby odzyskał apetyt. Tobie także, moja droga. — Lekko, niemal czule dotknął jej ramienia. — Pojedziemy na południe. Jacht czeka. Poleciałem kapitanowi, by wszystko przygotował. Pojedziemy do Monte Carlo.

9

Leonie siedziała przy stoliku przed *Cafe de Paris*, czekając na Ruperta. Panował spokój; dla stałych bywalców było jeszcze za wcześnie na obiad.

Piła spokojnie kawę i rozkoszując się lekkim powiewem rzucała okruchy ptakom, czekającym na bogate kąski z eleganckiej kawiarni. Tylko jeden stolik w ogródku był zajęty. Jakiś mężczyzna, spełniając zachciankę dwóch małych synków, kupował im lody. Od swego stolika słyszała, jak się śmieją i rozradowani drocą o wiśnie przybrania. Obróciła się z uśmiechem, by na nich popatrzeć. Widziała tylko profil mężczyzny, ale nie mogła oprzeć się myśli, że skądś go zna. Czyżby już go gdzieś spotkała?

Miała nadzieję, że Rupert nie każe jej zbyt długo czekać. Poszedł na pocztę odebrać swoją korespondencję, a ona liczyła, że będzie też list od Karo. Już sześć tygodni upłynęło od dnia, gdy tak nagle opuścili Baden-Baden. Sześć zadziwiających, wspaniałych, cudownych, szczęśliwych tygodni, a ona wciąż nie dostała odpowiedzi od Karo. Gnębiło ją to. Wiedziała, że postąpiła źle. Powinna była porozmawiać z nią przed wyjazdem, ale Rupert nalegał. Wszystko stało się tak szybko. Kiedy pojedą do Paryża, pójda do Karo, a ona zrozumie i wybaczy jej.

— Przepraszam, czy nie spotkaliśmy się u Karoliny Montalva?

To był ten człowiek z przyjęcia. Ten, który się nie odzywał. Przypomniła sobie, jak obserwował ją, kiedy stała przy drzwiach przestraszona i niezdecydowana, czy ma odejść, czy zostać. Teraz

uśmiechał się do niej, wyciągając dłoń. Podała mu rękę i poczuła mocny uścisk chłodnych palców. Nagłe drżenie przebiegło jej ciało.

— Gilles de Courmont, mademoiselle.

Chłopcy patrzyli na nią z zaciekawieniem, nabierając lody na łyżeczki. Ciężkie brwi ocieniały ciemnoniebieskie oczy mężczyzny, gładka skóra była lekko zaróżowiona po niedawnym goleniu. Spojrzenie Leonii zatrzymało się na ciemnych, skreconych kosmykach, widocznych w rozchyleniu koszuli. Był przystojnym mężczyzną.

— Jest pani sama? — spytał.

— Nie, czekam... na przyjaciela.

— Rozumiem. Czy Karo jest tu także?

— Nie, myślę, że jest w Paryżu.

— W takim razie — Gilles wskazał na przystań — będę szczęśliwy, mogąc któregoś dnia zaprosić panią i jej przyjaciela na obiad na mojej łodzi. Jak pani widzi, jestem tu z moimi synami.

Leonia uśmiechnęła się do chłopców, którzy wiercili się speszeni pod jej spojrzeniem.

— Obiecałem im, że pójdziemy do Muzeum Oceanograficznego, i strasznie się niecierpliwią. Jacht nazywa się *Bel Ami*. Jeśli ustalicie państwo, który dzień będzie wam odpowiadał, proszę zostawić wiadomość kapitanowi. Będę szczęśliwy, mogąc zjeść obiad w towarzystwie.

Wykonał gest pożegnania, po czym z uśmiechem zabrał chłopców. Wyszli rozbawieni i ruszyli przez plac. Jest zupełnie inny, niż sądziłam, obserwując go na przyjęciu, pomyślała Leonia leniwie. Robił wrażenie człowieka strasznie ponurego, a okazuje się, że taki nie jest. Jest interesujący i tajemniczy. Zupełnie inny.

Wreszcie zobaczyła Ruperta. Szedł szybko w stronę kawiarni, trzymając w ręku plik kopert.

— Kochanie! — Pomachała mu ręką, usuwając z pamięci rozważania na temat de Courmota. Rupert pocałował jej dłoń i przysunął sobie krzesło.

— Nic do mnie? — spytała zgnębiona.

— Obawiam się, że nie. — Spojrzał na jej nieszczęśliwą twarz. — Nie martw się, Karo jest z pewnością zajęta. Kiedy wrócimy, wytłumaczę jej, że to wszystko moja wina i mój zły wpływ na ciebie.

Roześmiała się. Zawsze umiał powiedzieć coś takiego, że wszystko wydawało się w porządku. Zamówił kawę i położył listy na stole. Zauważyła, że dwa opatrzone są niemieckimi znaczkami. Rzuciła krótkie spojrzenie na jego twarz, ale nie odezwał się. To z pewnością listy z domu, może od jego narzeczonej. Zawsze obawiała się listów z Niemiec; był potem taki zgaszony i choć nic jej nie mówił, widać było, że jest przygnębiony. Ich oczy spotkały się i Rupert uśmiechnął się.

— Pojedziemy do Nicei. Musisz ją zobaczyć — powiedział, ujmując ją za rękę.

Znów poczuła się szczęśliwa. Ta mała podróż na pewno będzie radosna. Zawsze tak było, gdy udawali się gdzieś razem. Dotknęła sznurka maleńkich perełek; zdejmowała je tylko wtedy, gdy mieli zamiar popływać; chowała je zawsze pod tym samym kamieniem.

Rupert sam zakładał je na jej szyję.

— Pierwszymi klejnotami dziewczyny powinny być perły — powiedział, gdy zatrzasnąwszy zameczek odsunął się, by zachwycać się jej szyją.

Chcę ci dać prezent — powiedziała teraz, gdy wychodzili z kawiarni, trzymając się za ręce.

— Ty jesteś moim prezentem... jesteś wszystkim, czego pragnę — odparł, uśmiechając się znowu. Wepchnął niefrasobliwie listy do kieszeni.

Wciąż mnie pociąga, myślał de Courmont, gdy przewodnik wyjaśniał zawilości marynarskiego wyposażenia słuchającym z szeroko rozwartymi oczami chłopcom. Marie-France wróciła już do Paryża, a on od kilku tygodni nawet przez chwilę nie myślał o Leonii; od nocy, gdy zachorował Gerard. Raporty Verroneta z Baden-Baden wraz z ukradzionymi przez niego ze skrzynki pocztowej listami Leonii leżały na biurku hrabiego nie przeczytane. Dotychczas wszystko to było jak polowanie — tropienie, wystawianie, podchodzenie jej niczym dzikiego zwierzęcia; tak czy inaczej jest piękna. Zapamiętał złotą twarz i piwne oczy; miedzianoblond włosy spłówały teraz nieco od słońca. Po raz pierwszy od kilku miesięcy myślał o kobiecie. Zajęty był chłopcami i pod ironicznym spojrzeniem Marie-France spędzał z nimi cały czas. Dotknięcie

śmierci przeraziło go, nad nią nie miał władzy — była od niego silniejsza. Powrócił myślami do dziewczyny. Zastanawiał się, czy rodzina von Hollensmarków wie o nowym romansie syna. Miał co do tego wątpliwości. Czyż Rupert nie jest zaręczony z córką Krummmera? Gilles rozkoszował się myślą o konsternacji swego starego przeciwnika w interesach na wieść o romansie, jeśli chodzi o Hollensmarków, mógł doskonale przewidzieć ich reakcję.

Przywołał przewodnika i dał mu hojny napiwek.

— Proszę popilnować ich przez pół godziny — rzekł, wskazując na chłopców. — Muszę iść do stacji telegrafu.

Idąc przez plac, układał w myślach kolejne posunięcia. Należy w odpowiednim miejscu wywrzeć odpowiedni nacisk. Rodzina von Hollensmarków potrzebuje zaplanowanego wcześniej związku, nie pogodzą się z perspektywą marnowania się jedyne go syna z dziewczyną, która nic sobą nie przedstawia.

Następnego ranka leżący niczym nie wybuchła bomba obok talerza Ruperta telegram przyciągnął oczy Leonii, choć bardzo starała się być swobodna. Rupert pił kawę, patrząc w morze.

— Nie masz zamiaru go otworzyć? — spytała wreszcie, nie mogąc znieść dłużej napięcia.

— Nie ma potrzeby. Wiem, co w nim jest.

Leonia zamilkła. Ona również знаła jego treść. Jakie są jego prawdziwe zamiary, co chce z tym zrobić? Patrzyła na niego wyczekująco, mając nadzieję, że podejmie w końcu decyzję. Ufała mu. Jest taki mądry! Oczywiście, że będzie wiedział, co robić.

Rupert przemierzał taras nerwowymi krokami.

— Muszę natychmiast wracać, Leonio — mówił szybko. — To jedyne honorowe wyjście. Muszę powiedzieć to Puschi osobiście. Przecież to rozumiesz, prawda, kochanie?

Wpatrywała się w niego rozszerzonymi ze strachu oczami. Nie może zostawić jej samej! Co ona bez niego zrobi?

— Moja mala! — Objął ją mocno. — Wszystko będzie dobrze. Ja wrócę. Nie wolno ci się martwić. Wiesz przecież, że cię kocham.

— A Puschi?...

— Jest moją narzeczoną i muszę spełnić swój obowiązek.

Myślał o liście od barci, który leżał w jego kieszeni. Była jedyną osobą, której powiedział całą prawdę. Wyznał, że jest zakochany w Leonii i chce ją poślubić. Uważał, że babce może zaufać; zawsze była w stosunku do niego uczciwa, zawsze pełna zrozumienia. Babka jednak napisała, że Rupert popełnia wielki błąd, że krzywdzi i Leonię, i Puschi. Rodzina nie spodziewała się po nim takiego postępk. Gdzie jego poczucie honoru i obowiązku wobec rodziny? Sądził, że spośród wszystkich ona jedna stanie po jego stronie, a teraz wyglądało na to, iż nie ma żadnego sprzymierzeńca. Nie napisał jeszcze do Puschi, tylko jej ojcu wysłał zawiadomienie, że jest niezdrów i potrzebuje odpoczynku. Odkładał stale ten moment, kiedy im powie. Dni mijały, a on nie mógł się na to zdobyć.

Leonia podniosła telegram. — Otwórz — zażądała.

Zawahał się. Nie chciał czytać słów, których tak się obawiał, ale jej spojrzenie było nieugięte. Otworzył kopertę. Odczytywał wiadomość szybko, niemal wiedząc, jakie będzie następne słowo. Ścisnął papier w kulkę i wepchnął do kieszeni. Sygnowana przez pana Krummerra i jego ojca depesza nakazywała mu natychmiastowy powrót; w przeciwnym wypadku doprowadzą do tego, że zostanie bez grosza. Leonia patrzyła na niego wyczekująco.

— Tak, jak myślałem — powiedział. — Ojciec chce mnie widzieć.

Leonia odsunęła krzesło i poszła do pokoju. Wzięła torbę, wyjęła z komody jego koszule i zaczęła układać starannie poskładane rzeczy w brązowej skórzanej walizie. Patrzył na nią przez chwilę. Czuł się bezradny i zagubiony. Kochał ją bardzo i pragnął się z nią ożenić; miał nadzieję, że powróci, że jakoś zdoła to wszystko ułożyć.

— Rupert, będę tu na ciebie czekała — powiedziała, uśmiechając się bohatersko. Wyjęła z komody jego szczotki i obejrzała uważnie pokój, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyła. Znalazła jego kostium kąpielowy i sandały.

— Zostaw je tutaj — rzekł. — Żeby były, gdy wrócę.

— Tak — skinęła głową z przekonaniem.

Patrzyła jak się ubiera. W garniturze i krawacie wyglądał dziwnie, niemal jak obcy. Miał jechać do Nicei i tam złapać

popołudniowy pociąg. Państwu Frenard wyjaśnił, że zostawia Leonie pod ich opieką. Zapłacił im za miesiąc, a resztę swoich pieniędzy dał Leonii. Nie było tego zbyt wiele.

— Wróć — powtórzył. — Zobaczysz. Przrzekam, że będę z powrotem w ciągu tygodnia.

— Postaram się być cierpliwa — obiecała mu.

Pocałował ją i odszedł szybko, a ona została sama w ich chłodnym białym pokoju z wielkim białym łóżkiem.

— Kocham cię — wykrzyknęła i pobiegła za nim. Odwrócił się i pomachał jej ręką.

— Ja ciebie też — odpowiedział.

10.

Najcięższe będą pierwsze dni, powiedziała sobie. Przyzwyczyłam się być stale

z nim. Ale było zupełnie inaczej i jej tęsknota rosła z każdym dniem. Pierwszego tygodnia czekała licząc dni i gdy minął siódmy, rozumiała że nie wróci tak jak przyrzekał. Drugiego tygodnia rozpetwały się burze. Czarne chmury zaciągnęły niebo, nad wzburzonym morzem przetaczały się gniewne pomruki i grzmoty. Skulona za oknem Leonia patrzyła na zalewające taras strugi deszczu i liczyła sekundy między rozbłyskiem światła a grzmotem, aż stały się niemal jednoczesne. Wreszcie trzask rozległ się bezpośrednio nad domem, wzbudzając jej przerażenie.

Wypogodziło się wreszcie i zaczęła chodzić na długie spacery wokół półwyspu. W głębi łądu natykała się na małe wioski, gdzie kupowała świeże figi i kozi ser, na wzgórzach jadła zabrany z domu prowiant, patrząc jak motyle i osy tańczą nad dzikim rozmarynem. Trzeci tydzień zbliżał się do końca, a ona nie miała żadnej wiadomości. Zaczęła z niepokojem liczyć pieniądze; znikwały niemal w oczach. Mówiła sobie jednak, że Rupert wkrótce się zjawi.

W niedzielę czwartego tygodnia siedziała samotnie na tarasie, patrząc na morze. Lśniący biały jacht płynął powoli przez zatokę, zostawiając za sobą kilwater migocącej w słońcu piany. Ten sam, który widziała każdego ranka. Zastanawiała się, jak może wyglądać życie ludzi, którzy mają takie jachty. Rupert opowiadał jej o mi-

lionerze, na którego statku jest turecka łaźnia, a w wyścielonej przegrodzie trzyma się krowę z Jerseyu, by goście mieli świeżą śmietankę, oraz o innym, którego jacht pyszni się trawnikiem do gry w golfa oraz teatrem.

Nagle rozpląkała się. Co ma począć? Czy on wróci? Dlaczego do niej nie pisze? Co złego się stało? Nie dopuszczała do siebie myśli o Puschi, tego już by nie zniosła.

Następnego dnia rano napisała list do Karo. Błagała ją, by odszukała Ruperta i poprosiła go, aby — jeśli ją kocha — dał jej natychmiast jakiś znak. Napisała też do Maroka, zawiadamiając go, gdzie się znajduje, po czym ruszyła dróżką, by wrzucić listy do drewnianej przydrożnej skrzynki, z której listonosz wybierał korespondencję przy rannym obchodzie.

Wielki jacht przemierzał niebieskie wody Morza Śródziemnego. Ubrani w eleganckie białe mundury członkowie załogi zajmowali swe pozycje, gotowi wykonać każde polecenie kapitana, czy będzie to rozkaz wypłynięcia do Monte Carlo lub na Korsykę, czy też ruszenia pełną parą dalej na wschód, na Adriatyk lub Morze Egejskie, lub po prostu podania mu whisky. De Courmont spacerował po pokładzie i spoglądał na rysującą się nad wodą linię brzegu. Patrzył na biały kwadratowy kształt zajazdu, walcząc z pokusą przybliżenia sobie widoku lornetką. Nie był typem podróżnika. Gdyby nie spotkał Leonii w Monte Carlo, prawdopodobnie zapomniałby o niej, zagubionej w czasie przed chorobą jego syna. Teraz jednak o niczym innym nie potrafił myśleć. Na jawie i we śnie przepelniała jego myśli, i to go męczyło. Postara się usunąć ją ze swej pamięci, a wtedy wszystko będzie dobrze. Życie wróci do normy.

W wielkim salonie leżał na stole stos listów. Listów Leonii. Czytał je wszystkie, oczywiście. Małe patetyczne pisma z błaganiem o pomoc. A także list Ruperta. List-usprawiedliwienie z prośbą o więcej czasu i załączonymi pieniędzmi. Gillesowi niemal żal było dziewczyny.

Nacisnął przycisk przewodu.

— Wracamy natychmiast do zatoki.

Leonia zaciągnęła zasłony i położyła się. Było upalne popołudnie. Przymknęła oczy i wsłuchiwała się w przytłumiony, znajomy odgłos morza. Nie było żadnej odpowiedzi od Karo, nawet od Maroka nic nie dostała. Napisała do niej ponownie, wysłała także list do madame Artois, prosząc o pomoc, ale nikt jej nie odpisał. Teraz już wiedziała, że zdana jest wyłącznie na siebie. Została sama. Już nie płakała; wszystkie łzy zostały wylane. Leżała spokojnie na szorstkim białym prześcieradle i myślała o śmierci. To takie proste, wystarczy tylko przestać oddychać. Wstrzymała na moment oddech, by przekonać się, jak to jest, i usiadła gwałtownie, łapiąc spazmatycznie powietrze.

Jak ludzie popełniają samobójstwo? Trucizna. Czy tak robią to kobiety? Kobiety, które tak jak ona straciły wszystko, kobiety nikomu niepotrzebne? Musi mieć ohydny smak i na pewno trzeba się strasznie nacierpieć. Objęła rękami brzuch; okropny pomysł. Tylko co innego może zrobić? Utopić się? Ależ tak, oczywiście. To będzie proste. Musi tylko wypłynąć jak najdalej w tę piękną błękitną wodę, a potem pływać tak długo, aż będzie zbyt zmęczona, by wrócić. Będzie miękko i miło, łatwo jak w pieszczocie. Zrzuciła sukienkę i wciągnęła kostium kąpielowy, by Frenardowie myśleli, że to wypadek. Nie chciała zostawiać po sobie długu, ale nie miała niczego wartościowego, co byłoby dla nich rekompensatą za koszt. Dotknęła sznurka perełek na szyi. Tak, to perły, ale przecież dostała je od Ruperta. Och, Rupert... Przeszła przez taras, patrząc na morze. Było takie przyjazne, wabiące. Znów zobaczyła biały jacht. Jeśli wypłynie dostatecznie daleko, może jego właściciel ocali ją...

Usłyszała stłumiony odgłos miękkiego tupotu i młody kot otarł się o jej stopy z cichym pomrukiem. Małe, drobne stworzonko było najbardziej kocie i kobiece wśród kociąt. Czekoladowobrazowa kotka miała różowe plamki na łapkach i uroczy różowy nosek. Przetoczyła się po jej stopach, zapraszając do zabawy, i Leonia uśmiechnęła się. Z arystokratycznym wygięciem grzbietu i maleńkim, trójkątnym lśniącym łepkiem kociak wyglądał bardzo znajomo. Był dokładnie taki jak egipski kot, „lalka” jej dzieciństwa. Pochyliła się i pogłaskała ciepłe futerko. Nigdy jeszcze nie dotykała tak miękkiego futra. Kocię polizało jej rękę szorstkim różowym

języczkiem, mrucząc głośno. Leonia wspomniała ojca i zaczęła płakać, a jej łzy spływały na futro kota. Zlizywał je, nie przestając mruczeć. Ojciec także ją opuścił. Po raz drugi w życiu została porzucona.

Podniosła kociaka delikatnie. Odwrócony na grzbiet leżał na jej rękach i czekał, patrząc na nią skośnymi złotymi ślepkami. Należał do niej. Wybrał ją. Wróciła do pokoju i położyła się z powrotem. Znowu pogrzyżała się w rozmyślaniach.

11.

Wystawa sklepu jubilerskiego przy bulwarze Moulins mieniła się szmaragdami, brylantami i rubinami i Leonia zawahała się w drzwiach, niepewna, jak zostanie przyjęta. Sprzedawca wyszedł jej naprzeciw z uśmiechem, zastanawiając się, czego może chcieć. Był przyzwyczajony do różnych rzeczy. To przecież Monte Carlo, gdzie ludzie wygrywają nieoczekiwanie wielkie sumy. Pierwsze, co chcą kupić, to klejnot mający stanowić symbol nowej zamożności. A jednocześnie, myślał gdy wyjmowała sznurek drobnych perełek, są tu również tacy, którzy tracą.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, ile to warte? — spytała Leonia nieśmiało.

— Oczywiście, proszę pani. — Oszacował w ręku wagę i podniósł perełki do światła, by ocenić kolor. Bez wątpienia prawdziwe, ale ich wartość jest niewielka, pomyślał.

— Bardzo ładny naszyjniczek — uśmiechnął się jubiler. — Obawiam się jednak, że ma niezbyt dużą wartość.

— Ile?

— No cóż, nie więcej niż sto franków, proszę pani.

— Czy może pan kupić go ode mnie?

Zawahał się przez chwilę. Chyba ciężko się będzie tego pozbyć. Nie jest to ten typ wyrobu, którego poszukują klienci. Ale dziewczyna była taka młoda i wyglądała tak nieszczęśliwie...

— Dlaczego nie — odparł. — Jeśli to pani pomoże...

Leonia odetchnęła z ulgą.

— Dziękuję panu bardzo. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby mi pan odmówił.

— Proszę tylko przyjąć dobrą radę i nie wracać do stołu. Straci pani znowu — ostrzegł, podając jej pieniądze.

— Ależ ja nie grałam!

Dziewczyna pochyliła się, szukając czegoś w stojącej na posadzce torbie. Spojrzał z zainteresowaniem na statuetkę. Egipska, nie ulega wątpliwości, i bardzo stara. Mógłby przysiąc, że to autentyk. Skąd ona ją ma?

— I jeszcze ta. — Postawiła obok kobiety-lwa drugą figurkę. To był Bastet, święty kot Egiptu. Znał go doskonale, natomiast pierwsza statuetka była dla niego zagadką i trzeba przyznać, że przypominająca boginię dziewczyna także ją stanowiła. Podniósł figurki ostrożnie.

— Gdzie je pani znalazła?

— Należały do mojego ojca. Był Egipcjaninem. Moja mama zawsze mówiła, że są bardzo stare. Nie orientuje się pan, czy są cenne?

— Obawiam się, że nie jestem w stanie tego ocenić, ale mógłbym przysiąc, że są autentyczne i rzeczywiście bardzo stare. Powinna pani zabrać je do Paryża i udać się do departamentu, specjalizującego się w badaniach egiptologicznych. Tam będą mogli pani pomóc.

— To znaczy, że nie chce pan ich kupić? — Tak rozpaczliwie liczyła na to, że są warte dużo pieniędzy, że ją uratują.

— Nie mam pojęcia, ile są warte. — Zawahał się. — Ale mógłbym dać pani za obie sto franków. Podejmuję oczywiście ryzyko, ale skoro potrzebna pani pomoc...

Sto franków, to sto franków więcej. Czy ma to zrobić? Popatrzyła figurki. Stanowiły wszystko, co posiadała; jedyną rzecz, która naprawdę była jej. Kociak wysunął łeppek z torby, węsząc pytająco. Ocierając się o jej kostki, zaczął szarpać aksamitkę, którą przewiązała mu szyję.

— Nie — powiedziała wreszcie zdecydowanie. — Zachowam je. Ale bardzo panu dziękuję.

— Nie ma za co. To dla mnie przyjemność, proszę pani.

Był tak uprzejmy i rozjaśniony uśmiechem, jakby kupił skarby korony. Odprowadził Leonię do drzwi i otworzył je przed nią

szerokim gestem. Patrzył przez chwilę za dziewczyną, jak szła ulicą, ciągnąc kota na różowej aksamitce. Życzył jej szczęścia.

Kotka przepała drogę do domu zwinięta w ramionach Leonii niczym niemowlę, zdobywając sobie imię Bébé. Teraz siedziała na łóżku, przyglądając się swojej pani. Leonia wciągnęła przez głowę białą sukienkę, po czym stanęła przed lustrem, przyglądając się sobie krytycznie. Po prostu nie pasowała do tego, co sobie zaplanowała. Spódnica — tak, ale góra musi być inna. Przypomniały jej się jedwabne szale, które Rupert kupił w Nicei. Długie barwne pasy, którymi omotywał ze śmiechem jej włosy. Kupili ich pół tuzina i były w różnych odcieniach złota — bursztynowy, brązowy, terakotowy, cytrynowy i złoty. Wyciągnęła je z szuflady. Udrapowała wokół ramion bursztynowy, skrzyżowała go na piersi i zawiązała z tyłu. Wyglądało to całkiem ładnie. Następnym obwiązała się w talii, złoty zaś opuściła nisko, i prowadząc wokół bioder, ściągnęła tak mocno, że spódnica wydobywała się spod szala spienionym przymarszczeniem. Ponownie sprawdziła rezultat. Wyglądało zaskakująco dobrze. Czy nie wpiąć jeszcze jednego we włosy? Przechyliła głowę, wyszczotkowała włosy i tak jak kiedyś pokazała jej Loulou, poskręcała je wokół twarzy, po czym wpięła w nie gałązkę jaśminu. Szyję owinęła cytrynowym szalem, odzrucając jego końce swobodnie do tyłu. Wzięła torebkę z tak cennymi dla niej stoma frankami, wsunęła pod pachę Bébé i ruszyła do drzwi. Po chwili wahania otworzyła torebkę, wyjęła pięć franków, schowała starannie pod poduszkę, i choć była pewna, że wygra, w stertę rzeczy w walizce wcisnęła drugą piątkę. Czuła, że dzisiaj wieczoru będzie miała szczęście.

Verronet patrzył na nią ze zdumieniem, gdy siedziała obok Frenar da na konnym wozie, oddalającym się powoli w tumanie pyłu. Gdzież ona się wybiera, i to w takim stroju? Ta dziewczyna wyraźnie lubuje się w dziwactwach. Będzie musiał sprawdzić, co też jej wpadło do głowy.

Przechadzała się pod przypominającym wypracowany tort weselny budynkiem kasyna, aż Verronet zaczął się zastanawiać, czy

w ogóle tam wejdzie. Wysłał już wiadomość do hrabiego, ale teraz miał wrażenie, że dziewczyna jednak się nie zdecyduje. Popędzał ją w myślach, gdyż sam chciał zasiąść do stołu; musiał tylko mieć pewność, że nie opuści zajazdu, zanim on tam dotrze. Gładził niecierpliwie wy krochmalony gors białej koszuli. No, nareszcie. Ruszył za nią schodami, potykając się o małego kota, którego ciągnęła na aksamitce. Mógłby przysiąc, że dziewczyna się trzęsie, choć dochodząc do drzwi podniosła wyzywająco brodę.

— Przepraszam panią, ale nie wpuszczamy samotnych pań.

— Och, ja... — Leonia zająknęła się, myśląc rozpaczliwie, pod jakim pretekstem mogłaby wejść. — Ale...

— Ta pani jest ze mną.

Verronet ujął ją pod rękę i ignorując portiera, wprowadził dziewczynę do zatłoczonego foyer.

— Och, dziękuję panu! To bardzo uprzejmie z pana strony.

— Nie ma za co, mademoiselle. Życzę powodzenia.

Mężczyzna uśmiechnął się grzecznie i zniknął w tłumie, a ona patrzyła za nim zaskoczona; nie chciała, by zostawiał ją samą. Szukając schronienia stanęła za wielkim posągami greckiego bóstwa i między jego nogami patrzyła na ogromne świeczniki i lustro w powyginanych złożonych ramach, wielkie kanapy i grube dywany. Widziała kobiety w jedwabnych sukniach, obwieszone biżuterią i pewnych siebie, rozmawiających głośno i znających się nawzajem mężczyzn. Chwyliła kilka ciekawych spojrzeń i uniosła brodę; tym razem nie pozwoli, by ją onieśmielili. Trzymając Bébé pod pachą wolnym krokiem wkroczyła do sali gry, badając wzrokiem stoły.

Wszystko okazało się znacznie bardziej skomplikowane, niż przypuszczała; było wiele różnych gier, a jednocześnie grający sprawiali wrażenie ludzi, którzy wiedzą, jak się tu znaleźć. Jak się w tym połapać? Koło ruletki wyglądało najprościej i wyniki podawano szybko i zrozumiale; czy numer wygrał, czy przegrał. Leonia utorowała sobie drogę, umieściła zaciekawioną Bébé na kolanach, wydobyła franka z torebki i zamknęła ją z trzaskiem. Postawiła franka na czerwone dziewiętnaście i czekała na obrót koła. Krupier lekceważącym gestem odsunął grabkami monetę z powrotem do niej.

— Minimalna stawka wynosi pięć franków, madame, i proszę nabyć żetony.

Pięć franków! Pogrzebała w torebce i wydobyła pięćdziesiąt franków. Przeliczyła uważnie i wymieniła na dziesięć prostokątnych żetonów. Tylko dziesięć! Niewiele. Popatrzyła ciężko na numery na zielonym rypsie stołu i zdecydowała się postawić na czerwoną dziewiętnastkę. Siedziała czekając, aż skończy się obstawianie i koło ruszy. Kulka wpadła na czarną piętnastkę i krupier zgarnął obojętnie jej żeton. Pchnęła do przodu drugi i ponownie umieściła na czerwonej dziewiętnastce. Znow straciła. Pomyślała, że trzeci raz będzie szczęśliwy i postawiła kolejne pięć franków. Jednak nie był i przerażona opuściła wzrok na Bébé. W pięć minut straciła piętnaście franków. Miała jeszcze trzydzieści pięć w żetonach i nie wymienione czterdzieści w torebce. Nie obstawiając zaczęła przyglądać się, co robią inni. Mężczyzna z lewej sprawiał wrażenie człowieka posiadającego mnóstwo pieniędzy. Miał cały stos żetonów. Patrzyła jak bez liczenia umieszcza całą kupkę na czarne i pociąga beztrzesko z kieliszka. Kulka posłusznie wpadła w czarną przegródkę i krupier pchnął w jego stronę wielki stos żetonów. Ten człowiek nie mógł stracić. Stawiał na pola zaznaczone wokół stołu, czego nie rozumiała, nie na kolory i numery w środku. Postanowiła go naśladować. Pchnęła dwa żetony na wybrane przez niego pole i czekała, wstrzymując oddech. Wygrała! Posłała mu z wdzięcznością uśmiech, ale nie zauważył. Teraz postawiła trzy żetony. Czuła, jak wraz z obrotami koła rośnie jej podniecenie. Wygrała! Wiedziała, że wygra. Napięta, pochłonięta grą pochyliła się nad stołem. Przesuwała żetony już nie tak ostrożnie, czasem traciła, lecz w większości przypadków wygrywała. Postawiła dwadzieścia franków na to, co on i usiadła wygodnie, zadowolona z siebie. Ale zobaczyła, jak mężczyzna odsuwa na bok wygrane pieniądze.

— Przytrzymaj je dla mnie, Louis — zwrócił się do krupiera. — Idę coś zjeść.

— Tak jest, proszę pana. — Krupier zgarnął żetony i złote monety do kasetki.

Nie wiedziała, co ma robić, skoro ten człowiek odchodzi. Przeliczyła żetony. Dziewięćdziesiąt franków. Wciąż jeszcze miała czterdzieści torebce, ale potrzebne jej było więcej, znacznie więcej.

Czy nie to właśnie nazywa się dobrą passą? Tak jak trafiło się Rupertowi w Baden-Baden? Nie chciała, by nachodziły ją myśli o Rupercie. Ożywienie gdzieś znikło i nagle przygnębiona przesunęła kolejny żeton.

De Courmont popijał whisky, patrząc jak dziewczyna pochyla się przez stół. Włosy wysunęły się jej spod szpilek i skrzyconymi falami opadły na plecy. Miał chęć ich dotknąć, powąchać. Pewnie pachną świeżym, czystym powietrzem i słońcem, taką samą woń wydzielać musi jej skóra... Nie, zapach jej skóry jest bardziej nasycony, egzotyczny, na pewno jest też bardzo gładka. Dał znak kierownikowi, który przechadzał się w pobliżu, gotów w salonie pełnym bogatych i ważnych ludzi spełnić życzenie właśnie tego klienta.

— Stół na dwoje, Henri, w alkowie, i flaszkę *Roederer Cristal*. Myślę, że za jakieś pół godziny — dodał, spoglądając na Leonie.

Była zmęczona i głodna, a poza tym przegrywała. Siedzi tu już od kilku godzin. Wyprostowała plecy i powiodła spojrzeniem po sali. Gdzie przepadł ten człowiek, który wyszedł na obiad, zabierając ze sobą jej dobrą passę? Dlaczego nie wraca? Popatrzyła na zielony ryps stołu. Zostało jej ostatnie dziesięć franków; nawet trzymane w torebce czterdzieści przepadło. Jeszcze raz wsunęła tam palce, by sprawdzić, czy coś przypadkiem nie zostało. Niestety, torebka była pusta. Rozejrzała się wokoło. Światło żyrandoli grało na złotych monetach rozsypanych niefrasobliwie przez mężczyznę, który nie przywiązywał wagi do rezultatu swojej gry i śmiechem kwitował zarówno straty, jak wygrane. Wszystko to wydawało się takie lekkie; czy ktokolwiek z tych ludzi grał o tak wysoką stawkę, jak ona? Wszystko albo nic — najwyżej jak można. Opuściła wzrok na ostatnie dwa żetony. Dziesięć franków. Pieniądze jako takie nie mają znaczenia, stanowią tylko możliwość zamiany na inne dobra — jedzenie, komorne, buty — a to było tak mało. Zdecydowała się i postawiła na czerwone dziewiętnaście. Przymknęła oczy, gdy koło poszło w ruch.

De Courmont przysunął się bliżej, patrząc nad jej ramieniem, jak kulka pada na czerwoną dziewiętnastkę. Pociągnął whisky, uśmiechając się. Ma czas.

Leonia otworzyła szeroko oczy. Jej szczęście wróciło. Postawiła znów na czerwoną dziewiętnastkę. Czekwała z zapartym tchem, nie mając odwagi patrzeć. Wygrała. Znów poczuła ogarniające ją podniecenie. Oczywiście, tak właśnie należy grać! Żadnej ostrożności i obaw. Zgarnęła wygraną na kupkę, rozdzieliła i jedną część postawiła na czerwone. Nie zwracała uwagi na kobietę, która wsunęła się na miejsce obok niej i śmiejąc się głośno, rzucała uwagi do swego towarzysza. Frędzle jej szala zamiotły stół.

— Och, przepraszam — uśmiechnęła się do krupiera.

— Nic się nie stało, pani hrabino — odparł uprzejmie.

Numer hrabiny wygrał i Leonia patrzyła, co obstawia po raz drugi. Hrabina wygrała ponownie. Obstawiła znowu i Leonia postawiła na to samo. Numer przegrał. Zostało jej dziesięć franków, powinna już iść. Drżała zdenerwowana nad stołem, wreszcie wzięła głęboko oddech i pchnęła ostatnie dwa żetony na czerwoną dziewiętnastkę. Szczęście należy do odważnych, przypomniała sobie, Hrabina skłoniła się nad nią, by w ostatniej chwili obstawić swój numer i Leonia cofnęła się, zamykając oczy. Znów czekała, aż ścicznie grzechoczący odgłos obracającego się koła. Czerwona dziewiętnastka. Dzięki Bogu, wygrała. Teraz musi odejść zanim straci. Wychyliła się, by zgarnąć wygraną, ale krupier popatrzył na nią zdziwiony.

— Przecież pani stawiała na siedemnaście, a wygrało dziewiętnaście.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem, gdy wskazywał jej pole. Żetony były na siedemnaście. Gdy hrabina pochyliła się, frędzle jej szala zatańczyły po stole, przesuając żetony Leonii. Zbyt późno uświadomiła sobie, co się stało. Teraz patrzyła przerażona na kobietę, która popijała szampana i śmiała się beztrudnie ze swymi przyjacielami. Leonia poczuła ogarniającą ją falę gorąca. Straciła wszystko. Nie, nie całkiem. Położyła rękę na udzie i wyczuła pięć franków wciśniętych przed kilkoma godzinami za pończochę. Zawahała się, mając przed sobą stary dylemat gracza. Czy nie jest to jej ostatnia szansa?

— Zła passa, mademoiselle — usłyszała za sobą.

Głos brzmiał dziwnie znajomo. Odwróciła się i spojrzała w oczy Gillesa de Courmont.

Były niebieskie, ale ciemniejsze głębią i powagą od błękitu oczu Ruperta i mimo jego uśmiechu nieodgadnione i chłodne.

— Pamięta pani? Spotkaliśmy się w *Café de Paris*.

Oczywiście, że pamiętała. Czekala wtedy na Ruperta, a później wybrali się do Nicei. To był piękny dzień. Boże, co ona ma teraz zrobić!

— Tak, pamiętam, panie de Courmont. — Z najwyższym wysiłkiem wzięła się w garść.

Oczy miała niemal piwne, złoty bursztyń, a pociemniałe źrenice rozszerzone ze strachu. Uśmiechnął się, ujmując ją za rękę.

— Widziałem, co się stało — powiedział ze współczuciem. — To wielki pech, zwłaszcza gdy wybrało się numer, który wygrał, ale przepisy są przepisami, a pan żetony nie były na czerwonej dziewiętnastce.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie, gdy podał jej rękę pomagając wstać z krzesła.

— Może napije się pani ze mną szampana — zaproponował — aby złagodzić ten cios. Zawsze to przykro, gdy traci się pieniądze.

Zupełnie jakby straciła wolę; bezsilnie przepływała przez zatłoczone kasyno uczepona jego ramienia, z uwiązaną na aksamitce Bébé, aż ludzie przyglądając się jej, schodzili na bok.

— Panie hrabio, stół jest przygotowany.

Henri skinął ponagłając ręką i służba rzuciła się do stołu w alkowie. Strzepywali nieskazitelny obrus i przecierali kryształowe kieliszki, podczas gdy Henri w oczekiwaniu poleceń hrabiego przysuwał Leonii krzesło.

— Szampan już czeka, panie hrabio.

Pokój był przytulny, spokojny. Nie odczuwało się tu napięcia gry i Leonia odetchnęła z ulgą. Dotknęła delikatnych prześwietlających płatków zielonkawych orchidei stojących na środku stołu. Były zaskakująco zimne. A przecież to tropikalne kwiaty, którym potrzebne jest ciepło i środowisko dusznej dżungli. A może to ona jest zimna? Mała orkiestra grała za ścianą liściastych palm, kwiet-

niki tworzyły małe wysepki prywatności, maskując szmery rozmów i brzęk szkła.

— Przepraszam — powiedziała Leonia — że zwróciłam się do pana tak zwyczajnie.

Nagle zaskoczył ją fakt, że siedzi z hrabią w tym pokoju. Czy nie powinna się bać, a nawet czuć się przytłoczona? Ale jest taki naturalny; może hrabiowie nie różnią się niczym od innych mężczyzn.

— Nie miałam pojęcia, że jest pan *panem hrabią*.

— To nie ma znaczenia — roześmiał się. — Może się pani zwracać do mnie, jak się pani podoba.

Nie miała wątpliwości, że to prawda. Dla niego nie ma znaczenia, czy ktoś, zwracając się do niego, używa jego tytułu. On po prostu zakłada, że każdy wie, kim on jest, że wszystkie drzwi będą się przed nim otwierać, a kieliszki będą napelnione winem. Jak wspaniale być kimś takim, kimś tak pewnym siebie.

— Cóż, nie powiodło się, debutantce, mademoiselle Leonio.

— Tak — skinęła głową. — Ale może innym razem wygram — dodała, podnosząc butnie głowę.

— Mam nadzieję. A skoro nie będzie pani już grała dziś wieczorem, może zje pani ze mną kolację?

Café de Paris naprzeciw kasyna była zatłoczona i Maurice, *maitre d'hotel*, szalał, odprawiając z kwitkiem gości. Serce go bolało, ale i tak wcisnął pięć dodatkowych stołów. Dobrze byłoby, gdyby pan hrabia wreszcie zjawił się, niełatwo przecież przekonywać szanownych gości, że pusty stół jest zarezerwowany, a hrabia spóźniał się już ponad godzinę. Jednak nawet przez myśl mu nie przeszło, by posadzić tam kogoś innego.

Zupełnie jak Morze Czerwone, myślała zaskoczona Leonia, widząc rozstępujący się, dający im przejście tłum w kasynie. Portier, który zaledwie kilka godzin temu nie chciał jej wpuścić, teraz poderwał się i otwierając im drzwi, grzecznie życzył dobrej nocy.

Wsparta pewnie na ramieniu hrabiego rzuciła mu uważne spojrzenie, gdy szli do *Cafe de Paris* przez wyłożony kostką plac. Profil miał mocny i surowy, z lekko zakrzywionym, wydatnym nosem, ciemne włosy zwijały się w pierścionki na karku. Z jego

postaci emanowała pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa. Nic złego nie może spotkać kobiety, kiedy jest w towarzystwie takiego mężczyzny. Zwrócił na nią spojrzenie.

— Wygląda pani na smutną, Leonio.

— Nie... może trochę. — Poczuela nagły impuls, by zawierzyć mu wszystkie swoje tajemnice.

Przeciskali się szybko przez zatłoczoną salę do swego stołu odprowadzani pełnymi niechęci spojrzeniami tych, którzy musieli czekać, popijając przy barze.

Główny kelner zakręcił wielkimi różowymi lnianymi serwetkami, kładąc im je na kolanach, podczas gdy *sommelier* stanął przed stolikiem z szampanem.

— Weźmiemy tuzin ostryg i waszą specjalność z łososia — powiedział Gilles, nie patrząc w menu. — Oraz talerzyk świeżego łososia dla kota.

Leonia patrzyła na niego zaskoczona.

— Na pewno będzie pani smakowało — stwierdził. — Mam wrażenie, że tego właśnie pani trzeba.

Uspokojona Leonia zagłębiła się w fotelu. Czua się bardzo zmęczona. Jak to dobrze, że jest ktoś, kto się o nią troszczy, poświęca jej uwagę, podejmuje za nią decyzje.

— Zadaje się, Leonio, że ma pani jakieś kłopoty. Może powie mi pani, o co chodzi.

W niskim głosie mężczyzny słyszała zrozumienie i jak zahipnotyzowana patrzyła w jego ciemne oczy. Szampan przepływał przez jej żyły i szumiał w głowie.

— Po prostu wszystko mi się ostatnio nie wiedzie... Wszystko.

Widać było, że zbiera jej się na płacz. Mężczyzna pochylił się nad stołem i ujął jej rękę.

— Cóż, zawsze dobrze w takim przypadku porozmawiać, a jestem pewien, że nie ma pani z kim.

Rzeczywiście, nie ma do kogo się zwrócić. Nie ma nikogo poza Bébé. Spojrzała na kotkę. Przycupnięta pod jej krzesłem, wylizywała łakomie łososia ze srebrnego talerza, pochłonięta bez reszty własną przyjemnością. Dobrze, że chociaż Bébé jest szczęśliwa.

Zaczęła mówić. Chwilami szemrała tak cichutko, że musiał przysunąć blisko głowę, by wyłowić coś z beładnej mieszanki rozdygotanych słów.

— Proszę zacząć od początku, Leonio — powiedział miękko.

Całe opowiadanie zajęło jej mniej czasu niż przypuszczała. Zaskakujące, jak słowa pomniejszają marzenia, obawy i ból, redukując je do trzydziestominutowej relacji. Talerze z ostrygami stały nietknięte i Gilles dał znak kelnerowi, by je wymienił.

To była wielka ulga. Poczowała się oczyszczona, uwolniona od wszystkich swoich tajemnic. Rupert odszedł i ona musi się z tym pogodzić. Nie ma się co dłużej łudzić. Ale nie ma też potrzeby umierać. Zacznie wszystko od początku, znajdzie nową pracę. Pan de Courmont pomógł jej, bo ją wysłuchał. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Dziękuję panu. — Chwyciła go impulsywnie za rękę. — Musi się to panu wydawać niemądre. Zwyczajna rzecz. Historyjka, jaka zdarza się tysiące razy każdego dnia.

— A teraz — spytał, całując ją w rękę — teraz, kiedy tamto się skończyło... znów się pani zakocha?

— Nigdy! — odparła z emfazą.

Uśmiechnął się, gdy kelner stawiał przed nimi świeże porcje ostryg.

— Cóż, może w takim razie zaczniemy jeść.

Leonia leżała w wielkim łóżku, a zwinięta obok na poduszce Bébé mruczała miękko, choć już nie spała. Była godzina przed-świt. Niebo przesłaniały szare mgły, a powietrze przejmowało chłodem, gdy wyzębione przez noc morze czekało na słońce. Leonia patrzyła przez okno. W głowie miała zamęt. Była zaskoczona, gdy wsadził ją do dorożki. Spacerowali brzegiem morza i patrzyli w gwiazdy, a ona opowiadała o swoim dzieciństwie. Mówiła o tym, co słyszała na temat nieuchwytnego ojca, wspominała Normandię, gdy niespodziewanie skinął na dorożkę. Pomógł jej wsiąść i podał jej Bébé.

— Pan ze mną nie pojedzie? — zapytała niemądrze, gdy płacił, tłumacząc dorożkarzowi, gdzie ma ją zawieźć.

— Raczej nie — odparł i skinął jej ręką na pożegnanie.

Dorożka ruszyła i Leonia odwróciła się, by popatrzeć za nim, gdy szedł przez opustoszały plac. Czowała się zawiedziona. Czy to

znaczy, że nie chce się więcej z nią spotkać? Zdumiało ją, że stawia sobie takie pytanie. Przecież jest zakochana w Rupercie. Nie pocałował jej, nawet nie objął. Nie wykonał najmniejszego gestu; był po prostu miły i pełen zrozumienia.

Przewracała się, nie mogąc zasnąć, gdy ukazały się pierwsze promienie słońca i niebo zamieniało szarość na kryształowy błękit. Czy chciała, by ją pocałował? Czy właśnie to tak ją rozczarowało? Ależ nie, z pewnością nie! Odrzuciła z gniewem tę myśl. Tylko dlaczego już samo wyobrażenie dotyku jego ust nappełniło ją takim podnieceniem i wywołało drżenie? Ależ jest głupia. Był dla niej miły, a ona odczuła wdzięczność dla człowieka, z którym mogła porozmawiać i który ją zrozumiał. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczy. Ptaki zaczęły się budzić, gdy zapadała w sen. Po raz pierwszy nie marzyła o Rupercie.

12.

Obudziła się późno i przez cały dzień była rozdrażniona. Pani Frenard, równie uprzejma jak zawsze, przyniosła jej kawę i świeże bułeczki, ale nie miała chęci na jedzenie. Wyciągnęła spod poduszki pięć franków i razem z tymi, które będąc w kasynie trzymała w pończosze, dała jej na częściowe pokrycie kosztów swego utrzymania.

— Znajdę sobie pracę — zapewniła kobietę. — Wkrótce będę mogła pani zapłacić.

Z biegającą z ożywieniem pod jej nogami Bébé wędrowała białą drogą wokół *Saint-Hospice*. Myślała o panu de Courmont.

— Gilles — powiedziała głośno i kot zatrzymał się zdziwiony. Gilles. Jakoś niezręcznie, zbyt poufale w stosunku do hrabiego. Lepiej jednak „Monsieur”. Zeskoczyła ze skarpy. Trzymała zakurzone stopy w chłodnej wodzie rozlewiska i obserwowała Bébé, jak zanurza odważnie łapkę, daremnie usiłując złapać jakąś rybę i dosięgnąć niezliczonych morskich stworzeń, kryjących się pod zielonymi wodorostami. Często przychodziła tu z Rupertem. Pamiętała, jak wyciągnięty na brzuchu wpatrywał się w rozlewisko, zafascynowany obfitością kłębiącego się tu życia. Potem kochali się za wydmami. Wokół nie było żywej duszy, a nad sobą mieli tylko błękit nieba. Zadrżała. Wspominała nagość w słońcu, rozgrzanie i pot, miłość i miękkość wokół, jakby byli częścią ziemi, którą mieli pod sobą. Zatrzymała się raptownie. Nie chciała o tym myśleć.

— Chodź, Bébé — zawołała. — Czas na obiad. Obawiam się tylko, że dziś lososia nie będzie.

W kuchni pomagała pani Frenard przygotować wielki *tian* cukinii, oberżyny i pomidorów, wszystko z produktów zerwanych na zboczu wzgórza za domem. Przyprawiła półmisek czosnkiem i gałkami dzikiego tymianku, po czym skropiła oliwą, dopiero co wytłoczoną na podwórzcu z ich oliwek. Gdy wszystko to piekło się w kuchni, z rozkoszą wdychała unoszący się nad tarasem cudowny aromat, zadowolona że wreszcie zajęła się czymś pożytecznym. Pan Frenard przyrzekł jej, że zabierze ją w przyszłym tygodniu do Nicei, by mogła poszukać sobie pracy.

Siedziała z Frenardami popijając *pastis* i grzejąc się w ostatnich promieniach wieczornego słońca, gdy podjechała dorożka z listem do niej. Pośpiesznie przebiegła go oczami. Niemał oficjalny, nie zawierał nawet śladu jakichkolwiek uczuć. Z pewnością nie był to list miłosny. Po prostu sucha informacja, że pan hrabia oczekuje jej na kolacji o ósmej trzydzieści w hotelu *Metropol*.

Pobiegła do pokoju. Przerzucając pośpiesznie zawartość skromnej garderoby, zastanawiała się gorączkowo, co włożyć. Wreszcie wybrała białą bluzkę, wykończoną przy dużym owalnym dekolcie *broderie anglaise*. Była wprawdzie dość prosta, ale odślaniała szyję i ramiona i Leonia miała nadzieję, że będzie to odpowiedni strój na wieczór. Biała spódnica nie była wystarczająco elegancka, zdecydowała się więc na ciemnoróżową. Z bursztynowym szalem wokół talii wyglądała ładnie; choć niecodziennie, zestawienie kolorów było dobre. Ucięła kawałek różowej aksamitki Bébé i związała ją sobie na szyi. Pasowała doskonale do spódnicy, a falbana bluzki wydłużała jej szyję, przydając zarazem elegancji. Przy takim zestawieniu musiała upiąć włosy do góry, ale tym razem zrobiła to starannie, układając na czubku gładkie blond fale i umacniając fryzurę długimi szpilkami.

Tak powinno być dobrze. Obejrzała wynik swych zabiegów w lustrze, mając nadzieję, że mu się spodoba. Bébé patrzyła na nią wyczekująco ze swego kącika na parapecie.

— Oczywiście, że pójdziesz — wykrzyknęła roześmiana Leonia. — Nie martw się, Bébé.

Dopiero później, gdy siedziała już w toczącej się do Monte Carlo dorożce, zaczęła się zastanawiać, czy powinna była jechać. Czy nie nazbyt szybko się zgodziła. Powinien poprosić ją dzień wcześniej. Zmarszczyła się zła na siebie, iż tak łatwo dała mu sobą rozporządzić, i na niego za jego pewność, że ona przyjdzie.

Lokaj czekał na nią na schodach hotelu.

— Pan hrabia oczekuje pani, mademoiselle. — Skłonił się przed nią uniżenie. — Proszę tędy.

Wokół ocienionego markizami tarasu ciągnął się długim pasem gładki, obsadzony palmami trawnik i szedł dalej, wijąc się nad brzegiem zatoki niczym naszyjnik na czarnym pluszu w oknie wystawy jubilera, by zniknąć gdzieś w odległych światłach. Gilles wstał, gdy szła ku niemu. Zapomniała, że jest taki wysoki. Mocno uściśnęła jej rękę.

— Bardzo się cieszę, że pani przyszła.

— Tylko nie jestem pewna, czy powinnam — powiedziała, sadzając Bébę na krzesło obok siebie.

— O, a dlaczegóż to? — spytał z leciutkim, lekko złośliwym uśmiechem.

— Czy nie jest bardziej przyjęte zapytać kobietę, czy chciałyby pójść na kolację?

— Jestem zajęтым człowiekiem, Leonio. Nie zawsze rządę swoim czasem. — Wzruszył ramionami. — Dziś wieczór jestem wolny. Przecież chciała pani przyjść, prawda?

Przy tych słowach pochylił się nad nią, a ona patrzyła w ciemne oczy mężczyzny, czując jego bliskość, mając świadomość szerokości jego barków i złożonej na jej ramieniu ręki.

— Tak — przyznała.

— W porządku. — Odsunął się i usiadł naprzeciw niej. — Bardzo się cieszę, że jest pani tutaj. Czy znów zaczniemy od szampana?

Kolacja toczyła się wolniej i spokojniej, a on zabawiał ją opowiadaniem o podróży do Nowego Jorku i Chicago oraz o odmienności życia Amerykanów. Znów sam dokonał wyboru menu dla nich obojga, namawiając ją, by spróbowała kawioru.

— Może kiedyś to polubię — rzekła z powątpiewaniem.

Niewątpliwie smakował jej natomiast zamówiony przez niego kurczak, nadziewany ryżem, rakami i truflami. Jadła z takim apetytem, że zaproponował, iż zamówi jeszcze.

— Och nie, proszę — pokręciła głową speszona.

Wspomniała *tian* u Frenardów i jego piękny zapach. Śmiejąc się powiedziała mu, jak go przygotowywała.

— Oczywiście, nie da się go nawet z tym porównać — dodała.

— Dobre jedzenie jest jak uroda — rzekł. — Wymaga jedynie dodania właściwych i odpowiednio skomponowanych przypraw. Może zrobi to pani dla mnie któregoś dnia?

— Nie jestem pewna, czy będzie panu smakowało — odparła. — Pan jest przyzwyczajony do znacznie lepszych rzeczy.

— Czy pani wie, że w Paryżu, gdy jadam obiad u *Ritza*, zawsze zamawiam to samo? Omlet.

Leonia spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Ale dlaczego, przecież pan może jeść wszystko, co tylko zechce!

— Może właśnie dlatego.

— Myślę, że rozumiem — powiedziała, choć wcale nie była tego pewna.

Przyglądał jej się, popijając wino. Z lekko zaokrąglonymi choć zarazem tak delikatnymi złotymi ramionami i wielką grzywą blond włosów przypominała fantastyczne płowe zwierzątko. Popatrzył na szerokie, pełne usta, ukazujące w uśmiechu równe, mocne zęby oraz koniuszek różowego języka, gdy tak jak teraz oblizywała wargi. Wyobraził sobie brylanty w pięknych uszach, brylanty obejmujące cudowną szyję i zdobiące palce, pomyślał o puszystości futra na skórze tej dziewczyny. Miał chęć poderwać się i zdobyć to wszystko natychmiast, zobaczyć ją naga, jedynie w klejnotach i kosztownym, ciemnym futrze.

— Niech mi pani powie, Leonio — zaczął ujmując jej rękę — czego najbardziej pani pragnie? Co sprawiłoby pani największą przyjemność?

Odpowiedź przemknęła przez jej głowę natychmiast. Aby Rupert wrócił! Jednak nie, nie tego pragnie. Teraz już wie, jest pewna.

— Chciałabym mieć swój dom — powiedziała. — Nigdy właściwie nie miałam domu, miejsca, które byłoby naprawdę moje. Dla mnie dom to takie miejsce, które czeka na człowieka, miejsce schronienia. Jak ten stary zajazd. W pewien sposób — dodała

zamyślona — czuję, że tam właśnie jestem u siebie. Tam mam wrażenie, że jestem w domu.

Gilles był zupełnie zaskoczony. Myślał, że usłyszy o biżuterii, pieniądzach i jachtach. Czyż nie tego chce większość z nich? A tymczasem u niej wszystkie pragnienia ograniczają się do tego, by mieć dom!

Leonia znów odjeżdżała do domu sama. Pomachała mu ręką na pożegnanie, gdy dorożka ruszyła, a on znów nawet słowem nie wspomniął o następnym spotkaniu. Ale następnego dnia, gdy dochodziła szósta, a potem szósta trzydzieści, uświadomiła sobie, że czeka, nasłuchując turkotu dorożki od strony drogi przed zajazdem. O siódmej doczekała się. Tym razem czytała list z uśmiechem. Świeżo wykrochmalona, odprasowana spódnica czekała na łóżku. Leonia zapinała gorączkowo guziki, myśląc jednocześnie, jak bardzo przydałoby jej się coś z jedwabiu, by nie musiała wkładać zawsze tego szorstkiego płótna. Wyobraziła sobie zadziwiająca czerwoną jedwabną kreację z mocno dopasowanym, wyciętym stanikiem i spurpurowiała. Uświadomiła sobie nagle, że chce wyglądać bardziej ponętnie i pociągająco. Co jej przyszło do głowy? Rupert znienawidziłby ją w tym czerwonym jedwabiu.

Druga bluzka, którą miała, była czarna, surowa, z wysoko zachodzącym na szyję kołnierzykiem. Było jej gorąco i niewygodnie, gdy ubrana w nią siedziała w wielkiej sali jadalnej hotelu *Hermitage*. Musiała wytrzymywać w foyer spojrzenia eleganckich kobiet w koronkach oraz obwieszonych biżuterią matron przy innych stołach. Poczula się biedna i pospolita; żalowała, że przyszła. Hrabia spóźnił się i siedziała sama przy stole, pijąc wodę ze szklanki. Odmówiła przygotowanego już uprzednio szampana. Nie chciała pić bez niego. Znudzona Bébé zasnęła pod stołem.

— Przepraszam panią, ale pan hrabia się spóźni — poinformował ją pełen szacunku kierownik sali. — Prosił, aby zaczęła pani bez niego. Przyjdzie, jak tylko będzie wolny. Zrobił już dla pani zamówienie, madame.

— Ale...

— Tak, madame?

— Och, nic...

Nie miała chęci siedzieć tu i jeść pod ostrzałem tych wszystkich spojrzeń, ale skoro on powiedział, że powinna zacząć bez niego, nie ma wyjścia. Czowała się okropnie głupio, siedząc tu sama.

Kelner przyniósł pasztet w galarecie, barwnie udekorowany na srebrnym półmisku. Odkroił kształtny płat i położył przed nią. Leonia patrzyła w talerz żałośnie.

— Czy smakuje pani pasztet, madame?

— Tak... tak, dziękuję.

Wzięła pospiesznie kawałek na widelec i spróbowała. Był rzeczywiście doskonały, ale napięcie nie pozwalało jej jeść.

Kelner usunął talerz, gdy tymczasem drugi podtoczył do stolika duży wózek, pełen wyszukanych przekąsek.

— Czy życzy sobie pani wybrać?

— Nie, raczej nie, dziękuję.

Wymyślność tych przekąsek przeraziła ją; nie wiedziała, czy należy brać je palcami, czy też posługiwać się nożem i widelcem. Poza tym tyle tu było sztućców! Wszystko wydawało się takie proste w jego obecności; nie czuła się tak jak teraz, nawet o niczym nie myślała. Gdzie on się podziewa?

— Pani pozwoli, że jej pomogę.

Kelner zaczął nakładać na talerz. Ułożył porcję delikatnych rybek, laseczki szparagów, zwijane mięsa oraz nadziewane śmietankowym serkiem winogrona, *pastę* z oberżyną i piękne koszyczki karczochów. Nie ruszyła niczego. Nie wiedziała, co z tym zrobić.

Po dziesięciu minutach talerz został zabrany i *sommelier* zaproponował jej wino.

— To bardzo dobry rocznik, madame — powiedział, pokazując jej etykietkę. — Pan hrabia doskonale zna się na winach.

Leonia siedziała sztywno, gdy otwierał butelkę. Nie poruszyła się, kiedy nalał jej trochę do kieliszka. Nie miała chęci na żadne wino. Pragnęła tylko móc znaleźć się z powrotem w domu. Zdawała sobie sprawę z wygłaszanych szeptem uwag i ze spojrzeń rzucanych na nią od innych stolików, gdzie siedzący w czteroosobowych lub większych grupach goście jedli kolację. Każdy był w jakimś towarzystwie, tylko ona jedna była sama i najwyraźniej tu obca. Z pewnością wszyscy zastanawiali się, kim jest i co tu robi.

— Czy nie zechciałaby pani spróbować wina — przypomniał lekko zniecierpliwiony kelner.

— Co? — Podniosła na niego przestraszone oczy.

— Proszę spróbować wina, madame.

Leonia podniosła kieliszek obojętnie.

— Tak... bardzo dobre.

Napełnił jej kieliszek, a owiniętą nieskazitelnie białą serwetką butelkę odstawił na bok.

Zapragnęła uciec, schować się w pokoju dla pań, ale nie wiedziała, gdzie się znajduje, a wstyd nie pozwalał jej zapytać. Poza tym znaczyłyby to konieczność przejścia obok tych wszystkich stołów, znad których na nią popatrywano. Jeśli odejdzie, to po to, by uciec i nie wrócić. Po prostu wstać i pójść do drzwi, mówiła sobie, to wszystko.

Znów obsługa zajęła się jej stołem. *Maitre d'hôtel* z dwoma podręcznymi ustawił małą spirytusową maszynkę. Kelnerzy wnieśli na platerowanych półmiskach sześć różnych gatunków świeżych jarzyn i zaczęli nakładać, pytając oszolomioną dziewczynę o pozwolenie. *Maitre d'hôtel* w tym czasie rozgrzewał szybko na maśle pokrojone w platy mięso, podlewał je śmietanką, dodając zielonego pieprzu, skropił szczerze podgrzanym koniakiem, zapalił, a gdy płomień zgasł, zgarnął mięso na wygrzany talerz.

— Życzę smacznego, madame — rzekł.

Leonia siedziała ze spuszczonymi oczami, starając się nie patrzeć na jedzenie. Było jej niedobrze. Dałaby wiele za to, aby być gdziekolwiek indziej, tylko nie tu.

— Leonia!

Wreszcie przyszedł. Z uczuciem ulgi chwyciła jego rękę.

— Smakuje pani kolacja? — Podniósł butelkę do światła. — Tak, *Leoville*... Dobre wino, nie sądzi pani?

Zajął miejsce i nawet jednym słowem nie usprawiedliwił się, że przyszedł tak późno. Patrzyła na niego zdumiona.

— Ależ ja czekałam na pana... Myślałam, że pan już nie przyjdzie...

— Mówiłem pani, że nie zawsze dysponuję swoim czasem. Jednak już jestem. — Uśmiechnął się i ujął ją za rękę. — Jaka zimna! Powinna pani jeść!

— A pan?

Skinał na kelnera.

— Proszę przynieść mi winogrona nadziewane serkiem i wodę *Evian*.

— Tak, proszę pana.

— Nie będzie pan jadł kolacji? — zdziwiła się, wskazując na półmisek z mięsem zatopionym we wspnianym sosie, na barwne jarzyny, mieniące się pod masłem niczym klejnoty.

— To dla pani — odparł. — Chciałbym, aby kolacja sprawiała pani przyjemność nawet wtedy, gdy mnie tu nie ma. Nie jestem głodny.

Wpatrywała się w swój talerz jak małe, urocze, nadaśane dziecko, które nie chce jeść mięsa.

— Śmiało! — Uśmiechnął się. — Jestem pewien, że jest wspaniale. To jedna z najlepszych restauracji na wybrzeżu.

Spróbowała. Było rzeczywiście dobre, a sos jeszcze delikatniejszy, niż przypuszczała. Ludzie w dalszym ciągu na nich patrzyli, ale teraz nie miało to już znaczenia. Odetchnęła. Wszystko jest w porządku. Teraz on tu jest.

Każdego ranka biegła do skrzynki pocztowej przy drodze, wciąż mając nadzieję, że znajdzie list od Ruperta. Ale nie przychodził, nie pojawiał się też list od Karo. Jak musi mną pogardzać, myślała Leonia, gdy w oczekiwaniu na listonosza siedziała na białym kamieniu przy prowadzącej do zajazdu ścieżce. Musi mnie nienawidzić za to, że tak uciekłam i nawet z nią nie porozmawiałam. Przecież to moja przyjaciółka, uratowała mnie, gdy byłam w rozpaczy. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Rupertem w moim imieniu i dowiedzieć się, co się dzieje. Bała się jednak, że sama to wie doskonale. Na dnie jej świadomości majaczył obraz Puschi, roześmianej blondynki o różowych policzkach, która uwielbiała konną jazdę oraz wszelkie zabawy; panią mieszkającą w zamku, pięknej zaczarowanej księżniczki, czekającej aż przyjedzie książę, by ją poślubić. Pogodziła się z tym, że Rupert nie wrócił, ale nie mogła znieść bólu. Poza tym dlaczego jej nie powiedział? Powinien napisać, wyjaśnić jej wszystko. Nie mogła go winić za to, że powrócił do Puschi. Rodzina musi być zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze tak jest w rodzinie.

Spostrzegła, że każde popołudnie spędza na wyczekiwaniu i zastanawianiu się, czy dorożka przyjedzie, a gdy już przyjeżdżała wieczorem, podekscytowana tajemniczym charakterem pana hrabiego oraz ich spotkaniami, odbywającymi się za każdym razem w innym miejscu, zapominała natychmiast o Rupercie. Znikał w chwili, gdy przeistaczała się w dziewczynę wspartą na ramieniu Gillesa de Courmonta, człowieka, przed którym snobistyczni *maitres d'hôtel* otwierali drzwi, nalewali mu wino, wokół którego krążyli kelnerzy, służący ustawiali przed nim kwiaty, a ludzie schodzili na bok, by dać mu przejście. Wszystko to było nadzwyczaj ekscytujące i on był ekscytujący. Przy tym nigdy nie był taki sam. Każdego wieczoru wydawał się inny. Czasem współczujący i wyrozumiały, innym razem daleki i roztargniony; czasem zabawny, innym razem milczący i czujny, tak jak na przyjęciu. Podobało się jej, że przy nim staje się bardziej świadoma swej własnej fizyczności. Wyczuwała najłżejsze drgnienie jego ręki na swym nagim ramieniu, gdy prowadził ją do restauracji, oddech na policzku, gdy pochylał się, by coś powiedzieć, siłę ukrytą w barczystej postaci.

Myślała o tym, gdy wczesnym rankiem któregoś dnia leżała na ciepłym piasku. Wróciła tak późno, że nie chciało jej się kłaść do łóżka. Siedziała najpierw w oknie, czekając na świt, po czym zbiegła na plażę, zrzuciła ubranie i wzdrygając się cała przy zetknięciu z chłodną wczesnym porankiem wodą, zaczęła się pluskać. Zawsze podniecało ją pływanie nago i Rupert śmiał się z niej. Przecinała wodę mocnym kraulem. Z wdziękiem pokonała szybko zatokę. Czuła pod sobą rozkołysanie wody, unoszącej jej piersi i rozsuwającej nogi. Tak, jest na pewno pociągająca dla Gillesa de Courmonta. No dobrze, zadała sobie pytanie, gdyby mogła teraz wybrać — Rupert czy „monsieur” — kogo bym wybrała? Pieszczotę czyich rąk? Smak czyich ust? Czyje ciało obok swego? Zanurkowała. Znała odpowiedź.

Tego wieczoru wcześniej wyszykowana siedziała na tarasie, patrząc na niebo i piękny biały jacht, przycumowany w zatoce. Dorożka przyjeżdżała zazwyczaj o siódmej. O siódmej piętnaście weszła do pokoju, poprawiła włosy, po czym powróciła na krzesło na tarasie. O siódmej trzydzieści zaczęła chodzić niespokojnie,

a o ósmej była już zmartwiona. O dziewiętej trzydzieści nadal siedziała tam ze śpiącą na jej kolanach Bébé i szklanką *pastis* w zziębniętej ręce. Po godzinie zrozumiała, że po raz pierwszy od dziesięciu dni dorożka po nią nie przyjedzie. Patrzyła na mrugające w ciemnej zatoce światła, zastanawiając się, czy to jego *Bel Ami*. Próbowwała go usprawiedliwiać. Na pewno jest zajęty; często mówił, że nie zawsze może dysponować swoim czasem. „Jutro wieczorem będzie na pewno, Bébé”. Wzięła kotkę na ręce i weszła do pokoju. Rozbierała się powoli, odwieszając starannie sukienkę, by była gotowa na jutro.

Długo trwało, nim udało jej się usnąć, i to nie Rupert zaprzętał jej myśli.

Verroneta zmęczyło już to jeżdżenie: pociągiem między Paryżem a Niceą i kursowanie wybrzeżem do Monte Carlo. Na de Courmonta czekają w Paryżu, i on dobrze o tym wie. Przez te ciągle podróże interesy są zaniedbane. Zainwestował wiele w połączenie kolejowe z Rosją, i w tym tygodniu pojawią się u nich ludzie stamtąd, poza tym — co najważniejsze — jest jeszcze przemysł automobilowy, w który de Courmont tak mocno się zaangażował, i kluczowe rozmowy z przedstawicielami tego przemysłu z Chicago planowane na przyszły tydzień. Verronet pomyślał, że przynajmniej raz jego pracodawca zainteresowany jest czymś innym, niż robienie pieniędzy — produkcją samochodów. A teraz przez tę dziewczynę wszystko się wali. Czy de Courmont wyobraża sobie, że wszyscy przybędą jak jeden mąż do Monte Carlo, by nie musiał tracić jej z oczu? Jeszcze nie ma jej dość?

Na statku udał się wprost do dużego salonu. De Courmont już czekał.

— Przejdźmy od razu do interesów — rzucił niecierpliwie. — Mam spotkanie o trzeciej.

Wertując papiery podejmował szybkie decyzje, podnosząc przy tym kwestie, które wydawały się ukryte za skomplikowanym językiem kontraktów. Verronet patrzył na niego z podziwem. Bez względu na to, co się dzieje, hrabia zawsze zachowuje przytomność umysłu.

— Przyjadę do Paryża pod koniec tygodnia na jeden dzień, by spotkać się z Rosjanami — oświadczył de Courmont. — Myśle

jednak, że Amerykanów ściagniemy tutaj. Damy im nieco rozrywki — spodoba im się tutejsza orkiestra i kasyno. Wie, że wyciągnie z tego korzyści, pomyślał oszołomiony Verronet. Zawsze dokładnie wie, co należy komuś dać, jak osłodzić przynętę.

De Courmont wyszedł z biura notariatu miasta Nicei i ruszył po kocich łbach wąskiej uliczki. Był bardzo zadowolony. Wszystko układało się dokładnie tak, jak sobie zaplanował. To zawsze daje satysfakcję. Skreślił na główny bulwar i zatrzymał się przed wystawą jubilera. Pierścionki i naszyjniki, bransolety i broszki, nabijane rubinami papierośnice i zroszone brylancikami złote woreczki — wszystko, co może skusić kobietę. Zastanawiał się, co mogłoby skusić Leonię. Pchnął drzwi i wszedł do środka, wyobrażając sobie zaskoczenie dziewczyny, kiedy da jej klejnoty. Jak będzie wyglądała, gdy je założy; przewidywał łyzy radości i puszenie się zaspokojonej kobiecej próżności wywołanej mieniącymi się drobiazgami. Może jeszcze nieco cichszy płacz, gdy pozwoli się uwieść. Oczekiwanie to najcudowniejsza rozkosz, myślał oparty niedbale o oszkloną ladę, podczas gdy jubiler wyciągał kolejne tace z biżuterią.

Minęło już sześć dni i każdego wieczoru Leonia przyszykowana do wyjścia czekała na dorożkę. Dorożka jednak nie przyjeżdżała i pani Frenarti zaczęła się już o nią martwić. Nie tak jak wtedy, gdy odjechał Rupert; kiedy bali się, że dziewczyna zrobi sobie coś złego. Teraz niepokoiła ją złość dziewczyny. Leonia wprost wrzała; miotała się po tarasie całymi godzinami, kipiąc gniewem.

— Niech go szlag! — wykrzykiwała do bezchmurnego nieba. — Czego ten człowiek chce ode mnie!

— Nie wolno pani mówić takich rzeczy — protestowała zaszokowana kobieta. — Zobaczysz pani, on wróci.

— O tak, na pewno! — prychnęła Leonia. — Tak samo jak Rupert. Wypadła gwałtownie na drogę biegnącą wokół przylądka, nadal ciskając w niebo swą złość. Po godzinie wróciła zawzięta i ponura; bez jednej łyzy. Bébé patrzyła na nią ze swego stałego miejsca na parapecie.

Leonia podrapała ją w łepkę i uśmiechnęła się.

— Ach ty — westchnęła. — Umiesz czarować... — Powinnaś i mnie tego nauczyć.

Poszła pokornie do kuchni, by przeprosić panią Frenard i pomóc jej przygotować posiłek. Teraz przynajmniej pracuje na swoje utrzymanie; stała się lubianą przez przychodzących tu jadać miejscowych kelnerką. Z powrotem w punkcie, z którego zaczęłam, myślała ironicznie.

Nie usłyszała zbliżającej się dorożki. Był to pierwszy wieczór, kiedy już nie nasłuchiwała, i gdy dorożkarz pojawił się w drzwiach, oniemiała zaskoczona. Wycierając ręce w fartuch patrzyła z niedowierzaniem na zaadresowaną znajomym charakterem kopertę. Znów po mnie przysłał, pomyślała. Powinna wszystko rzucić, włożyć najlepszą sukienkę i pobiec, dając mu możliwość zaspokojenia perwersyjnej zachcianki odgrywania roli hrabiego, wyrzucającego małą służącą.

O, nie! Szlag ją trafi, jeśli pójdzie! Oddała list nie otwierając.

— Proszę powiedzieć panu hrabiemu — powiedziała drżącym głosem — że mademoiselle Leonia nie przyjmuje jego zaproszenia. Jest zbyt zajęta, by się z nim spotkać.

— Ależ mademoiselle...

Odwróciła się, a mężczyzna stał w progu z półotwartymi ustami.

— To wszystko — dorzuciła sucho, wracając do kuchni.

Pani Frenard patrzyła, jak dziewczyna sztywnieje. Wzdychając mieszała perkoczającą na kuchni sos pomidorowy. Czy tej biednej dziewczynie nic się nie ułoży?

Następnego dnia dorożka przyjechała w czasie śniadania i tym razem wysiadł z niej młody mężczyzna.

— Mam osobiście wręczyć pani te dokumenty — powiedział gładko. Skłonił się i ruszył z powrotem ścieżką.

— Proszę poczekać — zawołała Leonia. — Czy ma być odpowiedź?

— Nie, mademoiselle. Nie jest potrzebna — odpowiedział i zawrócił w stronę miasta.

Zabrała papiery i poszła przeczytać na plażę. Pismo hrabiego było wyraźne i surowe, litery nie miały żadnych zawijasów ani zaokrągłeń, a słowa były równie proste.

Żałuję, że nie mogła pani zjeść ze mną kolacji, zwłaszcza że przyjechałem tylko na jeden wieczór. Miałem nadzieję wręczyć to pani osobiście; może ten podarunek da pani więcej szczęścia, niż dała pani miłość.

Patrzyła ze zdziwieniem na niewielki pakiet dołączony do listu. Wreszcie otworzyła pośpiesznie, pociągając niecierpliwie za wstążeczkę i piękny kredowy papier.

„Tytuł własności na posiadłość znaną jako *LA VIEILLE A UBERGE*, wraz z dziesięcioma hektarami ziemi przylegającymi do Zatoki...” Leonia przebiegła oczami tekst i zatrzymała się u dołu strony, „...na nazwisko Leonii Bahri”. Jej nazwisko! Akt własności zajazdu. Na jej nazwisko. Przypomniała sobie, że pytał ją, czego najbardziej pragnie, a ona odpowiedziała, że własnego domu. Takiego jak stary zajazd.

Podarował jej dom. Skinał czarodziejską różdżką i jej marzenia się spełniły. Otrzymała dom od człowieka, który zamawia tylko omletry, ponieważ nie znajduje niczego, na co miałby chęć, co wzbudzałoby jego pragnienia.

Popatrzyła na zajazd. Przsadzisty, solidny, czysto wybielony, stał na tle oliwkowych drzewek. Wiedziała, że Frenardowie, jak przedtem ojciec pana Frenard, dzierżawią zajazd od mieszkającego w Nicei właściciela. Teraz nagle ona stała się jego właścicielką.

Usiadła na piasku i wpatrując się w dokument, przesuwając palcem po miejscu, gdzie wypisane było jej nazwisko. Jest właścicielką posiadłości. Zajazd należy do niej. A co z tymi wszystkimi wieczorami, które spędziła na daremnym wyczekiwaniu? Nie dostała żadnej wiadomości, żadnego wytłumaczenia. Wiecznie czekasz, powiedziała sobie, czekasz na powrót Ruperta, czekasz na przybycie dorożki... Czekasz na najmniejsze skinienie mężczyzny, dodał cichy głos, przyczajony na dnie świadomości. Spojrzała ponownie na dokumenty; niczego nie dawały do zrozumienia. Mężczyźni są zawsze tacy sami — w chwili, gdy się zgodzisz, ulegniesz, jesteś ich własnością. Poderwała się gwałtownie.

Oczywiście, że je oddam — oświadczyła Bébé. Znajdę pracę! W kawiarni, w kabarecie, jeśli będę musiała, ale nikt mnie nie kupi!

13.

Był pewien, że wie, jak ona zareaguje. Nadchodziła pora obiadowa i siedział na tarasie *Café Riche* w Monte Carlo, wyobrażając sobie jej wygląd, uczucia, które będą przemykały przez piękną brzoskwiniovą twarz. Zaskoczenie, oszołomienie, niedowierzanie, podekscytowanie, pewnie też złość, i może trochę obaw. Wiedział, że musi go teraz nienawidzić. Rozbudził jej złość, z rozmysłem ignorując ją przez cały tydzień, gdy zobaczył, z jakim zadowoleniem przyjmuje rozpieszczanie i świadomość, że jest pożądana. Uśmiechnął się do swoich myśli. Jeśli dobrze wszystko wyliczył, właśnie teraz rozpaczliwie pragnie się z nim spotkać. Nie potrafi czekać, zawsze postępuje impulsywnie. Tylko co ona ma zamiar teraz zrobić? Czy rzuci mu w twarz akt własności, wykrzykując obelgi pod jego adresem? Czy też zarzuci mu ręce na szyję i zacznie całować? Westchnął z zadowoleniem — każda jej reakcja będzie dla niego dobra. Wiedział, że w końcu ją zdobędzie.

Jakby w odpowiedzi na zawołanie Verronet przemierzał pośpiesznie taras.

— Mademoiselle Leonia jest na pokładzie, panie hrabio.

Hrabia siedział przez chwilę w milczeniu, ciesząc się słońcem. Smakował oczekiwanie. Załoga znała jego instrukcje, wiedziała, co ma robić.

— Poproszę omlet — rzekł do przywołanego kelnera — i butelkę wody mineralnej.

Jest mnóstwo czasu, Leonia poczeka.

Leonia była tu już od godziny. Siedziała zdenerwowana w dużym salonie z szerokimi oknami wychodzącymi na mały, ruchliwy port. Salon był nieskazitelny — nawet za bardzo. Mógł należeć do każdego obdarzonego dobrym gustem bogatego człowieka. Nie było w nim niczego osobistego, żadnych oznak obecności dwóch małych chłopców, choć tak niedawno stąd odjechali, by udać się na wieś, do matki.

Nikt jej nie niepokoił, była sama, tylko zegar tykał na wielkim prostokątnym biurku, odmierzając mijające minuty. O pierwszej przyszedł steward, by przeprosić ją, że pana hrabiego jeszcze nie ma. Powinien zjawić się lada chwila; może madame życzy sobie zjeść obiad?

— Nie, nie, dziękuję — odparła. Mężczyzna uśmiechnął się i powiedział, że pan hrabia bardzo by na to nalegał.

Wypiła kieliszek szampana, by się uspokoić, potem drugi, gdyż pierwszy jej nie pomógł, wreszcie wyszła na pokład. Chodziła niestrudzenie po jachcie, pragnąc się przekonać, jaki jest jego „dom”, zobaczyć ślady obecności prawdziwego mężczyzny. Spodziewała się wystawności i luksusu, ale na nic takiego się nie natknęła. Jednakże ze wszystkiego emanował blask tego, co najlepsze — polerowany mahoń i błyszczący mosiądz. Wielki, nieskalanie biały statek.

Słońce paliło, więc Leonia wróciła do salonu. Zegar na biurku wskazywał drugą trzydzieści. Chyba powinna stąd odejść. Znów czeka! Zirytowała ją ta dokuczliwa myśl. A jednak musi zostać, musi zwrócić mu dokument własności, nim przyjdzie jej do głowy zmienić zdanie. Nie mogła znieść dłużej odgłosu zegara. Zajrzała do łączącego się z salonem pomieszczenia. Był to mały gabinet; pokryte papierami biurko, książki na wysokich półkach, lśniące deski podłogi z małym perskim dywanem w zgaszonym niebieskozielonym kolorze i głęboka kanapa pod oknem wychodzącym na morze. Nie dochodziło tu tykanie zegara i w panującej wokół ciszy słyhać było jedynie lekki plusk fal. Przysiadła na brzeżku kanapy w oczekiwaniu. Rozleniwiona szampanem i słońcem usiadła wygodnie, podkładając sobie poduszki; zastanawiała się, kiedy on przyjdzie.

Na kołyszącym się lekko na małej fali statku panowała całkowita cisza. Załoga została zwolniona na resztę dnia i nawet morskie ptaki miały sjęstę w pałącym słońcu wczesnego popołudnia.

Gilles znalazł ją w gabinecie. Spała na kanapie, obok niej leżały dokumenty. Wszedł i nalał sobie whisky. Zamyślił się. Jest taka młoda i taka piękna. Miał ochotę pocałować delikatne, przezroczyście powieki, niebieskie od delikatnej siateczki żyłek pod skórą. Czekał jednak.

Patrzył na nią, gdy się budziła, obserwując grę uczuć na jej twarzy. Speszenie, zaskoczenie, wreszcie ulga. Usiadła raptownie, pośpiesznie wygładzając spódnicę.

— Chyba zasnąłam.

— Myślę, że to po szampanie. I od upału. — Uśmiechnął się. — Przykro mi, że nie mogła pani jeść ze mną kolacji tamtego wieczoru.

— Ja przecież czekałam na pana! Cały tydzień! Byłam przekonana, że się zobaczymy.

Wzruszył ramionami, spoglądając obojętnie przez okno.

— Powiedziałem pani, że jestem człowiekiem pracującym i nie zawsze rozporządzam swoim czasem.

Miał rację. To głupie z jej strony oczekiwać, że będzie miał czas wyłącznie dla niej. Musi odbywać spotkania w interesach, załatwiać różne sprawy. Jest jeszcze żona i rodzina. Przypomnieli jej się dwaj mali chłopcy, siedzący nad lodami.

— Przyszłam, aby to panu oddać. — Wyciągnęła pakiet. — Jest pan bardzo uprzejmy, ale nie mogę tego przyjąć.

Ich oczy spotkały się i mężczyzna uśmiechnął się leciutko.

— Ale dlaczego, Leonio?

— To zbyt wiele..., to... Nie jest to prezent, który dziewczyna może przyjąć od mężczyzny.

— No cóż, miałem po prostu taką zachciankę. Prezent nie ma wielkiej wartości — to przecież tylko stary zajazd.

— Dla mnie jednak stanowi on coś znacznie większego.

— Tak. Na prawie własności figuruje pani nazwisko. Zajazd należy pani. Takie było pani marzenie.

Podeszła do niego, ponownie wyciągając dokumenty.

— Darowizna nie jest obwarowana żadnymi warunkami — powiedział, wdychając zapach jej włosów. Pachniały tak, jak sobie wyobrażał: świeżym morskim powietrzem i słońcem.

— Naprawdę? — spytała z niedowierzaniem. Czy mężczyzna daje kobiecie taki prezent, nie oczekując niczego w zamian? — Proszę jednak wziąć — powiedziała po chwili twardo, wciskając mu papiery.

— A więc sądzi pani, iż oczekuję, że odda mi się pani za ten podarek? — Oparł ręce na jej ramionach, patrząc jej w oczy. — Nie musiałem dawać pani zajazdu, by to zrobić. W każdej chwili mogłem panią uwieść.

Nacisk jego rąk był lekki, mogła odwrócić głowę i odejść, opuścić statek, ale nie zrobiła tego. Czekwała na jego pocałunek, a gdy poczuła jego wargi na ustach, przyjęła je tak, jakby to właśnie stanowiło prawdziwy powód, dla którego tu przyszła. Chciała, by się z nią kochał.

Przyciągnął ją bliżej i przyciskając mocno do siebie, badał jej usta, smakując ich słodycz i dotykając małego różowego języka. Przesunął rękami wzdłuż subtelnej linii pleców, wyczuł delikatne wgłębienie talii, a potem miękkie wzniesienia pośladków. Odchylił do tyłu głowę dziewczyny i zaczął całować jej szyję. Zapragnał gryźć jej uszy, chwycić za włosy i szarpnąć ostro, by jeszcze mocniej odgiąć jej głowę. Zapragnał wziąć gwałtownie i namiętnie — i natychmiast. Trzymając ją tak mocno, że czuł zaokrąglenie brzucha pod cienką letnią spódnica, wciskał się w nią coraz silniej. Wiedział, że ona również go czuje; jego twardość i podniecenie. Podniósł ją i przeniósł na kanapę. Dysząc, podniosła ręce i zacisnęła mu na karku. Tuż przy uchu słyszał namiętny jęk. Wiedział, co on oznacza, poznał już jego zwierzęcość. Potrzebowała tylko człowieka, który pokaże jej drogę. Nie mógł się nadziwić jej piękności. Rozpinając bluzę patrzył, jak ściąga przez głowę koszulę. Wstrzymał ją i przytrzymując uniesione ręce Leonii patrzył na dwie złote krągłości z wielkimi nabrzmiałymi, czekającymi na niego sutkami. Wpił się ustami w jej pierś, a ona targając jego włosy, przyciskała go do siebie coraz mocniej. Pragnęła, by to zrobił, by robił wszystko... wszystkie te cudowne rzeczy. Ukląkł między jej nogami i zapamiętując się w pieszczaniu jej piersi drażnił* je i gryzł, aż jęknęła cała rozdygotana. Poderwał się szybko, rozpiął jej spódnice i zsuwając ją z miękko zaokrąglonych bioder, przesuwiał drażniąco rękę wzdłuż ud dziewczyny. Siedziała przed nim naga, oczekująca. Zaczął zrzucać ubranie, a jej oczy ponaglały go. Gdy

ruszył ku niej, pochyliła się, chwyciła go drżącą ręką i zaczęła pieścić. Odepchnął ją i rzucił brutalnie na poduszki. Patrzyła na niego pociemniałymi z podniecenia oczami, gdy jego ręce szukały jej, otwierając to co najtajniejsze, głaskały i dręczyły, aż spłynęła podnieceniem. Pochylił się i zlizywał kobiecy sok, a ona krzyczała w ekstazie rozkoszy. Potem ją wziął i nie było w tym ani delikatności, ani czułości. Wbił się w nią szalejącą siłą i wszedł całą mocą, i gdy tarzali się na kanapie w rozedrganym połączeniu, wydał okrzyk triumfu.

Leżała w wielkiej czarnej wannie z onyksu w jego łazience i oglądała blade zasinienia, niewielkie ukąszenia na piersiach, utrzymujące się ciągle zaczerwienienie skóry od siły jego ciała i obrznięte, podrażnione miejsce między nogami; ślady ich miłości. Cudowne było to, co czuła w całym ciele. Było swobodne i pewne swej zdolności do dawania i brania rozkoszy. Myśl jednak zaprzątnięta była wspomnieniem Ruperta. Jak mogła to zrobić, skoro go kochała? Jak mogła zdradzić swą miłość? Ale z Rupertem nigdy tak nie było. Całą sobą chłonęła wtedy ciepło, uczucie i czułość, wyobrażając sobie, że to właśnie jest namiętność. Czy to ona się zmieniła, czy też zmienił ją „monsieur”? Dobrze jej było, gdy kochała się z Rupertem; leżała w jego objęciach pełna miłości, a jego ciało i ich zbliżenia sprawiały jej rozkosz. Nigdy jednak nie pragnęła robić tego, co robiła teraz. Nigdy nie przeżywała takiego szaleństwa. Nawet nie podejrzewała istnienia w sobie takich potrzeb i takiego pożądanego. Wszedł „monsieur”, a ona usiadła w rozkołysanej wodzie. Nie wolno jej było tego robić. Nie tylko zdradziła pamięć Ruperta, ale też postawiła się w fałszywym świetle. Zmusi go, aby wziął z powrotem akt własności.

Podał jej miękki szlafrok.

— Chodź do sypialni, chcę ci coś pokazać.

Wąskie łóżko pokrywała narzuta ze zwykłego niebieskiego płótna. W pokoju nie było najmniejszych śladów luksusu i Leonia stanęła zaskoczona. Sądziła, że ten zmysłowy mężczyzna będzie miał puszyste, mieniące się barwami dywany, srebrne lampy i aksamitne portierey. Tylko spuszczone zasłony chroniły przed

upałem, i gdyby nie najwyższa jakość znajdujących się tu przedmiotów, pokój byłby absolutnie spartański.

— Mam dla ciebie prezent. — Podał jej niewielkie pudełeczko.

— Prezent? — powtórzyła.

Więc jej oczekiwał! Patrzyła podejrzliwie na przedmiot w swoich rękach.

— Otwórz — powiedział. — To dla ciebie.

Wieczko gładkiego, zamszowego pudełeczka odskoczyło z lekkim trzaskiem, ukazując aksamitne granatowe wnętrze. Sznur drobnych brylantów rzucał wspaniałe ognie, załamując światło w tęczywch błyskach. W środku lśnił ostrym metalicznym błękitem duży gruszkowaty wisiorek. Gładki i zimny pod palcami kamień był krągły i wielki niczym korek w kryształowej karafce. Typowa biżuteria dla utrzymanki; ten rodzaj świecidełek, które obwieszczają wszystkim, że kobieta została kupiona, że mężczyzna za nią zapłacił. Leonia poczuła narastającą w niej wściekłość.

— Do diabła, mój panie — wykrzyknęła, odrzucając głowę i sztywniejąc jak dzikie zwierzę. — Niech pan zatrzyma te klejnoty i da je innej kobiecie. — Rzuciła naszyjnik na deski podłogi. — Nie musi pan płacić za otrzymane usługi. Daje to pan za nic! To też proszę zabrać! — Rzuciła na podłogę dokumenty. — Nie kupi mnie pan, monsieur! Nie jestem pańską własnością i nigdy nią nie będę.

Gilles wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ależ ja ci nie płacę, moja droga. To tylko zaliczka na poczet moich zysków. Zostań ze mną, Leonio. Będziesz miała dom w Paryżu; możesz mieć wszystko, co zechcesz. Będziesz moją Leonią, moim tworem. Ubierzemy cię w jedwabie i klejnoty, będziesz miała same najlepsze rzeczy. Zawsze będziesz piękna.

Odczuła wstrząs. Co on mówi? Chce, żeby z nim żyła, żeby była jego kochanka; tak długo, dopóki będzie chciał — dopóki jej nie odprawi. Wspominała, jak wyczekiwała wieczorami na przyjazd dorozki. Już wtedy jak metresa. Nie stanie się kimś takim! Żaden mężczyzna nie będzie jej panem; nie będzie wyczekiwała, gotowa na każde jego skinienie, dopóki będzie miał na nią ochotę — porzucona, kiedy mu przejdzie.

Chwycił ją w ramiona.

— Daj spokój, Leonio — uśmiechnął się z niezachwianą pewnością siebie. — Wiesz przecież, że mnie pragniesz. Sama mi to nie tak dawno powiedziałaś. Oczywiście, mam w Paryżu swoje prywatne życie, ale na pewno nie będziesz się czuła zaniedbywana.

Oderwała się od niego i zaczęła wciągać gwałtownie ubranie.

— Nigdy! — wykrzyknęła. — Nigdy nie będę pańską utrzymanką!

Patrzył na nią ze spokojem.

— Dobrze wszystko przemyśl — powiedział, zaskoczony jej wybuchem. — Ale to zabierz z powrotem. — Podniósł dokumenty i podał jej z uśmiechem. — Pamiętaj, że nie wiążą się z nimi żadne warunki... to nie jest zapłata za usługę.

Wciągnęła głęboko powietrze i wyrwała mu papiery.

— Niech pana diabli porwą, zatrzymam to — zakrzyzczała. — Dostał pan to, czego chciał.

Wyskoczyła z kajuty i pobiegła przez pokład. Śmiejąc się słuchał odgłosu jej kroków łomoczących na trapie, gdy uciekała ze statku.

— Przyjedziesz tu jeszcze — mruknął.

Leonia nie miała pieniędzy. Resztę wydała, udając się tego ranka do Monte Carlo i teraz ruszyła w długą pieszą wędrówkę z powrotem. Słońce zaczęło się już zniżać i na jej szczęście upał zelżał, ale czuła słabość w kolanach. Ciągłe jeszcze kipiał w niej gniew. Przeszła ze dwa kilometry, gdy udało jej się dosiąść do wracającego z zakupów w mieście wózka z farmy. Siedziała w milczeniu, myśląc o wszystkim, co wydarzyło się tego popołudnia, oraz o dylemacie, przed którym stanęła.

Na pewno zachwycał ją sposób, w jaki się z nią kochał. Jeszcze teraz czuła w ciele wspomnienie tamtego podniecenia i wierciła się niespokojnie. Ale nie powiedział jej, że ją kocha. Dowiedziała się, że jest piękną, cudowną, najwspanialszą kobietą, i wielu jeszcze innych podobnych rzeczy. Wszystkie te słowa powtarzała sobie, kiedy w nią wchodził. Spurpurowiała ze wstydu. Dlaczego Rupert ją opuścił? Nigdy nie powinno do tego dojść. Ale stało się i jest już inna. Nie jest tą samą dziewczyną, którą była do dziś. Wózek podskakiwał twardo na suchych koleinach. Przypomniała sobie

powroty z Masarde do chaty, którą nazywała swoim domem. Spójrz trzeźwo na rzeczywistość, Leonio, powiedziała sobie. Jesteś dokładnie w miejscu, w którym zaczęłaś. Wracasz do domu na chłopskim wózku i nie masz ani pieniędzy, ani pracy. I nikogo, kto by się o ciebie troszczył. A jednak coś się zmieniło. Spojrzała na trzymany w rękę tytuł własności na nazwisko Leonii Bahri. Ma przecież dom! Zaczęła się śmiać i chłop roześmiał się także, ciekaw, co ją tak rozbawiło.

Gdy znalazła się znowu pod dającym jej poczucie bezpieczeństwa dachem zajazdu, gniew i duma opuściły ją natychmiast. Weszła do *ich* pokoju. Tutaj czuła się bezpieczna. Patrzyła na łóżko, na białe prześcieradło, rozścielone gładko przez całą szerokość, świeże i nie pogniecione jeszcze, jakby czekające na odciski ich blond głów. Ale nie była już dziewczyną Ruperta. Tamta głowa, która leżała kiedyś obok jego głowy, należała do istoty niewinnej i kochającej, nie zaś do rozpustnej kreatury, która nie tak dawno błagała o jeszcze; istoty, która sprzedała się za to miejsce. Czy nie dlatego właśnie to zrobiła? Czy naprawdę mu wierzyła, kiedy mówił o braku warunków? Miała w głowie zupełny chaos. Czy jest w nim zakochana? Czy była zakochana w Rupercie? Wbrew sobie samej pomyślała znów o Gillesie i poczuła, jak pokonuje ją jej ciało. Nie, nadal nie potrafiła nazywać go Gillesem, nawet teraz. Był panem hrabią de Courmontem. *Monsieurem*.

Przytuliła leżącego na jej rękach kociaka i potarła policzkiem o miękkie futerko.

— I co mamy teraz zrobić, Bébé? — spytała.

14.

Następnego dnia Gilles wyjechał do Paryża przekonany, że za dzień, dwa, dziewczyna zjawi się z powrotem. Miał do załatwienia pilne sprawy, ale wiedział, że w ciągu dwóch dni powróci. Według jego oceny tyle też czasu miało zająć jej dojście do właściwych wniosków: że pragnie z nim być, że żyć bez niego nie może, a także rozważenie tego, co jej zaproponował. Prowadził do tego subtelnie. Nie zasypywał jej kwiatami ani prezentami, pozwolił jedynie, by zanurzyła się lekko w rozkosznej łatwości życia, kiedy z nim przebywała. Zabawiał ją i współczuł, tak że przestała się czuć samotna i nie chciana; dawał do zrozumienia, że mimo porzucenia przez Ruperta jest piękniejsza od innych kobiet. Obserwował, jak rozkwita z nową dla niej pewnością siebie, po czym zabrał jej to, zostawił na tydzień, dręczoną niepewnością i poczuciem odrzucenia, po to jedynie, by podnieść ją ponownie, zabrać znowu do swego świata i cały ten świat zaproponować. Nie będzie umiała się oprzeć.

Teraz jednak nie było go dłużej niż tydzień i wydawało się, że dziewczyna stawia jednak opór. Znudzona załoga wyczekiwała na rozkaz wypłynięcia w morze, a on przemierzał pokład w nieskończoność. Nie chciał opuszczać zatoki. A jeśli Leonia się pojawi? Może pomyśleć, że przestał na nią czekać i udał się do Monte Carlo. Patrzył ponuro nad barierką, przyglądając się

niewiążącymi oczami krzątaniu w małym porcie. Czyżby ją źle ocenił? Chyba nie. Żadna kobieta, która tak reaguje jak ona, nie pozostałaby teraz obojętna. Podnieciła go myśl o dziewczynie. Poczuł dotyk jej skóry, wdychał znów jej lekką woń, smakował ją. Myśl o lśniącym ciele, pochylającym się nad nim, doprowadzała go do szaleństwa. Pragnął jej i nic nie mogło go powstrzymać.

Chodził po małym gabinecie, gdzie się kochali, i usiłował coś postanowić. Po raz pierwszy w życiu nie był w stanie podjąć natychmiastowej, stanowczej decyzji.

Frenardowie z ulgą powitali wiadomość, że Leonia jest nową właścicielką zajazdu. Kiedy usłyszeli, że został sprzedany, żyli w strachu, że nowi właściciele sami będą chcieli go prowadzić, a oni będą musieli odejść.

— Teraz to my mamy obowiązek płacić pani dzierżawne, a nie pani nam za utrzymanie — powiedział mężczyzna, rozradowany takim obrotem spraw.

— Żadnego dzierżawnego — potrząsnęła głową Leonia. — Już tak wiele od państwa dostałam. Będę szczęśliwa, że mam pokój i nadal będę pomagać pani w kuchni, aby zwrócić za jedzenie.

— Pani powinna robić coś innego, a nie pracować u mnie w kuchni — stwierdziła pani Frenard, krzątając się przy obiedzie. — Takiej dziewczynie jak pani należy się coś więcej, niż tylko praca.

— Ale co? Co takiego, madame Frenard?

— Ja tam się za bardzo nie znam. — Kobieta otarła ręce z ciasta. Ale pani jest inna. Nie taka jak nasze dziewczęta. Panią czeka coś więcej, niż tylko bycie zwykłą kelnerką. Jestem o tym absolutnie przekonana.

— Czy myśli pani, że będę szczęśliwa? — spytała Leonia.

— No przecież, moja droga. Zawsze jest szczęście i czeka gdzieś bliźiutko. Ale musi pani chwycić okazję. Wiele trzeba, aby się wybić z tego poziomu. Już pani zaczęła. Teraz jest pani właścicielką majątku, nie zwykłą siedemnastolatką.

Leonia myślała o tym, co usłyszała od pani Frenard. Tak, jest teraz właścicielką majątku. Ma posiadłość. Te oliwkowe drzewka i skrawek ziemi na stoku wzgórza należą do niej. Ziemia to

pewność i bezpieczeństwo. Po raz pierwszy w życiu miała zabezpieczenie. Chemie by to powiększyła. Gdyby zdobyła cały stok, ogrodziłaby go, zaorała i zaczęła coś uprawiać. Nikt jej tego nie odbierze.

Nie jest jej przeznaczeniem spotkać młodego człowieka, dobrego męża, który kochałby ją i dał jej dzieci. Ona ma już wyznaczoną rolę. Rolę kochanki, utrzymanki. Tej trzeciej. Kobiety takie jak Puschi czy Marie-France są w swym wspaniałym życiu absolutnie bezpieczne — one nigdy nie zostaną porzucone. Rupertowie i de Courmontowie tego świata nie zostawiają swych żon. A jeśli nawet trochę się zabawią... Jak ktoś tak nic nie znaczący jak ona mógłby bodaj trochę zakłócić spokój ich bytu!

Ale ona także pragnie poczucia bezpieczeństwa; takiego zabezpieczenia, by nikt nie mógł bawić się jej kosztem. Aby — jeśli porzuci ją mężczyzna, którego będzie kochała — nie pozostała bezradna, pozbawiona środków do życia. Dom, jej posiadłość, ziemia — to będzie teraz jej zabezpieczenie.

Na tym oprze swój plan. Zagra z hrabią w jego własnej grze, grze przede wszystkim nastawionej na sukces. Jeśli rzeczywiście jej pragnie — przyjdzie po nią. Tak samo, jak ona poszła do niego. Jeśli nie, to znaczy, że przegrała. Teraz poczeka, by się przekonać, a w tym czasie ustali, czego właściwie chce. Kiedyś już zadał jej takie pytanie. Tym razem będzie miała gotową odpowiedź. Jedno wiedziała na pewno. Pragnie, by się z nią kochał. Myślała o tym każdej nocy, spędzanej samotnie w łóżku, przeżywała własne fantazje, gdy leżała w nadbrzeżnych trawach przyładka, wyobrażała sobie też, jak robi różne rzeczy z innymi dziewczętami. Wszystko to było bardzo podniecające i gdy patrzyła na siebie w lustrze, planowała sobie, jak będzie dla niego wyglądała, zastanawiając się przy tym, co będzie czuła.

Bébé przyzwyczaiła się do ich długich codziennych wędrówek wokół przyładka, choć w drodze powrotnej Leonia często musiała brać ją na ręce. Dziewczyna pokonywała mokrymi, zakurzonymi stopami piasek plaży, gdy Bébé go zobaczyła. Zeskoczyła z jej rąk i podbiegła do mężczyzny. Gilles podniósł ocierającą się o jego nogi kotkę i patrzył, jak Leonia wspina się na skarpe. Poczul wzrastające zdenerwowanie i zaczął wycierać zwilgotniałe dłonie w chusteczkę.

Podniosła wzrok i zobaczyła go.

— Ach, to pan.

— Nie spodziewałaś się mnie?

Przekrzywiła głowę na bok, zastanawiając się.

— Jest pan takim zajęтым człowiekiem...

— Czy mamy rozmawiać takim tonem, Leonio? — spytał rozdrażniony.

— A jaki inny ton pana zdaniem miałyby mieć nasza rozmowa?

— Przybyłem, aby powiedzieć, że jeśli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło. Pragnę cię.

— Rzeczywiście. — Głos dziewczyny był chłodny i obojętny. Przesiadła na schodkach tarasu i zaczęła otrzepywać stopy z piasku. — Jak może pan pragnąć kobiety z takimi dużymi stopami? — powiedziała, ze śmiechem przebierając palcami w powietrzu.

— Ja mówię poważnie, Leonio!

— Co według pana mam odpowiedzieć? Że nie mogę żyć bez pana? Czy to powinnam panu powiedzieć?

— Nie mogę żyć bez ciebie!

Wpatrywała się w niego zaskoczona, usiłując go przeniknąć, zobaczyć, czy mówi prawdę.

— Czy to znaczy, że pan mnie kocha? — spytała powoli.

Chwyił powietrze i zaczął mówić, dobierając starannie słowa.

— Nie jestem pewien, czy rozumiesz, czym jest miłość. Tak, wiem, że twoim zdaniem byłaś zakochana w Rupercie, ale przecież bardzo szybko o nim zapomniałaś. — Usiadł obok niej na schodkach. — Pragnę cię — powiedział — ponieważ nie mogę usunąć ze swojego ciała wspomnień o tobie. Chcę cię obdarowywać, pragnę sprawić, byś była jeszcze piękniejsza. W interesach znany jestem jako człowiek bezwzględny, człowiek, który nie cofnie się przed niczym, by dopiąć swego. Ale nie powiem, że cię kocham. Pragnę cię namiętnie, Leonio. Czy to nie lepsze niż miłość? Przecież przekonałaś się już, tak jak każdy we właściwym czasie, że miłość to emocja głupców.

Leonia opłótła ramionami kolana i wpatrzyła się w morze. Czego się spodziewała? Że przyjdzie do niej i na ugiętych kolanach będzie jej przysięgał wieczną miłość? A czy ona jest w nim zakochana?

Na pewno nie odczuwała w stosunku do niego tego, co czuła do Ruperta. Jednak mimo wszystko pragnęła go; coś w nim pociągało ją z wielką siłą, a ona nie potrafiła — a także nie chciała — się temu oprzeć.

Jednak ma rację. Miłość to uczucie dla głupców. Raz się sparzyła, wpadła w pułapkę i wie, dokąd ją to zaprowadziło. Znacznie lepiej żyć bez miłości.

— W takim razie zawrzyjmy kontrakt, monsieur; pana warunki i moje.

— Powiedz mi tylko, czego chcesz.

— Chcę stać się bogatą kobietą. Och, nie myślę o tym, by to pan dał mi pieniądze. Ja chcę, aby pokazał mi pan, jak posługiwać się nimi, by zrobić jeszcze większe pieniądze. Chcę kupić ziemię i posiadłość... Czy pomoże mi pan, nauczy mnie?

Nie posiadał się ze zdumienia. Sądził, że zażąda mieszkania w Paryżu, służby, pieniędzy, kosztowności, strojów od najlepszych krawców, że zapragnie powrócić do teatru i zostać gwiazdą. Ona tymczasem chce zostać kobietą interesu! Doskonale.

Zabawnie będzie ją uczyć. Nie wierzył jednak, by miało to przynieść jakikolwiek pożytek. Rygory prowadzenia interesów są całkowicie sprzeczne z jej naturą; pobudliwa, zmienna, zbyt wielką wagę przykładła do drobiazgow, by była w stanie zgłębić finansowe zawilości. Oczywiście, że wolałby tradycyjny sposób. Chciał mieć kochankę, a nie partnera w interesach.

— Pomogę ci — odparł. Ujął jej rękę, odwrócił do góry i zaczął całować miękkie części między palcami.

Zacisnęła palce na jego dłoni.

— A więc umowa? Mam kontrakt, monsieur?

— Tak — skinął głową, uśmiechając się triumfalnie.

Kotka wskoczyła na jej kolana, zajmując swą zwykłą pozycję. Popatrzyła wyniośle na intruza.

— Widzę, że mam rywala — roześmiał się Gilles. Wyciągnął z kieszeni długie pudełeczko. — Nie miałem odwagi dawać ci tego wcześniej, bo mogłabyś pomyśleć, że próbuję cię przekupić — rzekł do kotki.

W pudełku leżał cienki paseczek z drobnych brylancików. Pośrodku przytwierdzona była cienka złota plakietka z wypisanym maleńkimi rubinami imieniem Bébé. Była to niewątpliwie najelegantsza i najładniejsza obróżka, jaką kiedykolwiek miał kot, i Leonia wpadła w zachwyt.

— Jest pan bardzo sprytny, monsieur — powiedziała śmiejąc się.

Nie zgodził się, by została na noc w zajeździe.

— Zostaw wszystko — zażądał. — Nic ci nie potrzeba. Możesz teraz kupić co tylko zechcesz.

W białym pokoju była tylko tak długo, jak długo trwało zabieranie egipskich statuetek.

— Będą mi przypominały przeszłość — wyjaśniła cicho, wkładając je ostrożnie do torby.

Pożegnała się jeszcze z Frenardami, dziękując im za życzliwość.

— Dbajcie o zajazd — powiedziała. — Ja wrócę. To zawsze będzie mój dom.

Byli na statku sami. Siedzieli pod gwiazdami na górnym pokładzie i pili *Roederer Cristal*. Leonia skubała niezdecydowanie lososia i szparagi, nie zwracając uwagi na kuszącą porcję *fraises des bois*.

Po raz pierwszy w życiu denerwuję się, będąc z kobietą, myślał Gilles. Mam dokładnie to, czego chciałem, a teraz zabrakło mi pewności siebie.

O czym on myśli, zastanawiała się Leonia. Jest taki milczący. Mój Boże, czy nie zmienił zdania? Teraz, kiedy mnie zdobył, może mnie już nie chce.

Nagle między nimi przeleciała iskra. Hrabia wstał.

— Odbijamy, kapitanie — rzucił w tubę. — Popłyniemy wzdłuż wybrzeża do Cannes.

Na dolnym pokładzie ukazali się marynarze i rozpoczęła się zwykła w takich przypadkach krzątanina; spod pokładu dobiegł cichy, miarowy stukot silników. Gilles czuł napięcie. Dlaczego poruszają się tak wolno? Potrzebny mu ruch, działanie, praca statku, która wypełni narastającą między nimi ciszę. Wreszcie!

Statek wyslizgnał się z zatoki i wraz z zapadającym granatowym zmierzchem przepłynął obok kilkunastu innych, mrugających światłami jednostek. Znaleźli się na morzu, unosząc się i opadając lekko w chłodnej wieczornej bryzie. Leonia poczuła uspokojenie. Leżała na dywanie i spoglądała na pojawiające się gwiazdy.

Monsieur stał, przyglądając się jej. Wyciągnęła do niego rękę. — Pragnę cię — powiedziała miękko. Była już dorosła.

15.

Wsparta na ramieniu hrabiego Leonia wpłynęła do sklepu, jakby była jego właścicielką. „Proszę przynieść wszystko, co pani sobie zażyczy”, powiedział, i wszyscy rzucili się skwapliwie, by spełnić jego żądanie. Eleganckie sklepy Cannes były zaszczycone, mogąc obsłużyć pana hrabiego i panią.

Leonia siedziała na maleńkiej twardej sofie i oglądała demonstrowaną przez modelki odzież. Suknie na rano i na popołudnie a także na herbatki, suknie na czas między herbatą a kolacją, a wreszcie tak wytworne stroje wieczorowe, że aż jęknęła.

— Och, są takie piękne — szepnęła do niego. — Nie wiem, co wybrać.

— Proszę uprzejmie doradzić pani, co ma wybrać — zwrócił się do sprzedawczyni.

— Tak, proszę pana.

Leonia czekała podniecona.

— Oczywiście, jak wrócimy do Paryża, pójdziemy do Wortha — rzekł *monñeur*.

Worth, najlepszy krawiec w Paryżu! Karo tam chodzi. Zaczęła się zastanawiać, co teraz może myśleć o niej Karo. O niej, która uciekła z jednym mężczyzną, a wróciła z drugim. Zrobiło jej się **smutno**. Ale teraz pomoże jej *monñeur* i wyjaśni wszystko. Spojrzała na mocne, twarde udo siedzącego obok mężczyzny. Dotknęła go

lekko palcem; odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały. Sprzedawczyni wróciła i Leonia zabrała rękę z uśmiechem.

— Myślę, że te kolory będą dla pani odpowiednie.

Znów zaczęła się prezentacja. Przechodziły modelki w prostych, białych w jasne pasy spódnicach na rano i w powiewnych, z chłodnego jedwabiu w kolorach morza sukniach na popołudnie. Błękitne, akwamarynowe i jaszczurkowe kreacje ozdobione były pięknymi wijącymi się paskami, wykończone chwastami i perełkami.

Suknie wieczorowe pokazano dwie. Pierwsza z kremowej przetykanej złotą nitką koronki, mocno dopasowana w talii, miała szeroką spódnicę i obfitą kryzę przy głębokim wycięciu szyi; druga, barbarzyńska w projekcie, spływała z ramion wspaniałymi obfitymi fałdami miękkiego ametystowego jedwabiu i ujęta była w talii paskiem z cienkich złotych płytek.

— Musisz to wziąć — odezwał się nagle hrabia. — Wspaniale będziesz w tym wyglądać. — Patrzyła na niego niedowierzająco, gdy przywoływał sprzedawczynię.

— Pani weźmie wszystkie — oświadczył. — Proszę też zrobić ostatnią w innych kolorach, takich, które będą dla niej odpowiednie. A ten pasek proszę posłać do Cartiera. Chcę, żeby zrobili duplikat w złocie.

— Tak, proszę pana. Złoty będzie niewątpliwie piękniejszy. A teraz może zechciałaby pani — zwróciła się kobieta do Leonii — wybrać sobie dodatki i dobrać je do sukien?

— W takim razie proszę się już panią zająć beze mnie — rzekł zdecydowanie hrabia i ruszył do drzwi. — Proszę dać wszystko, czego sobie pani zażyczy. Będę w *Café Cézar* — zwrócił się do Leonii. — Baw się dobrze.

Znalazła się w siódmym niebie.

— Zaczniemy od bielizny — zdecydowała.

Tu czuła się znawczynią. Dobrze wiedziała, co wybrać. Po-tem pantofle, torebki, rękawiczki. Kapelusze wprawiły ją w zachwyty. Duże, słomkowe, z długimi wstążkami i bukietkami kwiatów, a także koronkowe, przeznaczone na wielką okazję. Wreszcie wybrała model nadający się do każdego stroju. Także pantofle z najdelikatniejszej gienzy, które wraz z maleniowymi torebkami, doskonale dobranymi do sukien, stanowiły wspaniałą całość.

Gdy opuszczała sklep, jej twarz wyrażała absolutne zadowolenie. Szła zwycięsko promenadą, od stóp do głów odziana w nowe rzeczy. Bielizna z morskiego krepdeszynu, cieniutkie pończochy z kremowego jedwabiu i akwamarynowa, przewiewna batystowa suknia. Do tego torebka i pantofle z jaśnusięńskiej kremowej skórki, no i szeroki słomkowy kapelusz, tkwiący niepewnie na szczycie burzy niesfornych włosów. Czuli się wspaniale.

Gilles przyglądał się z uśmiechem, jak kroczyła wyniośle za głównym kelnerem, prowadzącym ją do jego stołu. Strojna, wyprostowana, rzucała królewskie spojrzenia w stronę odwracających się na jej widok głów. Była wprost nieprawdopodobna.

— I co? — spytała i nie mogąc się powstrzymać, wykonała przed nim lekki obrót.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno.

— Oszałamiająco — orzekł. — Jesteś po prostu oszałamiająca.

Błądzili bez celu wzdłuż wybrzeża. Zatrzymywali się na krótko w Menton, Nicei i Monte Carlo, by mogła pokazać swe nowe stroje i napawać się podziwem ludzi, gdy szła wsparta na jego ramieniu. Zarzucali też czasem kotwicę w małej rybackiej wiosce Saint-Tropez, gdzie siedząc boso pod blaszonym daszkiem plażowej kafejki, jedli najlepsze na Lazurowym Wybrzeżu homary z mnóstwem czosnkowego majonezu. Bywały też dni, kiedy nie chodzili nigdzie, oddając się błogiemu lenistwu na statku. Choć i wtedy, gdy budziła się późno, stwierdzała zawsze, że on od dawna jest już na nogach i pracuje w gabinecie. Namawiała go na wspólne pływanie, po czym spuszczała się po małej sznurowej drabince z boku burty na specjalny pomost, skąd zeskakiwała do wody i nurkując szalała upojona przyjemnością pływania pod przejrzystą wodą, oko w oko z drobnymi rybkami. Pływał tak samo, jak robił wszystko — perfekcyjnie. Czyste wymachy ramion prowadziły go przez wodę równą linią i przynosiły na powrót do statku.

— Nie potrafisz się bawić — krzyczała, gdy rozbrykana okrążyła go, a potem chlapała na niego wodą, kiedy siedział na pomoście. — Ty po prostu wykonujesz wymaganą liczbę ćwiczeń gimnastycznych. Wracaj do wody, zabawimy się!

Próbowała ścigać się z nim i podniecona wysiłkiem śmiała się za każdym razem, gdy sromotnie przegrywała. Potem wyciągali się nago w odosobnieniu górnego pokładu, a słońce suszyło ich, ogrzewając wychłodzoną wodą skórę.

Ich obiady były proste, choć nie pozwalała mu jeść omletów.

— Nigdy więcej — powiedziała, napawając się swą nową władzą. — Każdego dnia będziesz jadł coś innego.

I tak było, chociaż często ich posiłki ograniczały się do owoców i serów lub świeżych krewetek z zatoki.

No i oczywiście uprawiali miłość, jeśli można tak nazwać ich rozedrgane, rozszalałe zespolenia. Były mroczne, nasycone i śmiałe, zawsze dzikie i miażdżące. Nigdy najmniejszej czułości.

16.

Plotki dotarły także do Karo. Nie mogła ich nie usłyszeć; Paryż wprost huczał od tej historii.

— Naprawdę myślisz, że to nasza Leonia? — spytała Alfonsa przy śniadaniu.

— Mógłbym się o to założyć. — Posmarował starannie kromkę chleba masłem i odgryzł kawałek. — To tutaj spotkali się po raz pierwszy, na twoim przyjęciu urodzinowym.

— Nawet nie wiedziałam, że w ogóle się spotkali!

— Kiedy teraz o tym myślę, cała ta sprawa wydaje mi się dziwna. Gilles chyba najpierw chciał, aby go jej przedstawić, a potem nagle stwierdził, że musi już iść. Po prostu powiedział do widzenia i poszedł. Jak znam de Courmonta, prawdopodobnie zauważył ją i zachował sobie na później, kiedy będzie miał czas.

— Tak sądzisz? — Karo zamyśliła się na chwilę. — Pamiętasz tamten wieczór w *Internationalu* i tę nieszczęsną wpadkę z koniem? Zawsze miałam dziwne uczucie, że to nie przypadek, że Gilles to zaaranżował. Czyżby rzeczywiście?

— Tylko dlaczego miałyby się posuwać do takich wybiegów? Gilles może zdobyć niemal każdą kobietę, której zapragnie.

— A jeśli — myślała na głos Karo — chciał zdobyć Leonie, a ona należała już do Ruperta?

— W takim razie pozostawało mu tylko poczekać.

— Ciekawa jestem... — Karo nalala sobie kawy. — Chciałabym, żeby napisała do mnie. To ja jestem za to wszystko odpowiedzialna.

Mam nadzieję, że jest szczęśliwa z de Courmontem, chociaż trudno mi to sobie wyobrazić. To takie dziecko. Nie sądzisz, że powinniśmy coś z tym zrobić?

— Ależ Karo, ona uciekła z Rupertem. To nie jest postępek dziecka. Była młodą, zakochaną kobietą. A teraz, kiedy Rupert się ożenił, przeniosła się do de Courmonta. — Wzruszył ramionami. Takie rzeczy są na porządku dziennym.

Karo westchnęła tylko. Wiedziała, że to prawda.

— Tak czy inaczej, wrócili do Paryża — rzekł Alfons. — Przyjechali wczoraj, a on umieścił ją w apartamencie w *Crillonie*. Najwyraźniej żyją tam całkiem otwarcie, i nie interesuje go, co z Marie-France.

— Nic o tym nie wiedziałam!

— Dowiedziałem się o tym wieczorem. Miałem ci powiedzieć, ale zapomniałem.

Karo odsunęła krzesło i pospieszyła do drzwi.

— Alfons, muszę się przekonać, czy u niej wszystko w porządku. Poza tym jest przecież moją przyjaciółką.

Leonia wstrząsnęła zgniecione poduszki i ponownie wsparła się na nich. Podciągnęła koronkowy peniuar wysoko, tak że zasłonił ją skromnie, i zawiązała dziewiczo białe satynowe wstążki w dużą kokardę przy szyi. Pokojówka zdażyła ją już uczesać i po raz pierwszy włosy Leonii, ściągnięte do tyłu dobraną do negliżu białą wstążką, nie rozsypywały się. Zastanawiała się, co ma dziś robić. Jej pierwszy dzień *bez hrabiego*. Wyszedł wcześniej, jeszcze nim się obudziła. Rozejrzała się po pokoju. Jej pokoje — do czasu, aż znajdą nowy dom. Hrabia zaproponował, że kupi mieszkanie, ale uparła się, że chce dom. Z zabudowaniami może się stać wszystko. Ale nawet jeśli się spała — ziemia pozostanie. A zanim coś kupi, ten pokój bardzo dobrze spełnia swą rolę, choć tak naprawdę wolała swój pokój w zajeździe. Ustrojona w brylantową obróżkę Bébé zdażyła już porwać na strzępy swoją piękną koronkową poduszkę i zaanektowała na swe potrzeby pled, choć nie wyglądała na nim równie dekoracyjnie. Wszystko w tym wnętrzu było niebieskie. Wielki chiński ciemnoniebieski jedwabny dywan wykończony był szlakiem z kwiatów, łóżko w stylu Ludwika XIV miało złożone

kwiatony, a na środku niebieskiego adamaszkowego obicia pyszniła się ujęta w owal scenka rodzajowa, w której tłumek eleganckich dworzan przechadzał się nad błękitnym jeziorem. Udrapowane wokół okien portiery wykonane były z takiej samej niebieskiej adamaszkowej tkaniny, a pochodzące z tego samego okresu sofy obito błękitnym aksamitem, wykańczając przy brzegach chwastami. Nawet lampy były tu niebieskie, choć na szczęście założono na nie brzoskwińowe abażury.

Wynajęty przez hrabiego apartament zajmował pół piętra hotelu *Crillon* przy *Place de la Concorde* i był bardzo, ale to bardzo elegancki. Był tu duży salon przyjęć i mały salonik tylko dla niej, dwie jadalnie — duża i mała, gabinet, kuchenki, garderoby oraz oddzielna sypialnia dla hrabiego, łazienki, a nawet pokoje dla służby.

— Co ja mam robić z tymi wszystkimi pokojami? — zapytała na głos Julii, gdy pokojówka podała jej na srebrnej tacy wizytówkę.

— Karolina Montalva — przeczytała Leonia. — Karo... To Karo! Och, cudownie, wprowadź ją Julio. Nie, poczekaj! — Odsunęła tacę i podniosła ręce do głowy. — Czy moje włosy są w porządku?

— Wyglądają doskonale, madame.

— Wprowadź panią.

Otwarte drzwi zakolysały się lekko. W progu stanęła ubrana w szafirową suknię Karo. W oczach młodej kobiety migotały isierki radości.

— Och Karo! — Leonia wyskoczyła z łóżka i przebiegła przez pokój. — Och Karo, taka jestem szczęśliwa, że cię widzę!

Objęły się z taką siłą, że nie mogły złapać tchu.

— Wiedziałam, że jeśli tylko uda mi się ciebie zobaczyć, wszystko będzie dobrze — mówiła zadyszana Leonia.

— Oczywiście, że tak, ale czy z tobą wszystko w porządku? — Karo obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. — Jesteś dorosła — stwierdziła z żalem. — Jesteś wyrafinowana i olśniewająca. Co stało się z tą małą dziewczynką z Baden-Baden?

— To było tak dawno temu... Jak w innym życiu. Powiedz mi, czy masz jakieś wiadomości od Ruperta?

Karo zawahała się. Powiedzieć jej, czy nie? Tylko jeśli ona tego nie zrobi, uświadomi ją ktoś inny.

— Ożenił się, Leonio. To było do przewidzenia. Jego rodzina potrzebowała tego małżeństwa.

Ramiona Leonii zadrżały pod koronkowym peniuarem.

— Gdyby tylko do mnie napisał — wyszeptwała. — Powinien był napisać.

Karo milczała. Oczywiście, że tak. Dlaczego właściwie tego nie zrobił? Rupert nie jest okrutny, to bardzo dziwne.

— Wszystko tu jest wspaniałe — odezwała się po chwili, zsuwając z ramion płaszcz. — Chociaż tak... niebieściotko, nie uważasz?

Leonia parsknęła śmiechem.

— Powiedz mi, Karo — zapytała po chwili — co piękne utrzymanki bogatych mężczyzn robią przez cały dzień?

— Co robią? — powtórzyła Karo. — Bawią się, moja droga!

— Pomożesz mi w tym?

— Oczywiście! Jutro zaczynamy. Najpierw udamy się do Wortha, potem pójdziemy na obiad, potem do Cartiera, a potem... Powiedz mi, potrzebny ci dom czy mieszkanie?

Na południu powietrze było łagodne, bo lato trwało tam dłużej. Nagrzane słońcem morze zapraszało do pływania, przyjacielskie powiewy wiatru unosiły delikatnie liście i targały łagodnie spodnicami kobiet. W Paryżu jesienne drzewa pozbawione już były liści, a lodowaty powiew ze wschodu kazał Karo i Leonii przyspieszyć kroku, gdy szły na drugi dzień przez Lasek Buloński.

Leonia musiała wyrzucić wszystko z siebie, a Karo chciała słuchać. Lasek, gdzie tylko wiatr mógł chwycić ich słowa, wydawał się najbardziej intymnym, nadającym się do zwierzeń miejscem.

Karo ani razu nie przerwała potoku słów, wylewającego się w gwałtownej spowiedzi z Leonii. Nie drgnęła, gdy dziewczyna opisywała ucieczkę Ruperta, zastanawiając się jednocześnie dlaczego nigdy nie otrzymała listów. Ocierając łzy słuchała, jak Leonia z kamienną twarzą mówiła o pragnieniu śmierci oraz o tym, jak Bébé zagarnęła ją dla siebie i stała się dla niej jedyną przyjazną duszą. Potem dowiedziała się, jak doszło do spotkania Leonii z Gillesem de Courmont. Z niedowierzaniem słuchała o jego współczuciu, o ich wspólnych kolacjach, o tym, jak bez żadnych warunków podarował

jej zajazd oraz o tym, jak nieprawdopodobnie wyglądały ich szalone zbliżenia.

— Jeśli według ciebie zmieniłam się — powiedziała Leonia — to nie stało się tak tylko dlatego, że jestem pięknie ubrana i umiem się zachować w eleganckich restauracjach, chociaż monsieur tego także mnie nauczył. Sprawił to sposób, w jaki uprawia ze mną miłość. Tym mnie przede wszystkim zmienił. Czasami sama siebie nie poznaję w jego ramionach. Patrzą potem w lustro i szukam śladów tego, co odczuwałam ledwie przed godziną. Dzięki Bogu, nie znajduję.

Karo była porażona. To nie była spowiedź kobiety zakochanej, to opowiadanie kobiety ujarzmionej.

— Przecież kochałaś Ruperta...

— Tak, kochałam go, ale on mnie porzucił. Nie napisał do mnie. Powiedział, że wróci — tyle tygodni wyczekiwania! — a przez cały czas miał zamiar poślubić Puschi. Oszukał mnie! — Odwróciła się do Karo, a jej piękna twarz była równie blada jak nikłe światło słońca przesiane przez nagie gałęzie drzew. — Przyniosłam sobie, Karo, że nigdy więcej nie znajdę się w takiej sytuacji. Chcę się tak zabezpieczyć, aby nikt nie mógł mnie zniszczyć. Zawarłam z hrabią kontrakt. On uczyni ze mnie bogatą kobietę, ale nie przez dawanie mi pieniędzy, ani płacenie za mnie. On ma mnie nauczyć, jak te pieniądze robić! Mam zamiar tak powiększyć swoje zasoby, abym mogła kupić jakąś posiadłość. Dając mi zajazd, zapoczątkował coś, czego nie potrafię wytłumaczyć. Ziemia to najtrwalsze zabezpieczenie i chcę jej mieć całe akry; parcele, pola, strumienie, działki do celów spekulacyjnych. — Odetchnęła zadowolona. — Gilles de Courmont to klucz do mojej niezależności. Zobaczysz, przyjdzie taki dzień, kiedy stanę się niezależną kobietą.

Przysiadły na zimnej ławce i patrzyły, jak uschnięte zrudziałe liście umykały przed wiatrem z ostatnim, desperackim szelestem życia, nim zimowy deszcz zamienił je wreszcie w nijakie, brunatne błoto.

— Więc nie kochasz go?

Oczy dwu młodych kobiet spotkały się.

— To szczególnie rodzaj miłości. Nie jest to takie uczucie, jakie miałam dla Ruperta, tylko *nasz* rodzaj miłości. Mojej i jego. I tego właśnie chcę.

Zawróciły i przyspieszyły kroku, aby uciec przed zimnem i trochę się rozgrzać.

— Zdaje się, że miałyśmy się dobrze bawić — przypomniała Karo. — Idziemy na obiad do *Brasserie Lipp*.

— Poczekaj. Leonia zatrzymała się wpatrzona w targany wiatrem, podarty, zmoczony deszczem afisz. Była to jedyna pamiątka po cyrku, który dawno już odjechał do Hiszpanii, by odbyć występy w czasie ostatnich tam ciepłych jeszcze miesięcy roku. Przesuwała palcami po nazwiskach, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie przejść obojętnie obok cyrkowego afisza i nie sprawdzić.

— Zawsze myślę, że może zobaczę nazwisko mojego ojca — powiedziała, widząc nieme pytanie w twarzy Karo — ale oczywiście nigdy go nie znajduję.

Skulony pod zimnymi podmuchami Marok patrzył na pędzone ulicą wirujące tumany piasku i myślał o kraju, który kiedyś opuścił. Tam z pewnością zawsze jest ciepło.

— Czy podzielisz się ze mną kanapką po starej przyjaźni? — usłyszał znajomy głos.

Leonia! To naprawdę ona. Przemieniona — wspaniała i bogata — ale jednocześnie ta sama. Chwyliła go mocno śmiejąc się, gdy z krzykiem radości zakręcił nią nad ziemią.

— Dlaczego do mnie nie napisałeś? — dopytywała się. — Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi!

— Jak mogłem napisać, skoro nie wiedziałem, gdzie jesteś?

— Ale przecież pisałam do ciebie! Zamieściłam adres, wytłumaczyłam ci wszystko!

Rozpromieniony Marok wzruszył tylko ramionami.

— Nie dostałem żadnego listu, ale to teraz nie ma znaczenia, bo jesteś już tutaj. Co się z tobą działo? Wyglądasz wspaniale.

— To długa historia, ale na razie niech ci wystarczy, że jestem bogatą kobietą. Kupuję dom w Paryżu i chciałabym, mój kochany, abys został moim majordomem. Kierował moją służbą.

— Kierował twoją służbą?

— Dokładnie tak jak powiedziałam. Czymś więcej, niż tylko człowiekiem zarządzającym służbą. Moim majordomem, prowadzącym mój dom.

— Ależ ja nawet nie wiem, co taki ktoś robi — zaprotestował.

— Bardzo szybko się nauczysz. A zresztą, spójrz na mnie. Czyż się nie nauczyłam? — Zakręciła się przed nim, rozbawiona malującym się na jego twarzy zdumieniem.

— Mam kochanka — obwieściła. — Uwielbia mnie i mogę mieć wszystko, co zechcę. A ja chcę mieć ciebie, Marok. I jako majordoma, i jako przyjaciela. Bardzo cię proszę, zgódź się.

— Czy nie będę najmłodszym majordomem w Paryżu?

— Cóż, to będzie nasz styl. Wiesz, każdy chce mieć młodego majordomusa. A ty będziesz w Paryżu najwytworniejszy; będziemy ci sprowadzać ubrania z Londynu i szyc ci koszule na zamówienie. Inne kobiety będą próbowały cię zwabić, wyciągnąć ode mnie, abyś tylko u nich pracował. Dostaniesz propozycje, które ciężko ci będzie odrzucić.

Roześmieli się rozbawieni jej wizją.

— Jesteś szalona, Leonio.

— Jestem na szczycie świata i bardzo mi się tu podoba! Zrzuć ten turban i chodź ze mną. — Wyciągnęła rękę, uśmiechając się do niego.

— Nie mogę się doczekać, by zobaczyć minę Marianny, kiedy jej powiem! — Marok zaśmiał się znowu.

17.

Gilles de Courmont odsunął się z krzesłem, oparł nogi na biurku i założył ręce za głowę, Myślał o Leonii. Przed nim leżały zapomniane projekty karoserii samochodów de Courmonta.

Leonia jest tutaj, myślał. Pewnie je teraz śniadanie w apartamencie *Crillona*. Siedzi w tym koronkowym peniuarze, który on tak lubi. Włosy ma świeżo wyszczotkowane, a na policzkach różowy, poranny rumieniec młodości. Wyobraził sobie, jak na niego czeka, i poczuł zadowolenie. Przypomnił sobie Marie-France; nawet na początku ich wspólnego życia nigdy o niej nie myślał, gdy nie było jej w pobliżu. Oczywiście poza dniami, kiedy przychodziły na świat jego dzieci, jego synowie. A teraz nadchodził czas, kiedy mieli wyjechać do szkoły. I nieważne, co sądzi na ten temat Marie-France. On został wysłany do szkoły w ich wieku i wyszło mu to na dobre. Tyle że on nie miał takiej matki jak Marie-France. W istocie niewielka była różnica między pobytem w domu a pobytem w szkole — poza tym, że w domu było więcej jedzenia. I to nie obecność matki czy ojca stanowiła tę różnicę. O ile wiedział, żyli gdzieś za granicą.

Jakże nienawidził tego ciemnego, cichego domu na wsi, który zaczynał żyć dopiero wtedy, kiedy ONI mieli przyjechać z którąś ze swych rzadkich wizyt. Służba krzątała się gorączkowo, by przygotować wszystko dla pani hrabiny. W całym domu panowało podniecenie. Pamiętał jak ogrodnik przynosił z cieplarni ozdobne

rośliny i całe naręcza ciętych kwiatów, jak pokojówki rozpałały w wielkich paleniskach i stale dokładały całe kubły węgla, aż wreszcie wielkie, wyziębione zawsze pokoje zaczynały promieniować ciepłem. Pamiętał majordoma, nadającego wypolerowanym srebrom ostateczny blask i kucharzy, wybierających w wędzarni różowe szynki. Czasami wkradał się za nimi do ogromnych, chłodnych pomieszczeń z hakami, czekającymi na nowy sezon kuropatw i bekasów, gdzie dzikie gęsi oraz kaczkę z gospodarstwa, oskubane i związane, leżały gotowe do pieczenia. Obijał się i podpatrywał cukiernika, wyplatającego z niteczek topionego cukru maleńkie koszyczki, napelniane później jakimś rozplywającym się w ustach deserem, którego jemu nigdy nie było dane spróbować. Przygotowania trwały bez końca, podsycając jego podniecenie. To było jak wyczekiwanie na Wigilię.

Nadchodził wreszcie dzień ICH przyjazdu i chłopiec nie mógł usiedzieć na miejscu. Wskakiwał ze swego wąskiego łóżka w starym dziecięcym pokoju, by wyrzec przez okno i sprawdzić, jaka jest pogoda. Zawsze, kiedy przyjeżdżali na polowanie, była mgła, ale później przejaśniało się i powietrze stawało się tak przejrzyste, że nieszczęsne cele masakry miały niewielką szansę ucieczki. Gdy przebywał z panem Talbertem, często pomagał mu sypać ziarno do karmienia piskląt i żał mu ich potem było.

Jeszcze teraz pamiętał zimną wodę, którą spryskiwał sobie twarz, próbując się zmusić do kąpieli, ubieranie i upewnianie się, że włosy są dobrze przyczesane. Miał je po niej — gęste, ciemne, zwijające się w pierścionki. Mówiono, że oczy również.

Ze swego punktu obserwacyjnego w oknie poddasza już z daleka widział wesoło toczące się drogą powozy. Przejeżdżały przez las, potem przez teren parku — dwanaście powozów z wygalowanymi lokajami i woźnicami w cylindrach — by po połowie okrażenia stanąć przed zachodnim portykiem. Ona też tam była. Jego mama. Najpiękniejsza kobieta na świecie. Uwielbiał ją.

Wysypywali się z powozów zajęci sobą, roześmiani. Pięknie ubrane kobiety i mężczyźni dotykiem pieszczący kolby swych strzelb. Jakże były wspaniałe. Wślizgiwał się wieczorem do pokoju, gdzie trzymano broń i właściciele pozwalali mu je potrzymać.

Głaskał cudowne, inkrustowane srebrem łożyska i lśniące, śmiercionośne lufy.

— Czas, żeby tata wypuszczał cię na strzelanie — mówili mu, śmiejąc się jowialnie. — Jesteś już wystarczająco duży, aby nosić strzelbę.

Bardzo dobrze pamiętał ostatnią z ich wizyt. Matka wkraczała do wielkiego domu, wołając swoich przyjaciół, i szła, rzucając polecenia służbie. Mimo że w każdym pokoju dzień i noc od tygodnia palono ogień, narzekała na zimno.

— Jak ja nienawidzę tego domu — krzyczała, spiesząc na górę marmurowymi schodami, by się przebrać. — O ile lepiej jest w Moulins — dodała, wspominając drugi ich dom w dolinie Loary, po czym zatrzymała się w pół drogi. — Gdzie jest chłopiec? — zawołała.

Gilles wysunął się ze swego ukrycia za nianią i rzucił się na górę do matki. Pochyliła się, by mu się przyjrzeć i od niechcienia pogładziła jego włosy delikatną ręką. Stała tak blisko, że czuł zapach jej perfum — jaśmin z akcentem czegoś bardziej przyziemnego. Nawet dziś byłby w stanie odtworzyć go z absolutną dokładnością.

— Czy jesteś grzeczny? — spytała swym wysokim, czystym głosem.

— Tak, maman.

— Dobrze, w takim razie niech niania ubierze cię ładnie wieczorem i przed kolacją możesz przyjść do bawialni. A teraz idź już, pewnie masz lekcje do zrobienia. — Odprawiła go niedbałym klepieniem po pupie.

Oczywiście, żadnych lekcji do zrobienia nie miał. Zatrudniona przez matkę guwernantka odeszła po miesiącu, nie mogąc znieść samotności w wielkim domu, a maman zapomniała o zatrudnieniu nowej, choć niania mówiła, że to skandal. Chłopiec miał już sześć lat i jeszcze nie umiał czytać. Angielska niania sama niezbyt dobrze radziła sobie z czytaniem, tak że niewiele mogła mu pomóc, a on tak bardzo pragnął opanować tę sztukę. Ślęczał nad książkami, które wyciągał z półek wielkiej, ponurej biblioteki, nie szukając nawet takich z obrazkami, i wodził palcami po słowach. Nanizywał na tworzone połączenia kolejne litery, aż powstawało z tego coś w rodzaju czytania, ale słowa były bardzo długie i nie chciały brzmieć tak, jak wskazywały litery.

Cały dzień czekał na ten wieczór. Siedząc na górze, w pokoju dzieciennym, słyszał dźwięki muzyki i śmiechy z drugiego końca domu. Zszedł na dół i ukryty za rypsovą zasłoną, gdy tylko niani nie było w pobliżu, wyglądał ukradkiem, chwytając ich głosy i radość. Wślizgnął się nawet do pokoju matki na pierwszym piętrze i stojąc za drzwiami, wdychał zapach jej perfum, gdy się ubierała. Marzył o tym, by tak stać przy niej zawsze, słuchać, co mówi, kiedy rozmawia z wszystkimi tymi obcymi ludźmi. Wiedzieć, co takiego robi, kiedy nie jest z nim. Co takiego ważnego, wspaniałego i cudownego trzyma ją z dala od niego. Obawiając się, że zostanie odkryty i bojąc się jej gniewu, wycofał się i ruszył przez wielki dom z powrotem do pokoju dzieciennego, do niani — by dalej czekać.

Wreszcie przyszedł czas i ten moment na zawsze wypalił swój ślad w jego pamięci. Szedł trzymany za rękę przez nianię, a oni odwracali się i patrzyli na niego. Wszystkie te wytworne damy oraz wysocy panowie uśmiechali się do niego, a on pławił się w ciepłku pieśczołliwości, niczym głupie szczenię, popisujące się swoim wdziękiem.

— No i czego się uczysz w pokoju szkolnym, młody człowieku? — zahuczał ojciec, spodziewając się możliwości pochwalenia się synem przed gośćmi.

— Niczego, proszę taty.

— Niczego?! Co on mówi? — hrabia odwrócił się do żony.

— Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Chodź tutaj, Gilles.

Ruszył do niej posłusznie, uśmiechając się do głębokiego błękitu jej oczu, do grubych, wijących się splotów jej włosów. Położył rękę na jej ramieniu i czując miękką brzoskwiniową skórę, drżał cały z pragnienia, by go objęła.

— Dlaczego się nie uczysz, Gilles? — spytała.

— Guwernantka odeszła, maman, a ty nie sprowadziłaś mi drugiej.

— Nonsens! — ucięła, spurpurowiała gwałtownie z zażenowania. — Tak czy inaczej, jesteś już dostatecznie duży, aby być w szkole... Chyba powinien być w szkole? — odwróciła się poirytowana do jego ojca.

— No cóż, Regino, jest już w odpowiednim wieku...

— A więc tak: w przyszłym tygodniu idziesz do szkoły, mój chłopcze. Sama tego dopilnuje.

Odwróciła się i całą swoją uwagę poświęciła stojącemu obok niej młodemu człowiekowi. Ujęła go za rękę i posadziwszy przy sobie, czarowała z wdziękiem. Chłopiec stał zapomniany.

W swej nierozwadze skazała go na dwanaście lat samotności i cierpień, a on nienawidził jej do końca jej życia. Kiedy umarła — ironią losu w wyniku wypadku w czasie strzelania w tym właśnie domu — nie czuł niczego. Nawet jego nienawiść nie straciła nic ze swej siły. Ale na zawsze pozostała mu w pamięci uroda matki, zapach jej perfum i dotyk jej skóry.

Gilles wzdrygnął się nerwowo, gdy Verronet wszedł do pokoju, przerywając jego rozmyślenia.

— Proszę wybaczyć, panie hrabio, że przeszkadzam, ale mam zamówione przez pana rysunki nowych opon samochodowych oraz dane porównawcze trwałości lakierów.

— Dziękuję. Proszę położyć je na biurku. Później obejrzę. — Spojrzał na zegarek, dochodziła dwunasta. — Wrócę koło trzeciej, Verronet.

— Tak jest, panie hrabio.

Verronet poszedł przez hall za swym pracodawcą, przyspieszając, by otworzyć przed nim drzwi. Patrzył, jak hrabia wychodzi na zimny wiatr. Widać było, że nawet tego nie odczuł. Założył się, pomyślał Verronet z lubieżnym uśmiechem, że znów wybiera się na spotkanie z nią. Coś takiego zdarza się po raz pierwszy.

Wielki pokój był cichy i pusty, łóżko gładkie i równo zaścielone. Ruszył w głąb apartamentu, spodziewając się, że znajdzie ją grzebiącą się jeszcze przy ubieraniu, tak jak bywało na statku, ale Leonii nie było. Dokąd wyszła? Spacerując ze złością po pokoju, zadzwonił na Julię.

— Na pewno je obiad z mademoiselle Montalva, proszę pana. Panie miały razem oglądać domy.

Rzeczywiście. Strasznie się zatracił w swej potrzebie ujżenia jej, patrzenia na jej uśmiech, pozwalania jej na małe złośliwości. Głupiec! Powinien był domyślić się, że ona nie ma zamiaru

wysiadywać tu przez cały dzień. Zamknął drzwi błękitnego apartamentu i zszedł na dół, do restauracji.

Główny kelner usadowił go przy stole pod oknem, drugi przyjął zamówienie.

— Omlet *fines herbes* proszę, i kartę win.

— I co o tym myślisz? — Leonia obracała się na środku głównego salonu, wyciągając władczo ramiona, jakby chciała objąć osiem francuskich okien z balkonami z kutego żelaza, wysokie sufity z odlanymi gzymsami, wielkie przestrzenie wypolerowanej posadzki i wybudowane naprzeciw siebie bliźniacze kominki.

— Doskonały pokój na przyjęcia — odparła Karo. — Zobacz, tu jest mniejszy. Ma cudowne obramowanie kominka.

Szły przez puste pokoje i rozlegające się w ciszy echo ich głosów obwieszczało każde nowe odkrycie. Sypialnia pana wraz z garderobą, jej garderoba i dwie łazienki, jej buduar; niewielki i przytulny, wyposażony w kominek na chłodne dni oraz dwa wysokie okna, wychodzące na zasypany teraz liśćmi plac, a otwierane na mały balkonik, z którego można korzystać, gdy ciepło.

— Myślę, że tego szukałam — orzekła Leonia, lustrując swą przyszłą posiadłość. Już się zdecydowała. To będzie jej dom.

— Wygodny — zgodziła się Karo. — Jest tu mnóstwo miejsca dla gości.

Leonia zatrzymała się nagle, uderzona jakąś myślą.

— Karo, kogo ja mam przyjmować?

— Moja droga, to nie jest żaden problem. Monsieur zna wszystkich, których znać wypada, a poza tym każda kobieta w Paryżu umiera wprost z ciekawości, kto w końcu stopił lód w żyłach Gillesa de Courmont. — Roześmiała się na widok zaskoczenia w twarzy Leonii. — Sama będziesz zdumiona, jak szybko się do tego przyzwyczaisz — dodała.

— Ale ja nie wiem, co robić! Nie wiem, jak się wydaje przyjęcia!

— Po pierwsze, musisz zatrudnić dobrego kucharza. I jeśli chcesz koniecznie, by Marok był twoim majordomem, musisz mieć doświadczoną gospodynię. Ona cię nauczy, jak się prowadzi dom. Wyszkolony personel będzie wiedział dokładnie, co ma robić. Jeśli

zaś chodzi o ubranie, to przyjmij jedną radę, Leonio. Zawsze ubieraj się w to, co właśnie masz chęć włożyć. Zapomnij o wszelkich zasadach i nakazach. Nigdy nie zapomnę tego, jak wyglądałaś na przyjęciu u mnie. Już wtedy miałaś swój własny styl.

— A co z domem, Karo? Jak ja go urządzę? Jest taki wielki!

— Chodź tutaj. — Karo pociągnęła ją na środek przestronnego salonu. — Zamknij oczy i tylko pomyśl. To twój dom. To twój pokój i ma on stanowić odzwierciedlenie twojej osobowości. Czego od niego oczekujesz? Wyobraź sobie siebie w tym otoczeniu.

Leonia przymknęła oczy i zobaczyła puste ściany oraz rząd wysokich okien z balkonami. Zupełnie jak pusta scena. Ależ tak! To miejsce jest zupełnie jak teatr, a ten pokój to scena, gdzie wszystko się może zdarzyć! Nie może być konwencjonalny, zwyczajny. Wprost krzyczy o przepych, okazałość, tkaniny, jarzące się światła — jakby oświetlenie przez lampy na scenie.

— Wiem, czego chcę — obwieściła, otwierając oczy. — Ten pokój będzie srebrny.

Gilles przeszedł do swego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi. Verronet odprowadził pracodawcę oczami. Tak szybko z powrotem? Godzinę później de Courmont ukazał się znowu.

— Verronet, chcę żebyś najął kogoś do obserwowania mademoiselle Leonii. Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie przebywa i co robi. Tak samo jako przedtem.

— Tak, panie hrabio. — Verronet był zaskoczony. Chyba nie podejrzewa, że dziewczyna już go zdradza! — Codziennie będę panu przedkładał sprawozdanie, panie hrabio.

— Jeszcze coś. — De Courmont zatrzymał się w drzwiach. — Jutro ustosunkuję się do projektów, które mi dzisiaj dałeś.

— Tak, panie hrabio. — Twarz Verroneta nie zdradzała żadnych uczuć. Normalnie hrabia oddałby je z powrotem w ciągu godziny.

18.

Leonie miała wrażenie, że dom pochłania cały jej czas. Nie miało już dla niej znaczenia, że monsieur wstaje i wychodzi wcześniej rano. Sama wstawała o siódmej, ubierała się i gotowa czekała od ósmej niecierpliwie na Karo. Zespół wynajętych przez hrabiego specjalistów wykrył oznaki zmurszenia na górnych piętrach i wilgoć na dolnych. Stwierdzono, że dom wymaga znacznych nakładów.

— Jeśli chcesz mieć ten dom, wszystko będzie zrobione — powiedział jej.

Oczywiście, że chciała. W wyobraźni widziała już, jak będzie wyglądał po skończeniu. Wiedziała, że będzie cudowny. Dom zrodzony z marzeń biednej dziewczyny. Ona, która całe życie kąpała się w zimnych cynowych baliach, zmówiła teraz wannę z różowego kwarcu, z kurkami w kształcie skaczących złotych ozdobionych turkusami delfinów. Na dnie widniał jej złoty monogram, choć u siebie monsieur nie zgodził się ani na złote kurki, ani na wytłoczenie inicjałów na prostej marmurowej wannie. Mając w głowie wizję urządzonego domu, zamawiała specjalnie tkane w Lyonie półprzezroczyste jedwabne brokaty, podczas gdy wytwórnice w Aubusson robiły dla niej delikatne pastelowe dywaniki i dywany. Jej dom miał mieć swój własny, niepowtarzalny styl. Styl stworzony przez nią. Wiedziała, że drugiego takiego domu w Paryżu nie będzie.

— Rób to, co sobie zaplanowałaś — powiedział jej hrabia. — To twój dom.

— Nasz dom — poprawiła.

Przeszła przez podwórze ich domu, pokonała kilka kamiennych schodków i gestem posiadaczki pchnęła wielkie dwuskrzydłowe drzwi. Tego rana w hallu panowała cisza. Podstawowe roboty zostały już zakończone i w domu byli teraz malarze, prowadzący prace wykończeniowe i nadający domowi ostatni szlif. Szła przez mające teraz zupełnie inny charakter pokoje i wyobrażała sobie, jak przebywa w nich wraz z hrabią. Byli już ze sobą od sześciu miesięcy, a ona nie poznała go tak naprawdę. Dopuścił ją do siebie bardzo blisko, to prawda, ale na tym się kończyło. Nic więcej — była granica. Dręczyło ją to. Była w nim namiętnie zakochana. Nie tą cudowną, delikatną miłością, którą miała dla Ruperta. To było inne uczucie. Szalone. Myślała o nim cały czas. Planowała, jak się ubierze dla niego i jaka dla niego będzie; w jej fantazjach pokrywał ją pocałunkami i mówił, że ją kocha — kocha na wieki.

Zajrzała do pokoju, w którym miał być jego gabinet. Był już wykończony. Jedyne pokój w tym domu, poza jego garderobą, gdzie czuło się męczyznę. Podłogę pokrywał cudowny dywan ze Szkocji w ciemnozieloną kratę; na ściany wybrała kolor śliwkowy, który kazała malarzom lekko zatrzeć kremową farbą, co dało w rezultacie odcień ciepłego różu. Zasłony z ciężkiego zielonego lnu w pasy wykończone były szlakiem ze szkockiego galonu. Od Droueta sprowadziła stare hebanowe biurko i ogromny ciemnozielony skórzany fotel.

Podeszła do biurka i rozpakowała komplet przyborów do pisania. Na prostej srebrnej tacy rozmieszczone były półkołem kryształowe kałamarze, srebrny ołówek i pióro oraz mała wygięta suszka ze srebrną rączką. Kupiła go wczoraj u Cartiera, myśląc że da mu, gdy oprowadzi go po skończonym już domu, teraz jednak postanowiła zostawić na biurku i zrobić mu niespodziankę. Pośrodku rowka przeznaczonego na pióro widniał napis: „Dla Mon-sieura z wyrazami miłości od Leonii”. Przesunęła po nim palcem w zamyśleniu. Miała nadzieję, że mu się spodoba.

U *Voisina* było pełno jak zawsze i Leonia z zadowoleniem patrzyła od ich narożnego stołu na zatłoczoną salę. Siedzieli dziś sami, po prostu jedli kolację we dwoje. Nie pamiętała już, kiedy

ostatni raz zdarzyło im się być wieczorem tylko we dwoje. Zawsze coś mieli w planie. Teatr lub przyjęcie, albo też kolację z przyjaciółmi w jakiejś restauracji.

— Pamiętasz — spytała, ujmując jego rękę — te nasze kolacje w wielkich restauracjach na wybrzeżu?

— Oczywiście, że pamiętam; jadłaś zawsze niesamowite ilości. Zaśmiała się, patrząc w menu.

— Nie wiem, co wybrać — powiedziała wreszcie, zamykając kartę. — Myślę, że wezmę rybę.

— Pamiętam również, jak kiedyś zapytałaś mnie, dlaczego zamawiam zawsze to samo, skoro mam taką możliwość wyboru.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, zdumiona, że w tak krótkim czasie mogła się stać tak **zobojętniała**.

— Czyżbyś się już nudziła? — zapytała.

— Ależ nie! Jestem po prostu podniecona tym, że mogę być sam na sam z tobą — odparła kokieteryjnie. — Musisz wybrać dla nas obojga, tak jak zrobiłeś to naszego pierwszego wieczoru.

— W takim razie weźmiemy dokładnie to samo — rzekł i zamówił ostrygi oraz łososia.

Rano wyjaśniła mu, że mają coś w rodzaju rocznicy. Są już sześć miesięcy razem i wieczorem powiedział, że pójdą to uczcić do *Voisina*. Spojrzył na zegarek i Leonia nastroszyła się. Chyba nie musi dzisiaj wracać do domu, do Marie-France? Poczowała ukłucie zazdrości o nie znaną rywalkę. W gruncie rzeczy nie jest prawdziwą rywalką, nie ma przecież między nimi żadnej rywalizacji. On należy do swojej żony. Siedzieli razem na wybitej czerwonym pluszem ławce pod ścianą. Przysunęła się do niego i położyła rękę na jego udzie. Oczy ich spotkały się i dech jej zaparło. Ujął jej rękę i zaczął całować palce, aż odchyliła się na oparcie, osłabła nagle, ogarnięta pożądaniem. Zawsze go pragnęła; miał magiczną władzę nad jej ciałem, a ona wcale nie chciała się od niej uwolnić. Pragnęła jedynie czuć go obok siebie.

— Obawiam się, że muszę jutro wyjechać — powiedział, gdy kelner napelnił kieliszki ich ulubionym szampanem.

— Wyjechać? Dokąd?

— Najpierw do Wiednia, a potem być może pojedę dalej, do Petersburga.

— Ale to przecież w Rosji!

Kelner postawił przed nimi ostrygi. Błyszczały soczyście we łzach własnej solanki.

— I co ja mam robić przez cały dzień bez ciebie?

— Sądzę — wzruszył ramionami — że to samo, co teraz robisz po całych dniach.

— Weź mnie ze sobą. — Nie wytrzymała.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego?

— To podróż w interesach — oparł zniecierpliwiony.

— Ale z pewnością...

— Na samym początku mówiłem ci — przerwał jej szorstko — że nie zawsze jestem panem swego czasu. Nie mam pewności, jak długo to potrwa. Na pewno będziesz się dobrze bawić.

Leonia opuściła wzrok na ostrygi. Dlaczego nie zabierze jej ze sobą? Może równie dobrze czekać na niego w apartamencie hotelowym w Wiedniu, jak w Paryżu. Poczula, jak stary, zadawiony strach podkrada się do jej serca. A jeśli do niej nie wróci? Odwróciła się z cisnącym się na usta pytaniem, ale wstrzymała się w porę. Nie będzie o tym myśleć! Oczywiście, że wróci. A jeśli nie? Uodporniła się już na ten strach. Czyż nie jest już zabezpieczona? Ma nowy dom — prawie skończony, ma pieniądze w banku. Nie udało jej się tylko nauczyć czegoś o akcjach i udziałach, ani dowiedzieć się, jak powiększyć swój kapitał. Hrabia jest zawsze taki zajęty, ją zaś pochłonęło całkowicie zarządzanie domu. Pomyślała tęsknie o zajeździe. Był taki biały i zwyczajny, że nie wymagał specjalnych zabiegów dla poprawienia wyglądu. Tam musiałyby jedynie uprawiać ogród, może urządzić mały staw i posadzić jakieś dające cień drzewa.

— Mam dla ciebie prezent — usłyszała.

Znów długie etui jak to, które dał jej kiedyś na statku. Od tamtego dnia nie dostała od niego żadnych kosztowności, nie licząc oczywiście obróżki dla Bébé. Choć kupowała wiele strojów, biżuteria nie była jej potrzebna. Cieszyło ją noszenie pięknych sukien, uwielbiała dotyk tkanin oraz to, w jaki sposób dobre ubrania rządziły jakby jej ciałem, podporządkowywały je sobie.

Teraz tracąc oddech z zachwyty patrzyła na podwójny sznur wspaniałych pereł z wielkim kaboszonem szafiru w obramowaniu z brylancików zdobiącym zameczek oraz dobrane do tego kolczyki.

— Popelnilem błąd, dając ci brylanty — powiedział, zatrzas-
kując zamek na jej szyi. — Pierwszymi kolejnotami dziewczyny
powinny być perły.

Pod jej powiekami pojawił się nieoczekiwane obraz Ruperta.
Przypomniała sobie, jak zapinał skromny sznurek perełek na jej
szyi i podnosząc jej włosy, całował miejsce, gdzie zatrzymał się
naszyjniczek. Powiedział dokładnie te same słowa. Byli wtedy tacy
zakochani, a ona była taka młodziutka...

— Nie podobają ci się? Możesz je zwrócić, jeśli chcesz, zamień
je na coś innego.

— Ach nie, nie. — Wzięła kolczyki i wpięła w uszy, po czym
obróciła głowę, by mógł zobaczyć. — Są piękne, monsieur.
Dziękuję. Będę ich strzegła jak skarbu.

Co to za dziwna dziewczyna. Pamiętał, jak dawał biżuterię
innym kobietom. Chwytały ją chciwie i rzucały się do lustra, by
się w niej zobaczyć. Co będzie robiła, kiedy on wyjedzie? To będzie
sprawdzian. Tak samo dla niego jak dla niej.

Jałd niewiele. Wolał patrzeć, jak ona je. Brała kolejno *fraises
des bois* i wgrzyzała się w nie z oczami rozszerzonymi rozkoszą. Była
wręcz tworem rozkoszy. Czasami zawiązując krawat przed lustrem
przyglądał się jej, jak leżała w łóżku zwinięta leniwie wraz z kotem,
lub też patrzył na nią zza drzwi, gdy nie wiedziała, że jest
obserwowana. Patrzył, jak układa sobie włosy, obserwował ją tak
samo, jak kiedyś swoją matkę.

Wieczorem rozszalała się ulewa. Wracali przez błyszczące
deszczem ulice Paryża, patrząc na drgające światła lamp, których
odbicia zwielokrotniały się w krążkach tęczowych kropli. Siedzieli
obok siebie w intymnym cieple powozu i choć nie dotykali się, ani
na chwilę nie opuszczała ich świadomość wzajemnej bliskości. Gdy
szli przez foyer hotelu, ujął ją za rękę. W milczeniu czekali na
windę. Żelazna krata zamknęła ich w kabinie, a on objął ją
miażdżącym uściskiem i zrzucił z niej futro. Zsunął z jej ramion
ramiączka sukni i gdy stanęła wpołnaga, rzucił się ku niej gwał-
townie, a ona oparta o wybitą tapicerką ścianę wykrzykiwała swe
podniecenie. Twarde szarpnięcie windy, gdy zatrzymała się na ich
piętrze, podziałało otrzeźwiająco na ich zmysły. Zrzucił na nią

plaszcz okrywając obnażone piersi i szli korytarzem statecznie, trzymając się drżącymi rękami pod zaciekawionym spojrzeniem nocnej pokojówki.

Gdy wreszcie zatrzasnęły się za nimi wielkie drzwi, zrzucił z niej futro, rozpiął ciężki złoty pas i ściągnął jej suknię przez biodra. Została tylko w cienkich, złotych jak włosy na jej ciele desusach; tylko to miała pod spodem, bo tak lubił. Zaprowadził ją do salonu. Wszystkie lampy były zapalone, a wielkie okna patrzyły odsłonięte w zalane deszczem ulice. Zdjął marynarkę i przełożył ją starannie przez krzesło, a ona czekała z rękami złożonymi na piersiach, kiedy jej dotknie. Spragniony i pełen pożądania podszedł do niej nagiej i gotowej. Utonęła pod jego ciężarem w błękicie dywanu, otwarta, nie stawiająca oporu, przyjmując go, gdy zagłębiał się w niej tak twardymi pchnięciami, aż zaczęła walczyć. Niecierpliwe paznokcie orały jego plecy, błagając o więcej. Tarzali się po dywanie spoceni i krzyczący jak zwierzęta, spleceni w walce, dążący do ostatecznego celu, jakby nie do końca przekonani, że udało im się go osiągnąć.

19.

Karo widziała, że Leonia jest przygnębiona nieobecnością hrabiego. Nigdy tego nie mówiła, ale ścieliła i wydawało się, że nie wie, czym się zająć.

— Wybierzemy się do Droueta — zaproponowała któregoś popołudnia. — Zobaczmy, czy znajdziemy takie łóżko, jakie chcesz. Chociaż nie jestem pewna, czego właściwie szukasz.

— Ja także — odparła Leonia, rozchmurzając się na myśl o łóżku. — Ale jak zobaczę, będę wiedziała.

Tym razem hrabia wyjechał na trzy tygodnie. Nie miała od niego żadnej wiadomości i wbrew swoim postanowieniom martwiła się. Wiedziała, że nie ma go w Paryżu; musiał więc wyjechać do Petersburga. To tak daleko! Nienawidziła czekania. Setki razy przyrzekała sobie, że nigdy więcej do tego nie dopuści.

— Przynajmniej dom jest skończony — stwierdziła Karo, gdy w promieniach słońca wczesnej wiosny szły do Droueta. — Kiedy monsieur wróci, będziecie mogli się wprowadzić.

— Chcę wprowadzić się teraz — powiedziała Leonia i powodowana nagłym impulsem szarpnęła gwałtownie Bébé, aż kotka przestała obwąchiwać pączki na niskim krzewie.

— Chcę tam być, kiedy on wróci. Wszystko będzie skończone i pokażę mu jego nowy dom. Nasz dom — dorzuciła triumfalnie. — Muszę znaleźć dzisiaj to łóżko, Karo. To ważne.

Karo przyglądała jej się, zaskoczona. Leonia zachowywała się niczym panna młoda] jak zakochana dziewczyna. Czy ona myśli, że rzeczywiście zna człowieka, z którym zawarła umowę?

— Powiedz mi — rzuciła od niechcenia, gdy pchnęły wielkie oszklone drzwi salonu Droueta — czy masz te swoje lekcje?

— Jakie lekcje?

— Nie pamiętasz? Miałaś nauczyć się, jak inwestować pieniądze. Monsieur miał pokazać ci, jak się kupuje udziały, akcje, ziemię.

— Zacznę natychmiast, jak tylko wróci — oświadczyła z przekonaniem Leonia. — Teraz, gdy dom jest skończony, będę miała więcej czasu.

— Uprzedzałam cię kiedyś — rzekła Karo — że kiedy romans się kończy, za późno na zastanawianie się, dlaczego nie uporządkowało się swoich spraw.

— Ależ ja wszystko mam uregulowane. W *Agence de Credit de Paris* mam swoje konto, dom jest na moje nazwisko. Mam wszystko, co chciałam. — Zaczęła przesuwając między palcami wiszące na jej szyi perły. — Tylko że teraz, kiedy mogę to mieć, nie tak wiele chcę... Chyba że łóżko!

Wzięła Bébé pod pachę i chwyciwszy Karo za rękę ruszyła śmiejąc się przez salon, wzbudzając powszechne zainteresowanie.

W domu panowała zupełna cisza. Leonia wraz z depczącą jej niepewnie po piętach Bébé szła powoli przez kolejne pokoje, zaciągając dokładnie zasłony na oknach i zapalając lampy. Poprawiała poduszki na świeżo obitych sofach, porządkowała stopy książek, leżących na wygodnych stołach w oczekiwaniu na czytelników.

Ściany wielkiego salonu udrapowane były przejrzystą, przypominającą mgiełkę srebrną tkaniną, tak delikatną, że w tkalni jedwabiu w Lyonie ostrzegano ją przez przykrymi niespodziankami.

— Ależ ten materiał przeznaczony jest na wykwintną ślubną suknię, madame — powiedział nie wierzący własnym uszom sprzedawca, gdy oświadczyła, że potrzebuje wiele metrów tej tkaniny na ściany. — Rozsypie się w ciągu paru lat — protestował.

— A więc zrobicie mi więcej — odparła, zbywając jego przeżarte krzyki na temat kosztów.

Miałałam rację, myślała teraz, gdy ciągnęła za srebrny sznur. Patrzyła, jak dobrane do tkaniny na ścianach zasłony przesuwwały się miękkimi fałdami w nikłym świetle gwiazd skrytych pod welonem mgły. Osiągnęła swój cel. Pokój stał się teatrem; scenografią dla mieniającej się obsady ludzi, których ona zaprosi.

Olbrzymi dywan w bladoszarym, gołębiem kolorze zdobiły girlandy kwiatów w tak przytłumionych pastelowych barwach, iż wydawały się przeświecać spod wód przejrzystego, falującego jeziora. Sofy i krzesła obite były ciężkimi, o nierównej fakturze jedwabiami w kolorach kremowym, beżowopiaszkowym, szarosrebrzystym i węgla drzewnego. Srebrne lampy i kinkiety osłonięte były układanymi w fałdki brzoskwiowymi abażurami, dającymi ciepłe, rozlewające się sadzawki światła. Leonia ustawiła bukiety ciętych kwiatów, wybierając jedynie gatunki o odurzającym aromacie, tak by działały na zmysły człowieka raczej przez swój zapach i mięśistość, aniżeli piękno. Serwantki i stoły z rzadkich gatunków drewna stanowiły tło dla subtelnych wyrobów z porcelany i srebra. Leonia westchnęła. Tak salon jest gotowy. Teraz potrzebni jej są tylko ludzie.

Wzięła Bébé na ręce i przeszła do sypialni. Dotknęła pokrywającej łóżko nieskazitelnej kremowej narzuty, przesunęła ręką po obiciu ścian z jasnosłomkowej mory. Odkrecając kurki w swej wielkiej różowej łazience wspomniła, jak po raz pierwszy brała kąpiel w takiej wannie jak ta.

Nie ma sensu się oszukiwać, myślała, krzywiąc szyderczo wargi. Nie zjawił się, a ona leżała sama na wielkim łożu. Wiedziała, że jest w Paryżu. Dowiedziała się wczoraj, że wrócił i popędzała służbę, by mieć pewność, że wszystko jest gotowe. Przygotowała kolację specjalnie dla nich dwojga, kolację, która miała być podana w ich własnej małej jadalni; przy świecach, ze stołem udekorowanym kwiatami. Czekala ożywiona pragnieniem ujżenia go, żądna słów pochwały dla ich domu; z radością myślała, jak pokaże mu jego gabinet, prezent, który tam ustawiła, i jej dedykację na nim. Włożyła jego ulubioną, ametystową suknię, którą wybrał dla niej w Cannes, wraz ze złotą kopią paska, zamówioną przez niego u Cartiera. Wyszczotkowane włosy odrzuciła do tyłu, aby spływały swobodnie na plecy. Będzie mógł przesunąć po nich dłońią i chwycić, gdy pociągnie jej głowę do tyłu, aby pocałować. Miała też oczekującą w lodzie butelkę *Roederer Cristal*.

Nie przyszedł. Czekala całą noc, potem cały ranek i popołudnie. Zwolniła wreszcie służbę, dając im kilka dni wolnego, choć jednocześnie przyrzekła, że im za nie zapłaci. Dobrze, że Marok nie pojawił się jeszcze i nie jest świadkiem jej poniżenia.

Była sama w tym wielkim domu. Tylko ona i Bébé, patrząca jej w oczy i ogrzewająca ją swoim ciepłem. Weszła do wanny, wrzuciła garść pachnących soli i rozpyliła w powietrzu zapach jaśminu, po czym położyła się. Leżała nieruchomo z unoszącymi się na wodzie włosami i zastanawiała się, co ma robić.

Już na schodach poczuł zapach jaśminu. Zatrzymał się skamieniały na wspomnienie małego chłopca, ukrytego za drzwiami garderoby matki. Odłożył przyniesione paczki na łóżko i podszedł do drzwi łazienki. Bébé patrzyła na niego z krzesła, ale nie poruszyła się. Wyciągnięta w wannie Leonia nie otworzyła oczu. Nie usłyszała jego kroków na miękkim dywanie. Zamknął drzwi i przeszedł z powrotem do drugiego pokoju, patrząc z uśmiechem na atlasowe obicia. Otworzył wielkie pudło, wyciągnął futro i rzucił je niedbale w nogach łóżka. Na nim równie niedbale rozrzucił papiery. Przeszedł do swojej garderoby i obejrzał wąskie żelazne łóżko w sypialni. Takich używali generałowie przy przemarszach na pole bitwy. To miało w głowach podwójne insygnia napoleońskie. Zastrzegł sobie, że ma mu znaleźć takie właśnie, jakie miał na *Ile Saint-Louis*, a które wziął z pokoju swego ojca. Ściany wybite były szarym płótnem, dywan miał kolor karmelu. Podobała mu się prostota tego pokoju. Zrozumiała, czego mu trzeba.

Leonia owinęła się niedbale ręcznikiem i mokra powlokła się leniwie do sypialni. Bébé podreptała za nią, wskoczyła na łóżko, obwąchała z zainteresowaniem futro i zwinęła się na nim wygodnie. Leonia stała, patrząc na łóżko, na futro, na papiery. Podniosła jedną kopertę. Papiery wartościowe, głosił napis. Odłożyła ją, podniosła Bébé i dotknęła futra z wahaniem. Było płowe, niewypowiedzianie miękkie i równie kosztowne. Trzymając je pobiegła do jego pokoju. Wlokło się za nią wraz z ręcznikiem, a z jej mokrych włosów spadały wielkie krople wody. Otworzyła gwałtownie drzwi. Oparty o okno patrzył w noc ze skrzyżowanymi rękami. Usłyszał ją i odwrócił głowę.

- Wróciłeś — powiedziała oskarżycielskim tonem.
- Na to wygląda — rzekł sucho.
- Co to jest? — wyciągnęła w jego stronę koperty.
- Udziały i akcje, które ci obiecałem.

Puściła futro i zaczęła sprawdzać po kolei ich zawartość. Europejska Kompania Żelaza i Stali, przeczytała. Tysiąc udziałów i na każdym jej nazwisko. Kompania Automobilowa de Courmonta — to samo. Ręka jej drżała. Dlaczego to zrobił? Dlaczego najpierw znęca się nad nią, a potem daje jej to, czego ona chce? Dlaczego sieje w jej duszy tyle niepewności, a potem urzeczywistnia jej marzenia o zabezpieczeniu?

Podszedł do niej i podniósł futro.

— Nie cieszysz się, że mnie widzisz? — zapytał.

— Nie wiem. — Odwróciła z gniewem głowę, unikając jego oczu. — Słyszałam, że już od wczoraj jesteś w Paryżu.

— Przyjechałem nawet dzień wcześniej, ale musiałem się zająć różnymi sprawami, no i naturalnie spotkać się z rodziną.

— Naturalnie.

— Jesteś mokra.

Dotknął jej mokrego ramienia i starł resztki wody palcami, po czym rozpostarł futro włosem do środka i owinął ją mocno. Kosztowne futro przyłgnęło do mokrego ciała, a on tarł ją, usuwając resztki wody. Przeniósł ją na wąskie łóżko, rozłożył sobolowe futro i spoczął koło niej. Wdychała zapach jaśminów i mokrego futra, a on zaczął ją całować.

Gdy ocknęła się po kilku godzinach, nadal leżała w jego miażdżącym uścisku, z jego głową wciśniętą w piersi.

— Powiedz mi — szepnęła w ucho śpiącego mężczyzny — że mnie kochasz.

Poderwał się, nagle przebudzony.

— Nie bądź śmieszna, Leonio — powiedział, idąc do łazienki. — Mówiliśmy już kiedyś na ten temat. Wyjaśniłem ci wtedy moje uczucia do ciebie. Nie zmieniły się.

Usłyszała, jak odkręca kran i wanna zaczyna napełniać się wodą. Zarzuciła peniuar i zbiegła na dół. Otworzyła drzwi do jego gabinetu, podkrađła się w ciemnościach do biurka i wymacała mały

komplet srebrnych przyborów do pisania. Jej prezent dla niego z tą daremną, dziecinną dedykacją. Przyciskając je do piersi zbiegła na dół i wrzuciła na samo dno szafy, aby nigdy nie zostały znalezione.

Karo patrzyła na Alfonsa z irytacją. Z tymi swoimi pyzatyimi policzkami i przeredzającymi się wokół małego, równego kółka na czubku głowy kasztanowymi włosami jest taki doskonale zwyczajny. Okulary ma tak samo okrągłe jak piwne oczy. Tak naprawdę, cały składa się z kółek, pomyślała z czułością. Jako dziecko musiał być słodkim, małym bobaskiem.

— Nie prosileś mnie, abym za ciebie wyszła w tym tygodniu, Alfonsie.

— Proszę cię, wyjdź za mnie, Karo.

— Cóż, może jednak nie w tym tygodniu. — Wyciągnęła się obok niego na wielkim łożu z baldachimem i opuściła zasłony w obficie rozsypane chabry i maki. — Zupełnie, jakbyśmy się znaleźli na letniej łące — powiedziała z westchnieniem zadowolenia.

— Jestem cierpliwym człowiekiem — zauważył, całując ją z czułością. Wiedział, że wśród ich przyjaciół i znajomych byli tacy, którzy dziwili się, dlaczego taka piękna i kochająca wesołe życie kobieta wybrała sobie mężczyznę tak zwyczajnego jak on, ale nie przejmował się tym, co ludzie mówią. Wystarczało mu, że jest z nim. Wiedział też, że go kocha, choć z takim uporem nie zgadza się za niego wyjść.

— Kocham cię — powiedziała, jakby czytając w jego myślach. — Jesteś jedynym mężczyzną, który jest w stanie ze mną wytrzymać. Jedynym człowiekiem, któremu mogę się poskarżyć, że bołą mnie nogi i któremu nie przeszkadza, że o czwartej nad ranem jem wielkie pajdy chleba z serem, czy też zapraszam moich frywolnych przyjaciół do wielkiej stodoły w twoim wiejskim domu. Tam wydaję najlepsze swoje przyjęcia — dodała.

— Wiesz jednak, że nienawidzę przyjęć — roześmiał się Alfons. — Jestem typem człowieka w kapciach i z fajką.

— Wiem, wiem. — Odwzajemniła jego uśmiech. — Ale nauczyłeś się je lubić, może nie?

Pocałował ją skwapliwie. Do uporządkowanego życia bankowca i absolutnego tradycjonalisty, jakim był nim się poznali, wprowadziła element przygody i całkowicie odmieniła jego świat.

— Nie opuszczaj mnie, Karo, nawet jeśli nie chcesz za mnie wyjść. — Objął ją, biorąc w posiadanie jej ciepło, witalność, bogactwo jej życia.

— Gdybym tylko mogła znaleźć kogoś takiego jak ty dla Leonii — zamruczała mu w ucho. — Każdą komórką ciała czuję, że Gilles de Courmont to człowiek niebezpieczny. Mam przecucie, że będą kłopoty.

Urząd Badań Egiptologicznych mieścił się w starym budynku, ukrytym na maleńkiej uliczce na tyłach Luwru. Leonia była już tu i nie miała trudności z odnalezieniem go. Czowała się podniekszetywana. Monsieur Lamartine powiedział jej, że wysłał fotografie hieroglifów z jej egipskich statuetek do pana Mariette'a w nowym muzeum w Kairze i lada dzień spodziewa się odpowiedzi.

Lamartine sam mógł zidentyfikować statuetki. Z czułością trzymał w ręku małego kota. — Starożytni Egipcjanie kochali koty, były dla nich zwierzętami świętymi. Ten znany jest jako Bastet.

Ale była jeszcze druga figurka i tę uznał za zachwycającą.

— Ta datuje się z okresu XVIII Dynastii, z czasów rządów Tutmozisa — oznajmił, podnosząc ją z wielką czcią. — To bogini Sechmet, małżonka wielkiego boga Ptaha, który władał starożytnymi Tebami.

— Bogini — westchnęła, dotykając gładkiego kamienia z szacunkiem. — Czego, monsieur Lamartine?

— Odgrywała różne role, ale znana była głównie jako opiekunka boga słońca Ra w jego nocnej podróży przez świat podziemi. Egipcjanie wierzyli, że kiedy słońce zapada za horyzontem, przechodzi przez wrota strzeżone przez dzikiego jak Cerber psa, by udać się do świata podziemi, i gdy płynie rzeką, musi stawić czoło wielu obliczom zła, aż wreszcie pojawia się na nowo wraz ze świtem. I to właśnie moc Sechmet chroniła boga słońca od złego. Dlatego była ona taka ważna. Bez słońca nie ma życia, a oni wierzyli, że bez Sechmet nie mógłby istnieć bóg słońca. Krąg za nią symbolizuje słońce, ciało kobiety — jej płodność, głowa lwa zaś jest znakiem mocy.

Sechmet miała dwoisty charakter. Małżonka potężnego oraz ta, która kocha. Mocna, ochraniająca swoje ziemie oraz tych, których darzyła miłością. Była zarazem bezlitosna wobec wrogów. Wedle egipskich wierzeń zabijała z takim okrucieństwem, iż opowiadający o strasznej bitwie żołnierze mawiali, że wrogowie „zabijali jak Sechmet”. Zawsze była postacią kontrowersyjną; przez całe dzieje Egiptu jedni ją kochali, inni nienawidzili.

Lamartine skończył i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Czy mogę spytać, gdzie pani to zdobyła, madame?

— Należały do mojego ojca. Był Egipcjaninem. Nie wiem, jak wszedł w ich posiadanie, ale ja mam je przez całe życie. — Przycisnęła statuetkę do piersi, jakby w obawie, że jej ją odbierze.

— Było wiele band rabusiów grobowców — wyjaśnił jej łagodnie. — Pani ojciec dał się z pewnością skusić przez jedną z nich, jeśli mieszkał w pobliżu Luksoru.

— Niestety, nie wiem, skąd pochodził.

— Większość znalezionych figur Sechmet pochodzi ze świątyni Ptaha w Memfis, znanym niegdyś jako Teby. Świątynia znajduje się nad Nilem, w okolicach Luksoru. Ta figurka jednak stanowi niewątpliwą rzadkość, przy czym najbardziej niezwykły w niej jest kamień. Nawet wielki posąg w świątyni wykuto w czarnym granicie. Istnieje wiele dziwnych opowieści, związanych z tą figurą, bardzo wiele różnych historii...

— Tak? — rzekła Leonia podekscytowana. Płonęła chęcią poznania ich, ale monsieur Lamartine zagubił się w swoich myślach.

— Muszę poznać wyryty na tej statuetce przekaz — nie rezygnowała.

Miała nadzieję, że dziś wreszcie się dowie.

Biuro pana Lamartine'a pokrywał pył jeśli nie całych dynastii, to co najmniej kilku lat. Przetarł dla niej krzesło i przysunął zapraszającym gestem.

— Już mamy odpowiedź. Wiemy teraz, co mówi ten napis.

— Proszę, niech mi pan powie!

Wychyliła się z krzesła, z zapartym tchem czekając, aż zacznie czytać.

— Jest to fragment poematu, który odkryto na wrotach świątyni Mut w Karnaku, która jest już niestety w całkowitej ruinie. Musi

pani wiedzieć, że Sechmet w jej roli bogini miłości oraz obrończyni utożsamiano z Mut.

— Wiersz, proszę — przynagliła go, pełna napięcia.

— Przeczytam go pani.

Modlitwa do Sechmet

Ty, która jesteś małżonką wszystkich bogów

Ty, która tchniesz oddech życia

w nozdrza twych umiłowanych.

Owspaniała w swej mocy,

która chronisz ziemię

obrończyni tych, których kochasz

Sechmet o straszliwych oczach

Pani rzezi

Zwiastunko zarazy i śmierci.

Sechmet, wielka małżonko najpotężniejszego

Ty, która zsyłasz ogień na swych wrogów.

Twoi wrogowie przepadną...

Leonia z drżeniem słuchała napisanych tysiące lat temu w Egipcie słów, odbijających się echem w zakurzonej ciszy pokoju. Imię Sechmet wciąż dźwięczało w jej głowie. Jakże ambiwalentnie brzmiały słowa, które teraz poznała.

— Myślę, madame — rzekł Lamartine — że jak wszystkie bóstwa, Sechmet jest jedynie tym, czego się w niej doszukujemy. Doskonałą małżonką potężnego męża, matką, która będzie walczyć w obronie swych dzieci, czy też okrutną kobietą, która nie powstrzyma się przed niczym, nawet zabijaniem, aby zwyciężyć.

Leonia zaczerpnęła głęboko tchu.

— Miałam tę statuetkę przez całe życie — zaczęła z nerwowym śmiechem. Nawet spałam z nią, gdy byłam dzieckiem. Kochałam ją; była moją przyjaciółką. Nie wierzę, że Sechmet to zło.

— Bo tak pani patrzy na Sechmet, i tak właśnie powinno być. — Lamartine podał jej tłumaczenie hieroglifów. — Cieszę się, że mogłem pani pomóc. Przynajmniej tę zagadkę rozwiązaliśmy.

— Tak. — Leonia skinęła głową z powątpiewaniem. — Chyba tak.

20.

Nieskazitelny w czarnym surducie i wykrochmalonej na sztywno koszuli Marok

wyszedł z bawialni na pierwszym piętrze, zszedł szerokimi schodami na parter i posłał lokaja po pokojówkę.

— Luizo —zwrócił się do podbiegającej dziewczyny —kwiaty w dużym salonie trochę przywiędły. Poskarżę się jutro w kwiaciarni, ale na razie wstaw je do świeżej wody i usuń ze stołów to, co się z nich nasypało.

— Tak, proszę pana.

Zakrzatnęła się szybko, chcąc mu się przypodobać. To najlepsze miejsce w Paryżu] najwyższe wynagrodzenie, więcej niż gdzie indziej wolnego, a gdy natknie się na madame, ta zawsze znajdzie miłe słowo. Luiza ze wszystkimi służącymi jest po imieniu, wie, skąd kto pochodzi, wie o ich rodzinach, a oni też często pytają o jej młodszą siostrę. Pani jest dobra i nieważne, co ludzie o niej mówią. Marok zaś to najlepszy majordomus w Paryżu. Ona wie to najlepiej. Pracowała pod kilkoma nadętymi fagasami, równie zadufanymi w sobie — jeśli nie bardziej — jak ich państwo. Ten jednak to porządny człowiek. Prowadzi dom dobrze, mocną ręką, a to się liczy. Nikt bardziej odpowiedzialnie niż on nie traktuje swojej funkcji. Przy czym trzeba pamiętać, że jest bardzo młody. Uwielbia też madame. Ploteczki kuchenne mówią, że pracowała kiedyś razem z nim w sklepie z bielizną, ale to na pewno tylko plotki. Madame to taka dama.

Marok patrzył, jak dziewczyna znosi ostrożnie na dół wazony z dużymi kwiatami. Mógł z pełnym zaufaniem zlecić jej tę pracę, jednak rano odesłał je do kwiaciarni. Najchętniej odesłałby je teraz, ale było już za późno. Spojrzał na stary złożony zegar z orzechowego drewna, tykający cicho w kącie przy wielkich dwuskrzydłowych drzwiach. Goście pojawiają się za godzinę i do tego czasu wszystko musi być w idealnym porządku.

Kolacja przewidziana była na szesnaście osób i mieli jeść przy wielkim stole. Gdy miało być więcej osób, przygotowywali małe okrągłe stoły na sześć nakryć. Gości rozsadzano wtedy w grupach, co Leonii bardzo się podobało. Twierdziła, że tak jest bardziej intymnie i wygodniej jest prowadzić rozmowy, ale monsieur zawsze lubił mieć wszystkich przy jednym stole. Marok uważał, że to dlatego, aby mógł mieć ją cały czas na oku. Gdyby nie siedziała przy tym samym stole, nie wiedziałby, co się z nią dzieje. Nie, żeby się coś działo; Marok nie miał jednak wątpliwości, że monsieur de Courmont jest bardzo zazdrosnym mężczyzną.

Obejrzał stół krytycznie, wygładził brzegi wytwornie haftowanego, lnianego brzoskwińskiego obrusa. To znów wybór Leonii; monsieur woli gładkie, z białego adamaszku. Popatrzył na ciężki kandelabr i kryształowe kieliszki, tak cienkie, że gdy podnosił je, by sprawdzić szybko ich idealną przejrzystość, zastanawiał się, czy nie rozsypią się w ustach jakiegoś zbyt krzepkiego biesiadnika. Odstawiał je ostrożnie, dziękując Bogu, że nie będzie musiał ich myć. Obok nakrycia każdej z pań stała w kryształowej miseczce gardenia i zapach kwiatów napełniał cały pokój, pośrodku zaś długiego obrusa widać wstęgą ułożoną z delikatnych lilii, splecionych paprociami i ozdobnymi liśćmi z cieplarni.

Marok sprawdził bufet z winami, które uprzednio porozlewał. Monsieur jest strasznie zasadniczy, jeśli chodzi o wina, i po dwóch latach pracy nad nimi sam stał się swego rodzaju koneserem. Leonia wyjaśniła hrabiemu ten niedostatek umiejętności Maroka i hrabia zaakceptował to, ponieważ odpowiadało mu pokazywanie młodemu służącemu wszelkich tajemnic, na przykład właściwego rozlewania win.

Marok przeszedł do kuchni, by sprawdzić, jak radzi sobie kucharz. Nie miał na co dzień zbyt wielkiego pola do popisu. Leonia lubiła proste jedzenie, choć nie znaczyło to wcale, że miało być ono tanie. Marok uśmiechnął się na wspomnienie kanapek, którymi

dzielili się w zaułku za sklepem Serrat. Dziś Leonia miała podać świeżego łososia i zwyczajne pieczone bażanty oraz najlepsze jarzyny, jakich mógł dostarczyć rynek. Dla monsieur'a był również koszyk świeżych owoców, hodowanych bez względu na sezon w cieplarniach jego *château*, a które przysyłano do Paryża dwa razy w tygodniu.

Leonia osobiście nauczyła kucharza przyrządzania pochodzącej z Prowansji potrawy. Bardzo lubiła *tian*. Gdy była sama, przeważnie jednak jadła omlety.

Bébé przemknęła przez drzwi, płacząc mu się pod nogami. W ostatniej chwili, nim drzwi zamknęły się z trzaskiem, zdażyła ocalić ogon.

— Któregoś dnia ten kot straci swą ozdobę — powiedział kucharz, stawiając na podłodze przed Bébé talerzyk z pieczonymi kurzymi wątróbkami. Kotka otarła się łepkiem o jego nogi z głośnym mruzeniem. Kucharz uwielbiał ją. Nigdy przedtem nie tolerował w kuchni żadnego kota, ale Bébé to co innego. To niezwykle kot.

— Wszystko w porządku, Mougins? — spytał Marok, ogarniając spojrzeniem nieskazitelnie czystą kuchnię. Jak zawsze panowała tu atmosfera wyteżonej pracy i jak zawsze kucharz panował nad wszystkim.

— Czy możemy liczyć, że podawanie rozpoczniemy o czasie, Marok?

— Tak, pan hrabia już jest.

Kotka wyskoczyła za nim i zbiegła po schodach, by odszukać Leonie. Bébé rzadko spuszczała ją z oczu.

Przestronne łóżko z wezłowiem, które wyglądało, jakby stanowiło kiedyś część rzeźbionego splendoru jakiegoś renesansowego pałacu Italii, stało na podium na środku pokoju. Leonia leżała nieruchomo, z niewidzącymi wzrokiem wbitym w obite jasną jedwabną morą ściany. Miały kolor miedziany, odpowiadający odcieniowi jej włosów, oczywiście jeśli nie pływała ani nie przebywała dużo na słońcu, kiedy znacznie jaśniały. Wypolerowana do blasku statuetka Sechmet patrzyła na łóżko z wysokiego marmurowego postumentu. Obok niej stała figurka Basteta. Przyciągała ciepłem dzień i noc oświetlającej je lampy, Bébé często zwijiała się u stóp Basteta, wywołując uśmiech na twarzy obserwującej

bliźniacze koty Leonii. Ale nie dzisiaj. Leonia słyszała, jak hrabia chodzi w przyległym pokoju. Wykapał się już i jak przypuszczała, ubierał się ze zwykłym sobie pośpiechem, pochłonięty myślami.

Przesunęła badawczo ręką po ciele, wilgotnym jeszcze po akcie miłosnym. To jego pierwsza noc po powrocie z długiej podróży do Rosji i wziął ją tak jak zawsze, przypisując sobie prawo do absolutnej własności. Ona również go pragnęła, pragnęła podporządkowania się jego ciału. A gdy wszystko się skończyło, wyszedł z łóżka i poszedł wziąć kąpiel. Nie powiedział jej nawet, że za nią tęsknił, czy też, że ją kocha. Tyle że w takich momentach, uśmiechnęła się z wykrzywioną twarzą, nigdy tego nie mówił. Nie mówiła takich słów również ona. Ale powiedziałyby na pewno, gdyby on zaczął.

— Monsieur! — zawołała.

Stanął w drzwiach zakładając usztywniacze do kołnierzyka i zapinając onyksowe spinki mankietów. Nieobecny, zaabsorbowany kolejną sprawą porządku dziennego, myślała z goryczą. Wiedziała, o co chodzi. Wybierał się do domu na wieczorne przyjęcie, do Marie-France i dzieci. Mimo że otwarcie prowadził własne życie, drobniawczo przestrzegał spędzania właściwej ilości czasu z rodziną. Kiedyś Leonia zazdrościła Marie-France tej pewności, którą ma jako żona, ale teraz wiedziała już, że ona również nie jest zabezpieczona przed ciosami.

Z drżeniem wspominała dzień, kiedy Marie-France przyszła do niej. Był to leniwy poranek i nie była przygotowana na to, że ktoś przyjdzie. Ubierała się w pośpiechu i kazała Julie ściągnąć sobie włosy do tyłu najsurowiej jak można, aby nie wyglądała na kobietę, która wyszła właśnie z ciepłego, rozgrzebanego łóżka. Na wargach bladej, ale opanowanej Marie-France błąkał się chłodny uśmiech.

— To trudne dla nas obu — zaczęła, gdy zasiadły naprzeciw siebie przy herbacie podanej w wytwornej chińskiej porcelanie, za którą zapłacił jej mąż — ale musiałam się z panią spotkać. To nie zwykła ciekawość. Musiałam się dowiedzieć, jakiej jego potrzeby nie jestem zdolna zaspokoić. Czy pani go kocha, moja droga?

Leonia z trudem chwyciła powietrze, zaszokowana nieoczekiwanym pytaniem. Nie była w stanie odpowiedzieć. Wpatrywała się w jasny dywan, pragnąc się pod niego zapaść. Nie, ta delikatna kobieta nie może się dowiedzieć, jak układają się sprawy między nią a hrabią.

— Wszystko było dobrze, dopóki pani nie ujrzałam — zwróciła się cicho do gościa. — Teraz jednak pani ma twarz. Tę twarz będę pamiętać. A także uczucia — takie same jak moje. Madame — chwyciła głęboko powietrze. — Sądziłam, że jest inaczej, ale jeśli rujnuje pani życie i jestem powodem pani nieszczęścia, opuszczę go.

— Gilles i ja prowadzimy oddzielne życie już od dawna. Wie pani doskonale, że przed nią były inne. Ja po prostu muszę troszczyć się o moje dzieci. Nie chcę, aby stała im się krzywda, nie chcę też dopuścić do skandalu. — Wzruszyła ramionami.

— Wielu mężczyzn, i obie o tym wiemy, ma kochanki. Myślę, że jest szczęśliwy, mając kogoś tak młodego i pięknego jak pani. Nigdy nie mogłam zrozumieć, czego Gilles potrzebuje, ale zdaje się, że on znalazł odpowiedź. — Odstawiła filiżankę z nietkniętą herbatą i ruszyła do drzwi. W progu odwróciła się i uśmiechnęła się do niej. — Tylko proszę pamiętać, że w przypadku jakiegokolwiek konfliktu dobro moich dzieci będzie na pierwszym miejscu.

I z tym miłym uśmiechem odeszła.

— Tak? — Hrabia przerwał jej rozmyślania zniecierpliwionym tonem.

Leonia wychyliła się i chwyciła go za rękę.

— Czy zależy panu na mnie, monsieur? Niech mi pan powie prawdę, co pan do mnie czuje? Czy coś znacę dla pana?

— Oczywiście, że tak, Leonio — rzekł, wkładając marynarkę. — Należysz do mnie.

Westchnęła i opadła z powrotem na poduszki, patrząc jak poprawia krawat przed lustrem.

— Gilles, czuję się samotna.

— Jak to możliwe, abyś ty była samotna? Ten dom nigdy nie jest pusty. A za niecałą godzinę masz jedenaście osób na kolacji, więc lepiej wychodź z łóżka i szykuj się.

Zorganizowała tę kolację jako powitanie dla niego, zapraszając starych przyjaciół i nowych znajomych, ale teraz żałowała, że to zrobiła. To on był jej potrzebny, chciała być z nim sama, chciała z nim rozmawiać!

— Proszę cię, odeślemy wszystkich i zrobimy sobie naszą kolację. Ty i ja możemy mieć ją już teraz, tu, w moim pokoju.

— Nie bądź śmieszna, Leonio! Poza tym przypominam ci, że przyjęcie jest twoim pomysłem. — Spojrzał na zegarek. — Nie zapomnij, że chcę wyjść najdalej o dwunastej.

— Nie zapomnę.

Naciągnęła koldrę na głowę i wcisnęła twarz w poduszkę. Bébé wskoczyła do łóżka i zwinęła się w zgięciu jej podciągniętych kolan.

— Nie rozumiem, Bébé — wyszeptwała Leonia. — Przecież się nie nudzę, po prostu muszę mieć coś więcej niż to.

Wygląda wspaniale, myślał, spoglądając na nią z końca stołu. Organdynowa suknia Leonii była bez rękawów, głęboko wycięta, przy szyi, czerń materiału podkreślała aksamitną gładkość jej nagich rąk. Nieodmiennie zachwycał go ciepły puszek letnich brzoskwiń, okrywający jej skórę. Mówiła coś z przejęciem do niedawno wprowadzonego tu młodego mężczyzny — artysty, jak go przedstawiła, i hrabia patrzył na głowy skłaniające się ku sobie w trakcie rozmowy. Wydawała się całkowicie pochłonięta tym, co mówił młody człowiek. Poczul pchnięcie zazdrości, choć wiedział, że nie ma najmniejszego powodu. Leonia była mu wierna. Najęty przez Verroneta człowiek pilnował jej cały czas i hrabia każdego dnia otrzymywał raport opisujący każdy jej ruch od momentu wyjścia z domu aż do chwili, gdy do niego wracała. To, co kiedyś rozpoczął jako grę, teraz przeistoczyło się w potrzebę. Musiał wiedzieć, co ona robi, z kim się spotyka i dokąd chodzi. Pragnienie poznania najdrobniejszych szczegółów jej życia trawiło go tak, że gdyby mógł, trzymałby człowieka do podsłuchiwania jej rozmów.

Dlaczego powiedziała, że czuje się samotna? Nigdy nie jest sama. Dzięki Bogu, przebywa głównie z ludźmi, których on zna, jak Karo i Alfons. Kiedy on wyjeżdża, ona chodzi na przyjęcia lub do teatru. Nie trzyma jej w więzieniu, choć w istocie chciałby. Myśl ta od dawna czaiła się na dnie jego świadomości. Zamknąłby ją i trzymał tylko dla siebie. Wtedy miałby pewność, że nigdy jej nie straci. Przecież należy do niego — czyż nie udowodnił tego tylko co na gorze, w jej łóżku? Wciąż na nią działa i wzbudza jej pożądanie. Lubieżna jest ta jego Leonia. Leonia, którą tylko on zna.

Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona jak obramowanie ze światła. Odrzuciła je do tyłu niecierpliwie. Wydłużone piwne oczy patrzyły, jak się w nią wpatruje. Uśmiechnęła się. Pochyliła się i podniósłszy Bébé, posadziła ją na stole obok siebie. Wiedziała, że nie znosi, kiedy kot siedzi na stole. Nalała na talerz trochę śmietanki i dała jej wylizać, spoglądając na niego spod rzęs. Jego twarz nie drgnęła nawet. Nadal popijał wino, patrząc na nią ciemnymi, nieodgadnionymi oczami.

Zakłęła w duchu. Dlaczego nie reaguje? Przecież chce, żeby się rozzłościł. Niechby krzyknął na nią, rzucił czymś, uderzył! Nie sposób znieść takiej obojętności. Przecież to nieludzkie! Czyżby nie wiedział, że człowiek jest zdolny do okazywania uczuć? Czasem wydawało jej się, że w ogóle jest ich pozbawiony. Jedyne momenty, kiedy nie panuje nad sobą, to chwile, gdy się kochają. Wtedy jednak nie jest pewna, czy to co on odczuwa można nazwać przyjemnością. Bo na pewno nie jest to szczęście.

Młody artysta szkicował na sztywno wykrochmalonej lnianej serwetce szybki ołówkowy portrecik Bébé, oblizującej sobie wasy.

— Urocze — zaśmiała się zadowolona z wyniku Leonia. — Zachowam i dam do oprawy.

Rozmyślnie posadziła go po swej lewej ręce. Miała nadzieję sprowokować hrabiego, zmusić go do okazania zazdrości. Byłoby to dla niego coś nowego i dziwnego.

— Proszę mi powiedzieć — pochyliła się znów do młodego człowieka — co to znaczy być artystą? Czy trudno znaleźć natchnienie?

W szmerze rozmów unoszących się nad stołem hrabia skinął na Maroka, wskazując mu kieliszki. Obdarzona potężnym biustem śpiewaczka z prawej i piękna młoda aktorka z lewej strony, zniecierpliwione jego milczeniem, wychyliły się do przodu i ignorując go, zaczęły rozmowę przez stół.

Nie było go przez miesiąc i stęsknił się za nią. Życie bez niej było puste. Przedtem wszystko wydawało się takie nasycone, a zarazem uporządkowane i na miejscu. I on nad tym wszystkim panował. Była Marie-France z dziećmi, było jego prawdziwe życie — świat jego interesów. Przewidziana dla kobiet część miała swoje ustalone miejsce, nigdy nadmierne, zawsze pierwszeństwo miały interesy. Leonia jednak wślizgnęła się do najdalszych zakamarków jego umysłu i utrzymywała się tam tak samo jak słodki, ziemny aromat jaśminów; jej woń w jego nozdrzach. Wtargnęła w jego życie oficjalne i w prywatne kaprysy. Nie powinien był do tego dopuścić. Musi trzymać ją tam, gdzie jej miejsce. Jest bezbronna. On wie, czego jej potrzeba do szczęścia. Pokazał jej niedawno nową posiadłość nad Loarą. Ma ochotę na winnicę, a ta była na sprzedaż. Dziś w nocy da jej kolejne świadectwo udziałowe. Będzie zachwycona. Spojrzał na drugi koniec stołu. Musi powiedzieć Verronetowi, by ktoś przywołał do porządku tego młodego człowieka.

21.

Karo patrzyła na Leonie, myśląc że wydepcze ścieżkę w jej cudownym szaroniebieskim dywanie z Aubusson, jeśli nie zaprzestanie tego upornego spacerowania. Była u niej już od godziny i jeszcze nie usiadła.

— Przestań, proszę cię — prosiła. — Tracisz tylko czas, denerwując się z jego powodu. Musisz pogodzić się z tym, że taki jest.

— Ależ Karo, ja nawet nie wiem, czy jemu na mnie zależy! Tak, tak, wiem. — Usiadła nagle na kanapie obok Karo. — Nie powinnam narzekać; zawarłam umowę i mam wszystko, czego kobieta może chcieć. — Rzuciła między nie koperty. — Nawet to! Mam piękny dom wypełniony pięknymi rzeczami. Popatrz na mnie: jestem jedną z najlepiej ubranych kobiet w Paryżu. Stanowiąc obiekt zawiści innych kobiet, gdyż żyję z *Panem Hrabią*. Mam wszystko, czego zapragnę, a raczej tak to wygląda. Czy ty wiesz — wyszeptwała, przechylając się do przyjaciółki — że żaden mężczyzna nie zrobił w moją stronę najmniejszego kroku? Ja nawet nie wiem, czy mogę się jeszcze podobać!

— Czy hrabia nie pragnie ciebie? — spytała zdumiona Karo.

— Tak, naturalnie że tak, ale czasami zastanawiam się... Nie mam pewności, dlaczego. Czy rzeczywiście istnieję dla niego, czy też jedynie ztraca się w swych własnych potrzebach i pragnieniach. I dlaczego mnie pragnie, skoro mnie nie kocha?

Leonie zaczęła płakać i Karo objęła ją.

— Nie płacz — powiedziała, głaszcząc ją po głowie. — To dziwny człowiek. Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek kochał jakąś kobietę. Wiem jednak, że tobą jest wprost opętany. Mogłabym przysiąc, że wciąż o tobie myśli i że jesteś mu potrzebna.

— Więc niech mi to powie! Dlaczego tego nie zrobi? — Leonia usiadła i wytarła oczy. — Do diabła, nie mam zamiaru płakać z powodu mężczyzny. Przrzekłam to sobie, kiedy Rupert mnie opuścił.

— Co to jest? — Karo podniosła koperty.

— Prezent dla mnie na nasze powitanie.

Karo otworzyła jedną kopertę i szybko przebiegła wzrokiem jej zawartość. Świadectwa udziałowe. Wszystkie w kompaniach będących własnością de Courmonta. Sprawdziła resztę i włożyła je z powrotem do kopert.

— Cóż, przynajmniej dba o ciebie.

— Ale mnie to nie wystarcza, Karo. Ubieram się tak, jak on sobie życzy, noszę biżuterię, którą mi daje, wydaję dobre przyjęcia i zapraszam na nie ludzi, których on wybiera, chodzę z nim, kiedy i dokąd on chce. I zawsze jestem tam —; oczekująca — kiedy mnie potrzebuje. Jestem doskonałą metresą — powiedziała z goryczą. — Jestem dokładnie wszystkim tym, czym on chce. Czuję się, jakby to on mnie tworzył!

— To nieprawda, Leonio. Ty to jesteś ty!

— Zazdroszczę tym wszystkim młodym ludziom — podjęła Leonia — których zapraszam na przyjęcia; śpiewacze z opery, która ćwiczy przez cały dzień, ślicznym młodym baletnicom, które muszą walczyć o to, by wyrobić sobie nazwisko. Ich życie jest przynajmniej prawdziwe! Ja zaś stanowią tylko część kaprysu. I ta nieustająca gra, to wieczne zmaganie się — kto kogo. Czasami myślę, że powinnam wziąć sobie kochanka. — Podniosła się i znów zaczęła przemierzać dywan. — Wczoraj był na kolacji pewien młody człowiek...

— Chyba oszalałaś — powiedziała Karo cicho. — Nikt nie oszuka Gillesa de Courmonta.

— Od dnia, w którym go spotkałam, nawet nie pocałowałam innego mężczyzny. — Leonia porwana przez burzę własnych słów zatraciła się we własnych myślach. — Czasami przypomina mi się Rupert. Byliśmy tacy młodzi i niewinni... Jakie to było cudowne...

— Leonio, czy już zapomniałaś, że Rupert cię porzucił?

Leonia zamilkła, otrzeźwiona pytaniem.

— Muszę cię teraz ostrzec. Próba okłamania Gillesa de Courmonta może się stać bardzo niebezpieczną grą. Jak sądzisz, dlaczego nikt nie próbuje się do ciebie zbliżyć? Przecież nie dlatego, że nie jesteś atrakcyjna czy pociągająca. Mężczyźni się po prostu boją. Boją się de Courmonta! Znany jest jako człowiek bezwzględny w interesach, a ja sama widziałam, jaki jest w stosunku do kobiet. W mgnieniu oka zamienia się w lód i zostawia cię, a ty zastanawiasz się, co takiego zrobiłaś, co go tak rozgniewało. A kochanek... Dobry Boże! Leonio, chyba oszalałaś! On nigdy nie pozwoli ci odejść.

Leonia wpatrywała się w podłogę. Karo ujęła ją ze współczuciem za rękę.

— Poza tym — dodała — pamiętaj, że masz umowę. Kontrakt, jak mi powiedziałaś. Czy nie wywiązuje się z niej?

Leonia usiadła z westchnieniem. Gniew się wypalił.

— Sądzę, że masz rację, Karo.

Tłum elegancko ubranych ludzi wyroił się z teatru na *rue Royale*. Ludzie płynęli powoli ulicą, śmiejąc się i rozmawiając o przedstawieniu. Hrabia skinął na oczekujący powóz.

— Nie, proszę, przejdźmy się — zaproponowała Leonia. — Taki piękny wieczór.

— Dobrze, jeśli masz ochotę, zamówiłem stół u *Voisina*.

— Dlaczego nie pójdziemy do *La Coupole*, tylu tam interesujących ludzi, artyści, pisarze...

— Lubię tę restaurację i myślałem, że ty także.

— Ale my zawsze robimy to samo; chodzimy w te same miejsca, spotykamy tych samych ludzi. Nigdy nie zabierasz mnie gdzie indziej.

— Nonsens! — Ujął ją mocniej pod ramię, przyspieszając przy przechodzeniu przez ulicę. — Nawiasem mówiąc, bywasz tu bardzo rzadko.

Rozbawiły go jej narzekania. Wiedział, że jest rozdrażniona z powodu jego wyjazdu do Nowego Jorku.

— Myślę, że cię opuszczę — powiedziała na próbę.

— Oczywiście, że tego nie zrobisz — odparł, nie zatrzymując się nawet.

— Dlaczego?

— A dlaczego miałabyś odejść? Czyż nie masz wszystkiego, co chcesz?

— Naprawdę? Naprawdę, monsieur? — Chciała, by powiedział, że ją kocha. Powiedz to, no powiedz, tętniło jej w głowie.

Zatrzymała się, zmuszając go, by się odwrócił i spojrzął jej w twarz. Szeroka ulica pulsowała zabawą, jasno oświetlone kawiarnie pełne były bawiących się ludzi. W powietrzu unosiły się dźwięki muzyki.

— Weź mnie do Nowego Jorku — odezwała się błagalnie. — Ten jeden raz pozwól mi pojechać z tobą... Proszę, monsieur...

— Nie mogę tego zrobić, Leonio.

Nawet nie chciało jej się pytać, dlaczego. Odpowiedź zawsze brzmiała tak samo.

— Jak wrócę, wyjedziemy na kilka dni na południe.

— Ale ja nie tego chcę — burknęła ponuro.

— Więc czego właściwie chcesz? — spytał wwiercając w nią spojrzenie ciemnych, nieodgadzionych oczu.

Chciała zmusić go, by się odkrył; sprowokować reakcję, w której byłoby coś więcej niż tylko namietność. Chciała, by ją kochał.

— Chcę być z tobą. Kocham cię, Gilles!

— Już na samym początku powiedziałem ci, Leonio, że o miłości nie może być mowy.

— Chciałabym mieć dziecko.

Po raz pierwszy patrzył na nią z prawdziwym gniewem. Jego oczy pałały.

— To najgłupsze, co kiedykolwiek od ciebie usłyszałem, Leonio! Jesteś moją kochanką, nie żoną.

Weszła załamana do zatrzymanej przez niego dorożki. Nieoczekiwanie dla samej siebie znalazła odpowiednie słowa i wytrąciła go z równowagi. Przynajmniej jest wściekły.

— Nie miałam tego na myśli — odezwała się, przerywając ciszę.

— Nie mam zamiaru dyskutować na ten temat — uciął sztywno. — Powiem ci tylko jedno: moje dzieci są ze swoją matką, a moja żona. Więcej dzieci nie planuję. To, co jest między tobą a mną, to zupełnie co innego.

Resztę drogi jechali w zupełnym milczeniu. Zapomnieli o koloacji. Weszli razem na schody, po czym każde skierowało się do swojego pokoju. Bébé wyszła jej naprzeciw niepewnie. Leonia podniosła kotkę i przytuliła do siebie. Już nie płakała. Nie miała zamiaru wylewać więcej łez powodu Gillesa de Courmonta. Jak wtedy, kiedy czekała, aż przyjdzie po nią do zajazdu, powtórzyła własne, odważne słowa: będzie kobietą niezależną. Zagrała z nim w jego własnej grze i wtedy wygrała. Ma naprawdę dość. Nie chce być uległą, wyczekującą Leonia.

22.

Marok siedział na tarasie *La Coupole*, czekając na Leonie. W zatłoczonej kawiarni panował gwar. Kelnerzy w białych fartuchach krążyli zręcznie między stolami, balansując metalowymi tacami z piwem i *citron presse*, brandy i kawą. Cudem prowadzili w głowie każdy rachunek i monety spadały co chwilę z brzękiem na małe talerzyki, przygotowane na napiwki. Daszek z blachy zatrzymał deszcz, który w środku dnia zaciemnił nagle niebo. Leonia biegła trzymając na rękach Bébé. Kotka zdecydowanie odmówiła moczenia łapek na deszczu.

Leonia zadyszana strzepywała krople z włosów.

— Och, Marok — powiedziała, całując go w policzek. — Tak się cieszę, że cię widzę.

Raz w tygodniu spotykali się i jedli obiad w jakiejś piwiarni lub niedrogiej kawiarni. Na samym początku powiedziała mu, że jest wprawdzie jej majordomem, ale jest również jej przyjacielem i nigdy nie powinni o tym zapominać. Wiedział, że ceni ich przyjaźń równie mocno jak on. Opowiadała mu wszystko, otwierając zawsze przed nim serce. W domu obserwował hrabiego i zastanawiał się, jak ona może zachowywać zimną krew. Zdaniem Maroka była więźniem tego pięknego domu; zatrzaśnięta w pułapce życia w luksusie. I to nie tylko hrabiego, ale także przez jej własne potrzeby.

— Weźmy ser — zaproponowała — i dużo wypieczonego chleba. I jeszcze butelkę białego wina. Głodna jestem.

Jest wyjątkowo wesoła, pomyślał, przywołując kelnera.

— Wyglądasz dzisiaj na bardzo zadowoloną — rzekł, przyglądając się jednocześnie mężczyźnie, który zajmował miejsce przy sąsiednim stoliku. Czy już gdzieś go widział? Nie mógł umiejscowić nigdzie jego twarzy, ale ta myśl nie dawała mu spokoju.

— Myślę o tym, żeby pojechać do zajazdu — oznajmiła. — Chciałabym zobaczyć, jak wygląda ogród, mam też chęć dobudować nową kuchnię. Łatwiej będzie żyć madame Frenard. Posadziłam wiele nowych roślin, będzie jeszcze piękniej. Chciałabym powiększyć taras i poszerzyć schody, aby było wygodniejsze zejście na plażę. Wiesz, jak ciężko podchodzi się na skarpe przed samym podejściem do domu. Och, zapomniałam, że nigdy go nie widziałeś. Niedługo zobaczysz... będziesz moim gościem, nie majordomem.

Cieszył się, że Leonia sprawia wrażenie szczęśliwej. Była taka milcząca, kiedy monsieur wyjeżdżał. Nie wychodziła wcale z domu, nawet swój pokój rzadko opuszczała. A teraz siedziała tutaj, znowu kipiąca energią.

— Czy to robienie planów zmian w zajeździe tak cię cieszy? — spytał.

— I to, i moje nowe podejście do życia. — Odlamała kawał bagietki i posmarowała grubo masłem. — Od tej chwili będę prowadzić własne życie, Marok. Nie jestem już dla hrabiego „panią wyczekującą”.

Znał wszystkie jej tajemnice, był świadkiem wszystkich jej potyczek. Znał hrabiego.

— Leonio, mam nadzieję, że nie masz zamiaru zrobić niczego głupiego?

— Jak wzięcie kochanka? — Obdarzyła go figlarnym uśmiechem. — Nie szukam nikogo, ale... — Wzruszyła ramionami.

— Nie możesz tego zrobić, Leonio! Nie przychodzi ci do głowy, co by zrobił, gdyby się dowiedział? — Marok pochylił się nad stołem i chwycił ją za rękę. — Wierz mi, Leonio, to niebezpieczny człowiek.

— Co może mi zrobić? Uczynił ze mnie kobietę niezależną. Wyrzucić mnie nie może, ponieważ dom jest mój, pieniędzy mam dość, a poza tym — dodała z pewnością siebie — ludzie tacy jak Gilles de Courmont nie zabijają swoich kochanek. Ale nie martw się, Marok, nie szukam kochanka. Po prostu mam zamiar spędzać

czas w taki sposób, jaki mnie sprawi przyjemność. Nie za bardzo wiem, o co mi właściwie chodzi, ale dość mam świata jego kaprysów.

Pomyślała z goryczą o brakach w wykształceniu. Dzięki hrabiemu a także własnemu nowemu nałogowi czytania książek i gazet niewątpliwie osiągnęła wyższy poziom. Mogła teraz rozmawiać swobodnie o bieżących wydarzeniach, brać udział w dyskusjach o najnowszych powieściach, mówić o ostatnich operach czy przedstawieniach teatralnych, ale bała się, że nigdy nie nadrobi straconych lat dzieciństwa, kiedy mogła nauczyć się znacznie więcej. Nie jest jednak za późno, a ona dobrze wie, co ją interesuje. Zna swoje upodobania i jeśli nawet za jej wypowiedziami nie kryje się rzetelna wiedza, są przynajmniej błyskotliwe.

— Myślę, że mogłabym malować albo pisać książki, może śpiewać... To naprawdę jest realne. Ponieważ jednak niczym takim się nie zajmuję, może mogłabym pomagać komuś z tych, którzy to robią. Jest wielu przebijających się, szarpiących się z życiem artystów, którym potrzebny jest ktoś, kto kupowałby ich prace, a monsieur ma dość pieniędzy, aby być mecenasem. Może nawet otworzę swoją własną galerię...

Leonie niosło na fali zapału. Wydawało się to takie niewinne. Z góry lubowała się wyobrażeniem siebie w roli mecenaski artystów. I dlaczego by nie? Ma przecież dobry gust i mnóstwo pieniędzy.

— Muszę pędzić. — Ucałowała go na pożegnanie. — Idę zobaczyć nową wystawę u Maréchaux.

Odchodziła ostrym krokiem, a włosy powiewały za nią niczym sztandar. Piękna, elegancka kobieta, za którą odwracały się wszystkie głowy. Zmarszczył brwi, gdy człowiek od sąsiedniego stolika rzucił pieniądze na talerzyk i przepychając się przez tłum, ruszył w tę samą stronę, co Leonia. Gdzie go widział? Nagle przypomniał sobie. Ten człowiek wysiadywał stale w kawiarence przy placu Saint-Georges, naprzeciw ich domu.

Leonie chodziła powoli po galerii i zaglądając od czasu do czasu do małego katalogu, oglądała wiszące na ścianach obrazy. Zniecierpliwiona jej powolnością Bébé wyszarpnęła smycz z jej ręki i wysuwając pazury na lśniącej podłodze, pomknęła w stronę plamy

światła w oknie. Obwąchała wystawiony tam samotny obraz i uznawszy obiekt za nieciekawym, z nosem wetkniętym pod ogon zwinęła do cichej drzemki.

Alain Valmont ze zdumieniem patrzył na ułożonego przed jego obrazem kota. Długa aksamitka zwieszała się z cienkiego paska czegoś, co mieniło się wokół jego karku zupełnie jak brylanciki. Stworzenie nie ujmowało nic obrazowi, a nawet podkreślało pewien akcent zmysłowości i łagodnego lenistwa, charakteryzującego przedstawiane przez niego kobiety. Rozmawiał z Maréchaux, ale jego uwagę przyciągnęła kobieta spacerująca w drugim końcu sali.

Musi być bogata, stwierdził Alain. Sukienka jest droga, a ona nosi ją z niedbałością, którą dają pieniądze. Żadnej biżuterii, włosy wsunięte pod opaskę i ściągnięte surowo do tyłu. Profil nie klasycznie piękny, na to jest zbyt wyniosły. Analizował jej twarz chłodno, patrząc na nią krytycznym okiem malarza. Podbródek zbyt mocny, zbyt szeroko rozstawione kości policzkowe podkreślają jeszcze oczodoły. Twarz, w której wspaniałych załamaniach i wklęsłościach kryło się senne pragnienie, nabrała wyrazu pożądania, gdy kobieta wyczuła jego spojrzenie i ich oczy spotkały się. Była samotna i dla niego nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Odwróciła się, by porozmawiać z Maréchaux. A więc jest kupująca. Valmont odczuł przypływ nadziei. Może kupi którąś z jego prac. Potrzebne mu są pieniądze.

Rozsiadł się w fotelu przy oknie, czekając, aż Maréchaux skończy. Może uda mu się wyciągnąć od niego kolejną małą zaliczkę; potrzebne mu farby, a poza tym jego rachunek w *Café Alsace* niepokojąco rośnie. Lucien jest wyrozumiały dla swoich bywalców — artystów, ale co jakiś czas trzeba mu dawać coś bodaj akonto. Ma już na ścianach więcej obrazów niż w niejednej galerii; wszystkie dawane zamiast zapłaty.

Leonie nie znosiła, kiedy Maréchaux płatał się przy niej jak teraz. Zdecydowanie wolałaby być sama. Nie miała chęci się spieszyć, chciała oglądać obrazy, które przyciągały jej wzrok, a nie te, które jej wskazywał, twierdząc, że mają szczególną wartość. Chciała sama dojść do tego, co jej się podoba. Poza tym miała chęć rzucić jeszcze okiem na tamtego młodego człowieka.

Półożąc w fotelu, trzymał obute w rozlatujące się pantofle nogi na siedzeniu drugiego i wygrzewał się w plamie słońca, wpływającej

przez okno. Sprawiał wrażenie swobodnego, niczym nie skrepowanego i równie nie przejmującego się niczym. Leonia, krążąc między obrazami, zbliżyła się powoli, udając zainteresowanie małym pejzażem. Miała tylko nadzieję, że nie będzie musiała go kupić, aby poznać młodego człowieka. Mimo woli uśmiechnęła się do siebie, przyglądając się z bliska udreńczonym drzewom na obrazie. Trudno powiedzieć, czy warto.

— Powinna pani rzucić okiem na obraz w oknie — powiedział, nie zmieniając pozycji. — Jest zdecydowanie lepszy od tego, który pani ogląda.

Straciła na chwilę głowę. Nie przypuszczała, że się do niej odezwie. Zawahała się trochę, a potem tak samo od niechcenia jak on i z równą szorstkością odezwała się:

— Po prostu rozglądam się; chciałam wszystko obejrzeć.

— Ten w oknie jest mój i to zdecydowanie najlepszy obraz w tym bastionie komercjalizmu.

— Jeśli tak ocenia pan tę galerię, dlaczego pan tu wystawia?

— Kwestia pieniędzy. — Otworzył oczy i spojrzał na nią. — Pieniądze, moja miła! Aby jakaś bogata dama jak choćby szanowna pani mogła przyjść tu i kupić je, abym ja z kolei mógł kupić farby, trochę wina i chleba, abym znów mógł malować obrazy i umieścić w galerii takiej jak ta właśnie. Jestem typowym głodnym artystą, madame. — Podniósł się leniwie i złożył głęboki ukłon. — Alain Valmont, do pani usług, madame.

Było coś fascynującego w tym wysokim, wychudzonym młodym mężczyźnie. Przenikliwe spojrzenie jego zielonkawych oczu sprawiło, że poczuła się niepewnie. Nie był przystojny, a już z całą pewnością nie należał do mężczyzn eleganckich. W istocie, patrząc na jego poplamione farbami palce i nie ogoloną twarz, miała wątpliwości, czy w ogóle jest czysty. Ale miał w sobie jednak coś pociągającego.

— Niech mi pan pokaże swój obraz, panie Valmont — zaproponowała.

— Stoi w oknie, chociaż myślę, że pani kot przyciąga więcej uwagi przechodniów niż mój obraz.

Bébé przewróciła się na grzbiet i przeciągnęła się ukazując doskonały, pokryty cienkim futrem brzuch i eleganckie łapki. Przekrzywiła łepkę na bok, wywołując ich uśmiech.

— Dokładnie taka, jak wszystkie kobiety, które znam — powiedział malarz. — Żeby człowiek był najbardziej zły, kiedy zaczynają tak kokietować, wszystko się im wybacza.

Leonia odwróciła wzrok od jego oczu i spojrzała na obraz. Leżąca na łóżku w gmatwaninie zmiętych prześcieradeł kobieta miała delikatne plecy i burzę wijących się wokół głowy włosów, w obrazie nie było nic szczególnego. Kilka pociągnięć pędzla, stłumione kolory, blada choć zarazem namiętna tonacja płótna. Wyczuwało się w nim atmosferę intrygi i trudno byłoby powiedzieć, dlaczego, bowiem obraz był w istocie całkiem niewinny.

— Bardzo interesujące — rzuciła, nie wiedząc, co powiedzieć czekającemu na jej osąd artyście. — Chciałabym zobaczyć jeszcze inne.

Zgarbił się i odwrócił od niej.

— Dałem Maréchaux na razie jeden. W ten sposób może twierdzić, że obraz jest niezwykle i żądać za niego więcej.

Młody człowiek pociągał ją. Ciemny, szczupły, pełen życia, z wyrazem napięcia w twarzy i oczami, które wydawały się odnotowywać najdrobniejszy szczegół jej twarzy i sylwetki.

— Chciałabym panią malować — odezwał się nieoczekiwanie.

— Mnie? — zdziwiła się.

— Ma pani szczególną urodę. Podoba mi się układ kości w pani twarzy oraz linia kręgosłupa; sposób, w jaki układa się pani ciało, niczym u kota. Oczywiście — dodał — jak pani się domyśla, maluję tylko akty.

Wpatrywał się w jej twarz, chcąc zobaczyć, jak zareaguje. Uśmiechnął się, gdy poczerwieniała. Więc ta bogata dziewczyna potrafi się jeszcze czerwienić!

— Proszę to przemyśleć — powiedział i z gestem niedbałego pożegnania ruszył do drzwi. — Maréchaux ma mój adres.

Leonia spojrzała ponownie na delikatny obraz w oknie. Był niepokojący, ale nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego.

Podeszła do biurka Maréchaux i nawet nie pytając o cenę, oświadczyła, że kupuje obraz.

— Proszę też — dodała od niechcenia, wypisując czek — dać mi adres tego młodego człowieka. Może będę miała dla niego zamówienie.

Plac Mirabeaux nie był ani brudny, ani zaniedbany, jak się spodziewała, jedynie wytarty jak szare ubóstwo porządnych ludzi, którzy stanowili tu połowę mieszkańców. Pozostałymi lokatorami okolicznych domów byli artyści z ich obowiązkowo swobodnym stylem życia. Leonia pożałowała nagle, że włożyła białe giemzowe pantofle. Nie pasowały tutaj ze swoją świeżością i nieskalaną czystością. Gwałtownymi ruchami ściągnęła białe rękawiczki i nim zastukała do drzwi, wcisnęła je do torebki. Nie było odpowiedzi i Leonia stała, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Nie powinna była tu przychodzić. Nie ma też zamiaru pozwolić, by ją malował, ale chciałaby mu pomóc, a poza tym spodobał jej się jego obraz.

Postawiła go na stoliku przy swoim łóżku i obejrzała dokładnie pod światło. Był bardziej wypracowany, niż wydawało jej się na pierwszy rzut oka. Pociągnięcia pędzla nakładały farbę cienkimi warstwami, dzięki czemu zamaskowana została struktura malowania, a dziewczyna, mimo jej rozleniwienia, była pełna życia. Chciała zobaczyć inne obrazy, może też coś kupić.

Zapukala ponownie.

— Na litość boską, wchodź, jeśli już musisz! Drzwi są otwarte.

— Dzień dobry — powiedziała, zaglądając do środka. — To ja, Leonia Bahri. Poznaliśmy się kilka dni temu u Maréchaux.

Nie odwrócił się od płótna, które zagruntowywał.

— Proszę się rozejrzeć, jeśli ma pani chęć. Muszę tylko to skończyć.

Bielone ściany dużego pustego pokoju były pochłapane farbami w miejscu, gdzie wypróbowywał kolory, poza tym zawieszono mnóstwem płócien. Przez zaskorupiałe od brudu szyby wielkiego okna w głębi z trudem przesączało się światło. Uśmiechnęła się mimo woli. Może temu właśnie jego obrazy zawdzięczają ów szczególnie, zgaszony koloryt. Poza tym była zadowolona. Pomieszczenie odpowiadało dokładnie jej romantycznym wyobrażeniom, jak powinna wyglądać pracownia borykającego się z przeciwnościami losu młodego artysty. Podobała jej się; podobał jej się zapach farb i woń rozcieńczalnika, stosy płócien i rozrzucone wszędzie pośpiesznie sporządzane szkice. Nabrała odwagi i zaczęła oglądać obrazy. Niektóre zakończone, inne rozpoczęte tylko i odrzucone. Było to ekscytujące — jakby uczestniczenie w „życiu” tych prac. Zupełnie inaczej niż oglądanie gotowych, wykończonych obrazów

na ścianach galerii. W tak odmiennym otoczeniu ona również poczuła się inna. Czuło się tu energię, której tak brakowało w jej pokojach, w całym jej życiu. Wróciła do obrazów. Wszystkie przedstawiały kobiety. Mroczne półpiękności leżące w niedbałym, niekompletnym stroju na zmiętej pościeli, wśród kobiecego nieładu ciasnych, ciemnych klitek. W ich nagości wyczuwało się coś szczególnego, jakąś wibrację, pulsowanie wysyłanej energii seksualnej. Może miłość dopiero co spełnionego lub też mającego się zacząć aktu. W ułamku sekundy przemknęło jej przez myśl, że może tak właśnie widzi ją hrabia.

Poczuła spojrzenie malarza i zwróciła na niego oczy, unosząc brwi, gdy mierzył ją od stóp do głów.

— Czy mam rozumieć, że pana prace mają znaczenie osobiste? — spytała.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— To dziewczyny z okolicy, niektóre są zawodowymi modelkami. Inne po prostu trafiły tu przez przypadek.

Leonia odwróciła się do obrazów. Ona kiedyś też do nich się zaliczała; biedne, atrakcyjne jeszcze, pracujące dziewczęta. Nie miała im za złe, że przyjmowały to, co miał im do zaoferowania Alain. Życie z nim, myślała nie bez pewnej zazdrości, chociaż mogło trwać krótko, może tylko tyle, ile trzeba było czasu na namalowanie obrazu, było ciekawe i prawdziwe. Miał w sobie wielką rzeczowość i było to według niej bardzo sympatyczne.

— Monsieur Valmont, chcę, żeby mnie pan malował — powiedziała. — Oczywiście, zapłacę panu. Ale chcę mieć portret taki jak tamte.

Wytrzeł ręce o zathuszczoną szmatę.

— Kupiła pani mój obraz?

— Tak.

— Jest dobry. Pewnego dnia będzie przedstawiał jakąś wartość. Maréchaux teraz oczywiście panią oszukał. Ten będzie tańszy.

— Chcę, by to był duży obraz — zastrzegła.

— Wielkość nie ma tu nic do rzeczy; mówimy przecież o wartości — rzekł zjadliwie. — Nie maluję tego typu aktów, które może pani spotkać nad barem w tanim klubie karcianym.

— Przepraszam, nie miałam tego na myśli. Do pana uznania pozostawiam, co będzie pan malował.

— Namaluję dokładnie to, co widzę, Leonio Bahri.

Na początku wszystko było bardzo trudne. Leonia poczuła się strasznie skrępowana, gdy doszło do rozbierania się. Dopiero gdy Alain zniecierpliwiony zawołał ją, wyszła zza parawanu. Miała na sobie koszulę z miękkiego szarego kaszmiru, która niczym zakonny habit okrywała ją od szyi po pięty i jedynie miejsca, gdzie opierała się na wypukłościach jej ciała, dawały coś do zrozumienia. Był to najbardziej erotyczny negliż, jaki mógł sobie wyobrazić, chociaż najwyraźniej włożyła go z dokładniej przeciwną intencją.

Siedząc na krześle szkicował jej twarz, a ona zaciskała kurczowo koszulę pod szyją. Wyprostowana sztywno patrzyła przez okno z pozbawioną wyrazu twarzą, aż rozszłoszczony cisnął węgiel na podłogę.

— Na litość boską, dokąd pani odeszła? — zapytał.

— Czy zrobiłam coś złego?—spojrzała na niego zaniepokojona.

Te wydłużone piwne oczy, senne, półprzymknięte górne powieki... Szkicował gorączkowo.

— Proszę nic nie mówić, tylko patrzeć na mnie tak jak teraz.

Nareszcie ma coś na papierze, to tylko rzut oka, ale zrobił już dobry początek.

— Dobrze, proszę rozluźnić trochę koszulę i opuścić z jednego ramienia.

Leonia zrobiła, o co prosił, układając starannie materiał, a malarz pociągnął go, aż ześlizgnął się w dół, odsłaniając zmysłowo górną linię zaokrąglenia piersi. Przechylił jej głowę i patrzyła teraz na niego sponad ramienia, z lekko opuszczonym podbródkiem. Doskonale! Chwytał ogólne wrażenie gwałtownymi pociągnięciami, rozprowadzając zaokrąglenia palcem, by zmiękczyć linie.

— Teraz proszę zdjąć koszulę — polecił, po czym odszedł do zarzuconego rupieciami stołu, by zmienić pędzel. Chciał naszkicować ciało akwarelą.

Tego nie będzie mogła zrobić. Przestraszona uświadomiła sobie, że w jej życiu było tylko dwóch nagich mężczyzn. Tych, z którymi sypiała. Malarz prosi ją chłodno i **beznamiętnie**, by stanęła przed nim naga, i ona nie może tego zrobić. A sądziła, że to będzie takie

proste; zwykle leżenie na łóżku, kiedy on będzie malował. Nie myślała o niczym więcej.

— No? — niecierpliwił się nad zwilżonym papierem.

Stała przed nim zlodowaciała, naciągając z powrotem koszulę.

— Przepraszam, panie Valmont — powiedziała cicho — ale nie wydaje mi się, abym mogła.

Rzucił szkicownik na podłogę.

— Do diabła! — wykrzyknął. — Pani marnuje mój czas! Dlaczego nie może pani zdjąć ubrania? Przecież robi to pani dla tylu innych mężczyzn!

Leonia cofnęła się, porażona jego uwagą.

— O czym pan mówi? — Spojrzała na niego z gniewem.

— Doskonale pani wie, o czym! Pod tą koszulą jest ciało, a ja nie byłbym pierwszym, który je widzi.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła przez pokój. Kopnęła ze złością w parawan, zbyt późno uświadamiając sobie, że jest boso.

— A niech to szlag!

— To nauczy cię, głupia kobieto, zdejmować koszulę w mojej pracowni. Chciałem tylko panią malować, nic więcej!

Nim zdążył do niej podejść, wciągnęła pośpiesznie ubranie. Drżące ręce z trudem radziły sobie z zapinaniem guzików bluzki; szarpiąc wciągała przez biodra spódnice. Malarz wsparł ręce na krawędzi parawanu i pochylił głowę, patrząc jak wsuwa nogi w buciki.

— Ma pani duże stopy — zauważył z sympatycznym uśmiechem. — Cóż, chyba każda bogini musi mieć jakąś skazę.

Jego złość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, ale Leonia nadal wpatrywała się w niego z obawą. Był nie ogolony, a niebieska robocza koszula poplamiona była farbami. Podwinięte do łokcia rękawy ukazywały czarne włosy pokrywające przedramiona.

— Leonio Bahri — powiedział. — Myślę, że nam obojgu przydałby się spokojny obiad. Szklaneczka wina, mały gołąbek w cieście... Znam jedno takie miejsce. — Z tymi słowami ruszył do drzwi. Otworzył je i odwrócił się do niej. — Nie idzie pani? — spytał z szerokim uśmiechem.

Leonia chwyciła torebkę i wybiegła.

— A, byłbym zapomniał — rzekł, idąc za nią po schodach. — Pani płaci.

Tak jak przypuszczał, kawiarnia i wino uspokoiły ją. Podawane u Luciena w karafkach owocowe wino było mocne i o ile to było możliwe w małej zadymionej kafejce z lustrzanymi ścianami i wyłożonymi kafelkami stołami, kobieta rozkwitła. Gdy weszli, zatrzymali się chwilę w drzwiach, by popatrzeć na grających w szachy i w domino, po czym podeszli do tablicy. Wybrali danie dnia, którym, zgodnie z jego przewidywaniami, były gołębie zapiekane w cieście. Alain chwycił karafkę z czerwonym winem, którą Lucien pchnął ku niemu przez cynkowy kontuar, po czym pociągnął Leonie szerokim gestem do stołu pod oknem. Było jeszcze wcześniej i Leonia obwąchiwała nastrój jak Bébé. Wdychała woń trocin rozsypanych na podłodze i czosnku z kuchni, serów z kontuaru oraz stale parzącej się kawy. Oparta plecami o skórzane oparcie ławki uśmiechnęła się do malarza.

— Pracowałam kiedyś w takim miejscu — powiedziała.

Nic z tego, co od niej usłyszał, nie mogło go bardziej zdziwić. To znaczy, że jest dziewczyną z przeszłością.

— Domyślam się, że nie było to z wyboru — rzekł, wpatrując się badawczo w jej twarz. Czy właściwie uchwycił te powieki, czy od strony nosa nie są głębiej osadzone?

— Oczywiście, że nie — zaśmiała się Leonia.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie chciała pani zdjąć koszuli.

Przechylił się ku niej, wspierając głowę na rękach opartych łokciami na stole. Był tak chudy, że jego młoda twarz sprawiała wrażenie niemal wynędzniałej. Gdy się złożył, zielonkawo oczy ciemniały nieco.

— Nie wiem. Chociaż właściwie wiem. Zdejmowałam ubranie tylko przed mężczyznami, których kochałam.

— To znaczy, że musi pani kochać... mam na myśli pójście do łóżka.

Był stanowczo zbyt wścibski.

— Pan dobrze wie, o czym mówię — odparła mętnie.

— Moglibyśmy to zrobić — powiedział z uśmiechem. — Co do mnie, zrobiłbym wszystko, aby sprzedać obraz.

Roześmiała się i napiła się wina.

— No i są pana zapiekane gołąbki — odezwała się, gdy ukazał się Lucien z parującymi rondelkami.

— Tak świeże, że niemal fruwają, madame — rzekł właściciel, stawiając przed nią talerz szerokim gestem. — Przyszli pana przyjaciele, monsieur Valmont — dodał, stawiając na stole drugą karafkę.

Nagle zrobiło się przy nich tłoczno. Zaczęto przysuwać dodatkowe krzesła. Grupa młodych ludzi przepychała się, wykrzykując powitania do innych oraz zamówienia w stronę Luciena.

Leonia siedziała w milczeniu, obserwując spragnionymi oczami cały ten rozgardiasz. Wszyscy tu byli bliskimi znajomymi, wobec mej także stali się natychmiast przyjaźni, traktując ją jak należąca do ich grupy.

— Jestem Laura — przedstawiła się ciemnowłosa dziewczyna, wślizgując się na ławkę obok niej. Leonia od razu rozpoznała w niej kobietę przedstawioną na co najmniej czterech obrazach w pracowni Alaina.

— Jacques. — Cienki jak patyk, nie mający więcej niż dziewiętnaście lat blondynek przepaszając wcisnął się z drugiej strony. — Robiłem rano licytację. Co pijecie?

Tak jak między wszystkimi ludźmi w kawiarni, panowało tu koleżeństwo i zażyłość. Poczucie ciepła i przytulności przypomniały Leonii zajazd. Ludzie czuli się tu swobodni i otwarci. Tu każdy mógł spotkać kumpla do pogadania, mógł wysłuchać czyichś żalów i kłopotów i zaoferować pociechę. Nie było to miejsce kaprysów; prawdziwi ludzie żyli realnym życiem i walcząc o sukces w swym niepewnym powołaniu, prowadzili hazardową grę własnymi uzdolnieniami. Jakże im zazdrościła.

— Musimy iść — powiedział wreszcie Alain. — Mam robotę. Nie mogła zapomnieć jego uwagi o swoich stopach, teraz jednak wydawały jej się lżejsze i mniejsze.

— Co teraz będziemy robić? — spytała, gdy ujął ją za rękę i pociągnął za sobą przez ulicę.

— Zdejmiemy z pani ubranie — odparł, szczerząc zęby w uśmiechu.

I tak też się stało. Najpierw z rozwagą zsunął jej koszulę z tyłu, co umożliwiło mu szkicowanie pleców i bliźniaczych dołków u ich podstawy oraz skośnej krzywizny bioder.

— Dalej — polecił. — Opuść jeszcze troszkę, Leonio.

I zrobiła to. Trzymając koszulę za sobą, stała przed nim naga, z głową odgiętą tak, że włosy spływały jej niemal do pasa.

— Cudownie, cudownie! Jest pani piękna, Leonio! Proszę teraz poruszyć się lekko, abym zobaczył piersi, teraz unieść rękę. Świetnie, moja droga, ma pani doskonale piersi... Teraz proszę postawić nogę na krześle... Wspaniała z pani modelka! Niech pani odrzuci głowę do tyłu, moja piękna, czy czuje pani swoją piękność?

Odczuwała ją całym ciałem i było to cudowne. Fantastycznie było stać przed nim i pozować zgodnie z jego poleceniami. Sama dodała coś więcej; prowokacyjny błysk oka, wygięcie pleców, uwydatniające jeszcze bardziej piersi, wreszcie uniesienie klatki piersiowej, które sprawiło, że jej brzuch stał się jedną cudownie napiętą linią. Wszystko to wprawiało ją w euforię i drżała cała z podniecenia, gdy szkicował gorączkowo, chcąc chwycić jej tak jawne podniecenie. A potem stało się to, co było nieuniknione. Poszli do łóżka.

Spędzała z nim cały czas. Przychodziła o dziesiątej z owocami i serem na ich wspólne śniadanie i wskakiwała do jego łóżka, całując go ze śmiechem. Leżeli nadzy pod kołdrą i jedli brzoskwinie, zlizując sobie nawzajem z policzków ich sok. Paplali ożywieni, wymieniając ploteczki o przyjaciółach z kawiarni, by potem kochać się namiętnie. Czasami wielkie napięcie twórcze popychało go do dalszej pracy i natychmiast zajmował się obrazem. Bez względu na to czym się zajmowali, Leonia czuła się szczęśliwa, choć nie do końca była przekonana, że pozowanie sprawia jej przyjemność. Wreszcie określili jak chce ją widzieć i wyciągniętą na łóżku okrył nędznym kawałkiem złotobrazowego futra, pożyczonego od przyjaciela.

— Przypominasz mi zwierzę — powiedział — i taką właśnie mam zamiar cię pokazać.

Leonia bała się nawet myśleć o rezultacie, a on nie pozwalał jej spojrzeć. Ściągnęła swe ciężkie włosy do przodu, po czym rozsypała przerzuciła do tyłu, tak że otoczyły jej ramiona, pokrywając częściowo piersi, a ona leżała wyciągając długie nogi, wsparta na boku niczym kot zadowolony po wielkim jedzeniu. Teraz obnażanie się przed nim było sprawą prostą. Patrząc jak układa się do pozowania śmiał się nieraz aż do chwili, gdy wzbierające w nim podniecenie pchało go w jej ramiona.

Wydaje mi się, myślała, gdy wieczorem siedzieli w kawiarni, że to właśnie lubię najbardziej. Lubię tę krzątanię i ten gwar, a także

piat dujour, czerwone wino i przyjaciół Alaina. Przyjęli ją jako jego nową dziewczynę i to wystarczyło, aby stała się częścią tego miejsca. A ona zawsze tego pragnęła. Czasami wślizgiwała się tu sama i siedząc z właścicielem, wypijała szklaneczkę pernoda. Rozpromieniał się niezmiennie na jej widok, gdyż zawsze regulowała dyskretnie zaległe rachunki i teraz tabliczka za barem była czysta.

Karo czekała na Leonię całe popołudnie. Przemierzając ze zdenerwowaniem pokój, wyglądała co chwilę przez okno. Wreszcie usłyszała kroki i wybiegła jej na spotkanie. Ubrana w prostą niebieską sukienkę, z rozwichrzonymi, potarganymi przez wiatr włosami, Leonia weszła w aurze kobiety szczęśliwej. Gdy witała się z Karo, w oczach jej taił się dziwny blask.

— Taki wygląd może oznaczać tylko jedno — stwierdziła Karo. — Masz kochanka.

— To nie tak, jak myślisz — zaczęła się tłumaczyć Leonia.

— Leonio, czy nie przyszło ci do głowy, że jeśli hrabia się o tym dowie, zabije cię?

Leonia wzruszyła ramionami.

— Nie dowie się — powiedziała z przekonaniem. — Mam doskonałe alibi. Pozuję do portretu.

— Zabawne. Zawsze sądziłam, że malarzowi do pracy potrzebne jest dobre światło. Chyba że twój artysta pracuje przy świetle księżycy.

— Jemy potem naturalnie jakąś kolację, coś też pijemy, ale zawsze z jego przyjaciółmi. Nigdy nie jesteśmy sami.

— W pracowni też nie?

— Tak... Cóż... Jesteśmy, Karo. — Roześmiała, widząc zaskoczenie na twarzy przyjaciółki. — Nic na to nie poradzę — powiedziała triumfalnie. — Monsieur zawsze mówił, że jestem kobietą rozwiązłą. A Alain jest... Karo, on jest inny niż ja i monsieur. Między nami to rodzaj przyjaźni. Po prostu zabawa — dorzuciła mętnie. — To wszystko.

— Hrabia wraca w przyszłym tygodniu — przypomniała jej Karo — i dobrze byłoby, aby do tego czasu portret był skończony. Obawiam się, że w przeciwnym razie będziesz miała kłopoty. Uważaj na siebie, Leonio. — Otoczyła przyjaciółkę ramieniem

i uściskała. — Wiesz, że cię kocham i nie chciałabym, aby stało ci się coś złego.

— Co, na przykład? Nic złego mi się nie stanie, przyrzekam ci. Teraz czuję się lepiej. Nawet cieszę się na powrót monsieur. Chociaż brak mi będzie tych wieczorów w kawiarni — dodała w zadumie.

— Potrzebuję jeszcze kilku dni, aby go skończyć — rzekł Alain, po czym odstał od płótna, patrząc na nie krytycznie.

Spuściła nogi z łóżka i podeszła do niego.

— Pozwól mi zobaczyć — powiedziała prosząco. — Przecież to ja do niego pozowałam. To mój obraz.

Wytarł pędzel w szmatę i wzruszył ramionami.

— No to spójrz.

Stała przed swym wizerunkiem oniemiała. To była ona. Wyciągnięta na całą długość, z rękami przed sobą i wspartą na ramieniu broda patrzyła sennie z płótna spośród częściowo zakrywającej jej piersi burzy włosów, harmonizującej z miękkim trójkątem wyłaniającym się w zagięciu nogi. Ale obraz miał niezwykle światło. Rodzaj złotej poświaty; jakieś szczególne rozjaśnienie, jak gdyby światło wkradło się w zacienione miejsce i kładąc się wiązkami złota, przesłoniło ciało tajemniczością. Nakładane maleńkimi, delikatnymi dotknięciami pędzla tłumilo kolor, aż dało coś więcej niż portret pięknej kobiety. Bajeczną istotę z jakiegoś innego świata.

— Ależ jest piękny, Alain... To coś więcej niż... Więcej niż jestem warta.

— To jesteś cała ty. Jedna strona twojej osoby, Leonio Bahri. — Pocałował ją lekko w czoło. — Kiedy cię zobaczę?

— Nie wiem. — Zawahała się. — W przyszłym tygodniu raczej nie, za dwa też chyba nie.

— Skończę do tego czasu. Będę tęsknił za tobą.

— Ja także. Ale przyjdę.

Gdy rozstali się beztrzesko, przeszła przez ulicę, by zapłacić Lucienowi przed udaniem się do swego wspaniałego domu przy bogatym w zieleń placu.

23.

Czy jest inna? Wygląda tak samo, mówi tak samo. Powitała go wprawdzie zdawkowo ale ciepło, a biorąc pod uwagę, ile czasu upłynęło od dnia, kiedy się rozstali, nie mógł się spodziewać niczego więcej.

Statek cumował w Antibes i on sam każdego dnia manewrował nim w zatłoczonej zatoce, i patrząc na wylaniające się z mgieł słońce, wprowadzał go na pełne morze.

Jeszcze nie był z nią w łóżku. Spał sam w kabinie na końcu pokładu. Nie pozwolił sobie jej dotknąć. Stał za sterem zadumany.

Leonia zastanawiała się, co się stało. Czy nadal jest zagniewany, gdyż powiedziała mu, że chce mieć dziecko? Czy też dlatego, że go kocha? Nie odezwał się na ten temat nawet jednym słowem, ale narosła między nimi rezerwa, rozeszli się i czuła, że nie ponosi za to odpowiedzialności. Poza członkami załogi nikogo obcego na pokładzie nie było. Nie zaprosił żadnych gości i po tygodniu cichych, spożywanych w milczeniu kolacji i długich, pustych dni, kiedy bała się, że oszaleje, zaczęła się zastanawiać, czy to nie on zwariował.

Przed obiadem pływała. Przecinając samotną dróżką wzbierające fale, spoglądała na pędzące w ich stronę burzowe chmury.

Gdy wchodziła na pokład, podał jej rękę i zarzucił na jej ramiona ręcznik.

— Jąde do Paryża po południu — obwieścił lakonicznie. — Mam parę spraw do załatwienia.

— Czy mam jechać z tobą?

— Nie ma potrzeby, rozerwij się tutaj.

Położył rękę na jej ramieniu, a ona skłoniła nagle głowę i pocałowała jego dłoń. Pragnęła go, chciała, by ją objął, rozpaczliwie pragnęła, by znów pojawiła się między nimi dawna magia. Nie odezwał się, tylko zabrał rękę i odszedł.

— Zapłacę ci za to — powiedziała i zabrzmiało to jak propozycja, ale odwrócił się plecami i przechylony przez balustradę stał, wpatrując się w linię wybrzeża z porzrzuconymi na nim willami.

Czy w ten sposób odrzuca ją, mówi jej, że czuje się nią znużony? Czy wrócił? Uśmiechnęła się ironicznie. Takie jest moje życie. Wieczne czekanie, wieczne zastanawianie się, czy powróci do mnie mężczyzna.

Kiedy wreszcie odjechał, wzięła Bébé i udała się do zajazdu. W ciągu ostatnich kilku lat była tam raz czy dwa. Hrabia niechętnie spuszczał ją z oka i rzadko miała na to czas. Teraz zrozumiała, czego jej było brak. Nadal panował tu dawny, cudowny spokój. Pod stopami czuła przyjemnie wygrzane kafelki tarasu, wzgórze nadal pachniały tymiankiem, a jej pokój wciąż był biały i prosty. I tylko zachowane w nim wspomnienie dziewczyny, którą kiedyś była, wzbudziło w niej poczucie winy. Pomyślała o Gillesie i Alainie. Powiedziała Karo prawdę. Cały ten romans stanowił dla niej jedynie zabawę. Dobrze się czuła z Alainem, ale to tylko taki sobie epizod. Byli przyjaciółmi.

Jej związek z hrabią był skomplikowany i trudny, i gdy położyła się wieczorem, zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Niemożliwe, aby wiedział o Alainie. Tego była pewna. Tak więc nie może jej wybaczyć tego, iż powiedziała mu, że go kocha. Ale dlaczego? Nawet jeśli on sam nie darzy jej uczuciem. Teraz była już przekonana, że nie. Nawet jej nie dotknął. Ani razu! Pomijając oczywiście ten przypadek na pokładzie, gdy położył jej rękę na ramieniu, a ona ją pocałowała.

Miała już dość wyczekiwania i udręki. Całą swoją energię skierowała na projektowanie ogrodu. Zamawiała dające cień drzewa i krzewy i wędrowała między Niceą a Monte Carlo w poszukiwaniu rzadkich gatunków. Wyprosiła nawet u pana Blanka kilka jego wspaniałych tropikalnych roślin z oranżerii kasyna.

Hrabia wyjechał na dziesięć dni i zrezygnowała z czekania na niego, czy też raczej po prostu już na niego nie czekała. Na nikogo już nie czekała. Kiedy go nie było, jej czas należał do niej i wypełniała go tak, jak jej się podobało.

Siedziała na tarasie, boso jak zwykle. Spódnicę miała podciągniętą nad kolana i łuskała groszek do trzymanej między nogami miski.

— Bardzo malowniczy obrazek domowej atmosfery — powiedział.

Podniosła głowę na dźwięk jego głosu. Uśmiechał się. Alfons powiedział kiedyś coś takiego... Uśmiecha się tylko wtedy, kiedy wygrywa.

— Witaj — rzuciła, nie przerywając łuskania.

— Czy to na kolację dla nas?

— Jeśli zostajesz na kolację...

— Kiedyś obiecałaś mi, że przyrządzisz to prowansalskie danie z oberżyną... A gdybyś dziś ją spełniła?

— Chciałbyś? — Spojrzała na niego zdumiona.

Zsunął płócienne espadryle i usiadł na schodkach obok niej. Wziął garść wyłuskanego przez nią groszku i zaczął wkładać jasnozielone ziarna do ust.

— Mam nadzieję, że będziesz to jednak kładł do miski — mrucnęła.

— Tak. — Chwycił ją za rękę. — Leonio!

— Słucham.

— Bądźmy przyjaciółmi. Tęskniłem za tobą. Dlatego byłem taki przygnębiony. Nie pytaj mnie dlaczego, ale nie mogłem tego powiedzieć, chociaż bardzo chciałem. Teraz to mówię. Brakowało mi ciebie w czasie tej podróży.

Przyglądała mu się, nie dowierzając nagłej zmianie. Co takiego wydarzyło się w Paryżu? Czy udał mu się jakiś nadzwyczajny interes? Wykupił udziały jakiegoś konkurenta, czy też przejął kolejną kompanię? To jedyny możliwy powód takiego uniesienia. A może próbuje ją przekupić, tyle że tym razem słowami zamiast brylantami? Poczula niepokój. Chciała wierzyć, że naprawdę tak myśli. Przecież to powiedział! Powiedział, że tęsknił za nią! To prawie tak, jakby wyznał, że ją kocha. Postawiła miskę na schodach i przysunęła się do niego.

— Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałeś?

— To dla mnie nie takie proste, Leonio.

Podniosła się, strzepując spódnicę, a on nachylił się i pocałował jej kostkę, trzymając ją żelaznym uściskiem. Poczowała ból i krzyknęła. Zaśmiała się, gdy odskoczył.

— To dlatego, abyś wiedziała, że należysz do mnie — oświadczył. — Poza tym...

— Tak?

— Przyniosłem szampan.

Wchodziła do domu uśmiechnięta i podniesiona na duchu. Może tym razem wszystko będzie dobrze.

Jedli na jej tarasie przy świetle księżyca i jednej świecy, palącej się równo w spokojnym powietrzu tego wieczoru. Opowiadał o samochodach, zapalając się przy szczegółach silników oraz linii wozów, mówił o podróży, bawiąc ją i zadziwiając z całym swym urokiem. Wiedziała doskonale, dlaczego tak jej na nim zależy; uwielbiała tę cechę w jego sposobie bycia. Poza tym był taki przystojny. Spacerowali po plaży, brodząc po kostki w wodzie, która była zimniejsza, niż oczekiwali. Schowani za łukiem przylądka zaczęli się wreszcie kochać. Brał ją powoli, z rozmysłem, podkreślając swe prawo własności, aż wreszcie wykrzyknęła, że go kocha.

24.

Mężczyzna był niemal niewidoczny. Polity, zwyczajny, jeden z miliona takich jak on. Szatyn z niewielkim, brązowym, nierównym wąsikiem, w brązowym garniturze. Upłynęło kilka tygodni, zanim Marok uświadomił sobie, że niemal każdego dnia widzi tego człowieka, który choć najwyraźniej nie należał do ludzi zamożnych, wydaje się nie pracować. Całe dnie spędzał w *Cafe Saint-Georges* mieszczącej się w rogu placu, albo wysiadywał na ławce w parku czytając gazetę, zawsze gdzieś na uboczu. Potem Marok zobaczył, że mężczyzna odchodzi. Zawsze wtedy, kiedy Leonia wychodziła z domu. Dzisiaj zrozumiał, dlaczego.

Ubrany równie nijako jak obserwowany przez niego człowiek, Marok siedział cztery stoliki dalej i popijał kawę. Tamten czytał gazetę ziewając. Najwyraźniej nigdzie się nie spieszył. Marok wiedział, że Leonia ma wyjść z domu o dziesiątej. Założył ręce i czekał. Brakowało jeszcze pięciu minut. Pojawił się kelner i postawił przed mężczyzną talerz z gorącymi *croissantatni* oraz kawę. Mężczyzna odłożył gazetę. Zaczął smarować rogalik w chwili, gdy w drzwiach domu ukazała się Leonia. Zaklął, odłamał kawałek rogalika, wepchnął go do ust, rzucił na stół kilka monet i pobiegł za nią. Podniósł rękę wzywając dorożkę i wskoczył do niej, gdy Leonia odjeżdżała już z placu.

Więc to tak! Monsieur kazał śledzić Leonię. Z drgnieniem strachu Marok przypomniał sobie jej wizyty u malarza. Jednak nie.

Monsieur wrócił przecież już kilka tygodni temu, a wszystko wydaje się normalne. Zgnębiony wpatrzył się w kawę. Naturalnie, musi jej powiedzieć. Tylko co mają z tym zrobić?

Leonia wbiegła lekko na znane brudne schody i zastukała do drzwi pracowni.

— Otwórz — zawołała niecierpliwie. — To ja. — Nie było odpowiedzi. — Alain! — Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Zdumiała ją to. Nigdy dotąd się to nie zdarzało. Zbiegła na dół i pospieszyła brukowaną ulicą do *Café Alsace*.

Kawiarnia z jej zaparowanymi oknami była taka sama jak zawsze. Jak każdego dnia starzy ludzie w kącie grali w domino i gdy ją poznali, skinęli jej grzecznie na dzień dobry. Rozejrzała się szybko. Nie dostrzegła Alaina, nie było też jego przyjaciół. Pomyślała, że jest zbyt wcześnie i nie przyjdą pewnie przed dwunastą. Lucien podniósł się na jej widok ze swego miejsca za cynkowym kontuarem.

— Monsieur Lucien, czy widział pan Alaina? Byłam u niego, ale pracownia jest zamknięta.

Spojrzał na nią zdziwiony. Czyżby Alain wyjechał, nic jej nie mówiąc? To bardzo nieładnie w stosunku do tak miłej i hojnej dziewczyny.

— Myślałem, że pani wie — powiedział. — Wyjechał kilka tygodni temu do Londynu.

— Do Londynu? — powtórzyła.

— Uśmiechnęło się do niego szczęście. Jakiś kolekcjoner z Anglii odwiedził galerię Maréchaux i kiedy zobaczył tam jego obraz, przyszedł do pracowni, aby coś kupić. Był tak zachwycony talentem Alaina, że zaproponował mu, iż weźmie wszystkie jego obrazy i zorganizuje mu w Londynie wystawę. Właściwie zaproponował, że będzie jego mecenasem. Zapewnił mu pracownię i wszystko, co niezbędne do pracy, i oczywiście sprzedaż wszystkich obrazów w galerii patrona. Zażyczył sobie jednak, by Alain przeniósł się do Londynu na cały rok. Stwierdził, że tylko w ten sposób uzyska gwarancję ciągłości pracy. Alain bał się, że straci taką wielką okazję. Było tu wtedy wielkie przyjęcie. Szkoda, że pani nie było.

— Czy to jednak nie dziwne, monsieur Lucien? — spytała niepewnie.

Wzruszył ramionami i rozłożył szeroko ręce.

— Cóż, mademoiselle, przy jego zajęciu tak właśnie odmienia się los. Jeden obraz może zmienić bieg życia człowieka.

Leonia stłumiła egoistyczne uczucie żalu, że straciła Alaina i ich wspaniałe wspólne dni.

— Cieszę się, że trafiła mu się taka wspaniała okazja — powiedziała. — Może któregoś dnia mój portret wart będzie dużo pieniędzy. Czy zabrał go ze sobą, monsieur Lucien?

— Z tego co wiem, mademoiselle, wszystko ze sobą wziął. Następnego dnia spakował się i wyjechał. Wszystko odbyło się tak szybko, że nawet nie zdążył zmienić zdania. — Lucien wzruszył tylko ramionami na myśl o takiej głupocie. — O ile w ogóle mógłby odrzucić taką propozycję.

Leonia zsunęła się ze stolka przy barze.

— Skoro tak, na pewno zabrał go ze sobą.

Szła wolno szarą ulicą, która w czasie, gdy wraz z Alainem i jego przyjaciółmi stanowili jej część, straciła swą bezbarwność. W jakiś sposób dodawali jej ciepła, tchnęli w nią życie i kolory. Teraz znów była szara... Smutna mała uliczka w biednym *quartier*. Niepozorny mały człowiek w brązowym garniturze wtopił się tak dokładnie w bure tło, że nawet nie zdawała sobie sprawy z jego obecności.

— Oczywiście, że jest do tego zdolny, Leonio! — wykrzyknęła Karo. — Czyż nie mówiłam ci tego już dawno? Hrabia jest zdolny do wszystkiego! Poza tym to człowiek przebiegły. Nigdy nie zrobi niczego rzucającego się w oczy, i nie wiesz, czego możesz się po nim spodziewać.

— Ale żeby mnie śledzić? Jak mógł to zrobić? Chciałabym, aby Marok się mylił.

— On się nie myli, Leonio! Oczywiście, gdyby nie ten twój głupi romans, nie byłoby się czym przejmować. Ten człowiek niczego by nie znalazł. Tylko pytanie, kiedy zaczął cię śledzić i dlaczego. Czy nie sądzisz, że w tym zniknięciu Alaina jest coś podejrzanego? Ten nagły uśmiech losu? Zostać odkrytym przez

zwyczajny przypadek, przy czym możliwość zostaje zaproponowana pod warunkiem wyjazdu do Londynu... Jeśli się usunie?...

Leonia patrzyła na Karo w osłupieniu.

— Nie mogę w to uwierzyć — potrząsnęła głową.

— Nie wierzysz, bo nie chcesz uwierzyć. Nie sądzisz, że hrabiemu wystarczy samo podejrzenie, iż masz romans, by znalazł sposób pozbycia się tego mężczyzny? W interesach zawsze tak robi. Podsuwa to, co człowiekowi jest potrzebne, a potem go odrzuca. Alfons mi powiedział, że taką właśnie ma metodę. I nigdy go to nie zawodzi.

Leonia zaczęła się śmiać.

— Skoro tak, cieszę się, że przynajmniej Alain skorzystał na moim kaprysie. Zawsze pragnęłam być mecenasem artystów.

— Leonio — jęknęła Karo. — Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swojej sytuacji! Jestem pewna, że gdyby hrabia nie miał wątpliwości, że romansowałaś z Alainem, zabiłby albo ciebie, albo jego, albo was oboje.

— Nigdy by tego nie zrobił — stwierdziła Leonia z niezachwianą pewnością. — A wiesz, dlaczego? Nie z mojego powodu, z powodu dzieci. Ma dwóch synów, a oni są dla niego najważniejsi. Nic nie może splamić ich nazwiska, nawet cię skandalu. Już Marie-France de Courmont postara się o to. Nawiasem mówiąc, skoro bawi go szpiegowanie mnie, niech ma tę przyjemność. Moje prowadzenie się od tej chwili będzie bez skazy.

— Mam nadzieję — westchnęła Karo.

Dziwne uczucie, gdy człowiek dowiaduje się, że jest śledzony. Teraz już stale widziała tamtego człowieka. Zawsze był gdzieś w pobliżu. Kącikiem oka mogła go dostrzec ukrytego za gazetą, siedzącego w dorożce, czy wałęsającego się bez celu po ulicy. Czasami wydawało jej się wręcz, że powinna zatrzymać się i powiedzieć mu, dokąd idzie. Wszystko stałoby się wtedy znacznie prostsze. Były też jednak chwile, kiedy cała sprawa wywoływała w niej wielki gniew. Miała chęć skonfrontować hrabiego z jego szpiclem, powiedzieć mu, że uważa jego postępowanie za godne pogardy, nikczemne i podłe. Ale to było niemożliwe. Przecież zawiniła. Mogłoby to doprowadzić do spotkania z Alainem, a tego

zdecydowanie nie chciała. Nie teraz, kiedy sprawy tak dobrze się układały.

Sędział z nią znacznie więcej czasu. Zaczął wreszcie uczyć ją tego, co tak bardzo pragnęła poznać. Zabrał ją na objazd swych nieruchomości nie tylko w Paryżu, ale i w oddalonych ośrodkach przemysłowych, gdzie nabywał w celach spekulacyjnych ziemię, wiedząc, gdzie będzie się rozwijał przemysł, i gdzie będą lokalizowane fabryki. Razem ze swoimi zainwestował też jej pieniądze, nabywając więcej udziałów w kompanii automobilowej de Courmont. Te samochody były jego namiętnością, mówił na ogół tylko o nich. Zaniedbywał inne interesy, by im właśnie poświęcić więcej czasu, i dzięki temu pierwsze modele pojawiły się już na drogach. Sam jeździł jasnoczerwonym egzemplarzem, który jej wydawał się niezdarney; o długiej karoserii, z lśnieniem mosiądzu klamek, lamp i ozdób. Samochód miał siedzenia wybite skórą, a w środku był nawet mały kryształowy wazonik na kwiaty. Leonia udała się do Wortha i kupiła szkarłatną jedwabną suknię, równie jaskrawą i lśniącą mosiężnie jak ten samochód, a on wiozł ją do teatru, zadowolony z wrażenia i sensacji, jaką wywołał swym automobilem.

— To najlepsza reklama, jaką zdarzyło mi się kiedykolwiek mieć — powiedział, pomagając jej wysiąść. — Wkrótce Paryż zapełni się samochodami i będą to głównie samochody de Courmonta.

Po raz pierwszy dopuścił, by ona też poczuła podekscytowanie nowymi interesami.

A najwspanialsze było to, że obiecał zabrać ją ze sobą do Nowego Jorku. Miał wyjechać w przyszłym tygodniu i Leonie pochłoneły całkowicie zakupy. Musiała mieć na tę okazję odpowiednie ubrania — po raz pierwszy podawał niejako do publicznej wiadomości, że jest dla niego czymś więcej, niż tylko utrzymanką. Miała być przy nim jako jego kobieta; ta, którą wybrał, by dzieliła z nim życie. Kobieta, którą kocha. Była tego pewna. Czy nie powiedział, że za nią tęsknił? I to tak bardzo, że tym razem zabiera ją ze sobą? A one tak pragnęła jego miłości. Pragnęła zdobyć pewność jego uczuć.

Spieszyła do salonu mody, mając nadzieję, że jej suknie są już gotowe. Wybierała je z myślą o nim i wszystkie były w tym samym

stylu: długie, opływające ją futerały z fałdowanego obficie jedwabiu z sięgającym niemal do talii wycięciem w szpic. Każda suknia falowała na jej ciele przy najmniejszym ruchu, chwycona luźno na biodrach kontrastująco ciężkim pasem z półszlachetnych kamieni w kolorze sukni, wykończonym jedwabnymi chwastami. Zakupiła ten sam model w kolorach bursztynu, jadeitu, akwamarynu i ametystu oraz topazu i kryształu. Suknie były przepiękne.

— Wygląda pani wspaniale — zaszemrała z podziwem sprzedawczyni, gdy Leonia okręcała się przed lustrem, by sprawdzić tył. **Delikatna** tkanina skręcała się od węzła u jej nagich aż do stanika ramion. To było fantastyczne. Hrabia będzie z niej dumny w Nowym Jorku.

Uśmiechnęła się do kobiety.

— Są doskonale. Proszę wysłać je do mnie. Nie, chwileczkę. Tę wezmę ze sobą. — Wzięła w rękę „kryształową” suknię. Włożyła ją dziś wieczór. Specjalnie dla niego.

Kiedy wyglądała tak jak teraz, wybaczyłby jej wszystko. Czekwała na niego w dużym salonie. Doskonale dobrała strój. Suknia miała tę samą opalizującą przejrzystość, co tkanina na ścianach. Zaslona mgły muskająca jej ciało połyskiwała, gdy kryształki pasa drgały na wąskich biodrach. W świetle lamp nawet jej włosy wydawały się rozjaśnione. Splecione starannie w gruby warkocz przetykany perełkami, zwieszały się na gładkich plecach.

Otwarte okna wpuszczały do salonu lekki powiew i nagle poczuł dojmujące wspomnienie nocy w hotelu, kiedy posiadał ją w niebieskim salonie. Wziął kieliszek od Maroka i usiadł przy oknie. Noc była duszna.

— Podoba ci się? — zwróciła ku niemu spragnioną pochwałą twarz.

— Jest cudowna.

— Przygotowałam na dziś wieczór specjalną kolację. Chodź, zobaczysz. — Wyciągnęła do niego rękę.

— Mamy gości?

— Żadnych gości. Tylko ty i ja. — Wskazała na stół. — Mamy omlet, sałatę i po kieliszku wina. — Zaśmiała się. — Jak stare małżeństwo.

— Mnie całkowicie wystarczy omlot — rzucił obojętnie.

— Ale możesz mieć każdy rodzaj, jaki lubisz. Z kawiozem, wędzonym łososiem albo z truflami. A może *fines herbes*?

— Muszę wyjść zaraz po kolacji. — Spojrzał na zegarek. — Dokładnie za pół godziny.

— Monsieur, ale chyba dzieci nie są chore? — spytała, zastanawiając się, co się stało.

— Nie, nie są chore. Postanowiłem wysłać je do szkoły do Ameryki. Wyjeżdżają ze mną w przyszłym tygodniu. Ich matka też...

— Ich matka? To znaczy... — Nie dokończyła.

— Właśnie tak, moja droga. Obawiam się, że nie będziesz mogła pojechać w tę podróż. Może następnym razem.

Leonia poczuła w całym ciele drżenie; zupełnie jakby to krew zaczęła wibrować w jej żyłach.

— Nie rób sobie kłopotów; nie musisz zostawać na kolacji — powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem. — Z pewnością masz ważniejsze sprawy.

— Przepraszam cię za ten zawód, ale jak widzisz, nie mam wyboru.

— Nie chcę nawet o tym mówić. Najwyraźniej dobrze sobie radzisz beze mnie!

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Perłowa smuga cienia z kołyszącym się blond warkoczem.

Patrzył chłodno za nią. Mogę ci wybaczyć prawie wszystko, Leonio Bahri, myślał wspominając Alaina Valmonta. Ale prawie, to nie znaczy wszystko. Musimy przyjąć naszą karę.

Leonia usłyszała, jak wychodzi. Zeszła ze schodów i zajrzała do jadalni. Przygotowany na dwoje stół zapraszał jego ulubionymi cienkimi, kryształowymi kieliszkami i gładką piękną porcelaną, którą wybrała, wiedząc że podoba mu się jej prostota. Nagle zakipiał w niej dręczący gniew. Jeden gest jej ręki wystarczył, by rozsypało się kruche szkło i potłukła porcelana.

— Leonio Bahri! — wykrzyknęła w pustą ciszę, która pochłonęła jej głos. — Nie jesteś stworzona po to, by być metresa!

Następnego dnia zabrała ze sobą Bébé i z jedną walizką, zapelnioną w pośpiechu najniezbędniejszymi rzeczami, wyjechała na południe.

Pociąg sapał, wypuszczając parę przed podróżą. Zdenerwowany Marok spacerował z nią po peronie.

— Leonio, co ja mam mu powiedzieć? Czy ty wrócisz?

Tym razem sprawa wyglądała poważnie, wyczuwał to z jej wyglądu. Panowała nad gniewem, ale tlił się w niej jak w gotowym do wybuchu wulkanie, warstwa żaru, pokrywająca palącą ją do żywego krzywdę.

— Nie chcę go więcej widzieć! Karo ostrzegła mnie przed jego metodami. Przyrzeka dokładnie to, co człowiekowi potrzebne, by go sobie podporządkować. Tak właśnie postępuje ze mną. Najpierw mami tym, czego najbardziej pragnę, by natychmiast mi to odebrać. Dlaczego on mnie tak dręczy? Nie mogę żyć z takim człowiekiem!

— Leonio, zawsze wracałaś. — Poklepał delikatnie jej dłoń. — Wiele razy tak było. To gra, którą między sobą rozgrywacie.

— Naprawdę tak myślisz, Marok? Czy naprawdę jestem równie winna jak on?

Może rzeczywiście. Ale czy jej winy nie są zwykłymi ludzkimi błędami? Ona nie próbuje sprawować władzy nad ludźmi i nie przypisuje sobie podobnej bogom mocy, jak on.

Dostrzegła, jak człowiek, którym gardziła, niczym cień czai się przy końcu peronu.

— Nawiasem mówiąc, wiadomość o tym, dokąd wyjeżdżam, ma zapewnioną — zauważyła z goryczą. — Jak tylko pociąg ruszy, jego szpicel pogna do telegrafu, by przekazać swój raport. Och, Marok. — Objęła go mocno i łyzy puściły się jej z oczu. — Największy problem w tym, że ja go kocham.

Bébé wydała cienkie na poły zawodzenie, na poły płacz, więc Leonia podniosła ją i zaczęła uspokajać.

— To pewnie z powodu tej pary — powiedziała. — Przestraszyła się pociągu.

Wychylona z okna nadal trzymała rękę Maroka.

— Kto mógłby pomyśleć wtedy, gdy po raz pierwszy się spotkalśmy i zostaliśmy przyjaciółmi, że nasze życie tak się odmieni.

— Jeszcze się nie skończyło, Leonio — rzekł, gdy pociąg ruszał.

25.

Bébé przewróciła się w słońcu na wykładanym terakotą występie okna, rozkoszując się ciepłem, i leniwie machnęła łapą na osę, która pojawiła się w polu jej widzenia. Leonia pracowała przy sadzeniu roślin w swoim ogrodzie na stoku wzgórza. Żyły tu już od prawie dwóch miesięcy i każdego dnia przebywała na słońcu. Kopała, grabiła, gracowała grządki i sadiła nowe rośliny. Wieczorami, gdy słońce obniżało się, podlewała działkę, podchodząc z czułością do każdej ze swych roślinek, jakby miała nadzieję, że namówi je, by wyrosły mocne.

— Zobaczysz — mówiła do Bébé. — Któregoś dnia będzie to piękny ogród. I będzie to moje dzieło.

Dzięki pracy pana Frenarda zbocze wzgórza zamieniło się w opadający tarasowato ku plaży ogród uprawny i oboje ślęczeli nad sporządzonymi przez Leonie planami i szkicami. Wiedziała dokładnie, co chce osiągnąć. Od zachodu linia dających cień drzew oraz na skrawku cypla zakręcającego wzdłuż plaży dekoracyjna sadzawka ze stojącą obok ławeczką, tak by przy zachodzie słońca mogła siadywać pod drzewami i nad swoim stawem patrzeć dalej, na morze. Zachwycało ją wszystko, co posadziła: palmy, jaśminy, juka i oleander.

— To najwspanialsze, co zrobiłam w całym swoim życiu — odezwała się do Frenarda, gdy myśla ręce. — Niech pan popat-

rzy. — Wyciągnęła dłoń przed siebie. — Pod paznokciami mam ziemię, na rękach pęcherze od łopaty. Jestem kobietą ze wsi, panie Frenard. Wróciłam do swej chłopskiej natury.

Była tak zmęczona, że gdy kładła się wieczorem, zasypiała jak kłoda. Leżała pogrążona we śnie bez marzeń i zmartwień. Na to miała czas przez cały dzień. Bez końca przeżywała scenę pożegnania z hrabią. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zawsze tak postępuje?

Jednego była pewna. Nie chce go już więcej widzieć. A jeśli do tego dojdzie, to zobaczy się z nim tylko po to, by mu powiedzieć, że go nienawidzi, że jest potworem, a ona chciałaby mu wydrapać oczy, kopać, bić i ranić go. Jak mogła go kochać! Ale przychodziły takie momenty, gdy pragnęła go rozpaczliwie, tęskniła za jego obecnością i walczyła z przyływem namiętności, przekonując się, że wcale go nie chce.

Po kilku tygodniach ból ścichł, a ona rzuciła się w wir pracy, która przynajmniej ćwiczyła charakter i dawała jej satysfakcję. Każdy dzień zaznaczał się widomymi rezultatami] z każdym tygodniem uprawy były coraz większe i ogród się rozrastał.

Nie miała od hrabiego żadnej wiadomości. Nie wiedziała nawet, czy powrócił, czy też nadal przebywa z żoną i dziećmi w Nowym Jorku. Już jej to nie obchodziło. Ten rozdział życia był zamknięty.

Znów stała się wiejską dziewczyną. Już nawet nie wypuszczała się do Monte Carlo ani do Nicei. Zajazd stał się jej prawdziwym domem. Radowała się spokojem, który zawsze odczuwała w jego gościnnym cieple. Wiedziała też, że małego człowieczka w brązowym garniturze nigdzie w pobliżu nie było. Frenard sprawdzał to każdego dnia i każdego dnia zapewniał ją, że w wiosce nie ma żadnych obcych.

— Jeśli ktoś włóczyłby się tutaj, odstawałby jak bolący kciuk — tłumaczył jej. — Znam w tej okolicy wszystkich. To nie miejsce dla szpicla, mademoiselle.

Wyprostowała obolałe plecy i popatrzyła na ścieżkę prowadzącą przez ogród i dalej w dół, do skał, gdzie lubiła się kąpać. Sama ją skopała, wyrównała i wyłożyła kawałkami potłuczonych kamiennych płyt i starych płytek terakotowych, układając nieregularny wzór kształtów i kolorów, w którym odstępy wypełniła gładkimi

otoczkami z plaży. Niebo ściemniało nagle i gdy spojrziała w tamtą stronę, ujrzała na horyzoncie światła błyskawic. Zebrała szybko narzędzia, oczyściła rydel kępką trawy i wytarła ręce o płócienną spódnicę, którą kupiła we wsi. Bébé pospieszyła do niej z zapalem, mając nadzieję, że nadszedł czas przechadzki.

Grzmot przetoczył się przez wodę, gdy błyskawica znów rozdarła niebo, oświetlając żagiel niewielkiej łodzi, zmierzającej do brzegu. Nie było nawet najłżejszego powiewu i żagle zwiślały bezwładnie pod groźną purpurą nieba, gdy łódź usiłowała uciec przed zbliżającą się nawałnicą. Leonia stała na cyplu nad skałami i obserwując manewry łodzi, zastanawiała się, czy uda jej się dobić do brzegu. Zygzak błyskawicy rozświetlił ostrym blaskiem niebo i lunął deszcz. Zerwał się wiatr i zaczął spychać łódź w stronę kamienistego cypla. Leonia rzuciła się stokiem w dół, na plażę. Ślizgając się na skałach, odgarniała mokre włosy z oczu, usiłując coś zobaczyć przez lejące się z nieba strugi wody. Biegła w stronę, dokąd zmierzała łódź. Znalazła się tam niemal w tej samej chwili, gdy łódź osiadła na łasze piasku między skałami. Na pokładzie nie było widać śladu człowieka i Leonia wpatrywała się w łódź przerażona. Czy zmiotło go za burtę? Morze wrzało, zalewając jej stopy pianą, i gniewne, wyrwane ze swego zwykłego błękitnego spokoju, parskalo w stronę błyskawic i deszczu.

— Jest tam kto? — wykrzyknęła Leonia.

— Za chwilę przyjdę — usłyszała męski głos i zobaczyła wysuwającą się zza żagla głowę. — Muszę ściągnąć ten przeklęty żagiel, zanim wiatr porwie go na strzępy.

Leonia poczuła nieoczekiwaną miękkość w kolanach i z uczuciem ulgi osunęła się na skałę.

— Myślałam, że pan nie żyje.

— Co, ja? — Spoza żagla dobiegł ją śmiech. — Nigdy! Stawiałem czoło gorszym sztormom niż ten, do tego na mniejszych łodziach. No, w porządku. — Zeskoczył z łodzi i z zadowoleniem obejrzał swe dzieło. — Niezła robota, co? Kiedy zobaczyłem ten kawałeczek piasku, pomyślałem, że to jedyne miejsce, na które mogę się kierować. Udało mi się, zanim sztorm mnie dopadł. — Odwrócił się do niej z uśmiechem. — Ale wdzięczny jestem pani za jej troskę.

Był młody — chyba w jej wieku — i tak samo jak ona przemoczony. Z przyklejonych do głowy włosów ściekała woda, zalewając mu oczy. Leonia wybuchnęła śmiechem.

— Ależ oboje wyglądamy! — powiedziała, z trudem podnosząc się na nogi.

Podał jej rękę.

— Cóż, skoro pani tu jest, musi być również jedzenie i jakieś schronienie. A może to bezludna wyspa? Nie wiem, co wart byłby zbudowany przeze mnie szałas z liści palmowych i czy potrafię szukać dzikich jagód, by dać pani jeść.

— Nie ma potrzeby — roześmiała się. — Wyżej, na szczycie wzniesienia, jest zajazd.

— Cudownie. Łódź powinna tu być bezpieczna, dopóki burza się nie wyszaleje. — Podeszedł do łodzi i upewnił się, czy jest dobrze zabezpieczona. — Niebo wygląda już trochę lepiej — zauważył.

Leonia patrzyła na niego z ciekawością. Był zręczny i dobrze wiedział, co robi. Niepotrzebnie się o niego martwiła.

— Chodźmy.

Ujął ją za rękę i ruszyli pod górę. Na stoku śmieli się zdyszani, gdy ślizgając się na błocie zalanego ogrodu, biegli w stronę tarasu. Przsiedli na chwilę, by zrzucić przemoczone obuwie.

Obejrzał się i popatrzył na zajazd z zadowoleniem.

— Nie mógłbym wymarzyć sobie lepszego miejsca, by się rozbić. Czy myśli pani, że będą mieli dla mnie pokój?

— Och, nie wątpię — odparła. — Porozmawiam z madame Frenard.

— Więc pani tu pracuje? To fantastyczne! Zostałem wybawiony przez piękną pokojówkę z zajazdu. Powinienem napisać o pani piosenkę.

— Proszę poczekać — powiedziała i zostawiła go ociekającego wodą w sieni. — Dam panu ręczniki i coś suchego do przebrania. Pokażę panu pokój.

W kuchni opowiedziała Frenardom o gościu i po kilku minutach wróciła z ręcznikami, parą roboczych spodni i starą koszulą.

— Nie wydaje mi się, aby były dobre dla pana. — Uśmiechała się przepaszająco. — Monsieur Frenard jest niższy i tęższy.

— Mogą być — skinał głową pocieszająco. — A teraz prowadź, piękna pokojóweczko.

Leonia doprowadziła go do drzwi jego pokoju i pospieszyła się przebrać. Zastanawiała się, jak wygląda, kiedy jest suchy. Spojrzała w lustro i roześmiała się.

Zmoknięta, zachlapaną błotem, z rozczochranymi, zwiniętymi w mokre strąki włosami. Nic dziwnego, że uznał ją za tutejszą pracownicę. Cóż, nie ma powodu, by wyprowadzać go z błędu. Wszak rzeczywiście tu pracuje.

Wykąpała się szybko i przebrała w świeżą płócienną spódnicę i miękką białą bluzkę, podwijając rękawy, jak przystało na pracującą fizycznie dziewczynę. Wytarła włosy i, inaczej niż zazwyczaj, puściła je swobodnie, po czym poszła do kuchni, by pomóc pani Frenard. Zbliżał się czas kolacji, a w zajeździe był gość. Jej pierwszy gość!

Charles d'Aureville spał stare niebieskie spodnie wokół szczupłej talii i uśmiechając się, zrolował do góry nogawki. Skoro spodnie są za krótkie, lepiej je skrócić, aniżeli zostawić, by objęły się o łydki. Płócienne żeglarskie pantofle miał mokre, więc postanowił iść boso. Chyba nie będą mieli mu tego za złe. Jego spojrzenie obiegło mały pokój. Znów zobaczył sieczone deszczem morze. Pomyślał, że miał szczęście. Znaleźć takie zaciszne schronienie! Musi odszukać dziewczynę, postawić jej szklaneczkę *pastis* i podziękować za pomoc. Poczul zapach jedzenia.

Kierując się wspaniałym aromatem, ruszył korytarzem. W małej jadalni schludnie ubrana w świeżą spódnicę i bluzkę dziewczyna stawiała na stole niebieskie emaliowane półmiski. Na jego widok podniosła głowę i odrzuciła włosy z ramion. Zobaczył uśmiech i najbardziej zdumiewające w świecie oczy.

— To chyba pani, prawda? — spytał z szerokim uśmiechem.

Leonia spojrzała na niego. Był wysoki i miał szczupłe, muskularne ciało sportowca. Ciemne włosy skręcały się w pierścionki. Jasne, trudno powiedzieć, czy szare, czy piwne oczy patrzyły na nią kpiąco.

— A to na pewno pan — odpowiedziała. — Sądząc po spodniach pana Frenarda!

— Rzeczywiście, wygląda pani lepiej niż ja. — Roześmiała się. — Muszę pani podziękować za uratowanie mnie. I jeszcze coś... Co by pani zrobiła, gdyby się okazało, że znalazłem się za burta?

— Wskoczyłabym za panem i wyciągnęłabym, oczywiście.

Nie miał wątpliwości, że tak właśnie by postąpiła.

— No cóż, moja dzielna wybawicielko, czy napije się pani ze mną wina?

Leonia postawiła butelkę na stole.

— To na koszt domu — powiedziała. — Nigdy jeszcze nie gościliśmy żadnych rozbitków. Zawsze dowiadujemy się, że marynarze nie mają grosza przy duszy.

Wsunął rękę do kieszeni. Oczywiście, nie ma pieniędzy!

— Zwróć pani — zapewnił ją. — Matka zawsze mnie uczyła, bym był uczciwy i nigdy nie brał pieniędzy od kobiety.

Leonia roześmiała się i napełniła kieliszki.

— Przejaśnia się. Może wyjdziemy na taras — zaproponowała.

— Proszę posłuchać, jeśli jest pani zajęta, będę całkowicie zadowolony, kiedy posiedzę sobie w kuchni. Jako dziecko bardzo często to w domu robiłem. Jestem strasznym naciągaczem i nikt nie jest bezpieczny wobec mojego uroku. Wyłudzałem wszystko od kucharki, nawet jej najlepsze czekoladowe ciasto, zanim dostatecznie wystygło, by je kroić.

— Założę się, że był pan bardzo rozpieszczony.

— Ma pani rację, chociaż uważam, że Edward jeszcze bardziej. Jako starszy miał więcej możliwości.

— Edward?

— Mój brat.

— Rozumiem. No nie, nie musimy iść do kuchni. Zostałam zwolniona na trochę.

— Nie wiem nawet, jak się pani nazywa — rzekł, uderzony nagle tym odkryciem.

— Ja również.

— Jestem Charles d'Aureville.

— A ja Leonia Bahri.

Szli na taras śmiejąc się. Madame Frenard patrzyła za nimi przez półprzymknięte drzwi kuchni.

— Teraz to co innego — stwierdziła. — Ona potrzebuje jakiegoś towarzystwa.

Żyje w rodzinnym zamku w pobliżu Tours, gdzie zarządza rodzinnym majątkiem.

— A naprawdę, najbardziej lubię konie — rasy sportowe — i statki. Niekoniecznie w tej kolejności — dodał. — Byłem w ubiegłym tygodniu w Monte Carlo na regatach jachtowych. Nie, nie wygrałem. Przyszedłem jako trzeci, ale to dobra zaprawa. Następnym razem postaram się lepiej. — Popatrzył na jej zniszczoną od pracy rękę, trzymającą szklaneczkę z winem. — A co pani robi? — zapytał.

— Och, wszystko po trochu. Gotuję, pracuję w ogrodzie, zmywam naczynia... Takie zwyczajne rzeczy.

— Czy to nie nudne? Mam na myśli, że dla takiej dziewczyny jak pani... Jest pani bardzo piękna.

Patrzyła na niego swymi pięknymi skośnymi oczami, a on nie mógł odczytać tego zagadkowego spojrzenia.

— Przepraszam, nie miałem zamiaru pani obrazić. To znaczy, nie przystawiałem się do pani ani nic w tym rodzaju.

Zmarszczyła czoło.

— Nic się nie stało. Każda dziewczyna lubi słyszeć, że jest piękna. Proszę mi jeszcze coś o sobie opowiedzieć. — Oparła się plecami o ścianę. — Jak to jest, kiedy się ma dziewiętnaście lat i odpowiada się za rozległe włości, ma dużą rodzinę i jeszcze do tego konie i statki?

— Chwileczkę! Po pierwsze, mam dwadzieścia dwa lata, a majątek nie jest taki wielki. Po prostu przyzwoity. Dom został zbudowany trzysta lat temu przez d'Aureville'a i nasza rodzina od tamtej pory wciąż tam żyje. Moja matka prowadziła to niczym hotel. Zawsze pełno przyjaciół, dziadków, wujów, ciotek i kuzynów. Wieczny szum ludzi i ich ukochanych zwierząt. Psy, chomiki, świnki morskie, koty, króliki, konie — co pani chce. Przez teren naszego parku płynie rzeka i Edward nauczył mnie pływać.

— Pana starszy brat — odpowiedziała.

— Tak. Edward to wspaniały starszy brat. Nauczył mnie wszystkiego, czego powinien nauczyć starszy brat: pływania, żeglowania, jazdy na koniu. No i pomógł mi w nauce.

— Kolacja gotowa — zawołała madame Frenard, wysuwając głowę przez okno.

Charles poczuł zawód. Podobało mu się siedzenie z nią na tarasie.

— Czy musi pani iść i pomóc?

— Nie wydaje mi się, abyśmy mieli jeszcze tego wieczoru kogoś na kolacji. Nikt tutaj nie wychodzi z domu, kiedy jest mokro.

— Czy w takim razie nie zjadłaby pani ze mną? Będę strasznie samotny sam ze sobą. — Uśmiechnął się do niej ujmująco.

— Dlaczego nie — odparła. Bardzo chciała posłuchać jeszcze opowieści o jego rodzinie.

Jego życie było dla niej bardziej fantastyczne od wszystkich *Opowieści z 1001 nocy* razem wziętych, a on był niczym Szecherezada, opowiadając historie, których tak bardzo pragnęła słuchać. Dzieje cudownego dzieciństwa w zamku nad Loarą, gdzie lata składały się z długich, rozedrganych słońcem dni z ukochanymi kucykami i wiernymi starymi psami, dni wypełnionych pływaniem wraz ze wspianiałymi przyjaciółmi w chłodnym zbiorniku wodnym, utworzonym przez zbudowaną na rzece groble, oraz podbieraniem jabłek i śliwek we własnych sadach. W czerwcu były zawsze truskawki, a kochająca mama upewniała się zawsze, czy umyli ręce przed kolacją. Mama, która opierając się odesłaniu ich do pokoju dzieciennego mówiła, że musi stale mieć przy sobie rodzinę, że są radością jej życia.

Zimy były ostre, a gdy podrośli, chodzili na polowania w lasach. Wigilia była świętem zawsze z tymi samymi tradycyjnymi potrawami i pasterką o północy, z której wracali całą gromadą, nie czując wcale senności. W domu pili grzane wino — tak naprawdę więcej w nim było lemoniady niż wina — i przed trzaskającym w hallu ogniem kominka jedli gorące lukrowane pączki, podczas gdy dorośli całowali się, życząc sobie wesołych świąt. I wszyscy rozpakowywali prezenty.

— A pana brat? — spytała. — Proszę mi o nim opowiedzieć.

— Edward to rodzinny poszukiwacz przygód — powiedział, przełykając kolejną porcję jej *tian*.

— Proszę, niech pan mówi — nie wytrzymała.

— Jest taka historyjka o Edwardzie, którą mama uwielbia opowiadać — podjął. — Rankiem któregoś dnia, kiedy miał zaledwie sześć lat, zapakował sobie w torbę rzeczy niezbędne do życia: jabłko, dwa kawałki czekoladowego ciasta oraz swojego misia, i wypuścił się do wsi, leżącej przy trakcie do Paryża. Kiedy doszedł do wsi, przysiadł na ławeczce za zajazdem, aby zjeść ciasto.

Stwierdził, że wędrowanie wywołuje głód. Zobaczył go właściciel zajazdu, poznał, że to chłopiec z zamku i posłał człowieka z wiadomością do naszej matki, a Edwardowi wyniósł szklanekę mleka, aby popił ciasto. Mama przyszła i z wielką ulgą wzięła go w ramiona i spytała, dokąd się wybierał. „W poszukiwaniu przygód”, wyjaśnił. „Do dżungli, jezior i gór w Afryce i w Chinach”. „Nie mógłbyś zrobić tego później?”, spytała go. „Kiedy będziesz troszkę starszy? A poza tym, jesteś mi teraz potrzebny”. Popatrzył na nią niesamowicie poważnie i zamyślił się nad jej pytaniem. Ona zawsze przysięga, że moment był krytyczny — ona czy dżungla — i wreszcie zgodził się zostać. „Ale tylko na krótko”, dodał „i dlatego, że jestem ci potrzebny”. — Charles roześmiał się. — Przez dziesięć lat dotrzymywał obietnicy i wyjechał dopiero jako szesnastolatek. Najpierw do Afryki, kontynentu jego marzeń, potem we wszystkie inne miejsca. Teraz ma dwadzieścia pięć lat i jest w Brazylii, tysiące mil stąd, nad Amazonką, gdzie w dżungli zbiera kauczuk.

— Pewnie tęskni pan za nim — odezwała się z nutą zazdrości w głosie. — Taki wspaniały starszy brat...

— Edward to mój najlepszy przyjaciel. Nie ma takiej rzeczy, której nie mógłbym mu powiedzieć. To trudno wytłumaczyć... Edward ma w sobie rzadko spotykaną u mężczyzn wrażliwość. Może to brzmieć dziwnie, ale jeśli kiedykolwiek spotka go pani, zrozumie, co mam na myśli. Jako starszy brat kochał mnie niemal jak ojciec. Bez żadnych nacisków ze strony matki zawsze pozwalał mi się ze sobą bawić. Kiedy był ze swymi kolegami, stawał w ich półkolu i mówił tonem nie znoszącym sprzeciwu: „To jest mój brat Charles i zostaje ze mną”. Nigdy się też nie sprzeciwiali, więc zostawałem. — Zaśmiał się na to wspomnienie.

— A pan? Czy nigdy nie miał pan chęci odejść, wybrać się w dalekie kraje, jak pański brat?

Popatrzył w jej oczy. Wspaniałe, dziwne oczy, przypominające senne zwierzę.

— Nie, podoba mi się tutaj. Lubię swoje konie i psy, lubię gospodarstwo. Lubię wszystko takim, jakim jest od zawsze.

Bébé wskoczyła na stół obok jego łokcia i mrucząc, zaczęła ocierać się łepkiem o jego ramię.

— Ach, ty kokietko — powiedział i śmiejąc się, zaczął gładzić futerko na małym łepku. — Dobry Boże! — wykrzyknął zdumiony. — Ten kot ma na sobie brylanty! I rubiny!

— Może miała bogatego ojca — rzuciła Leonia z lekceważącym ruchem ramion.

— Czy są prawdziwe?

— Mało prawdopodobne, ale pięknie wygląda w tych imitacjach, nie uważa pan? — Odsunęła krzesło. — Chodźmy na taras, zobaczymy, czy widać gwiazdy. Może jutro będzie pan mógł zepchnąć swoją łódź.

Niebo było bezchmurne, a ciepłe powietrze miało balsamiczną woń, jakby Odyn i Thor nigdy nie słyszeli o istnieniu Lazurowego Wybrzeża.

— Niech mi pani powie coś o sobie — poprosił, gdy szli razem przez taras. — Tkwi w pani jakaś tajemnica. Jak na osobę stąd, jest pani zbyt egzotyczna.

Wpatrzył się w jej twarz w oczekiwaniu odpowiedzi. Dolną wargę miała pełną, kuszącą.

— Egzotyczna? Chyba nie. Jestem po prostu zwykłą dziewczyną z kuchni. Jedyna egzotyka wiążąca się ze mną to fakt, że mój ojciec był Egipcjaninem.

— W takim razie — zaczął, ujmując jej rękę i całując szorstkie, zniszczone palce — jest pani zapewne boginią... panią przeznaczeń i czarów.

Unióś rękę i rozwiązał wstążkę na jej włosach, tak że rozsypały się w całej obfitości. Poczul świeżość i chłód, jaśmin i brzoskwinie.

Leonia odeszła, a on został w rogu tarasu, opuszczony i oszłamiony.

— Leonio, strasznie panią przepraszam! Nie miałem tego na myśli. Nie, oczywiście, myślałem o tym, ale nie tak, jak pani sobie wyobraża.

Boże drogi, pomyślała, jaki on jest uroczy. Sądzi, że myślę, iż wykorzystuje swą przewagę nad biedną służącą! A tak naprawdę tylko dlatego nie chcę, by mnie pocałował, bo nie wiem, jak by się to skończyło.

— Proszę zapomnieć o wszystkim i wybaczyć mi. — Nie mógł przestać przeproszać. — Padnę do pani stóp, jeśli pani zażąda.

I zrobił to. Rozpostarły na tarasie jak orzeł zaczął całować palce jej stóp, aż rozeźmiała się wreszcie, pragnąc jednocześnie, by całował jej usta. I to też zrobił. Scałowywał **delikatnie** słońce i wiatr, całe zauroczenie i robił wszystko to, czego ona tak bardzo pragnęła.

Zrobiło się późno, a oni nadal rozmawiali. Głęboką już nocą wzięła go za rękę i poprowadziła do swego pokoju. Leżeli obok siebie w wielkim łożu i trzymając się za ręce opowiadali sobie szeptem, że będzie musiał sprawdzić Łódź, o tym jakie miał szczęście, iż ją spotkał, i jakie szczęście miała ona, spotykając go. Potem leżała uspokojona w pełnych miłości młodych ramionach i pozwoliła, by ją wziął. W marzeniach była częścią jego wielkiej, szczęśliwej rodziny, jedną z d'Aureville'ów z pełnych słońca wakacji i radosnych Gwiazdek. I dopóki była w ramionach człowieka, który dał jej te najcenniejsze marzenia, ona również należała do tego świata.

O świcie obudziła go. W drodze do Łodzi przeskakiwali kamienie i brodzili po małych kałużach, pozostawionych przez fale odpływu, aż znaleźli się w ukrytej zatoczce.

— To straszne, że muszę cię opuścić — mówił trzymając jej rękę i wpatrując się w jej piękne oczy. — Nie zapomnę tej nocy do końca mego życia. Jesteś czarodziejką, Leonio Bahri. Masz w sobie jakąś magię.

Objął ją i pocałował z czułością. Stała uśmiechnięta, gdy machał jej ręką. Łódź kołysała się lekko, czekając na swego pana. W ostrej porannej bryzie wciągnął żagiel i ustawił kurs.

— Do widzenia, Leonio — krzyknął, stojąc za sterem.

— Do widzenia, Charles. Uważaj na siebie... Ja także nigdy cię nie zapomnę — dodała szeptem.

W tydzień później dostała od niego list. Poszła na plażę, by go przeczytać. Usiadła na kamieniach tam, gdzie się spotkali.

Mówiłem ci, czego uczyła mnie matka; że zawsze należy być uczciwym i nigdy nie brać pieniędzy od kobiety. Dlatego jako uczciwy człowiek załączam opłatę za pokój i wyżywienie dla Frenardów. Podziękuj im, proszę, ode mnie.

A tobie, uroczą Leonio — czarodziejko, boginko, prządko zakłęć — dziękuję za to, że byłaś ze mną i dałaś mi ze swego życia tę czarownicą noc. Dziękuję ci za twą piękność, miłość i czułość... Czy muszę mówić, że na zawsze masz miejsce w moich wspomnieniach...

Charles

Złożyła list starannie i ruszyła powoli do zajazdu, pochłonięta myślami o nim. Miała zachować ten list na zawsze. Charles także dla niej miał pozostać wspomnieniem.

26.

Marie-France de Courmont nigdy nie widziała takiego Gillesa. Bywał czarujący albo złośliwy, rozbawiony lub zimny i obcy, ale nigdy nie widziała go w stanie takiego niezdecydowania. Dość nieoczekiwanie uparł się, by zabrać dzieci do Ameryki i tam rozejrzeć się za odpowiednią szkołą; przez cały czas nie zważał na jej protesty, że nie może puścić dzieci tak daleko, po czym zaproponował obojętnie, by została z nimi. A gdy tylko tam się znaleźli, obejrzał kilkanaście szkół, ograniczył swój wybór do dwóch, by odsunąć wreszcie cały problem, jakby nigdy nie istniał. Gdy zapytała, co postanowił, powiedział, że pomyśli o tym później. Słyszała też, jak Verronet pytał go o nowe samochody, a on znów nie podjął żadnej wiążącej decyzji. Dowiedziała się od Verroneta, że to nie po raz pierwszy. Zupełnie jakby ten Gilles, który nigdy nie zostawiał na biurku papierów, który siedział tam tak długo, aż wszystko było załatwione, nie mógł się skoncentrować. A przecież praca była jego namiętnością.

Po powrocie do Paryża sytuacja nie uległa poprawie. Niemal całe noce nie spał. Wiedziała o tym, gdyż często widziała światło sączące się z jego sypialni. A przy tym nie pracował. Co więc robił?

— Wyglądasz na zmęczonego — powiedziała do niego któregoś dnia przy kolacji.

— Naprawdę?

— Czy coś ci dolega, Gilles?

— Czuję się doskonale.

— Może zbyt ciężko pracujesz. Powinieneś odpocząć. Może wybrałbyś się na południe? Pobyt na statku zawsze dobrze ci robi.

Gilles popatrzył na nią zaskoczony. Podsuwała mu pretekst, którego sam szukał.

— Pomyślę o tym — odparł.

Odsunęła krzesło i Bennett pospieszył, by jej pomóc.

— Pójdę powiedzieć dzieciom dobranoc i myślę, że sama też się wcześniej położę. Dobranoc i... Gilles...

— Tak?

— Może powinieneś porozmawiać z lekarzem i przebadać się.

— Znów przesadzasz, Marie-France. Wszystko jest w absolutnym porządku.

— Jak uważasz. — Wzruszyła ramionami.

Gilles zapalił cygaro. Siedział samotnie nad kieliszkiem koniaku. Srebrny kandelabr odbijał się w długim, doskonale wypolerowanym stole, podkreślając jego osamotnienie. Światło świec było przewidziane dla dwojga — dla romansu i intymności. Strasznie tęsknił za Leonią. Rozpaczliwie czekał na wiadomości o niej. Nie miał żadnego listu, niczego. Odeszła na dobre. Człowiek w Saint-Jean miał wielkie problemy, gdy próbował obserwować zajazd. Stwierdził też, że niemożliwe jest wciśnięcie się między miejscowych ludzi i penetrowanie tamtejszego środowiska. Cygaro zgasło i zapalił je ponownie. Przeszedł przez hall do gabinetu, przysunął wielki fotel do okna i siedział, patrząc na Sekwanę.

Postanowił nie spotykać się z nią więcej. Zbyt wiele od niego żądała, i to nie tego, co inne kobiety. Nie pieniędzy, biżuterii czy futer. Ona pragnęła miłości. A miłość była tą jedyną rzeczą, której nie był w stanie dać. Co w takim razie do niej czuje? Bo przecież coś musi czuć. Zbyt bolesna była jego tęsknota. I dlaczego powiedziała, że chce mieć dziecko? Dziecko! Chyba oszalała. Czyż nie wie, jaka to odpowiedzialność? Dzieci oczekują miłości, a on nie jest przygotowany na to, by ją komukolwiek dawać. Poza tym Leonia ma jeszcze jedną potrzebę. Chce być kochana.

Odchylił się na oparcie fotela, zastanawiając się, co ma robić. Jeśli chce, aby wróciła, musi powiedzieć jej, że ją kocha. Jakież to proste! Dlaczego do tej pory nie przyszło mu to do głowy!

Wciąż utrzymywała się burzowa pogoda. Przyczajona na horyzoncie zaciemniała niebo fioletowymi chmurami, tak jak tego dnia, gdy przyniosło Charlesa na próg Leonii dwa tygodnie temu.

Dziewczyna wracała pośpiesznie z Saint-Jean, popatrując z obawą na chmury. Ostatnie metry przebyła biegiem. Niebo rozwarło się i deszcz spadał na ziemię strumieniami.

— Moje biedne drzewa — rzekła zadyszana do madame Frenard, strzepując wodę z włosów. — Jeśli to dłużej potrwa, wymyje je z ziemi.

Wyrzała przez okno w stronę młodych cyprysów, które posadziła na zachodnim skraju działki, ale przez strugi deszczu nie mogła nic zobaczyć.

Madame Frenard rozpałała w bawialni i Leonia zasiadła przed kominkiem. Suszyła włosy i patrzyła na Bébé, rozkoszującą się tym niezwykłym luksusem.

— Gość do pani — poinformował ją od drzwi konspiracyjnym szeptem Frenard.

— Gość? Któż taki? — spytała również szeptem.

Zamknął starannie drzwi, zanim odpowiedział.

— To on, pani Leonio. *Pan Hrabia*.

Zaszokowana poczuła przebiegające po plecach drżenie. W gardle jej zaschło, serce zaczęło łomotać ciężko. Nerwy czy podniecenie? Przyszedł wreszcie. Tylko czy po to, by oświadczyć, że jest jego własnością, czy też, by ostatecznie się z nią pożegnać?

Stał w małej sieni, przytłaczając ją swą postacią. Z jego włosów i z ubrania splywała woda, tworząc kałuże na wyłożonej kafelkami posadzce.

— Samochód mi się zepsuł — powiedział. — Musiałem przejść ostatnie kilka kilometrów.

— Proszę wejść. — Leonia otworzyła drzwi do bawialni. — Przyniosę ręczniki.

Wyszła, a on stał przy ogniu, odprowadzając ją wzrokiem. Pobieгла do składziku z bielizną. Musiała mieć trochę czasu, by przyzwyczać się do świadomości, że on tu jest. Do diabła, nie była przygotowana, że tak to odbierze. Przemoczony sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego. Poza tym schudł i nie wyglądał dobrze.

Boże drogi, co mu jest? Leonio, Leonio, strofowała się w duchu. Przecież nie masz chyba zamiaru się o niego martwić? Nienawidzisz go i na zawsze usunęłaś ze swego życia.

Czekał na nią tam, gdzie go zostawiła. Podawała mu ręczniki.

— Proszę zdjąć marynarkę — powiedziała. — Powieszę ją tu, aby wyschła.

Odwróciła głowę. Nie chciała patrzeć nawet na tę niezbyt przecież intymną czynność. Pamiętała, jak rozpinał koszulę i zarzucał sobie na szyję jej ramiona. Uwielbiała dotyk jego obnażonej piersi, bicie jego serca.

— Leonio — zaczął. Włosy zwinęły mu się w pierścionki od wycierania. Koszulę miał równie moką jak marynarkę. — Musiałem cię zobaczyć. Przyjechałem, by ci powiedzieć, że żałuję tego, co się stało.

— Gdy ostatnim razem tu się zjawileś, też mnie przepraszałeś. Znów ta sama historia!

— To dla mnie niełatwe, Leonio — zaczął błagalnie. — Wiesz przecież. Teraz zdaje sobie sprawę, że to, co zrobiłem, było okrutne. Ale wtedy nie przypuszczałem nawet, że to tak wygląda. Po prostu wydawało mi się, że zabranie dzieci do Nowego Jorku będzie dla mnie najwygodniejsze. Nie miałem pojęcia, ile to dla ciebie znaczyło.

— Och, nie, monsieur, wiedziałeś... Pan zawsze doskonale wie, co robi.

— Przeceniasz mnie i przypisujesz mi więcej, niż mnie na to stać. Gdybym wiedział, co robię, nie postępowałbym tak idiotycznie. Wziąłbym cię ze sobą!

— Nie, to wprost nie do zniesienia—wykrzyknęła nagle.—Nie jestem w stanie znów przez to wszystko przechodzić! Powie pan *przepraszam*, ja do pana wrócę, a pan znajdzie nowy sposób, by mnie dręczyć. O nie! Koniec z tym!

— Leonio, potrzebuję cię. — Wyciągnął do niej rękę. — Proszę cię, wróć do mnie.

Przeszła w najdalszy kąt pokoju, jakby się bała, że będzie próbował jej dotknąć. Osunął się bezwładnie na fotel przy kominku.

— Co się stało?—wykrzyknęła przestraszona. Wyglądał strasznie, pobladły nagle i wstrząsany dreszczami.

— Przepraszam, bardzo cię przepraszam, Leonio. Musiałem się przeziębicić.

Wybiegła z pokoju, by przynieść koniak. Patrzył za nią przymglonymi nieoczekiwanie oczami. Poczuł w ramieniu zdrętwienie i tępy ból. Chwycił go kaszel. Tego nie planował. Myślał, że porwie ją w objęcia, pokona i sprawi, że zrozumie, jak bardzo jest jej potrzebny. A teraz to on jej potrzebował.

Usłyszał, jak wraca do pokoju, ale zbyt wiele wysiłku kosztowało go otwarcie oczu. Przytknęła do jego ust szklankę i poczuł zapach koniaku. Wlała mu trochę na siłę i zaczął kasłać.

— Monsieur! — zakrzyzczała. — Och, monsieur, niech pan otworzy oczy, niech pan powie, że wszystko jest dobrze!

— Wszystko będzie dobrze, tylko daj mi chwilę. Czuję się, jakbym nie mógł oddychać. — Zaczął spazmatycznie łapać powietrze. Ból chwycił go znowu.

Leonia pobiegła do Frenardów.

— Musimy sprowadzić pomoc — krzyknęła. — Monsieur Frenard, błagam, niech pan jedzie do Saint-Jean po doktora.

Kłęczała przed nim na dywaniku i trzymała go za ręce. Czuł ciepło jej dłoni na lodowaciejących palcach. Ból zelżał nieco, nie był tak rozdzierający. Czucie wracało powoli do zdrętwiałych rąk, wywołując mrowienie w palcach. Wyprostował się trochę i poprawił w fotelu.

— Zaraz będzie dobrze — wymamrotał.

Oddychał lżej i widziała, jak napięcie powoli ustępuje z jego twarzy. Otworzył oczy i spojrzął na nią.

— To śmieszne, Leonio... Właśnie przyjechałem, aby ci powiedzieć, że nie mogę bez ciebie żyć.

Roześmiał się i zaczął kasłać. Jego twarz znów ściągnęła się bólem.

— Przestań, proszę cię — błagała.

— Przyjechałem, by ci powiedzieć, że cię kocham — rzekł chrapliwie. — Kocham cię, Leonio.

Pamiętała ostrzeżenia i głos Karo. Szuka tego, co komuś najbardziej potrzebne, odkrywa jego największe pragnienie, by wykorzystać dla podkopania jego pozycji. Każdy ma swoją cenę. To nieprawda. Mówi mi słowa, na które czekałam tak długo, tylko dlatego, iż myśli, że umiera.

— Wszystko w porządku, monsieur — powiedziała miękko, głaszcząc jego dłoń, gdy usiłował chwycić jej rękę. — Proszę się teraz nie męczyć i starać się nie mówić.

Poruszył się w fotelu niespokojnie.

— Muszę ci to powiedzieć. Muszę. Wróć do mnie, Leonio. Potrzebuję cię. Kocham cię. Powiedz, że wrócisz. — Przymknął oczy i opadł z powrotem na poduszkę.

— Proszę leżeć spokojnie — rzekła cicho. — Lekarz niedługo przyjdzie.

Z pomocą lekarza przenieśli go do jej łóżka. Z ulgą zagłębił się w miękkie posłanie.

— Naprawdę nalegam na wysłanie pana do Nicei, do szpitala — powiedział doktor Marbeuf. — Nawet jeśli teraz wydaje się panu, że czuje się pan już lepiej.

— To już mi się zdarzało, panie doktorze — odparł hrabia, zirytowany własną słabością. — Iz całą pewnością znów nastąpi. Zostanę tutaj.

— Serce to organ, którego działania nie można przewidzieć, panie hrabio — rzekł ostrzegawczo lekarz. — Jak tylko będzie pan mógł, radzę powrót do Paryża i wizytę u pańskiego doktora. Jeśli jednak nie ma pan zamiaru zastosować się do mojej rady, proszę przynajmniej wypocząć. Zbyt wiele napięć przeżył pan ostatnio i musi pan jak najbardziej je ograniczyć.

Leonia słuchała w milczeniu ze swego miejsca w kącie. A więc to serce! Nie wiedziała, że ma jakiegokolwiek kłopoty.

— Wszystko w porządku, Leonio — powiedział hrabia po wyjściu lekarza. — Przeżyję. Ale przykro mi, że cię przestraszyłem. Chociaż...

— Chociaż co?

— Przekonałem się dzięki temu, że nadal ci na mnie zależy.

Było już ciemno. Deszcz bił w okna i bębnił na tarasie. Bébé patrzyła w noc. Nienawidziła deszczu. Ciężka cisza wisiąca w powietrzu.

Leonia podeszła do łóżka i spojrzała na udreńczoną twarz. Popatrzyła Gillesowi w oczy.

— Czy naprawdę myślałeś to, co powiedziałeś?

Podniósł rękę i delikatnie dotknął jej włosów.

— Naprawdę. Kocham cię, Leonio.

Wsparty na poduszkach patrzył, jak rozpina bluzkę. Zdjęła ją powoli, potem zsunęła z bioder spódnicę. Jej ciało było takie znajome, takie piękne. Wsunęła się pod kołdrę i przytuliła się do niego. Objęła go, dodając mu otuchy swą bliskością, dzieląc się z nim swą siłą. Czuł się w jej ramionach jak dziecko. Chronione, kochane, kołysane do snu. Dzięki ci, Boże, pomyślał jeszcze, gdy oczy zaczęły mu się zamykać. Dzięki ci, że wciąż jest moja.

27.

Wygłąda zupełnie jak młody mężczyzna rozpalony ogniem pierwszej miłości, myślała Karo, gdy Leonia szła z hrabią z zajazdu do samochodu. Monsieur wracał do Paryża i nigdy nie widziała człowieka, który wyjeżdża z większą niechęcią. Martwiła ją natomiast Leonia. Szczęśliwa i beztroska zakochana kobieta w jednej chwili stawała się obca i obojętna. Oddalała się, pogrążona w jakichś sobie tylko znanych myślach. Karo uniosła rękę, gdy hrabia wskoczył do samochodu i z ostatnim pocałunkiem Leonii odjechał drogą do Nicei.

No cóż, może teraz wreszcie dowie się prawdy. Czyżby Leonia doszła do wniosku, że go nie kocha? Karo była w za-jeździe zaledwie dwa dni. Przyjechała na nagłe wezwanie Leonii. Było coś, musiała jej koniecznie powiedzieć, ale hrabia zwlekał z odjazdem i aż do dziś nie miały możliwości porozmawiać.

— Pojechał — powiedziała z westchnieniem Leonia.

Usiadła na schodkach prowadzących na brzeg morza i objęła rękami wciśnięte pod brodę kolana. Czyżby zaczynała tęsknić za nim? Byli na statku ponad miesiąc. Leonia zawsze nienawidziła czekania.

— Karo, jestem w ciąży.

Karo zapomniała o wszystkim, co chciała powiedzieć.

— Boże drogi, jesteś pewna, Leonio?

— Tak. Muszę ją usunąć.

— Leonio! — Karo była zaszokowana. — Nie możesz tego zrobić! To strasznie niebezpieczne. — Wzdrygnęła się na samą myśl. — Ale dlaczego nie powiesz mu po prostu? Wiem, jaki on jest, ale z pewnością znajdzie się jakieś wyjście.

— Karo, to nie jest dziecko hrabiego.

Karo spojrzała na nią osłupiałymi oczami.

— Nie?! Więc czyje w takim razie?

— Tego mężczyzny, o którym ci kiedyś opowiadałam. Tego żeglarza.

— Przecież to była tylko jedna noc!

Leonia uśmiechnęła się.

— Och, Karo, niczego więcej nie trzeba.

Karo umilkła, zastanawiając się, co robić.

— Widziałas, jaki monsieur jest teraz — odezwała się Leonia. — Zmienił się. On mnie kocha. Ten ostami miesiąc był dla nas taki szczęśliwy, taki cichy. Po raz pierwszy w ciągu tych naszych wspólnych lat nie raniliśmy się, nie próbowaliśmy się wzajemnie prowokować. Nie prowadziliśmy żadnych gier.

— Czy nie da się tak zrobić, aby hrabia myślał, że to jego dziecko?

— Powiedział mi kiedyś, że jego dzieci to te, które ma ze swoją żoną, i tylko te planował... On jest bardzo ostrożnym mężczyzną. Karo. Nie popełnia błędów.

Patrzyły na siebie, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

— Muszę zrobić skrobankę — odezwała się Leonia bezbarwnym głosem. — Nie mam innego wyjścia.

Rozpląkała się i Karo objęła ją.

— Nie płacz, proszę cię. Oczywiście, że nie musisz. Nie pozwolę ci zrobić czegoś tak okropnego. Pomyśl o ryzyku. Przecież mogłabyś umrzeć!

— Och, Karo, czyż nie rozumiesz? Wreszcie mam wszystko. On mnie kocha! A tylko tego naprawdę pragnę. A teraz wszystko tracę z powodu jednej cudownej nocy, kiedy zjawił się tu młody człowiek właśnie w chwili, gdy czułam się samotna. Och, jak mogłam być taka głupia!

Karo objęła ją i pozwoliła się jej wyplakać.

— Nie martw się — powiedziała pocieszając ją. — Wszystko się ułoży. Nie pozwolę, abyś się zabiła zabiegiem. Musimy coś wymyślić. Musi być jakiś sposób.

Verronet zapukał do drzwi hrabiego.

— Przyszła mademoiselle Montalva, panie hrabio.

— Karo? — Podniósł głowę zaskoczony. Cóż ona tu robi?

Karo wpłynęła do jego gabinetu, pocałowała go w policzek i usiadła bez swego zwykłego uśmiechu.

— Przyszłam, aby porozmawiać z panem o Leonii.

Sporzał na nią zdumiony.

— Nie wiem, czy pan zauważył, Gilles, ale od **ostatnich** kilku tygodni nie wygląda dobrze. Zaczęła się uskarżać na apatię i zmęczenie, a wie pan, jakie to do niej niepodobne.

Rzeczywiście, tak było. Leonia, która zawsze tak kipiała energią, że nawet gdy siedziała spokojnie, sprawiała wrażenie własnie podrywającej się, by wstać, ta zawsze gotowa do działania Leonia teraz zmieniła się zupełnie. Całkowicie ucichła. Gdy wrócili do Paryża, nie chciała nigdzie iść. Myślał, że jest po prostu zadowolona ze wspólnie spędzanego czasu. Głupiec! Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że z nią dzieje się coś niedobrego!

— Mówi, że nie obchodzi ją jedzenie — podjęła Karo, przezywając jego rozważania. — Że nic jej nie pociąga.

Niestety, to również jest prawda, pomyślała niewesoło. Leonia nie jadła. Rozpaczliwie usiłowała zachować linię, by nie było widać ciąży.

— Musi iść do lekarza — powiedział przestraszony. — Znam kogoś odpowiedniego.

— Dziś rano zaprowadziłam ją do lekarza. — Karo zawahała się. — Obawiam się, że nie jest dobrze.

Boże, co ona mówi? Odepchnął gwałtownie fotel i stanąwszy nad nią, chwycił ją za ramię.

— Karo, co się z nią dzieje? Niech pani mówi, na litość boską!

— To płuca, Gilles. Lekarz twierdzi, że to gruźlica.

Leonia! Jego cudowna Leonia jest chora, może nawet...

Karo odwróciła głowę, chcąc uniknąć jego oczu.

— Może dojść do całkowitego wyleczenia, ale potrzebna jej opieka specjalistów. Powinna natychmiast wyjechać do sanatorium w górach. Doktor twierdzi, że w tej chwili zasadnicza sprawa to odpoczynek i całkowity spokój. Dopóki on na to nie zezwoli, nie powinna przyjmować żadnych gości. To potrwa kilka miesięcy.

— W takim razie muszę z nim porozmawiać. Ona musi mieć najlepszego lekarza, Karo, i leczenie na najwyższym poziomie — mówił, usiłując opanować zalewającą go falą panikę. Musi ją uratować.

— Ten jest najlepszy. Ma klinikę w Szwajcarii, a jego metody są najbardziej postępowe w tej dziedzinie. Zajmie się nią, może mu pan zaufać. Sam może pan z nim porozmawiać.

Wiedziała, że lekarz potwierdzi jej wersję. Został dobrze opłacony.

Było dokładnie tak, jak powiedziała. Doktor Leopont potwierdził jej słowa i dodał jeszcze, że obecność Gillesa i Karo, zważywszy na załamanie pacjentki, byłaby dla niej bardzo szkodliwa. Stan Leonii jest raczej delikatny. Dopóki nie da pozwolenia, nikt nie może jej odwiedzać. Ma w górach własne sanatorium, zabierze ją tam osobiście i jego zespół będzie kierował leczeniem. Oczywiście, będzie ich informował o wszystkim, ale pacjentka powinna wyjechać natychmiast.

— Proszę robić wszystko, co niezbędne — rzekł zdecydowanie hrabia. — Ale chcę, by wróciła zdrowa, panie doktorze!

Godzinami chodził ulicami Paryża, złorzecząc sobie, że nie wiedział o jej chorobie, że niczego wcześniej nie zauważył. Pamiętał noc, kiedy omal nie umarł jego syn. Dopiero wtedy zrozumiał, ile to dziecko dla niego znaczy. Pamiętał też noc w zajeździe, kiedy Leonia ani na chwilę nie wypuściła go z objąć. Nie, ona nie może umrzeć!

Sam odwiózł ją na stację. Musiał się upewnić, że będzie jej wygodnie w specjalnym przedziale, który dla niej zarezerwował. Leonia obserwowała go z obawą, gdy czekając na doktora Leoponta, spacerował po peronie.

Na pożegnanie przyniósł jej mnóstwo podarunków: miękkie delikatne koszule nocne oraz peniuary, futrzaną narzutę na łóżko i ostatnie powieści, aby nie nudziła się przez długie, samotne godziny podróży. Pociąg zasnuł peron kłębamii pary i Bébé na jej kolanach mruzczała cicho, moszcząc się wygodnie.

Wrócił z doktorem Leopontem.

— Będę w sąsiednim przedziale, madame — rzekł lekarz z uśmiechem. — Będę pani strzegł, proszę się o nic nie martwić.

Gdy konduktor zaczął zamykać drzwi, usunął się dyskretnie, zostawiając ich samych.

— Spodziewam się, że wrócisz jako moja dawna Leonia — rzekł Gilles i ściskając jej szczupłe ramiona, wpatrywał się w nią nakazująco ciemnobłękitnymi oczami.

— Tak, oczywiście, monsieur — odparła posłusznie, gdy ją całował. — Przyrzekam.

Pociąg ruszył. Stała przy oknie, patrząc jak hrabia podnosi rękę w geście pożegnania. Wreszcie zniknął w oddali i opadła na poduszki z uczuciem ulgi. Może wszystko się jakoś ułoży.

28.

Teraż już nic się nie da ukryć, myślała Leonia, z zadowoleniem przesuając rękami po wzdętym brzuchu. I to jest cudowne. Chciałabym mieć dwanaścioro dzieci. Chciałabym resztę życia poświęcić na macierzyństwo.

— Wyobraź sobie, Bébé, że będę miała dziecko. Ty też powinnaś tego spróbować. Musimy znaleźć ci męża.

Mąż. Jej uczucia miały się między uniesieniem a depresją. Nie pierwszy już raz, odkąd przybyła do małego domu wypoczynkowego przyległego do sanatorium. Bywały chwile, kiedy czuła się tak osamotniona i tak smutna, że chciała umrzeć. Były też dni entuzjazmu, gdy w poczuciu własnej siły przyrzekała sobie, że zatrzyma dziecko, potem hrabia je przyjmie jako swoje i wszystko będzie cudownie. Tyle że były to tylko marzenia, a ona zbliżała się do ósmego miesiąca ciąży, a dziecko nie miało ojca. Gorzej — natychmiast po porodzie będzie musiała je oddać.

Wszystko już było przygotowane i dziecko zostanie odwiezione do mieszkającej w Menton siostry madame Frenard, która przyrzekła opiekować się nim jak swoim własnym. To dobrzy ludzie, mili i zwyczajni. Mają już troje dzieci i jeszcze jedno powiększy tylko ich szczęśliwą rodzinę. Oczywiście, postara się o to, by w banku w Menton znalazła się odpowiednia suma, wystarczająca na utrzymanie całej rodziny. Jej dziecku niczego nie zabraknie. Tego była pewna.

W nieskończoność przemierzała porośle eukaliptusami i sosnami zbocze wzgórza za domem. Rozmyślała o swym życiu i równie nie chcianym jak ona sama dziecku, które znajdzie się na tym świecie tak bardzo bezradne. Gorzkimi łzami oblewała to kolejne, zrodzone bez miłości stworzenie. Ale o ciebie przynajmniej ktoś będzie się troszczyć, będziesz kochane, przyrzekała nie narodzonemu. Nawet gdybym miała nigdy więcej cię nie zobaczyć.

W maleńkiej szwajcarskiej wiosce, zawieszanej w potężnym chwycie postrzępionych szczytów, wbitych w niebo szponami białych czubków, czas płynął wolno. Czyste powietrze wczesnej jesieni ścinał przymrozek. Leonia ciepło opatulona siadywała na werandzie, by patrzeć na uganiające się między gałęziami drzew wiewiórki i karmić resztkami ze swego śniadania rudziki. Zbliżała się zima i wioska rozbrzmiewała dzwonekami krów, spędzanych przed pierwszymi śniegami z położonych wyżej pastwisk.

Twarcz Leonii odzyskała rumieńce. Jadła wszystko, co polecił lekarz i chodziła z Bébé na długie spacerunki na wzgórze za domem. Dopiero gdy zbyt ociężała ciało nie mogło już zdobyć się na taki wysiłek, jej przechadzki ograniczyły się do terenów sanatorium. Wioski unikała. Nie chciała zetknąć się z obcymi, choć była pewna, że nikogo takiego tam nie ma.

Hrabia miał prawo pisać do niej raz na miesiąc. Za każdym razem otwierała jego list niecierpliwie i zawsze był taki sam. Krótkie zapiski wyrażające nadzieję, że nabiera siły i lepiej się czuje, wraz ze stwierdzeniem, że on już się cieszy na chwilę, gdy znów będzie mógł ją zobaczyć. Zawsze też podpisywał je krótkim *Monneur*. Chodziła samotnie wzgórzami i gryzła się myślą, co też może robić w czasie jej nieobecności. Pragnęła mieć to wszystko za sobą i być z nim znowu; pewna jego miłości i przekonana, że gdy będą razem, wszystko się ułoży.

Całkiem nieoczekiwanie pod koniec ósmego miesiąca rozpoczęły się bóle. Z początku tylko uczucie tępego napięcia w plecach. Zignorowała te sygnały, ale wkrótce rozpoczęły się ostre, nie pozostawiające wątpliwości napady. Dyszała ciężko, zdumiona ich intensywnością. Dziecko najwyraźniej się zdecydowało. Tak jak ona, miało już dość czekania.

Teraz, gdy nadszedł jej czas, zaczęła się bać. Wzięła Bébé na ręce i przysiadła na werandzie, patrząc na tak swojski widok gór.

Ich ogrom działał kojąco. We właściwej perspektywie stawał to, co miało przyjsć. Śmiertelni dają życie i śmiertelni schodzą z tego świata, a góry zawsze nad nimi trwają. Akt tworzenia zdarza się każdego dnia; jest kobieta, która ma zrobić to, do czego została przeznaczona. Miała dać życie dziecku.

Podzielona na okresy ciszy i spokoju oraz chwile walki z oszalałym bólem noc ciągnęła się w nieskończoność. Nie przypuszczała, że to taki ból. Czy dziecko rzeczywiście musi walczyć o to, by opuścić jej ciało? Czy nie ma prostszego sposobu? Dryfując między skurczami i zbierając siły na następny napór bólu, straciła poczucie czasu. Chciała to znieść, nie miała zamiaru się poddać, ani z płaczem wykrzyczeć, że nie wytrzyma. Prac i dysząc przedzierała się przez wypełnioną bólem noc, aż wreszcie o świcie dziecko przyszło na świat. Usłyszała jego płacz, gdy wzięła je pielęgniarzka, i roześmiała się triumfalnie, potem opadła wyczerpana i leżała w płataninie długich, zlepionych potem włosów.

Gdy po raz pierwszy ujrzała swoją córkę, pokochała ją prawdziwą, wielką miłością.

— Proszę mi ją zostawić — błagała, podnosząc maleńkie, owinięte w kocyk jednodniowe zawiniątko, którym była Amelia. Tylko na tydzień.

— Ale pani powiedziała, madame... — Pielęgniarka patrzyła na nią bezradnie.

— Wiem, wiem, ale teraz nie mogę. Czy pani nie widzi? To najpiękniejsze dziecko na świecie! Muszę ją trochę potrzymać, napatrzeć się na nią.

Dotknęła rączki niemowlęcia i uśmiechnęła się, gdy maleńkie paluszki zacisnęły się na jej ręce z zadziwiającą siłą. Z czułością ucałowała kosmyk jasnego puchu na główce dziecka. Tak, to jej dziecko i nikt go jej nie odbierze.

Na widok lekarza, który przyszedł, by z nią porozmawiać, uniosła je obronnym gestem ze stojącej obok łóżka kołyski. Niczym przerażone zwierzę ścisnęła kurczowo dziecko, jakby bała się, że będzie siłą próbował odebrać jej córkę.

— Oczywiście, że tego nie zrobię, Leonio — rzekł lekarz miękko. — Ale czas, by zdała sobie pani sprawę ze swego położenia.

Wiem, że w tej chwili to dla pani trudne, dopiero co pani urodziła, ale musi pani pamiętać o tym, co najlepsze dla dziecka. Proszę pamiętać, dlaczego się pani tu znalazła. Decyzja należy do pani. Nikt wbrew pani woli nie odeśle dziecka. Sama pani musi to zrobić.

Minęło kilka dni. Leonia wiedziała, że lekarz miał rację. Wiadomo, że nikt jej dziecka nie odbierze i tylko ona może podjąć decyzję. A gdyby opuściła hrabiego? Wtedy mogłaby małą zatrzymać. Zmroził ją nagły strach. Tylko jakie życie dałaby swojej córce? Nieprawemu dziecku takiej kobiety jak ona? Dziecku u trzy mańki. Nie, lepiej by Amelia znalazła się w normalnej rodzinie. Wśród braci i siostr, z którymi będzie się bawić, z ojcem i matką, którzy otoczą ją miłością. Wiedziała, że nie ma wyboru.

Ale chciała nacieszyć się nią trochę. Chociaż z miesiąc. Miesiąc to przecież niezbyt wielkie żądanie. Mogłaby wziąć małą na południe, na słońce. Do zajazdu. Tam zaczyna się wiosna, będą kwitły mimozy. Dziecko będzie rosło zdrowe, pulchniutkie, na świeżym powietrzu. Tylko jeden miesiąc, obiecywała sobie. Potem madame Frenard zabierze Amelię do Menton.

29.

Hrabia chodził niespokojnie po wielkim domu przy placu Saint-Georges. Wszystko było tu nieskazitelne. Błyszczały wypolerowane stoły, lekkie srebrzyste kotary ułożone w równiutkie fałdy rozpraszały w nie używanych pokojach promienie wiosennego słońca, wystygłe paleniska czekały na ożywczy ogień.

Nie przychodził tu często. Za bardzo przypominało mu to ponury dom na wsi, gdzie jego matka ściagała swych przyjaciół, by odjeżdżając zabrać ze sobą cały blask i rozedrganie, które na krótko budziły do życia jego świat.

Tak samo czuł się teraz, gdy wchodził do pokoju Leonii. Przesunął ręką po gładkiej kremowej narzucie, dotykał poduszek przypominając sobie odcisk jej głowy i jej piękne, wspaniałe włosy. Woń jaśminu wciąż trwała w jej szafie. Spojrzał na wiszące ubrania. Kryształowa suknia, którą kupiła na wyjazd do Ameryki. Pamiętał, jak wyglądała, kiedy włożyła ją dla niego tamtego wieczoru i jak ją ukarał.

Leżał na łóżku, wpatrując się w sufit. Nie miał z nią żadnego kontaktu. Nie było już codziennych raportów, żadnych sekretnych szczegółów jej życia. Był czas, kiedy nie umiał się bez nich obejść, kiedy musiał wiedzieć wszystko i żył opętany obsesją poznania każdej minuty, gdy nie była z nim. Teraz pragnął jedynie, by wyzdrowiała. Aby żyła. Nie mógł znieść myśli, że mogłaby umrzeć.

Trudno mu było zasnąć w pokoju domu na *Ile Saint-Louis*. Czuwał i pracował tak długo, aż padał wyczerpany przy biurku. Zamknął oczy. Tu przynajmniej miał wrażenie, że jest bliżej Leonii. Czuł się spokojniejszy.

Gdy się obudził, było już ciemno, ale niewiele dał mu ten sen. Przechylił się i zsuwając nogi z łóżka, zapalił lampę. Na stojącym obok stoliku leżało kilka książek. Zapewne czytała je przed wyjazdem. Przerzucał je od niechcienia, zastanawiając się, czy nie powinien wysłać jej ich, gdy spomiędzy kartek wysunął się list i spadł na podłogę. Podniósł go, patrząc z ciekawością na pismo. Zaadresowany do niej, do zajazdu, z wrześnieją datą. Otworzył. Czytał szybko, potem jeszcze raz, powoli. Mężczyzna imieniem Charles załączał pieniądze za pokój i wyżywienie dla Frenardów, a ją nazywał boginką, piękną, dziękował jej za noc, którą dała mu z jej pięknego życia. Datowany dokładnie dwa tygodnie przed jego przyjazdem do zajazdu, kiedy powiedział, że ją kocha.

Nie, to nie był gniew. Zupełnie jakby łódź ścinała mu żyły; jakby sam wyłączał wszystkie swoje uczucia. Dopuścił do powstania szczeliny, jednego wąskiego pęknięcia w pancerzu, którym bronił się od dnia, kiedy to jego matka z taką lekkością i beztroską skazała go na życie bez siebie. Życie bez miłości. Od dnia, gdy wysłała go do szkoły, gdzie ani go nie odwiedzała, ani też nie pisała do niego. Nigdy potem nie pozwolił, by kobieta miała nad nim taką władzę. Aż do chwili, gdy spotkał Leonie.

Wsunął do kieszeni starannie złożony list. Miał niewiele poszlak. Tylko to imię. Charles. Także fakt, że był „żeglarskim rozbitkiem”, co oznaczało łódź, i to małą. Skoro wyrzuciła ją w pobliżu zajazdu, musiała być nieduża. Na przykład łódź regatowa. Czy o tej porze roku odbywają się w Monte Carlo jakieś regaty? Verronet musi to sprawdzić.

A Leonia? Co ma zrobić z Leonią? Pograżony w myślach, schodził ze schodów. Najpierw musi poznać całą historię, a potem wykona swój ruch. Ale nie pozwoli jej odejść. To wiedział.

— Miałam rację, że ją tu zabrałam, madame Frenard — powiedziała Leonia, patrząc na śpiącą w kołysce na ocienionym tarasie Amelię. — Dzięki temu widzę, jak rośnie.

Pochyliły się obie nad kołyską, przyglądając się maleńkiej jasnej buzi. Usta śpiącego dziecka zacisnęły się mocno, jakby z całą siłą skupiło się na swym śnie.

— Jest taka śliczna, Leonio. Tak samo, jak pani.

Kiedy patrzyła na nią teraz, po trzech tygodniach, musiała przyznać, że to prawda. Badała twarz córeczki, poszukując śladów jej ojca, ale niczego nie mogła znaleźć. Amelia miała blond włosy, a gdy otwierała oczy i patrzyła na świat, miały ten sam wygląd, co jej. Żółtawe, wydłużone, senne.

Maleńka ludzka istota pochłaniała Bébé całkowicie i kotka stała się jej strażniczką. Leżąc obok kołyski mruczała głośno zadowolona ze swych nowych obowiązków, a Leonia śmiała się nad jej poczuciem wagi własnego posłannictwa.

— Bébé, nie wiem, czy to ja, czy ty jesteś mamą — mówiła, podnosząc kotkę, która w odpowiedzi częstowała ją szorstkim liźnięciem w nos.

Przez ten miesiąc Leonia czuła się, jakby żyła w raju. Rozkwitający nad Morzem Śródziemnym maj przyniósł czyste niebo, ciepło promieni słonecznych i błogosławione błękitne dni stały się jednym pasmem szczęścia pielęgnowania i karmienia dziecka. Całymi dniami zafascynowana młoda matka wpatrywała się w śpiące dziecko, nocami z nieznaną sobie dotąd instynktowną czujnością podrywała się na najcichszy płacz. I Amelia rozwijała się wspaniale. Od swej pierwszej trudnej, męczącej podróży na ten świat rozkwitła do jasnowłosego, pызatego niemowlęcia, żyjącego z zadowoleniem w ramionach matki.

Leonia cieszyła się każdym dniem. Najmniejszy przyrost wagi dziecka, machnięcie drobniutkiej rączki i chwyt delikatnych paluszków — wszystko przepełniało ją uczuciem szczęścia. Był to najwspanialszy miesiąc w jej życiu i do ostatniego dnia nie chciała liczyć uciekającego czasu.

Nie było jednak odwrotu i dobrze o tym wiedziała. Także i wtedy, gdy chodząc nocą po tarasie, zastanawiała się nad sposobami zatrzymania Amelii, i gdy cierpiała w poczuciu bezradności na myśl o jej oddaniu. Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Zawsze

jednak dochodziła do punktu wyjścia. Życie z nią nie będzie dla dziecka dobre. Amelia nigdy nie będzie miała normalnego domu. Nieprawe dziecko utrzymanki. Poza tym zemsta hrabiego może być straszna. Myśl o nim nappełniała ją przerażeniem. Myślała o posiadanych przez nią posiadłościach, o domu w Paryżu, fabrykach w Lille, akcjach i udziałach w kolei. W razie potrzeby mogłaby wszystko spieniężyć i mieć możliwość utrzymania Amelii. Gdybyż to było takie proste! Kiedyś uważała, że to wszystko, co człowiekowi potrzebne dla zapewnienia poczucia bezpieczeństwa. Myślała, że wtedy życie nie stwarza żadnych problemów i nikt nie może go skrzywdzić. Okazało się jednak, że to nieprawda.

W świetle porannego słońca morze było niemal nieruchome. Leonia siedziała na tarasie z Amelią na rękach. Zapakowała już wszystkie jej rzeczy — maleńkie płaszczyki i śmieszne koszulki oraz małą różową szczotkę do jasnego puszkę jej włosów. Nie miała wyboru. Amelia zasługuje na lepszą matkę niż ona. A także prawdziwego ojca. Poza tym trzeba ją ukryć przed hrabią.

Madame Frenard stała niezdecydowanie w drzwiach. Bała się tego, co miało nastąpić.

— Jesteśmy gotowi do drogi, Leonio — powiedziała cicho.

Leonia popatrzyła na swoją córkę; na maleńką, kochaną, niewinną twarzyczkę.

— Ostami raz — wyszeptwała. — Nigdy więcej cię nie zobaczę, Amelio, ale zawsze będę cię kochać. Tak, zawsze będziesz kochana. Madame Frenard — szepnęła, podając kobiecie dziecko — to najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

Odwróciła się z kamienną twarzą. Oczy miała suche. Nie była w stanie patrzeć, jak oddalają się drogą. Mała kotka przysiadła cicho u jej stóp. Zrobiła to co zawsze, kiedy wyczuwała, że jej pani potrzebuje pociechy.

30.

Proszę cię, zatrzymaj się u mnie na trochę — nalegała Karo, chwytając Leonię za rękę, gdy jechały ze stacji w stronę placu Saint-Georges. — Powiedz mu, że nie jesteś jeszcze dość silna, by wrócić do miasta. Mogłybyśmy pojechać na wieś.

Bardzo niepokoiła się o Leonię. Nie, nie wyglądała źle. Schudła wprawdzie bardzo, ale wydawała się zdrowsza niż przed wyjazdem, a miesiąc na słońcu przywrócił kolory na jej twarzy. Przerzątał Karo wyraz rozpaczy, malujący się w jej oczach.

— Nie — powiedziała Leonia stanowczo. — Zrobię to teraz, Karo. Do końca mojego życia będę tego żałować, ale tak będzie dla Amelii najlepiej. A ja muszę z tym żyć. Monsieur jest cierpliwy i dobry, a ja go oszukałam. Tak wiele chciałabym mu powiedzieć... Tę straszną tajemnicę.

— Nawet o tym nie myśl! Zabiłby cię. Pomyśl o Amelii. Boże, gdyby on wiedział o dziecku...

Leonia nie powiadomiła hrabiego, że wraca do domu. Wiedziała tylko Karo i Marok, który teraz czekał na nią na schodach. Ujął zimne ręce Leonii, wpatrując się w jej twarz z obawą.

— Czy lokajowi wolno ucałować panią? — spytał z bladym uśmiechem.

— Ależ Marok, oczywiście, że tak. — Zrzuciła mu ręce na szyję. — Tak się cieszę, że widzę was oboje, moi kochani.

Ruszyli za nią do hallu, wymieniając spojrzenia za jej plecami.

— Czy wszystko w porządku? — wyszeptał Marok.

— Nie jestem pewna... Wygląda dobrze, ale nie będzie mogła wziąć dziecka i nigdy się z tym nie pogodzi.

Dom wyglądał tak samo jak dawniej. Nawet w świetle popołudniowego słońca salon sprawiał wrażenie teatru. Scena dla sztuki, która już jej nie interesuje, pomyślała w zadumie. Jej pokój był piękny jak zawsze; zastawiony kwiatami przez Maroka, z zapraszająco rozłożonymi na łóżku poduszkami. Mała bawialnią czekała z małą sofą, ustawioną pod otwartym na widok obsypanych liśćmi drzew oknem. Ale ona chciała znaleźć się z powrotem w zajeździe. Rozpląkała się.

— Nie płacz, Leonio — prosiła ją Karo. — Jestem z tobą. Pomogę ci... Marok także. Kochamy cię! Nie płacz, proszę cię!

— Jak mogłam to zrobić, Karo? Jak mogłam tak zagmatwać swoje życie? Teraz pragnęłabym jedynie być z Amelią.

— Rzeczywiście, chcesz tego, tylko że nie możesz tego mieć! Uwikłałaś się, to fakt, ale nie masz chyba zamiaru zrujnować życia dziecku. Musisz się wziąć w garść. Tak bywa w życiu. Zaplanowaliśmy to oszustwo i przeprowadziliśmy je. Hrabia niczego nie podejrzewa. Nie daj Bóg, abyś zdradziła swą tajemnicę! Jeśli to zrobisz, nie wiadomo, co się stanie. Leonio Bahri, czas, byś zaczęła myśleć głową, a nie sercem!

Zostawili ją, by odpoczęła i zastanowiła się. Oczywiście, Karo miała rację. Wszystko to jej wina i nie ma prawa roztkliwiać się nad sobą. Czas, by uporządkowała wreszcie swoje życie. Pomyślała o hrabi i otucha wstąpiła w jej serce. Był taki dobry, taki wyrozumiały. Naprawdę ją kocha. Czyż nie powiedział jej tego? A to przecież było wszystko, czego kiedyś pragnęła.

Raport Verroneta czekał na jego biurku. Odsunął go od siebie, chowając za stos papierów. Zajął się planami, projektami, raportami finansowymi i wiadomościami z giełdy. Teraz jednak musiał go przeczytać. Musiał się dowiedzieć. Nie było to łatwe. Verronet powiedział, że we wrześniu na wybrzeżu było wiele małych łodzi, a jedyną poszlaką było imię mężczyzny oraz ich domniemanie, iż był tam na łodzi żaglowej po to, by wziąć udział w regatach. Ale zrobił to. Osobiście, zgodnie z instrukcjami de Courmonta, udał się na rozmowy z mistrzami stocznioowymi, właścicielami łodzi oraz do organizatorów różnych zawodów. Wreszcie trafił na ślad.

Natknął się na człowieka, który pamiętał, że w czasie burzy nie było w porcie Charlesa d'Aureville'a. Zapamiętał ją szczególnie, gdyż właśnie od tamtego sztormu rozpoczął się okres złej pogody; kilka tygodni wichrów i opadów. Charles miał szczęście, że udało mu się znaleźć schronienie, i że uszedł z tej przygody z życiem.

A więc jest. Żeglarz Charles d'Aureville. Rzucił papier na biurko. Nazwisko nic mu nie mówiło. Spojrzał na adres. *Chateau d'Aureville* nad Loarą.

Chodził po gabinecie, obmyślając kolejne posunięcie. Usłyszał pukanie i w drzwiach pojawiła się uśmiechnięta Leonia.

— Właśnie myślałem o tobie — rzekł spokojnie.

— Ja też myślałam o tobie... No i jestem. Jak widzisz, wszystko w porządku.

Była wychudzona i wyglądała na zmęczoną. Nie miał pewności, o co chodzi, ale mógłby przysiąc, że się zmieniła. Pod jego rękami szczupłe, gładkie ramiona były takie same; jak dawniej pachniała świeżością i jaśminem — utonałby w tej woni. Miał chęć ją zabić.

— Tęskniłeś za mną, najdroższy? — spytała z uśmiechem.

— Wiesz, że tak. — Badał spojrzeniem jej twarz. Znów uświadomił sobie, że nie może bez niej żyć. — Lepiej się czujesz?

— O tak. Doktor Leopont powiedział, że jestem całkowicie wyleczona i przy zachowaniu pewnych ostrożności nie będzie żadnych nawrotów.

— Powiniennem zabrać cię gdzieś na wypoczynek, abyś wróciła do sił; może do twojego wspaniałego zajazdu... Ale jestem zajęty.

— Nie, nie do zajazdu... Chcę zostać tu z tobą. Zbyt długo byłam sama, monsieur. Jestem szczęśliwa, że wróciłam tu, do pana.

. Jej uśmiech otoczył go całego. To wciąż jego Leonia, powróciła do niego tamta, dawna Leonia. Wrzucił papiery do szuflady i wziął ją za rękę.

— Skończyłem na dzisiaj, Verronet — oświadczył, gdy szli razem przez hall. — Idziemy do domu.

Sam prowadził, skoncentrowany całkowicie na nowym modelu de Courmonta; granatowym, z siedzeniami z kremowej skóry. Gdy znaleźli się pod domem, ujął ją za rękę i bez słowa powiódł do jej pokoju.

Jeśli oczekiwała, że będzie czuły i delikatny, myliła się głęboko. To co z nią robił było nie tyle uprawianiem miłości, co dochodzeniem praw własności. Wypalał na jej ciele swój znak

z mroczną, gwałtowną namiętnością, która odbierała jej dech. Nie powiedział, że ją kocha. Ona również tego nie powiedziała.

Verronet zawsze dobrze się czuł na Lazurowym Wybrzeżu. Nie chodziło o słońce czy powiew morskiego wiatru, tylko o grę. Kasyno to straszna pułapka, ale jemu zawsze udawało się zatrzymać przed katastrofą. Praca dla de Courmonta miała jedną wielką zaletę: był pracodawcą nader hojnym. Zabierał każdą chwilę z życia swojego pracownika, który nigdy nie mógł powiedzieć, że jego czas należy do niego, płacił jednak dobrze, dając możliwość nieograniczonych wydatków. Jeśli trochę z tego straciło się w kasynie, nie było żmartwienia. I jeszcze coś. Przez ostatnie lata stał się czymś więcej niż tylko „prawą ręką”, zaufanym człowiekiem. Był bliżej de Courmonta niż ktokolwiek inny; to on zajmował się wszystkimi osobistymi sprawami hrabiego. Tylko on znał tajemnice i słabości de Courmonta; najskrytsze pragnienia człowieka, który stworzył sobie oficjalny wizerunek kogoś absolutnie mocnego i twardego. To, co on wiedział, zdziwiłoby wielu. Tak, siedzi sobie spokojnie i na razie zadowala się tym, co los mu przynosi. Ale przyjdzie dzień, kiedy skończy ze szpiegowaniem dla de Courmonta; nie ma zamiaru być do końca życia wysoko opłacanym lokajem. We właściwej chwili wykorzysta wszystko, co wie i zdobędzie wyższą pozycję w świecie. Będzie chodził na wszystkie przyjęcia jako gość, nie w charakterze pewnego gatunku służącego. Będzie zapraszany. I będzie miał pieniądze. De Courmont nie będzie zachwycony, gdy się przekona, że jego świat jest równy temu, który ma jakiś cwaniak.

Czuł, że sprawa tego Charlesa d'Aureville'a to coś więcej niż tylko jedna noc. Niemożliwe, by taka kobieta jak Leonia i mężczyzna przystojny jak d'Aureville poprzestali tylko na tym. De Courmont wysłał go tu z powrotem, by sprawdził, czy są jakieś podstawy do jego podejrzeń. Po raz pierwszy wydało mu się, że coś chwycił. Hrabiemu z pewnością nie spodoba się ta nowość.

Leonia, choć miała wciąż przebywać w górach Szwajcarii lecząc się z tego, na co podobno chorowała, spędziła miesiąc w zajeździe. Odkrył to całkiem przypadkowo, kiedy udał się do wsi Saint-Jean niedaleko zajazdu. W kafejce czy w sklepie można czasami wyciągnąć od miejscowych jakieś ploteczki. Drobiazgi, jak choćby to, co usłyszał w aptece. W barze upuścił szklankę na podłogę i dość

paskudnie skaleczył się w palec. Skierowano go do apteki, gdzie właściciel nałożył mu maść i plaster, dokładając nieco bezpłatnych informacji. Myśląc, że jest przypadkowym gościem, powiedział, że najlepsze obiady robią tu Frenardowie. Poza tym, skoro pani z Paryża wyjechała, pewnie znów je będą wydawać. Maleńkie sondowanie wystarczyło, by dowiedział się, że było tam też małe dziecko, właściwie niemowlę. Madame Frenard osobiście przychodziła po lek przeciwko kolce, zasypkę i inne rzeczy, potrzebne dla maleńkiego dziecka. Chociaż nic nie mówiła, wydawała się bardzo szczęśliwa. Nie wie właściwie, dlaczego.

Niemowlę! Leonia wyjechała w góry na sześć czy siedem miesięcy. Informacje zaczęły się uzupełniać i Verronet wiedział, że hrabia nie będzie zachwycony. Pisanie tego telegramu da mu niemało przyjemności. Wyobrażał sobie, jak hrabia będzie go czytał.

Na razie nie ma pośpiechu. Może przecież rozerwać się przez parę dni w kasynie, zanim rozpocznie poszukiwania dziecka. On także ma prawo do odrobiny przyjemności.

— Karo, czy to nie Verronet? Ten lokajczyk de Courmonta? — Alfons wskazał siedzącego przy długim stole człowieka, przed którym leżał stos żetonów.

— Rzeczywiście. Ale co on tu, u licha, robi? — Karo patrzyła zdumiona na mężczyznę. — Myślałam, że nie służy u boku hrabiego tylko wtedy, kiedy tamten idzie do łóżka!

— Ciekawe — mruknął zamyślony Alfons. — De Courmont jest całkowicie pochłonięty rozmowami z Amerykanami na temat swoich samochodów. Sądziłem zawsze, że Verronet to jego człowiek do specjalnych poruczeń. Potrafi błyskawicznie kojarzyć ludzi i fakty, a tego właśnie de Courmont teraz najbardziej potrzebuje. To bardzo dziwne, że ten człowiek może pozwolić sobie w tym czasie na grę w Monte Carlo.

— Myślisz, że traci pieniądze hrabiego? — Karo zaśmiała się na tę myśl. — A to by było!

— Nie sądzę. Hrabia wykorzystuje Verroneta jako swego rodzaju szpiega w interesach. On wyszukuje dla niego wszelkie

tajemnice ludzi, których kompanie hrabia chce przejąć. Jest w tej pracy bardzo dobry. Jakich tajemnic może poszukiwać tu, w Monte Carlo?

Oczy Karo rozszerzyły się. Pojęła, co ma na myśli.

— Ależ to niemożliwe, Alfonsie! Dlaczego hrabia miałby coś podejrzewać?

— Nie wiem, ale myślę, że dla dobra Leonii musimy się tego dowiedzieć.

— Co zrobimy?

— Będziemy chodzić za Verronetem.

— Przecież nas pozna. Musimy wynająć detektywa.

— Mam lepszy pomysł. Szef tutejszej policji to mój stary znajomy. Kiedyś wyświadczyłem mu przysługę i będzie zadowolony, mogąc mi się odwzajemnić.

W przyszłym tygodniu Amelia skończy pięć miesięcy, myślała Leonia, przebierając się do kolacji w apartamencie *Grand Hotelu* w Deauville. Nogi jej zbrązowieją i wzmocnią się od wylegiwania się na słońcu i znów będzie mogła wysoko nosić głowę. Jej własna twarz spojrzała na nią w odpowiedzi z lustra.

— Niedobrze, Leonio Bahri — stwierdziła twardo. — Musisz skończyć z takim myśleniem.

— Z jakim to?

Hrabia stał za nią. Nie usłyszała, jak wchodził do pokoju. Musiała powiedzieć te słowa na głos.

— Och, nic takiego...

— Dla mnie nie brzmiało to jak „nic takiego”. O czym to chcesz przestać myśleć?

— Myślałam o tobie, o tym, że znów wyjeżdżasz do Nowego Jorku. Przysiękłeś, że mnie zabierzesz, pamiętasz?

W samej rzeczy. I zabiorę cię któregoś dnia...

Nie wiedziała, co się z nim dzieje. A może to ona się zmieniła. Może wyczuwa tę jej odmianę, wie, że dziewczyna, która wróciła, nie jest tą samą, która wyjeżdżała. Rzadko gdzieś wychodzili. Niemal każdego dnia pracował do późnej nocy, poza tym spędzał czas ze swymi synami. Dziwne. Sądziła, że będzie uszczęśliwiony ponownym spotkaniem. Nie było jednak tak, jak wtedy w zajeździe,

kiedy przyjechał, by jej powiedzieć o swojej miłości. Pewnie dlatego, że trochę sobie spowszednieli... proponował, by wyjechali na parę dni do Deauville. Powiedział, że dobrze jej zrobi trochę świeżego, morskiego powietrza.

Ale Deauville nie przypominało zupełnie Lazurowego Wybrzeża. Niebo było tu równie błękitne, ale nie to łagodne, małe morze. Tu był rozkołysany ocean, którego fale unosiły się i rozbijały na ciągnących się kilometrami pustych plażach, na których zawsze wiały wiatry.

— Pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć jutrzejsze regaty — rzucił od niechcienia, pochylając się przed lustrem, by poprawić krawat.

Wspomnienie Charlesa d'Aureville'a, prowadzącego małą łódź do bezpiecznej przystani, ożyło natychmiast w jej pamięci.

— Och, nie wiem — odparła ostrożnie. — Leniuchowanie na tarasie całkowicie wystarcza mi do szczęścia. Żeglarstwo mnie nie interesuje.

— Może być ciekawie. Popatrzymy.

Poczuła za plecami jego obecność i odwróciła się. Z uśmiechem pocałowała go w policzek. Pachniał wodą po goleniu i świeżą bielizną, a ona to lubiła. Pociągający jak zawsze. Ujęła jego palce i całując, podniosła do piersi.

— Suknię sobie pognieciesz — powiedział, uwalniając się. — Spóźnimy się na kolację — dodał, ruszając do drzwi. Obiecałem Assenetom, że spotkamy się o ósmej.

Był to kolejny błękitny choć wietrzny dzień. Niebem pędziły postrzępione chmury, wiatr kręcił piaskiem ze ścieżek hotelowego ogrodu. Leonia słuchała, jak znajdujący się wśród gości żeglarze gratulują sobie świetnej pogody. To, czym tak zachwycali się żeglarze, jej zdecydowanie nie odpowiadało. Zmarszczyła się i zaczęła wycierać zasypane oczy. Nie zgodziła się oglądać z hrabią zawodów.

— Z hotelu będę widziała, jak przepływają—stwierdziła, z ulgą wymigując się od siedzenia w nieprzytulnej szalupie.

Oszklony taras dawał widok na całą zatokę. Usiadła przy stole i zamówiwszy *citron presse*, przerzucała od niechcienia program

dnia, który hrabia na odchodnym wcisnął jej w rękę. Sześć klas łodzi, ustawionych od dużych do małych. W trzeciej klasie szła *Isabelle*, prowadzona przez Charlesa d'Aureville'a.

Nazwisko wyskoczyło z zadrukowanej stronicy, jakby świeciło czerwienią. Charles d'Aureville jest tutaj! Co robić? A jeżeli się spotkają? Możliwe, że zatrzymał się w tym hotelu. Mogą się natknąć na siebie na promenadzie czy w restauracji, a on przyjdzie zdumiony, co robi tu mała pokojóweczka z zajazdu. Musi wyjechać. Powie, że powietrze tutaj nie jest dla niej za dobre, że zbyt silny wiatr utrudnia jej oddychanie. Musi stąd uciec.

Czy to możliwe, by monsieur wiedział? Nagła myśl poraziła ją jak błyskawica. Czy to nie dziwne, że przyjechali tu w czasie regat, gdy jest tu Charles? Ale też równie dobrze mogli udać się do Monte Carlo i Charles znalazłby się tam, by wziąć udział w regatach. O tej porze roku organizują je wszystkie kurorty. Nie, to z pewnością przypadek. W jaki sposób monsieur miałby się dowiedzieć? To niemożliwe. Ale myśl nie dawała jej spokoju.

Zawody były w toku. Leonia widziała, jak łodzie z wydymającymi się na wietrze żaglami ślizgają się na wzburzonej ołowianej wodzie. Obserwowała je przez chwilę, zastanawiając się, czy jest wśród nich *Isabelle*. Wspominała noc, kiedy Charles wpłynął w jej życie na grzbiecie sztormu.

De Courmont przygotował lornetkę i nastawił ostrość na *Isabelle*. Patrzył na ujętego w ramki szkieł rywala. Przystojny młody człowiek przygotowywał takielunek i uśmiechał się zachęcająco do załoganta, którego wziął w Deauville, kiedy jego człowiek nieoczekiwanie zachorował. Z pewnością jest doskonałym żeglarzem, pomyślał hrabia i opuścił szkła. Mała łódź zaczęła się przebijając przez wiry za zatokę, by dołączyć do swojej klasy.

To, co zobaczył, wystarczyło mu. Wrócił do baru i zamówił dużą whisky. Pił szybko dużymi łykami. Natychmiast zamówił następną. Wziął szklanekę i teraz sączył alkohol powoli, wbrew samemu sobie wpatrując się w widok za oknem. Małe łodzie nadal tam były. Patrzył na mknące radośnie z wiatrem stateczki, po czym wyszedł, by odszukać Leonie.

31.

Edward d'Aureville stał na drewnianym nabrzeżu splawu kauczuku Oro Velho i z niepokojem spoglądał na piętrzące się groźnie nad szeroka, spokojną wstęgą rzeki Tapajoz ołowiane chmury.

— Jeszcze tylko kilka dni — powiedział. — To wszystko, czego nam trzeba, by załadować go i wysłać do Santarém.

Ostatnim jego słowom towarzyszył przetaczający się w oddali pomruk grzmotu. Wyglądało na to, że pora deszczowa rozpocznie się w tym roku wcześniej, a dla nich oznaczało to koniec roboty. Wczesna pora deszczowa to stracone pieniądze. Westchnął zgnębiony. Z dżunglą nie sposób wygrać, zawsze ma ostatnie słowo. Każdego ranka wyrabują przez nią szlak, a w nocy zarasta znowu, skrywając drzewa kauczukowe pod zaroślami i lianami, które spoceni ludzie znów wycinają przed świtem, krzątając się w świetle przymocowanych do głów naftowych lamp.

Robotnicy ciągnęli wielkie, dwustufuntowe kule kauczuku na pasach i układali w ładowni szalupy, przygotowując do splawienia do Santarém przy ujściu Tapajoz do Amazonki, gdzie miały być przeładowane na parowiec do Manaus, skąd dalej do Europy lub Ameryki. Ta praca oznaczała konieczność spędzenia w Amazonii sześciu miesięcy. Konieczność znoszenia jej pozbawiającej człowieka odwagi wysokiej, zielonej ciszy, znoszenia wilgoci i zjadliwie tnących owadów, przyjmowania wyniszczającej chininy dla zapobiegania malarii i żółtej febrze. Także chronienia się przed rzecz-

nymi piratami, którzy zabijali, by przejąć dobry ładunek, oraz nadzorowanie ściąganych ze spalonej sawanny Ceara robotników, którzy pracowali od świtu do nocy, by potem upajać się szaleństwem walki na maczety.

To było brutalne, twarde życie i po sześciu miesiącach Edward czuł się równie wyczerpany, jak jego robotnicy. Pragnął cywilizacji, dobrego jedzenia, wina, kobiet, zabawy.

— Chciałbym już być w Manaus — odezwał się do swego wspólnika, Wiła Harcourta.

— Jeszcze by nie—przytaknął Wil.—Jedyną dobrą stroną tych sześciu miesięcy w dżungli jest to, że ceny na kauczuk od naszego ostatniego transportu poszły w górę pewnie ze dwadzieścia razy. To czarne złoto Amazonii. Będziemy milionerami, Edwardzie.

— Jeśli deszcz do nas nie dojdzie, przygotowujemy następne pół tony. Ludzie będą pracować do **ostatniej** minuty.

— W porządku, ale nie przeciągajmy zbyt długo. Nie chcę, by burza nas zaskoczyła.

Edward ruszył przez teren obozu do szopy, gdzie prowadzono wulkanizację. Zmarszczył się na piekący odór lateksu, bulgocącego w kotłach nad kopącymi ogniskami. Ludzie miesili gęstniejącą masę piętnastostopowymi wiosłami i obracali je lekko uniesione, aż tworzyły się na nich potężne czarne kule kauczuku. Pot lał się im po plecach, gdy oceniali wagę i sprawdzali zmętniałymi od dymu oczami, ile jeszcze trzeba.

Przeszedł obok bezładnie pobudowanych chałup robotników i skierował się do największej. Ustawiona na palach, z wychodzącą na rzekę chwiejącą się weranda, stanowiła to, co nazywali obaj ironicznie swym domem. Termity zjadały pale i cała nędzna konstrukcja chwiała się, niebezpiecznie przechylona; wszystkie deski były objedzone. Pod palmową strzechą zagnieździły się drobne małe węże i gdy tylko je widzieli, strzelali do nich z karabinów. W domu mieli jedynie dwa żelazne łóżka, kilka dodatkowych hamaków dla gości oraz drewniany stół i kilka krzeseł na stanowiącej połączenie jadalni z bawialnią werandzie. Otworzył butelkę i nalał sobie piwa. Skrzywił się z obrzydzeniem. Było ciepło. Królestwo za zimne piwo i gorącą kąpiel! I kobietę. Czas wracać do Manaus i odrobić zaległości.

Majająca bliskość równika cięła Manaus ostrym nożem skwaru, który odbierał im dech i oblewał żarem, gdy szli *Marashal Deodoro* do Izby Handlowej. Przed skorzystaniem z wygód *Hotel Centrale* musieli sprawdzić, jak kształtują się światowe ceny kauczuku. Wyłożony niebieskimi kafelkami dom pełen był właścicielami drobnych ładunków oraz magnatów kauczukowych, którzy całkiem niedawno zrobili oszałamiające majątki na „czarnym złocie”.

— Musimy to uczcić — rzekł rozpromieniony Edward. — Najpierw kąpiel, golenie, pošlemy do *Atelier Simmons* po nowe koszule, a potem kolacja z butelką szampana. Może nawet kilkoma.

— Natychmiast wyciągniemy kufrы panów z magazynu — przyrzekł dyrektor hotelu, gdzie dobrze ich znano. — A człowiek z *Atelier* wkrótce tu będzie.

Szeroka, długa porcelanowa wanna pozwalała pławić się rozkosznie w parującej wodzie. Hotelowy fryzjer przykrył im twarze gorącymi ręcznikami i ogoliwszy dokładnie czystymi, gładkimi posunięciami brzytwy, wklepał im w twarze odświeżającą wodę kolońską. Ekspedient od *Simmons*a przyniósł nowe koszule, a służący odprasował białe płócienne garnitury. Białe zamszowe pantofle i lekkie panamy dopełniły ich stroju i mogli już podziwiać się w lustrze. Krzepki, brodaty Wil i szczupły, opalony Edward uśmiechnięci szeroko otwierali drzwi, kierując się ku uciechom Manaus.

Porządnie wybrukowane ulice były puste. W świetle lamp ulicznych biły fontanny, kopuła gmachu opery jaśniała, odbijając blask księżyca. W kawiarniach i restauracjach eleganckie kobiety obnosiły ostatnie kreacje z Paryża i biżuterię od *Cartiera*, a nienagannie ubrani mężczyźni — portfele z grubymi plikami banknotów. Zielony elektryczny tramwaj przewoził ludzi przez nowe miasto aż do końca, gdzie wybrukowane ulice spotykały się z dżunglą.

— Zarezerwowałem stolik w *Montmartre* — powiedział Edward — a potem... Noc będzie nasza.

Byli w doskonałych nastrojach. Uwolnili się od lasu, na kauczuku zrobili pieniądze. Świat należał do nich.

— A, byłbym zapomniiał — rzekł Wil. — Odebrałem dzisiaj w telegrafii. Czekał na ciebie najwyraźniej od kilku dni, więc myślę, że nic pilnego.

— Telegram? — Edward obrócił papier w reku. — Z Francji?

Czytał szybko, potem raz jeszcze, nie dowierzając. „Z żalem zawiadamiamy, że pański brat, Charles, zginął w wypadku na morzu... proszę wracać natychmiast”. Podpisał prawnik rodziny.

Niepomny na tłum, wybuchy śmiechu, gwar i muzykę dobiegającą z kawiarni, patrzył na telegram ze zbielełą twarzą. Wilgotność rozprażonej nocy była taka, że niemal dała się dotknąć, a on trząśł się w strasznym, lodowatym chłodzie śmierci Charles a. Jego mały braciszek; energiczny młody mężczyzna, doświadczony żeglarz, zginął w wypadku na łodzi! Nie mógł w to uwierzyć. To nie może być prawda.

Wil wyjął papier z zeszywniałych rąk Edwarda.

— Boże! — szepnął. — Bardzo ci współczuję.

— Muszę jechać do domu — powiedział Edward z twarzą stężoną od bólu. — Matka została sama. Jestem jej potrzebny.

32.

Marok — zawołała Karo. — Będziesz mi potrzebny.

Biegła na górę do pokoju Leonii, a on prowadził ją wzrokiem zaskoczony, nie rozumiejąc, co się dzieje. Monsieur wyjechał znów do Nowego Jorku i Leonia siedziała sama w domu, pokonana. Nikogo nie przyjmowała.

Pospieszył za Karo do bawialni i zamknął za sobą drzwi. Ostry jesienny wiatr zrywał na placu liście z drzew, a on znów zobaczył siedzącego na ławce mężczyznę z gazetą. Był tu zawsze. Czekał.

— Leonio, mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego i chcę, by Marok był przy tym, ponieważ będzie nam potrzebna wszelka możliwa pomoc.

— O co chodzi, Karo? — spytała zaniepokojona Leonia.

— Po pierwsze, muszę ci zakomunikować, że hrabia wie o Charlesie d'Aureville'u. Kiedy byliśmy z Alfonsem w Monte Carlo, zobaczyliśmy w kasynie Verroneta. Alfons uznał za dziwne, że ten człowiek nie tkwi u boku hrabiego w czasie, gdy z pewnością był mu potrzebny w interesach. Jego pobyt w Monte Carlo musiał być związany z ważniejszymi sprawami. On tam był jako szpicel, Leonio. Coś musiało wywołać podejrzenie hrabiego i w jakiś sposób wpadł na ślad, a Verronet wykrył resztę.

— Jak mógł się dowiedzieć, zastanawiała się gorączkowo Leonia. Co wzbudziło jego podejrzenia? Na pewno list. Kiedy gdzieś

się zawieruszył, pomyślała, że zostawiła go w zajeździe. O Boże, dziecko!

— Karo... więc... Czy on wie o Amelii?

Karo ujęła jej rękę ze współczuciem.

— W takiej małej społeczności niełatwo ukryć maleńkie dziecko. Wszyscy wiedzieli o przebywającej u Frenardów pani z Paryża. Wiedzieli też, że było tam również niemowlę. On nie wie tylko, gdzie ona jest.

Oparty o drzwi Marok patrzył z założonymi rękami na kobiety, zastanawiając się, co teraz zrobią.

— Boję się, Karo. Jeśli monsieur znajdzie Amelię, wywiezie ją i ukryje przede mną.

— Leonio, to nie wszystko. Charles d'Aureville nie żyje.

Marok wciągnął gwałtownie powietrze. Z twarzy Leonii uciekła wszystka krew, w zaszokowanych oczach pojawiła się pustka.

— Nie żyje? — wyszeptala z niedowierzaniem. — Ale jak zmarł?

— Miesiąc temu utonął w Deauville.

— Przecież ja tam byłam... Byłam w Deauville, Karo. Widziałam jego nazwisko na liście zawodników regat. Miał płynąć na *Isabelle*, tej samej łodzi, którą przyplłynął w noc sztormu.

— Byłaś tam? — Karo chwyciła ją za ramię. — Z hrabią?

— Tak, mówiłam ci... Chciał zabrać mnie z Paryża na kilka dni. Charles nie mógł się utopić... Widziałam jak prowadził łódź w czasie burzy. Był doświadczonym żeglarzem.

— Alfons wykrył, jak to się stało. Załogant Charlesa zachorował tuż przed samymi regatami i Charles wziął w porcie nowego człowieka. Nie należał do miejscowych, chyba nikt go nie znał. *Isabelle* wyszła wraz z innymi i w pewnym momencie niemal przewróciła się do góry dnem. Jego załogant powrócił sam. Powiedział, że Charles upadł pod naporem naglej zmiany wiatru i wypadł za burtę. Wyrzucił mu linę, ale Charles był prawdopodobnie oszołomiony i zaczął tonać. Skoczył za nim i próbował go wyciągnąć, ale nie dał rady, bo morze było bardzo wzburzone. Charles wysliznął mu się z rak. Następnego dnia ciało zostało wyrzucone na plaży pięć mil dalej. Charles miał pękniętą czaszkę, jak od silnego uderzenia w tył głowy. Koroner stwierdził, że prawdopodobnie uderzył się spadając, dlatego nie można go było uratować.

Leonia i Marok patrzyli na nią przerażeni.

— Alfons ustalił coś jeszcze, Leonio... Dochodzenie odbyło się tego samego dnia. Normalnie takie sprawy trwają tydzień, a nawet dłużej. Natychmiast też odesłano ciało rodzinie w zaplombowanej trumnie. Charles był lubiany, miał wielu przyjaciół i wśród żeglarzy chodziły różne słuchy. Podejrzewano obcego załoganta. Ten człowiek zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Ich oczy spotkały się.

— Nie myślisz chyba, że monsieur... — głos uwiązał Leonii w gardle.

— A ty, Leonio? Jak myślisz, czy hrabia miał z tym coś wspólnego?

Przypomniała sobie Charlesa. Piękny, młody Charles, żywy, kochający, oddający jej swe młode ciało i swój cudowny świat. Jedna noc miłości i on nie żyje. Poraziło ją opętanie hrabiego. To już nie rozgrywka. Ten człowiek jest zdolny do wszystkiego, nawet do zabójstwa. A jeśli zabił Charlesa, zabije też Amelię. Nie zniesie myśli o istnieniu dziecka innego mężczyzny.

— Tak — potwierdziła. — Monsieur go zabił. Jestem tego pewna.

Karo poczuła słabość w nogach. Wiedziała, że to prawda. Wiedziała od chwili, gdy Alfons jej powiedział. Ale co teraz? Czy ma zamiar zabić też i Leonię?

Po twarzy Leonii potoczyły się łzy udręki i gniewu; w gardle paliła ją gorzycz.

— Musimy zabrać Amelię, Karo. Teraz jestem pewna, że jeśli ją znajdzie, zabije.

— Ja pojedę — zaofiarował się Marok — i zabiorę twoje dziecko. — Ty nie możesz tego zrobić; szpicel hrabiego czeka cały czas.

— A potem? — spytała Karo. — Co z nią zrobimy? Pamiętaj Leonio, że Amelia przebywa u tej rodziny od pięciu miesięcy i ta kobieta stała się jej matką. Czy powinniśmy ją stamtąd zabierać?

Leonia milczała oszołomiona. Co ma począć? Gdzie ma ukryć swe dziecko? Gdzie Amelia będzie bezpieczna przed hrabią? Och, Charles! Drogi, kochany Charles! Co mamy robić? Pamiętała opowieści z jego dzieciństwa; o cudownych, swobodnie spędzanych dniach na zamku i wspañiałym starszym bracie. Co jej o nim

powiedział? W Edwardzie jest taka wrażliwość —niezwykła u mężczyzny — że możesz mu zawierzyć wszystko. Edward, brat, który go kochał! Z pewnością pokocha też i dziecko. Ależ tak, to jest rozwiązanie. Wyślę Amelię do Brazylii, do Edwarda d'Aureville'a. Tam monsieur nie znajdzie jej w żaden sposób. Będzie z rodziną swego ojca, tam gdzie jest jej miejsce.

Karo i Marok patrzyli na nią w osłupieniu. Chyba oszalała.

— Ale jak, Leonio? Przecież oni nawet nie wiedzą o jej istnieniu!

— Powiem im. Pojadę do *Chateau d'Aureville* i pomówię z matką Charlesa. To przecież babka Amelii. Powiem jej całą prawdę i będę błagać, by zabrała dziecko do Brazylii, do Edwarda. — Jej mózg pracował szybko, poganiany strachem i koniecznością obrony dziecka. — Marok, pojedziesz do zajazdu i wyjaśnisz sytuację Frenardowi. Niech cię zabierze do Menton, gdzie trzymają Amelię. Wyjeżdżam natychmiast do Tours. Tam na ciebie poczekam. Karo, będziesz musiała odciągnąć jakoś stąd tego szpicla, abym mogła uciec. Ale musimy działać szybko. Kto wie, jakie plany ma monsieur. Verronet mógłby znaleźć się tam przed nami. Karo, musimy się spieszyć!

— Alfons pojedzie z tobą. Potrzebne ci będzie wsparcie u rodziny d'Aureville. Tylko czy wzięłaś pod uwagę, że mogą ci nie uwierzyć, iż to dziecko Charlesa i nie chcesz jej wziąć?

— Edward d'Aureville uwierzy —odparła krótko. —Uwierzy, jak mu powiem, co Charles mi o nim mówił. Że potrafi zrozumieć wszystko, nawet najmroczniejsze tajemnice... Ten człowiek rozumie.

Szary człowiek chwycił błysk jasnych włosów, gdy biegnąca przez podwórze kobieta wskoczyła do czekającej na nią dorożki. Poderwał się na równe nogi i klnąc, rzucił się przez plac, by za nią gonić. Nie spodziewał się, że tak wybiegnie. Zupełnie jakby przed kimś uciekała. Najwyraźniej coś knuje.

Marok patrzył za nim jeszcze przez chwile, po czym pospieszył do domu. Chwycił czekające już spakowane torby i przeniósł je z hallu do wyjścia z tyłu domu. Wyglądał niecierpliwie na dorożkę. Leonia, ubrana w nie rzucający się w oczy ciemny płaszcz i z włosami owiniętymi szalem, wsiadła.

— Nie martw się — rzekł cicho, gdy pochyliła się, by go pocałować. — Przywiozę ją. Odzyskasz swoje dziecko, Leonio.

— Och, Marok, dlaczego byłam taka głupia? Dlaczego nie zdawałam sobie sprawy, że on się do tego posunie? To moja wina. Charles nie żyje z mojego powodu, a teraz Amelia jest w niebezpieczeństwie.

— To jego szaleństwo, nie twoje, Leonio. Od lat usiłuje panować nad twoim życiem, a ja przecież widzę, jak to robi, manewrując i grając z toba, szpiegując cię. Jego namiętność stała się opętaniem, a teraz szaleństwem i zbrodnią.

— Nigdy nie dostanie Amelii — wyszeptwała, odchylając się na oparcie z drżeniem. — Nigdy! Prędzej go zabiję!

Drgnęła przestraszona, gdy Bébé wskoczyła na miejsce obok niej z przeszywającym skowytom. — Och, Bébé, po raz pierwszy zapomniałam o tobie — powiedziała, a jej łzy spadły na miękkie futerko.

Zatroskany Marok patrzył przez chwilę w ślad za dorożką. Udawała się między dawnymi stajniami na tyłach ich domu okrężną drogą na południe, do małego hotelu nad rzeką, gdzie czekał na Leonie Alfons. Wskoczył do drugiej dorożki i ruszył na stację, by wsiąść do pociągu jadącego do Nicei. Modlił się, by udało mu się zdażyć przed Verronetem. Jeśli nie, nigdy nie zdoła spojrzeć w twarz Leonii.

Mężczyzna przemierzał chodnik przed domem Karo niecierpliwie. Nogi mu zmarzły; czekał tu już ponad cztery godziny, a ona wciąż tam siedziała w oczekiwaniu swojej przyjaciółki. Nie wyszła jeszcze, tego był pewien. Wyszedł tylko mężczyzna i nie wyglądało na to, by miał coś ważnego do załatwienia. Po prostu szedł sobie zwyczajnie ulicą. Mężczyzna zaczął chuchać w ręce. Chciał coś zjeść, ale doszedł do wniosku, że lepiej poczekać i sprawdzić, co się stało. Może jednak nie zaszkodzi, jeśli pójdzie do kawiarni po drugiej stronie. Sprawiała wrażenie przytulnej, a lampka koniaku na pewno go rozgrzeje.

Karo obserwowała go z okna. Dzięki Bogu, udało się. Maja teraz co najmniej trzy godziny przewagi. Idzie do kawiarni. W porządku. Jest w takim razie przekonany, że Leonia wciąż tu

jest. Na pewno zje jakąś kolację, a potem połazi jeszcze trochę, by się przekonać, że ją zgubił. Wróci na plac Saint-Georges i tam będzie czekał. Może cały dzień upłynie, nim zrozumie, że mu się wymknęła.

Leonia czekała niecierpliwie na jedenastą, wyznaczoną godzinę spotkania. Ubiegłego wieczoru, natychmiast po przybyciu, wysłała list do hrabiny d'Aureville z prośbą, by ją przyjęła. Napisała, że ma ważne sprawy, wymagające osobistego spotkania. W odpowiedzi otrzymała zaproszenie do zamku na jedenastą następnego dnia.

Teraz już wiedziała, że nie poradziłyby sobie bez Alfonsa. Był niczym skała. Myślał logicznie i rozsądnie, podczas gdy jej działaniami kierowały emocje. Ku jej zaskoczeniu nie odwołał jej od zamiaru spotkania się z hrabiną.

— Jeśli sądzisz, że to jest dobre dla Amelii, musisz to zrobić — powiedział. — Ale pamiętaj, że może nie uwierzyć, że to jej wnuczka. Dopiero co straciła syna, Leonio, i może uznać twoją wizytę za próbę oszustwa.

— Ale dlaczego? Dlaczego miałyby tak myśleć? Nie proszę przecież o pieniądze. Dam jej tyle, ile będzie trzeba. Chcę tylko, by wysłała moje dziecko do Brazylii, uratowała przed szaleństwem tego człowieka.

Uzgodnili, że nawet jednym słowem nie wspomną o osobie de Courmonta, ani też o jego udziale w śmierci Charlesa.

— Nie mamy dowodów — zauważył Alfons. — Poza tym przyczynilibyśmy jej tylko więcej bólu. Na razie wszystko musi zostać tak jak jest.

Leonia spojrzała na zegar. Dopiero siódma. Miała za sobą długą, bezsenłą noc. Jedną z najczarniejszych nocy jej życia. Leżała z oddychającą cicho obok Bébé i zastanawiała się, co robi Marok. Myślała, czy wyjechał już do Menton, modląc się jednocześnie, by Verronet nie wpadł na ślad. Wspominała tamten dzień w Deauville, gdy siedziała na tarasie, obserwując przepływające przez zatokę łodzie i zastanawiała się, która z nich należy do Charlesa. A potem monsieur wpadł do ich apartamentu, zaniósł ją do łóżka i wziął z szaleństwem namiętności ich pierwszych dni. Boże, zapłakała w noc. Potwór, po prostu potwór. Och, Charles, to moje życie powinien wziąć, nie twoje!

33.

Hrabina Izabella d'Aureville przechadzała się po południowym tarasie zamku, rozkoszując się nieoczekiwanym ciepłem październikowego słońca. Tu i ówdzie przystawała, by przejrzeć swe rośliny i wyciąć ostatnie zwiędłe róże. Nadal była piękną kobietą, choć wydarzenia ostatnich kilku lat — śmierć męża a teraz syna — wycisnęły na niej swe piętno. Gęste miedziane włosy poprzetykane były srebrnymi pasmami, wokół pięknych oczu znaczyły się zmarszczki. Uśmiechała się też rzadziej.

Pokryte patyną wieków kamienne mury zamku stały tu już od ponad trzystu lat. Stara budowla emanowała nastrojem i atmosferą życia i zmian wielu pokoleń rodziny d'Aureville'ów, które sprawiły, że dziś stanowiła cudowny, nieregularnych kształtów dom. Pokochała go już w chwili, gdy przybyła tu jako osiemnastoletnia panna młoda.

Postawiła ogrodowy kosz za sobą i zasiadła na rzeźbionej drewnianej ławce. Zapatrzyła się w park za trawnikami. Słońce migotało na wodach fosy i mogła dostrzec łagodnie kołyszące się na niej łabędzie i dzikie kaczki. Wszystko było takie spokojne. Charles zawsze lubił jesień; zapach dymu z palonych ognisk i ostre powietrze poranków... Musi przestać o tym myśleć. Nie ma sensu. To zbyt bolesne, by rozpamiętywać. Był tak żywotny, tak pełen energii, a teraz, zupełnie nieoczekiwanie, nic nie zostało.

Odwróciła głowę i zobaczyła Edwarda. Szedł ku niej, machając ręką. Dzięki Bogu, że choć on jest. Tak, nadal go ma, chociaż nie na długo. Wie, gdzie jest pochowany Charles i wkrótce wybiera się do Brazylii. Ma swoje życie, a ona zostanie zupełnie sama w tym wielkim domu. Z nagłym bólem wspomniała, jaki kiedyś był pełen przyjaciół Charlesa.

— Dzień dobry, maman.

Pocałował ją, a ona spojrzała na starszego syna z miłością. Przy ciemnej opaleniznie szare oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze, niemal przezryste w świetle słońca. Odziedziczone po niej włosy spadały mu miedzianymi falami na brwi. Przypomniała sobie uroczego sześciolatka, który wypuścił się na swą pierwszą „wyprawę” i uśmiechnęła się do przystojnego młodego mężczyzny. Tylko ona wiedziała, jak bardzo kochał Charlesa i jak załamała go jego śmierć. Tylko ona widziała jego łzy.

— O czym myślisz? — spytał, obejmując ją ramieniem.

— Zastanawiam się, co będę tu robić sama. Może powinnam kupić małą willę gdzieś na południu, albo chociażby mieszkanie w Paryżu. Nie sędzę, bym mogła wytrzymać tutaj teraz, gdy nikogo z was tu już nie będzie.

Popatrzył na nią zatroskany.

— A może pojechałabyś ze mną do Brazylii? Nie do Manaus, tylko do Rio. Luiza i Francisco będą szczęśliwi, mogąc się gościć. Francisco do Santos nigdy cię nie zapomniał, choć przypuszczam, że wciąż myśli o tobie, jak o pięknej siedemnastoletniej dziewczynie, którą znał wiele lat temu.

— Nie wiem, Edwardzie. — Zaśmiała się. — Nie wiem, co chcę robić.

— Nie ma pośpiechu. Zostanę tu tak długo, jak długo będę ci potrzebny. Powiedz mi, kim jest ta tajemnicza kobieta, która tak natarczywie domaga się spotkania z tobą.

— Nie mam pojęcia. Nazywa się Leonia Bahri i jest z panem Alfonsem de Bergerac.

— Ciekawe, czego mogą chcieć. — Edward zmarszczył brwi.

— Wkrótce się dowiemy — powiedziała, podnosząc koszyk. — Lada chwila się zjawia.

— To nie jest łatwe, Alfonsie. — Leonia ścisnęła nerwowo jego rękę.

— Chcesz się wycofać?

— Och, nie... Muszę się z nią zobaczyć.

— W takim razie wchodzimy. Nie martw się, pomogę ci. Jestem tu po to, by potwierdzić twoje opowiadanie. Uwierz mi.

Izabella d'Aureville szła im naprzeciw uśmiechając się.

— Proszę usiąść — powiedziała uprzejmie, gdy dokonano prezentacji. — Bardzo jestem zaintrygowana tym, co panią do mnie sprowadza.

— Chodzi o pani syna, pani hrabino. O Charlesa... Bardzo pani współczuję! nie jestem nawet w stanie wyrazić, jak bardzo mi żal.

— Oczywiście, moja droga.

Czego może chcieć ta piękna dziewczyna? Jest wyraźnie zdenerwowana. Spojrzała pytająco na stojącego za nią mężczyznę, ale nic nie powiedział.

Edward wszedł do pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi. Siedząca obok jego matki kobieta zwrócona była do niego plecami. Zobaczył wspaniałe włosy i atlasową skórę na karku oraz długą, subtelną linię pleców.

— Znałam Charlesa — mówiła. — Niezbyt długo, ale... No cóż... byliśmy kochankami, madame — wyrzuciła gwałtownie.

Edward słuchał, oparty o drzwi. Matka wyglądała na zdziwioną, ale nie zaskoczoną. Czemu miałyby się dziwić? Charles był interesującym młodym mężczyzną i z całą pewnością miał kochanki. Ale czego ona może chcieć? Nie sprawiała wrażenia osoby przybywającej prosić o pieniądze, a towarzyszący jej mężczyzna wyglądał na człowieka cieszącego się powszechnym szacunkiem. Czy jest teraz jej kochankiem? Nie wiedzieć czemu, Edward był przekonany, że nie.

— Madame, nie chciałabym pani denerwować, i w innych okolicznościach nigdy bym do pani nie przyszła, ale... jest dziecko.

Dziecko? Czy ona ma na myśli dziecko Charlesa? Czy to prawda? Edward spojrzął na matkę. Z zaciśniętych na oparciu fotela rąk widział, że jest zaszokowana. Przeszedł przez pokój i stanął za nią.

— Jestem Edward d'Aureville — zaczął, patrząc w oczy Leonii. — Nim pani odejdzie, pragnę przypomnieć, że mój brat

niedawno zginał. Moja matka jest bardzo zgnębiona i nie jest w stanie znieść więcej cierpień.

— Edward... To pan!

Zamilkł zaskoczony.

— Ja właśnie przyjechałam tu z powodu pana. Charles opowiadał mi o panu. Mówił, że panu może wszystko powiedzieć, powierzyć wszystkie swoje tajemnice... Że pan zawsze go rozumiał. Dlatego właśnie byłam pewna, że mogę panu zaufać i powierzyć moją Amelię.

— Kochanie — przerwała hrabina. — Gdzie jest dziecko?

— Wkrótce tu będzie. Pani nie wie... Chciałabym, by pani ją wzięła. Daję ją pani... To pani wnuczka. — Odwróciła się do Edwarda, a w jej oczach malowała się rozpacz. — To pana bratanica... Ona jest częścią Charlesa. I ona pana potrzebuje.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli wszystko wytłumaczę — wtrącił się Alfons. — To dziwaczna historia i uważam, że nie ma powodu, by gmatwać ją szczegółami. Leonia i Charles byli krótko kochankami i chociaż Charles nic o tym nie wiedział, z ich związku urodziła się córka, Amelia. Ich spotkanie było... przypadkowe. Leonia w tym czasie była związana z innym mężczyzną. To człowiek bardzo zazdrosny, zdolny do wszystkiego. Leonia postanowiła ukryć przed nim urodzenie dziecka i Amelia została przekazana na wychowanie rodzinie na południowym wybrzeżu. On jednak w jakiś sposób dowiedział się o dziecku, a my czujemy, że stanowi dla niego zagrożenie. Zazdrość może temu człowiekowi odebrać rozum. Mówiąc krótko, Amelia znajduje się w niebezpieczeństwie. Leonia chce uratować córkę, dlatego przybyła tu, by prosić panią o wzięcie dziecka, a ściśle mówiąc — o wywiezienie go z kraju. Do Brazylii. Oczywiście, nie chodzi o pieniądze. Przekaze pani sumę, odpowiednią pani zdaniem na utrzymanie dziecka. A gdy już odda pani dziecko, nigdy nie wystąpi o zwrócenie go. To jedyny sposób zapewnienia mu bezpieczeństwa.

W jego słowach dźwięczała prawda i Leonia dziękowała Bogu, że Alfons z nią przyjechał. Bez niego wydalaby się tu jedynie jakąś rozhisteryzowaną kobietą, oszalałą po śmierci kochanka. Alfons był taki zrównoważony i chłodny. Jemu muszą uwierzyć.

— Ale ja muszę ją zobaczyć. — Oczy hrabiny napełniły się łzami i Leonia przyklekła przy jej fotelu.

— Madame, musiałam oddać dziecko, kiedy miało zaledwie miesiąc. Od tamtej pory nie widziałam córki. Wkrótce tu będzie i zobaczę ją jeszcze ten jeden raz, a potem powierzę ją pani... Pani musi ją wziąć! Jeśli nie, nie wiem, co pocznę.

— Chce pani powiedzieć, że pani kochanek zabije dziecko? — spytał z niedowierzaniem Edward. Ich oczy spotkały się.

— Nie jest już moim kochankiem. Tak, on ją zabije. Może mi pan wierzyć.

Wieczorne mgły zaczęły się podnosić. Edward i Leonia szli powoli nad rzeką. Milczeli. Lawina słów uspokoiła się, kobieta nie płakała już. Czuł, że się wyciszyła, że sprawiło jej ulgę to, że mogła mu opowiedzieć swoje dzieje. Mówiła o Charlesie, jej rozbitku i o „monsieur”, jej kochanku i o ich dziwnym związku. Spacerowali nad rzeką kilka godzin. Niczego nie pominęła; lub prawie niczego. Tajemnica śmierci Charlesa. To nie takie proste; uderzony przez wiatr i zmyty na burtę we wzburzone morze. Warunki do żeglugi były doskonałe. Edward rozmawiał z jego kolegami, a oni mówili o pośpiesznej sekcji zwłok oraz o zniknięciu załoganta, którego nikt nie znał. Mówili też o pęknięciu czaszki — jak od mocnego ciosu. Charles nie żył już prawdopodobnie, nim poszedł pod wodę. Niektórzy uważali, że ten człowiek go zamordował. Ale dlaczego? Jaki mógł być motyw? Cóż, teraz go ma. Charles był kochankiem Leonii, a ona była związana z zazdrosnym człowiekiem, człowiekiem tak złym, by mógł zabić jej dziecko.

— A teraz niech mi pani powie, co właściwie stało się z Charlesem — powiedział cicho.

— O czym pan mówi? — Leonia zatrzymała się zaskoczona.

— Czy to „monsieur” go zabił? — Jego oczy żądały całej prawdy.

— Nie mamy na to dowodów — odparła.

— Ale?

— Tak, jestem przekonana, że to on zabił Charlesa. Dlatego też myślę, że będzie próbował zabić Amelię.

Choć pytał ją o to, nie był przygotowany na te słowa. Jego kochany braciszek. Chłopiec, którego uczył żeglować i pływać, zabity przez strasznego kochanka tej kobiety.

— Gdzie on jest? Doprowadzę do konfrontacji! Zdobędę dowody... Niech go diabli!

— Nie, nie! Proszę, nie, Edwardzie! Czy pan nie rozumie? Nie może pan. Nie uda nam się oskarżyć go publicznie. Czy pan nie widzi, że wszystko zostało ukartowane? Sekcja zwłok, koroner, z tego co wiemy, nawet policja. On jest zbyt potężny... Nikt nie wystąpi przeciw niemu. Panuje nad wszystkim.

— W takim razie zabiję go. Ujęła jego rękę i podniosła do rozpalonego policzka.

— Nie, proszę... żadnego zabijania. Proszę pamiętać o pańskiej matce, o Charlesie. Och, nie powinnam była panu mówić! A teraz chodzi o Amelię. To córka Charlesa. Tylko pan może ją uratować i tylko pan może się o nią zatroszczyć. Będzie pan dla niej ojcem. Nie może pan stać się zabójcą.

Zabójca. Poczuł się bezradny. Co ma robić? Czy pozwolić, by śmierć Charlesa nie została pomszczona?

— Zatroszczę się o niego! — Leonia czytała w jego myślach. — Pewnego dnia odplacę mu za wszystko.

Madame Frenard jechała z Marokiem do Tours. Nie mogła pozwolić, by niósł dziecko.

— Nigdy nie poradzi pan sobie bez kobiety — nie ustępowała. — Dziecku potrzebna jest kobieta.

Alfons spotkał się z nimi w foyer hotelu. Dziecko uśmiechnęło się do niego, zadowolone. Amelia uwielbiała towarzystwo. Bo i dlaczego nie! Czyż wszyscy nie są zachwyceni mogąc z nią rozmawiać, mówić jej, że jest śliczna i łaskotać ją w policzek? I co teraz, myślał Alfons. Jak Leonia zdobędzie się na to, by ją oddać? Ta mała to sam urok.

— Leonia jest w zamku — powiedział. — Wszystko przygotowane. Czy były jakieś kłopoty, Marok?

— Jak dotąd, nie. Wydaje się, że Verronet spędza czas w kasynie, zamiast poszukiwać dziecka. Mieliśmy szczęście.

— Mam nadzieję, że przegrywa — rzekł Alfons spokojnie.

Marok uśmiechnął się. Lubił Alfonsa.

— Poczekam tutaj — zaproponował. — Pan powinien zanieść jej dziecko.

Alfons niósł koszyk jak niezręczny pakunek. Nie był przyzwyczajony do dzieci i Amelia gaworzyła radośnie, najwyraźniej zadowolona z nierównych wstrząsów. Tak, pomyślał znowu, to będzie nietatwe.

Edward siedział naprzeciw Leonii, gdy Alfons położył jej dziecko na rękach. Nigdy nie widział niczego równie pięknego, jak jej twarz na widok dziecka. Była tak promienna, że zapagnął chwycić ją, uratować przed tym, co miało się stać. Zbyt krucha była to radość.

— Amelio — wyszeptala, wpatrując się w oczy swej małej córeczki. — Jestem... Pamiętasz mnie? Byłyśmy razem na samym początku. Może gdzieś w zakamarkach twojej małej główki coś pozostało...

Amelia wyciągnęła rączkę i chwyciła piękne perły, kołyszące się nad nią. Szarpnęła, usiłując wpakować je sobie do buzi. Czy nie jest to miejsce, gdzie wkłada się wszystko, co dobre?

Leonia zaśmiała się i przycisnęła ją mocniej. Taka piękna jest jej córeczka.

— Leonio — odezwał się Alfons. — Obawiam się, że muszę ci przypomnieć, po co tu przyjechaliśmy.

— Wiem, wiem. Tylko kilka minut! Proszę! Zostawili ją z dzieckiem. Na dziesięć minut, uprzedził Alfons. Dziesięć minut na resztę życia!

Amelia wyglądała dokładnie tak, jak wyglądać powinna. Pызate, jasnowłose, uśmiechające się niemowlę z dwoma malutkimi ząbkami w olśniewającym uśmiechu. Poglaskała palcem miękkie włosy, wyczuwając ich jedwabistość. Wpatrywała się w jej twarz, chwytając stracone miesiące i gromadząc wspomnienia na nadchodzące długie lata. Amelia zamachała rączkami, uśmiechając się do matki. Leonia odpowiedziała jej uśmiechem i gdy dziecko chwyciło znowu naszyjnik, zaczęła szeptać ciche słowa miłości.

— Masz — powiedziała. — Weź to, kochanie. Nie przyniosłam ci żadnej zabawki, więc weź je zamiast tego.

Śmiała się, gdy Amelia ujęła naszyjnik małą piąstką i zaczęła nim kołysać. Tak czarująca jest jej córeczka, a one mają dla siebie tylko dziesięć minut. Ich **ostatnie** dziesięć minut.

— Wiem, że nie powinienem pana o to pytać — rzekł Edward, gdy wraz z Alfonsiem przemierzał taras — ale kim jest ten... jej kochanek?

— Lepiej, by pan tego nie wiedział.

— Proszę sobie wyobrazić, że jeśli zechcę, bez trudu się dowiem. Alfons spojrzał mu w oczy.

— Tak, bez wątpienia. Ale ufam, że pan tego nie zrobi. Proszę mi wierzyć, Edwardzie. Naprawdę lepiej, by pan tego nie wiedział. Jeśli pan się dowie, zechce pan coś z tym zrobić. Nie chcę składać na pana barki takiego ciężaru. Leonia także nie. Proszę pamiętać, że najważniejsze jest dziecko.

— Jedyna dobra rzecz, która z tego wynikła, to to dziecko — westchnął Edward. — Moja matka ma wnuczkę, wspomnienie po Charlesie.

Hrabina zmierzała pospiesznie w ich stronę.

— Czy jest tutaj? Czy już przyjechała? — wykrzyknęła.

Alfons spojrzał na zegarek. Dziesięć minut dobiegało końca.

— Zostawiliśmy ją z dzieckiem — wyjaśnił. — Ale już czas.

Hrabina nie mogła znieść napięcia. Pragnęła zobaczyć dziecko, a zarazem bardzo się tego bała. A jeśli wygląda tak jak Charles, kiedy był w jej wieku? Och, tego nie wytrzyma.

Ale dziecko miało jasną główkę, złote oczy i brzoskwiniową cerę. Uśmiechnęło się do niej radośnie.

— Amelio — powiedziała Leonia delikatnie do dziecka. — To twoja babcia i będzie się tobą opiekować. A to Edward, twój nowy tatuś... Będzie cię kochał tak, jak kochałby cię prawdziwy:

Podąła dziecko hrabinie i zwróciła się do Alfonsa.

— Musimy iść, Alfonsie — powiedziała, z trudem panując nad głosem. Oderwała się od dziecka i wybiegła z pokoju. Hrabina z dzieckiem na rękach podążyła za nią.

— Leonio — zawołała, ale młoda kobieta nie zatrzymała się.

Edward dogonił ją, gdy wybiegłszy z hallu, przecinała trawnik. Chwycił ją za ramię.

— Leonio! Proszę, niech się pani zatrzyma.

Objął ją i przytulił do siebie. Trzymał ją tak, aż się uspokoiła i przestała drżeć, a gdy uniosła ku niemu twarz, pocałował ją. Miętko, bez żaru; a jednak był to pocałunek pełen miłości.

34.

W ogromnym srebrnym pokoju było zimno. Na paleniskach bliźniaczych kominko w nie płonął ogień, nie było też wydzielających duszące wonie kwiatów. Hrabia nie zauważył tego. Czekał tu już od kilku godzin. Ona musi w końcu wrócić. I co, jak wróci? Zagłębił się ze znużeniem w fotelu. Przypomniał sobie, co czuł, gdy dowiedział się, że jest chora, że musi na kilka miesięcy wyjechać. Był zrozpaczony i mówił sobie, że ona musi wyzdrowieć. Że nie może umrzeć i zostawić go. A ona cały czas spiskowała. Przygotowywała plan odejścia i urodzenia dziecka innego mężczyzny! Boże, jakiego głupca z niego zrobiła. Gorzej — sprawiła, że to on sam się ośmieszył! Cóż, teraz tylko pozostaje mu odnaleźć dziecko. Verronet dowie się tego w ciągu kilku dni, ten człowiek zna swoją robotę. Gdyby nie jego intuicja, nigdy nie dowiedziałby się o dziecku. A teraz Verronet wie już, jak go oszukano. Wie, że jego kochanka ma dziecko innego mężczyzny. Nie wie jednak, co się stało z Charlesem. Nigdy nie powinno się trzymać wszystkich swoich tajemnic w jednym sejfie. Zwrócił się o to do kogo innego.

Drzwi szcęknęły. Włosy miała potargane przez wiatr, a jej spojrzenie było równie lodowate jak pokój.

— Powinam cię zabić — powiedziała, stając w drzwiach — ale tego pewnie po mnie oczekujesz. Nigdy nie wiem, kiedy moje działania są rzeczywiście moje, kiedy zaś stanowią wynik twoich planów. Nie chcę, żebyś umarł. Żyj z klęską, w którą przemieniłeś

swoje życie... Wielki człowiek, potomek szlacheckiej rodziny — zaradca. — Bogaty, potężny człowiek. Zabójca, Gilles de Courmont.

— Nonsens — rzucił szorstko. — Sama nie wiesz, co mówisz.

— Nie wiem? Nie tylko ja wiem, że Charles d'Aureville został zamordowany.

— Zamordowany? Jesteś śmieszna, Leonio. Słyszałem, że zginął w wypadku w czasie regat.

— W wypadku, który ty zaplanowałaś. Tak samo, jak wszystko planujesz.

— Nie wiem, na czym opierasz te twierdzenia, ale to absolutna nieprawda. Wszystko, czego można się spodziewać po kobiecie tak perfidnej jak ty. Daję ci wszystko, czego chcesz, a ty wykorzystujesz to, by mnie oszukiwać, by pokazywać się z innymi mężczyznami. D'Aureville nie był pierwszym.

— Oczywiście, Alain. Właściciel liczącej się galerii w Londynie, zbyt dobra oferta, by ją odrzucić. Dlaczego jego także nie zabiłeś? A może nie kochał mnie pan wtedy, monsieur? Tak, rzeczywiście, „miłość” przyszła później, dopiero gdy doszedł pan do wniosku, że jestem panu potrzebna i jedynym sposobem ściągnięcia mnie z powrotem było kochać mnie. Ale to było po Charlesie.

Jego wściekłość skuwał lód, gdy stanął nad nią.

— Zrobiłaś ze mnie głupca. Żadnej kobiecie na to nie pozwalałam.

— Pan sam to zrobił, monsieur. Już dawno powinien pan powiedzieć mi o swej miłości. Błagałam o to, pragnęłam tak rozpaczliwie, by pan to powiedział. Wszystko, o czym marzyłam, to być przez pana kochaną. Nie byłoby ani Alaina, ani Charlesa...

— Ani dziecka.

Patrzyła na niego wyczekująco.

— Gdzie ona jest, Leonio? Odwróciła się do niego plecami i wpatrzyła w okno.

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Oddałam ją, kiedy się urodziła, ma swoje życie, beze mnie.

— Nie chcesz jej odebrać? — Przyniósł się do niej. Poczł zapach jaśminu. — Leonio, odszukaj dziecko i odbierz. Przywieź ją tutaj, będziemy żyli razem. Będę ją wychowywał, jak swoją własną córkę, troszczył się o nią. Zabezpieczę ją...

Odwróciła się i spojrzała na niego zdumiona.

— Zostań ze mną, Leonio!

Ich oczy spotkały się.

— Czy choć przez chwilę wyobraża pan sobie, że mogłabym dać panu moje dziecko? Jest pan bardziej szalony, niż sądziłam. Charles d'Aureville zginął z mojego powodu, a ja muszę z tym żyć do końca życia... Pan także! To nie ja rozbiłam mu głowę, ale oboje jesteście winni.

— Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. Nie możesz mnie opuścić, Leonio. Potrzebuję cię. Zostań ze mną!

Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

— Nie ma takiej siły, która zmusiłaby mnie do zostania z panem. Pan jest potworem.

Przyciągnął ją bliżej i przycisnął twarz do jej twarzy.

— Jeśli odejdziesz — powiedział cicho — zrujnuję cię. Dałem ci wszystko i mogę ci to wszystko odebrać. Zostaniesz bez niczego... Bez *niczego!*

— Zapominasz, że uczyniłeś ze mnie kobietę niezależną. Włożyłeś pieniądze na mój rachunek w banku, kupiłeś mi udziały i akcje, zainwestowałeś w nieruchomości...

— Ale wszystko w moich kompaniach i z klauzulą, że wrócą do mnie na jedno moje słowo. Nigdy nie lubiłaś czytać drobnego druku, Leonio. A to pierwsza zasada każdego kontraktu!

Wybuchnęła śmiechem.

— Oczywiście! Jakie to dla pana typowe, monsieur. Pan tylko wypożyczył mi je na czas, kiedy będę do pana należeć! No cóż, może mi pan wszystko zabrać. Wrócę tam, skąd zaczęłam. Zostawię w sejfie biżuterię, pieniądze w banku i będzie pan mógł się tym wszystkim nacieszyć. Zniszczy pan mnie, ale zniszczy też i siebie... Jest pan tylko skorupa, pozorem cywilizowanego człowieka. Jest pan zimnym, wyniosłym, bezwzględny zabójcą.

— Odnajdę twoje dziecko, Leonio. A gdy mi się to uda, będziesz musiała do mnie wrócić! Inaczej... — Nie wypowiedziana groźba zawisła w powietrzu między nimi. — Nawet gdybym miał poświęcić na to całe lata — wyszeptał — znajdę ją.

— A jeśli ja będę musiała poświęcić na to lata, monsieur, znajdę dowody, że to pan zabił Charlesa d'Aureville'a. Przysięgam, monsieur, że pewnego dnia wszystko to zwróci się przeciw panu.

— Pomyśl o swojej córce, Leonio... Nie wolałabyś, aby była bezpieczna?

Serce jej waliło tak, że musiał to widzieć. Musiał wyczuwać cały szalejący w niej strach. Przypomniała sobie, jak spotkała go w Monte Carlo z synami i jak powiedział jej, że dopiero gdy omal nie stracił syna, zrozumiał, ile to dziecko dla niego znaczy. Czy byłby zdolny ją zabić, gdyby Amelia była jego dzieckiem? Chwyliła spazmatycznie powietrze.

— A jeśli Amelia jest pańska, monsieur? Jeśli jest pańską córką?

Drzwi trzasnęły, a on patrzył oszołomiony w ślad za nią. Co ona powiedziała? Chciał pobiec za nią, błagać o prawdę. Czy to jego dziecko? Czy to możliwe? Czyżby zabił Charlesa d'Aureville'a za nic?

Stał przy oknie, patrząc nie widzącymi oczami na drzewa pośrodku skweru. Odeszła. Porzuciła go. Jedynym kluczem jest teraz dziecko. Kiedy je znajdzie, Leonia powróci do niego. Zaproponuje jej życie dziecka; tak długo, jak długo będzie z nim, dziecko będzie bezpieczne.

Tylko jak ma się dowiedzieć, czy Amelia to jego dziecko? Czy Leonia znów robi z niego głupca? Musi ją odnaleźć. Choćby miał szukać przez całe życie, zrobi to. A wtedy znów będzie miał Leonie.

Szedł wzdłuż zasłon i rozwiązywał wykończone chwastami sznury, aż zawisły wszystkie srebrną mgłą, odcinając światło od pokoju.

KSIĘGA DRUGA
(1902-1909)

35.

Amelia d'Aureville odrzuciła niecierpliwie do tyłu ciężki jasny warkocz i spojrzała w dół. Roberto i Diego czekali dziesięć stóp niżej na klepisku stajni. Było to bardzo nisko i Amelia spojrzała tęsknie na drabinę.

— Mówiłem ci, że tego nie zrobi — prychnął Diego pogardliwie. Czego się spodziewałeś? To tylko dziewczyna, a poza tym ma dopiero osiem lat.

— A ja ci mówię, że zrobi — powtórzył Roberto do Santos nieustępliwie. — Ona nie jest tchórzem.

A niech to, pomyślała Amelia. Nie można się wycofać. Muszę skoczyć. Roberto wierzy, że ja to zrobię, a ja nie mam zamiaru pozwolić, by Diego Bonavente mnie pobił. Machając chudymi nogami, wierciła się na skraju strychu, kołysząc się niezdecydowanie. Diego zamknął drzwi, tak że nikt nie mógł ich zobaczyć i w stajni panowała niemal całkowita ciemność. Ledwie go widziała. Oparty o ścianę czekał z założonymi rękami. Równie jasne jak jej, włosy Roberta poruszyły się w mroku szarą plamą, gdy podniósł do niej głowę.

— W porządku, Amelio — zawołał, spychając belę słomy na miejsce pod nią. — Będzie ci miękko na tym... Nic ci się nie stanie, naprawdę.

Musi to zrobić. Sam jej to powiedział, ukrywając przy tym, jak bardzo mu jej żal. Nie może pozwolić, by Diego zwyciężył. Inaczej nigdy nie zgodzi się na to, by się z nim bawiła, a ona nie zniesie odrzucenia.

— No — zachęcał Roberto. — Złapię cię.

Amelia zacisnęła powieki i chwyciła się belki. Zsunęła się z krawędzi i zawisła niepewnie w powietrzu. Sekundy mijały i zaczęły jej drętwieć ramiona. Nie mogła się dłużej utrzymać. Ziemia ruszyła gwałtownie na jej spotkanie. Rozciągnęła się na sianie z Robertem, który chwycił ją na chwilę przedtem, nim uderzyła o ziemię.

— Nic ci się nie stało? — spytał, patrząc czy nie płacze.

— Pewnie, że nie — odparła siadając. — A co się miało stać?

— Oszukałaś — rzucił Diego oskarży cielsko. — Miałaś tu siano, a to co najmniej parę stóp różnicy. Poza tym Roberto ci pomógł.

— Nie oszukałam! — wykrzyknęła Amelia ze złością. Nigdy nie mogła wygrać z Diego. Zawsze miał swoją odpowiedź. Dokuczają jej, że jest dziewczyną i że ma tylko osiem lat, wiecznie się przechwala, że ma już jedenaście lat i jest o rok starszy od Roberta. Wiecznie zmusza ją do niemal przerastających ją wyczynów i do odwagi. Ale jeszcze jej nie pokonał. Spokojnie sięgnęła do nadwężonej kostki, w której zaczynał pulsować ból. Poczula, że za chwilę się rozplacze.

— Oczywiście, że nie oszukiwała — rzekł Roberto łagodząco, próbując jak zwykle ich pogodzić. — Wszystko było w porządku.

Diego pchnął wrota.

— Och, daj spokój — mruknął. — Pojedziemy na pola kawowe.

— Dlaczego zawsze musimy robić to, co ty chcesz, Diego? — krzyknęła Amelia, wciągając pod siebie pulsującą bólem stopę i zwijając się na słomie.

— Amelia, no co ty — błagał Roberto. — Dam ci dosiąść Bicho. — Uwielbiała jego kucyka i pozwalał jej go dosiadać, gdy był w wyjątkowo łaskawym nastroju.

— Nie chcę — burknęła, unosząc głowę. — Zostanę tutaj.

— Zostaw ją, Roberto — rzekł niecierpliwie Diego. — Ścigajmy się! Założę się, że Vincius prześcignie Bicho każdego dnia.

Roberto zawahał się.

— Jesteś pewna, Amelio?

— Oczywiście, że tak!

— No, dobrze... Później się zobaczymy, Amelio.

Chłopcy ruszyli przez podwórze na paddok. Amelia odczekała dopóki nie zniknęli jej z oczu. Siłą powstrzymywała łzy. Kostka bolała naprawdę.

— Nienawidzę cię, Diego Bonavente — chlipnęła, gramoląc się na nogi z trudem, po czym pokuśtykała za nimi.

Sebastiao do Santos patrzył z werandy na utykającą przez podwórze Amelię. Bez wątpienia szukała Roberta. Zwalczył pokusę, by pobiec za nią i dowiedzieć się, co się stało. Skoro chce przebywać z chłopcami i bawić się w ich zabawy, sama musi sobie radzić. A jednak w workowatych szortach, które uparła się nosić, by wyglądać jak Roberto, wyglądała bardzo maleńka i bezbronna; nosiła nawet jego koszule i najmocniej jak mogła ściągała do tyłu włosy, by sprawiały wrażenie równie krótkich — Izabella nie pozwoliła jej oczywiście ich ściąć. Często, właściwie niemal zawsze, gdy przebywali w czasie wakacji na *Fazenda Castello do Santos*, znajdowali Amelię zwinietą w łóżku Roberta. Dwie jasne głowy leżały obok siebie na poduszkach, a jej dwa małe koty grzały się w nogach łóżka. Bez względu jednak na to, co jej się przydarzyło, przysięgłby, że Diego Bonavente maczał w tym palce. Mimo ciepłych spojrzeń i przemiłego uśmiechu Diego nie budził jego zaufania. Gładkimi słówkami potrafił wywikłać się z każdego kłopotu. Szkoda, że Roberto tak się z nim zaprzyjaźnił. Ale cóż, gdy rodzice są przez całe życie przyjaciółmi, a rodzina Bonavente siedzi na sąsiedniej *fazendzie*, naturalną rzeczą jest, że Diego stał się najlepszym przyjacielem Roberta. A biedna Amelia tak rozpaczliwie chciała pełnić tę rolę.

Pokochał Amelię już pierwszego dnia, gdy ją ujrzał. Maleńka, jasnowłosa, promienna dziewczynkę, która przybyła do jego rodziny, do ich pełnego chłopców domu. Miał siedem lat i był najstarszym synem do Samosa; Flavio miał sześć, Marcus cztery, Roberto trzy. Weszła do ich domu i do ich serc w tak naturalny sposób, jakby sama była córką do Santosów. Złote loki, piwne oczy i urok jej dziewczęcości uczyniły z niego jej niewolnika. Po powrocie ze szkoły do domu musiał zawsze najpierw odszukać Amelię. Całymi godzinami obwoził ją na grzbiecie Zeze, pozbawionego rogów ukochanego barana Roberta. Wczepiona maleńkimi paluszkami

w wełniste runo, zanosząc się radosnym śmiechem biła piętami w miękkie boki bydłęcia, usiłując zmusić je do szybszego biegu, a Sebastiao nie posiadał się z zachwytu. Najbliższy jej wiekiem był oczywiście Roberto, i gdy podrosła, on był partnerem jej zabaw, ale Sebastiao nadal najbardziej ufała. Jemu mogła powierzyć wszystko, swe tajemnice, lęki i zmartwienia. To on nauczył Amelię pływać, gdy zwierzyła mu się, że się boi, iż utonie tak jak jej mama i tata. Dzięki jego pomocy przezwyciężyła ten lęk.

Dzień, kiedy Izabella d'Aureville postanowiła zostać u swego starego przyjaciela i dalekiego kuzyna, Francisco do Santosa, był dla Sebastiao szczęśliwy. Dzieje rodziny sięgały roku **1567**, kiedy to Francois de St. Chapelle przyплыł z Honfleur do Brazylii i stał się jednym z pierwszych osadników w tym nowym, olbrzymim kraju. Rodzina nigdy nie zerwała więzi z krajem swego pochodzenia i choć ich imiona przybrały hiszpańskie brzmienie, każde pokolenie wysyłało swych synów na naukę do Francji. Francisco Castello do Santos, ojciec Sebastiao, nigdy nie zapomniał serdeczności powitania, jakie francuska rodzina zgotowała nieprawdopodobnie wstydliwemu młodemu człowiekowi, który przybył do Paryża, by wstąpić na uniwersytet. Szczególnie zapamiętał dobroć ich najmłodszej córki, Izabelli. Zabierała go na przyjęcia, poznawała ze swymi przyjaciółmi i wprowadzała w zwyczaje francuskiego życia, tak że wkrótce młody człowiek nabrał nowej dla niego pewności siebie i czuł się we Francji jak w domu.

Trzeba też powiedzieć, że był przekonany, iż jest w Izabelli zakochany. To znaczy do momentu, gdy po powrocie do domu spotkał ciemnooką, z długimi czarnymi włosami Luizę. Zawsze zdumiewało ich to, że ich rodzina obdarzona została jasnowłosymi, o nordyckim wyglądzie synami.

W szerokich drzwiach jadalni ukazała się Tia Agostinha. Pod ciężkimi krokami kobiety sprężyste cedrowe deski werandy lekko drżały. Podażyła oczami za spojrzeniem Sebastiao. Amelia przystanąła, pochyliła się i roztarła kostkę, po czym zawróciła.

— To dziecko znów oberwało — westchnęła kobieta.

Sebastiao obdarzył ją szerokim uśmiechem. Stara niania wychowywała wszystkich chłopców domu do Santosów, a przed nimi także jego ojca wraz z braćmi i siostrami, i wszystkich ich tak samo

kochała. Podejrzał jednak, że także dla niej Amelia była kimś wyjątkowym.

— Co ci się znów stało? — spytała Agostinha, pomagając Amelii wdrapać się na schodki werandy.

— To kostka — rzekła Amelia, nie odpowiadając wprost na pytanie. — Myślę, że jest złamana.

Patrzyła z zaufaniem na Agostinhę. Wiedziała, że teraz już wszystko będzie dobrze. Agostinha potrafiła wszystkim zaradzić. Znajdowała jakieś zioła i liście, moczyła w wodzie i robiła okłady, mrużąc przy tym w języku Joruba jakieś zaklęcia, które miały zapewne magiczną moc. Sama Tia Agostinha też wyglądała tajemniczo. Była wielka, miała ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, i niemal tak samo szeroka, cudownie gładka i miękka, z kręconymi mahoniowocznymi włosami, tworzącymi wokół uśmiechniętej twarzy rudawą aureolę. Miała przy tym najwygodniejsze dla tulących się dzieci kolana.

Kobieta wybuchnęła głośnym, dudniącym śmiechem. Jak zawsze, teraz też Amelia musiała się również roześmiać.

— Nie jest złamana, *mia filha*. To tylko zwichnięcie. Zaraz ją nastawimy.

— Może byś powiedziała, co się stało — odezwał się Sebastiao. Nie pozwolił jej wykręcić się od odpowiedzi.

— Po prostu skakałam, i już. — Amelia unikała jego spojrzenia.

— A gdzie Roberto i Diego?

Amelia skryła twarz w potężny biust Agostinhy, a kobieta objęła ją ramionami i poniosła w stronę kuchni. Sebastiao nie dosłyszał, co mała mrużyć w odpowiedzi. Nie miało to jednak większego znaczenia] doskonale wiedział, że nigdy nie powie nic złego na Roberta.

Dla Izabelli życie w Rio w stosunku do tego, co działo się we Francji, było opóźnione o sześćdziesiąt lat, a pobyt na *fazendzie* był niczym cofnięcie się o całe wieki. To zatrzymanie się w czasie stanowiło cały jego urok. Oddzielony od świata tysiącami akrów upraw kawowych wielki dom był równie obszerny i wygodny jak ramiona Tii Agostinhy. Izabella nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy bardziej jej się tu podoba. Dniem, gdy promienie słońca przeciskały

się przez opuszczone w wąskich oknach salonu żaluzje, a szczęśliwy dom rozbrzmiewał głosami dzieci; czy wieczorami, gdy ostami blask słońca odbijał się od długich cieni na trawnikach, a oni siedzieli na werandzie, ciesząc się z ochłodzonego powietrza i swego towarzystwa; czy też w nocy, gdy jedynym oświetleniem były stare lampy olejne i wysokie woskowe świece, nadające miękkie, drżące zamglenie rodzinnemu zgromadzeniu wokół stołu, przy którym mogły zasiąść z łatwością, i często też zasiadały, dwadzieścia cztery osoby.

Gdyby osiem lat temu ktoś ją zapytał, gdzie najbardziej pragnęłaby żyć, bez wahania stwierdziłaby, że w *Chateau d'Aureville*. Teraz musiałaby mieć trochę czasu na przemyślenie odpowiedzi i nawet wtedy nie potrafiłaby się zdecydować. Francuski dom był miejscem ukochanym, ale *Villa d'Aureville* była czymś wyjątkowym. Zbudowana na długiej, pustej przestrzeni plaży u stóp ostatnich wzniesień *Sierra Nevada*, stała się szczególnym akcentem w tym miejscu, gdzie Copacabana oddzielona była od pozostałej części Rio.

Edward wybrał to miejsce i za bezcen zakupił parcelę. Wiedział, że pewnego dnia wartość posiadłości patrzącej jakby bezpośrednio na plażę Copacabany, gdzie długie szmaragdowe fale zdobione białymi pióropuszcami piany zwijały się i piętrzyły, by rozbić swe szyki na miękkim piasku i z cichym sykiem zakończyć swój żywot, skoczy w zawrotnym tempie. Rzucił się w wir prac nad domem. Zajmował się najdrobniejszymi szczegółami. Planował i zmieniał, dążąc do wypracowania doskonałości w nowej siedzibie d'Aureville'ów. Jakby nie chciał dopuścić do siebie myśli o niczym innym — czy też o nikim innym. Z tą samą energią harował na plantacji kauczuku, całymi miesiącami zagrzebany w puszczy Amazonii, i tylko wysyłał do matki telegramy z Manaus, zapewniając ją, że wszystko jest w porządku. Pisał też długie, pełne miłości listy do Amelii. Izabella podejrzewała, że nadal kocha beznadziejną miłością kobietę, której właściwie nie znał i dla której dziecka stał się ojcem. Że kocha Leonię. Ta kobieta odmieniła całe ich życie. Dała im Amelię i stało się to dla nich błogosławieństwem losu. I nie tylko dlatego, że dziewczynka w skłonie głowy, gdy się uśmiechała, w zdecydowanym zaciskaniu piąstek, gdy ku czemuś dążyła, czy też niskim, rozedrganym radością śmiechem wywoły-

wala w nich najczulsze wspomnienia z czasów, gdy Charles był jeszcze dzieckiem. Amelia dała im również szczęście swą własną kochającą istotą, swą inteligencją. Nie było wątpliwości, czym jest dzieckiem. Amelia stanowiła wykapyany obraz matki.

Dziewczynka wygrała swą ostatnią bitwę. Miała iść do szkoły. Chciała oczywiście uczęszczać do Collegio Pedro II wraz z chłopcami do Santosów, ale musiała jednak pogodzić się z umieszczeniem jej w klasztornej szkole dla dziewcząt. Teraz, myślała Izabella, będzie problem. Nie dla Amelii, lecz dla niej. Porządek dnia, którego ośrodkiem była Amelia, wraz z niańkami i guwernantkami, wypełniał całkowicie jej życie. Teraz, gdy Amelii nie będzie przez cały dzień, czas zawiśnie nad nią wielkim ciężarem. Jeśli, oczywiście, nie zrealizuje swych planów. Pomysł zrodził się pod wpływem komplementów przyjaciół. Wyrazy uznania zbierała Celestyna, oddana rodzinie stara kucharka z zamku, która wraz z mężem nie zgodziła się przejść na emeryturę, gdy Izabella opuszczała Francję. Małżonkowie opierali się wszystkim argumentom, wytaczanym przez nią przeciw ich wyjazdowi do Brazylii. Tak więc Celestyna przyswajała sobie nowe przepisy kuchni do Santosów, gdzie wprowadzano ją w tajemnice brazylijskiego gotowania, z jego afrykańskimi korzeniami, specjalnymi olejami i przyprawami, czarną fasolą i papryką chili. Służący do Santosów mieli też inne swoje tajemnice, i gdy stosowali się do starych zwyczajów, nie lubili, by obcy wtykali w nie nos. Baranie rogi wiszące na drzewach, dziwne rośliny, parzone w tajemniczych leczniczych napojach, ognie zapalane nocami na progu kuchni, wszystko to miało trzymać z dala złe moce.

— A to co znowu? — wykrzyknęła zdumiona Celestyna, gdy odkryła maleńkie karteczki na słoiach z przetworami i dżemami.

— Modlitwy odpędzające mrówki — usłyszała w odpowiedzi.

Nigdy nie przestawała się dziwić, że tacy dobrzy ludzie mogą na każdym kroku stosować pogańskie sposoby. Ale jej gotowanie, tak znakomite we Francji, tu nabrało nowego wymiaru. *Villa d'Aureville*, z nazwą wypisaną w łuku subtelnie kutego żelaza, ciągnąca się przez całą szerokość wspaniałych wrót, i ze strzegącymi jej gryfami ze starych kolumn zamku stała się wkrótce sławna jako dom, gdzie podawano najlepsze jedzenie w Rio, a przy tym w najpiękniejszym, najbardziej cywilizowanym otoczeniu. Zapro-

szenie na kolację do Izabelli stanowiło wyróżnienie towarzyskie. A poza tym, myślała Izabella, prowadziłam przez większą część życia zamek z jego trzydziestoma sypialniami, dlaczego więc mój pomysł miałby być nierealny?

Problem był tylko w tym, jak przyjmą to Francisco i Edward. Schodząc na obiad uznała, że to najlepszy moment, by się tego dowiedzieć.

— Pomyślałam — zaczęła w kilka minut później, gdy Francisco napełnił jej kieliszek bladoróżowym winem — że teraz, kiedy Amelii prawie tu nie będzie, moje życie stanie się nieco monotonne.

Francisco i Luiza wymienili krótkie spojrzenia, a w szarych oczach Edwarda zapalił się błysk rozbawienia. Co znów sobie wymyśliła?

— Rozważam — rzekła Izabella — możliwość otwarcia restauracji. Będzie się nazywać *Pavillon d'Aureville*.

W biurze było duszno. Gilles zdjął marynarkę i powiesił na krześle. Podszedł do okna i rozluźnił krawat. Popatrzył na obsypane liśćmi kasztany. Wspaniały dzień maja, doskonały na pobyt na Lazurowym Wybrzeżu. Może na jachcie z kobietą, aby rozkoszować się słońcem, morską bryzą i świeżością wczesnego lata. Tylko z jaką kobietą? Próbował już nieraz. Po Leonii w jego życiu były inne kobiety. Udało im się zaspokoić jedynie jego chwilowe podniecenie. Nie było takiej, która ugasila pragnienie.

Podniósł z zawałonego papierami biurka ostami raport. Nadal była w starym miejscu. Żyła spokojnie; prowadziła zajazd z trudem wiążąc koniec z końcem. Dlaczego, skoro mogła przecież mieć wszystko? W ogóle nie przejęła się tym, że zabrał wszystko z powrotem. Odesłała mu klucze od sejfów w banku — w jego banku, gdzie jako właściciel miał swoje własne — i powiedziała, by wziął biżuterię. Zostawiła wiszące w szafach ubrania; sobolowy płaszcz i długie do ziemi niebieskie lisy, suknie od Wortha i bieliznę od Serrat. Porwała bezwartościowe świadectwa udziałowe i rozrzuciła na łóżku, a on usunął jej nazwisko ze wszystkich praw własności na nieruchomości. Poza jedną. Na zajazd. Należał do niej bez żadnych obwarowań i przeklinał dzień, kiedy jej go dał. Jedyna

rzecz, której nie mógł jej odebrać. I to ją uratowało. Miała schronienie, miejsce, które dawało jej środki do życia.

Szpiegowanie jej w tak odciętych od świata punktach okazało się niemożliwe i raporty stamtąd przychodziły rzadko. Chodziła do sklepu w Saint-Jean, rano pływała. Zwyczajne rzeczy. Czasami wyjeżdżała do Nicei lub Monte Carlo, by zjeść obiad w kawiarni i nadać na pocztę kilka listów. Nigdy już nie wrzucała ich do skrzynki pocztowej przy drodze pod zajazdem, tak że nie mógł sprawdzić, do kogo były pisane.

Rzucił papier na biurko. Rozdrażniony zaczął chodzić po pokoju. Musi mieć informację codziennie. Musi wiedzieć, co robi teraz, gdy go tam nie ma, gdy znowu skazała go na samotność. Zapadł się w wielki skórzany fotel i ukrył twarz w dłoniach. Gdyby wiedział, że tak będzie lepiej, mógłby *zobaczyć*, co ona robi; niemal tak, jakby tam był. Tak jak robił w szkole, kiedy myślał o matce. Z Leonią było to takie realne. Wróć do mnie, pomyślał nie wiedzieć który już raz.

Jedynym jej słabym punktem była Amelia, ale po dziecku nie zostało żadnego śladu. Całą Europę przeczesał w poszukiwaniach, szedł za najdrobniejszymi wskazówkami i korzystał z doskonałych ludzi, ale wszystko nadaremno. Rozpoczął na wybrzeżu u opiekujących się nią przybranych rodziców, ale niczego nie wiedzieli. Przez dwa lata śledził Karo i Alfonsa, także Maroka; wszystkich jej znajomych. Zupełnie bez sensu kazał nawet przeprowadzić śledztwo w *Chdteau d'Aureville*, gdy pojawił się w jego głowie cień nadziei, że tam właśnie mogłaby trzymać dziecko. To śmieszne sądzić, że rodzina taka jak d'Aureville mogłaby przyjąć bękarta, którego jakaś kobieta podaje za dziecko ich syna. Tylko że tą kobietą była Leonia. Jego człowiek doniósł, że zamek jest zamknięty, wszystkie żaluzje opuszczone, a hrabina d'Aureville, złamana śmiercią syna, wyjechała za granicę. Zdenerwował się informacją na temat pani d'Aureville. Kiedy czynił przygotowania, nie brał pod uwagę matki Charlesa. Natychmiast odwołał człowieka i próbował o wszystkim zapomnieć.

Wszystko zawsze sprowadzało się do jednego: Amelia to klucz do Leonii. Nie mając Amelii, nie miał niczego. Z nią mógł zaproponować Leonii wszystko: dom, zabezpieczenie — i siebie. A wtedy, gdyby się nie zgodziła, dziecko stałoby się jego orężem.

Musiałyby do niego wrócić, bo tylko wtedy miałyby pewność, że jej córce nie stanie się nic złego. I z pewnością wszystko by się ułożyło, byłoby tak, jak na samym początku. Pamiętał lato, kiedy odpłynęła z jachtu, a potem podawała mu talerze z krewetkami i serem... Dość omletów, powiedziała... Śmieli się razem, a potem kochał się z nią. Posiadł ją... miał ją.

Musi odnaleźć Amelię. Pomysł zjawił się nieoczekiwanie. Jeśli jej nie wytropi, zostaje tylko jeden sposób, by ją zdobyć. Włożył marynarkę i ruszył do drzwi.

— Nie wrócę po południu, Verronet — rzucił przez ramię. — Coś ważnego się szykuje.

Verronet patrzył w ślad za nim z podniesionymi brwiami. Pan hrabia de Courmont nie jest już tym oddanym pracy człowiekiem, jakim był kiedyś.

36.

Leonია wazyła w rękach wyglądającą na urzędową kopertę. Było coś złowrogiego w grubym brązowym pakiecie z różowym woskiem pieczęci na brzegu. List był z Paryża, od firmy notarialnej.

Zawołała Bébé i pobiegła przez ogród w stronę plaży. Mała kotka schodziła niepewnie za nią, gdy Leonia zrzuciwszy pantofle szła boso przez ciepły piasek do wygrzanych słońcem skał. Przysiadła i patrzyła na spokojne morze. Zbierała się na odwagę, by otworzyć przesyłkę. Wreszcie wzruszyła ramionami. Może to dobre wiadomości. Rozerwała kopertę i rozwinęła dokument.

To nie może być prawda. Monsieur oszalał. Uznawał dziecko za swoje; ma zamiar zmusić ją, by oddała mu *jego* córkę! Sąd zostanie powiadomiony, że jest nieodpowiedzialną matką, która oddała dziecko, nie chcąc się nim opiekować. On, jako ojciec, ma prawo podmiotowe do swej córki, pragnie ją zabezpieczyć i zapewnić jej szczęście.

— Ach Bébé — wyszeptała. — Myślałam, że jesteśmy bezpieczne, że może przez osiem lat zapomniał... Jak mogłam być taka głupia!

Wpatrzyła się w dokumenty. Co ma robić? Nie ma wyjścia. Sąd mógłby zmusić ją do wyznania, gdzie przebywa Amelia, ale ona przecież tego nie wie. Nigdy nie dostała jednego słowa od d'Aureville'ów; sama nalegała na zachowanie takich środków bezpieczeństwa. Bała się, że monsieur mógłby przejąć jej listy i tą

drogą wpaść na trop Amelii. Teraz wiedziała, że miała rację. Przynajmniej nie będzie musiała krzywo przysięgać, twierdząc, że nie wie, gdzie jest Amelia i że nic więcej w tej sprawie nie może powiedzieć. Poza tym, oczywiście, że nie jest córką hrabiego.

Pograżona w myślach podniosła kotkę i posadziła sobie na kolanach. Monsieur musi chyba zdawać sobie sprawę, że ona wyzna, iż jest to dziecko innego. Czy rzeczywiście jest na to przygotowany? Czy on, Gilles, hrabia de Courmont naprawdę ma zamiar dać Paryżowi, który tak uwielbia, pożywkę dla plotek? Powiedzieć światu, że jego utrzymanka oszukała go, że nie potrafił zadowolić kobiety? Och, jak ona go upokorzy, jakiego głupca z niego zrobi! Umie już grać z nim według jego własnych reguł.

— Gdybym tylko mogła znaleźć dowód, Bébé, oskarżyłabym go o zamordowanie Charlesa. Ale nie ma dowodów, zbyt sprytny był na to.

Ona, Karo i Alfons zrobili wszystko co mogli, by przełamać barierę milczenia wokół wypadku z Deauville, ale okazało się to niemożliwe... Wszystko zostało przeprowadzone zbyt szybko i nikt nic nie wiedział. Został tylko opis wyglądu mężczyzny z łodzi, podany przez innego uczestnika regat. Krzepki mężczyzna z przerezedzonymi rudawymi włosami; początki otyłości; na potężnym ciele dziwnie mała głowa. Znał się na łodziach. Opis mordercy Charlesa wrył jej się w pamięć. Alfons najął detektywów do poszukiwania tego człowieka, ale na próżno.

Obciągnęła spódnicę i z Bébé na rękach ruszyła boso wzdłuż linii wody. Połyskujący bielą pod bezchmurnym majowym niebem zajazd był jej prawdziwym domem, jej schronieniem. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła tu sprowadzić Amelię, patrzeć na jej rozwój. To byłoby prawdziwe życie.

— Ale nie jest nam sądzone zwyczajne życie, Bébé — powiedziała, całując mały, różowy nos. — Musimy wracać do Paryża i walczyć. Problem tylko w tym, że na walkę potrzeba pieniędzy, a my ich nie mamy.

Paul Bernard przyglądał się siedzącym przy stoliku pod oknem kobietom. Błede słońce sącające się przez długie zasłony przemieniło w płaskorzeźbę wyrazisty profil Leonii i burzę jej włosów. Oglądana

pod tym kątem twarz przypominała wizerunek ze starej monety. Suknia jednak była zdecydowanie dla niej nieodpowiednia. Droga, modna, nobliwie granatowa z białym kołnierzykiem i drobnymi perłowymi guziczkami. Ona jednak potrzebuje czegoś rzucającego się w oczy i ekstrawaganckiego, dopełniającego jej naturalny szyk, który odwracał za nią głowy, cokolwiek włożyła. W odpowiedniej oprawie byłaby bardziej niż piękna. Byłaby oszalamiająca.

Długą drogę przeszła od młodziutkiej dziewczyny uciekającej z Masarde, którą spotkał w pociągu. Jako dwudziestoosmioletnia kobieta była piękniejsza od szesnastolatki. Stanowiła temat rozmów całego Paryża. Nawet tutaj widział odwracające się w jej stronę głowy — w najelegantszej restauracji, której klientela miała wręcz we krwi plotki i skandale. Była to część ich codziennego bytu.

Zapałił papierosa i odchylony do tyłu przyglądał się jej. Widział ją na scenie dwa razy. Po raz pierwszy jako odzianą w pióra i trykot *La Belle France*; pamiętał te długie nogi. Po raz drugi, kiedy koń spowodował straszny skandal, a ona o mało z niego nie spadła. Próbował ją odszukać, ale nie udało mu się. Zabrałby ją i zapewnił jej sukces. Od pierwszej chwili w pociągu wiedział, że ma to, czego trzeba. Musiała tylko opanować rzemiosło, teraz miała przed sobą jeszcze lepsze widoki. Wszyscy w Paryżu ją znali. Mężczyzna na ulicy czytał o dumnej, wzbudzającej pożądanie kochance hrabiego, kobieta czytała o samotnej młodej matce, zmuszonej ukryć dziecko przed okrutnym kochankiem. Każdy widział w mej to, co chciał zobaczyć. Ciągnęliby do teatru, by choć rzucić na nią okiem. Zastanawiał się, czy mogłaby to zrobić. Warto spróbować. Posłał jej list przez kelnera.

Paul Bernard. Nazwisko było znajome. Leonia przeczytała list szybko. Oczywiście, mężczyzna z pociągu! Czy zwróciła mu pieniądze, które pożyczył jej na opłacenie biletu wyższej klasy? Odegrał niewielką wprawdzie, ale dość istotną rolę w jej życiu. Gdyby go nie spotkała, nigdy nie poszłaby do madame Artois, nie pracowałaby u Serrat, nie spotkała Maroka, Karo, Alfonsa oraz Ruperta... I hrabiego. Może nigdy nie dane byłoby jej szczęście urodzenia Amelii.

— Muszę się z nim spotkać — powiedziała do Karo. — Nie wiem wprawdzie, czego ode mnie chce; pewnie chce powitać bohaterkę skandalu roku.

— Nie zapominaj, że jesteś również piękną kobietą — zaśmiała się Karo. — Az tego, co widzę, on także jest przystojnym mężczyzną.

Leonia przyglądała mu się, gdy szedł między stolikami w ich stronę. Wiele lat temu w pociągu uznała go za starego. Teraz uświadomiła sobie, że musiał wówczas mieć niewiele ponad trzydziestkę. Uśmiechnęła się. Dla szesnastolatki trzydziestka to starość. Był niski i szczupły; w ciemnych włosach na skroniach srebrzyła się przedwczesna siwizna. Wesole piwne oczy spojrzały na nią z zachwytem, gdy ujmował jej dłoń.

— Nie byłem pewien, czy pani pamięta — powiedział.

— Odegrał pan w moim życiu znaczniejszą rolę, niż pan przypuszcza, monsieur Bernard. Poza tym, nie pamiętam, czy zwróciłam panu za pociąg. Czy jestem nie w porządku?

— Ależ nie. Dostałem od pani list wraz z pieniędzmi kilka tygodni później. Myślę, że wysłała mi pani swój pierwszy zarobek.

— Pewnie tak — zaśmiała się. — Byłam wtedy uczciwą kobietą. Karo, to jest pan Paul Bernard, przedsiębiorca teatralny. To chyba widniało na pana wizytówce?

— Właśnie o tym chciałem z panią porozmawiać.

— Przyszliśmy tutaj, by napić się kawy — rzekła szybko Karo. — Może usiądzie pan z nami?

Leonia spojrzała na nią zaskoczona. Skąd u niej ten nagły entuzjazm dla Paula Bernarda? Ach tak, Karo chce, by Leonia poznała kogoś interesującego.

— A więc, o czym pan mówił, monsieur Bernard? — spytała Karo, gdy zasiadł w krześle podsunietym przez kelnera.

— Czy pamięta pani, jak powiedziałem w czasie naszej rozmowy w pociągu, że posiada pani to coś, co gwarantuje sukces w kabarecie? Nawet jako zwykła wiejska dziewczyna miała pani urodę. Nie, coś więcej. Butę i błyskotliwość, przebijające się spod warstw wełnianych łachów. Później widziałem panią jeszcze dwa razy. W *Internationalu*.

— Boże, nigdy tego nie zapomnę — jęknęła Leonia.

— I nie powinna pani. To było chyba najgorsze wejście, jakie można mieć w rozrywce. Gorzej już być nie mogło. Musiało to być upokarzające, zwłaszcza dla tak młodej dziewczyny, jaką pani wtedy była.

— Ma pan na myśli — niewinnej? — Uniosła brwi. Zastanowił się przez chwilę.

— Tak, możliwe. Ale to sprawy przeszłości, a ja chciałbym porozmawiać z panią o terażniejszości. Gdzie teraz się pani podziewa. Stała się pani osobą publiczną; znaną w Paryżu, a może i w całej Francji. Ludzie będą tłumami walić do teatru, by zobaczyć piękną kochankę hrabiego de Courmont.

— Niczym wybryk natury w cyrku! — Była zaszokowana.

— Nie miałem tego na myśli i oczywiście to nieprawda. Przychodziliby zobaczyć panią: piękną kobietę, tragiczną postać zmuszoną do ukrycia swego dziecka, by bogaty, potężny człowiek nie mógł go jej odebrać. Publiczność byłaby zachwycona. Płaciliby, by móc na panią popatrzeć.

— Patrzeć na mnie? Ależ co miałabym tam robić? — spytała, przypominając sobie, że dokładnie takie samo pytanie postawiła wiele lat temu w pociągu.

— Majątek — odparł cicho.

Pieniądze. Znów potrzebuje pieniędzy. Tym razem na opłacenie prawników. Przynajmniej tyle, by mogła zwrócić Alfonsowi i Karo. Niemal fortunę wydali, zatrudniając dla niej adwokatów. Już przedtem, gdy potrzebowała pieniędzy, pracowała w kabarecie. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Nie, to nie dla niej, to zbyt poniżające. Żadne pieniądze nie są tego warte.

A więc tak, pomyślał. Uderzył we właściwą strunę. Ona potrzebuje pieniędzy.

— Przrzekam pani, że nie będzie to nic podobnego do tamtego występu. Tym razem zostanie pani przygotowana; nauczy się pani, co robić, jak się poruszać, jak posługiwać się głosem. Trochę to potrwa, ale zrobimy z pani najslawniejszą — a nie osławioną — kobietę w Europie, Leonio Bahri. Kobietę bogatą.

Zadrżała na myśl o kabarecie. Powiedział — majątek. Mogłaby oddać pieniądze Alfonsowi, zapłacić za swoje grzechy, płacić na rzecz Amelii...

— Pomyślę o tym — odezwała się wreszcie.

Wymienili pożegnalny uścisk dłoni. Karo westchnęła. Myślała jedynie o tym, że jest przystojnym mężczyzną i że czas najwyższy, by Leonia kogoś poznała. A teraz — co się stało! Znów się do tego przyczyniła.

— Nie możesz, Leonio — protestowała Karo, gdy podjeżdżały do gmachu sądu. Przesłuchanie wstępne wyznaczono na dzisiejsze popołudnie i propozycja obiadu miała podnieść Leonię na duchu, teraz jednak ona sama była zgnębiona.

— Chciałabym mieć dość odwagi, by to zrobić — westchnęła Leonia. — Powiedział, że mogłabym zrobić majątek. Mogłabym zwrócić pieniądze tobie i Alfonsowi, poza tym Amelia to mój obowiązek, nie wasz.

— Już rozmawialiśmy. Alfons robi to teraz tak samo dla siebie, jak dla ciebie. — Był tam, kiedy Leonia rozstawała się z Amelią, podjął poszukiwania zabójcy Charlesa i nienawidził de Courmonta niemal tak samo jak ona. — Nie martw się Leonio, stać go na to. Fakt, że nie jest tak bogaty jak hrabia, ale nadal jest bardzo zamożny.

Leonia zamilkła. Oboje są dla niej tacy dobrzy, tylko dzięki nim przeżyła. Karo pomogła jej pokryć koszt powiększenia zajazdu i dzięki dodatkowym pokojom będzie mogła przyjmować więcej gości. A teraz ta sprawa sądowa. Musi być jakiś sposób zdobycia pieniędzy, ale co ona ma zrobić? Umiała być tylko utrzymanką, a i w tym nie odniosła szczególnych sukcesów. Dorożka zatrzymała się przed sądem i spojrzały na solidny, onieśmielający kamienny gmach z obawą.

Karo ścisnęła jej rękę.

— Wszystko będzie dobrze, to tylko przesłuchanie wstępne. Dzisiaj wszystko odbędzie się między adwokatami. Nikt nie będzie zadawał ci żadnych pytań.

Szły ponurymi korytarzami, niosącymi echo ich kroków. Wożny otworzył drzwi i wpuścił je do środka. Widzowie wypełniali ławki, dziennikarze z ołówkami w notesach czekali w pogotowiu. Adwokat Leonii wyszedł jej naprzeciw. Odetchnęła głęboko i weszła do sali.

Czuła jak ciekawskie spojrzenia ślizgają się po niej, wypatrują oznak zdenerwowania na jej twarzy, badają każdy szczegół jej

ubioru, gdy wraz z adwokatem podchodziła do jego stołu. Usiadła i czekała z opuszczonymi oczami. Przypomniała sobie usłyszane wiele lat temu słowa. „Broda do góry, plecy wyprostowane i patrz im prosto w oczy”. Podniosła głowę i z wyzywająco uniesioną brodą spojrzała w oczy siedzącego naprzeciwko hrabiego. Nie oczekiwała jego obecności, czy nie miało być to tylko przesłuchanie z udziałem prawników? Nikt jej nie powiedział, że on też będzie. Całe ciało wypełnił jej strach. Nie mogła się ruszyć. Patrzyła w jego oczy jak zahipnotyzowana. Znajome, ciemnobłękitne oczy, które znały ją jak nikt inny na świecie. Tak wiele między nimi było, taka namiętność i tyle burz, a teraz taka nienawiść. A przecież kochałaby go, gdyby tylko jej na to pozwolił. Jak inne byłoby wtedy ich życie. Schudł, wokół oczu zaznaczyły się zmarszczki, a do jego ust dażyły szerokie bruzdy. Zmienił się, ale nadal był przystojnym mężczyzną. Z ukłuciem zazdrości myślała, czy były w jego życiu inne kobiety, czy ma inne kochanki.

Gdy spuściła wzrok, poczuł, jakby wyrzuciła go ze swego świata. Przez chwilę znów była jego. O czym myśli, gdy tak siedzi? Czy go nienawidzi? Wspomnił ich pierwszy dzień na Lazurowym Wybrzeżu. Wtedy jej twarz była tak przejrzysta, że mógł czytać w jej myślach. Teraz już nie. Miał chęć jej powiedzieć, że robi to tylko dla jej dobra. Aby odzyskała rozsądek i wróciła do niego.

Sędzia zajął miejsce i prawnicy zaczęli się naradzać. Dziennikarze notowali gorączkowo. Leonia poczuła się osamotniona. Siedziała oddzielona od wszystkich tych wydarzeń, jakby dotyczyły kogoś innego. Zupełnie jak we śnie. Dziwne, myślała. Wszystko to dzieje się ze mną i z mojego powodu, a czuję się, jakbym była widzem. Siedzę tu, ludzie wokół mówią o Amelii, podejmują jakieś decyzje o jej przyszłości, a ja nie mogę nic zrobić. Było to takie samo uczucie, jakie przeżywała, gdy opuścił ją Rupert i została sama w zajeździe bez grosza przy duszy. Wtedy monsieur wygrał, ale teraz mu na to nie pozwoli. Postanowiła wtedy, że nigdy więcej nie będzie biedna i zdana na czyjaś łaskę. Dziś Paul Bernard przedłożył jej wyjście, a ona była zbyt dumna, by przyjąć jego propozycję. Teraz zmieniła zdanie. Monsieur nie poprzestanie na tej sprawie, wiedziała to. Myślał o tym, kiedy powiedział, że choćby

miało to trwać nie wiadomo jak długo, dostanie Amelię. To walka na całe życie, i jeśli ma zwyciężyć, musi mieć pieniądze. O ile Paul Bernard się nie myli i ludzie rzeczywiście będą płacić za możliwość ujrzenia jej, ona się zgodzi. Wtedy zawsze będzie mogła chronić Amelię. Nawet jeśli będzie musiała przeznaczyć na to każdy zarobiony przez siebie grosz.

Rozprawa zakończyła się. Spisane zostało między stronami porozumienie dotyczące faktów i odroczone proces do czasu uzyskania nowych dokumentów. Leonia czuła wbite w nią oczy hrabiego, chciał ją zmusić, by na niego spojrzała.

Adwokat ujął ją pod ramię i wyprowadził z sali. Szli w szmerze podziwu zachwyconego tłumu. Karo miała rację z tą granatową suknią; jej wizerunek wypadł doskonale. Ale na scenie będzie inna. Tam będzie kochanka, nie matka.

Otoczony prawnikami hrabia szedł pod zaciekawionymi spojrzeniami ucichłego tłumu. Widział Leonie przed sobą. Patrzył na zwinięte na karku i przewiązane granatową aksamitką jasne włosy. Pragnął ich dotknąć, poczuć znowu znaną jedwabistość... Żeby choć odwróciła się i powiedziała bodaj jedno słowo. Ale nie zrobiła tego. Karo podeszła do niej, ujęła ją za rękę i wyprowadziła pośpiesznie z gmachu. Patrzył za nimi, dopóki nie zniknęły w tłumie. Zszedł na dół, by wrócić do wspaniałego domu na *Ile Saint-Louis*.

Marie-France wpatrywała się w gazetę z niedowierzaniem. Słowa artykułu waliły się na nią nieprawdopodobnym ciężarem. Pełne sprawozdanie z mającego miejsce poprzedniego dnia przesłuchania sądowego w sprawie o prawa do opieki nad córką między Leonią Bahri a Gillesem. Materiał zawierał nawet opisy protagonistów: pięknej, szczupłej, jasnowłosej młodej matki i wyniosłego, bogatego arystokraty. Gazety uwielbiały takie historie. Mogli je ciągnąć tygodniami i miesiącami, ozdobione wszelkimi smakowitymi szczegółami. A ona nic o tym nie wiedziała. Przez ponad miesiąc była z dziećmi w zamku i dopiero wczoraj wróciła. Gilles nic jej nie powiedział! Cały Paryż dowiedział się o tym przed nią. Zatrzęsła się z gniewu; nie wiedziała nawet o dziecku. Podniosła ponownie gazetę i sprawdziła. Córka Amelia, jak podano, ośmio-

letnia. Osiem lat! Nie widywał Leonii przez te lata — dlaczego teraz procesuje się z nią o córkę? A przy tym ona twierdzi, że to dziecko innego mężczyzny! Czytała raz jeszcze, tym razem pomijając szczegóły. Boże drogi! Jak mógł to zrobić? Czy nie zdaje sobie sprawy, jak się ośmiesza? Ją zresztą także! Czy podejmując tę sprawę, pomyślał o jej uczuciach? Poniżył siebie i jaj ich nazwisko będzie teraz włózione w sądach i w gazetach, by każdy mógł czytać i dyskutować. Skandal dziesięciolecia! Pomyślała o chłopcach. Co on miał w głowie, kiedy robił to swoim synom? To nie może dalej trwać

Podeszła do kredensu i nalała sobie kieliszek koniaku. Zrobiła to po raz pierwszy w życiu, i alkohol jej pomógł. Uspokojona trochę, zaczęła rozważać, co powinna przedsięwziąć. Po pierwsze, będzie musiała pomówić z Gillesem i zwołać naradę rodzinną. Jego rodzina będzie przeciw niemu tak samo jak jej. Wszyscy dołożą wszelkich starań, by go powstrzymać. Nic nie zaszkodzi dobremu imieniu jej dzieci. Ona się o to postara.

37.

Dni Leonii dzieliły się między ciągnące się godzinami rozmowy w dusznych, wyłożonych drewnem biurach prawniczych a czas w chłodnym pustym pokoju, gdzie pod kierunkiem choreografów, nauczycieli śpiewu, dykcji oraz projektantów kostiumów uczyła się swego rzemiosła. Uczyli ją, tańczyli z nią i śpiewali, aż dochodziła do granic wyczerpania. Sądziła, że nic z niej nie będzie i wykrzykując swój gniew, oskarżała Bernarda, że próbuje ją upokorzyć.

— To nie tak, Leonio — przekonywał ją, gdy spocona i zmęczona, z policzkami zalanyymi łzami przysiadła na gołych deskach podłogi. — Przynależem, że nie będzie tak jak ostatnim razem — i nie będzie! Teraz mam pewność, bo wiem, że masz głos.

— Ale jest taki nikły, oni mnie nie usłyszą.

Rzeczywiście, głos był niewielki, ale miał interesującą chropowatość i przemawiającą emocjonalną barwę, Bernard nie liczył na taki naddatek. Wiedział, że oczywiście po odpowiednim uformowaniu będzie umiała się trzymać i radzić sobie z prostymi tanecznymi ruchami, a to wystarczy publiczności przychodzącej, by patrzeć na osławioną Leonię. Okazało się jednak, że ma dobry głos.

— Wytrzymaj oczy — zakomenderował. — Jest tu ktoś, kto chce się z tobą spotkać.

— Nie chcę nikogo widzieć. Jestem zbyt zmęczona. — Znużonym gestem odgarnęła włosy z czoła.

— To autor piosenek; będzie pisał specjalnie dla ciebie.

— Dla mnie? Ale dlaczego? Przecież nauczyłam się już tylu innych.

Była zmęczona, nie chciała, by ją więcej męczyli. Chciała tylko iść do domu i zapomnieć o wszystkim. Nie mogła jednak, musiała iść dalej. Dla Amelii.

Jacques Miel był prawdopodobnie jej rówieśnikiem. Ani przystojny, ani nieprzystojny. Bardzo przeciętny człowiek, gdyby nie pisane przez niego nieprawdopodobnie romantyczne piosenki, opiewające miłość, utratę i — seks. W drobnym ciebie, w oczach krótkowidza za drucianymi okularkami płonęło drugie, ukryte życie. Jakby cała jego energia i wszystkie przeżycia wlewały się w muzykę i wiersze. Bóg może dał mu najzwyczajniejszy wygląd, ale był to jeden z najbardziej natchnionych talentów, jakie kiedykolwiek spotkała. Był fascynujący. Od chwili, gdy go poznała, występ na scenie, który majaczył w jej świadomości widmem zbliżającej się katastrofy, zmienił swą postać i po raz pierwszy poczuła, że może jej się udać. A wszystko dzięki piosenkom Jacquesa.

Spędzała wieczory w jego mieszkaniu, pracując wraz z nim nad wierszami. Dokładnie wiedział, jakie frazowanie powinna zastosować, był lepszy od nauczycieli śpiewu.

— Twój głos jest niewykształcony — powiedział jej — ale dysponujesz za to szczególną wartością. W niższych rejestrach jest szorstki, dziki, nieco surowy i zmysłowy... To właśnie musimy wykorzystać. Nie potrzeba nam, byś śpiewała słodkie piosneczki. To nie byłabyś ty, Leonio.

— Naprawdę? — spytała z nutą żalu w głosie. Jak dobrze byłoby być słodką i prostą.

— Nie ty na scenie — poprawił się.

— I to jest problem, gdyż bardzo bym chciała, żebym to nie ja była na scenie. Boję się wszystkich tych prześlizgujących się po mnie oczu, patrzących na *Leonie Bahri*. Co mogę im dać? Po prostu najchętniej ukryłabym się gdzieś.

— Posłuchaj — *zaczej*. — Od chwili, gdy skończyłem czternaście lat, pracuję wśród aktorów i aktorek i wcześniej się dowiedziałem, że nikt nie jest sobą na scenie. Zabawny komik jest milczącym, niepewnym siebie człowiekiem, który poza sceną powie ledwie parę słów, wyniosła przed publicznością aktorka staje się uroczą młodą dziewczyną, a piękna, eteryczna balerina za kulisami

poci się z bólu naciągniętych mięśni. Każdy z nich przybiera inny wygląd, staje się zupełnie kimś innym. Nigdy nie wolno dawać publiczności siebie, Leonio. Ty masz dać im to, co sami chcą zobaczyć. Za taki właśnie wizerunek powinnaś się skryć.

Jak zwykle miał rację. Chciała być na scenie kimś innym, nie Leonią. Chciała stać się nową osobą. A poza tym, czy publiczność nie spodziewa się kogoś nadzwyczajnego, innej od nich samych osoby? Leonii z gazet, egzotycznej, mieniającej się, podniecającej. Ale kim ona właściwie jest?

— Tu nie ma nikogo, tylko ja, Jacques. Jestem taka jak oni.

— To nieprawda. Wyglądasz także inaczej. Jesteś inna niż wszyscy, których znam. Jesteś nie tylko piękna. Jesteś... jakby innego pochodzenia.

— To za sprawą mojego ojca. Był Egipcjaninem.

— Więc to tak! Ależ to wspaniale!

— Co jest wspaniałe?

— Egipski wizerunek. Za nim się ukryjesz. Daj im coś egzotycznego do oglądania i odciągnij ich myśli od kochanki hrabiego de Courmont. Masz coś więcej do zaoferowania niż fakt, że do niego należałaś.

Pomyślała o Sechmet i obcisłych szatach, przypominających uwielbiane przez nią suknie od *Fortuny*. Może już wtedy przyswoiła sobie podświadomie ten egipski wygląd.

Jacques ściągnął z półek książki i zasiedli oboje nad ilustracjami przedstawiającymi dawne Egipcjanki. Wskazywał ozdoby włosów, dziwnie niebieskie linie podkreślające oczy i miękkie, przylegające do ciała szaty. Tak, to było doskonałe; skryje się za swoimi przodkami.

— Jacques — rzekła, zarzucając mu ręce na szyję — jesteś cudowny. Nigdy nie poradziłabym sobie z tym. Teraz, gdy już jestem kimś innym, może będzie mi łatwiej.

— Czy zrobisz coś dla mnie? — spytał, nie puszczając jej.

Patrzyła na niego wyczekująco.

— Zachowaj dla mnie *Leonię*.

Zawahala się, a po chwili patrząc w ciemne oczy za grubymi szklami, **delikatnie** zdjęła mu okulary.

— Część mnie — rzekła cicho. — Tylko część mnie, Jacques.

Cudownie było znaleźć się znowu w objęciach mężczyzny. A on był takim miłym i czułym kochankiem. Delikatny, całował ją i gładził jej włosy, szepcząc, jaka jest piękna. Potem rozebrała się i obróciła się, by na niego spojrzeć. Był również nagi. Szczupły ale muskularny, wąski w biodrach, z małymi twardymi pośladkami i zaskakująco mocnymi nogami. Był gotów do miłości tak jak i ona. Całował, pieścił i gładził ją, aż zażądała więcej i wtedy wszedł w nią pełen namiętności, a ona była równie roznamiętniona. Dawno już opuściła hrabiego i od tamtego czasu nie miała mężczyzny, ale w momencie spełnienia pomyślała właśnie o nim, wspomniała uczucia, jakich doznawała, gdy on w niej był.

Zapomniała już niemal, jak cudownie jest zbudzić się w ramionach mężczyzny i znów kochać się wczesnym rankiem, a potem pić razem kawę w zmiętej pościeli.

— Musimy wnieść za to toast—powiedziała z uśmiechem. — Za całą nową erę w moim życiu.

Podnieśli filizanki.

— Za nowe życie Leonii — rzekł uroczyście. — Za twoje szczęście.

— Ach, Jacques, tak się cieszę, że jesteśmy tu razem... Dobrze mi.

Odstawił kawę i pocałował ją.

— Dobrze, nie dobrze, ale jesteś kobietą pracującą. Czas wstawać.

— Ach ty, poganiaczu niewolników — roześmiała się.

Uświadomiła sobie, że rzeczywiście o dziesiątej musi być na próbie, o drugiej ma spotkanie z adwokatami, po czym znów wraca na próbę. Teraz mają znacznie więcej do omówienia z Paułem. Nowe projekty kostiumów i scenografii; zupełnie inny wizerunek. Po raz pierwszy czuła zainteresowanie, podniecenie ideą. Na chwilę pozwoliło jej to nawet zapomnieć o hrabi.

Gilles patrzył zaniepokojony na miotającą się po pokoju Marie-France. Nigdy nie widział u niej takiego gniewu. To już nie był gniew. To była furia. Marie-France była wściekła. Kilka tygodni temu przyrzekł jej, że zaniecha sprawy, ale oczywiście nie zrobił tego. Nie miał pojęcia, w jaki sposób dowiedziała się, że jego

adwokaci kontynuują dzieło procesowe. Liczył na jej nieświadomość, aż było za późno. Zagroziła mu całą rodziną i cała rodzina stanęła za nią murem. Nie miał wyboru. Kryły się za tym sprawy, nad którymi nawet on nie miał władzy, a jedną z nich były struktury rodzinne, z ich powiernictwem i podstawami organizacyjnymi. Gdy stwierdzili, że jego postępowanie godzi w ich interesy, zagrozili, że podejmą odpowiednie działania. Marie-France mówiła o jego niezrównoważeniu; o tym że odbierze mu prawo do opieki nad dziećmi. Nad *jego synami* Będzie musiał znaleźć jakiś sposób ugłaskania jej, z szansy odzyskania Leonii nigdy jednak nie zrezygnuje.

— Nie jestem w stanie zrozumieć — pieniała się — dlaczego chcesz mieć to dziecko. Ona twierdzi wręcz, że nie jest twoje. Dlaczego chcesz wziąć bękart innego mężczyzny? Jesteś gotów poświęcić własną rodzinę, dzieci, co do których nie masz wątpliwości, że są twoje własne, po to tylko, by dręczyć tę kobietę? Jesteś szalony, Gilles. Zupełnie straciłeś rozum

— Nie rozumiesz, Marie-France. — Z rozmysłem mówił bardzo spokojnie. — Muszę ją mieć, ponieważ to moje dziecko. Nie mogę znieść myśli, że została porzucona w jakimś chłopskim domu tylko dlatego, że Leonia jej nie chce.

— Ona twierdzi co innego. Utrzymuje, że to przed tobą musiała ukryć Amelię, że się ciebie boi.

— Marie-France, jesteś matką... Dziecko należy do de Courmontów. To moja córka

— No dobrze, odzyskasz ją, i co wtedy? Co masz zamiar z nią zrobić? Sprowadzić tutaj?

— Potrzebuję jej, Marie-France. Ona również jest moim dzieckiem.

Patrzyła na niego, a gniew uchodził z niej powoli. Sprawiał wrażenie chorego, zmęczonego. Zrozpaczonego. Czyżby był szczerzy? Czy był na tyle głupi, by sprawić Leonii dziecko? Tylko jedna osoba może znać prawdę. Zapadła w fotel zrezygnowana. Upokorzenie? Trudno. Musi zapytać o to Leonie.

Leonia przeciągnęła się z rozkoszą. Dziś rano nie miała żadnych repetycji i po niepowodzeniu prób kostiumowych, które dzień

przedtem ciągnęły się aż do nocy, była zadowolona z możliwości wytchnienia. Paul nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego. Nie przejął się ani niezbyt dobrze działającym oświetleniem, ani źle leżącymi kostiumami. Kiedy jednak spokojna przez cały czas na swym łańcuchu piękna czarna pantera wystrzeliła do przodu z wyciągniętymi pazurami i obnażonymi zębami, rzucając się na niego, wydawało się, że nie wytrzyma.

— Wszystko w porządku — rzekł jednak ze stoickim spokojem. — Nie udało się jej.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i atmosfera się rozładowała. Paul to cudowny człowiek spokojny, nie poddający się emocjom w obliczu żadnego zagrożenia.

— Kochana, wszystko to już widziałem — stwierdził, otwierając szampana. — Proszę, potrzeba ci trochę odprężenia.

— Przydałyby mi się raczej nowe nerwy — powiedziała, biorąc z wdzięcznością kieliszek.

— Ależ Leonio, jesteś cudowna! Dokładnie taka, jaka powinnaś być. Wierz mi, znam się na tym. Cała reszta — światła, kostiumy, scenografia to tylko sprawy techniczne. Ty i muzyka — to doskonałość. Proszę cię, przestań się wreszcie martwić. Idź do domu i wyśpij się dobrze.

Wiedział, że sypia z Jacquesem — wszyscy o tym wiedzieli — i cieszył się z tego. Od chwili, gdy go spotkała, stała się inną kobietą. Modlił się tylko, by ten romans nie skończył się przed premierą.

Jacques przyniósł jej śniadanie do łóżka. Na widok pełnej tacy wydała pelen zadowolenia pomruk. Przesunęła delikatnie stopą Bébé, by zrobić mu przy sobie miejsce, i gdy usiadł, popatrzyła z uznaniem na bułeczki i *croissanty*.

— Przynajmniej apetytu nie straciłaś — stwierdził, gdy zanurzyła bułeczkę w kawie.

— Zobaczmy, co będzie później — uśmiechnęła się. — Teraz myślę tylko o śniadaniu. I o tobie. — Odwróciła się i wydobyła spod poduszki niewielką paczuszkę. — To prezent dla ciebie. Z okazji premiery.

— Prezent? — W krótkowzrocznych piwnych oczach błysnęło zadowolenie, gdy sięgnął po okulary.

Kupiła mu spinki do mankietów. Złote z turkusikami — kamieniem Egiptu. Widziała malujące się na jego twarzy rozradowanie.

— To moje podziękowanie dla ciebie, Jacques. — Pocałowała go. — Za to, że mi pomogłeś. W dalszym ciągu może się to obrócić w klęskę, ale przynajmniej nie z powodu muzyki. Poza tym mogę ukryć treść za tą inną Leonią.

— Ja też mam dla ciebie prezent — oznajmił. — Ale jest w teatrze. Później się go otworzy.

— Rozumiem—roześmiała się. —Niespodzianka. Może dzięki temu przestanę myśleć o tremie.

— Przełamiesz ją dopiero wtedy, kiedy wyjdiesz na scenę.

— Będę o tym pamiętać wieczorem — obiecała, tuląc się do niego.

O drugiej zaczęła się denerwować. Jacques wyszedł do teatru, by dokonać ostatnich uzgodnień z orkiestrą, a ona, wraz z nieodłączną Bébé na rękę, snuła się po jego mieszkaniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Podeszła do lustra i przyjrzała się swojej twarzy. Taka jak zawsze, gładka i bez zmarszczek. Tylko jedna pionowa linia między brwiami. Westchnęła i odwróciła się. Przynajmniej makijaż jest cudowny. Paul miał rację, nie pozwalając jej na przesadną dramatyczność, na zrobienie z twarzy maski. W zasadzie miała podkreślone tylko oczy, podmalowane głębokim niebieskim cieniem, tak jak robiły to starożytne Egipcjanki. Włosy miała splecione w setkę małych warkoczyków ozdobionych piórami i turkusowymi paciorkami.

Godziny wlokły się w nieskończoność. Spojrzała na zegar. Dopiero wpół do trzeciej, a fryzjer ma być w teatrze o czwartej. Musi wyjść. Tam poczuje się lepiej. No i nie będzie mogła uciec!

Niełatwo było Marie-France odszukać Leonię. Nie dysponowała sposobami, jakimi jej mąż zdobywał informacje. Tak mało wiedziała o kochance Gillesa, że nie miała pojęcia, gdzie jej szukać. Z oczywistych powodów nie mogła spytać jego adwokatów, a choć знаła nazwisko prawnika Leonii, nie chciała się do niego zwracać. Nie wiedziała, jakich ma przyjaciół, ani gdzie teraz mieszka. Od czasu tamtej wizyty u niej przed wielu laty nie miała powodu, by zaprzętać sobie nią myśli. Aż wreszcie przeczytała w gazecie, że

Leonia ma premierę w *Royalu*, i przy okazji dowiedziała się, że tam właśnie jest zaangażowana. Pomyślała, że wieczór premiery to raczej nie najlepszy moment na takie spotkanie, ale nie miała wyboru. Jej sprawy były dla niej ważniejsze.

Odźwierny przy kulisach od razu zrozumiał, z kim ma do czynienia i natychmiast poderwał się ze swego krzesła.

— Proszę zanieść ten list mademoiselle Leonii — zażądała.

— Tak jest, madame, a czy mógłbym wiedzieć, od kogo?

Spojrzała na płonącego chęcią dowiedzenia się, kim ona jest, człowieka. Dość tych wszystkich plotek. To sprawa między nią a Leonią.

— Nie, nie mógłby pan — odparła chłodno.

Zaszurał nogami, oddalając się w głąb korytarza, a ona patrzyła za nim zirytowana. Nigdy przedtem nie była za kulisami teatru i teraz, gdy patrzyła na odrapane, pokryte luszczącą się farbą ściany i zasypaną podłogę, nie miała chęci więcej tego oglądać.

Wrócił po kilku minutach i poprosił, by poszła za nim. Korytarz przed garderobą Leonii był nieco czystszy, a farba na ścianach trochę świeższa, choć też nie za bardzo. Jednak drzwi zostały niedawno pomalowane jasnym, mieniącym się złotem, a gdy zapukała i weszła, zobaczyła inny świat. Ściany i sufit zawieszony były zadrukowaną złotem brązowoczerwoną tkaniną, tak że pokój przypominał namiot. Pod ścianami stały niskie, zarzucone poduszkami otomany, a palące się w brązowych świecznikach świece wydzielały mdlący zapach piżma. Leonia siedziała przed szerokim lustrem. Złożony fotel, w którym czekała, przypominał tron.

Jej ogromne oczy błyszczały spomiędzy głębokiego błękitu jak żółte brylanty. Koronki wypieki pokryte były złotym pudrem, usta pociągnięte soczystą, lśniąca czerwień. Ruszyła ku Marie-France, odrzucając ozdobione piórami warkoczyki i wyciągnęła rękę. Była w luźnym jedwabnym kimonie, paznokcie bosych stóp miała pomalowane na ten sam, dopełniający kolor pomadki odcień co paznokcie u rąk.

— Nie wiem, po co pani tu przyszła — wyraziła zdziwienie Leonia, gdy Marie-France zignorowała wyciągniętą dłoń. — Walczę z pani mężem, do pani nie mam żadnych pretensji.

— Zaraz przejdę do rzeczy — rzekła Marie-France. — Nie przyszedłam, by się z panią spierać. Chcę tylko dowiedzieć się prawdy.

Być może pamięta pani, że w czasie naszego jedyne go spotkania uprzedziłam ją, iż w przypadku jakichkolwiek nieporozumień moje dzieci oraz ich dobre imię będą dla mnie najważniejsze. No cóż, doszło do konfliktu. Gilles hańbi nasze nazwisko. To stara, szanowana rodzina i moi synowie mają prawo do noszenia nazwiska nie splamionego żadnym skandalem. Gerard jest w wieku, kiedy jest się bardzo wrażliwym, skończy niedługo siedemnaście lat. Koledzy w szkole wiedzą, co dzieje się z jego ojcem. To nie w porządku, mademoiselle.

— Dlaczego więc nie powstrzyma go pani? Pani z pewnością może to zrobić. Czy sądzi pani, że dopuściłabym do tej sprawy, gdybym miała taką możliwość? Jestem bezradna, madame.

— Jest na to sposób, ale muszę poznać prawdę. Gilles przy sięga, że dziecko jest jego. A jeśli tak, ma do córki oficjalne prawo. Błagam, niech pani mu ją odda. Możemy przecież zakończyć to wszystko, rozwiązać sprawę prywatnie, w sposób cywilizowany. Przrzekam pani jako matka, że będę się opiekowała Amelią; to z pewnością lepiej niż ją ukrywać. A pani będzie mogła ją widywać, dopilnuję tego.

— A jeśli Amelia nie jest jego dzieckiem?

Marie-France patrzyła na nią spokojnie.

— Wtedy użyję wszystkich moich wpływów, a także naszej rodziny, by powstrzymać go od dalszych działań w tym kierunku.

Leonie odrzuciła z pulsującej głowy ozdobione piórami warkoczyki. Kusilo ją, by uwierzyć, że Marie-France weźmie jej dziecko i będzie je chronić, ale wiedziała, że to nierealne. Monsieur nadal będzie miał nad nią władzę.

— Amelia nie jest córką pani męża—powiedziała wyraźnie. — Jej ojcem był Charles d'Aureville... Nie żyje... Utonął w wypadku na żaglach.

Marie-France odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, co powiedzieć. Pod mocnym makijażem twarz dziewczyny była bardzo blada.

— Moja córka to Amelia d'Aureville i może to pani powiedzieć Gillesowi. To prawda.

— Dziękuję pani, Leonie — powiedziała cicho Marie-France. — Proszę mi zaufać, zrobię wszystko, by przerwać ten proces. Nie będzie pani miała więcej przykrości od de Courmontów.

Odeszła. Leonia patrzyła za nią. Żadnych więcej kłopotów ze strony de Courmontów? Z nerwowym śmiechem opadła z powrotem na swój złożony tron. Monsieur będzie prześladował ją do końca życia. Ja i Amelię.

Jacques wpadł do pokoju z radosną twarzą. W ręku miał małą paczuszkę.

— Co się stało? — zapytał.

Mimo ostrego makijażu widział, że jest blada. Zaczęła się trząść. Nie wiedziała, czy podola. Premiera nadal była przed nią.

— Och, Jacques — wyszeptła i rozplakała się.

— Nie płacz, na litość boską — jęknął. — Popsujesz makijaż! Zaczęła się śmiać.

— Ale ja chcę płakać, Jacques!

Śmiech i płacz zmieszały się, a on zaczął gorączkowo przykładać jej do oczu tamponiki z waty.

— Pocałuj mnie lepiej — rzekł. — Łatwiej poprawić usta niż oczy.

Pocałowała go posłusznie, a on wsunął jej w ręce prezent.

Bébé leżała pod lampami oświetlającymi lustro, patrząc z zainteresowaniem na rozwijanie podarunku. Złota egipska moneta, pochodząca z XVIII Dynastii, stara i wytarta od używania. Oprawił ją w delikatną złotą ramkę i zawiesił na cienkim łańcuszku, tak że mogła ją nosić na szyi.

Leonia przesunęła palcem po delikatnym zatartym reliefie przedstawiającym zwój papirusu oraz po dziwnych hieroglifach. Moneta miała stanowić przypomnienie, że rola, jaką ma odgrywać, ma swe podstawy w rzeczywistości. Tylko Jacques mógł o tym pomyśleć i tylko on był w stanie pokonać wszystkie trudności wiążące się ze znalezieniem czegoś takiego. To podarunek od wrażliwego, troskliwego mężczyzny. Taki podarunek znaczył dużo więcej niż brylanty.

— Dziękuję ci, Jacques — szepnęła, zostawiając na jego twarzy czerwone ślady pocałunków. — Dzięki tobie czuję się lepiej. Ty zawsze wiesz, co powiedzieć i co zrobić.

38.

'K'aro nie wiedziała, kto bardziej się denerwuje, ona czy Alfons. Zacierał nerwowo ręce, sprawdzał bez przerwy szczegóły programu i rozglądał się po widowni, choć nie było żadnego powodu do niepokoju. Widać było, że sala będzie pełna. Zaprosili wszystkich znajomych, tak że mieli pewność, iż jakieś brawa dostanie. Ona jednak nie miała o tym pojęcia. Patrzyła z niedowierzaniem na szybko zapełniające się balkony. Grupy młodych dziewcząt sprowadziła tu zapewne chęć ujrzenia kochanki hrabiego de Courmont. Samotnych mężczyzn przywiodły marzenia o posiadaniu tak pięknej kochanki jak Leonia; przeżywane w wyobraźni dotykanie jej skóry, gładzenie jej piersi. Były też kobiety w średnim wieku i młode matki oraz grupki młodych ludzi spragnionych widoku symbolu blasku i seksu, którym miała być Leonia. Na galeriach i w łóżach siedzieli ci, którzy przyszli tu, by napawać się kłęką Gillesa de Courmont, gdy jego kochanka ukaże się na scenie przed żądnymi sensacji ludźmi.

Teraz zrozumiała, co miała na myśli Leonia, gdy powiedziała że ich oczy pełzają po całym ciele; nie pominą najmniejszego szczegółu. Pamiętała jej ostatnie wyjście na scenę i modliła się, by tym razem wszystko poszło dobrze. Gdzieś w głębi miała jednak okropne uczucie, że występ Leonii stanie się straszną katastrofą.

Marok czekał w ostatnich rzędach parteru, obserwując gromadzące się tłumy. Jego szczególnie prosiła, by przyszedł. Powiedziała, że nie będzie w stanie tego zrobić, jeśli nie będzie miała

świadomości, że on tam jest. Był przecież świadkiem wszystkich ważnych wydarzeń jej życia. A tym razem potrzebowała go rozpaczliwie. Nie wyobrażał sobie wprawdzie, w czym mógłby jej pomóc, ale był równie zdenerwowany jak ona. Co chwila wycierał chustką spocone dłonie.

Odkąd podjął pracę w *Hotel Lancaster*, nie widywał się z Leonią tak często, jakby chciał, ale pisywali do siebie regularnie. Raz czy dwa razy do roku wyjeżdżali na Lazurowe Wybrzeże, ale nie dysponował swobodnie swym czasem. Wszystko pochłaniała praca. Wielkim wysiłkiem wspiął się na stanowisko wicedyrektora i miał zamiar któregoś dnia otworzyć swą własną placówkę.

Wreszcie kurtyna zaczęła się podnosić i muzycy wypełnili kanał orkiestry. Miał nadzieję, że jej się uda. Przed półgodziną, kiedy wszedł za kulisy, wydawała się dość spokojna, ale przez ten czas wszystko mogło się zdarzyć.

Orkiestra próbowała instrumenty, drażniąc jego i tak już napięte nerwy. Niespokojnie przemierzał przejścia między tylnymi rzędami parteru. Chyba nie wytrzyma oglądania tego. Pamiętał ten ostami raz, kiedy przybiegła do niego złamana i upokorzona. Światła zaczęły przygasać. Stał pod ścianą z założonymi rękami. Chętnie by się napił.

Gdy światła zgasły, Karo chwyciła Alfonsa kurczowo za rękę. Rzucił ostatnie spojrzenia przyjaciółom. Oni przynajmniej wiedzieli, co mają robić. Cokolwiek się stanie, będą bić brawa. Fortepian wziął pierwsze akordy uwertury, dołączyły skrzypce i opadły szmery podnieconych rozmów. Nastąpiła pełna oczekiwania cisza.

Leonia czuła się dobrze aż do chwili wyjścia Jacquesa. Miał dyrygować orkiestrą i chciał po raz ostami sprawdzić, czy wszystko w porządku. Do swojej pracy odnosił się z wielką skrupulatnością i niczego nie zostawiał przypadkowi.

Teraz wyszedł także Paul oraz jej garderobiana, wciąż coś poprawiająca przy cienkim jedwabiu jej sukni. Spojrzała na zegar. Orkiestra grała uwerturę, co znaczyło, że do jej wyjścia pozostało jeszcze pół godziny. Pierwszą część wieczoru wypełniał zespół z tancerkami i komikiem, we wspaniałej, mieniącej się, pełnej blasku dekoracji.

— Ale dlaczego — zapytała Paula z pretensją — dlaczego to nie mogę być ja? Czy nie zrobiłam tego, czego się ode mnie oczekuje? Poza tym oni wszyscy po to tu przyszli.

— Trzeba im kazać czekać — tłumaczył. — Potęgować oczekiwanie i podniecenie... Sprawić, by jeszcze bardziej pragnęli cię ujrzeć. Damy im cały blichtr i wspaniałość tańców, a potem zaprezentujemy coś absolutnie innego. Jedną samotną kobietę na scenie. Będziesz cudowna, Leonio.

Spojrzała w lustro. Wygląda świetnie. Problem tylko w tym, że nie czuje tego w środku, w sobie. Och, Jacques, zakolała jej w głowie rozpaczliwie. Czyżbyś się mylił? Jak mam się stać *inną osobą*? Chyba nie dam rady.

Paul złożył lekki pocałunek na czubku jej ufryzowanej głowy.

— Spokojnie. — Uśmiechnął się. — Wszystko będzie dobrze.

— Naprawdę? — Oczy zdradzały jej przerażenie.

— Każdy tak się czuje przed premierą — powiedział miękko. — Wszyscy tu będziemy. Pomożemy ci przez to przejść, Leonio. Nie jesteś sama. Jacques jest w kanale dla orkiestry i będziesz go widziała ze swego miejsca. Na widowni są twoi przyjaciele. Odwagi, dziewczyno.

Machnął jej jeszcze ręką, po czym odszedł, by sprawdzić, czy wszystko idzie zgodnie z programem. Odwagi, pomyślał z lękiem. Miał nadzieję, że jej się uda.

Garderoba pełna była kwiatów: mnóstwo herbacianych róż od Karo i Alfonsa, wielkie bukiety pachnących letnich kwiatów od Paula i delikatne kamelie od Jacquesa. Nawet jej adwokat przysłał róże. Zapach wypełniał pokój i gdy zamknęła oczy, miała wrażenie, że jest w ogrodzie. Ale jedna woń zagłuszyła wszystkie inne, nawet kamelie. To jaśmin, który przyniesiono kilka minut temu. Leżał przed nią na stole razem z bilecikiem. Znane pismo, surowe, bez zdobień. Przeczytała ponownie. „Nie zapomniałem cię, Leonio”. Podpisane po prostu „Monsieur”.

— Czas na ciebie, Leonio — rzekł Paul, stając w drzwiach.

Odetchnęła głęboko, raz jeszcze spojrzała w lustro na kobietę, która nie była nią, i odwróciła się do niego.

— Jestem gotowa — powiedziała, unosząc wyzywająco brodę.

Paul miał rację. Publiczność była głównie dla niej, spragniona widoku kochanki najbogatszego człowieka Francji. Czekala z boku sceny, aż Jacques dał znak, światła na scenie przygasły i rozbrzmiały dźwięki muzyki. Przypomniała sobie Loulou. Wyprostować się, ramiona swobodnie i do tyłu — mówiła. To musi być ostentacja, powiedziała. Chwyciła mocno łańcuch, okręciła sobie wokół nadgarstka i z panterą u boku wkroczyła na scenę.

Widownia łapała powietrze, gdy stanęła przed nimi wyzywająco, zmuszając ich, by na nią patrzyli. Na nią, egzotyczną, inną niż oni, wspanialszą i potężniejszą istotę. Wielki kot leżał posłusznie u jej stóp. Złotawe światło zamknęło je w ciepłym kręgu i gdy Leonia uniosła ramiona, drobniutkie fałdki tworzące rękawy jej tuniki rozpostarły się jak wspaniałe złoty wachlarz. Przez widownię przebiegł szmer. W tylnych rzędach rozległy się oklaski, na balkonach zapanowała pełna uwielbienia cisza. Nie wiedzieli, czego właściwie oczekują, ale na pewno nie tego. To nie była tylko śliczna dziewczyna, która przebija się przez życie, ani biedna, oszalała młoda matka, ani też poniżona, odrzucona kochanka bezwzględnej mężczyzny. To była istota z innego świata.

Zaczęła śpiewać delikatną, cichą piosenkę o zakochanej kobiecie. O tym jak kochała, jak uwielbiała dotyk jego skóry, co czuła, gdy leżał przy niej, trzymając ją w ramionach.

Alfons rzucił szybkie spojrzenie na salę. Wychyleni w fotelach ludzie wbijali wzrok w Leonie, chwytając każde padające ze sceny słowo. Łowili wszelkie niuanse i cokolwiek dało się odczytać między wierszami. Siedzieli zahipnotyzowani jej szorstkim, o wyraźnej zmysłowości głosem.

Pieśń się skończyła i światło przygasło, wydobywając z mroku tylko jej opuszczoną głowę. Zaczęły się oklaski. Najpierw pojedyncze, narastające stopniowo, gdy odzyskując oddech ludzie dołączali się, by z powrotem zamierać do osłupiałej ciszy, kiedy Jacques odwrócił się do następnego numeru, a światła na scenie ukazały sześciu potężnych Nubijczyków. Stali wyprostowani, każdy ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, z połyskującymi potężnymi klatkami piersiowymi i drgającymi przy ruchu mocnymi mięśniami brzuchów. Tylko kawałki złotej tkaniny, udrapowane na wzór egipski wokół bioder, przesłaniały ich nagość. Leonia przechadzała się sztywno, długonoga i gibka jak pantera, i śpiewała

następną piosenkę. Barbarzyński południowoamerykański rytm podkreślał pokusę zakazanego owocu...

Marok wiedział, że to ona, ale nigdy przedtem nie podejrzewał nawet istnienia w niej takiej istoty. Publiczność była zachwycona, ludzie nie odrywali od niej oczu. Wpatrywali się w nią, jakby chcieli na zawsze zamknąć ją w swej pamięci. Drzwi z foyer za nim rozwarły się i jakaś postać wślizgnęła się szybko do środka. Marok wątpił, czy spóźniony widz zdoła znaleźć teraz swoje miejsce. Mężczyzna oparł się o ścianę i mimo panującego na sali półmroku Marok zauważył coś znajomego w jego sylwetce, w szerokich plecach. W rozbłysku światła ze sceny rzucił szybkie spojrzenie na dziwny profil. Monsieur patrzył nieporuszony na scenę, niepomny na nic, co' działo się poza nią. Dlaczego tu przyszedł? Czy będzie chciał się z nią zobaczyć? Marok miał nadzieję, że nie. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Tutaj, w ciemnościach, Gilles czuł się niemal tak, jakby z nią był. Stała tak blisko, ledwie parę metrów dalej, na scenie. Przejrzysta złota tunika mieniła się w blasku światła, kryształowe fałdki rękawów jaśniały wokół jej kształtów, ślizgając się po jej ciele niczym ciepły język. Była cudownie, płomiennie, wykwintnie zmysłowa. Dla niego nie była obca. Była Leonią, którą tylko on znał. Gdy brawa i okrzyki wyrwały go z marzeń, dotarła do niego irtujaco świadomość ludzkiej obecności. To nie jest w porządku. Ci ludzie nie powinni tu być. To wszystko przeznaczone było wyłącznie dla niego. Czy nie widzą, że ona należy do niego? Odwrócił się wściekły, by wyjść. Nie mógł ścierpieć, że kobieta, którą kochał, tak się obnaża. Ale nie mógł się na to zdobyć, nie mógł od niej odejść. Musiał dotrwać do końca. I co dalej? Przypomniał sobie awanturę z Marie-France przed jego wyjściem. Tę rundę wygrała ona, ale on jeszcze nie skończył. Znajdzie Amelię, a wtedy Leonia do niego wróci. Znów skupił całą swą uwagę na scenie, pijąc jej obecność jak spragniony podróżnik w oazie. Teraz przynajmniej zawsze będzie wiedział, gdzie ona jest. Za cenę biletu może ją zobaczyć, kiedykolwiek zapragnie. To początek.

Marok przyglądał się wpatrzonemu w Leonię hrabiemu. Pamiętał go. Wysoki, zawsze wyniosły, uprzejmy człowiek, zawsze lodowato grzeczny i zawsze opanowany. Kiedy nastąpił ten rozpad? Czy z powodu Leonii, czy też już przedtem, w jakimś innym

momencie jego życia? Czy tak bardzo został skrzywdzony przez kobiety, że traktował je z taką pogardą, czy też Leonia doprowadziła go do takiego upodlenia? Z jej powodu zabił, z jej powodu się poniżał; teraz w teatrze musi patrzeć, jak przyglądają się jej thumy. Nie pozwoli jej odejść! Ten człowiek jest naprawdę opętany.

Ostatnie tony muzyki zamarły w ciszy i Leonia zwróciła się ku publiczności. Stała bez uśmiechu z martwymi, bez wyrazu oczami, gdy publiczność zaczęła powstawać i teatr zatrzęsł się od braw i okrzyków. Pot spływał jej po plecach chłodnymi strumyczkami; nie wiedziała, czy to zmęczenie, czy strach. Była jak sparaliżowana. Pantera kręciła się niespokojnie na łańcuchu, więc pochyliła się i pogłaskała gładki czarny łeb. Wyczuła pod ręką drżenie potężnego pomruku. Wiedziała, że nie ma potrzeby bać się zwierzęcia. To kot, a ona je uwielbiała. Woźni zaczęli wnosić na scenę bukiety. Opuściła wzrok i chwyciła spojrzenie Jacquesa. Uśmiechał się do niej zachęcająco i nagle poczuła się normalnie. Jest po wszystkim. Uśmiechnięta patrzyła dokoła z niedowierzaniem, gdy widzowie zaczęli domagać się bisów. Czyżby to była prawda? Rzeczywiście wszystko poszło dobrze? Lód w żyłach rozpuścił się, i ona nie mogła już więcej śpiewać. Teraz była Leonią. Gdy rozbrzmiały ostatnie okrzyki, potrząsnęła pełną piór głową, zaśmiała się głośno i na fali rozradowania wraz z wielkim kotem sadzącym susami u jej boku wybiegła ze sceny.

Paul chwycił ją w objęcia i ucałował mocno, a tancerze i obsługa sceny wybuchnęli frenetycznymi oklaskami.

— Cudownie! Byłaś cudowna, Leonio. Wiedziałem, że tak będzie.

W garderobie zmęczonym gestem zsunęła z włosów opaskę i opadła na swój złoty fotel. Szampan już się chłodził. Jacques wpadł do pokoju z płonąca z podniecenia twarzą. Nie posiadał się z radości z powodu jej sukcesu. Przykląkł teatralnie i ucałował jej bosą stopę.

— Leonio Bahri, byłaś wprost zadziwiająca. O wiele, o wiele lepsza niż na próbach. Co się stało? Skąd się to wzięło?

— Nie wiem — roześmiała się. — Nie wiem nawet, co zrobiłam inaczej. Chyba stałam się po prostu inną osobą, tą, której pragnęła publiczność.

— Cokolwiek to było, udało się — rzekł Paul, unosząc w jej stronę kieliszek. — Dobrze wypadłaś.

Piła szampana i zmęczenie zaczęło powoli uchodzić.

— Tylko dzięki tobie, Paul. I tobie. — Pocałowała Jacquesa namiętnie, aż Paul uśmiechnął się. — Co ja bym bez ciebie zrobiła?

W garderobie zrobiło się nagle tłoczno. Karo z trudem precyzyjnie się do niej i śmiejąc się i płacząc na przemian, zaczęły się obejmować. Alfons przycisnął ją do siebie i głąskał po głowie jak dziecko, które trzeba pocieszyć. Rozradowany jej triumfem Marok nie wypuszczał jej z objęć. Reporterzy próbowali wcisnąć się do zaczarowanego kręgu w garderobie, ale obsługa trzymała ich zdecydowanie na dystans. Leonia wcisnęła się za wielki parawan z Coromandel, podarowany jej przez Paula, by się przebrać.

Przyjęcie miało się odbyć u *Voisina*, sceny tak wielu jej triumfów i bitew. Nie była tam od lat i kiedy Alfons zapytał ją, gdzie chciałaby pójść, ta restauracja wydała jej się jedynym możliwym wyborem. Gdyby wieczór okazał się katastrofą, ukoiłby ją jej miękki komfort, nigdzie też nie byłoby lepiej świętować zwycięstwa.

Śmiechy i rozmowy płynęły wraz z falą szampana, a ona patrzyła w lustro, gdy Julia wyciągała jej z włosów pióra. Siedziała ubrana w swą ulubioną suknię, jedną z niewielu, które zostały jej z dawnych czasów, gdyż były przechowywane w zajeździe. Ametystowy jedwab, układający się jak jej kostium sceniczny. Z suknią wiązało się wspomnienie hrabiego, który sam wybrał ją dla niej pewnego słonecznego poranka w Cannes, kiedy nagle świat stał się dla niej cudowny. Włożenie jej dziś, gdy specjalnie przygotowana na tę okazję nowa suknia wisiała w szafie, było perwersyjne, choć nie to miała na myśli. Była po prostu do niej przywiązana. Ściągała kremem egzotyczną sceniczną maskę, aż znowu stała się sobą. Zawahała się przy oczach. Podobała jej się możliwość skrycia się za inną osobą, możliwość bycia dwiema osobami równocześnie. Jak Sechmet. A zresztą, czyż nie jest taka jak Sechmet? Chroniąca tych, których kocha i straszna wobec swych wrogów? Zadrzała na wspomnienie hrabiego, Marie-France i Amelii, na myśl, dlaczego to wszystko robi. Och, Amelio! Może przyjdzie taki dzień, że będziemy razem, ale każdy mijający rok oddala cię ode mnie coraz bardziej i coraz silniej wiąże z nową rodziną. Niedługo będzie za późno. Patrzyła w lustro w milczeniu.

Karo dotknęła jej ramienia.

— Powinnaś się cieszyć, a ty siedzisz tu ze smutną miną. — Dostrzegła wyraz jej oczu. — Przede wszystkim — rzekła radośnie — dziś wieczór wszystko jest dobrze. Więcej — jest cudownie.

Leonia roześmiała się, gdy Jacques chwycił ją za rękę.

— Zbierajmy się. Idziemy to uczcić.

Przy wyjściu dla aktorów panował ścisk. Wprost niemożliwe było przebić się przez ciżbę. Ludzie chcieli jeszcze raz na nią popatrzeć, próbowali jej dotknąć. Leonia cofnęła się przestraszona. Jacques i Paul stali przed nią w pogotowiu, aż wreszcie droga była wolna.

— Leonia, Leonia — wołali ludzie, a ona spoglądała na nich zdumiona. Czego jeszcze od niej chcą, co więcej mogłaby im dać?

— Uśmiechnij się do nich — zaszeptał jej do ucha Paul. — Podnieś rękę, powitaj ich, powiedz coś... To wszystko, czego chcą.

Zamachała ręką i uśmiechnęła się posłusznie. Uchwyciła spojrzenie młodej dziewczyny. Takiej, jaką sama kiedyś była. Pojęła nagle, czego od niej oczekiwali. Wspomniała samotne spacerunki po Paryżu w niedzielne popołudnia, gdy jako szesnastolatka miała wrażenie, że jest tu obca, uczucie, że musi odnaleźć swoje miejsce. Te dziewczyny myślą, że ona to znalazła. Miała chęć powiedzieć im, że wszystko to jedynie złudzenia, a nie rzeczywistość.

Wieści obiegły Paryż lotem błyskawicy i u *Voisina* czekano na dawnego gościa, a teraz nową gwiazdę. *Roederer Cristal* już na nich czekał. Przygotowano kawior, jaja przepiórcze, nadziewane serkiem winogrona, łososia i szparagi — wszystko, co zawsze tu jadala. Stało się to za sprawą Karo i Alfonsa chcieli, aby było cudownie. Znów poczuła poryw radości. Rozradowana bankietem, przyjmowała gratulacje od zupełnie obcych ludzi, którzy podchodzili, by uścisnąć jej dłoń. Otoczona gotowymi spełnić każde jej życzenie kelnerami, z Jacquesem u boku, czuła się wspaniale.

Czekali na pierwsze wydania gazet, płonąć z niecierpliwości. Chcieli dowiedzieć się, co powiedzą ludzie z prasy. Jacques jako pierwszy przejrzał artykuły, ale zdążyła zobaczyć Uśmiech na twarzy Paula.

— Mówią, że to twój triumf— powiedział, patrząc na jej wyrażającą niepewność twarz.

Odrzuciła głowę w wybuchu radości.

— Jacques, czy nie jest dziwne powiedzenie, że *triumf przychodzi bez rozgłosu*

Gdy spragnieni świeżego powietrza wychodzili razem z restauracji, noc przechodziła już w mroczną szarość świtu. Była zmęczona, ale zadowolona. Szli objęci ramionami i żadne z nich nie zauważyło wielkiego samochodu de Courmonta, zaparkowanego przy drodze. Gdy znikli za rogiem, silnik zagrał i wielki wóz potoczył się w samotną powrotną drogę na *Ile Saint-Louis*.

39.

*P*avillon d'Aureville był zbudowany na parceli przylegającej do willi Izabelli tak, że okna restauracji wychodziły na morze. Wybrała się do restauracji, a Amelia podskakiwała na skakance przed nią z Fido i Minou, ukochanymi kotami, które biegły za swą panią niczym wierne psy. Amelia wpadła do kuchni przed babką i obrzuciła wszystko szybkim spojrzeniem, by sprawdzić, co też można by złasować. Porwała małe ciastko z konfiturą, chichocząc na widok pobłażliwie groźnej twarzy Celestyny. Zdaniem Celestyny Amelia nie mogła zrobić nic złego i zawsze znajdowała dla niej i dla Roberta kawałek ciasta.

Diega natomiast nie lubiła. Nieprzyjemny chłopak, zawsze uśmiecha się do człowieka, a za plecami robi głupie miny.

Amelia uwielbiała przychodzić do restauracji. Ze zwieńczonym pośrodku dachem wyglądała jak ogromna ośmiokątna altana. Wielkie okna wychodziły na osłonięte niebieskimi markizami tarasy, przeznaczone na obiady na wolnym powietrzu czy też kolacje przy świecach w spokojne letnie wieczory. Serwety w pięknym akwamarynowym kolorze przykryte były śnieżnobiałymi obrusami od Cristofle'a z Francji, srebra były ciężkie i proste w kształtach. Dla Amelii sala była bardzo przyjemna. Przechadzając się po niej poprawiała nóż, przesunęła ręką nad ogromną fantastyczną ekspozycją pięknych owoców i z rozkoszą wdychała wonie z wielkich koszy napełnionych kwiatami. Nie miała wątpliwości, że wszyscy bardzo lubią tu przychodzić.

Choć z restauracji koty były wyganiane, w kuchni witano je przyjaźnie. Zawsze znalazły się tam dla nich jakieś resztki. Wycofała się, by zabrać swoich pupili. Roberto niedługo wróci do domu. Jego nowy dom stoi niedaleko ich, przy piaszczystej *Avenida Atlántica*.

Sebastião zobaczył nadchodzącą dziewczynkę. Z włosami sypiącymi się na wszystkie strony podskakiwała co cztery kroki, a długie cienkie nogi wbijały się ostro w ziemię.

— Amelio — zamachał do niej ręką. — Nie masz chęci popływać?

— Nie teraz — odkrzyknęła, osłaniając oczy przed słońcem. — Idę poszukać Roberta.

Ruszył przez ogród w stronę plaży, zastanawiając się, czy zawsze tak będzie. Kiedy wyjedzie do Francji, będzie mu jej brakowało. Nie umiał wyobrazić sobie życia bez Amelii. Kochał ją naprawdę, ale Francja stanowiła dla niego obietnicę nowego życia, możliwość skorzystania z najlepszych nauczycieli architektury, którą wybrał jako przedmiot swych studiów. Najlepiej przecież studiować w Europie. Zobaczy wreszcie cudowne renesansowe pałace Włoch, zamki i kościoły Anglii, i wielkie katedry Francji. I oczywiście Paryż.

Diego Bonavente udawał, że nie słucha, jak Roberto i Amelia rozmawiają w kącie. Obwieściła, że musi mu coś powiedzieć w sekrecie. Wykrzywił usta, patrząc na dziewczynkę. Czy nie wie jeszcze, że nie wygra? Roberto to jego przyjaciel, wyjątkowy przyjaciel. W szkole byli nierozłączni i w domu także. Tylko gdy ona płała się w pobliżu, pojawiały się problemy. Kiedy byli sami, Roberto był inny, bardziej niefrasobliwy, zawsze gotów na to, co on proponował. Ale dzisiaj ma dla małej Amelii niespodziankę. Wycofał się powoli. Przystojny, ciemnowłosy trzynastolatek, o muskularnym ciele i intensywnie zielonych oczach pod ciężkimi czarnymi brwiami.

Amelia obserwowała go kątem oka. Co on knuje? Na ogół nie zostawia jej samej z Robertem.

— Masz — powiedziała, wydobywając zgniecione ciasto z kieszeni szortów. — Schowałam je dla ciebie. To Celestyny, takie jak lubisz.

Roberto strzepnął piasek i nitki i odłamał jej kawałek.

— Nie, dziękuję — pokręciła głową odsuwając się. — Całe jest dla ciebie. — Rozejrzała się badawczo wokół i szybko włożyła

głowę pod imponujący łuk zimnej wody z fontanny. — Roberto — odezwała się, otrząsając wodę z głowy jak psiak.

— No? — Kończył pośpiesznie ciasto.

— Roberto, jak myślisz, gdzie mógł pójść Diego?

— Nie wiem, był tu przed chwilą.

Amelia była niespokojna. Czowała, że Diego coś zamyśla.

Rozglądając się uważnie, by upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu, Diego wydobył ukryty za wrotami mały worek, przewiązany mocno sznurkiem, starając się trzymać go jak najdalej od siebie. Wygrzewające się na słońcu pod ścianą Fido i Minou patrzyły na niego rozespanymi oczami.

— Chodź, Fido — zawołał, postukując patykiem w ziemię. — Chodź, malutka... Chodź, zobacz co tu mam. — Typowe dla Amelii, pomyślał z pogardą. Nazwać kotkę psim imieniem i do tego odpowiednim właśnie dla kota. — Chodź, malutka — wabił ją dalej pieszczotliwie.

Zaintrygowana podskakującym patykiem kotka ruszyła ostrożnie w jego stronę. Chwycił ją szybko za skórę na karku i przeciągnął przez jej obrózkę kawałek sznurka, by nie mogła uciec. Delikatnie rozwiązał worek i rzucił go na ziemię. Po chwili z otworu wysunął się niewielki czarny wąż. Drgający język badał szybko powietrze, głowa kołysała się groźnie w poszukiwaniu tego, kto go więził. Diego puścił wyrwijącego się kota i wycofał się szybko, gdy wąż rzucił się do przodu. Fido odskoczyła do tyłu i wąż wystrzelił jad w powietrze. Przypłaszczona do ziemi Fido nie odrywała oczu od uderzającego powoli ogonem na boki gada.

— No, dalej — mruknął Diego, poszturchując kota patykiem.

Kot cofnął się znowu. Diego pchnął długi patyk w stronę węża, podjudzając go ze złością na kota. Właśnie gdy dzieci wychodziły zza rogu i Amelia krzyknęła, wąż stanął jeszcze raz, rzucając się w stronę kota. Fido podskoczyła wysoko i schwyciła go ostro z tyłu, niemal odcinając mu głowę. Siedziała teraz na tylnych łapach i oglupiałym wzrokiem patrzyła, jak wąż skręca się na ziemi.

Przerażony strasznymi krzykami Amelii, Sebastiao wyskoczył ' z za rogu. Jednym rzutem oka ocenił sytuację i chwycił Diega za ramię, wykręcając mu je na plecy.

— Mów mi zaraz, co tu się dzieje — powiedział groźnie. — Tylko prawdę, Diego!

— Zobaczyłem węża — zawył Diego, gdy Sebastiao podciągnął jego ramię wyżej. — Próbowałem odgonić go od kota, widziałem, że go atakuje.

— A skąd się tu wziął wąż?

— Nie wiem.

— Więc nie z tej torby?

— Ja nie wiem.

Sebastiao wykręcił mu ramię jeszcze mocniej.

— To cię nauczy! Nie będziesz nigdy więcej próbował zabić kota Amelii — powiedział. — Czas, żebyś skosztował trochę własnego lekarstwa. Jesteś podlec i tchórz, Diego Bonavente. Gdyby Amelia była chłopcem, nie śmiałyś zrobić jej czegoś takiego. Widziałem, jak któregoś dnia chłostałeś batem jej kucyka. Jeśli znowu będą z tobą jakieś kłopoty, powiem twojemu ojcu. Z pewnością każe ci wrócić na *fazendę*.

Dla chłopaka z miasta, jakim był Diego, groźba wygnania na *fazendę* była straszna.

— Przepróż Amelię — polecił mu Sebastiao, patrząc na niego pogardliwie — i przyrzeknij, że nigdy więcej nie będziesz próbował krzywdzić jej kotów.

— Ale on na pewno tego nie chciał, Sebastiao. — Roberto pospieszył na pomoc przyjacielowi. — Na pewno było tak, jak mówi. Wąż tu był, a on starał się uratować Fido.

Przycupnięta na schodkach Amelia trzymała Fido kurczowo.

— Przepraszam, Amelio — odezwał się Diego, patrząc na swoje stopy. — Przyrzekam, że nigdy więcej nie będę próbował robić krzywdy twoim kotom.

Amelia nie powiedziała ani słowa. Patrzyła tylko za nim nieufnie, gdy odchodził. Samotna figurka zmierzała w stronę długiego pustego pasa plaży. Roberto odprowadzał go pełnym bólu spojrzeniem. Odwrócił się do Amelii.

— Jestem pewien, że naprawdę nie chciał skrzywdzić Fido... No i przeprosił. — Oglądał się niespokojnie na podwórze, za znikającym za bramą Diego. Dłużej już nie mógł wytrzymać.

— Polecę za nim — krzyknął, rzucając się w pogoń.

Amelia stała z opuszczoną głową, starając się powstrzymać od płaczu. Sebastiao patrzył na nią zatroskany. Ten epizod był czymś więcej niż tylko nikczemnością. Diego stawał się złośliwy i nigdy

nie było wiadomo, co może zrobić. Ale cokolwiek robił, zawsze skierowane to było przeciwko Amelii.

— Słuchaj — zaczął, siadając obok niej i ujmując w dłoń małą szorstką rękę. — Będziesz musiała strzec się Diega, kiedy mnie tu nie będzie. Nie możesz mu ufać.

— Wiem — wyszeptała, wtulając twarz w futro Fido, by nie mógł zobaczyć jej łez. — Och, Sebastiao, tak strasznie nie chcę, żebyś wyjechał. Paryż jest tak daleko. Napiszesz do mnie?

— Będę pisał co tydzień. Obiecuję.

— A ja będę pisała codziennie — złożyła solenne przyrzeczenie. — Będę ci wszystko opowiadała. Och, bardzo cię kocham, Sebastiao!

Edward d'Aureville został zdany na łaskę fal w środku najczarniejszego z mórz. Patrzył w panice na znikające w Zatoce Meksykańskiej światła promu, zastanawiając się, jak udało mu się osiągnąć taką pozycję. Kiedy wsiadał na prom w Tampie na Florydzie, zapomnieli mu powiedzieć, że ten St. Petersburg to mała wioska i nie ma przystani. Po prostu wsadzili go na tę spróchniałą małą łódkę i wskazali niewidoczny brzeg.

— Ma pan dziesięć minut wiosłowania — oznajmił kapitan. — Proszę się nie martwić o łódź. Następnym pasażerem z St. Petersburga przyprowadzi ją z powrotem.

To śmieszne, myślał, unosząc wiosła. Skoro przeżyłem w Amazonii, to niech mnie diabli, jeśli dam się tutaj.

Podciągnął wiosła nashuchując. Wiosłuje już co najmniej dwadzieścia minut, a kapitan powiedział dziesięć. Ale to Meksykanin. Parę minut w tę, czy w tamtą, nie robi różnicy.

Wydawało się, że pływ się zmienia. Wyczuwał większe rozkołysanie i zwiększony napór, i wreszcie dobiegł go dźwięk fali, rozbijającej się na brzegu. Niemal w tej samej chwili dostrzegł drgające na fali światła i popychany prądem skierował się w tamtą stronę. Odczuł ulgę i otarł pot z czoła. Dopłynął do małego drewnianego mola. Pod trzęsącymi się nogami poczuł znów stały ład.

Przybył tu, ponieważ słyszał, że Henry Flagler, nafciarz i przedsiębiorca kolejowy, miał stworzyć tu nowy stan, którego część nadal

była dziką głuszą. Zmuszony z powodu słabego zdrowia żony spędzać zimy w St. Augustine, Flagler odkrył uroki idealnego klimatu i długich, omiatanych wiatrem atlantyckich plaż. Zrozumiał, jaką wartość mogą mieć jako zimowe ośrodki wypoczynkowe dla zmarzniętych mieszkańców północy i zbudował szlak kolejowy, ciągnąc go na południe do Miami. Miał zamiar poprowadzić go jeszcze dalej, prosto do Key West.

Edward przemierzał Florydę niezmordowanie, czasem na koniu, czasem korzystając z pociągu, kierował się ku wschodowi przez małe nadbrzeżne miasta, Daytonę i Rockledge, potem do sennej wioski Miami, gdzie białe zwieńczenia domów ociekały w tropikalnym rozpasaniu purpurą bugenwilli na tle błękitu nieba. Nowy wielki hotel Flaglera rósł szybko w górę i wkrótce miał być ukończony. Edward wiedział, że to dobre miejsce na postawienie większej ilości takich hoteli, a że ziemia tu tania, będzie mógł wybrać coś dla siebie. Nabył już szeroki pas plaży. Przewiewany wiatrami kamienisty teren sięgał aż do zarośli na wydmach. Przemierzał swój teren z zadowoleniem, jakie tylko własna ziemia może dać mężczyźnie. Myślał, że któregoś dnia postawi tu hotel lepszy niż Flaglera. Lepszy od wszystkich innych.

Niełatwo było dostać się na Key West. Prom zatrzymywał się przy kilkudziesięciu małych wysepkach tworzących ogon Florydy, ale podróż warta była tego wysiłku. Dawna hiszpańska nazwa miasteczka brzmiała Cayo Huesco, a teraz było to Boney Key, nazwane tak dla białych kamieni, ścieranych przez fale na delikatny pył koloru ludzkich kości. Mieszany z wodą nadawał morzu zadziwiający mętny turkusowy odcień, a mały ładny port pachnący swą rybacką flotyllą przynosił codziennie z tych mlecznych wód obfitość krewetek, krabów i najprzeróżniejszych gatunków ryb. Piaszczyste uliczki wyłożone były drewnianymi chodnikami, a rozłożyste drzewa zapewniały cień. Za białymi domami miasteczka, rozrzucone na wzgórzach, skryte w prywatności alejek magnolii, wawrzynów i drzewek pomarańczowych, stały przewiewne, jasne wille, których spokój zakłócał tylko szum palmowych liści i przenikliwe dzwonienie cykad.

Edward zamówił piwo i patrzył z werandy hotelu *St. James* przy *Main Street* na przechodzących ludzi.

Czy mógłby znaleźć gdzieś równą temu oazę spokoju i ciszy? Kupi jeden z tych domów na wzgórzach i sprowadzi tu Amelię. Pokocha to miejsce. Bardzo za nią tęsknił. Brak mu było jej czułości na jego kolanach, próśb o historie z czasów, gdy on i jej ojciec byli chłopcami na zamku we Francji. Czasami dopytywała się żarliwie o swoją matkę. „Dlaczego musiała umrzeć?”. Tyle razy zadawała ze smutkiem to pytanie. „Jeśli mój tata był takim dobrym pływakiem, dlaczego nie uratował jej i siebie?” Odpowiadał małymi, defensywnymi kłamstwami. Leonia stała się mitem: piękna młoda matka, która zginęła tragicznie wraz z mężem. W myślach Amelii stanowiła postać z marzeń. W jego myślach także. Za każdym razem, gdy patrzył na dziewczynkę, wspominał. Była taka jak ona — ta sama brzoskwińowa skóra, piękne bursztynowe oczy i oczywiście te same jasne włosy.

Wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w egzotyczną wyspę Kubę, skąd miał przybyć prom. Poczul się nagle bardzo samotny.

Wszystko, czego mi trzeba, pomyślał z nikłym uśmiechem, to miłość dobrej kobiety. Może wtedy będę spokojny.

40.

Verronet syknął rozdrażniony, przekopując się przez papiery na biurku hrabiego. Przecież coś trzeba robić, myślał z rezygnacją nie sposób ostatnio czegokolwiek znaleźć. Wciąż poniewierają się te papiery po ciągnącej się w nieskończoność sprawie o dziecko. Trzyma je wszystkie. Podniósł dokument i patrzył na niego zdumiony. Raport w sprawie rozważanej fuzji dwu kompanii stalowych. Myślał, że już kilka tygodni temu podjęto odpowiednie kroki. De Courmont tak mu powiedział. Ten człowiek chyba zwariował. Co się dzieje na tym biurku! Odepchnął stos papierów z irytacją. Diabli wiedzą, co tu jeszcze jest. De Courmont zajmuje się ostatnio tylko raportami o Leonii oraz bezskutecznymi poszukiwaniami jej dziecka. Opętała go myśl o tym przeklętym dzieciaku. Ta mała jest powodem, że tak zaniedbał swe interesy. Dlaczego nie da sobie z tym spokoju? Także z Leonią. Zupełnie jakby brak mu było kobiet. Miał całe zastępy, a kosztowały go majątek. Ale on jest zupełnie jak dziecko, które straciło ulubioną zabawkę. Chce tylko tej jednej.

Tylko swoim samochodom oddawał się z równą namiętnością, jak sprawie Leonii i jej córki. Dzięki Bogu i za to; tu przynajmniej wciąż sprawuje osobistą kontrolę. Niemal na wszystkie pozostałe sprawy udzielił ostatnio pełnomocnictw, tak by sam mógł jeździć za nią po Europie. Dokądkolwiek wyjeżdżała, on też znikał. Po prostu nie może trzymać się od niej z daleka.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Załamanie się cen składowych na nową limuzynę, którą wdrożyli do produkcji ostatniej jesieni.

Jak zwykle kauczuk kosztuje więcej niż stal, więcej od niemal wszystkich rzeczy z listy. Ceny na opony stawały się prohibicyjne. Pomyślał przez chwilę, że coś z tym trzeba zrobić. Kiedy pojawi się de Courmont, będzie musiał z nim pomówić. Ma kilka pomysłów.

Hrabia stał w tyle ciemnej widowni. Pograżony w myślach nie patrzył na scenę. Przychodził tu każdego wieczoru jak zawsze, gdy Leonia miała występy w Paryżu. Był to ostami występ jej trzeciego sezonu, a każdy występ był wspanialszy od poprzednich. Rozmyślał nad jej sukcesem. To coś więcej niż sukces, stała się sława i przedmiotem kultu. Gdziekolwiek się pojawiała, traktowana była jak królowa, i nie tylko we Francji, lecz w całej Europie. Dziś dobiegły go pogłoski o jej wyjeździe do Ameryki. Ameryka! He razy błagała go, by ją tam zabrał. A teraz stała się samodzielną kobietą, tworzącą dla innych własną modę. Naśladowano jej styl, uczesanie, wygląd. Nawet dziewczyna, która czekała teraz na niego w błękitnym apartamencie *Hotel Crillon*, miała blond włosy uczesane w ten sam egipski sposób jak Leonia.

Woźny patrzył na niego obojętnie. Zawsze tu jest. Nigdy nie siada. Mówi, że woli stać. Marok również go zauważył. Każdego wieczoru sprawdzał, czy tam jest. Leonia zawsze o to pytała. Każdego wieczoru także dostarczano jej gałązki jaśminu i garderobę przepelniał ich zapach. Dziwne jednak, że nie pozwalała ich wyrzucać. Spojrzał na zegarek, gdy Leonia wkroczyła na scenę i stanęła przed publicznością ze swym zwykłym wyzywającym spojrzeniem. Zaczęli dziś pięć minut później. Będzie musiał sprawdzić, co się stało. Od trzech lat był jej menażerem. Organizował wyjazdy, koordynował z Paulem Bernardem plan zajęć, szukał dla niej nowej muzyki i nowych projektantów, przygotowywał kontrakty na wciąż rosnące sumy, były już tak wysokie, że nawet on się dziwił, iż dyrektorzy teatrów godzili się je płacić. Ale płacili i błagali o więcej występów. Objeżdżili już razem całą Europę, a wkrótce mieli się wybrać do Ameryki. Choć była tam niezbyt znana, gwarantowano jej tyle dolarów, ile żądała. To było niesamowite. Podbiła Europę, a teraz wybiera się podbić Nowy Świat.

Prywatne życie Leonii, oczywiście jeśli czas jej na nie pozwalał, stanowiło zdecydowanie jej własność i w porównaniu z wizerunkiem, jaki sobie stworzyła, było bardzo proste. Każdą wolną chwilę spędzała w zajeździe. To był jej azyl przed ludźmi i rozgłosem, który zawsze jej towarzyszył.

Spojrzał na wpatrującego się w nią hrabiego. Nie rozmawiali ze sobą od ponad dziesięciu lat, a on wciąż przychodził, by ją zobaczyć. Kręcąc głową w zdumieniu nad siłą opętania tego człowieka, Marok wyslizgnął się cicho i ruszył za kulisy.

Verronet odkaslnął cicho, chcąc zwrócić na siebie uwagę. De Courmont podniósł niechętnie wzrok znad biurka.

— O co znów chodzi, Verronet?

— O opony, panie hrabio... do nowych samochodów. Pamięta pan naszą rozmowę na ten temat. Ich ceny są teraz zdecydowanie prohibicyjne.

De Courmont oparł się o zielony skórzany fotel, rozważając sprawę. To prawda. Ceny kauczuku wydawały się wzrastać za każdym razem, gdy sprowadzał opony, przy czym wytwórcy sami też korzystali na podwyżce ceny surowca. Musieli mieć ogromne zyski.

— Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że koszty opon do pana samochodów stały się zupełnie nieproporcjonalne w stosunku do reszty. Mam jednak pewien pomysł. Obecnie nie da się tym sposobem obniżyć kosztów, ale wraz z rozwojem przemysłu samochodowego powinniśmy chyba sami pomyśleć poważnie o tym, by stać się i tu producentami. Zachowamy dzisiejsze ceny, a jednocześnie obniżymy nasze nakłady finansowe. Powstanie duży margines do gromadzenia zysków. Oto kilka wycieńzeń kalkulacyjnych, panie hrabio. Wymagać to będzie oczywiście trochę pracy, ale poczyniłem już pewne ustalenia i jeśli rozważy pan sprowadzanie kauczuku bezpośrednio z Brazylii, a może nawet nabycie plantacji, byłoby to bardzo dobre rozwiązanie.

De Courmont słuchał w milczeniu. Verronet to właściwy człowiek do takiej pracy. Lojalny, z instynktem intrygowania w tworzeniu furtek i kruczków w kontraktach czy korzystnych umowach. Wziął do ręki mały czerwony model limuzyny de

Courmonta. Trzymając go w dłoniach, napawał się ostrymi, czystymi liniami, brakiem ozdób i przeładowania, które szpeciły jego pierwsze samochody. Ten był smuklejszy, dłuższy, ze znacznie większą mocą. Przypomniawszy sobie dzień, kiedy dał Gerardowi i Armandowi małe modele pierwszego samochodu. Czy nie było to w czasie tamtej ciężkiej choroby Gerarda? Spodziewał się, że Gerard przejmie po nim interesy, ale chłopiec zdecydował się na architekturę. Armand poprowadzi wszystko. Uwielbia samochody.

— Panie hrabio...

— Co znowu? — Podniósł wzrok.

— Kauczuk, panie hrabio, na opony. — Verronet musiał trzymać nerwy na wodzy. — Jeśli to pana interesuje, nawiążę kontakty w Brazylii. Jest tam kilka majątków produkujących wysoką klasę kauczuku *Para*, który nam jest potrzebny. Musimy mieć najmocniejszy gatunek, a z tego, co wiem, pochodzi on tylko z południowego rejonu Amazonii, na północy produkują tylko słaby. Najlepsze możliwości to *Agencia Hevea Belem*, *Puntamayo Company* i *Oro Velho Trail*. Należałoby udać się do Manaus i nabyć całą produkcję sezonu jednej lub więcej z tych kompanii po najkorzystniejszej cenie.

Dobra myśl. Mogliby postawić wytwórnię na miejscu, obok składu komponentów. De Courmont spojrzawszy na zegarek. Pociąg do Nicei odchodzi za piętnaście minut. Odsunął gwałtownie fotel i sięgnął po marynarkę.

— Omówimy to później, Verronet.

— Ale...

— Nie teraz, Verronet. Nie mam czasu.

Złość zatrzęsała Verronetem. To może znaczyć kolejny miesiąc zwłoki, może nawet dwa. De Courmont nigdy nie mówi, kiedy wróci.

41.

Monte Carlo witało teraz Leonie na jej warunkach. Jako gwiazdę, znakomitość, wzbudzającą zachwyty młodą kobietę w sukni od *Fortuny* i barbarzyńskich, nabijanych szmaragdami bransoletach, z burzą miedzianozłotych włosów. Odgrywała swą rolę z zimną krwią, uśmiechając się do tłumów, gdy szła przez kasyno. Wspominała pierwszy wieczór, gdy spotkała hrabiego. Wspominała, jak ludzie rozstępowali się, by dać przejście hrabiemu de Courmont, a ona szła u jego boku. Teraz ludzie ustępowali jej, kierownictwo skłaniało głowy, a portierzy pozdrawiali. W *Café de Paris* zawsze trzymano dla niej stolik.

Ale sława ma swoją cenę. Ciężko na nią pracowała, a jeszcze ciężiej na to, by ją utrzymać, i życie publiczne niewiele pozostawiało jej czasu na osobiste przyjemności. Jacques, rozgoryczony tym, że tak niewiele chwil wydziela mu ze swego pracowitego życia, odszedł. I tu, w jej ukochanym miejscu, w zajeździe, sama wracała do swego białego pokoju, gdzie niewiele zmieniło się od dnia, gdy po raz pierwszy do niego weszła. Przybyła tylko lampa i mały dywan. Może jeszcze od czasu do czasu mężczyzna.

Czasami w jakiejś eleganckiej restauracji czy kasynie chwytiała z oddalenia spojrzenie hrabiego. Zawsze u jego boku była jakaś młoda blondynka. Nie zwracała na niego uwagi.

W zajeździe bez trudu unikała szpiegów hrabiego. Nie mogli włóczyć się zbyt daleko po okolicy i ich przyjazdy były rzadkie; tak czy inaczej po prostu objali się. Stale ich zmieniał, ale miał świadomość, że ona wie o ich istnieniu. Stali się niemal symboliczną groźbą, ostatnią nadzieją, że mogłaby doprowadzić go do Amelii. Zawsze, gdy było jej to potrzebne, potrafiła im uciec.

Wstała przed świtem. Ubrana, stała czekając na tarasie na Frenarda, który miał ją odwiedzić do Nicei. Drogi były puste i gdy przyjechali, małe białe miasteczko zaczynało się dopiero budzić. Wysiadła przy stacji i pobiegła peronem do pociągu, modląc się, by nikt jej nie rozpoznał. Nie było nawet śladu jej egipskiego wyglądu; nie wydłużyła oczu proszkiem antymonowym, nie zaplotła też włosów w warkoczki. Nie było żadnej biżuterii ani jedwabnych tunik. W bawełnianej sukni i w żakiecie, z włosami surowo ściągniętymi do tyłu i przewiazanymi na karku wstążką, nie rzucała się w oczy. Była po prostu inną kobietą, ładną, ze zmęczonymi oczami.

Podróż pociągiem była długa i przez ostatnią godzinę Leonia nie mogła się skupić nad czytaną książką. Pragnęła znaleźć się jak najszybciej na miejscu. Samochód czekał na stacji. Jechali nad Loarą piękną okolicą, poprzecinaną rzekami, z tu i ówdzie stojącymi średniowiecznymi budowlami, otoczonymi fosami. Na kamiennych słupach żelaznych wrót *Chdteau d'Aureville* nie było już gryfów. Pojechały wraz z rodziną, by zdobić nowy dom d'Aurevillów. Ale zamek wyglądał tak samo jak w dniu, gdy rodzina go opuszczała, tylko mieszkańcy byli inni.

Uśmiechnięta zakonnica o okrągłej twarzy wstała, by ją powitać, po czym poprowadziła do hallu.

— Dzieci będą bardzo szczęśliwe, madame Leonio — powiedziała. — Tak się cieszyły na pani odwiedzinę.

Gdy weszła do sali, powitało ją głośnie szuranie odsuwanych krzeseł i rozpromienione na jej widok dwadzieścia cztery małe buzie. Dwadzieścia cztery głosy zaintonowały *bonjour, madame*, czekając niczym uwiązane szczeniaki na sygnał uwolnienia.

— Chodźcie — zawołała pełna radości. Wyciągnęła ramiona, a one rzuciły się do niej, piszcząc z podniecenia. Każde chciało pierwsze otrzymać pocałunek, toteż przepychały się i popychały, by stać się tym wybrany, które ona poprowadzi za rękę do stołu.

— Dobrze już, dobrze. Każde zostało pocałowane i czas na obiad. — A potem... — Uśmiechnęła się do pełnych oczekiwania twarzy.

— A potem — powtórzyły chórem.

— Potem będą prezenty!

— Och, nie zjedzą teraz obiadu — roześmiała się siostra Agnes. — Żadna siła ich nie utrzyma, dopóki nie zobaczą prezentów.

— No cóż, spróbujemy — powiedziała Leonia, rozglądając się wokół stołu. — Kto tym razem powinien siedzieć przy mnie?

— Ja, ja! To ja!

— I ja... Cecile.

— Chodź w takim razie Cecyljo, i ty, Weroniko. Zobaczymy, jak zjecie obiad.

Kroiła im mięso i zachęcała do jedzenia jarzyn. Z przyjemnością słuchała o wydarzeniach ich codziennego życia. Dopiero tutaj wspomnienie Amelii nabierało realności.

Myśl zrodziła się w jej głowie całkiem nieoczekiwanie. Zaczęły wpływać pieniądze i było ich więcej, niż sobie wyobrażała. Zaszokowała ją wiadomość o wystawieniu na sprzedaż *Chateau d'Aureville*. Zamek był tu zawsze i klan d'Aureville'ów zawsze w nim żył. Tak powiedział Charles. I tak długo, jak długo do nich należał, wiadomo było, że pewnego dnia do niego wróca. Teraz jednak wiedziała, że nie. I że nie wróci tu też Amelia. Leonia nigdy nie zapomniała wszystkich historii, które Charles opowiadał jej o swoim idyllicznym dzieciństwie. To był dom, w którym powinny żyć dzieci. Skoro nie było to sądzone Amelii, inne dzieci powinny mieć tę szansę.

Sprawa okazała się prosta. Zamek nabyła dyskretnie, posługując się nazwiskiem kogoś ze znajomych, i ufundowała w nim sierociniec. Dwadzieścia czworo dzieci, których los pozbawił rodziców, znalazło tu dom. Młode zakonnice, wybrane dla ich młodości i zrozumienia dziecięcych problemów, z miłością sprawowały nad nimi opiekę, pod delikatnym, umiejętnym kierownictwem siostry Agnes. Najmłodsze dziecko miało teraz dwa latka. Znalezione je na progu jako maleńkiego noworodka i na cześć opiekunki nadano imię Leonii. Najstarsze miało niedługo skończyć dwanaście. Tyle ile Amelia. Leonia kochała je wszystkie.

Dzień minął zbyt szybko. Miękkie misie, gumowe piłki, lalki, konie, układanki i książki zostały rozdane. Były też wśród prezentów latawce do puszczenia w niebo i kolorowe bombonierki ze słodyczami, te ostatnie wydzielane ukradkowo wśród chichotów, za pobłażliwie odwróconymi plecami siostr.

Powrót do domu wydawał się jeszcze dłuższy niż jazda do zamku. To nie był odpoczynek, a Bóg tylko wiedział, jak bardzo go potrzebowała, ale był to dla niej najszczęśliwszy dzień od kilku miesięcy.

Spędziła w zajeździe dwa tygodnie. Dwa błogie leniwe tygodnie, podczas których zbierała siły na amerykańskie tournée. Najpierw miały być repetycje oraz dobieranie, opracowywanie nowych kostiumów oraz tysięcy szczegółów, o których nie chciało jej się nawet myśleć. Teraz próżnowała i wałęsała się, poświęcając się bez reszty wszelkim możliwym nieistotnym sprawom, jak suszenie włosów na słońcu, wybieranie ryb i jarzyn w Saint-Jean dla madame Frenard oraz leżenie po obiedzie na tarasie z Bébé na kolanach.

Zachód słońca jest cudowny, myślała wpółśnie. Głaszcząc Bébé wpatrywała się nad ciemniejącym morzem w purpurowy horyzont z puszystymi liliowymi obłoczkami. Oczy jej się zamykały. Ziewnęła, zastanawiając się, co też mogło ją tak w zajeździe zmęczyć. W Paryżu nigdy nie czuła się zmęczona, może zbierała wszystkie siły na przyjazd tutaj.

— Idziemy spać, moja droga — powiedziała i wzięwszy Bébé pod pachę, ruszyła leniwie przez taras.

Bébé patrzyła, jak Leonia rozplata włosy, czekając na chwilę, gdy pani wejdzie wreszcie do łóżka, a ona będzie mogła umościć się wygodnie w jej ramionach. Zawsze tak było.

Nie wiedziała, co ją zbudziło. Pomyślała, że może nagle umilknięcie mruczenia, może też dziwny chłód Bébé. Futerko było miękkie jak zawsze, trójkątny lepek leżał jak zawsze obok niej na poduszce, ale Bébé odeszła.

Przytuliła ją, modląc się, by jej ciepło ogrzało wystygłe ciało, ale Bébé nie żyła. Straciła najdroższą, najbardziej kochaną przyjaciółkę, powiernicę swych sekretów, współniczkę smutków, dająca jej radość i pociechę. Nie mogła przestać płakać.

Rozciąła nożyczkami kaszmirowy szlafrok, ulubione miejsce spoczynku Bébé, i zawinęła ją delikatnie w miękkie fałdy. Opróżniła

rzeźbiony palisandrowy kuferek na biżuterię i złożyła tam drobne ciałko. Zabrała kuferek do ogrodu i pochowała Bébé w miejscu, gdzie zawsze siadywały razem, by patrzeć na ocean i ptaki na niebie. Posadziła tam gruszę, która miała zakwitać każdej wiosny, stanowiąc zawsze część Bébé.

Tournée zostało odłożone. Nie mogła pracować. Była załamana, nieobecna, bezwolna.

— Opłakuje Bébé — rzekł Marok do Karo, gdy patrzyli na nią bezradnie. — Musimy znaleźć jej innego kota. Kociaka... tego samego rodzaju.

— Ale ja nigdy nie spotkałam drugiego takiego... była taka mała, brązowa. Nie wiem, co to za rasa, Marok.

— Muszę coś znaleźć — postanowił. — Przywiozę innego kociaka. Nie mogę na nią patrzeć, kiedy tak wygląda.

Zajął mu to miesiąc. Nikt na Lazurowym Wybrzeżu nie słyszał o takich kotach, nikt też nie wiedział, skąd pochodziła Bébé. Wybrał się w głąb kontynentu w nadziei, że może przywędrowała z jakiegoś gospodarstwa, może ze wzgórza, ale nikt nic nie wiedział. W poszukiwaniach znawcy trafił na madame Hermione. Miała piętnaście kotów i natychmiast domyśliła się, czego on szuka.

— To są koty ze szwajcarskich gór — powiedziała mu z pewnym zaskoczeniem, że może o to pytać. — Znajdzie je pan w Alpach, tuż przy granicy. Na pana miejscu spróbowałabym w okolicach Annecy.

Podjąłby z ochotą najbardziej nawet męczącą podróż, byleby tylko jej rezultatem miała być druga Bébé.

W Annecy trafił na kolejny ślad. Tuż nad granicą jest niewielkie jezioro. Okolica niezbyt zaludniona; kilka gospodarstw, parę domków wypoczynkowych, ale możliwe, że to tam właśnie mają ten typ małego brązowego kota.

Szedł szlakiem nad jeziorem, żałując, że nie ma więcej czasu na rozkoszowanie się ostrym, świeżym powietrzem, aromatem eukaliptusa i sosny. Ruszył do obejścia, położonego na skraju obsypanej błękitnymi i żółtymi kwiatami łąki. Podeszedł do mleczarni, gdzie żona gospodarza zajęta była ubijaniem masła, i omal

nie przewrócił się o małe brązowe kocię. Leżało na grzbiecie, machając w powietrzu małymi łapkami.

Znalazł kotkę dla Leonii.

Jej brąz był tylko trochę ciemniejszy od futerka Bébé, miała też nieco jaśniejszy brzusek oraz plamkę pod brodą, ale łeppek był tak samo trójkątny, a żółte śleпка tak samo wydłużone. Wtuliła się w ramiona Leonii, jakby to było jej stałe miejsce, mrucząc z zadowolenia. Leonia nie sądziła, by mogła pokochać jakiegokolwiek kota po Bébé, ale temu nie mogła się oprzeć.

— Och, Marok — Podniosła na niego oczy. — Jak ja ci się odwdzięczę?

— Nie trzeba — rzekł z uśmiechem. — Bylebyś tylko była szczęśliwa.

— Nigdy nie zapomnę Bébé — powiedziała zamyślona.

Przysiadł obok niej i ujął ją za rękę.

— I nie powinnaś, a ta jest inna... Ma kolor czekolady. I popatrz, już cię kocha.

Malutkie łapki naciskały miękko jej ramię i Leonia uśmiechnęła się przez łzy.

— Czekoladka — stwierdziła. — Tak się będzie nazywała.

Samotność bez Bébé była nie do zniesienia. Pokoje zajazdu wydawały się puste bez jej figlarnej obecności, taras zbyt cichy bez skradających się pazurków, a łóżko nieprzytulne bez niewielkiego, lecz podnoszącego na duchu ciężaru.

Przytuliła z czułością nową kotkę. Będą przyjaciółkami.

42.

Sebastiao do Santos dobrze się czuł w Paryżu. Wszystko mu się tu podobało. Wylewające się na ulice życie ogródkowych kawiarni i bistr, *bal musettes*, gdzie można spotkać dziewczęta, potańczyć i napić się czegoś, otwarte przestrzenie Lasku, Ogrody Luksemburskie, mosty, bukiniści na bulwarach, u których za parę *sous* można znaleźć wspaniałe stare książki. Był szczęśliwy. Całymi tygodniami pogrążony w rysunkach, projektach, starych i współczesnych budowach, cieszył się, że jego studia architektoniczne urzeczywistniły się. Był zachwycony, że uwolnił się z więzów domu i rodziny, że żył w najbardziej fascynującym mieście, wśród nowo poznanych przyjaciół.

Mieszkanie miał w starym, rozsypującym się kamiennym domu, z oknami wychodzącymi na wyłożone kostką podwórze. Sroga konsjerżka pilnowała jak lwica, by młodzi ludzie nie sprowadzali dziewcząt. Jednakże fakt, że była głucha niemal jak pień, a poza tym każdego wieczoru około ósmej znikwała w swym mieszkaniu z butelką, sprawiał, że jego pokoje stały się miejscem wielu hałaśliwych spotkań, jak to, które mieli poprzedniego wieczoru.

Usiadł na łóżku i przeczesał rękami gęste jasne włosy, po czym ziewnął i podszedł do okna. Otworzył je, by wpuścić trochę chłodnego porannego powietrza. Odetchnął głęboko. Gerard nadal spał na kanapie.

— Ej, obudź się — krzyknął. — Jestem głodny!

Całą odpowiedź stanowiło nieokreślone mruknięcie.

— Wychodzę do **Ddme** na śniadanie — obwieścił Sebastiao śmiejąc się. — Przyjdziesz?

— No już dobrze... Chyba tak. — Gerard wygrzebał się spod koldry. Niezadowolony mrugał ciemnoniebieskimi oczami w ostрым świetle poranka. — Jak możesz jeść po tym wieczorze? — spytał, patrząc z niesmakiem na butelki po winie, walające się na poplamionym stole. — Gdzie się wszyscy podziiali?

— Jeśli masz na myśli dziewczęta — Sebastiao wzruszył ramionami — to uciekły, zanim pojawił się tu ten dragon... Boja się jej.

— Naprawdę musisz zmienić mieszkanie, Sebastiao — roześmiał się Gerard. — Jak możesz znosić tę wtrącającą się we wszystko starą babę.

— Podoba mi się tutaj. Lubię ten stary dom... To mi odpowiada. Chodź już, zgłodniałem.

Gerard de Courmont był tak ciemny, jak Sebastiao jasny. Ciemne, niemal czarne włosy, głębokie, ciemnoniebieskie oczy, które zawsze sprawiały wrażenie, że widzą więcej, niż można by przypuszczać, i szczupła, o mocnych kościach twarz, która z profilu sprawiała wyniosłe wrażenie. Spotkali się z Sebastiao na uniwersytecie i choć był o rok starszy, wkrótce stali się przyjaciółmi. Praktycznie mieszkał u Sebastiao, przedkładając swobodę jego mieszkania nad rodzinny dom.

— Dobrze by było, abyś wrócił do domu w tym tygodniu — powiedział Sebastiao, czytając w jego myślach. — Twoja matka może się martwić.

— Ostatnio przebywa głównie na wsi, tak że nie ma znaczenia, czy jestem w domu, czy nie.

— A twój ojciec? — zainteresował się Sebastiao.

— Czort go wie. — Gerard wzruszył ramionami. — Myślę, że spędza czas w fabrykach z konstruktorami. Tworzy tego roku nowy sportowy wóz.

Nie chciał myśleć o ojcu. Ostatnio rzadko go widywał, a gdy już do tego dochodziło, czuł się jedynie winny, że nie włącza się w jego interesy. Ojciec zawsze miał swoje życie i on będzie żył tak samo.

Zbiegli ze schodów, wykrzykując radosne *bonjour* do starej kobiety, która ubrana w czarną suknię i także buty siedziała na podwórku, robiąc na drutach kolejne czarne ubranie.

— Hej, paniczu — wykrzyknęła za Sebastiao. — List do pana.
— Znów od Amelii — stwierdził patrząc na kopertę. Uśmiechnął się szeroko.

— Co wymyśliła tym razem?

Gerard uśmiechnął się. Listy Amelii stanowiły dla niego przedmiot nieustannego zdumienia. Pisała do Sebastiao codziennie. Nabazgrane epistoły pełne były szczególnie tego, co robiła w ciągu dnia, wypraw konnych z Robertem i Edwardem plaża, burzy, jaką przeżyli w drodze do *Barra de Tijuca*, okropności szkolnych klasówek, wyczynów Fido i Minou oraz nie kończącej się nienawiści z Diego Bonavente. Ilustrowała te opowieści zabawnymi rysunkami, gdzie ubrana w chłopięce spodnie dziewczynka z chudymi nogami uśmiechała się lub rzucała groźne spojrzenia z okrągłej buzi, obwiedzionej kędzierzawymi włosami, bądź też stała na głowie. Wszystko po to, jak twierdziła, by nie zapomniał, jak ona wygląda.

W *Dbme* było cicho. Usiedli na zewnątrz i Gerard zamówił kawę, a Sebastiao zabrał się do czytania listu. Przeczytane stroniczki dawał z uśmiechem Gerardowi. Tym razem miała kłopoty. Pewnego szczególnie upalnego dnia obcięła sobie włosy. Wystrzygła je nierówno nad uszami i załamana Izabella wysłała ją do salonu piękności, gdzie ułożyli je w krótkie puszyste loczki, leżące ściśle na jej głowie. Stwierdziła, że jest z tego zadowolona, ponieważ stała się teraz bardziej podobna do Roberta, ale biedna babcia wciąż oplakuje stratę jej pięknych włosów. Zebrała wszystkie te grube, lśniące zwoje i zaplotła, by zachować na zawsze. Wkrótce o tym zapomni, dodała Amelia, ponieważ zajęta jest planami rozbudowy *Pcmillonu* w mały hotel. „Czasami nie wierzę babci, ona zresztą też nie”. Przysięga, że urodziła się do tego, by należeć do burżuazji. Pozycja damy na wysokim krześle za kasą w bistro najwyraźniej jej odpowiada. Uskarżała się, że Roberto uważa, iż za bardzo narzuca mu swą wolę, i narysowała obok swą podobiznę z bolesnym uśmiechem, dalej zaś tę samą twarz rozpromienioną, gdy opowiadała o swym przyjęciu urodzinowym w restauracji i wielkim, obsypanym cukrem torcie z dwunastoma świeczkami. Teraz cieszyła się na ponowny wyjazd z Edwardem do Key West. Uwielbiała te wyprawy, zwłaszcza łodzią na ryby, z wieczornym pieczeniem połowu na dymiącym grillu na tarasie. Tym razem Roberto miał także z nimi jechać. Diego jest wściekły!

Gerard złapał oddech i roześmiał się. Zdania i myśli płynęły u Amelii jedną nieprzerwaną linią, tak że zadziwionemu czytelnikowi zaczynało brakować tchu.

— Nie mogę się doczekać, kiedy dorośnie — rzekł Sebastiao.

— Dlaczego?

— Ponieważ będę mógł się w niej zakochać — wyjaśnił pogodnie.

— Zdaje się, że ty naprawdę o tym myślisz. — Gerard patrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jeśli kiedyś ją spotkasz, będziesz wiedział, dlaczego. Amelia to czarodziejka i człowiek musi ją kochać.

Gerard poczuł ukłucie zazdrości. Jak dobrze mieć taką rodzinę jak Sebastiao — zjednoczoną i szczęśliwą. Nie tak jak u niego — rozdarcie i gorycz. Westchnął. Bardzo chciałby spotkać któregoś dnia kogoś takiego jak Amelia.

— A może wyjechałbyś ze mną na wakacje? — zaproponował nieoczekiwanie Sebastiao. Wokół Gerarda unosiła się aura takiej samotności, że czasami było mu go żal. — Spodoba ci się Rio. Wyjedziemy całą rodziną na *fazendę* i będziemy pracować w polu, zamiast ślęczeć cały dzień nad rysunkiem technicznym i zasadami perspektywy. I zobaczyłbyś Amelię.

— Byłoby cudownie — Gerard poczuł się podniesiony na duchu. — Oczywiście, muszę poprosić ojca o pozwolenie.

Sebastiao roześmiał się.

— Może nigdy już nie wrócisz — ostrzegł go. — Rio jest uwodzicielskie jak piękna kobieta.

43.

Verronet nienawidził Manaus. Nie cierpiał wilgoci, sprawiającej że pocił się nieprzyjemnie w swym białym paryskim garniturze, nienawidził tnących nieprzerwanie insektów, nie znosił mdlącego zapachu gnicia i rozkładu dżungli i rozgrzanego miejskiego odoru perfum, potu i rumu z cukru trzcinowego. Nie cierpiał też przenikającego wszystko smrodu kauczuku.

Odwracając oczy od pstrokacizny domów publicznych i sprośnie umalowanych kobiet z zębami nabijanymi brylancikami, spoglądał niespokojnie na winczestery, przewieszane niedbale przez ramiona gwałtownych śniadych mężczyzn.

Czekał na ostatniego producenta kauczuku ze swojej listy. Przeprowadził już rozmowy z sześcioma. Paru z nich napędziło mu potężnego stracha kamiennymi oczami i niedbale noszonymi pistoletami. Pozostali, wystawiający ostentacyjnie na pokaz swe nowe bogactwo, w najnowszych garniturach z Londynu, krawatach od Charveta z Paryża, z uwieszonymi u ich ramion kobietami w szmaragdach od Cartiera, dyktowali ceny równie wysokie, jak styl ich życia. Jeden, może dwaj stanowili jakąś możliwość, ale plantacje wydały mu się zbyt małe. De Courmont będzie potrzebował dużo kauczuku i Verronet miał nadzieję, że Wil Harcourt mu to zapewni. Jeśli nie, oznaczać to będzie dla niego jeszcze co najmniej jeden miesiąc spędzony w Manaus. Nie sądził, by mógł to wytrzymać.

Churrascaría Onca nazwę swą zawdzięczał pięknemu oswojonomu jaguarowi, przechadzającemu się leniwie na łańcuchu w samym końcu długiego lustrzanego, wyłożonego mahoniem baru. Verronet starał się trzymać jak najdalej od zwierzęcia, gdy zamawiał amerykańskie piwo z przestronnej chłodzonej szafy.

— Pan pewnie jest Verronet. Wygląda pan tak nieszczęśliwie, że musi być nowym przybyszem w Manaus.

Verronet otaksował go szybko. Surowa twarz, bezpośredni sposób bycia człowieka nie mającego nic do ukrycia, brak pistoletów i brylantowych pierścieni. Żeby tylko dysponował wystarczającą ilością kauczuku, i to dobrej jakości, modlił się Verronet.

Wil poprowadził go do stołu obok strażniczki Onca. Nieruchome oczy zwierzęcia odprowadzały Verroneta, gdy obchodzili je nerwowo.

— Jest całkiem oswojona. — Wil wyszczerzył zęby. — Chętna do zabawy jak kociak. Ze swoim panem, oczywiście!

Verronet przeszedł natychmiast do interesów, wymieniając wymagania Europejskiej Kompanii Żelaza i Stali. Bliższe dane co do ilości, pięcioletni kontrakt jako nienaruszalny warunek, wysoką cenę wstępną, która jednak według ich paryskich szacunków miała się w tym czasie zamortyzować, poza tym i tak była niższa od kosztów, ponoszonych przez nich przy zakupach od pośredników. Ku jego uldze Wil potwierdził to, co pragnął usłyszeć: *Oro Velho Trail* miała jedynie najlepsze drzewa *hevea brasiliensis*, dające doskonały twardy kauczuk *Para*; mieli też dostateczne ilości surowca dla zaspokojenia potrzeb Kompanii. Wil obiecał, że przedyskutują ich warunki ze współnikiem i za dzień, dwa przekaże mu wiadomość. Prawdopodobnie będą mogli podpisać umowę.

Verronet spojrział ponownie na Wiła Harcourta, z zachwytem nabierającego z talerza pieczone mięso. Domagał się zapłaty za dwa lata z góry. Była to wielka ilość pieniędzy, choć jego argument, że muszą mieć rekompensatę wielkiej zwwyżki cen na kauczuk następnym sezonów, był sensowny. Jednak Verronet denerwował się. Czy może mu zaufać? A jeśli we Francji okaże się, że kauczuk jest inny, gorszej jakości? De Courmont jego obarczy wtedy całą odpowiedzialnością. Wzdrygnął się, wyobrażając sobie konsekwencje. Nie ma sensu sprawdzać kauczuku w magazynach, mogą pokazać, co będą chcieli. Nie pozostaje mu nic innego, tylko

popłynąć w górę rzeki i sprawdzić splaw. Mam nadzieję, panie hrabio, że pan to zaakceptuje, pomyślał z goryczą. To przecież pan będzie płacił. Pomyślał chciwie o podwyżce wynagrodzenia, o prowizji, którą miał zamiar wywalczyć sobie w umowie, i westchnął. Mimo wszystko warto.

Poczuł się śmiesznie w swym nowym stroju do dżungli. Koszula z długimi rękawami była gorąca, a wysokie buty niewygodne i ciasne dla obrzmiałych już nóg. Poza tym Wil Harcourt ubrał się zupełnie zwyczajnie. Złościł się w duchu, poganiając współnika Harcourta. *Liverpool Lady* była przygotowana do wyjścia.

— Jest już — poinformował go Wil, przechylony przez burzę. — Chodźże wreszcie — wykrzyknął do współnika. — Kapitan Beckwith wścieknie się, jeśli z twojego powodu spóźni się na odpływ.

Edward rzucił torbę na pokład parowca i pospieszył na trap.

— Musiałem zatrzymać się w telegrafii i wysłać wiadomość do domu — wyjaśnił z szerokim uśmiechem, po czym wyciągnął rękę do Verroneta. — Z przyjemnością witam Francuza. Edward d'Aureville.

Verronet zamrugał nerwowo. Czy dobrze usłyszał? Podał mu wilgotną dłoń.

— Pan... d'Aureville?

— Czyżbym panu nie wspomniał — wtrącił się Wil — że mój współnik jest Francuzem?

— *Odstępcą* — dodał Edward. — Od dwunastu lat nie byłem w domu.

Przyklejony do twarzy Verroneta uśmiech ukrył jego zainteresowanie. Ależ tak, to ten brat, który żyje za granicą. Czy to nie dwanaście lat temu zginął Charles d'Aureville i zniknęło dziecko Leonii?

— A gdzie był pana dom? — spytał.

Edward uchwycił w głosie Verroneta lekkie drżenie. Dlaczego ten człowiek jest taki nerwowo?

— Nad Loarą, w pobliżu Tours. Wybaczy pan — zmienił temat — muszę porozmawiać z kapitanem o dodatkowym ładunku, który zabieramy z Santarem.

— Dziwny zbieg okoliczności — odezwał się Verronet obojętnie. — Francuz dostarczający do Francji kauczuk z Brazylii. Dlaczego nigdy nie wrócił do Francji? Przecież co tydzień są statki z Belem.

— Rodzina Edwarda przyjechała z nim do Rio. Jego matka i mała. Są tu szczęśliwi.

— Córeczka? — Głos Verroneta podniósł się ostro. — A więc jest żonaty?

— Nie, nie jest żonaty. Amelia to córeczka jego brata. Zmarłą gdy była malutka i Edward wychowuje ją jak własną.

Verronet z trudem panował nad oddechem. Dziwne są zrzędzenia losu. Siedzi na tym parowcu, wokół tysiącami mil ciągnie się Amazonia, a on odnalazł Amelię. Zadrżał z podniecenia. Musi zostać sam i pomyśleć, co ma robić dalej.

Usiadł na wąskiej koi w maleńkiej kajucie i wpatrzył się w pustą ścianę przed sobą. On, Verronet, trzyma klucz do obsesji de Courmonta. Amelia to jedyne, czego potrzeba hrabiemu. I drogo go będzie kosztowało!

Roześmiał się głośno. Teraz musi się wstrzymać z tą umową. Zamiast tego uda się do Rio, by wysledzić, gdzie jest dziewczynka. Wyrzwał przez iluminator, ale Manaus było już tylko zamglonym zarysem na ciemniejącym horyzoncie. *Merde!* Teraz będzie musiał przez to przejść. Westchnął i opadł na koję. Cóż, Amelia czekała przez te wszystkie lata, może poczekać jeszcze kilka dni.

Szare chmury zawisły nad dachami Santarem i Edward patrzył z niepokojem w niebo, gdy na *Liverpool Lady* ładowano ostatnie partie kauczuku. Gdyby nie Verronet, nie podejmowałiby podróży w tak późnym czasie. Miał tylko nadzieję, że uda im się dotrzeć do Manaus, zanim rozpoczną się najcięższe deszcze.

To były trudne dni. Verronet wzbudzał w nim jakąś niepewność, choć nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego. Coś dziwnego było w tym człowieku. Ze zdziwieniem patrzył, jak idzie z wysiłkiem przez zieloną ciszę dżungli, rzucając przy tym na prawo i lewo niespokojne spojrzenia, jakby w każdej chwili spodziewał się, że zostanie żywcem zjedzony. Mdlął niemal z przerażenia, gdy wyjce urządziły swe chóry i leśna cisza rozsypywała się jak trzaskająca

szyba. Z wdzięcznością pognał z powrotem na pokład *Liverpool Lady* i teraz koił stargane nerwy butelką szkockiej kapita Beckwitha.

Verronet dobierał słowa telegramu do de Courmonta z wielką rozważą. „Sytuacja z kauczukiem rozwiązana — pisał. — Odłożyłem powrót o kilka tygodni, by sprawdzić ważne informacje osobiste. Gdy tylko będzie możliwe, prześlę następny raport”.

Czy to wystarczy? Chciał dozować hrabiemu informacje, tak by de Courmont myślał, że to trudne, a nawet niebezpieczne zadanie. Potem powie mu wreszcie, że odnalazł córkę Leonii, tak długo poszukiwaną! I zmusi go, by zapłacił mu za każdy krok na tej drodze.

Liverpool Lady z gromkim wyciem syreny wypłynęła z basenu portowego i znalazła się na leniwej, pokrytej zielonym szlamem rzece. Wreszcie wracają do Manaus. Verronet sęczył szkocką z zadowoleniem. Nareszcie wygrał tę grę.

Edward obudził się nagle. Usłyszał bębniący o pokład deszcz i spojrzal na zegarek. Po trzeciej. Zamknął oczy i przewrócił się na drugi bok, ale szum deszczu wbijał się z uporem w uszy, a statek kołysał się nieprzyjemnie na kipiącej rzece. Szybko oprzytomniał. Wciągał spodnie i koszulę, przeklinając deszcz. Wyszedł, by się czegoś napić.

W sterówce kapitan Beckwith wpatrywał się w zalaną deszczem noc.

— Dobra pogoda, nie ma co — mruknał, napełniając im szklaneczki. — Dla kaczek!

Edward wyszczerzył zęby i pociągnął szkocką. Deszcz lał już potężnie, spowijając strugami wody mały parowiec, przebijający się w górę rzeki. W dzikim, obcym świetle sterówka wydawała się maleńką oazą bezpieczeństwa. Migające światła odbijały się w bezużytecznych w tej sytuacji oknach. Edward słuchał opowieści Beckwitha o statkach i sztormach, które ten pamiętał z pięćdziesięciu lat swego życia na morzu. Krępy mężczyzna, który zazwyczaj otwierał usta jedynie dla szklaneczki whisky, zamienił drinki na kubki parującej ciemnobrazowej herbaty, zaparzonej przez stojącego obok majtka.

Deszcz ustał tak nagle, jakby Bóg go wyłączył i Beckwith patrzył na to zaskoczony. Wdychał powietrze i obwąchiwał je jak pies. Oceniał ponure niebo przedświt, przebijając się oczami przez unoszące się mgły, ale mógł zobaczyć jedynie spiętrzenie po lewej burcie.

— Nie wiem — mruknął. — Coś mi to niezbyt dobrze wygląda.

— Może przed nami jest burza — rzekł Edward, prostując zmęczone kości.

Kapitan uniósł sękate ręce, gdy wsłuchiwali się w ciszę.

Ponad prądem rzeki dobiegło ich z oddali niskie dudnienie, jakby gdzieś daleko tłukł się przez noc pociąg.

— O Boże — mruknął Beckwith. — Mamy kłopoty. Pierwszy dzwoni w ten cholerny dzwon... Wszyscy na pokład! To brzegi! Niech to cholera, zostały naderwane przez prąd rzeki. Odrywają się wielkimi skibami, mila za milą. Siła upadku utworzy potworną falę. Może nawet ponad sześć metrów! Lepiej niech pan obudzi naszych przyjaciół i wyśle na dół. Spróbujemy się schronić na wyspach na środku rzeki.

Wil nie spał już i naciągał ubranie, gdy Edward łomotał w drzwi Verroneta.

— Co jest! — wykrzyknął Verronet z irytacją. Tylko co udało mu się zasnąć po godzinach przewracania się z boku na bok. Nie pomogło mu nawet wysuszenie całej butelki szkockiej.

— Ubieraj się pan! — wrzasnął Edward. — Mamy kłopoty. Brzegi rzeki się zawalają!

Verronet stanął w drzwiach. Twarz mu zbieleła.

— Czy to znaczy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie? — spytał. Najwyraźniej czuł się zupełnie bezradny.

— Lepiej niech pan zostanie na dole — poradził Edward, ruszając w stronę zejścia pod pokład. — Tutaj będzie pan bezpieczny.

Verronet patrzył za nim z twarzą ściągniętą przerażeniem. Rozejrzał się po korytarzu. Nie było nikogo. Został tu całkiem sam. Usłyszał nad głową szybki tupot nóg. Statek szarpnął ciężko na prawą burtę, nabierając prędkości, gdy wchodził w nurt. Verronet padł na kolana. Przestraszony podniósł się z wysiłkiem i ruszył ciężko do wyjścia, spoglądając na dziką, kłębiącą się mętłą rzekę. W uszach miał wielki ryk. Fala przetoczyła się wściekle przez

pokład, przewaliła się przez stopnie i rzuciła go do tyłu. Poderwał się z dzikim skowytym i krztusząc się wodą, wdrapał ponownie na schodki. Pognał do sterówki. Przebiegł obok Wiła, który wraz z marynarzami zapamiętałe uszczelniał luki i iluminatory.

W maszynowni dorzucano węgiel do huczącego paleniska, gdy Beckwith lawirował statkiem w stronę wysp. Edward nastawił lornetkę na zamglony horyzont.

Ociekający wodą Verronet stanął w drzwiach.

— Co się stało? — zakrzyczał ochryple. — Zostawił mnie pan na dole samego...

— Drzwi, do cholery—zaryczał Beckwith, gdy statek zakołysał się i woda przewaliła się przez kabinę.

Verronet zatrzasnął drzwi i przyklejony do ich bezpiecznej solidności, podążył za spojrzeciami ludzi, patrzących na rzekę. Był tak przerażony, że wydobywający się z jego ust oddech zamienił się w długi syk. W odległości zaledwie mili, przez całą szerokość rzeki toczyła się potężna ściana wody, wyginając się w ich stronę i stale zwiększając szybkość. Brzegi Amazonki łamały się z przypominającym skręcanie stalowych belek ostrym trzaskiem, wyrывая potężne, liczące wieki drzewa z korzeniami i miotając nimi w potokach wody jak gałązkami. Na ryk walącej się ziemi nałożył się jeszcze inny dźwięk i Verronet uświadomił sobie nagle, że to on sam krzyczy z przerażenia. Zginie tu, w tej dziczy. Zabrali go ze sobą, by go utopić. Okręcił się, gdy Edward przepchnął się obok niego i rzucił się na szalejące koło steru. Dołożył swój ciężar do wagi kapitana i obaj próbowali nie dopuścić, by statek zszedł z kursu. Potem kolejna fala porwała ich w odmęt.

Liverpool Lady drżała pod uderzeniem jak konające zwierzę. Wręgi pękały z trzaskiem pistoletowych wystrzałów, metal rozdzierał się z jękiem, gdy atakowały go potoki wody. Verronet ugiął się pod ciężarem, dławiąc się gęstą masą szlamu wpychającego się do nosa, do oczu, miażdżącego płuca. To było bez dna, bez końca tonął pod bezkształtnym ciężarem.

— Przeklęta rzeka — ryknął Beckwith, wciąż przywarły kurczowo do bezużytecznego już steru, który kręcił się jak oszalały, spychając ich do tyłu, w wodę. Edward poczuł ostry ból, gdy kawałek sztuczzonego szkła wbił mu się w czoło. Beckwith wyłonił się ponownie i chwycił Verroneta. Potrząsając nim jak szczurem,

waleniem w plecy wytrząsał z niego wodę, aż wreszcie Verronet zakrztusił się i zaczął chwytać powietrze. Edward zatoczył się. Potrząsał głową i zbryzgał ich krwią. Pod czaszką kołatało mu pytanie, gdzie podział się Wil. Woda nadal przelewała się przez sterówkę. Wyprostowany nienaturalnie, przepychał się do drzwi, zataczając się. Potknął się o Verroneta, który zeszywniały ze strachu przywarł do barierki schodków. Statek zatrzęsł się znowu i pograżył się głębiej w wodę, gdy Verronet chwycił Edwarda.

— Gdzie pan idzie? — zakrzyczał. — Niech mnie pan tu nie zostawia samego... Pan chce, żebym zginął... pan chce, żebym zginął...

Zwariował, biedaczysko, pomyślał Edward, kierowany pragnieniem odnalezienia Wiła.

Zostawia mnie tu, żebym się utopił, myślał oszalały z przerażenia Verronet. Ależ tak! Wie, że pracuję dla hrabiego, wie, że odkryłem, gdzie jest Amelia, i że donoszę hrabiemu o wszystkim. Chce się mnie pozbyć. Zabić mnie. Zatrzaśnie mnie tu, bym się utopił i nikt się nigdy nie dowie! Verronet rzucił się do Edwarda i chwycił go za nogi, gdy ten zaczął wspinać się do góry. Edward potknął się na zdradzieckich drewnianych stopniach i ześlizgując się, zepchnął Verroneta w wodę, która półmetrową falą przelewała się przez sterówkę. Verronet szarpał się na czworakach, by się utrzymać. Rzeka przyzywała go znowu, znów dławił go muł i zaklejał mu oczy, dusił go. Otrząsał się z wody, usiłując powstać.

— Morderca — wykrzyczał ostrym jak ostrze noża głosem. — Chce pan mnie zamordować, bo wiem... pan to zaplanował, pan i pański wspólnik...

Z rozcięcia nad okiem Edwarda rzuciła się krew. Zobaczył przed sobą dwóch Verronetów.

— Ten sukinsyn zwariował! — wrzasnął Beckwith.

Edward mrugał oczami, usiłując się skupić. Co ten Verronet powiedział o nim i jego wspólniku? Jego wspólnik. Zatoczył się w stronę schodów.

— Nie zostawisz mnie tutaj! — krzyczał Verronet, gdy Edward zniknął. Łódź przechyliła się gwałtownie, rzucając na niego kolejną miazdzącą falę brunatnej, zachłannej wody.

Rzeka rzucała *Liverpool Lady* jak korkiem. Woda lała się wszystkimi otworami. Porwane zasłony trzępały mokrymi pac-

nicciami o śliskie deski i stalowe poręcze pokładu, skrzycone jak spinki do włosów, zwisające bezużytecznie z uchwytów armatury. Edward dopadł do schodów. Ocierając rękawem krew z oczu, ruszył ostrożnie do przodu.

— Czekaj! — wrzasnął Verronet, ślizgając się za nim. — Zaczekaj na mnie, nie zostawiaj mnie tutaj, abym zginął!

Spod pokładu dobiegło złowieszcze telepanie. *Liverpool Lady* zadrżała i powoli, pełna wdzięku uniosła dziób z wody, stawiając ich w groźnym nachyleniu.

— Pomóż mi... pomóż mi! — wrzeszczał Verronet, szukając oparcia dla nóg na gładkich, wyslizganych deskach.

Ten człowiek wciąż się wydiera, przemknęło przez myśl Edwardowi. Znów potrząsnął głową, próbując rozjaśnić widzenie. Czemu się nie przyknie? Czy myśli, że statek go słucha?

Verronet przetoczył się obok. Edward instynktownie wysunął rękę, by chwycić szybko zsuwającego się z pokładu człowieka. Palce Verroneta uczepliły się go niczym szpony. Obaj mężczyźni zaczęli się staczać i Edward lewą ręką szukał rozpaczliwie czegoś, by się ratować. Widział, jak rzeka wsysa statek. W jednej chwili przejaśniło mu się w głowie. Zrozumiał, że tylko sekundy dzieli go od śmierci. Podążali tam razem, stopę niżej czekała na nich rzeka.

— Nie mogę zginąć... nie mogę! — ryknął.

Metalowy pacholek wałnął go w brzuch, aż stracił oddech. Okręcił się wokół niego i wciągając spazmatycznie powietrze, wolną ręką macał gładki metal. Gdy nadal uczeplony jego prawej ręki Verronet zaczął ześlizgiwać się z burty, Edward przeciągnął palce lewej ręki przez kółko.

Biały gorący ból wystrzelił w jego barku, gdy mięśnie zerwały się. Muszę wytrzymać, myślał, zamykając oczy. Muszę wytrzymać. Verronet wciąż wisiał u jego prawej ręki. Nogi i dolną część tułowia miał już w wodzie. Potężna brunatna rzeka wciągała go żarłocznie.

— Morderca, morderca — krzyczał Verronet.

Edward spojrzał na niego rozszereżonymi oczami.

— Morderca! — wykrzyknął znów Verronet.

Statkiem rzuciło znowu i Verroneta ściągnęło do wody. Zakrzywiona szponiasto ręką trzymała Edwarda potworną siłą prze-

rażenia. Paznokcie broniącego się przed odejściem człowieka przeorały ciało Edwarda do kości. *Liverpool Lady* zarzuciła znów z prądem i ręka zwolniła uścisk.

Wil podciągnął się na nogi. Odrzucając nogą pływające kawały drewna, grożące śmiertelnym niebezpieczeństwem kawałki potłuczonego szkła, podskakujące na wodzie butelki whisky i nasączone wodą gazety omotujące mu nogi, przedzierał się z trudem przez panujący w salonie bałagan. Podważył i przesunął na bok strzaskaną dębową płytę, która kiedyś była drzwiami i wyczołgał się cały roztrzęsiony na pokład. Nie wiedział jakim cudem, ale żył.

Beckwith wyłonił się ze sterówki i ślizgając się po mokrych deskach pokładu, rzucił się ku niemu.

— Edward — wykrzyknął. — Bierzmy Edwarda!

Edward leżał w półwychyłony za burtę z jedną ręką wczepioną w metalowe kółko. Wciągnęli go na pokład i Wil obejrzał go z obawą.

— Nieprzytomny — stwierdził. — Mój Boże, spójrz pan na jego ręce!

Prawa ręka Edwarda była opuchnięta i czarna. Palce miał połamane. Lewa zacisnęła się kurczowo wokół metalowego kółka i gdy rozginali zeszywniałe palce, w miejscu, gdzie metal werznął się głęboko w ciało, krew rzuciła się z dłoni. Wil patrzył bezradnie na współnika. Edward przemarzył silnie, a nie mieli jednego suchego koca, by go zawinąć. Wil ujął go delikatnie i zaniósł do salonu.

Wychodzący spod pokładu ludzie patrzyli osłupiali na ten widok. Statek zadrżał nierówno i rozległo się kolejne złowieszcze telepanie.

— Dobry Boże! — wykrzyknął kapitan. — Nie mamy dziury! To ten przekłety kauczuk przesuwają balast. On się toczy. Jeszcze parę stopni i idziemy pod wodę!

Aż do tej pory Wil nie uświadamiał sobie, jak strasznie cuchnie kauczuk. Sądził, że jest do tego przyzwyczajony, ale tu, w zalanej wodą śmierdzącej ładowni wprost go przytłoczyło.

Z opuszczoną głową i napiętymi barkami pocił się wraz z innymi, dźwigając i przetaczając wielkie, dwustufuntowe kule z zalanej rufy na dziób. Wraz z innymi uskakiwał przed nimi, gdy toczyły

się wściekle waląc w kości ludzi, którzy znaleźli się na ich drodze, niczym bilard z sennego koszmaru. Godziny mijały zagubione w pełnej zjełczałego smrodu i potu ładowni, a Beckwith warczał rozkazy, aż jedna po drugiej kauczukowe kule zostały uchwycone i przymocowane bezpiecznie stalowym drutem. *Liverpool Lady* wróciła powoli na wodę lizać swe rany.

Dwa tygodnie później kapitan Beckwith doprowadził statek do pływającego doku w Manaus. Jak wiele innych statków rzecznych, które dostały się w *térras caídas*, spadającą ziemię Amazonki, uważany był za stracony.

Najlepszy lekarz Manaus, świeżo przybyły z Londynu specjalista, opiekował się Edwardem. Edward nie chciał długo zostać w szpitalu i siedział teraz z Willem w kawiarni przy *Avenida Edouardo Ribiero*. Przechodnie odwracali się, by popatrzeć na jego obandażowane barki i ręce i postrzępione szycie na czole, ale on tego nie zauważał. Nie mógł zapomnieć Verroneta. Wciąż widział oszalałe oczy tego człowieka i ześlizgujące się, orzące jego rękę palce. Setki razy zadawał sobie pytanie, dlaczego nazwał go mordercą.

— Wiesz — odezwał się Wil z głębokim westchnieniem — mieliśmy szczęście, że przeżyliśmy. Sprzedajmy Oro Velho temu, kto da najwięcej i zabierajmy się stąd do diabła.

44.

Gilles zdjął marynarkę i rozluźnił krawat. Popatrzył ze znużeniem na leżące obok siebie na biurku telegramy. Przeszedł do biura bezpośrednio ze stacji, po mocno opóźnionym powrocie z Mediolanu. Niemal zapomniał już, że Verronet przebywa w Brazylii. Bruzda zaintrygowania przecięła jego twarz, gdy czytał pierwszą wiadomość. Co on u licha miał na myśli, mówiąc o „istotnej informacji osobistego charakteru”? Pomysł na wyciągnięcie więcej pieniędzy dla siebie? Cisnął papier na biurko z irytacją. Czy też znalazł dobrą jaskinię hazardu w Manaus? Znał tę słabość Verroneta. Zawsze znał ludzkie słabostki.

Rozdrażniony otworzył drugi telegram. Adresowany do Europejskiej Kompanii Żelaza i Stali, sygnowany był przez Wila Harcourta z *Oro Velho Trail*. Wciągnął ostro powietrze. Położył telegram obok odrzuconego przed chwilą papieru. Patrzył na oba z gniewem.

Głupiec! Jak mógł zginać w jakiejś burzy na Amazonce!

Verronet był z nim piętnaście lat. Wiedział wszystko — skąd zdobyć właściwe informacje, kto z kim jest związany, gdzie są ukryte tajemnice jego konkurentów. Do diabła, jak sobie bez niego poradzi? I co on miał na myśli, pisząc o dziwnej informacji? Jakim głupcem się okazał! Nie byłby głupcem — byłby żył!

Krażył po pokoju ze złością. Co z umową na brazylijski kauczuk? Komu ma powierzyć zajęcie miejsca Verroneta? Kto jest równie

przebiegły, równie sprytny? Do tego równie lojalny? Znał odpowiedź. Nikogo takiego nie ma.

Gerard zawahał się pod ciężkimi dębowymi drzwiami. Nigdy nie wiadomo, kiedy ojciec wpadnie we wściekłość, gdy mu się przerwie. Może też być tak pogrążony w rozmyślaniach, że z trudem zauważy wejście człowieka. Może też się zdarzyć, że sprawi mu się przyjemność. Zawsze tak było, nawet gdy byli małymi dziećmi. W jednej chwili uśmiechał się i poświęcał im całą swą uwagę, a w następnej sprawiał wrażenie, że widzi ich po raz pierwszy na oczy. Gerard nauczył się z tym żyć, ale nadal nie potrafił poznawać nastrojów ojca.

Gilles podniósł wzrok z niecierpliwością. A, to Gerard. Dobrze prezentuje się ten chłopiec. Ależ nie — młody mężczyzna! Ile właściwie ma lat? Dziewiętnaście, dwadzieścia? Nie pamiętał.

— Miałeś dobrą podróż, ojczu?

Gerard miał się na baczności. Nie chciał przekonać się zbyt szybko, w jakim nastroju jest ojciec.

— Mnóstwo problemów, ale wszystko w końcu się ułożyło. Chciałem, abyś był ze mną — rzekł hrabia nieoczekiwanie. — Spodobałyby ci się rozmowy. To jak gra. Zawiała, fascynująca gra.

— A ty zawsze wygrywasz.

— Jak dotąd. — Gilles wzruszył ramionami. — Czy nie masz zamiaru przemyśleć sprawy, Gerardzie? Wszystkie interesy czekają tu na ciebie. Czekają na was obu.

Odgrywali już tę scenę wiele razy. Ojciec wiedział, że Gerard jest zdecydowany zostać architektem. Zawsze tego pragnął.

— Masz dwóch synów, ojczu, a Armand szaleje na punkcie samochodów. We właściwym czasie zajmie się interesami. Zostałem zaproszony na wakacje przez przyjaciela — Gerard skorzystał z okazji. — Chciałem cię prosić o pozwolenie, ojczu.

— Nie widzę powodu, byś nie wyjechał — odparł Gilles bez zainteresowania, myśląc o Armandzie i jego przyszłości.

— A więc mogę jechać do Brazylii? — Gerard chciał doprowadzić sprawę do końca.

— Do Brazylii?

Dwa telegramy nadal leżały na biurku. Verronet nie żyje. *Zginął w Brazylii.*

— Nie pojedziesz, Gerardzie — rzeki hrabia szorstko. — Zobacz. — Wcisnął synowi telegram do ręki. — Verronet zginął w Amazonii. Czy myślisz, że pozwolę ci tam pojechać?

— Ależ ojcze, ja pojedę do rodziny Santosów do Rio...

— Zabraniam ci, Gerardzie. Zostaniesz we Francji.

No, tak, pomyślał Gerard z goryczą. Gdyby ojciec nie otrzymał tego telegramu, wszystko byłoby w porządku. Pomyślał o Veronecie. Cień jego ojca, człowiek zawsze znajdujący się gdzieś w tle. Poza ojcem nikt tak naprawdę go nie znał.

— Przykro mi, ojcze. Z powodu Verroneta, oczywiście.

— Ten człowiek był głupcem — rzekł Gilles z twarzą pozbawioną wyrazu. — To jego pomysł, ten wyjazd do Amazonii po kauczuk... Sam ponosi za to odpowiedzialność. I zostawił mnie z całym tym bałaganem.

Gerard patrzył na ojca układającego na biurku papiery. Chyba nawet nie przejął się Verronetem. A co z rodziną tego człowieka, jeśli ją miał? Nie ma co pytać, ojciec zajmie się tym na swój własny sposób. Wiedział też, że nie ma sensu prosić ponownie o pozwolenie na wyjazd.

Hrabia sięgał już po telefon, pochłonięty innymi sprawami. Gerard ruszył do drzwi. Ojciec nawet nie zauważył jego wyjścia.

45.

Leonie wstawiła gałązkę jaśminu do szklanki z wodą na toalecie. Patrzyła na nią zamyśloną. Wciąż je przysyła. Dokądkolwiek wyjeżdżała, zawsze wiedział, w jakim jest kraju, w jakim mieście, w którym teatrze występuje; nawet zimą miała jaśmin. Gdyby tym mężczyzną nie był monsieur, widziałaby w tym romantyczny gest. Nigdy jednak nie zdobyła się na to, by go odrzucić. Jaśmin stał teraz na toalecie, napędzając pokój wonią wspomnień.

Ale tego wieczoru było inaczej. Dołączył list. Spoglądała na kopertę, nie mogąc się zdecydować. Czegóż on chce? Odrzucając niecierpliwie do tyłu włosy, osadziła na czole złoty diadem i spojrzała nachmurzona w lustro. Był już czas wyjścia na scenę. Dzięki Bogu, ostami występ sezonu. Wieczorem wyjeżdża na południe. Niczym przelotny ptak wraca do swego schronienia. Przeciągnęła się ze znużeniem. Tym razem czuła się bardziej zmęczona niż kiedykolwiek przedtem, a miała przed sobą nowe amerykańskie tournée. Czasami przychodziło jej do głowy, że jest już chyba na to wszystko za stara. To prawda, pomyślała nagle. Ma trzydzieści jeden lat. Trzydzieści lat odpłynęło od chwili, gdy rzuciła hrabiego, a wojna między nimi trwa nadal. Ponownie spojrzała na jaśmin, po czym przeniosła wzrok na leżącą obok nie rozerwaną kopertę. Ciekawe, co napisał. Jaśniała białością, pociągając ją w tak dobrze znany jej sposób. Wykręciła się na pięcie ostro i wyszła, zatraskując drzwi.

W podróżowaniu wagonami sypialnymi jest coś podniecającego, pomyślała. Może rzeczywiście jest jakaś idea w tym gnaniu nocą przez góry i równiny ku własnemu przeznaczeniu. Leżysz owinięta w białe prześcieradła, by po obudzeniu znaleźć się w innym mieście. Jest w tym jakaś magia.

Ciemna boazeria jej przedziału, intarsjowana girlandami i kwiatami z jaśniejszych gatunków drewna, oświetlona była dyskretnymi lampami o różowych abażurach. Wyścielane, pokryte rubinowym pluszem ławki były miękkie, a w kryształowym wazoniku stała dobrze dobrana odcieniem purpurowa róża. Leonia czuła, jak odpoczywa w atmosferze luksusu.

Czekoladka badała nowy teren, obwąchując wszystko z zainteresowaniem, po czym zasiadła na pluszowych poduszkach, patrząc na Leonię.

— Czy pójdzie pani na kolację, madame? — spytał steward. — Wagon restauracyjny zacznie pracę, gdy tylko ruszymy.

— Nie, raczej nie, dziękuję. — Zbyt była zmęczona, by zaprztać sobie głowę jedzeniem. — Proszę tylko o herbatę z cytryną, kiedy będzie pan miał chwilę czasu.

— Oczywiście, madame.

Drzwi zamknęły się za nim miękko i Leonia przymknęła oczy. Jutro znajdzie się w domu.

Gilles szedł do czekającego pociągu. Lokomotywa wyrzucała kłęby pary, wydając głuche pojękiwania, jakby chciała odjechać. Nadal lubił podróżowanie wagonami sypialnymi. Czuł się jak rozradowane przygodą dziecko, wyruszające w środku nocy do tajemniczych miejsc.

Steward doprowadził go do przedziału i upewnił się, że wszystko w porządku.

— Czy będzie pan jadł kolację? — spytał.

— Kolację? — Teraz, kiedy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że jest głodny, ale nie miał chęci znaleźć się w pełnym ludzi wagonie restauracyjnym. — Czy pociąg jest pełny?

— Nie, proszę pana, dzisiejsza noc jest bardzo spokojna.

— Więc owszem. Pójdę na kolację.

Gilles oparł się o poduszki i nalał sobie whisky ze srebrnej flaszki. Dlaczego u licha Leonia nie odpowiedziała na jego list?

Poniżył się. Błagał ją o spotkanie. Za każdym razem widzi ją na scenie. To nie do zniesienia. Przeżył te wszystkie lata w przekonaniu, że któregoś dnia do niego wróci. Teraz musi jechać do zajazdu i porozmawiać z nią. Będzie ją błagał, by wróciła. Nie ma innego wyjścia.

Przyniesiono gorącą herbatę i Leonia popijała z przyjemnością wdychając aromat cytryny; ciepło koilo zmęczenie. Żałowała, że nie poprosiła, by przyniesiono jej także kanapki. Poczula głód. Może poprosi stewarda, by jej coś przyniósł. Nie, chyba szybciej będzie samej po to iść.

Restauracyjny był pusty. Tylko jedna osoba siedziała w drugim końcu delikatnie oświetlonego wagonu. Ponad wysokim oparciem siedzenia widziała czubek głowy mężczyzny.

— Na ile osób, madame? — spytał kelner, uśmiechając się uprzejmie.

— Jestem sama — odparła Leonia.

Gilles de Courmont zeszywniał. Ręka trzymająca kieliszek z winem drżała lekko, gdy patrzył na idącego w stronę kuchni kelnera. Był tu sam z Leonią.

Wagon wydawał się nieskończenie długi, gdy szedł ku niej. Podniosła oczy i przestraszona zetknęła się z jego przenikliwym spojrzaniem. Poczula jak krew przyspiesza w jej żyłach i policzki oblewają się gorącym. Oczy rozszerzyły się w panice. Co on tu robi, czyżby ją ścigał?

— Nie miałem zamiaru cię straszyć; nie wiedziałem, że tu jesteś. — Jego głos brzmiał miękko. — Dla mnie to równie wielkie zaskoczenie.

Chyba to prawda, pomyślała. W jaki sposób mógłby się dowiedzieć, że ona będzie w wagonie restauracyjnym. Jeszcze kilka minut temu sama nie miała o tym pojęcia. Ale co robi w tym pociągu? Patrzyła na niego. Widziała zmarszczki wokół oczu i siwiejące włosy, zaczesane do tyłu w gładkich, srebrnych pasmach. Drżała, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy.

— Czy mogę usiąść, Leonio? — Zadał to pytanie, a ona wiedziała doskonale, że nie uzna odmowy. Nie miała wyboru. Oczywiście, mogła wstać i wyjść. Ale nie zrobiła tego. Nie potrafiła.

Hrabia pochylał się nad małym stołem i ujął jej rękę. Spoczęła bezwolnie w jego dłoniach. Zamknął oczy, by nie mogła dostrzec malujących się w nich uczuć. Nawet teraz musiał ukrywać to, co* naprawdę przeżywał. Było dokładnie tak, jak zawsze. Trzymał jej dłonie i czuł jej zapach, słyszał, jak oddycha i czuł drżenie ręki. Przekręcił jej dłoń i ucałował, przesuwając palcem po nadgarstku. Leonia nie usunęła ręki. Patrzyła zafascynowana na długie zaokrąglone palce z nienagannymi paznokciami. Niemal jak pod mikroskopem widziała drobne czarne włosy na grzbiecie jego dłoni.

Z wysiłkiem podniosła wzrok. Wydawało się, że czas zwolnił bieg, rozwijając kolejne letargiczne sekundy, a ona nie miała siły się poruszyć. Oczy hrabiego wciąż miały głębię ciemnego błękitu, i w tych oczach ona była inną kobietą. Szokująca, żądająca i śmiała, która pragnęła go tak samo, jak on jej, a teraz była wobec niego równie bezsilna, jak tamta siedemnastolatka w Monte Carlo. Jego zmysłowy urok nadal ożywiał w niej gorące wspomnienia. Zmusiła się, by wstać.

— Proszę cię, Leonio, porozmawiaj ze mną. Błagam cię.

Pociąg nabierał szybkości i grzmiąc przez noc, wtłaczał w ciszę swą obecność ostrym gwizdem, a oni stali odgradzeni od świata przytłumionym różowym światłem i luksusem.

— Proszę puścić moją rękę — odezwała się słabym, cichym głosem.

— Zostań ze mną na kilka minut, Leonio. — Chwycił jej dłoń mocniej. — Bądźmy cywilizowanymi ludźmi... Błagam cię, porozmawiaj ze mną.

Stojący w drzwiach kelner patrzył na nich zaciekawiony.

— Czy mam już panu podawać?

— Leonio, napij się ze mną przynajmniej... Pozwól mi pomóc przez chwilę.

Jego spojrzenie paraliżowało ją. Opadła z powrotem na kanapę. Hrabia rzucił kelnerowi zamówienie i siadłszy naprzeciwko niej, puścił wreszcie jej rękę. Potarła ją pod obrusem ukradkiem, tuląc Czekoladkę, by dodać sobie otuchy. Co ona tu robi, co się z nią dzieje?

— Leonio, wybierałem się do zajazdu, by prosić cię o spotkanie. Ty przecież dobrze wiesz, dlaczego! Dlaczego myślę o tobie każdego dnia i nie mogę spokojnie żyć? Dlaczego wysyłam ci jaśmin,

wspominając zapach twojej skóry, gdy cię całowałem? I dlaczego nigdy go nie odesłałaś? Dlatego, że ty także pamiętasz! Przecież to prawda, Leonio. — Niski głos nabierający uspokajających półtonów wkradał się w zakamarki jej świadomości. — Nie zapomniałaś tych nocy; naszych długich, cudownych, nagich nocy... rozgrzania twego ciała pod moim, gładkości i soczystości, a także jak wielką miałaś ochotę...

Kelner chrząknął dyskretnie i postawił na stole wiaderko z winem. Leonia odchyliła się do tyłu. Policzki jej pałały.

Gilles sam nalał im szampana.

— Wiesz — rzekł półgłosem, patrząc jak posłusznie pije znajome wino — ja nie zapomniałem niczego.

Leonia patrzyła w ciemność przelatującej za oknem nocy i ścisła kurczowo kieliszek. Patrzyła na odbity w szybie widok. Dwoje przystojnych ludzi, sączących szampana w różowym, przytulnym świetle. Zapragnęła dotknąć go raz jeszcze. Wiedziała, że nie powinna, ale tak bardzo pragnęła...

Przechylił się ku niej. Nie przestawał mówić tym hipnotyzującym, miękkim głosem. Mówił, jak za nią tęsknił i czego mu brakowało. Podniecał ją.

Czekoladka wskoczyła jej nagle na kolana. Szampan wylał się na spódnicę i Leonia drgnęła. Wróciła do rzeczywistości. Kotka usadowiła się dumnie na jej kolanach i zaczęła lizać delikatnie ściekające krople.

Leonia przyciągnęła ją do siebie i poderwała się. Hrabia stanął przed nią, wysoki i władczy.

— Nie odchodź!

Zawahała się. Targała nią namiętność, choć wiedziała, że nie powinna jej odczuwać. Była odsłonięta, pozbawiona wszystkich swoich umocnień, sama z nim w pędzącym pociągu. To nie jest prawda, to musi być sen. Przebiegła obok niego i rzuciła się do drzwi. Przytrzymał je, by nie mogła otworzyć, a kelner odwrócił się, udając, że robi coś przy stole.

— Leonio — powiedział z naciskiem. — Muszę ci coś powiedzieć. Przynajmniej mnie wysłuchaj.

— Otwórz drzwi — wyszeptwała. — A może mam zawołać kelnera?

Ich oczy spotkały się w momencie jego wahania. Odsunął się powoli, otwierając przed nią drzwi. Przeszła szybko, rzucając się

do biegu, gdy szcęknęły za nim. Chwycił ją przy następnym przejściu. Z ramieniem przy jej głowie przycisnął ją całym ciałem do wyłożonej drewnem ściany korytarza. Szukał ustami jej ust, a ona odwróciła głowę, trzymając przed sobą niczym barierę wystraszoną kotkę. Czekoladka wystrzeliła rozczapierzonymi pazurami w jego twarz i przejechała po jego policzku. Hrabia odskoczył z krzykiem i chwycił się za krwawe ślady.

— Wiem, co masz mi do powiedzenia — stwierdziła, przywieziona do rzeczywistości przez jego napaść — i moja odpowiedź nigdy się nie zmieni. To niemożliwe. To pan sprawił, że to stało się niemożliwe.

— Ale ja wiem, że mnie pragniesz. Pragniesz... czujesz to samo co zawsze. Widziałem to w twoich oczach.

— Myli się pan — odparła zimno. — To wszystko pana wyobraźnia, monsieur. Czas najwyższy, by spojrzął pan w twarz rzeczywistości.

— Zostawmy przeszłość, to co się stało, bo do niej to należy, zacznijmy jeszcze raz. — Mówił teraz szorstko, stracił ów władczy ton i ujmujący, kojący wdzięk. Ciemne oczy błyszczały tak, że przez chwilę widziała odbicie swej twarzy w rozszerzonych źrenicach.

— Możesz odnaleźć Amelię, będziemy żyli razem, we trójkę. Uczynię cię szczęśliwą, Leonio. Będiesz miała wszystko, co zechcesz. Wszystko — przyrzekam ci.

Amelia! Jak śmiał nawet wspomnieć jej imię! To z jego powodu straciła dzieciństwo Amelii. Fala nienawiści przypłynęła znowu, obracając się w niej tęnym nożem.

— Gillesie de Courmont, pożegnaliśmy się już wiele lat temu. Pana życie jest wyłącznie pańskim, i nigdy nie wejdę do niego ani ja, ani moja córka.

Przeszła obok niego i ruszyła szybko korytarzem. Przeszła przez drzwi, a potem, wraz z narastającą paniką, znów rzuciła się do biegu, aż dopadła wejścia do swojego przedziału. Zamknęła drzwi za sobą i trzęsącymi się rękami zatrzasnęła zasuwki. Siedziała czekając, kiedy przejdzie jej drżenie, a Czekoladka wierciła się przy niej niespokojnie.

Chyba postradała zmysły. Musiała być szalona, skoro go słuchała. Pozwoliła, by próbował znowu uwieść ją swymi słowami;

zawsze potrafił to robić. Wiedział, jaka ona jest. Boże, a ona go pragnęła! Przez te minuty pragnęła go bardziej niż czegokolwiek innego na tym świecie. Patrzyła na siebie w lustrze, przekręcając lampkę, by lepiej się sobie przyjrzeć. Chciała zobaczyć, co z niej za kobieta, że potrafiła zapomnieć o morderstwie i zagrożeniu, dlaczego własne ciało wydało ją wspomnieniom i pożądaniu?

Rano wyszła z pociągu jako pierwsza. Krocząc obok krzepkiego stewarda, zajmującego się jej bagażem, przebiegła przez barierkę. Zauważyła go jeszcze, jak podążał ku niej, kiedy steward pomagał jej wsiąść do dorożki. Nie zdążył. Była bezpieczna.

Zajazd nigdy nie wyglądał bardziej gościnnie, a proste, bielone ściany nie wydawały się bardziej solidne i bezpieczne. Zdrowy chłopski rozsądek Frenardów przywiódł ją z powrotem do po-krzepiającej radości codziennego życia i sprawił, że wydarzenia w pociągu zdały się jedynie nocnym koszmarem.

46.

Edward odprowadził Wiła na idący przez Nowy Jork pociąg do Miami. Oro Velho zostało sprzedane i był teraz bogatszym człowiekiem, niż mogło mu się kiedyś marzyć.

Dzięki Bogu, skończyły się jego dni jako kauczukowego barona. Potarł ręką odzywającą się bólem bliznę na czole. Minął już rok, a ona ciągle dawała mu się we znaki. Wspomnił wyraz oczu Verroneta, gdy jego ręka wyslizgiwała się z jego pogruchotanej dłoni. Uświadomił sobie, że miał wielkie szczęście.

Przemierzał pokład wciskającego się do zatoki w Hawanie promu z Key West. Życie się ustabilizowało, decyzje zostały podjęte, a wszelkie zmiany zaakceptowane. Przyszłość jawiła się przed nim opatrzona wielkim znakiem zapytania.

Xara Rosalia O'Neill de Esteban kierowała konia powoli przez pasmo wzgórz rozdzielających dwie posiadłości. Ta po stronie zachodniej należała do jej brata, Tomasza, druga, skierowana na wschód, do jej nieżyjącego męża, Don José. Z tej wysokości widziała wijącą się zapyłoną białą wstążkę drogi wokół ich granic oraz królewskie palmy, ciągnące się niczym dwudziestometrowe latarnie aż do posiadłości *Flor de Sevilla*. Przed sobą miała jej równiutko zorane tytoniowe pola, tu i ówdzie nakrapiane plamkami bieli. To kawałki tkaniny, którymi poprzykrywano młode delikatnie rośliny,

by uchronić je przed palącymi promieniami słońca. Bezpośrednio przed nią, pod osłoną wzgórze wieczorne słońce igrało na czerwonej dachówce szeroko rozpościerających się dachów hacjendy. Drzewa mango wyznaczały aleję prowadzącą do drogi granicznej, jednej z niewielu na Kubie, prostych dróg, gdzie wszystkie dawne posiadłości miały zaokrąglone kontury.

Vega José de Estebana wyglądała dokładnie tak, jak porzuciła ją bandyci dwa lata temu; nieskończone nagie pola, które dopiero teraz zaczęły się okrywać rzadką szczecinią szorstkiej trawy, oraz ruiny wspaniałego niegdyś domu; ostra czarna szrama wśród puszczejących pędy pasoworóżowych i szkarłatnych bugenwilli, jakby starających się ukryć jego rany.

Xara spętała Fiorite i puściła ją pod drzewem, by poskubała sobie soczystej trawy, i ruszyła szczytem niewielkiego wzgórze. Patrzyła zamyślona na swój dawny dom, scenę jej małżeńskiego życia.

— José — rzekła głośno w poczuciu winy — to nie tak, że cię nie kocham. Zawsze będę cię kochać, ale muszę mieć dla siebie coś więcej. — Ogarnęła spojrzeniem cały osamotniony wąski świątek *vegi*. — Może gdybym miała dzieci, wszystko byłoby inaczej, ale dwadzieścia sześć lat, to jeszcze młodość.

Odwróciła się od szkieletu starego domu ze skruchą.

Tak bardzo chciała znowu znaleźć dla siebie treść życia — romans i miłość.

Perłowy świat rozlał się porankiem, gdy nad zatoką przetoczył się wystrzał dający znak statkom, że mogą już wejść, budząc jednocześnie Hawanę do gorączkowego, pełnego zgiełku dnia. Wąskie uliczki miasta z rozpiętymi dla tak cennego tu cienia markizami zaroily się ludźmi. Własciele sklepów w otwartych frontonach ustawiali towary; pastelowy róż, kolory cytryn i bżów — ze stert sztuk organdy i batystów, czernie i czerwienie koronkowych wachlarzy; kolory oberżynowe i pomarańczowe, zielone i żółte — jaśniejących stosów owoców i warzyw. Panie domu wraz ze służącymi napełniały koszyki bananami, owocami mango, melonami, ananasami i avocado, targując się gorliwie nad kłatkami z małymi ptakami myśliwskimi i chudymi kurami. Chińscy i kreols-

cy żebracy włóczyli się w cieniu ogródków kawiarni *Paseo Tacon*, gdzie ubrani w białe garnitury ludzie interesu siedzieli nad mocną czarną kawą i grali w warcaby i domino. Gitary dokładały pulsujący akompaniament do stukotu wiejskich wózków, przemierzających wybrukowane kocimi łbami ulice. Wonie przypraw i aromat kawy oraz zapach rezedy łączyły się z duszącym pudrem kobiet plotkujących przed *Café Dominica* i Edward wdychał je wszystkie, pozwalając, by niczym wino krążyły w jego krwi. Wesoła i ekstrawertyczna czy tłąca się tylko i tajemnicza, którąkolwiek się wybierało, Hawana kusila obietnicami.

Xara wiedziała dokładnie, po co idzie do specjalizującego się w ostatnich paryskich modelach *Boutique Oberon*. Terez albo nigdy, powiedziała sobie zdecydowanie, gdy pchnęła drzwi. Mam zamiar zmienić swoje życie i właśnie to zacznam.

— Dona Xara — powitała ją sprzedawczyni. — Dawno pani u nas nie była.

— Rzeczywiście, Marcello, ale dziś chcę to nadrobić. Proszę dobrze na mnie popatrzeć. Na te zgaszone kolory, tę bezstylową suknię. Stałam się kimś pomiędzy kuzynką ze wsi a znudzoną wdową. Potrzebuję zmiany, Marcello. Zmień mnie. Potrzebne mi są kolory. Różowy, żółty, turkusowy, do tego białe jedwabne pończochy i śliczne pantofelki z kokieteryjnymi kokardkami. Chcę mieć koronkowe bluzki i wirujące spódnice. Marcello, nie musisz mnie na nic namawiać. Po prostu przynieś mi to wszystko, a ja to kupię!

— Doskonale — zaśmiała się Marcella — ale proszę pamiętać, że to będzie bardzo dużo kosztować.

— Jestem bogata, bezdzietną wdową i mam dwadzieścia sześć lat, na cóż innego miałabym tracić pieniądze?

Usiadła w głębokim pluszowym fotelu i zmarszczyła brwi. Nie masz co myśleć o przeszłości, powtórzyła sobie. Pamiętaj, że to dzień zmiany.

Do działania przystąpiły młode pomocnice i Xara zaczęła odbierać defiladę strojów: sukienki na co dzień z najlepszych gatunków bewelny, chłodne i świeże, w kolorach bananowym, truskawkowym i pistacjowym, o najmodniejszej długiej, wąskiej linii; bluzki z delikatnej tkaniny batystowej w kolorach waniliowym i pistacjowym, wraz ze spódnicami wirującymi pasami drobniut-

kich kropek nad obciążniętymi w kremowe pończochy nogami. Kupiła je wszystkie, do tego jeszcze małe żakieciki w kolorze białym i niebieskim oraz spódnice podróżne. Dobrała też sobie pantofle oraz wieczorowe sandaalki z paseczków, zdobione z przodu lśnią-cymi barwnymi paciorkami, a także jedwabny, prosty biały płaszcz, wykończony na dole delikatnymi, migoczącymi kryształkami, wraz z wiotkim, tańczącym jedwabnym szalem, gotowym do niepotrzebnej ochrony przed powietrzem tropikalnej nocy. Najbardziej jednak z zakupów podobała jej się suknia ze szkarłatnej tafty z dopasowa-nym stanikiem i marszczoną spódnicą, zmysłowa niczym suknie hiszpańskich tancerek.

To orgia kupowania, myślała patrząc z zachwytem, jak oszołomione panny sklepowe pakują starannie do pudełek jej zakupy. Wreszcie uwolniła się od brzemienia swego wdowieństwa. Najprzyjemniejsze zaś było to, że José chciałby, aby ona to właśnie zrobiła; nie życzyłby sobie, by została pochowana jak on, na *Vega Flor de Sevilla*.

— Marcello, niech pani wyśle to wszystko do *Santa Isabella* — zawołała. — Przed sjeścią mam jeszcze do załatwienia kilka spraw.

Sklep z bielizną sprzedawał najbardziej śliskie, najbardziej jedwabiste i najbardziej niebiańskie, jakie można sobie wyobrazić, rzeczy pod spód. Xara przesuwiała ręce wśród szaleństwa pastelowej miękkości koszulek i majteczek, koronkowych motylków zapina-nych w taliu na perełkę, koszul nocnych w dziewczęcej bieli, mniej dziewczęcych w kolorze róż i skórki kreta, a nawet purpury — w kolorze jej taftowej kreacji. Przeglądała jedwabne pończochy i satynowe pantofelki z łabędzim puszkiem i perłowymi guziczkami. Westchnęła zadowolona. Ten ranek był wprost fantastyczny. Jednak gdy z uczuciem ulgi zasiadła w chłodzie bijącym od marmurowych fontann *Café Dominica*, uświadomiła sobie, że jest w tym wszystkim zasadniczy problem. Gdzie ona to będzie nosić i, co ważniejsze, dla kogo.

Wpatrywała się w wirującą w filizance kawę i mieszała ją zamyślona. Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Dlaczego w jej życiu nie może wejść jakiś wysoki, ciemny przechodzień, tak by ścieło ją z nóg?

Bardzo ładne kostki, myślał Edward, spoglądając pod liśćmi palmy stojącej między nim a kobietą. Starannie obciągnięte jedwabiem, kończyły się maleńką stopą w ślicznych paryskich pantofelkach z kokieteryjnymi kokardkami przy wycięciu. Gdyby przesunął krzesło lekko w prawo, mógłby ujrzeć więcej, ale mogłoby to też zniszczyć jego marzenia. Pewnie jakaś pulchna hiszpańska matrona czekająca na męża, by zabrał ją na obiad po trudach porannych zakupów. Czy nie lepiej siedzieć sobie spokojnie i rozkoszować się widokiem ślicznych stóp pod liśćmi palmy? A są rzeczywiście śliczne, zwłaszcza gdy tak skrzyżowała nogi, dając mężczyźnie możliwość ujrzenia w przelocie obciągniętych jedwabiem łydek. No cóż, pomyślał, dając kelnerowi znak, że chce zapłacić, zachowam sobie to marzenie.

Bardzo interesujące plecy, myślała Xara nad swoją kawą. Szkoda, że odchodzi. Nigdy się nie dowie, jak mężczyzna wygląda z przodu, ale tył jej się zdecydowanie podobał. Mężczyzna był wysoki i szczupły o kasztanowych włosach, spadających lekko kręconymi pierścionkami na kołnierzyk. Sprawiały wrażenie gestych i zdrowych, miękkich w dotyku. Lawirował z pewną wyniosłością między zajętymi stolikami, z białą marynarką zarzuconą lekko na ramiona. Xara westchnęła i poprosiła o rachunek. Dlaczego właściwie nie miałyby spotkać kogoś takiego? Nie bądź śmieszna, powiedziała sobie twardo. Z pewnością w domu czeka na niego prowincjonalna, pulchna żona z czwórką dzieci, on wyskakuje, by odwiedzić małą przyjaciółeczkę w jakimś przegrzonym mieszkaniu. Na myśl o przyjaciółce poczuła ukłucie żalu. Czyżby to była zazdrość? Chciałaby nią się stać.

Barokowy różowy dom, niegdyś pałac hrabiów Santavenia, był teraz hotelem *Santa Isabella*, prowadzonym przez Amerykanina z Nowego Orleanu. Wykładany marmurem hall był pusty. Edward nacisnął mocno dzwonek na kontuarze. Odpowiedzią był jedynie **delikatny** plusk wody w ładnej, wykładanej niebieskimi kafelkami fontannie i szum letargicznych obrotów dwu długich wentylatorów podwieszonych u wysokiego belkowanego sufitu. Nawet kanarki

siedzące w klatce, odbijającej się w ozdobnym, złożonym lustrze, nie śpiewały, jakby dla nich także istniała sjestra. Zniecierpliwiony nacisnął dzwonek jeszcze raz.

Chłopak, który wyszedł na jego spotkanie, zapinając pośpiesznie kurtkę uniformu, najwyraźniej nie był przygotowany na przyjęcie gości w czasie sjesty, ale żwawo prowadził Edwarda galeriowymi schodami, a potem przez hall do przestronnego pokoju z żaluzjowymi oknami, wychodzącymi na opustoszały teraz plac. Skoro cała Hawana śpi, dlaczego on miałby się z tego wyłamywać. Wyciągnął się na wielkim mosiężnym łóżku i zamknął oczy. Ciekawe, myślał kołysany snem, czy reszta była równie ładna jak te kostki.

Xara stała przed długim lustrem w drzwiach szerokiej szafy i próbowała ocenić swoje atuty. Stwierdziła, że twarz jest niezła, tyle że skąd ma to właściwie wiedzieć, skoro jest tak przyzwyczajona do jej widoku. Przesunęła palcem po kości policzkowej. Czy nie zbyt wydatna? I czy oczy nie są zbyt skośne? Czy jasnyniebieskie nie byłyby ładniejsze niż te słodkie brązowe? Dlaczego nie ma nic z cery irlandzkiej babki, zamiast tej kremowej skóry o oliwkowym odcieniu? A włosy? Podniosła błyszczącą granatowoczną masę, opadającą gładko prawie do talii. Może powinna ściąć to wszystko i znaleźć dla siebie nowy, bardziej interesujący styl? Zęby ma piękne, to przynajmniej może sobie powiedzieć. Bardzo białe, gdyby kiedyś znalazł się ktoś do kogo mogłaby się uśmiechnąć, z pewnością byłby nimi olśniony.

Zsunęła z westchnieniem peniuar i popatrzyła w lustro. Wysoka, smukła sylwetka. Czy nie za wysoka i za szczupła? Wysoka pierś, długie nogi — przynajmniej nogi ma ładne — eleganckie kostki i śliczne stopy. Jak wygląda dla mężczyzny? To było tak dawno, że nie miała jak się dowiedzieć. Wyszła za José jako siedemnastoletnia panienka, a on był ponad dwadzieścia pięć lat od niej starszy. Może ktoś inny, jakiś inny mężczyzna nie znajdzie wad?

Przyłożyła rękę do piersi badawczo. Jaka będzie dla mężczyzny? Zmarszczyła brwi i zarzuciła z powrotem peniuar. To jest problem. Jak młoda kubańska wdowa ma znaleźć przystojnego, stanowiącego dobrą partię człowieka, nikogo z tych, których zna przez całe życie?

Pudła z *Boutique Oberon* z ich zawartością o paryskich metkach leżały nie rozpakowane na łóżku i patrzyła na nie tęsknie. Wszystko było takie śliczne, pomyślane dla odziania jakiejś niegodziwie złośliwej kobiety, wybierającej się w długą samotną podróż morską; kobiety nieskończenie pociągającej dla wszystkich panów na pokładzie i będącej powodem nie kończących się przypuszczeń i komentarzy. To były stroje dla kobiety odważnej i prowokującej.

Zaczęła rozpakowywanie. Rzuciła ubrania na łóżko w chaosie fałd i falban, w szaleństwie barwnych plam. Tak, czerwona taftowa zdecydowanie podobała jej się najbardziej. Zapragnęła ją włożyć. Stała przed lustrem, przykładając sukienkę do siebie. Jeśli ją włoży, to włosy ściągnie do tyłu, po hiszpańsku, do tego weźmie rubinowe kolczyki.

— Do diabła, Xaro — odezwała się w ciszy pokoju. — Włóżysz to na wieczór. Zjesz kolację u *Velasqueza* i będziesz jadła sama.

Edward otworzył oczy i znalazł się w dziwnym pokoju. Podbiegł do okna i otworzył żaluzje na zabarwiony na różowo świat. Niebo zwieszało się niczym gaza płonąca czerwona zasłona nad tętniącym życiem placem, gdzie kawiarniane ogródki wypełnione były ludźmi gotowymi radować się wszystkim, co przynosił wieczór. Zastanawiał się, co przyniesie jemu. Najpierw kapiel. Kiedy jadł po raz ostami? Wieczorem na statku wypił tylko filiżankę kawy i piwo. Był straszliwie głodny. Oczywiście, znajdzie najlepszą restaurację w mieście i zje wykwintnie — samotnie.

Szkarłatna tafta szeleściła rozkosznie, gdy Xara szła galerią w stronę schodów. Uśmiechnęła się. Czuła się jak wtedy, gdy matka ubrała ją jako małą dziewczynkę w śliczną, przybraną batystowymi falbankami sukieneczkę. Zawiazała jej jeszcze różową satynową szarfę i obróciła córeczkę na pięcie.

— Jesteś śliczna, Xaro.

Do dziś pamiętała, jakie to uczucie być śliczną. Dziś znów poczuła się ładna i jeszcze wyżej uniosła brodę, idąc z prowokacyjną omdlałością.

Wygląda, pomyślał czekający w hallu Edward d'Aureville, jak arystokratyczna cygańska dziewczyna, zmierzająca na umówioną schadzke. Szczęśliwy człowiek, pomyślał z zazdrością, gdy szła ku drzwiom. Tak, kimkolwiek jest mężczyzna, który ma się z nią spotkać, ma wielkie szczęście.

Wieczorne powietrze było ciepłe i Xara wciągnęła je łapczywie. Czekając na dorożkę, mówiła sobie, że to przygoda. Dobrze wychowane kubańskie dziewczyny nie chodzą same do restauracji; towarzyszą im ojcowie lub bracia, kuzyni bądź mężowie. Cichy, pełen wątpliwości głos dodawał, że nadal może się wycofać i zjeść spokojną kolację w hotelowej jadalni. Poza tym *Velasquez* to bardzo elegancka restauracja i nigdy nie wiadomo, kogo się tam spotka. Pomyśl o tym, co będą mówili, ostrzegał cichy głos.

— Nie — rzekła twardo. — Zrobię to.

— Słucham panią? — odezwał się stojący obok niej Edward.

— Och, nic takiego, bardzo przepraszam. Po prostu mówiłam coś do siebie.

Xara weszła do dorożki i odwracając się, by na niego spojrzeć, kazała jechać do *Velasqueza*. Ich oczy spotkały się na krótką chwilę i Xara opierając się wygodnie, zastanawiała się, jakiego koloru są oczy mężczyzny. Szare, a może srebrne? A może przejrzyste jak szkło, tak że można zajrzeć przez nie w jego duszę, gdyby się było dostatecznie blisko? Z kim spotka się dziś wieczór? Pewnie z jakąś piękną cudzoziemką — chłodną angielską blondynką lub elegancką Amerykanką. Kimkolwiek ona jest, ma wielkie szczęście.

Edward stał, zastanawiając się nad skośnymi, brązowymi oczami. Czy uśmiechnęła się do niego? Może tym szczególnym rodzajem półuśmiechu? Woń wpiętych w jej włosy gardenii trwała przy nim zwodniczo. Powiedziała, do *Velasqueza*. Wahał się tylko przez moment. On również ruszył do *Velasqueza*.

Restauracja była cichsza, niż oczekiwala Xara, i jeśli nawet *maitre d'hôtel* był zaskoczony, że jest sama, nie okazał tego. Zaprowadził ją do stolika we wnęce z ozdobnie obramowanym kafelkami kominkiem, w którym zamiast ognia dziś stały kwiaty.

— Senóra — powiedział, gdy umieścił na jej kolanach wielką lnianą białą serwetę i podał jej menu. — Czy chciałaby pani zamówić coś do picia?

Poprosiła o *manzanille*. Uśmiechnęła się. Wytrawne sherry bardzo pasowało do jej dzisiejszego hiszpańskiego wyglądu. Rozejrzała się rozczarowana. Wnęka mieściła ustawione naprzeciw siebie dwa stoły i dopiero gdy przesunęła lekko swoje krzesło, mogła częściowo widzieć główną salę i innych gości. Była zła. Chciała być obserwatorem, patrzeć na siedzących razem ludzi, pary małżonków i kochanków. Chciała przyglądać się ich szczęściu i chwycić życie, nawet jeśli miało to być jedynie doznanie zastępcze. Ze smutkiem piła swą *manzanille*.

Edward rozejrzał się po restauracji. Nie było jej. Czyżby się pomylił? Czy to nie ta restauracja?

Maitre d'hôtel doprowadził go do stolika we wnęce z kominkiem. Były tam tylko dwa stoliki i przy jednym siedziała dziewczyna w czerwonej sukni. Edward skinął jej uprzejmie głową zajmując miejsce. Jej kochanek musi się spóźnić, najwyraźniej na niego czekała. Znowu poczuł zapach gardenii.

Xara spoglądała na niego spod rzes. To on! Okropne, będzie musiała siedzieć naprzeciwko, gdy on będzie jadł ze swoją przyjaciółką. Stoły stały tak blisko, że będzie mogła wysłuchać niemal całą ich rozmowę, widzieć ich twarze, kiedy będą na siebie patrzeć, dostrzec splecione pod stołem ręce. Nerwowo popijała *manzanille*.

Edward przeglądał menu i spoglądał nad kartą na purpurową damę. Kim jest? I co to za mężczyzna, który każe jej czekać? Niewątpliwie głupiec, pomyślał z żalem. Trzeba być głupcem, by choć minutę stracić bez niej. Jej ramiona na tle czerwieni sukni przypominały śmietaną, a czarne, mieniające się granatem włosy były niczym skrzydła kruka.

— Tak — skłonił się przed nim kelner.

— Miecznik i butelkę *Roederer Cristal*.

To może być długi wieczór. Nie miał zamiaru patrzeć na purpurową damę i jej kochanka. Dlaczego właściwie uważa, że spotka się z kochankiem? To może być mąż, brat. Nie, dobrze wiedział, że nie. Ta kobieta ubrała się dla kochanka, a purpurowa tafta szeleściła obietnicą. Wyglądała jak kwiat wśród falkan jej spódnicy. Jak kwiat gardenii.

Xara wpatrywała się w obrus nerwowo. Zamówił. Nie zrobiłby tego, gdyby miał się z kimś spotkać, Czekalby. Czyżby był sam? A może by zaprosić go, by jej towarzyszył? Przed wszystkim

przyszła tu w poszukiwaniu romansu. Ale jak to zrobić, myślała gorączkowo. Chyba nie powinna.

— Señora — usłyszała głos kelnera. — Czy podać pani wino?

— Wino? — Spojrzała na wiaderko z butelką szampana na jego stoliku. — Szampan proszę. — Może doda jej odwagi. Pragnęła mieć przed sobą te srebrzystoszare oczy.

Chyba jest sama, pomyślał zaskoczony Edward. Taka kobieta na kolacji sama? Ale dlaczego? Nie pytaj dlaczego, kretynie, powiedział sobie. Jest tu sama tak jak ty. Spytaj, czy możesz się przysiąc. Z pewnością gdzieś w kącie czai się jakiś wściekły kubański mąż, gotów go zastrzelić. Do diabła z nim. Warto.

— Przepraszam — zaczął.

— Tak? — Uniosła głowę pytająco.

Ich oczy spotkały się. Brązowe, słodkie, skośne, ocienione frędzlami podwiniętych rzęs dziewczyny i przejrzyste, czyste jak górskie jezioro, mężczyzny.

— Och — złapała oddech. — Skąd pan ma tę straszną szramę? Nie wiedziała, dlaczego to mówi, nie miała wcale zamiaru tego powiedzieć, po prostu tak jej się wymknęło. Boże, co też on sobie o niej pomyśli

— To długa historia — rzekł z uśmiechem — ale z przyjemnością pani opowiem. Wydaje mi się, że jest pani sama, a ponieważ ja także jestem sam, chciałbym zapytać, czy zgodziłaby się pani usiąść ze mną. Wiem, że się nie znamy, ale jak mi się wydaje, mieszkamy w tym samym hotelu. Jest to chyba coś w rodzaju wspólnoty, prawda?

— Ale zamówiliśmy obydwójce szampana — powiedziała nieśmiało. — Teraz będziemy mieli dwie butelki.

Edward przeszedł trzy kroki, dzielące ich stoliki, uśmiechając się do niej.

— W takim razie proponuję, byśmy wypili je razem — rzekł, wyciągając rękę. — Jestem Edward d'Aureville.

— Xara... Xara O'Neill de Esteban — powiedziała bez tchu.

A więc tak to się właśnie odbywa? Mężczyzna twoich marzeń podchodzi do ciebie w restauracji i mówi, że ma na imię Edward — co za cudowne imię — pijecie razem szampana, a ty flirtujesz z nim do końca wieczoru, mając świadomość, że chce się z tobą kochać.

Przypomniała sobie, jak tego popołudnia oglądała się w lustrze, myśląc że zęby ma piękne, i roześmiała się.

Edward patrzył na nią z przyjemnością. Niemal czuł dotyk koralowych warg pod swoimi ustami. Od takich ust nie można było się oderwać; chciałoby się dotykać ich językiem, czule kąsać. Bardzo chciał całować te usta.

— Proszę mi powiedzieć—rzekł, siadając obok niej — dlaczego nazywa się pani i O'Neill, i Esteban.

— O'Neill to po irlandzkich przodkach mojego ojca. Po rodzinie, która osiedliła się na Kubie dwieście lat temu. De Esteban to nazwisko mojego męża.

— Męża? — W jego oczach dojrzała zaskoczenie,

— Mojego nieżyjącego męża — wyjaśniła cicho. — Dwa lata temu zabili go bandyci. Spalili naszą posiadłość. Jose miał na *Flor de Sevilla* najlepszą uprawę tytoniu. — Zadrżała lekko i taftowe falbany zaszeleściły na jej ramionach.

— Współczuję pani — rzekł Edward.

— To było dwa lata temu. — Spojrzała mu w oczy. — Dużo czasu upłynęło. — Napila się szampana. — Nie powinnam panu tego mówić, ale dziś postanowiłam zmienić swoje życie. Siedziałam na wsi w majątku mojego brata i nagle poczułam, że dłużej tego nie zniosę. Chciałam się uwolnić. Przyjechałam do Hawany, kupiłam sobie nowe suknie — jej ręka zatrzymała się lekko na szarfię stanika — i przyszedłam tu, by samotnie zjeść kolację. Chciałam się zmusić do powrotu do normalnego życia.

— Zrobiła to pani ku mojemu wielkiemu szczęściu — rzekł Edward. Ja także muszę pani coś wyznać. Przybyłem tu z hotelu za panią. Myślałem, że czeka pani na kochanka.

— Kochanka? — Przestraszyła się. — Dlaczego pomyślał pan, że mam kochanka?

— Wyglądała pani — zaczął z uśmiechem — jak kobieta zmierzająca w stronę przygody. Ta purpurowa suknia, kwiaty w pani włosach... Zachwycająca Cyganka.

— A pan... — wyszeptwała. — Sądziłam, że spotka się pan z jakąś chłodną angielską blondynką... lodowato arystokratyczną i równie kuszącą, jak chłodne wino gorącą letnią nocą.

Spojrzał w słodkie, skośne oczy, a dziewczyna zwilżyła nerwowo wargi. Zabrakło jej powietrza. Pociągnęła łyk szampana. Nie mogła oderwać od niego spojrzenia.

— Xaro O'Neill de Esteban — rzekł półgłosem. — Obawiam się, że zakochałem się w pani.

Zapomniała o restauracji, o kelnerach, gitarach i szumie rozmów. Zakochał się w niej, czy ona patrzy na niego z równie wielkim pragnieniem, jak on na nią?

Edward pochylił głowę i pocałował delikatnie jej usta. Czują szampana i jego subtelność.

— Zaszliśmy już za daleko, Xaro — rzekł cicho. — Nie ma dla nas odwrotu.

Chciała, by pocałował ją jeszcze; chciała zatracić się cała w całowaniu go. Tak, zaszli zbyt daleko, by się wycofać, ale przecież ona nie powinna tak postąpić. Dobrze wychowane panny nie zachowują się w taki sposób, nie całują w restauracjach nieznanym mężczyznom. Ale ona zakochała się w tym nieznanym.

Kelner przerwał im dyskretnym chrząknięciem. Starał się nie patrzeć na nich, gdy podawał im jedzenie. Na Kubie wszak wszystko może się zdarzyć,

— Nie znam pana — rzekła Xara. — Niczego o panu nie wiem.

Nagle stało się dla niej niesłychanie ważne, by wszystkiego się o nim dowiedziała. Gdzie się urodził, gdzie mieszka. Nie chciała tylko usłyszeć, że jest żonaty. Zaczęła się modlić, by — nawet jeśli to prawda — nie powiedział jej tego. Przynajmniej nie tego wieczoru.

Piła szampana i słuchała zafascynowana, wpatrzona w jego usta. Podniosła rękę i przesunęła lekko palcem po górnej wardze mężczyzny. Przycisnął go do ust i ucałował z czułością. Odwróciła się, nie mogąc znieść narastającego między nimi napięcia. Zupełnie jakby zawiśli gdzieś w czasie i w przestrzeni, tylko oni, we dwoje.

Oboje nie mieli chęci na jedzenie.

— Chodźmy. — Ujął ją mocno ze rękę. — Przejdziemy się.

Cała Hawana wyległa na ulice. Ludzie pragnęli zaczerpnąć powietrza w tej gorącej, bezwietrznej nocy. Tłoczyli się w jasno oświetlonych ogródkach kawiarnianych, gdzie niestrudzenie krążyli przemoknięci od jednego cienia w drugi żebracy. Piękne dziewczęta flirtowały zza koronkowych wachlarzy z buńczuczными młodymi mężczyznami w nienaganych wieczorowych strojach, rozsiadającymi się nonszalancko obok rozbawionych rodzin z dziećmi.

Te — wystrojone jak lalki — biegały roześmiane wśród traktującej je z pobłażaniem ciżby ludzkiej. Giętkie młode dziewczyny z grubo umalowanymi twarzami i błyszczącymi czarnymi oczami przechodziły przez kawiarnie, szukając klientów. W ciężkim od obietnic i intryg powietrzu nocy ciągnęła się mieszanina woni kwiatów, dymu cygar, pikantnych dań i mocnych perfum.

Edward ujął jej ramię. Poczuł pod ręką gładkość i chłód skóry. Nigdy dotąd tak tego nie odbierał. Była marzeniem, fantastycznym obrazem w szkarłatnym jedwabiu i pantoflach na wysokich obcasach, i był w niej zakochany. Skręcili instynktownie w mrok na skraju skweru i przyciągnęli mocno do siebie, ze splecionymi ramionami zatonęli w nie kończącym się, głębokim pocałunku. Nie było odwrotu.

Trzymając się drżącymi dłońmi szli przez mroczne uliczki do swego hotelu. Weszli cicho zataczającymi półkole marmurowymi schodami do hallu z galerią. Xara oparła się o niego lekko, gdy przekreślał klucz w zamku. Drzwi zamknęły się za nimi i już była z powrotem w jego objęciach, zagubiona w jego pocałunku. Chciała, by nigdy to się nie skończyło. Smakował jak wino. Przytuliła się do niego mocniej, a jego ręce ześlizgnęły się po jej obnażonych plecach. Pragnęła dotykać ciałem każdej części jego ciała; znaleźć się tak blisko tego mężczyzny, by przez przejrzyste oczy wnikać w jego duszę.

Okna pokoju otwarte były szeroko w upalną noc i z ciemności dobiegały do nich z kawiarni przytłumione dźwięki gitar. Wielkie łoże z wysokim hiszpańskim wezglowiem, z jego rzeźbionymi cherubinkami i skrzydlatymi aniołami, niemymi i tajemniczymi pod gazą moskitiery, mogło przybyć tu z jakiegoś konwentu. Xara odpinała gardenie i kładła je delikatnie na stoliku przy łóżku, a gdy już skończyła, potrzęsła głową i włosy rozsypały się swobodnie w błyszczące jedwabiste, czarne pasma. Wyciągnął rękę, by dotknąć ich miękkiego przepychu; zapragnął zanurzyć głowę w ich wonną masę. Ramiona Xary pod jego rękami były delikatne i kruche, gdy zsuwał szkarłatną suknię z jej ciała, aż opadła w szeleszczącym stosie na jej stopy.

— Xaro, jesteś piękna — wyszeptał, niosąc ją do łóżka. — Jesteś wspaniała.

Stos paryskich sukienek został zrzucony niecierpliwym gestem, i Xara leżała pod namiotem z gazy. Wygląda zupełnie jak z obrazu Goi, myślała, zrzucając ubranie.

Położył się przy niej, drżąc z pragnienia. Delikatne kości dziewczyny opinała kremowa, satynowa skóra. Utonęli spojrzeniami w swych oczach, zatracili się w ekstazie pierwszej namiętnej pieśczoły, a ich ręce odkrywały się nawzajem niestrudzenie. Wyciskali pocałunki na swych oczach, ustach i szyjach, wciskali się ustami w zagłębienia i miękkość swych ciał w przedsmaku dawanej wzajemnie rozkoszy, zachwyceni swymi odczuciami i pragnący coraz więcej. Szczupły i mocny ukląkł nad nią, zwlekając z ostatecznym, od którego nie ma odwołania.

— Ty też jesteś wspaniały, Edwardzie. Mój wspaniały nieznajomy — szepnęła, unosząc się ku niemu.

Porwał ją namiętnie i przyciskając do siebie jej ciało, poszybował z nią ku nowym, nieznanym wysokościami spełnienia, gdy ich pot mieszał się w upale kubańskiej nocy, a gitary na placach wybijały akompaniament do miotania się ich splątanych ciał, zagłuszając jęki ich pożądania, jej błagania, a wreszcie ich końcowy krzyk.

Nadal spleciony z nią zsunął jedwabiste włosy z jej wilgotnego karku, bo go pocałować, i zatonął twarzą w zagłębieniu jej szyi. Wdychając jej zapach, uciskał jej drżące jeszcze ciało rękami.

— Kocham cię, Xaro O'Neill de Esteban — powiedział. — Jesteśmy nieznajomymi, ponieważ dopiero dziś się spotkaliśmy, ale szukaliśmy się przez całe życie. Kocham cię. Tak, kocham cię.

Xara uśmiechnęła się. Leży w półmroku z mężczyzną, który ją kocha. Życie jest cudowne. Czasem trzeba tylko lekko mu pomóc i wszystko może się zdarzyć.

Edward leżał wpatrzony w sufit. Gładka noga Xary wciąż była przerzucona przez jego ciało. Z głową na jego ramieniu oddychała głęboko pogrążona we śnie, a na jej twarzy malowało się takie uspokojenie, że ogarnął ją ramieniem, jakby chciał ją przed czymś chronić. Jak mógłby pozwolić tej kobiecie odejść? Należała do niego tak całkowicie, jakby znali się od zawsze. Nieważne, że dopiero się spotkali. Wiedział, jak wygląda, co myśli, co czuje i jak reaguje.

Xara O'Neill de Esteban była jego kobietą i chciał, by jak najszybciej została jego żoną. Nie wyjedzie z Kuby bez niej.

Poruszyła się lekko przez sen, a on delikatnie odgarnął granatowoczarne włosy z jej rozgrzanej twarzy. Postanowił, że poczeka, aż się obudzi i poprosi, by za niego wyszła. A może powinien *powiedzieć* jej, że za niego wyjdzie, tak by nie pozostało miejsca na żadne wątpliwości. Tak czy inaczej, nie miał zamiaru przyjąć „nie”.

Blade światło wczesnego poranka przeciskało się już przez zielone deseczki żaluzji, gdy się obudziła. Pocałował ją, nim otworzyła oczy.

— Wyjdź za mnie — rzekł do przymkniętych powiek. — Dziś. Teraz. Chcę, aby to było już.

Xara otworzyła oczy i podwinięte rzęsy połaskotały jego uśmiechnięte usta. Oddała mu pocałunek i otoczyła ramionami jego szyję.

— Czy nie sądzisz, że to tylko purpurowa tafta i romantyczna kubańska noc? — wyszeptała.

— Jest już ranek, a ja nadal jestem tak samo romantyczny i kocham cię. Proszę cię, zostań moją żoną, Xaro O'Neill.

— Ależ my się prawie nie znamy — odparła niepewnie.

— Mamy przed sobą całą resztę życia, by ustalić, czego nie wiemy. Wyjdź za mnie, Xaro, proszę cię.

— Kiedy? — Jej wargi drgały na jego ustach leciutkim motyliwym pocałunkiem.

— Dziś. — Jego ręce pieściły jej kark.

— Dziś nie mogę. Najpierw muszę porozmawiać z bratem, a ty musisz spotkać się z moją rodziną.

Przysunęła się bliżej, z nogą nadal przerzuconą przez jego ciało, niby mocującą go do niej kotwicą.

— W takim razie jutro... W tym tygodniu. — Pocałował ją w szyję i przesunął usta w dół, przez jej piersi.

— Tak — wyszeptała, wstrzymując oddech. — Och tak, Edwardzie. Wyjdę za ciebie.

47.

Nowy Jork! Amelia wyskoczyła łóżka i pobiegła do okna, by sprawdzić, czy nadal jest tam, za ścianami hotelu *Waldorf*.

Puszyste płatki opadały wirując z niewidocznego nieba i kładły się na ziemi białą kołdrą. Oczy dziewczynki otworzyły się szeroko ze zdumienia. Śnieg! Naprawdę pada śnieg Z okrzykiem radości rzuciła się przez salon i wpadła do zacienionej sypialni. Potrząsnęła zakopanym w kocach kształtem.

— Roberto, Roberto, wstawaj! Śnieg pada!

— Och, odejdz, Amelio. — Zatonął głębiej w pościeli.

— Roberto, musisz wstać! Na dworze pada śnieg!

— Amelio! — Jasna głowa wynurzyła się spod przykrycia. — Jest siódma rano. Jest święto... Odejdz, bardzo cię proszę.

— Roberto, ty nic nie rozumiesz! — wykrzyknęła zrozpaczona. — Ja nigdy nie widziałam śniegu!

— No już dobrze. — Uśmiechnął się. — Wstanę.

— No to pośpiesz się — powiedziała, wskazując na łóżko. — Masz się natychmiast ubrać.

Chwyła kołdrę, by ściągnąć ją z niego, a on przytrzymał ją przestraszony.

— Nie rób tego, Amelio — obruszył się.

— Ale dlaczego? — Spojrzała na niego zdziwiona. Obnażona pierś chłopca odcinała się opalenizną od białej pościeli. — Nie włożyłeś piżamy? — spytała podejrzliwie.

— Już nie noszę piżamy. Nie lubię.

— To głupie — stwierdziła Amelia, szarpiąc za koldrę. — A zresztą często widywałam cię bez ubrania.

— Wtedy było inaczej. Byliśmy dziećmi — rzekł Roberto twardo. — Teraz ja mam szesnaście lat, a ty czternaście. Czas, byś zaczęła się zachowywać jak młoda dama.

— Roberto, nigdy nie myślałam, że mógłbyś mi to powiedzieć. — Amelia była zdruzgotana. — Każdy, tylko nie ty.

— No cóż, to prawda. — Była tak przybita, że musiał się uśmiechnąć. — Dorastamy, Amelio. A co z twoimi kolegami w szkole, czy one się nie zmieniają?

— Ach, one — prychnęła pogardliwie. — Wszystkie myślą tylko o strojach i o chłopcach.

— To niezły pomysł pomyśleć o ubraniu — powiedział, spuszcżając nogi z łóżka i owijając się prześcieradłem speszony. — W ładnych ubraniach będziesz wyglądać znacznie lepiej.

Amelia spuściła wzrok na skomplikowany wzór zielonego hotelowego dywanu. Nigdy jej nawet do głowy nie przyszło, że mogłaby w jego oczach wyglądać brzydko. Ładny wygląd nie stanowił przedmiotu jej zainteresowania. Jest jaka jest. Wygląd nigdy nie wydawał jej się ważny. Ani trochę tak ważny jak to, by ochłodzić się w czasie upału, czy obciąć włosy, gdyż znacznie łatwiej radzić sobie z krótkimi, choć i tak odrosły już dawno od owego nieszczęsnego wydarzenia, kiedy to obcięła je sobie niemal przy samej skórze. Być młodą damą! Amelia westchnęła. Wszystko ostatnio stało się takie skomplikowane. Ona i Roberto zawsze byli razem. Kiedy byli mali, wkradała się do jego łóżka, by przytulić się do niego i szeptać mu swoje sekrety, nosiła jego wypchane białe płócienne szorty, trzymane w taliu jednym z jego pasków, wypożyczała sobie jego swetry, pływała wraz z nim nago w rzece na *fazendzie*, a teraz on chce, by stała się małą damą. Doszła do wniosku, że on musi być teraz zapewne młodym mężczyzną, bez względu na to, co to znaczy. Spojrzała na owiniętego w prześcieradło chłopca. Co takiego tam chowa, czego przedtem nie widziała? A zresztą, co za różnica, żachnęła się i ruszyła do drzwi.

— Ubieram się i wychodzę, żeby zobaczyć śnieg — oznajmiła. — Jak chcesz, możesz przyjść.

Uchwycił leciutkie drżenie w jej głosie.

— Oczywiście, że przyjdę — powiedział. — Chcę być pierwszym, który rzuci w ciebie piguła.

— Piguła? — Amelia zatrzymała się z ręką na klamce. — Roberto do Santos, założę się, że to ja dopadnę cię pierwsza.

Dwie minuty wystarczyły jej na ubranie się i wepchnięcie włosów do nowej wełnianej czapki, którą kupiono jej wczoraj, kiedy tak strasznie zmarzły jej uszy. Nigdy przedtem nie było jej tak zimno. Tu panowało zimno chwytające człowieka i przenikające do kości, aż mięśnie stają się napięte i skurczone, a do tego lodowaty tnący w twarz wiatr. W Rio nigdy tak nie było, nie mieli jednak także tego cudownego śniegu. Zerknęła przez drzwi pokoju babki. Starsza pani spała jeszcze, a koronkowy peniuar leżał złożony starannie na krześle obok łóżka. Pokój pachniał słodko perfumami. Jak kwiaty, pomyślała Amelia. Babcia pachnie zawsze jak letnie kwiaty. Czy to właśnie miał na myśli Roberto, kiedy mówił o *dorastaniu*? Czy teraz powinna pachnieć kwiatami zamiast wodą i mydłem, czy powinna mieć koronkowe peniuary i delikatne maleńkie damskie majteczki? Opuściła oczy na swe stopy, wyłaniające się spod nowego ciepłego palta. Jak jej stopy mogłyby kiedykolwiek wyglądać na małe i ładne? Niecierpliwie odsunęła tę myśl. Gdzie jest Roberto?

— No to chodź — powiedział, wychodząc z pokoju. — Już dawno na ciebie czekam.

— Och, Roberto!

Wystrzeliła za nim gwałtownie i pobiegła korytarzem, nie mogąc się doczekać, kiedy winda podjedzie na szóste piętro. Odepchnęła go na bok, aby to ona mogła naciskać guziki. Metalowa siatka zamknęła się i winda zaczęła się opuszczać.

— Jesteśmy zwierzętami trzymanymi w klatce przez nikczemnego właściciela cyrku — powiedział Roberto i dziewczynka roześmiała się.

Roberto uśmiechnął się do niej lekko. Jest naprawdę małą dziewczynką. Czuł się od niej znacznie starszy. O wiele starszy.

Amelia rzuciła się korytarzem, ale ku zdziwieniu recepcjonisty i kilku nudzących się w pustym o tej godzinie eleganckim hallu hotelu, zatrzymała się przed wielkimi obrotowymi drzwiami, by wyjrzeć na ulicę. W białym przykryciu nabrała dziś nowej jasności,

a szare budynki naprzeciwko skryły się za zasłoną z wirujących płatków.

— Poczekaj — powiedział Roberto, odwracając ją do siebie. Poprawię ci szalik, zanim wyjdiesz na to zimno.

Podniosła brodę, patrząc na jego twarz, gdy wiązał jej granatowy wełniany szal. Roberto naprawdę wygląda bardzo dobrze. Ma geste proste, jasne włosy i najczystsze niebieskie oczy; można mu we wszystkim zaufać. Przyklepał szalik na miejscu pod jej brodą i błyskawicznym gestem naciągnął jej czapkę na oczy, po czym wybiegł przez obrotowe drzwi, by jako pierwszy znaleźć się na śniegu.

— Potwór — wykrzyknęła Amelia, rzucając się za nim w drzwi. Wypadła na chodnik i wybuchnęła śmiechem, gdy wjechała w niespodziewanie miękki śnieg.

— To chyba będzie szorstkie — wpół spytała, wpół stwierdziła, po czym nabrała śniegu w dłoń i potarła nim policzek. Był cudowny — zimny i kryształowo czysty.

W tej dziwnej, jakby opatulonej ciszy nawet jej głos brzmiał dziwnie. Piąta Aleja była pusta, nietypowa jak na październik zamieć śnieżna pograżała miasto w ciszy i idąca ostrożnie chodnikiem Amelia słyszała tylko lekkie skrzypienie własnych kroków.

Śnieżna kula pacnęła ją nagle w bark i gdy odwróciła się, by zaprotestować, musiała uchylić się przed następną.

— Och, ja ci teraz dam — wykrzyknęła, a jej głos odbił się od ścian. Błyskawicznie przejęła inicjatywę i obrzucała go śniegiem najszybciej jak mogła.

— Czekaj, czekaj — zaczął krzyczeć. — *Pax*, Amelio! — Podniósł złożone na krzyż palce. — *Pax*, chodź ze mną! — Wziął ją za rękę i poprowadził na środek ulicy. — Spójrz na to — powiedział pełnym przejęcia głosem. Piąta Aleja rozciągała się przed nimi na całej swej długości nieskazitelnie biała, bez śladów ludzkich, bez ruchu ulicznego. — Zupełnie, jakby się było pierwszym człowiekiem na Księżycu — wykrzyknął.

Ujawszy się za ręce biegli z krzykiem i śmiechem w stronę głównej części alei, a zygzaki ślizgających się śladów znaczyły ich nierówną drogę.

— Nie, nie — zaczęła opierać się Amelia, gdy dotarli do Trzydziestej Czwartej. — Mam już dość. Ty nie?

— Jeszcze nie! Chodź. — I pociągnął ją Trzydziestą Czwartą. Była zbyt zdyszana, by oponować. Z poślizgu wbiła się słabo w śnieg przy *Macy's*.

— Nie mogę już biec. — Oparta o szklaną wystawę, dyszała ciężko.

— Masz już dość, co? — Uśmiechnął się szeroko. — Dziewczyny nigdy nie potrafią biegać, zawsze za bardzo machają rękami.

— Roberto, gdybym miała więcej siły, natarłabym ci twarz śniegiem!

— Nigdy nie strasz, kiedy jesteś na gorszej pozycji. — Łypnęła na nią złośliwie, trzymając jej nad głową rękę z kapiącym śniegiem.

— Niech ci będzie — powiedziała Amelia ze śmiechem. — Poddaję się, ale musisz postawić mi filiżankę gorącej czekolady i pączka. Jestem głodna.

Roberto zajął przez okno wystawowe *Macy's*.

— Popatrz, Amelio, a może włożyłabyś coś takiego? — Wskazał na różową jedwabną sukienkę z szerokim białym kołnierzykiem. Wyglądałabyś w tym naprawdę ślicznie. Oczywiście, jeśli upniesz porządnie włosy.

Amelia popatrzyła na nią krytycznie. Sukienka stanowiła to wszystko, czego nie znosiła: jedwab, na który trzeba uważać; do tego różowa — okropność. I ten głupi kołnierzyk." Dlaczego nagle ma ładnie wyglądać? Tylko dlatego, że skończyła czternaście lat? Idąc ręką w rękę z Robertem w stronę zaporowanej kawiarni, obejrzała się z powątpiewaniem na wiszącą w witrynie sukienkę. Czy będzie w niej ładnie wyglądać? Dlaczego on to w ogóle powiedział?

— Hej — zawołała Izabella, gdy drzwi apartamentu zatrzasnęły się za nimi. — Dokąd wybraliście się tak wcześniej?

— Babciu — Amelia ściągnęła mokrą czapkę i palto, rzucając je bezładnie na podłogę. — Jak się dziś czujesz?

— Znacznie lepiej, dziękuję ci, kochanie. — Izabella zgięła palce z zadowoleniem. Dwa tygodnie leczenia rozproszyło wszystkie jej obawy, a już się zamartwiała, że to początki zapalenia stawów. Warto było przyjechać do Nowego Jorku choćby po to, by odzyskać spokój.

— Babciu, śnieg pada! Jest cudowny! Biliśmy się śnieżkami i biegliśmy całą drogę aż na środek Piątej Alei. — Wyrzwała przez okno. — Wciąż widać nasze ślady!

Miała jeszcze zaróżowione od zimna policzki, a jej czyste oczy jaśniały radością. Izabella uśmiechnęła się do niej.

— Twój pierwszy śnieg, Amelio. Rzadko zdarza się w październiku.

— Babciu, czy pójdziesz ze mną po zakupy? — spytała nagle. — Chcę kupić coś nowego, parę sukienek i kilka... no wiesz; takich bardziej dorosłych rzeczy.

Izabella odstawiła filiżankę i ujęła wnuczkę za rękę. Więc ten sowizdrzał chce dziewczęcych sukienek. Czy zrozumiała wreszcie, że musi dorosnąć?

— Oczywiście, że pójdziemy, kochanie — przyrzekła jej. — Niczego bardziej bym nie chciała.

Znużony de Courmont spojrział na zegarek. Pociąg z Chicago miał już godzinę spóźnienia, i przy tym tempie zapowiadało się, że dojadą na *Grand Central Station* za około dwie godziny. Kto mógł oczekiwać zamieci śnieżnej o tak wczesnej porze. Oparł się z powrotem o wyścielane oparcie, próbując się skupić na pracy, ale słowa tańczyły mu przed oczami. Odsunął z westchnieniem papiery, myśląc o spotkaniach, które odbył z producentami samochodów w Chicago. Nie były to dobre rozmowy. Samochody de Courmonta przegrywały w wyścigu cen, w miarę jak coraz więcej kompanii wkraczało na rynek. Jego samochody były zbyt *wyjatkowe*, jak mu powiedziano, zbyt ekskluzywne, za mało *rynkowe*, by mógł mieć tak wielki zbył jak Ford. Ford! Jest taki sam, jak Citroen we Francji. Robi małe, tanie samochody dla małych, tanich nabywców. Wsadzają pracującego człowieka do swoich małych czarnych pudełek, puszczają na drogę i nazywają automobilistą! Nowy de Courmont jest piękny. Wydłużone ścięte linie, głęboki połysk tuzina warstw specjalnych lakierów, lśniących czerwienią, wspaniałym granatem czy bogatą, głęboką zielenią. Wszystko w jego samochodzie było perfekcyjnie zaprojektowane i dokładnie przemyślane. Skórę zamawiał specjalnie z jednej garbarni, stosującej tylko nieskazitelny surowiec, gdzie zmiękczano go do właś-

ciwego, maślanego stopnia, po czym barwiono na płowóżółto, kremowo lub brąz, by doskonale współgrał z lakierem karoserii. Mosiężne okucia wykonywane były w małej fabryczce w Anglii, specjalizującej się od ponad wieku w wyrobach wysokiej jakości, elementy drewniane robione były z orzecha włoskiego o rzadko rozmieszczonych słojach, silniki zaś stanowiły arcydzieło francuskiej i włoskiej konstrukcji, połączenie dające najwyższą precyzję instrumentu do wytwarzania prędkości i mocy.

Więc dlaczego ten przeklęty wóz się nie sprzedaje? Nie dawało mu to spokoju. Wiedział, że są na rynku najlepsi, a ludzie kupują kosztowne wozy. Widział je wszędzie. Rolls-Royce'y, Bugatti, Hispan-Suiza, Mercedes-Benz, Lagonda.

Westchnął zgnębiony i ponownie rzucił okiem na zegarek. To potrwa jeszcze godziny. Tylko czy rzeczywiście ma to jakieś znaczenie? Nikt na niego nie czeka, nikt nie pragnie się z nim zobaczyć. Nie ma powodu, by przedłużać pobyt w Nowym Jorku. Postara się o jak najszybsze zaokrętowanie, może nawet jutro lub pojutrze, choć bez wątpienia wielu postanowiło teraz wyjechać, kiedy pogoda tak się pogorszyła. Nikt nie ma chęci odbywania rejsu w czasie zimowych sztormów. W pociągu było strasznie zimno i Gilies rozcierał zziębnięte dłonie. Postanowił wyjść. Może dostanie whisky i spróbuje się rozgrzać. Będzie szczęśliwy, gdy wreszcie dojadą; u *Waldorfa* będą przynajmniej dobre warunki.

Roberto czekał w bawialni na Amelię i babcię; najwyraźniej nie spieszą się, a on jest już gotów od dawna.

— Chodź już wreszcie — zawołał do zamkniętych drzwi Amelii. — Tracimy nasz ostami wieczór w Nowym Jorku.

Wybierali się na kolację do *Delmonico* i bardzo się na to cieszył. Nareszcie i on będzie mógł się pochwalić czymś przed Diegiem, bo Diego wiecznie się przechwala, gdzie to on był i co widział. U *Madame Susan* i w innych takich miejscach. Ciekawe, jak też tam jest. Diego mówił, że dziewczęta są cudowne. Wysokie nordyckie blondynki z Niemiec i Szwecji; migdałowookie, gładkoskóre Azjatki; ciemne, ogniste Rumunki; błękitnookie Irlandki, a także miejscowe, zmysłowe Mulatki. Zadrżał na myśl o nich. Zastanawiał się, skąd Diego wziął pieniądze. Nigdy mu tego nie

powiedział. Diego nigdy nie mówi mu wszystkiego, zawsze pozostają między nimi jakieś niedopowiedzenia, jakieś tajemnice.

Jedwab jest przyjemny, myślała Amelia, wciągając sukienkę przez głowę. Nie miała pojęcia, że taki właśnie jest w dotyku — miękki i jakby chłodny. Fałdy spódniczki kołysały się przyjemnie, gdy zapinała pasek na gustowną małą klamerkę. Stała przed lustrem. Rzeczywiście wyglądała w niej jak dziewczynka. Stanik uwypuklał małe piersi; do tej pory Amelia udawała, że nie istnieją, a teraz sama przed sobą musiała przyznać, że wyglądają ładnie. Zaciągnęła pasek o kilka dziurek i zakręciła się, by obejrzeć się z tyłu, Roberto miał rację. Dobrze w tym wygląda.

— Jestem gotowa — obwieściła, wchodząc zamasyżycie do pokoju. Zatrzymała się przed Robertem, by ukazać mu całą wspaniałość swego nowego wyglądu.

Roberto w poczuciu winy odciągnął swe myśli od *Madame Susan* i białych ud. Patrzył na Amelię zdumiony. Wygląda ładnie, nawet ślicznie. Jasny różowy jedwab spływał miękkimi fałdami, ukrywając dziewczynską kanciastość. Stała się bardziej zaokrąglona, bardziej dojrziała. Białe kołnierze otaczający wycięcie w szpic uzupełniały wysokie białe mankiety. Na zbyt szczupłych nogach Amelia miała różowe pończochy i srebrne sandały na małych obcasikach. Mocno wyszczotkowane niesforne włosy ułożyły się w łagodną falę i dziewczynka związała je na karku wielką aksamitną kokardą.

Czekała pełna obaw na jego werdykt. Obserwująca ją Izabella widziała, że dziewczynka jest gotowa w każdej chwili wybiec z pokoju i oblać łzami cały ten swój nowy wizerunek, gdyby powiedział bodaj jedno krytyczne słowo.

Roberto gwizdnął cicho z uznaniem.

— Czy to ta sukienka, którą pokazałem ci na wystawie *Macy's*?

— Tak — potwierdziła, wyglądając nerwowo spódniczkę.

Zawsze możesz ufać mojemu dobremu gustowi, Amelio — rzekł chłopak z szerokim uśmiechem. — Wyglądasz fantastycznie. Dziś wieczór będę prowadził dwie najładniejsze kobiety w Nowym Jorku. *Delmonico* — idziemy!

Była siódma trzydzieści, gdy Gilles de Courmont wszedł nareszcie do *Waldorfa*. Udał się od razu do głównej recepcji, by dowiedzieć się o tygodniowy rozkład rejsów do Francji. Łut

szczęścia — następnego ranka miał odpłynąć brytyjski liniowiec. Podpisując się w księdze hotelowej rzucił okiem na listę nazwisk. Nikogo znajomego. Jest w Nowym Jorku sam. Powiadomiony przez recepcjonistę dyrektor natychmiast zajął się osobiście znakomitym gościem i znużony Gilles skrócił jego wylewne powitania. Czekał na windę zirytowany. Wydawało się, że przystaje na każdym piętrze. Dyrektor spojrział na niego przepraszająco, gdy pierwsza winda zatrzymała się przed nimi i wyszła z niej dobrze ubrana kobieta z przystojnym młodziutkim blondynkiem. Gilles wszedł do kabiny i zdobne żelazne drzwi zamknęły się za nim dokładnie, odcinając go w nagle wszechogarniającej **samotności**. Pomyślał o czekającym na niego bogatym, pustym apartamencie.

Izabella czekała w korytarzu, aż zjedzie druga winda z Amelią, która znów zabawiała się z Robertem. Kim jest ten mężczyzna? Znana twarz, ktoś dość popularny, tego była pewna. I to Francuz. Tyle czasu upłynęło od jej wyjazdu z Francji, że nawet nie przypominała sobie twarzy własnych znajomych, a jeśli, to niedokładnie — stanowili jedynie miłe rozmazanie w pamięci.

Drzwi drugiej windy otworzyły się i ukazała się uszczęśliwiona Amelia. Roberto pomógł jej włożyć pelerynę i ułożył ją dokładnie na ramionach dziewczynki, podczas gdy ona przyglądała nienaturalnie u niej gładko zaczesane włosy. Stała się złotą dziewczynką, pomyślała Izabella. Wysoka ponad wiek, z trzpiotowatym wdziękiem, którego zupełnie nie była świadoma. Będzie piękną kobietą, tak jak jej matka. Po Charlesie odziedziczyła spontaniczność zachowań i absolutną bez troskę. Biedny Charles, nigdy się nie dowiedział, że ma taką śliczną córeczkę. I biedna Leonia. Żyje, ale nigdy jej nie zobaczy.

— Chodź, babciu — wykrzyknęła Amelia, wciskając jej rękę pod ramię. — Znów się zamyśliłaś.

Liniowiec *Normandie* miał trudny rejs. Wiadomo, że październik to na Atlantyku raczej niedobra pogoda, ale ta podróż była wyjątkowo zła i udręczeni sztormami pasażerowie spędzali większość czasu w kabinach.

Marok zastukał do drzwi Leonii.

— Pada śnieg — powiedział, strzepując topniejące płatki z marynarki — ale podano już, że przybędziemy do Nowego Jorku wczesnym rankiem.

Leonia odetchnęła z ulgą. Mieli już dzień opóźnienia, poza tym zawsze czuła się lepiej, gdy mogła stanąć pewną stopą na stałym lądzie. Odsunęła niechętnie tacę z kolacją i wyrzała w niespokojną noc.

— O której?

— Około szóstej.

— O szóstej! Och, Marok. — Rzuciła się na fotel nadasana. — Dlaczego zgodziłam się na ten koncert!

Oboje wiedzieli, dlaczego. To dla jej ukochanej dobroczynności. Był zaskoczony, kiedy przyjęła tę propozycję, choć wiedział, że dla dzieci zrobi wszystko. Ale podróżować całą tę drogę do Nowego Jorku dla jednego koncertu i jednego balu dobroczynnego to za wysoka cena, zwłaszcza że znaczyło to dla niej rezygnację z tak ciężko przez nią zapracowanego odpoczynku.

Zaproszenie przyszło w ostatniej chwili i Leonia nie wahała się.

— Czy wyobrażasz sobie, ile pieniędzy te panie z towarzystwa zbierają jednego wieczoru? — spytała, gdy zaczął sprzeciwiać się jej wyjazdowi. — Mogą zarobić dość, by zabezpieczyć setki dzieci, noworodków zostawianych pod drzwiami jak nie chciane kociaki, biedne, bezbronne, głodujące dzieciaki. — Rozłożyła szeroko ramiona wskazując na swój uroczy dom. Stary zajazd, zawsze piękny i wciąż rozrastający się. — Jak mogę siedzieć tu we wszystkich tych rozkoszach, wiedząc, że mogę pomóc?

Wielki liniowiec zatrzęsł się na falach.

— Znów się zaczyna.

Zaśmiała się, gdy z góry dobiegł ich trzask rozbitego szkła i przestraszona Czekoladka przebiegła przez kabinę i wskoczyła jej na kolana.

— Marok, może wyciągniesz whisky i karty. Spróbuj znaleźć tych spośród współpasażerów, którzy trzymają się jeszcze na nogach. Szykuje się kolejna długa noc.

James Homer Aleksander Jamieson III spoczywał w czerwonym skórzanym klubowcu i smakując koniak przyglądał się

grupie przy karcianym stole. Widział już przedtem kilka z tych osób — należały do nielicznej grupki tych, którzy w czasie tego rejsu schodzili na kolację — ale kobietę zobaczył po raz pierwszy. Podobało mu się to, co widział. Rękawy prostej płóciennej koszulowej bluzki podwinięte miała do góry, wspaniałe blond włosy szczesane do tyłu bez żadnego ustępstwa na rzecz kobiecości. Właściwie było jedno: dziecinna granatowa aksamitka, którą przewiązała niedbale włosy na karku. Podobały mu się jej włosy, skręcone, wijące się kosmyki, które co jakiś czas odgarniała niecierpliwie z gładkiej aroganckiej twarzy. Przy każdym lekkim ruchu ręki widać było, że nie ma na niej obrączki. Widział to dobrze. Jest więc wolna.

Grę w pokera traktowała nader serio. Grała buńczucznie, bez obawy przegranej, i popijała whisky z dopełnianej od czasu do czasu szklanki. Intrygowała partnerów swą pełną życia grą i wywoływała wybuchy śmiechu rzucanymi co jakiś czas ostrymi uwagami.

Statek rzucał się, jakby poszukując punktu zaczepienia przy chodzeniu po śliskiej powierzchni. Większość pasażerów pozostawała w kabinach. W pokoju karcianym było cicho. Panował miękki półmrok. Tylko jedna lampa oświetlała zielony stolik i siedzących wokół niego graczy. Dyżurny steward opróżniał popielniczki i donosił alkohol. Spojrzał na zegarek. Trzecia. Za kilka godzin będą w Nowym Jorku. Parę godzin temu cieszyli się z tego, ale teraz nie był zadowolony. Zastanawiał się, jak spotkać się z nią, zanim opuszczą pokład.

Leonია rzuciła karty na stół i przeciągnęła się, podnosząc ręce nad głowę. Przechyliła się z krzesłem do tyłu i wyciągnęła przed siebie nogi.

— Panowie, mam dość — powiedziała. — Jestem zmęczona i zbyt wiele wypijałam. — Uśmiechnęła się do nich przewrotnie. — Powinnam była uprzedzić, że jestem ekspertem...

I to była prawda. Poker stanowił jej namiętność. Zaczęła uprawiać grę, by zapełnić wlokące się beznadziejnie godziny, które spędzała w pociągach; uczyła się od podróżujących wraz z nią muzyków i teraz mogła ograć niemal każdego.

Wzięła torebkę i rozejrzała się po pokoju. Marok odszedł już kilka godzin temu. Tylko w kącie siedział jeszcze jeden mężczyzna. Niemał całą noc tkwił tam i przyglądał im się. Czuła na sobie jego

wzrok i raz czy dwa spojrzała na niego, ale w przyćmionym świetle nie sposób było mu się przyjrzeć. Sądziła, że to po prostu jeden z tych, którzy nie mogą spać na huśtającym statku, i woli przetrwać bezsenłą noc tutaj, zamiast podejmować bezowocne próby zaśnięcia. Leonia skinęła mu głową na pożegnanie i ruszyła do drzwi. Powstał z lekkim uśmiechem.

— Proszę, niech pani nie odchodzi — odezwał się.

Był wysoki, ciemne, falujące włosy nosił dość nonszalancko obcięte. Gęste wąsy okalały szerokie wargi. Podobały jej się twarde usta z lekkim uniesieniem jednego kącika, sprawiającym wrażenie, że za chwilę się uśmiechnie. Reszta podobała jej się także. Doskonale skrojona marynarka leżąca równo na szerokich plecach oraz wrażenie muskularności i siły ciała. Zdecydowanie przystojny mężczyzna. Z pewnością Amerykanin. Chyba z dziesięć lat od niej młodszy.

— Jest bardzo późno, panie...

— Jamieson. James Homer Aleksander Jamieson III. Jim.

— Pańska matka z pewnością wiele się po panu spodziewała. — Leonia zaśmiała się. — Homer i Aleksander! Mam nadzieję, że pan jej nie zawiódł.

— Staralem się, ale wie pani, jak to jest z matkami.

Czy rzeczywiście wie, jak to jest z matkami? Poczula się nagle bardzo zmęczona. Zbyt zmęczona na taką rozmowę.

— Proszę mi wybaczyć, panie Jamieson, ale jest już późno i chciałabym trochę odpocząć, zanim dopłyniemy do Nowego Jorku. Dobranoc.

Ruszyła do drzwi, ale mężczyzna jej nie odstępował. Gdy przeciskali się przez przechylający się pusty korytarz, nie przestawał mówić.

— Dlaczego nie widziałem pani do tej pory? Jesteśmy na tym statku ponad tydzień i nie spotkaliśmy się jeszcze. Nie wiem nawet, jak się pani nazywa.

Leonia przystanąła przed drzwiami swojej kabiny. Nie wie, kim ona jest? Czy to możliwe? Uświadomiła sobie bluzkę z podwiniętymi rękawami, związane z tyłu włosy i czystą, bez makijażu twarz. Oczywiście, nie wygląda przecież jak Leonia. Po prostu jest sobą.

— Mademoiselle Bahri — odparła. — Dobranoc, panie Jamieson. Uśmiechnęła się jeszcze i zamknęła drzwi. Zsunęła pantofle, rozpięła bluzkę i zrzuciwszy ją razem ze spódnicą na wciąż kołyszącą

się podłogę, ściągnęła pończochy, pozwalając by powlokły się w stronę łóżka. Wślizgnęła się naga pod prześcieradła. Zmęczenie upomniało się o swoje; nawet nieustanne przechyły statku nie były w stanie zmusić jej do czuwania minutę dłużej. Twarz Jima Jamiesona z jego przyjemnymi ustami była ostatnią rzeczą, o której myślała, zanim zapadła w sen. Te przyjemne usta, wygięte lekko w kącikach, jakby miał się za chwilę uśmiechnąć.

Marok zrzucił palto zadowolony, że znalazł się wreszcie w ciepłym hotelu. W porcie wiało lodowatym chłodem i mimo że przeprowadzeni zostali przez kontrolę paszportową i cło z nader niewielką zwłoką, zdążył zmarznąć. Dobudzenie Leonii było niewdzięcznym zadaniem, ale wreszcie zwlokła się z łóżka do gorącej kąpieli. Skryła zmęczenie pod szerokim kapeluszem i sztucznymi kolorami na białych policzkach. Kulila się żałośnie w futrze i uśmiechała czarująco, kiedy było trzeba, ale naprawdę chciała jedynie wskoczyć z powrotem do łóżka. Musi się przespać; wieczorem ma występ. Przeklinała pogodę, która wstrzymała statek. Tak mało czasu jej zostało.

— Powiem, by przysłali ci na gardło gorącą herbatę z cytryną — rzekł Marok — i odpoczywaj do wieczora. Ja się wszystkim zajmę.

Dyrektor *Waldorfa* uznał, że Leonia należy do gości, dla których warto wstawać tak rano, by ich witać. Wskazał szerokim gestem jej apartament, po czym otworzył drzwi i zapalił lampy. W marmurowych kominkach buzował się ogień, na każdym stole stały kwiaty. Leonia podziękowała i gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, opadła na kanapę, odrzucając daleko buty.

— Julio — zawołała na pokojówkę. — Idę od razu do łóżka i nie chcę by mi przeszkadzano.

Marok zabrał stos kopert i wiadomości z kontuaru recepcji i przerzucił je szybko. Jak zwykle wiadomość o godzinie próby; piąta, wcześniej niż się spodziewał. Chcieli się dowiedzieć o oświetlenie. Pianista przyjdzie o drugiej, by sprawdzić czy Steinway im odpowiada. Co madame życzy sobie w garderobie — szampana, whisky, wino, jedzenie? Czy potrzebne jej dodatkowe usługi

garderobianej? Był też uroczy liścik od pani van Vyk, prezesa Funduszu Powierniczego Domów Pomocy Społecznej, która witała Leonie w Nowym Jorku i oferowała jej wszelką niezbędną pomoc. Także od pani Austin, organizującej bal, na który bilety kosztowały dwieście dolarów, a twierdziła, że mogłaby brać za nie dwa razy tyle. Wzrost funduszu już stanowił sukces, a nie wliczono jeszcze darowizn, którymi wspomagali go później zamożni goście.

Wziął pióro, by podpisać się w księdze gości i ze strony wyskoczył czarny, surowy podpis. *Hrabia de Courmont*. Monsieur tutaj? Odsunął książkę ze złością. Jak się dowiedział, że Leonia tu będzie? Chwileczkę, tylko czy rzeczywiście wie? Często bywa w Ameryce w interesach.

— Hrabia de Courmont — odezwał się od niechcienia do recepcjonisty. — Widzę, że zameldował się wczoraj. Długo jeszcze zostaje?

Urzędnik sprawdził listę.

— Nie, proszę pana. Jest tylko na jedną noc. Dziś rano odplywa do Francji.

Marok odetchnął z ulgą. A więc nie wie, dzięki Bogu. Nie powie Leonii, że monsieur tu jest, w tym samym hotelu. Nie ma powodu, by ją niepokoić bez istotnej przyczyny.

— Przepraszam pana. — Recepcjonista przerwał jego rozmyślenia. — Zapomniał pan tu podpisać. — Przyniósł mu księgę z powrotem, przepraszając za przewrócenie strony.

Marok stał z piórem w ręce, patrząc na odwróconą stronę, aż oczy uchwyciły pełen kontynentalnych zawijasów wpis francuskiego nazwiska. *D'Aureville... hrabina Izabella d'Aureville, mademoiselle Amelia d'Aureville* oraz *senhor Roberto Castello do Santos*.

Nazwiska wybuchały w jego głowie niczym pociski i odbijały się w dźwiękowych falach wstrząsu. Czy to możliwe? To musi być właśnie to; niemożliwe jest istnienie dwu Izabeli d'Aureville. Do tego Amelia d'Aureville. Spojrzał jeszcze raz na elegancki charakter pisma. To musi być Amelia!

Poraziły go nagle wszystkie implikacje tej sytuacji. Wiedział zawsze, że coś takiego musi się stać. Trwa to już od lat. Wieczne ostrożności, żadnych kontaktów z rodziną d'Aureville, nawet prób dowiedzenia się, gdzie Amelia przebywa. I któregoś dnia ślepy los może wyzwolić cały ciąg wydarzeń, których wszyscy tak się obawiali.

Co on ma zrobić? Obrócił się nagle do urzędnika.

— Kiedy wyjeżdżają państwo d'Aureville?

Recepcjonista spojrział na niego zaskoczony. Może to sprawa przykrej podróży morskiej, ale ten gość zachowuje się raczej dziwnie.

— Hrabina d'Aureville wyjeżdża dziś rano, proszę pana. Spojrzął na zegar na ścianie. — Za mniej więcej piętnaście minut. Udają się na poranny pociąg na Florydę.

Marok zawahał się. Decyzja mogła być tylko jedna.

— Och, Leonio — mruknął. — Czy wybaczysz mi to kiedykolwiek?

— Coś nie w porządku, proszę pana? — Urzędnik patrzył na niego czujnie. — Mógłbym w czymś pomóc?

— Nie, dziękuję.

Marok rozejrzał się niespokojnie po foyer. Tylko sprzątacze i portierzy. Oczywiście, jest jeszcze bardzo wcześnie, dopiero siódma. Amelia wyjdzie bezpiecznie z hotelu, nim monsieur zejdzie na dół. Przy odrobinie szczęścia wyjdzie stąd, nie wiedząc że jest tu również Leonia. Poczuł, że przydałaby mu się filiżanka kawy. Choć przemarzył do kości, musi jednak czekać. Musi zobaczyć Amelię. Przynajmniej to mógł dla Leonii zrobić. Usiadł w foyer, schowany częściowo za kolumną, ale z dobrym widokiem na drzwi. Nie musiał długo czekać. Rozpoznał ich od razu. Babka, młody chłopak i dziewczynka. Oboje jasnowłosi i prawie tego samego wzrostu, dziewczynka wysoka jak na swój wiek. Izabella poganiała ich, gdy szli korytarzem do wielkich drzwi i Amelia zakręciła się w nich dwukrotnie ze śmiechem, nim wypadła na ulicę.

Marok nie uświadomił sobie nawet, że wstrzymał oddech. To dziecko, które wyniósł z Menton dla jego bezpieczeństwa, niemowlę, które spało na jego rękach. Amelia wyglądała dokładnie tak jak Leonia, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Młoda, niewinna dziewczyna z jasną twarzą, jeszcze zbyt wiotka, ale z zadatkami na piękność. I ze szczególną magią swej matki.

Przeszedł powoli przez hall i wszedł do windy. Wiedział, że powinien odczuwać ulgę, gdyż niebezpieczeństwo minęło, ale czuł jedynie smutek.

Elegancki, załadowany kuframi wózek Leonii czekał pod markizą hotelu na wniesienie do środka i portier spieszył już, by się tym zająć. Amelia i Roberto patrzyli z zaciekawieniem.

— Patrz, Roberto — powiedziała Amelia. — Wyobrażasz sobie mieć tyle bagażu? Wystarczy dla sześciu osób, a wszystkie mają ten sam monogram.

Przesunęła palcem po złotych inicjałach wybitych na wieku każdego kufra.

— LB. Ciekawe, co znaczy. Musi być bardzo wielka, skoro potrzebuje tak dużo bagażu.

— Skąd wiesz, że należy do kobiety? — spytał Roberto.

— Jaki mężczyzna miałby szesnaście pasujących do siebie różnych bagaży, głupi? — Amelia patrzyła na niego pogardliwie.

Stali przyglądając się, jak portier upycha na wózku stos.

— To Leonia — odezwał się krzepki, uśmiechnięty Irlandczyk. — Zawsze się tu zatrzymuje i zawsze ma tyle bagażu, że starczyłoby na sześć osób.

— Kto to jest Leonia? — spytał zaciekawiony Roberto.

— Nie wiesz, kto to jest Leonia? Gdzie ty żyjesz? Na Księżycu? — mówił portier z niedowierzaniem. — To wielka pieśniarka, ot co! Najpiękniejsza kobieta na świecie!

— Wyobrażasz sobie — rzekła przejętym głosem Amelia. — Najpiękniejsza kobieta na świecie!

— E tam, nie wierzę, jest mnóstwo pięknych kobiet.

— Tak, ale jednak... cudownie, kiedy tak o tobie mówią — westchnęła Amelia. — Leonia, pieśniarka, najpiękniejsza kobieta na świecie. Moja mama miała na imię Leonia — zwróciła się do portiera.

— No, jestem pewien, że też była śliczna. Myślę, że jesteś troszkę do niej podobna. — Popatrzył na nią zaskoczony. To tylko młode dziewczętko, ale coś w sobie ma.

— Słyszałeś? — powiedziała Amelia do Roberta triumfalnie. — Mówi, że wyglądam troszkę tak, jak najpiękniejsza kobieta świata!

— Powinien cię zobaczyć w moich starych szortach, z twoimi chudymi nogami i wielkimi stopami — dociał jej chłopak i odskoczył, gdy próbowała wymierzyć mu kopniaka.

— Chodźcie już — zawołała Izabella. — Bagaż jest załadowany. Idziemy, bo się spóźnimy.

Marok spędził poranek na nerwowym przemierzaniu apartamentu.

Pił kawę za kawą i dręczył się obecnością de Courmonta. Zegar odmierzał powoli minuty, o dziesiątej trzydzieści zszedł z powrotem do hallu. Kupił gazety i przeszedł od niechcienia do stanowiska recepcjonisty.

— Dziś lepsza pogoda na rejs. — Uśmiechnął się, wskazując nagłówki mówiące o wczorajszym sztormie. — My mieliśmy pecha i musieliśmy to przeżyć.

— To rzeczywiście pech, proszę pana. — Urzędnik uśmiechnął się grzecznie.

— Zdaje się, że dziś odpływa mój znajomy. Hrabia de Courmont.

— Tak, proszę pana. Zaokrętował się w ostatniej chwili, udało mu się zdobyć kabinę dzięki temu, że niektórzy zrezygnowali z rezerwacji. Wie pan, bali się złej pogody. Wypływa o jedenastej.

Marok złożył starannie gazetę i wsunął ją pod pachę. Ulga była tak wielka, że poczuł nagłą słabość. W porządku, monsieur nie wie.

Przeszedł do stanowiska portierów z lewej strony hallu i nachylił się nad jednym z nich.

— Czy hrabia de Courmont już wyszedł? — spytał, wsuwając mu napiwek.

— Tak jest, proszę pana — rzekł portier gorliwie. — Już godzinę temu.

— Wiecie, dokąd pojechał?

— Do Zachodniej Przystani, przy Zachodniej Ulicy, proszę pana.

A zatem w porządku. Odjechał. Amelia też odjechała. Leonia nie spotka ani jego, ani jej. Dygocząc w swym paltocie, wyszedł na zimną ulicę i postawił kołnierz, by osłonić się przed wiatrem. Postanowił, że nic jej nie powie przed dzisiejszym koncertem.

James Jamieson nie należał do ludzi, których odstraszały trudne zadania. Wypłukiwał złoto z piasku w górach Rocky, wydobywał srebro w Kalifornii i robił pieniądze na nafcie w Teksasie. Prowadził twarde, surowe życie w miasteczkach pogranicza i teraz, jako dwudziestosześcioletni mężczyzna, był szefem własnego przedsiębiorstwa budowlanego, którego zarząd mieścił się w San Francisco.

Z panną Bahri trudno się skontaktować, ale on to zrobi. Jest w *Waldorfie*, ale nie przyjmuje żadnych telefonów i z nikim się nie spotyka. Całe popołudnie tkwił w hallu, aż wreszcie zobaczył ją, jak otulona w wielkie futro z lisów i wpółschowana pod szerokim rondem kapelusza, przemierza szybko foyer i idzie do czekającego na nią samochodu. Towarzyszył jej niski, ciemny mężczyzna. Widział go na statku, ale nigdy nie spotkał ich razem. Poza tym pamiętał, że nie miała obrączki.

Pojechał do swego mieszkania przy *Gramercy Park*, zapakował pośpiesznie parę rzeczy i wrócić do *Waldorfa*. Zameldował się, rozpakował i znów zszedł na dół. Godziny mijały, a on czekał. Zjadł kolację i czekał dalej. Spojrzał na wielki złocony zegar na ścianie. Dochodziła druga w nocy. Musiał ją przepuścić. Westchnął. Jutro zmów spróbuje. Nie miał zamiaru zrezygnować.

Marok spojrzał w twarz Leonii, gdy usiadła obok niego w limuzynie. Było już po drugiej. Musi być zmęczona. Niemal natychmiast po występie czarowała ludzi na balu. Uśmiechała się, rozmawiała, tańczyła, całowała dających najwyższe czeki mężczyzn, rozdawała nagrody i gratulacje, wygłosiła także mowę, a wszystko bez najmniejszych oznak znudzenia czy zmęczenia. Ciężko pracowała na tamte dzieci. Zastanawiał się, kiedy powinien jej powiedzieć. Jak długo może to odkładać?

— Czy naprawdę wszystko było dobrze, Marok? — zapytała nie otwierając oczu. Zawsze zadawała to samo pytanie, zawsze potrzebowała jego zapewnień, choć brawa zawsze dawały jej odpowiedź.

— Lepiej niż dobrze — odparł, biorąc ją za rękę. — Dzięki temu wieczorowi będziesz mogła uszczęśliwić wiele dzieci.

— Mam nadzieję — odparła ze znużeniem, gdy samochód podjeżdżał pod hotel.

Wielki hall za biegnącymi łukiem schodami i marmurowymi kolumnami pogrążony był w ciszy. Stali zmęczeni i milczący, czekając na windę.

— Leonio — odezwał się wreszcie. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Czy to nie może poczekać do jutra?

Miała teraz jedynie w głowie obraz miękkiego białego łóżka ze zwiniętą na poduszce mruczącą Czekoladką.

Zawahał się. Była taka zmęczona.

— Może — rzekł po prostu.

48.

Jim Jamieson doszedł do wniosku, że hall *Waldorfa* nie jest miejscem, gdzie chciałby spędzić resztę życia. Kolejny raz próbował skontaktować się z panną Bahri telefonicznie i kolejny raz słyszał w odpowiedzi, że żadnych telefonów nie przyjmuje. Zirytowany rzucił słuchawkę. Co się do diabła dzieje? Od trzech dni nie opuszcza apartamentu. Przysyłają jej kwiaty, ale ona nie przyjmuje nikogo. Od kogo mogą być te kwiaty? Czy jest chora? Ale nie wzywano żadnego lekarza. To wiedział. Czy przyjechała do Nowego Jorku, by spędzić cały czas w numerze hotelowym?

Przeszedł do głównego salonu i usiadł przy biurku. Pisał szybko na hotelowym arkusiku. Podpisał zdecydowanie i udał się do kwiaciarni. Wybrał jedną wspaniałą herbacianą różę. Miała niewysoką łodygę, ale była pełna, otwierająca się w miękkości rozkwitu. Nie chciał dla miss Bahri żadnej z tych wysokich, ostrych szkarłatnych róż. Jest kobietą róż lata, wzrastających w ogrodach, pachnących zachodem słońca i wiatrem.

Zbyt niecierpliwy, by czekać na windę, wbiegł kręconymi schodami na czwarte piętro. Odszukał w końcu korytarza malarzkiem kuchenkę z usługującym w pokojach kelnerem. Kilkoma słowami i hojnym napiwkami osiągnął swój cel.

— Miałem właśnie zanieść do pokoju śniadanie — rzekł mężczyzna. — Połóż to tuż przy talerzu.

Jim spojrział na tacę. Dzbanek z kawą, sok, jedna grzanka. Niezbyt obfity posiłek.

— Czy miss Bahri jest chora?

— Nie, nie jest chora, proszę pana. Zawsze się u nas zatrzymuje, kiedy przyjeżdża do Nowego Jorku, i zazwyczaj dużo bywa, ale nie tym razem.

Jim odszedł zamyślony. Co się stało? Na statku wszystko było w porządku, chyba jako jedyna kobieta nie chorowała. Cóż, pozostawało mu tylko czekać. Niełatwe zadanie dla człowieka czynu, ale jeśli to ma być jedyny sposób, poczeka.

Róża jest piękna, pomyślała Leonia. Uniosła ją do twarzy, Zapach też miała wspaniały. Ciężki, słodki aromat, przypominający wczesne lato w ogrodzie zajazdu; zieleń, świeżość, wilgoć.

Zapagnęła wyjechać, znaleźć się w domu. Wykonała pracę. A do niedzieli jeszcze tak daleko.

Spojrzała bez zainteresowania na dołączony do róży list. Od Jima Jamiesona, mężczyzny ze statku. Mężczyzny o przyjemnych, uśmiechających się ustach. Podpisał się *James Homer Aleksander*. Jakie to śmieszne.

Od trzech dni pikietuję hall Waldorfa, droga miss Bahri, i obawiam się, że grozi mi aresztowanie za włóczęgostwo. Czy nie mogłaby pani zlitować się nade mną i pójść ze mną na obiad? Albo na herbatę? Albo na kolację? Kwiat, który dołączyłem, nie jest takim świadectwem rozrzutności, z jakim inni pani je dają, ale lepiej panią określa. Proszę się zgodzić. Zadzwoń w południe po odpowiedź.

Spoglądała na różę z uśmiechem. A więc on sądzi, że to ją określa. Cóż, doskonały wybór, to jej ulubiony gatunek. Tylko czy ona ma chęć się z nim spotkać? Odłożyła różę z westchnieniem.

Czekoladka mruczała zadowolona w zgięciu ramienia Leonii, niemal całkowicie schowana w puszystym futrze długiego pałta swej pani. W windzie był tylko jeden człowiek. Leonia skinęła uprzejmie głową na powitanie i podnosząc kołnierz, schowała się pod rondem kapelusza. Gdy winda osiadła miękko, pośpieszyła korytarzem w lewo, do bocznego wyjścia. Pierwszy podmuch

lodowatego powietrza zaparł jej dech. Schyliła głowę i przycisnęła mocniej kotkę. Szła z wysiłkiem pod wiatr i wiedziała, że to był błąd. Zdecydowanie za zimno, by Czekoladka chciała się prze-spacerować. Poza tym nie znosiła chodników. Tak samo jak jej pani lubiła trawę, ogrody i plaże.

— Co my robimy w tym zimnym mieście, Czek? — wyszeptwała, przechodząc na drugą stronę ulicy. Tam szło się z wiatrem. Przed skrzyżowaniem zawróciła i biegiem ruszyła do hotelu.

Drzwi obracały się jeszcze, gdy szła przez hall. Zdjęła kapelusz i przesunęła ręką po włosach.

— Wiedziałem, że jeśli będę czekał dostatecznie długo, powie-dzie mi się. Dzień dobry, miss Bahri.

Głos Amerykanina był wesoly i nie sposób go było pomylić z kimś innym. Odwróciła się i spojrzała prosto w jasnoblękitne oczy Jima Jamiesona. Były równie radosne i pełne uśmiechu jak jego głos. Poczowała, że kąciki jej ust unoszą się w odpowiedzi. Nie można było się oprzeć jego pewnemu sobie urokowi.

— Dzień dobry, panie Jamieson. Dziękuję za różę.

— Pytanie tylko, czy podziękowałyby mi pani, gdyby się pani na mnie nie natknęła. Dołączyłem list do róży. Pamięta pani?

Nawet w jego uporze była pewność siebie.

— Pamiętam — odparła, naciskając dzwonek windy.

Jamieson postąpił krok i znalazł się między nią a kabiną.

— Nie wydaje mi się pani typem kobiety, która zbyt długo milczy — powiedział. — Powiem więc, co mam do powiedzenia, skoro mam już tę możliwość. Chciałem spotkać się z panią od chwili, gdy zobaczyłem panią grającą w karty na statku. Od kilku dni okupuję ten hall. Jestem człowiekiem bardzo zdecydowanym, miss Bahri. Nie odpowiedziała pani na moje zaproszenie. Obiad? Herbata? Kolacja? Wyprowadzę nawet pani kota.

Leonia odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— Świetnie, panie Jamieson. Proszę w takim razie przyjść do mnie na herbatę. O piątej.

— Jest dopiero dwunasta trzydzieści — stwierdził, spojrzawszy na zegarek. — Moglibyśmy zjeść lunch. Potem wypić herbatę. Nie może pani wymagać, by mężczyzna czekał tyle godzin.

Drzwi zamknęły się za nią i winda ruszyła do góry.

— O piątej, panie Jamieson.

Patrzył z uśmiechem za znikającą windą, gdy głos kobiety spływał do niego na dół. A więc piąta.

— Proszę się rozgościć — zawołała Leonia z sypialni. — Za chwilę do pana przyjdę.

Sprawdziła w lustrze twarz. Nie wiedziała, czy Jamieson przyszedł tu, by zobaczyć *Leonie*, ale skoro już tu jest, będzie ją miał. Obrysowała wprawnie oczy, rozcierając linię w miękkiej cień, nałożyła na policzki nieco różu i przypudrowała się, a Julia w tym czasie szczotkowała jej włosy w gładką złotą masę. Wsunęła na czoło złoty diadem i sprawdziła krytycznie rezultat w lustrze. Tak, o to jej chodziło. Była gotowa. Dziesięć minut zajęło jej stanie się znów *Leonią*.

Jim rozglądał się po bawialni. Mimo zbyt wystawnego dekorowania i przeładowania kruchymi złożonymi krzeselkami, pokój należał niewątpliwie do niej. Na stołach stały fotografie w srebrnych ramkach, na kanapach i fotelach leżały poduszki z miękkiej mory w kolorach wiosennej miętowej zieleni, różowym kwiatu migdałów oraz liliowym. Wielka kanapa przed kominkiem ozdobiona była aksamitnym moleskinowym dywanikiem. Leonia usunęła otrzymane przez nią wielkie kwiatowe bukiety do korytarza, a ich miejsce w bawialni zajęły zielone rośliny — delikatne, rozłożyste paprocie i niewielkie, pełne uroku drzewka. Umieszczona w cienkim srebrnym flecie róża Jima ronila płatki na dywan. Stoły, krzesła, podłoga zarzucone były książkami, na wielkim fortepianie stały nuty. Złote sandały Leonii leżały tak, jak je zrzuciła z nóg. Jim uśmiechnął się i ustawił je równiutko obok siebie.

Podszedł bliżej do fotografii. Ciemnowłosa piękność o zdecydowanie hiszpańskiej urodzie, obok niej niższy mężczyzna w okularach. Starsza para w ogrodzie przed białą kwadratową willą, na otoczonym cyprysami i drzewkami oliwkowymi wzgórz. Nie było zdjęcia mężczyzny; gdyby w jej życiu był mężczyzna, z pewnością zabrałaby jego fotografię ze sobą.

Dostrzegł pod oknem oparty na małych połączonych sztalugach obraz i cofnął się nieco, by go zobaczyć. Naga dziewczyna na zmiętym łóżku. Cudowne połączenie koloru i światła, piękny, zmysłowy obraz.

— Podoba się panu?

Nie usłyszał, jak wchodziła. Obejrzał się z uśmiechem.

Dobry Boże, ależ z niego dureń! Żeby nie poznać, kim ona jest! Mademoiselle Bahri, podwinięte rękawy bluzki, nocna pokerzystka z potarganymi włosami i błyszczącymi oczami to słynna *Leonia*. A on był takim głupcem, że jej nie poznał.

— Przepraszam — rzekł, uśmiechając się ponuro. — Pewnie jestem jedynym człowiekiem w Ameryce, który pani nie poznał. Czy pani mi wybaczy?

Leonia usadowiła się na kanapie przed kominkiem, ze zwiniętą w rogu obok niej Czekoladką.

— Pochlebia mi — stwierdziła — i bardzo mi miło, że zrozumiał pan istnienie dwu Leonii. Tylko moi najbliżsi przyjaciele znają tę tajemnicę.

— Mam w takim razie nadzieję, że znajdę się wśród nich. — Jasnieniebieskie oczy uśmiechnęły się do niej.

Spojrzenie mężczyzny było serdeczne, lub może tylko ona tak je odbierała. Postanowiła nie zaprzętać sobie głowy tą kwestią.

— Podoba się panu obraz?

— Jest wspaniały.

— Znałam malarza. Dawno temu.

— Nie teraz?

— Nie, nie teraz. — Jest również sprytny, pomyślała. Chwyta wszelkie niuanse.

Pojawił się kelner z pełnym wózkiem. Małeńkie kanapeczki z ogórkiem i łososiem, podpieczone płaskie bułki kapiące masłem, jeszcze ciepłe placuszki z dżemem truskawkowym i gęsta gładka śmietana do nakładania łyżeczką oraz wilgotne, ciemne, czekoladowe ciasto. Leonia i Jim patrzyli na siebie, rozkoszując się ucztą. Na kominku trzaskał ogień, a za wysokimi oknami ciemniało już lodowate niebo. W jakiś sposób pełny wózek i srebrne dzbanuszki nadały hotelowemu pokojowi atmosferę domowej przytulności. Zupełnie jakby stali się spokojną parą małżeńską, która w chłodne zimowe popołudnie zasiadła przy herbacie. Tyle że oni nie są

małżeństwem, a ona nie zna właściwie tego człowieka, pomyślała Leonia.

— Mam wrażenie — rzekł Jim, przysuwając z niesmakiem rachityczne złożone krzeselko — jakbyśmy znali się od lat.

Przejął na siebie obowiązki gospodarza i napełnił filiżanki. Leonia patrzyła na jego mocne, kwadratowe ręce, myśląc że nadają się nawet do tak subtelnej pracy. Palce miał długie, a na grzbiecie dłoni rzadkie miękkie, proste czarne włosy.

— Ale ja pana nie znam, Jim. Nie wiem, które z pana imion oddaje rzeczywistość pana naturę. Czy jest pan erudyta Homerem, czy może wojownikiem, Aleksandrem. Jeśli zaś nie, kim w takim razie jest Jim? Nie wiem, co pan robi ani nawet, gdzie pan mieszka.

— Teraz mieszkam w San Francisco, ale myślę o tym, by się przenieść.

— Tak? Dokąd?

Podał jej filiżankę z herbatą.

— Do Paryża.

Leonia roześmiała się.

— Sądziłam, że w Kalifornii żyją tylko poszukiwacze złota, brutalni ludzie pokryci złotym pyłem,

Ich oczy spotkały się nad filiżankami.

— Wszystko zależy od tego, czego pani szuka, madame — uśmiechnął się szeroko.

Poczuła znajome, ciepłe poruszenie. Podobał jej się. Podobały jej się miłe, uśmiechnięte usta, niebieskie oczy pod długimi rzęsami, potężna sylwetka o szerokich barkach sprawiających wrażenie, że poradzą sobie z każdą katastrofą to, że całe jego ciało wyglądało na mocne i zwarte. Lista rzeczy, które mogły się w nim podobać, była nieskończona. Zastanawiała się, jak odbiera się przy pocałunku dotykiem tych wąsów.

Czekoladka zeskoczyła z kanapy, wyciągnęła po kolei każdą łapę, po czym powiewając ogonem niczym chorągwią pomaszerowała do mężczyzny. Wskoczyła mu na kolana, oparła łapy na jego piersi i patrząc w zaskoczoną twarz, obwąchała go z zainteresowaniem. Zadowolona zwinęła się w kłębek, owinęła się dokładnie ogonem i z miękkim mrużeniem położyła mu łepki na kolanach.

— Cóż — odezwał się wesoło. — Wygląda na to, że zostałem przyjęty do rodziny. Teraz jeszcze muszę panią przekonać.

— Do czego?

— Mam pewne plany — odparł tajemniczo.

Leonia mieszała herbatę i mimo jego zuchwałości uśmiech wygiął jej usta. Patrzyła, jak kładzie na placuszku szkarłatny dżem i kopczyk śmietany.

— Proszę to zjeść — polecił. — Musi pani nabrać trochę ciała, Leonio Bahri. Potrzebny jest pani mężczyzna, który będzie się o panią troszczył.

— Naprawdę? — spytała, czując wewnętrzne rozradowanie.

Była w tym mężczyźnie wzruszająca opiekuńczość, a ona poczuła, że się o nią troszczy. Pobudzał ją do śmiechu. Poza tym przysłał wspaniałą herbacianą różę. Wgryzła się z zapalem w placuszek, zlizując śmietanę z warg.

Jim pochylił się z krzesłem, przyglądając się jej. Każdy jej ruch był przyjemnością dla oka. Kiedy jadła, różowy język uwijał się pociągająco w ustach, napawała się smakiem gęstej śmietany, a w półprzymknięte oczy ukazywały wygięcie długiej linii rzęs, włosy znów rozsypywały się lekko, zbuntowane przeciw mocnemu zaczesaniu. Dziwne, myślał. Kobieta, której życie jest pasmem takich sukcesów, wydaje się taka samotna i taka bezbronna.

— Więc pyta pani, jakie to plany — powiedział nagle.

— Więc proszę mi powiedzieć. — Roześmiała się. — Nie mogę czekać.

— Mam zamiar prosić panią, by wyszła pani za mnie — odparł, wytrzymując jej spojrzenie.

Serce Leonii załomotało. Ten nieznajomy chce się z nią ożenić? W każdym razie ma zamiar ją o to prosić. Czy ktoś kiedyś prosił ją o to? Rupert przyrzekał, że się z nią ożeni, Jacquesowi zależało na niej na tyle, by to zrobił, ale okoliczności ich rozdzieliły, zanim mogli do tego dojść. Pozostali... No cóż, byli po prostu kochankami. A monsieur? Nie, nigdy tych słów nie powiedział; nigdy jej naprawdę nie kochał. Edward d'Aureville kochał ją, poczuła to tamtego wieczoru nad rzeką, gdy ją pocałował. W tym pocałunku była przyszłość, ale nie mogło jej być. Musi być ostrożna z Jimem Jamiesonem, za szybko ją atakuje.

— Proszę się uspokoić — rzekł, widząc jej zmarszczone brwi. Nie miałem zamiaru wprawić pani w zakłopotanie. Po prostu chciałem, by wiedziała pani, że mam uczciwe zamiary.

Wbrew samej sobie wybuchnęła śmiechem. Był bardzo przy-
stojny.

— A może byśmy tak zaczęli od początku? — zaproponowała
odprężona.

— Świetna myśl. — Rozpromienił się. — Proszę zdać się
całkowicie na mnie.

Marok był porażony, kiedy Leonia odwołała rezerwację na
sobotni rejs.

— Ale dlaczego? — spytał. — Myślałem, że nie możesz zwlekać
z powrotem do Francji.

— Ale teraz czuję się lepiej... i mam dobre towarzystwo.

— Jamieson?

— Jamieson — potwierdziła rozpromieniona.

— Dwudziestego dziewiątego jest spotkanie zarządu kuratorów
Chateau d'Aureville — przypomniał jej.

Po raz pierwszy zapomniała. Fundusz powierniczy *Chateau
d'Aureville* był najważniejszą sprawą jej życia. Jednak dawało jej
to dwa tygodnie. Dwa tygodnie dłużej z panem Jamiesonem.

Jim zalecał się do niej z bardzo amerykańską, jedyłą w swoim
rodzaju sumiennoscia. Każdego ranka przysyłał jej kwiaty, zawsze
takie same cudownie pachnące herbaciane róże, i każdego dnia
zabierał ją na obiad do jakiejś wyjątkowej restauracji w mieście czy
też na wybrzeże, na homary, przegrzebki i małe, wspaniałe ostrygi.
Wieczorami chodzili na występy i pili szampana w modnych
kawiarniach, a on zasypywał ją kolejnymi odcinkami historii swego
życia.

Pochodził z Savannah w stanie Georgia. *Prawdziwy Ameryka-
nin* jak sam się określał, gdy rozglądał się po pełnej ludzi re-
stauracji.

— Nie tak, jak ci jankesi.

— Dla Francuza wszyscy Amerykanie są jankesami — powie-
działa Leonia, śmiejąc się z miną udawanego zaszokowania.

Powiedział jej, że ma trzydzieści pięć lat, ale wiedziała, że
kłamie; mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia sześć, siedem, ale
wzruszała ją jego delikatność, gdy starał się nie zrobić jej przykrości
różnicą wieku między nimi.

Każdego wieczoru ponawiał prośbę, by za niego wyszła, a ona każdego wieczoru odmawiała. Każdego wieczoru prosił, by pozwoliła mu wejść na ostatniego drinka i każdego wieczoru odmawiała.

Leżała potem sama w łóżku i zastanawiała się, dlaczego. Czy dlatego, że jest od niego starsza? Odrzuciła koldrę i wyskoczyła z łóżka. Zrzuciła koszulę i stanęła przed lustrem. Miała trzydzieści trzy lata i jej ciało nadal było jędrne i kobiece. Oglądała się z zadowoleniem, wspominając ciężkie poranki w zimnym studiu, kiedy zmuszała się do nużących tanecznych powtórek i ćwiczeń. Przesuwała rękami po ciele i myślała, że większość kobiet w jej wieku jest już zwiędła i rozlewające się obfitości podtrzymuje gorsetami. Wspaniale mieć piersi wciąż sterczące wysoko i dobre, zaokrąglone pośladki.

Nie, to nie wiek ją gnębił, nie bała się też, że zdradzi ją ciało. W takim razie co? Miała kochanków, ale ten jest kimś innym. Jim nie był mężczyzną, który zechciałby odgrywać w jej życiu drugoplanową rolę. Bardzo opiekuńczy, a to jest raczej przyjemne, myślała ze smutkiem. Dobrze jej było, kiedy się o nią troszczył. Odpoczynek w jego ramionach mógłby być równie miły. Odrzuciła tę myśl. Z mężczyzną pokroju Jima nie ma kompromisów; może chcieć więcej, niż ona jest w stanie dać. Poza tym wszystko może się nie udać. On jest Amerykaninem, mieszka i pracuje w Ameryce. Ona żyje w Europie i musi pracować. Jej dzieci są zdane na nią.

Wskoczyła z powrotem do łóżka. *Chdteau d'Aureville* wydawało się wprost pożerać pieniądze, a nakłady, które czyniła, nie były zbyt udane. Rzucała się i kręciła niespokojnie. Życie zawsze pełne jest problemów. Mocna, uczciwa twarz Jima towarzyszyła jej w męczących snach. To mężczyzna, na którym można się oprzeć, mężczyzna, na którym kobieta może polegać, ale ona nie ma do tego prawa. Jej przeznaczenie jest inne.

Stosunek Jima do niej był jasny i bezkompromisowy, ale nieodmiennie z akcentem owego południowego wdzięku i nie-przepartego humoru, którym zmuszał ją stale do śmiechu.

— Leonio, wyjedziesz ze mną do Kalifornii? — zapytał któregoś wieczoru, gdy wracali z kolacji. — Spodoba ci się San Francisco. To miasto jest znacznie bardziej w twoim typie aniżeli Nowy Jork.

— A kiedy musisz wyjechać? — spytała z drgnieniem przestachu.

— W przyszłym tygodniu. — Ujął ją lekko palcem pod brode i z uśmiechem spojrzał jej w oczy. — Nie powiesz mi, że będziesz za mną tęsknić?

W przyszłym tygodniu — tłuło się Leonii w głowie. W przyszłym tygodniu wyjeżdża do San Francisco. A ona ma wrócić do Francji.

— Może będę tęsknić — przyznała. Wiedziała, że tak będzie.

— W takim razie jedź ze mną.

W jego głosie było tyle nalegania i z takim pragnieniem wpatrywał się w nią, czekając na odpowiedź... Naprawdę myśli, że ona może z nim pojechać. Jego życie jest takie proste, bez żadnych komplikacji.

— Nie mogę jechać z tobą, Jim. Co ludzie powiedzą?

Jego oczy utonęły w zmarszczkach, gdy wybuchnął śmiechem. W ogóle śmiał się dużo. Życie z Jimem Jamiesonem byłoby wielką radością.

— Z pewnością nic więcej ponad to, co już mówią. Niemal cały Nowy Jork sądzi, że jesteśmy kochankami. Poza tym tyle czasu spędzamy razem, że sam już niemal tak myślę!

— Ach wy, Amerykanie! Zawsze wam się tak spieszy.

Objął ją delikatnie ramieniem.

— Leonio, zanim mnie wygonisz przed nocą, zaproś mnie przynajmniej na drinka.

— Dobrze — powiedziała, podając mu klucze, gdy szli korytarzem. — Ale tylko na jednego.

Koniak czekał na stoliku przy kominku, węgiel żarzył się jeszcze ciepłą czerwonią. Jim nalał sobie do kieliszka i przemierzając pokój, odsuwał niecierpliwie ze swej drogi kruche złożone krzeselka.

— Cały ten francuski śmietnik — mruzczał. — Nie ma nawet na czym usiąść.

— Usiądź przy mnie — zaproponowała, wtulając się w moleskinową kanapę.

Przysiadł obok niej ostrożnie.

— Czy jesteś pewna, że to wytrzyma? — spytał z udanym niepokojem.

— Jim, przestań się wygłupiać — westchnęła z rezygnacją. — Doskonale wiesz, że nie jesteś nieokrzesanym człowiekiem z Kalifornii. Jesteś prawdziwym dobrze wychowanym dżentelmenem z południa.

— Wydaje mi się, że zaczynam już zapominać o moich południowych manierach — powiedział, otaczając jej plecy ramieniem.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę i Leonia pochyliła się ku niemu. Pocałowała go lekko w usta. Sekundy trwały wieczność, nim odsunęła głowę i ich oczy spotkały się znowu. Oplótł ją ramionami, aż poczuła się jego częścią. Poznawał jej usta, rozkoszując się ich słodyczą, jak truskawkami w czerwcu. Jej włosy pachniały niczym świeżo skoszona trawa; miał chęć chwycić je w garść i owinać się długimi, jedwabistymi pasmami, przywiązując ją do siebie na zawsze.

To miał być tylko jeden pocałunek, myślała Leonia, przesuwając ręce wzdłuż jego pleców. Czowała jego napięte mięśnie, gdy przyciskał ją mocno do siebie. Po prostu jeden pocałunek.

Jim nie odrywając wzroku od zaskoczonych piwnych oczu, zrzucił futrzaną narzutę na podłogę przed kominkiem. Zaczął ją rozbierać i każdą rzecz zdejmował tak, jakby rozwijał cenny posąg z rzadkiego gatunku brzoskwiniowego marmuru. Tyle że nie przypominała w dotyku chłodnego kamienia. Jej skóra była ciepła i miękka, a on pragnął zawsze trzymać ją naga przy sobie.

Przy jego mocnym ciele czuła się bezpieczna. Był silny i muskularny, skórę miał brązową od kalifornijskiego słońca, gładką i sprężystą pod jej drżącymi rękami. W jego grze miłosnej była radość i niewymuszeność. Obsypywał jej ciało pocałunkami i pieszczotami lizał, smakował i głaskał. Otwórz oczy, spójrz na mnie, patrz na mnie — żądał i ich oczy zwierzały się tak mocno, jak ciała. Wreszcie jego twarz napięła się w najwyższej napiętości, a ona wydała okrzyk triumfu.

Jim leżał śmiejąc się i Leonia uśmiechnęła się do niego, speszona.

— Z czego się śmiejesz? — spytała. — Czy zrobiłam coś śmiesznego?

— Śmieję się odparł — bo jestem szczęśliwy. Wiesz, czasem ludziom się to zdarza.

Roześmiała się również.

— Miałam zamiar tylko cię pocałować, ale to najlepsze, co mi się przydarzyło w Nowym Jorku. Muszę powiedzieć — dodała z zadowoloną miną — że panowie z południa rzeczywiście wiedzą, co robią.

Przewrócił się na brzuch na narzucie.

— To jest romantyczne zdanie, a ja jestem do szaleństwa w tobie zakochany.

Nagle odezwało się w niej straszne wspomnienie; kiedyś leżała tak z hrabią i modliła się, by powiedział, że ją kocha. Po prostu tylko to powiedział. Nawet jeśli naprawdę tak nie myślał. Od tamtej pory inni mówili jej o swej miłości — inni kochankowie — ale nie było to aż tak ważne. A Jim jest ważny. Kochał się z nią równie namiętnie jak monsieur, tylko jego pieszczoty były osłodzone czułością, a żar jego pocałunków sprawiał, że pragnęła ich jeszcze bardziej.

— Naprawdę jesteś we mnie zakochany, Jim?

— Ależ tak, kochanie. Czy nie powiedziałem ci tego?

— Tak, tylko że... wiesz, pomyślałam, że jesteś po prostu rycerski.

— Ja jednak nie słyszałem, byś ty powiedziała, że mnie kochasz. — Uśmiechnął się. — Inne słowa tak, ale nie wydaje mi się, by którekolwiek z nich to znaczyły.

Leonia usiadła i objęła rękami podciągnięte kolana.

— Nie jestem pewna, czy mogę to powiedzieć. Och nie wiem, no prostu nie mogę pozwolić sobie na miłość, to zbyt wiele za sobą pociąga. Jestem kobietą niezależną i wiesz, jak długo o to walczyłam. Chcę zachować swą niezależność. A poza tym mam inne zobowiązania.

— Obydwoje mamy za sobą inne miłości, inne życie, Leonio. Żadne z nas nie wzrastało bez sińców i blizn. Tyle że już za późno, jesteś ze mną związana. Wyjdiesz za mnie, nie popełnisz błędu.

— Kusisz mnie — rzekła niepewnie.

— W porządku. — Chwycił ją triumfalnie w ramiona. — W takim razie jedź ze mną do Kalifornii, tam się pobierzemy.

Znam wspaniałe miejsce w Mili Valley. Prosty mały kościółek z sekwoi. Będzie ci się podobał.

— Jim, Jim — protestowała, gdy miażdżył ją w objęciach. Nie spiesz się tak, nie mogę dotrzymać ci kroku. Poznaliśmy się ledwie dwa tygodnie temu!

— Ale pomyśl tylko — wyszeptał, całując ją w ucho. — Śliczny mały sekwojowy kościółek jak chata z okrągłaków.

Myślała o tym, gdy go całowała. Z wielkim żalem.

Przez wiele dni Marok zbierał się na odwagę. Teraz wiedział już, że musi jej powiedzieć. Z odwagą, czy bez. Lepiej zrobić to teraz, dopóki jest tu Jamieson i zanim wyjadą do Francji. Może będzie potrzebowała wszelkiej pomocy.

— Ostatnio niełatwo z tobą porozmawiać — powiedział, opierając się o obramowanie kominka. Pchnął nogą krótkie polano i zaiskrzyło się ostro, po czym wybuchło cienkimi pomarańczowymi płomykami. Patrzył w nie zafascynowany.

— Co się stało, Marok? — spytała przestraszona. — Wyglądasz — zawahała się, szukając odpowiedniego słowa. Nie chory, wszystko jest w porządku. — *Zgnębiony* — to najlepsze określenie. I zdenerwowany.

— Muszę ci coś powiedzieć — rzekł poważnie. — Mam nadzieję, że dojrzysz w tym, co zrobiłem, moje najlepsze intencje. Wiele lat temu wszyscy zaanagażowani w tę sprawę uzgodnili, że nie będzie żadnego kontaktu z Amelią,

Skurczyła się na dźwięk imienia córki.

— O czym ty mówisz? — wykrzyknęła. — Co z Amelią?

— Amelia była tu, w hotelu.

Leonia patrzyła na niego osłupiała.

— Była z hrabiną d'Aureville. Kiedy myśmy przybyli, one właśnie wyjeżdżały. Przypadkiem zobaczyłem nazwisko w księdze gości. Poczekałem, by sprawdzić.

— Widziałeś Amelię? — Głos Leonii był cienki jak szkło, jakby dochodzący z oddali.

— Tak, Leonio. Widziałem twoją córkę. — Słowa, które tak długo powstrzymywał, wyrzucił teraz w pośpiesznym wyznaniu. — Pamiętam jak wyglądałaś, kiedy przyszedłaś po raz pierwszy

do Serrat; cienkie nogi i ręce i mnóstwo włosów... Wygląda dokładnie tak, jak ty wtedy. Dokładnie tak jak ty.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś? Dlaczego nie pozwoliłeś mi jej zobaczyć?

Serce Leonii pękało z bólu. Zwinęła się zrozpaczona i wepchnęła głowę pod poduszki, by zagłuszyć krzyk.

— Nie mogłem, Leonio... Jest jeszcze coś. Hrabia też tu był.

Zmartwiała nagle, podniosła głowę i wpatrzyła się w jedwabną poduszkę. Zygzakowaty wzór odbijał chaos jej myśli. Czy monsieur odnalazł wreszcie Amelię? Odwróciła twarz powoli, bojąc się odpowiedzi na nie wypowiedziane pytanie.

— Nie — Marok potrząsnął głową, — On nie wie. Tylko zwykły zbieg okoliczności. Nikt poza mną nie wie.

W twarzy Leonii odmalowała się taka rozpacz, że chciał kołysać ją na rękach, obcierać łzy wraz z rozmazanym różem i ołówkiem z powiek. Była tak bezbronna, jak porwany prądem rzeki kociak. Nie mógł pozwolić, by brnęła dalej, nie może teraz dać się pokonać.

— To zwykły, prosty przypadek. Przysięgam ci, że Amelia jest bezpieczna.

— Jesteś pewny, Marok? Czy jesteś całkiem pewny?

— Tak, Leonio.

Znów zaczęła płakać. Cicho, nie zauważając spływających po policzkach łez.

— Powiedz mi jeszcze raz, jak ona wygląda.

— Jest śliczna... To śliczna dziewczynka, Leonio. Wysoka, troszkę za wiotka. Ma twoje włosy i twoje oczy.

— Och, powinnam była ją zobaczyć, powinnam... ten jeden raz — zawodziła, zwijając się na poduszkach.

— Nie masz prawa, Leonio — rzekł półgłosem. — Amelia ma swoje życie, własną rodzinę... Tamta sprawa jest zamknięta.

Spojrzała na niego zdumiona. Wiedziała jednak, że ma rację. Tamto jest skończone.

— Co ja u diabła takiego zrobiłem — rzekł Jim głośno, przemierzając kolejny raz hall hotelu. Od trzech dni Leonia nie wychodzi z pokoju. Nie przyjmuje telefonów i nie odpowiada na

listy. On jutro ma wyjechać do San Francisco. Musi jutro wyjechać! Cóż, nie może przecież zostawić spraw w takim stanie. Co u licha się dzieje? Sięgnął po telefon. Spróbuje jeszcze raz. Od trzech dni ponawia te próby co pół godziny.

Leonia wbiegła bocznymi drzwiami i z Czekoladką pod pachą, nasuwając głębiej rondo kapelusza na bladą twarz, ruszyła do wind. Musiała wyprowadzić biedną kotkę. Nieszczęsne stworzenie siedzi od kilku dni bez ruchu. Obie jednak nie były zadowolone ze spaceru. Chciała tylko, by sobota nadeszła jak najszybciej, by mogły wreszcie wyjechać. Dlaczego tak długo musi czekać na windę? Nagle nogi zrobiły się dziwnie miękkie i głowa zaczęła się chwiać. Oparła się słabo o kolumnę.

— Leonia?

Podniosła wzrok przepraszająco. Patrzyła na Jima, niezdolna wykrztusić jednego słowa.

— Źle się czujesz?

Usłyszała zaniepokojenie w jego głosie i odwróciła głowę.

— Co się stało, czy jesteś chora?

Ku swemu przerażeniu poczuła spływające po policzkach łzy. Odwróciła się. Nie może płakać w hallu *Waldorfa*.

Chwycił ją pod ramię.

— Oprzyj się o mnie — powiedział mocno. — Trzymam cię.

Wsparała się na jego piersi i ukryła twarz w marynarce. Nie mogła opanować łez. Wprowadził ją do windy.

— Już wszystko dobrze — mówił jej do ucha uspokajająco. — Jestem tutaj, zajmę się tobą. Wszystkim się zajmę. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

W korytarzu wsparła się na nim, wdzięczna za podtrzymujące ją ramię. Weszli do apartamentu i polecił Julii, by pomogła jej się rozebrać i ubrała ją w ciepły szlafrok. Sam wezwał lekarza, by przyszedł ją zobaczyć, i zamówił też do numeru lekki obiad.

Leonia leżała na jedwabnych poduszkach przed kominkiem i patrzyła, jak w milczeniu przemierza pokój, czekając na przybycie lekarza. Był taki potężny, surowy i zdecydowany. Sprawiał wrażenie człowieka, na którym kobieta może polegać. Dużo czasu upłynęło, kiedy mężczyzna tak się nią opiekował. Właściwie, czy którykolwiek z nich to robił? Jim przypominał trochę Edwarda d'Aureville'a. Edward był twardym poszukiwaczem przygód, ale

zadziwiająco wrażliwym mężczyzną. Pod szorstką fasadą, w Jimie także kryje się czuły mężczyzna.

Usunął się dyskretnie na czas badania. Lekarz zapewnił go, że jedyne lekarstwo, jakiego potrzebuje pacjentka, to wypoczynek i jedzenie. Jim patrzył na nią chwilę, gdy jadła zupę. Owinał ją pledem i ułożył na sofie, by odpoczęła.

— Niedługo wrócę — powiedział, składając lekki pocałunek na czubku jej głowy. — Ty masz spać.

Po raz pierwszy od kilku dni usnęła lekkim snem, nie niepokojona przez żadne koszmary.

Wrócił o czwartej z herbatą. Stał nad nią, gdy jadła kanapkę. Było tak inaczej niż w czasie ich pierwszej herbaty, że zrobiło jej się jeszcze **smutniej**.

— Czekałem trzy dni na dole, a kiedy wreszcie udało mi się z tobą spotkać, jesteś inną kobietą. Jesteś blada i wyczerpana. Nawet ciężki atlantycki rejs nie zrobił tego z tobą. Co się stało? Co ja takiego zrobiłem. Chciałbym, aby te lzy były jedynie rezultatem zmęczenia, ale bez względu na ich powód, nie ma po co rozpaczać. Nie ma bowiem takiej rzeczy na tym świecie, której nie dałoby się naprawić.

Słuchała tych słów i w tym momencie wydało się jej, że to możliwe. Odsunęła talerz z westchnieniem, a on spojrzał uważnie.

— W porządku — upewniła go. — Zjadłam trzy. Mogę teraz mówić?

— Proszę, mów. Powiedz mi, co się stało. Pomogę ci.

— Nikt niczego nie może zrobić, a ja nie mogę powiedzieć, o co chodzi. To coś, co trwa od lat, i nie ma wyjścia z tej sytuacji. Ale pomogłeś mi. — Przechyliła się i wzięła go za rękę. — Tym, że tu jesteś.

W niebieskich oczach mężczyzny było zaniepokojenie.

— Leonio, nie mogę cię zmusić do mówienia, ale pamiętaj, że jeśli zmienisz zdanie, jestem bardzo życzliwym słuchaczem. — Zawahał się; jak może zostawić ją w takim stanie? — Wyjedź ze mną jutro—zaczął ją znów namawiać. — Proszę cię, Leonio. Zobacysz, zmiana miejsca sprawi, że wszystko ujrzysz w innym świetle. Wyjedź ze mną.

— Nie mogę, Jim.

Niebieskie oczy wyrażały najwyższe błaganie i tym razem jego twarz była całkowicie poważna. Gdyby to tylko było możliwe... Ale teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musi wrócić do Francji. Widziała jasno swą odpowiedzialność.

— Przymierz mi w takim razie, że poczekaś tu do mojego powrotu. Przyjadę w przyszłym tygodniu. Przymierz — powtórzył nie znoszącym sprzeciwu tonem. Nie zostawił jej wyboru.

— Zobaczę — rzuciła wymijająco.

Objął ją i przytulił mocno. Było jej tak dobrze. Jego pierś była taka mocna, ramiona takie bezpieczne.

— To mi nie wystarczy, Leonio. Musisz mi przyrzec.

— Przymierzam — powtórzyła słysząc bicie jego serca przy swojej twarzy.

Jeszcze raz przeczytała list przed złożeniem. Włożyła do koperty i zapieczętowała. Zrobione. Jeśli go natychmiast nie wyśle, może zmienić zdanie. Rozejrzała się po pokoju. Bez jej rzeczy wydawał się ogołocony. Jeszcze tylko wózek z przycupniętą na szczycie bagażu Czekoladką, zawsze tak robiła w czasie podróży. Upewniła się, że list nie jest zbyt ciężki i że nic nie pozostało. Wszystko, co zostawiała, to Jim i sposób życia, który nie może być jej.

Przesunęła palcem po nazwisku na kopercie. Mogła zostać panią Jamieson, ale jest *Leonią* i musi grać do końca swą rolę. Czeką na nią praca. Spotkanie sponsorów *Château d'Aureville*. Musi spotkać się ze wszystkimi znakomitościami, przestudiować raporty finansowe oraz sprawdzić inwestycje, potem zaś będzie musiała znowu się wybrać w tournée, by zarobić trochę pieniędzy. Poświęciła temu swe życie.

Jim wyjechał dwa dni temu. Nie przestawał błagać ją, by z nim wyjechała, a potem przypominał jej przyrzeczenie, że będzie na niego czekała.

Udała się na pocztę, by nadać list do San Francisco. Patrzyła, jak spada wąską szklaną rynną, przypieczętowując jej los. Teraz nie ma już odwrotu. Statek wypływa w południe, na końcu podróży czeka Francja i jej świat.

49.

Amelia szła boso tarasem *Villa Encantanda*. Znów była wygodnie ubrana w stare szorty i chłopcę koszuł. Przechyliła się zadowolona przez balustradę. Patrzyła w dół, na porośnięte splatanymi zaroślami zbocze wzgórza. Spojrzała na spokojną zatokę; słońce grzało przyjemnie jej odsłonięte ramiona i nogi. Przypomniała sobie Piątą Aleję. Śnieg... Dlaczego nie, pomyślała, ale to jest lepsze. Mieli się wybrać na kolację do St. James i postanowiła włożyć swoją nową jedwabną sukienkę. Edward jeszcze jej nie widział. Przeciągnęła się leniwie. Ciekawe, dlaczego stał się taki tajemniczy. Godzinę temu wyjechał. Udał się na Key West, zostawiając ich zdziwionych i zaciekawionych. Powiedział tylko, że będzie to wielka uroczystość. Amelia kopnęła mały kamyk i patrzyła, jak spada ze zbocza. Życie jest wspaniałe, zwłaszcza gdy nie ma w pobliżu Diega. Kiedy są tylko we dwoje, Roberto jest zupełnie inny. Cieszy się po prostu, że jest z nią. Wiedziała, że tak.

Ciągnięty przez osiołka wózek ukazał się na dole przy zakręcie. Toczył się powoli, zostawiając mokry ślad. Zwierzę truchtało powoli między drzewami cytrynowymi, zatrzymując się, by skubać trochę trawy czy jakiś liść, i powożący chłopak zmuszał je do ponownego podjęcia drogi.

— Wasz szampan — zamachał do niej ręką szeroko uśmiechnięty. — Dobrze ochłodzony.

Mały samochód Edwarda wdrapywał się na wzgórze za osiołkiem. Sapał ciężko, podnosząc chmurę pyłu w czystym powietrzu.

Amelia usłyszała śmiech Edwarda. Dobiegł ją także głos siedzącej obok niego czarnowłosej kobiety. Zesztywniała. Kto to może być? Wychyliła się przez balustradę, by lepiej popatrzeć. Samochód pokonał ostatnie metry na niskich obrotach, zatrząsł się i stanął za pochylonym osiołkiem.

Edward uniósł rękę i zamachał na jej widok.

— To Amelia—powiedział do Xary. —Wiem, że cię pokocha.

Xara uśmiechnęła się powątpiewająco, gdy podniosła rękę, witając wiotką figurkę na tarasie. Amelia odwróciła się i wbiegła do domu.

— Nie jestem tego taka pewna — rzekła Xara. — Nie kocha się zbyt mocno.

— W tym przypadku będzie inaczej. — Edward podał jej rękę. — Ponieważ to jesteś ty, a Amelia nigdy nie miała matki. Jesteś dla niej tą pierwszą.

Amelia z pewnością będzie jej się obawiać, nowej kobiety w życiu Edwarda, rywalki. A przede wszystkim dziewczynka ma czternaście lat, prawie piętnaście. Zacznie poznawać, co to znaczy czuć się kobietą. Pozna cały ten ból, niepewność, zazdrość. Biedne dziecko, pomyślała nagle, wchodząc na schody. Biedna mała dziewczynka.

— Mamo—zawołał Edward. —Amelio, Robercie. Jestem już. Z niespodzianką i z szampanem.

Roberto wkroczył za nim do hallu.

— Hej, co za niespodzianka? O, dzień dobry — zmitygował się i wyciągnął rękę do Xary. — Jestem Roberto do Santos.

— Xara O'Neill de Esteban — przedstawił ją Edward.

— Edwardzie, nie wiedziałam, że będziemy mieć gości. — Izabella szła pośpiesznie, poprawiając włosy po drodze.

— Maman, chciałbym, abyś poznała Xarę.

Dwie kobiety popatrzyły na siebie uważnie. Obie były zadowolone z wyników oględzin. Bez wątpienia jest w niej coś szczególnego, pomyślała Izabella, ujmując chłodną, delikatną dłoń dziewczyny.

— Witaj, moja droga, w *Villa Encantanda*. —Uśmiechnęła się.

— Gdzie jest Amelia? — Edward rozejrzał się wokół. — Zazwyczaj pierwsza wychodzi do powitań.

— Pomaga chłopakowi wyciągać szampana — rzekł Roberto. — Chyba pójdę jej pomóc.

— Pośpieszcie się — zawołał Edward. — Będziemy pili tu, na tarasie.

Xara podniosła długie pudło, które przyniósł Edward, i wzięła ze sobą na taras. Przynajmniej matka Edwarda jest miła, choć nie wiadomo, jak zareaguje na niespodziewane oświadczenie syna, że zaręczył się z wdową, którą w dodatku zna ledwie od kilku tygodni.

Amelia brała schłodzone butelki i przenosiła pod dach, podczas gdy Roberto pomagał chłopakowi rozładowywać bloki lodu i ciągnął je wielkimi szczypcami do kuchni.

— Co to za niespodzianka? — spytała Amelia, chuchając w zziębnięte ręce.

Roberto odwrócił się do niej z szerokim uśmiechem.

— Nasz poczciwy Edward jest zakochany — odparł. — Widzę to z jego miny, kiedy patrzy na Xarc O'Neill de Esteban.

— Xara — prychnęła Amelia. Instynkt podpowiedział, że to imię jej rywalki.

— Idę o zakład, że ma zamiar oznajmić o swych zaręczynach — ciągnął Roberto. — Nie dziwię mu się. Jest fantastyczna. Ciemna, egzotyczna i bardzo elegancka.

Postawił na tacy kieliszki, po czym wziął srebrny kubek i kilkoma zręcznymi uderzeniami młotka napełnił go pokruszonym lodem.

— Ich zaręczyny — powtórzyła odretwiąła Amelia. Edward ma zamiar poślubić tę kobietę. Jeśli się ożeni, porzuci ją. Może nawet będzie miał dzieci. Jego własne, *prawdziwe* dzieci! Poczula się nagle straszliwie samotna. Cudowny nastrój sprzed godziny zmienił się w ciężki kamień na sercu.

— Daj spokój — wykrzyknął Roberto, biorąc tacę. — Chodźmy na uroczystość.

Amelia stała przy kuchennym stole, nie mogąc się zdecydować. Nie chciała poznać Xary. Nie chciała nawet wiedzieć o istnieniu tej kobiety.

— Amelio! — dobiegło ją wołanie Edwarda. Musi iść. To tylko zaręczyny, powiedziała sobie. Wieki trwa, zanim ludzie wezmą ślub. Może do tego nie dojdzie.

Xara stała przy balustradzie podziwiając widok, który tak niedawno przepelniał radością Amelię. Cudowny, stwierdziła, gdy Edward przedstawił jej wreszcie dziewczynkę.

To, że jest zbyt szczupła, nie ma znaczenia. Będzie piękną. Wysoką, długonogą, złotowłosą dziewczyną. Spojrzenie w oczy Amelii, gdy wymieniały uprzejmy uścisk dłoni, kazało Xarze wspomnieć własne poczucie zagrożenia, przeżywane przez pozabawioną rodziców czternastolatkę. Ta dziewczynka się bała i młodej kobiecie zrobiło się jej żal.

Uśmiech Xary jest taki ciepły, taki siostrzany, myślała Amelia. Jakby znały się i dzieliły swymi tajemnicami od dawna. Speszona przestępowała z nogi na nogę, żałując że nie ma na sobie swojej różowej sukienki zamiast tych okropnych starych szortów. Xara jest taka elegancka w tej powiewnej biało-niebieskiej bawełnianej sukni i białych pantofelkach. No i jest piękna. *Bardzo* piękna. Amelia nie wiedziała, że może odczuwać taką zazdrość. Po prostu dławilo ją to uczucie, serce podeszło jej do gardła i zrobiło jej się gorąco.

— A więc — rzekł Edward zadowolony z rodziny — teraz niespodzianka.

Ujął rękę Xary i zwrócił się do trzech czekających twarzy.

— Xara zostanie moją żoną. Pobierzemy się pojutrze, tutaj, w Key West.

— Edward... Xara! — Izabella objęła ich oboje i lży pocieki jej z oczu. — Wiem, że to głupio płakać, ale to dlatego, że tak bardzo cieszę się z waszego powodu.

— Mieliśmy nadzieję, że nie będzie pani miała nic przeciwko naszej nagłej decyzji — zaczęła wyjaśniać Xara. — Kochamy się i uważamy, że nie ma powodu zwlekać.

— Ja nie mam zamiaru czekać!

Oczy Xary i Edwarda spotkały się i Amelii wydało się, że tym spojrzeniem wyrzucają wszystkich innych ze swego świata. Ich własnego intymnego świata.

— Czy mogę pocałować narzeczoną? — spytał Roberto, ściskając rękę Edwarda, po czym złożył mocny pocałunek na chłodnym policzku Xary.

— Amelio — wykrzyknął radośnie Edward. — A ty co powiesz?

— Gratuluje — wymruczała i w poczuciu obowiązku postąpiła krok do przodu. Ledwie musnęła wargami policzek Xary.

Edward otoczył Amelię ramionami i zakreślił nią młynka w powietrzu.

— Nie każda młoda żona dostaje taką gotową córkę — powiedział, burząc jej włosy.

— Nie rób tego! — krzyknęła Amelia ostro i poprawiwszy rękami uczesanie uciekła z powrotem za stół.

Roberto spojrział na nią zaskoczony, Edward był zbyt zajęty, by dostrzec wyraz uporów w drobnej twarzy dziewczynki. Rozlewał szampana, wyciągając do wszystkich chłodne kieliszki. Podniósł swój w toaście.

— Za Xarę — powiedział z twarzą promieniejącą miłością. — Moją przyszłą żonę.

Amelia omal nie udławiła się szampanem. Przełknęła z wysiłkiem i stała nieruchomo, wpatrzona żałośnie w terakotowe kafelki. Jak mógł jej to zrobić? Zawsze była babcia, Edward i ona. Co się teraz stanie? Rozmawiał z Izabellą, z Xarą, a ona mogła czytać z wyrazu jego twarzy. Nigdy przedtem tak nie wyglądał; tyle różnych wzruszeń się na niej malowało. A niech to szlag, pomyślała nagle, gdy łzy zapiekły ją pod powiekami. Niech szlag trafi Xarę. Nienawidzi jej!

— Amelio. — Edward objął ją w pól. — Mamy dla ciebie prezent.

Podał jej długie pudło z nadrukiem wytwornego *Boutique Oberon*.

— Prezent — powtórzyła Amelia głucho, patrząc na pudło niepewnie.

— No otwórz!

Amelia rozwiązała wstążki i pociągnęła niecierpliwie wieko. Pod warstwą bibułki leżała najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek widziała. W liliowym kolorze dzikich bzów, miała wspaniałe falbanki obszyte lawendowo-różową satynową wstążką.

— Jest piękna — powiedziała, napawając się jej miękkością.

— To Xara ją dla ciebie wybrała. Chcielibyśmy, abyś była jej druhną — rzekł rozpromieniony Edward.

Amelia spotkała spojrzenie Xary. Czowała, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Wrzuciła sukienkę z powrotem do pudła i wybiegła z tarasu.

Edward patrzył za nią osłupiały.

— O co chodzi? — zapytał. — Co ja takiego zrobiłem?

— Biedna Amelia — powiedziała Xara miękko. — Jest oszomiona, Edwardzie. Zaakceptować tak szybko, że ojciec ma się ożenić, to dla niej zbyt wiele. Wiem, co ona przeżywa.

— Pójdę do niej — rzekł Roberto, ruszając do hallu.

Amelia zatrzasnęła za sobą drzwi i zwinęła się na łóżku. Wstrząsał nią szloch. Nie chciała, by Edward ożenił się z tą kobietą. To jej ojciec, nie ma prawa się żenić i porzucać jej. Ona nie może go stracić.

Roberto dosłyszał jej płacz, zanim otworzył drzwi. Przysiadł na parapecie i patrzył, jak leży z głową schowaną pod poduszkę. Biedny, głupiutki dzieciak, pomyślał ze współczuciem. Podeszedł do niej i odsunął poduszkę. Twarz Amelii była opuchnięta i zaczerwieniona, a z jej oczu wciąż lały się łzy.

— Wyglądasz okropnie — stwierdził i wzięwszy wilgotne prześcieradło wytarł delikatnie jej twarz. Naprawdę nie ma potrzeby robić całego tego zamieszania. On tylko się żeni.

— Ty nic nie rozumiesz — wyszeptwała z rozpaczą.

— Czego nie rozumiem? — Przykląkł przy jej łóżku i wziął ją za rękę. — Powiedz mi, Amelio.

— Ty *nigdy* nie rozumiałeś, Roberto. Ty masz własną dużą rodzinę. Ja mam tylko babcię i Edwarda i strasznie się boję, że ich stracę. Czy ty tego nie widzisz? — wyszlochała. — Pewno sobie wyjedzie i będzie miał inne dzieci! Swoje *własne*. Och, Roberto, ta kobieta nie będzie chciała mieć obok siebie prawie dorosłej dziewczynki i nie będzie chciała być moją matką. Dlaczego miałyby chcieć? Ona będzie chciała mieć Edwarda wyłącznie dla siebie.

— To nieprawda, Amelio. Edward nigdy na to nie pozwoli. Wiesz przecież, że cię kocha. Jesteś dla niego córka, tak jakby naprawdę był twoim ojcem.

W zaczerwienionych oczach Amelii czała się obawa.

Gdybym tylko znała moją mamę, gdybym wiedziała, jaka ona była, znalazłabym siebie.

— Co przez to rozumiesz? — Roberto spojrział na nią zdziwiony. — Co to znaczy *znac siebie*?

— Nikt nigdy nic nie mówi o mojej mamie. Miała na imię Leonia, była śliczna, dobra i słodka. A ja wyglądam tak samo jak

ona. Ale *jaka* ona była, Roberto? Czy jeździła konno i czy lubiła koty? Czy śmiała się z różnych głupich rzeczy tak jak ja? Czy lubiła tańczyć i nosić śliczne rzeczy... A może lubiła tytłać się boso w piasku? Nie wiem nawet, czy była zazdrosna. Albo czy mówiła poważne rzeczy. Czy nie widzisz, Roberto? Jestem jak układanka, od której jedna część się zgubiła, wpadła pod dywan i obrazek się zepsuł. Gdzieś tu jest, ale nigdy nie jesteś pewny, jaki jest naprawdę!

— Amelio, nie ma potrzeby, abyś martwiła się z powodu mamy, której nie znałaś. Jesteś jedną z nas. Jesteś tak samo częścią mojej rodziny, jak rodziny Edwarda. Wiesz, że mój ojciec uważa cię za jedną z nas. Przecież zawsze nazywa cię swoim *innym synem*, kiedy chce ci dokuczyć. — Przyłożył do jej oczu wilgotne prześcieradło. — A ty jesteś ty — Amelia d'Aureville. I tak jest bardzo dobrze. A ja cię kocham.

Amelia usiadła i odsunęła prześcieradło.

— Naprawdę, Roberto? Naprawdę mnie kochasz?

— Oczywiście, że tak.

W jego czystych niebieskich oczach była taka szczerość, że wydała westchnienie ulgi.

— Cóż, przynajmniej mam cię — powiedziała, biorąc go za rękę.

— A teraz uspokój się już, wytrzymaj oczy, przemyj twarz i powiedz Edwardowi i Xarze, że się cieszysz. — Ruszyli do drzwi, trzymając się za ręce. — Niech będą szczęśliwi — powiedział.

Edward uśmiechnął się ze współczuciem, gdy Amelia szła do nich, przyczesana i pokonana, z Robertem u boku. Ze swymi szczupłymi ramionami i nogami, i zaczerwienioną od łez twarzą wyglądała bardzo żałośnie.

— Przepraszam — powiedziała cicho. — Nie chciałam być niegrzeczna. Byłam tylko zaskoczona, no i boję się, że cię stracę, Edwardzie. Ja naprawdę chcę, abyś był szczęśliwy. I Xara też.

Edward objął ją mocno.

— Dziękuję ci, moja mała córeczko.

Dzień ślubu był tak samo błękitny, czysty i wspaniały jak wszystkie dni na Florydzie. Amelia i Izabella siedziały w maleńkiej bawialni Xary w St. James, czekając aż się ubierze do ślubu.

Tak, myślała Amelia ze smutkiem, od dziś nie będzie już tak jak było.

— Będiesz śliczną druhną — powiedziała Izabella, dodając jej otuchy. — Wyglądasz tak ładnie w tej uroczej sukience, jak twoja matka.

Amelia spojrzała na nią pełna nadziei.

— Czy *naprawdę* wyglądam tak jak ona, babciu?

Izabella pogłaskała jasne włosy dziewczynki. Swobodnie puszczone ukazywały w miedzianym odcieniu złote, rozjaśnione słońcem pasma. Mimo wytrwałego szczotkowania, którym usiłowała je zmusić do podporządkowania, zwijały się wokół twarzy w drobne loczki. Wianek z różowych kwiatów zaczął już więdnąć na jej głowie i słodki zapach brązowiejących na brzegach kwiatów wypełniał pokój.

— Nikt cię z nikim nie pomyli. Jesteś absolutnie córką Leonii. Wszystko jest jej — twoje włosy, oczy.

Wiem przynajmniej, że wyglądam tak jak ona, pomyślała Amelia. To już coś. Żebym tylko wiedziała jeszcze, *jaka* ona była.

Xara siedziała przed toaletką i cesała włosy. Biała suknia z organdy z naszytymi na całej szerokości spódnicy i na przybranym falbanami wycięciu stanika satynowymi wstążkami czekała na wieszaku. Xara widziała jej odbicie w lustrze. Marcella i *Boutique Oberon* nie zrobiły jej zawodu. Suknia była piękna. Ciekawe, co teraz robi Edward. Zostawił ją dyskretnie w hallu domu w St. James poprzedniego wieczoru, choć najpierw pociągnął ją pod drzwi i zasypał jej twarz pocałunkami. Zamknęła oczy, przypominając sobie dotyk gorących warg na skórze. Jutro, szeptał, zostaniesz hrabiną d'Aureville. Jutro, wyszeptała w odpowiedzi, będziesz wreszcie mój. Nie, powiedział, to ty będziesz moja. Tak czy inaczej, mamrotała pod jego pocałunkami, będę szczęśliwa.

Tylko Amelia wywoływała jej niepokój. W istocie martwiła się o nią. Nie ma sposobu, by stała się dla dziewczynki matką. Izabella doskonale sobie z tym od dawna radzi. Gdyby Amelia mogła traktować ją jak siostrę, łatwiej byłoby im się zaprzyjaźnić.

Xara odłożyła szczotkę i podeszła do drzwi.

— Nie wiem, co zrobić z włosami — zawołała, podnosząc je na czubku głowy. — Jak myślisz, Amelio, czy podpiąć je tak?

— Och nie — odparła dziewczynka impulsywnie. — Zostaw je rozpuszczone.

— Mogłabyś mi pomóc? Jestem jakaś zdenerwowana, niczego nie mogę dobrze zrobić.

Ich oczy spotkały się. Wygląda jak mała dziewczynka, pomyślała Amelia zdziwiona. Naprawdę się denerwuje! Przede wszystkim Edwardem. Poza tym, to dzień jej ślubu. Wszystkie panny młode się denerwują.

Podeszła za Xarą do toaletki i zaczęła czesać ciężkie granatowo-czarne włosy. Były takie gładkie, nie tak jak jej niesforna szopa.

— Teraz — powiedziała, nawijając końce na palce — wszystko, czego trzeba, to tylko kwiat, albo coś w tym rodzaju. — Wzięła gardenie i wsunęła je we włosy Xary. — Te są świetne.

— Masz rację, Amelio. — Xara przypięła kwiaty. — Dziękuję ci za pomoc.

— Nie ma za co — odrzekła Amelia speszona. — A czy ja wyglądam dobrze? To znaczy, jako druhna?

Xara bała się mówić o sukience czy też o wyglądzie Amelii.

Jest taka najeżona; w każdym słowie doszukiwać się będzie obrazy. Ale wygląda rzeczywiście prześlicznie. Obszyte falbankami wycięcie stanika i suto marszczona spódnica łagodziły chudość podlotka, a kolor sukienki doskonale pasował do miedzianoblond włosów.

— Wyglądasz jak renesansowa księżniczka — powiedziała, dotykając lekko masy jasnych włosów. — Jesteś doskonałą druhną.

Uśmiechnęły się do siebie. Lepiej się układa, niż się spodziewałam, pomyślała Amelia, wychodząc z pokoju. Gdyby nie to, że Xara wychodzi za Edwarda, mogłaby ją nawet uznać za bardzo miłą.

Brat Xary, Tomas, przyjechał z żoną z Hawany promem. Lola, zjawisko w żółtych jedwabiach, emanowała takim podnieceniem i radością, że nawet Amelię podbiła swym urokiem.

— Ach, jak ślicznie wyglądasz, maleńka—wykrzyknęła. — Sukienka jest doskonale dobrana. A jakie masz włosy! Tomas, popatrz na te wspaniałe włosy! — Objęła impulsywnie Amelię. — Jak miło mieć w tobie nową przyrodnią siostrę... A może ty jesteś przyrodnią

córką? — spytała, marszcząc nos w zdziwieniu, gdy Amelia wybuchnęła śmiechem. — W każdym razie którąś z tych przyrodnic. Pozwól, że poprawię ci kokardę. — Zaciągnęła mocniej szarfy, tu i ówdzie poprawiła kokardę i mocno przytwardziła jej do włosów wianek. — No, jesteś gotowa. Teraz potrzebna nam tylko panna młoda.

Xara wyszła z pokoju. Błada i wspaniała, trzymała w drżącej ręce bukiet kremowych gardenii. Stały przez chwilę, patrząc z zachwytem na jej poważną białą suknię, która podnosiła jej ciemną egzotyczną urodę do doskonałości.

— Xaro — powiedziała Lola miękko. — Wyglądasz pięknie. Tylko popatrz na nią, Tomas.

Tomas ujął ramię siostry.

— To początek twojego nowego życia, Xaro. Wiem, że będziesz szczęśliwa.

Przechodnie uśmiechali się z podziwem, gdy orszak weselny szedł do małego, obramowanego na biało kościółka, gdzie Edward czekał z Robertem. Organy zaczęły grać i Edward odwrócił się. Narzeczeni uśmiechnęli się do siebie i trzymając się za ręce, ruszyli środkiem kościoła.

Amelia stała za nimi i słuchała cichych słów przysięgi. Patrzyła jak Roberto podawał Edwardowi obrączkę. Gdy wsuwał ją Xarze na palec, widziała miłość w ich oczach. Wyglądają tak *milo*, pomyślała bezradnie, nie mogąc znaleźć właściwego słowa. Czy tak właśnie przeżywa się małżeństwo? Że jest się kochanym, jakby się do kogoś należało? Ponownie spojrzała na odwróconego do niej plecami Roberta. Zmierzwione zwykle jasne włosy teraz były porządnie zaczesane, a biała marynarka wyglądała bardzo elegancko. Sprawiał wrażenie bardzo dorosłego. Pewnego dnia pobierzemy się, pomyślała. Wtedy będziemy się czuć tak jak Edward i Xara dzisiaj.

50.

L a *Vieille Auberge*. Nazwa przepływała stylizowanymi literami przez małą drewnianą bramę na końcu kamienistej ścieżki i Jim sprawdził ją z kawałkiem papieru, który trzymał w ręku. Zgadzało się. Zatrzasnął drzwi żółtego mercedesa i włożył marynarkę. Nawet jeśli jest gorąco, trzeba wyglądać elegancko. Nie można prosić kobiety o rękę w samej koszuli, choć w ogóle zna cię dużo lepiej bez ubrania. Uśmiechnął się i otworzył furtkę.

Dom był biały, kwadratowy, z zielonymi żaluzjami, otoczony kwiatami i prowadzącymi do morza drzewkami oliwnymi. Podobało mu się to niebieskie morze i podobało mu się to miejsce. Wszystko. Naturalnie, ona będzie tu mieszkać. Ruszył do frontowych drzwi otwartych na słońce, przed którymi stały wielkie donice geranium. Zatrzymał się jednak nagle i przeszedł na boczną ścieżkę, prowadzącą do szerokiego tarasu, wychodzącego na morze. Inna wąska ścieżka biegła od schodków w dół. Szedł obok cichego stawu, w którym odbijał się błękit nieba i pokryte winem drzewo. Podziwiał piękny ogród, w którym można marzyć w cieniu, leniuchować całymi godzinami i leczyć się ze śmiertelnych ciosów życia. To był ogród Leonii i wiedział, że tu ją właśnie znajdzie.

Znalazł ją pracującą na rabacie kwiatowej pod kwitnącym drzewem. Dobiegł go jej śmiech, to Czekoladka polowała na jej stopy.

— Jak dobrze usłyszeć znowu twój śmiech — odezwał się.

Miała na sobie prostą kretonową spódnicę i bluzkę. Wyzłocona słońcem twarz ściemniała w zaskoczeniu. Nigdy nie wyglądała piękniej.

— Co tu robisz, Jimie Jamieson? — spytała.

— Wiesz, my Amerykanie nigdy nie wiemy, kiedy przestać. — Podeszedł do niej i chwycił ją za ramiona. — Nie wolno ci więcej tak mnie zostawić — wyszeptał, przyciskając ją mocno do serca. — Zawsze cię znajdę. Nie walcz z tym, Leonio Bahri — powiedział, całując ją. — Jesteśmy dla siebie stworzeni i wyjdiesz za mnie.

Prowadzili spory przez tydzień. Z przerwami na łóżko, picie wina i pochłanianie potężnych porcji jedzenia, bowiem odkrył w sobie upodobanie do prowansalskiej kuchni.

— To jest coś — mówił, opróżniając półmisek z duszoną z rozmarynem i oliwkami baraniną. — Przywykłem do nowojorskiego jedzenia w wyszukanych sosach. Jest zupełnie jak te hotelowe krzeselka — sztuczne.

— Utyjesz od tych wszystkich sosów i zup ostrzegła go.

— Nie grozi mi to — odparł zadowolony z siebie. — Od czasu gdy miałem szesnaście lat, nawet centymetr nie przybył mi w pasie.

— Ty to co innego — westchnęła. Ale ja jestem starsza od ciebie.

— Więc co?

— Moja talia zepsuje się jako pierwsza.

Wybuchnął śmiechem.

— Leonio, ty zawsze będziesz piękna — rzekł z przekonaniem. Starał się wszelkimi sposobami osłabić jej wolę.

Zdawała sobie z tego sprawę.

— Nie, nie mogę wyjechać z Francji — oponowała. — Nie mogę mieszkać w miejscu, gdzie zawsze będę *cudzoziemką*.

— W takim razie ja będę jeździł między naszymi krajami, albo sprzedam swój interes i zacznę tu od nowa. Jak zechcesz.

— Jak możesz jeździć między kontynentami?

Zdumiewała ją jego energia.

— Jeden miesiąc tu, jeden miesiąc tam i jeden miesiąc w podróży. Dopóki nie obiecasz, że będziesz jeździć ze mną.

No tak. Trzeba wracać do rzeczywistości. Nie może z nim podróżować. Nie może za niego wyjść. Musi pracować tak długo, jak długo publiczność będzie chciała ją oglądać. Zamek wprost żżera pieniądze, a ona musi dać dzieciom wszystko, co im potrzebne.

— Nie mogę tego zrobić, Jim — powiedziała cicho. — Ja mam pracę.

Wpatrywał się w nią przenikliwie.

— Wydawało mi się, że obrzydło ci już bycie *Leonią*, że już jej nie potrzebujesz. Czy mam rację, miss Bahri?

— Oczywiście, że nie. — Unikała jego oczu. — Ja to po prostu lubię. Powiedziałam ci, że jestem kobietą niezależną i to mi się podoba.

— Dobrze, powiedz mi prawdę. — Ujął ją za rękę. — Ty coś przede mną ukrywasz i chcę wiedzieć, co.

Czyste niebieskie oczy były poważne i czekały na odpowiedź.

— Muszę zarabiać pieniądze — powiedziała krótko. — Nie, nic nie mów, nie chodzi o jakieś tam pieniądze. Ja muszę zarabiać dużo. Mam czterdzieścioro dzieci na utrzymaniu. Na to właśnie idą pieniądze *Leonii*.

Patrzył na nią uważnie, starając się zrozumieć, o czym mówi.

— Czterdzieścioro dzieci? Czyich dzieci?

— To sieroty. Prowadzę dom dla nich. Są moimi dziećmi.

Nie spodziewałby się tego w najfantastyczniejszych przypuszczeniach. Czterdzieścioro dzieci stoi między nimi i uniemożliwia ich małżeństwo!

— Nigdy o tym nie myślałem — zaczął powoli — ale wyobrażam sobie, że twoje zarobki muszą być znaczne, a ty sama powiedziałaś, że pracujesz dziewięć miesięcy w roku. To z pewnością musiało do dziś dać mnóstwo pieniędzy.

Rozłożyła ręce w geście bezradności.

— Było trochę źle zainwestowanych sum. Poszłam za radą członków zarządu... Wiele pieniędzy straciłam. — Westchnęła. — Nie wiem, Jim, ale bez względu na to, ile uda mi się zarobić, zawsze jest za mało.

Pochylił się do niej nad stołem.

— Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałem ci, że nie ma takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać, pamiętasz? Zostaw to

mnie, Leonio... Twoje dzieci będą miały zapewnioną opiekę. Wszystkie. Wyprostuję sprawę tych inwestycji i jeszcze coś dołożę. Dobry Boże, Leonio, czy pieniądze to jedyna rzecz, która stoi między nami? To najłatwiejszy problem do rozwiązania.

Czy rzeczywiście może to zrobić? Oczy Leonii zabłyśły nadzieją.

— Powierz mi tę odpowiedzialność — rzekł z uśmiechem — a nie będzie więcej kłopotów.

Powiedział to i wiedziała, że tak właśnie będzie. Odchyliła się na oparcie krzesła odprężona. Teraz wszystko będzie dobrze.

— Kocham cię, Jimie Jamieson. — Westchnęła. — Co ja bym bez ciebie zrobiła.

— Czyż tego nie mówiłem? — wykrzyknął triumfalnie.

To z powodu Sechmet powiedziała wreszcie, że za niego wyjdzie. Posążek patrzył na nich w nocy ze swego marmurowego postumentu i w pewnej chwili Jim spojrzał na niego.

— Odwróć ją twarzą do ściany — powiedział. — Wiecznie się przygląda.

— Nie! Nie wolno ci tego robić!

Spojrzał zaskoczony gwałtownością jej reakcji.

— Żartowałem, Leonio.

— Wiem. Przepraszam, ale to dla mnie ważne.

— Ponieważ należała do twojego ojca?

— To także, ale są też inne powody — odparła wykrętnie, opierając się na poduszkach.

— Więc? — Oparł się wygodnie na łokciu i spojrzał na nią.

— Co *więc*?

— Powiesz mi, czy to znów jakaś straszna tajemnica, której nikt nie może poznać? Kłątwa Sechmet! — mówił ze śmiechem.

— Och, Jim! Nie mów tak!

Odwróciła twarz, by nie dostrzegł malującego się w jej oczach strachu.

— Ej, poczekaj! Co się dzieje? — Pociągnął ją miękko i odwrócił do siebie. — Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wierzysz w istnienie kławy Sechmet?

— To właściwie nie jest kłątwa, to bardziej... Och, nie mogę ci powiedzieć. Będziesz się śmiał i powiesz, że jestem głupia.

Jim objął ją. Jeśli jest tak zgnębiona, coś musi być naprawdę złe.

— Spróbuj, Leonio. Po prostu powiedz mi, co to takiego.

Usiadła, odrzucając włosy.

— Dobrze, powiem ci. Ale musisz najpierw to przeczytać. — Podeszła do biurka i wzięła kawałek papieru. — To tłumaczenie hieroglifów z posążka.

Przeczytał i spojrzał na nią pytająco.

— Nie mam pojęcia, skąd mój ojciec to wziął, ale mam te posążki od dziecka. Były moimi lalkami, spałam z nimi w nocy i kochałam je. Nie miałam jeszcze skończonych osiemnastu lat, kiedy odkryłam tajemnicę Sechmet, kim i czym jest. I od tej chwili wszystko się zmieniło. Zupełnie jakby Sechmet przejęła moje życie. Do diabła — rozplakała się. — Powiedziałam ci, że to będzie dziwaczne. Dlatego nigdy z nikim o tym nie mówiłam, nawet z Karo.

— Powiedz mi — nie ustępował. — Mów, słucham.

— Tobie się wydaje, że mnie znasz, ale tak nie jest — wyszepiała. — Ty raczej wiesz, jakiego typu kobietę chcesz mieć za żonę. Nie mogę wyjść za ciebie, Jim. Prześladuje mnie moja przeszłość i nie będę wolna, dopóki... dopóki jestem taka jak Sechmet. Dopóki nie zabiję moich wrogów.

Wziął jej koszulę i narzucił na nią z czułością.

— Chodź — powiedział, ujmując ją za ramię, i poprowadził na taras. — Usiądźmy sobie w ciemności i opowiedz mi o tym. Nie pomijaj najdrobniejszych szczegółów. Chcę się wszystkiego dowiedzieć.

Spojrzała na rysujący się na tle ciepłego, granatowoczarnego nocnego nieba jego profil. To wielka ulga móc mu powiedzieć, pozbyć się strachu. I popłynęła cała jej historia. Mówiła o hrabi, o Amelii, o swoich obawach o bezpieczeństwo córki.

— I wiem — powiedziała wreszcie — że pewnego dnia zwykły zbieg okoliczności doprowadzi go do Amelii... A kiedy ją znajdzie, będę musiała go zabić. Los Sechmet jest moim losem.

Słowa jej płynęły cicho w **aksamitną** noc. Czekwała pełna napięcia na jego reakcję, ale nic nie mówił. Patrzył w ciemny horyzont nad lekko marszczącym się morzem. Wiedziała, pomyślała z rozpaczą, że uzna mnie za wariatkę. Tracę go. Lepiej, żebym po prostu odeszła. Pójdę na plażę i pochodzę, a kiedy wrócę, jego już tu nie

będzie. Znów będę sama. Tylko monsieur mi pozostanie. I Se-
chmet.

Wstała szybko i odwróciła się.

— Dokąd idziesz? — spytał, chwytając ją za rękę.

— Schodzę na plażę. Muszę pospacerować... Możesz odejść,
jeśli chcesz.

— Odejść? Nawet przez myśl mi nie przeszło. Usiłuję tylko
zrozumieć, jak twoje życie mogło się tak skomplikować i co możemy
zrobić, by to wyprostować.

Objął ją wpeł i zesli razem na plażę. Szli skrajem spokojnej
wody, mając pod bosymi stopami chłodny, wilgotny piasek.

— No dobrze — odezwał się. — Teraz kolej na mnie. Najpierw
ten człowiek. Monsieur. Nadal cię szpieguje?

— Tak. Dokądkolwiek się udaję... Sam także za mną chodzi.
Zawsze tam jest. W teatrze. Albo widzę go w restauracji, albo
w sklepie, a kiedy jestem tutaj, czeka na jachcie.

— Na co czeka?

— Na mnie. Żeby mi powiedzieć, bym wróciła. Albo żebym
go doprowadziła do Amelii.

— A to *morderstwo*... Jesteś pewna, że to było morderstwo?

— Tak, całkowicie. Kiedy się dowiedziałam, że Charles zginął,
wiedziałam, co się stało. Monsieur zabrał mnie nawet do Deau-
ville... Chciał, żebym wiedziała, jak to się stało! Powiedziałam mu
o tym, kiedy groził Amelii. Wiedział, że mu uwierzę.

— Ale nie masz żadnych dowodów?

— Żadnych. Jedynie rysopis człowieka, który to zrobił. Był na
łodzi z Charlesem; przypadkowy załogant, zabrany w Deauville.
Powrócił sam i powiedział, że Charles został zmieciony za burtę.
Charles miał pękniętą czaszkę. Sekcję zwłok przeprowadzono
pośpiesznie, wszystko ukończono w ciągu jednego dnia. Monsieur
wszystko przygotował — dodała z goryczą. — Karo, Alfons i ja
szukaliśmy wszędzie tego człowieka, ale bez rezultatów.

— Amelia? Czy ona wie o tobie?

— Nie—odparła Leonia słabym głosem. — Wątpię, by w ogóle
wiedziała o moim istnieniu. Tak było najbezpieczniej.

— W porządku, teraz dysponuję faktami. Monsieur w dalszym
ciągu nie wie, gdzie znajduje się dziewczynka. Tak więc jest na
razie bezpieczna... Zresztą już od piętnastu lat. Ten człowiek jest

na tyle szalony, by nadal cię prześladować, chodzić za tobą i szpiegować cię. On wciąż wierzy, że zmusi cię do powrotu. Jest tylko jeden sposób, by wstrzymać takiego człowieka. Sprawić, by sam zaczął się bać. Musimy ustalić tożsamość mordercy Charlesa. Monsieur musi zapłacić — i to dobrze zapłacić — aby uspokoić się wreszcie.

— Ale my próbowaliśmy — powiedziała zdesperowana. — Poza tym to było tak dawno temu. Kto będzie pamiętał?

— Czy pozwolisz, abym się tym zajął? — spytał łagodnie. — Przyrzekam ci, że jeśli ten człowiek żyje, odnajdę go. A wtedy zajmę się tym panem hrabią.

— Nie znasz go... Nie wyobrażasz sobie nawet, co to za człowiek. Nie zapominaj, że jest znaczną osobą publiczną. On może wszystko.

— Leonio, nikt, nawet człowiek potężny, nie może uniknąć odpowiedzialności za morderstwo. Dla mnie wygląda na człowieka dumnego. Mówiłaś, że ma synów. Muszą już być dorośli. Jak może pozwolić, by myśleli, że jest mordercą? Nie, Leonio, zmusimy go. Będę szukał śladów tego mężczyzny. Zostaw to mnie.

Wsparła się na nim; w całym ciele czuła wielką ulgę. Jak mogła żyć bez tego człowieka? Tylko czy rzeczywiście uda mu się to wszystko?

— Został nam jeszcze jeden problem — powiedział, przyciągając ją do siebie. Włosy Leonii fruwały w powiewie znad morza, a on uniósł jej twarz do światła gwiazd i przepływającego nad nimi księżycy. — Czy to jest twarz bogini, czy kobiety? Śmiertelnej tak jak my wszyscy. Leonio, naprawdę nie możesz myśleć, że jesteś reinkarnacją jakiejś egipskiej bogini. Czy nie widzisz, że sama to sobie wmówiłaś? Los Sechmet nie jest twoim przeznaczeniem. Sama pozwoliłaś, by ten wiersz wpływał na twoje życie. Powiedziałeś mi, że istnieją dwie Leonie. Czy to Sechmet jest na scenie, czy ty?

— Ale to prawda, czy nie widzisz...

— Nie! — rzucił twardo. — To nie jest prawda i nie mam zamiaru pozwolić ci w to wierzyć. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz? Ty przygotowujesz się do zabicia tego człowieka!

Miał rację. Tak było. Zawsze wiedziała, że pewnego dnia go zabije.

— Jesteś Leonią Bahri — rzekł mocno. — Nie jesteś Sechmet i twoim przeznaczeniem nie rządzi żadna tajemnicza siła z Egiptu. Z powodu tego, co się stało, dopuściłaś do siebie przekonanie, że jej przeznaczenie jest twoim. Rozmyślałaś nad tym latami, aż zaczęło ci się to wydawać prawdą. Ale to się skończyło, rozumiesz, Leonio? Skończyło się.

Tak bardzo pragnęła mu wierzyć. Zawsze miał rację, zawsze potrafił sobie radzić z wszelkimi problemami. Czyżby rzeczywiście utraciła przez Sechmet swą tożsamość?

— Nie ma żadnej Sechmet, żadnej Leonii, nawet Leonii Bahri. Rozpoczniesz nowe życie jako pani Leonia Jamieson.

— Och, Jim, czy rzeczywiście możesz to wszystko uporządkować? Uwolnić mnie wreszcie od tego człowieka?

— Na pewno. A bez niego nie będzie ci potrzebna Sechmet.

Wsparała się na jego mocnej piersi, a on objął ją i przytulił tak mocno, jakby się bał, że znów będzie próbowała mu uciec.

— Leonio, przyrzekam ci coś jeszcze. Pewnego dnia spotkasz się z córką. Odnajdziemy ją.

— Amelię? Ale jak? Ona nie wie, że ja żyję.

— Cicho — szepnął uspokajająco. — Zostaw to mnie.

Ciężar, który tak długo niosła sama, nagle w cudowny sposób stał się lżejszy. Jim przejął go na swe mocne ramiona, objął swym chłodnym, logicznym myśleniem.

— Jimie Jamieson — powiedziała, obejmując go mocno. — Twoja matka miała rację, nazywając cię i Homerem, i Aleksandrem... Ty myślisz i walczysz, a ja nie wiem, jak mogłam w ogóle bez ciebie żyć.

— A więc wyjdź za mnie, Leonio — wyszeptał.

— Dobrze — skinęła głową. — Chcę być Leonią Jamieson.

Najpierw odwrócił Sechmet twarzą do ściany.

— Musimy uwolnić się od niej — stwierdził zdecydowanie, ale tak się przestraszyła jego pomysłem, że zrezygnował.

— To dlatego, że należała do mojego ojca — błagała. — Muszę ją zachować.

— Nie z powodu Sechmet? — dopytywał się nieufnie. — Jesteś pewna?

Była prawie pewna.

— A co z tym... Z tym kotem?

— To Bastet, święty kot Egiptu.

— Jakie dziwne podobieństwo do Czekoladki — uśmiechnął się. — Czy dlatego go masz?

— Nie, nie — odparła, pamiętając jak to właśnie Bébé ją odnalazła.

Tak więc figurki pozostały, a ona odwróciła jego uwagę innymi sprawami.

Zgodnie z przepisami wystąpił do mera Nicei o udzielenie mu specjalnego zezwolenia. Wrócił do domu, wymachując triumfalnie papierem.

— Już jutro możemy się pobrać — obwieścił rozradowany.

— Ja nie mogę... Nie jutro!

— A dlaczegoż to? — jęknął. — Co znowu jest źle?

— Po prostu nigdy jeszcze nie wychodziłam za mąż i... chcę być twoją narzeczoną. Chcę też wyglądać pięknie, wyjątkowo. Poza tym nie mogłabym wyjść za mąż bez obecności moich najdroższych przyjaciół.

— Teraz pewnie mi powiesz — rzekł z uśmiechem — że wszyscy mieszkają w Wiedniu lub Petersburgu i całe tygodnie potrwają, zanim tu przybędą!

— Nie, tylko w Paryżu. To Karo i Alfons. I Marok, oczywiście.

— Domyślam się też, że musisz kupić sobie nową suknię czy coś w tym rodzaju.

— Ależ tak, naturalnie.

— Dobrze. Wyślemy do wszystkich telegramy z zaproszeniem na czwartek, jeśli chcą być świadkami twego ślubu. Ale uprzedzam cię, dłużej nie będę czekał. Chcę zabrać cię na miesiąc miodowy... Gdzie chcesz: łódź na jeziorze w Kaszmirze, domek wypoczynkowy w lasach Vermont, wyspa na morzach południowych?

— Miesiąc miodowy? Ależ Jim, ja nie mogę. Muszę być w Paryżu. W przyszłym tygodniu mam repetycje. Za kilka tygodni rozpoczyna się tournée. Trzeba zająć się kostiumami, oświetleniem, muzyką — wszystkim.

— Leonio Bahri — wykrzyknął. — Czy nigdy nie skończą się te problemy? Odwołaj to przeklęte tournée!

— Nie, tego nie zrobię — powiedziała z zachmurzoną twarzą. — Nie masz prawa tego ode mnie żądać. Zobowiązałam się do tych koncertów. Przedstawienia są wyprzedane i powinnam tam być. Tu nie chodzi tylko o mnie. Wielu ludzi jest w to zaangażowanych, to także ich życie. Jeśli ja nie pracuję, oni także nie mają pracy.

— Cóż, chyba masz rację. — Westchnął i przytulił ją do siebie. — Chciałbym jednak, abyś nie musiała tego robić.

— Jest jeszcze coś — powiedziała cicho.

Spojrzał na nią z bladym uśmiechem.

— Dobrze — skinął głową. — Niech i tego się dowiem.

— Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli przez jakiś czas zachowamy nasze małżeństwo w tajemnicy? Nie wśród bliskich przyjaciół, ale przed publicznością. To z powodu koncertów. Leonia nie jest wizerunkiem, kobiety zameężnej. Jest po prostu kobietą.

— Czy ma to dla ciebie takie wielkie znaczenie?

— Tak — odparła. — Przynajmniej przez jakiś czas. Potem, kiedy skończę z występami, będę zwykłą panią Jamieson.

— Nie podoba mi się to — stwierdził — ale jeśli twoim zdaniem tak trzeba...

Uśmiechem pokryła ulgę, jaką odczuła. Nie chciała mu mówić o innych powodach, które skłoniły ją do zachowania tajemnicy. Bała się zemsty hrabiego. Bała się o Jima.

Karo siedziała wraz z Frenardami w pierwszym rzędzie ławek małego angielskiego kościółka w Nicei. Podobało jej się tu. Ciemny, chłodny, z połyskującymi srebrnymi lichtarzami i odrobiną kolorów z witraży. Tak, to ładne miejsce na ślub. Przyglądziła suknię i uśmiechnęła się do madame Frenard. W granatowej jedwabnej sukni kobieta była bardzo elegancka. Pewnie Leonia jej kupiła, pomyślała Karo. Monsieur Frenard, z ogorzałą twarzą człowieka pracującego na powietrzu, uroczysty i solidny, w porządnym szarym garniturze, również prezentował się doskonale. Organy grały cicho wzruszającą muzykę Haendla. W końcu przejścia dwaj mężczyźni rozmawiali półgłosem z pastorem. Marok, drużba Jima,

uśmiechnął się na jakieś słowa pana młodego. Wszystko było równie nieoczekiwane, co zachwycające. Podobał jej się Jim. Odwrócił się i odpowiedział uśmiechem na jej spojrzenie. Jest bardzo przystojny, sprawia wrażenie człowieka surowego i zasługującego na zaufanie. Stanowi dokładnie to, czego potrzeba Leonii. Długa była jej droga do szczęścia, ale wydaje się, że ma je w końcu w zasięgu ręki. Przynajmniej można mieć taką nadzieję, pomyślała na wspomnienie hrabiego.

Drzwi kościoła otwarły się i promień światła przeniknął przez krótkie przejście. Ukazała się prowadzona przez Alfonsa Leonia. Wyglądała cudownie. Miękki jedwabny kremowy kostiumik składał się z mocno plisowanej spódnicy i prostego żakietu przewiązanego w talii aksamitną wstążką. Leonia ściągnęła włosy do tyłu i upięła na karku w kok, a na gładko uczesaną głowę założyła szeroki, zdobiony kwiatami kapeluszek. W rękę trzymała wiązanek herbacianych róż. Karo poczuła lzy w oczach.

Jest piękna, myślał Jim, patrząc na idącą ku niemu narzeczoną. Ich pełne miłości oczy spotkały się. Ujął ją za rękę, uścisnął i uśmiechnęli się do siebie. Teraz są już razem na zawsze.

Madame Frenard otarła oczy. Kiedyś powiedziała Leonii, że pewnego dnia znajdzie swe szczęście, no i popatrzcie. Nigdy nie widziała, by ktoś był tak szczęśliwy. Kiedy Jim wkładał jej na palec obrączkę, twarz Leonii zajaśniała jak promień słońca, który wpadł gdy otworzyły się drzwi. Promieniała od wewnątrz. Wyciągnęła rękę do męża i ich dłonie splotły się mocno. Najlepsze, co może cię spotkać, to być z ukochanym człowiekiem.

Karo podążyła za małym orszakiem, by złożyć podpis w księgach.

— Nie powinnaś płakać — powiedziała Leonia i wyciągnawszy koronkową chusteczkę, otarła delikatnie twarz zapłakanej przyjaciółki.

— To dlatego, że taka jestem szczęśliwa — zaszlochała Karo. — Tylko dlatego. Płaczę ze szczęścia.

— Zawsze możemy zmienić to w podwójną ceremonię — podsunął Alfons, ujmując ją za rękę.

— Och Alfonsie, jest mi dobrze tak jak jest. Wiesz, że cię kocham.

— Wiem — odparł, całując ją. — Wybacz, ja tak z przyzwyczajenia.

Jim roześmiał się.

— Czy oni zawsze tak? — zwrócił się do Leonii.

— Zawsze. A jest to najbardziej „poślubiona” para, jaką można sobie wyobrazić.

— Cóż, pani Jamieson, jak się pani czuje, skoro już mówimy o małżeństwie?

Uniosła dumnie brodę i spojrzała spod szerokiego kapelusza z uśmiechem.

— Cudownie, panie Jamieson — odparła cicho.

51.

Armand de Courmont leżał na łóżku, kontemplując z zadowoleniem dzień, który miał przed sobą. To jego dwudzieste pierwsze urodziny. Słońce świeci, a w Paryżu czeka na niego piękna czarnowłosa dziewczyna, by pomóc mu świętować. Spojrzał na stojący na kominku zegar. Siódma trzydzieści, jeszcze wcześniej. Podszedł do okna i wyjrzał przez kolumnowy portyk *Chateau de Courmont*. Hoskins, angielski szofer jego ojca, już tam był. Z podwiniętymi rękawami koszuli nadawał ostateczny blask szkarłatnemu lakierowi nowego sportowego wozu. Chłodnica z orłem błyszczała w porannym słońcu, cudowne skośne linie wozu kusily **obietnicą** mocy i szybkości. To prezent urodzinowy od ojca. Pierwszy z nowych sportowych wozów de Courmonta. Ojciec pokładał w tych modelach nadzieję, że podniosą jego podupadające interesy samochodowe. Armand znał silnik doskonale. Pracował przy prototypach, sprawdzał je i wraz z mechanikami tyłł sobie ręce w smarach po łokcie. To dobry samochód.

Dośłyszał na żwirze stukot kopyt. Zobaczył Gerarda na jego wielkim gnadoszu. Z tyłu jechał Sebastiao.

Armand rozwarł okno szeroko.

— Hej, poczekajcie na mnie. Za chwilę zejdę.

Dopinając ubranie, biegł korytarzem, po czym zbiegł do hallu.

— Armand?

Z pokoju śniadaniowego wyłonił się ojciec. W rękę trzymał filiżankę z kawą.

Wygląda na zmęczonego, pomyślał Armand. Jakby nie spał; nie tyle ostatniej nocy, co od tygodni. Poczuł żal. Ojciec jest rozpaczliwie samotnym człowiekiem.

— Wszystkiego dobrego, chłopcze — rzekł Gilles z uśmiechem. — Widziałeś swój prezent?

— Widziałem z okna, ojczu. Właśnie schodzę, by pokazać go Sebastiao i Gerardowi.

Szli razem między strzelistymi malachitowymi kolumnami wielkiego hallu.

— Jak myślisz, Armandzie — zaczął hrabia — uda nam się tym razem?

— Jestem tego pewien, ojczu. Nie może zawieść; to wspaniała maszyna. Założę się, że w ciągu sześciu miesięcy sprzedaż wzrośnie.

— A ty jak myślisz, Gerardzie? — zawołał hrabia.

— To wspaniały wóz, ojczu. Piękny. Sebastiao powiedział właśnie, że byłby zachwycony, gdyby mógł zabrać jeden ze sobą do Brazylii.

— Tyle że jeszcze mnie na to nie stać — dodał Sebastiao ze śmiechem.

— Rób to co ja — rzekł Armand, wskakując na miejsce kierowcy. — Namów swego ojca, by kupił ci go na urodziny.

Włączył zapłon i oparł lekko stopę na akceleratorze. Konie cofnęły się nerwowo, gdy wznosząc bryzgi żwiru zawrócił samochodem i popędził alejką.

— Tak — mruknął z zadowoleniem Gilles. — To dobry samochód.

— Zobaczmy się później, tato — krzyknął Gerard i wraz z Sebastiao skierował się w stronę rzeki.

Gilles patrzył za nimi. Dwaj przystojni młodzi mężczyźni w miły, słoneczny letni poranek. Wielka szkoda, że Gerard nie chce dołączyć do interesu. Na szczęście ma Armanda — nikogo lepszego nie mógłby sobie wymarzyć. Pomysł na nowe sportowe wozy był jego i chłopak skrupulatnie sprawdzał każdy etap produkcji.

Przeszedł z powrotem do hallu. Popatrzył na wielki złożony zegar dziadka. Jego wahadło odmierzało godzinę tak samo od

dwustu lat. Ale czas nie płynął ani trochę szybciej. Była dopiero ósma, a on nie spał już od piątej.

Nigdy nie mógł spać w zamku. Dręczył go wspomnieniami, choć trzeba przyznać, że Marie-France przywróciła starą siedzibę do życia i nie był to już ponury dom jego dzieciństwa.

Majątek straciła na przeróbki i restaurację i zamek stał się piękny. Teraz większość czasu spędzała tutaj i wydawał się bardziej jej domem aniżeli jego. Dom na *Ile Saint-Louis* widywał ją raczej rzadko i nawet ich synowie, gdy byli w Paryżu, woleli mieszkać wszędzie, byle nie tam. Gerard dzielił mieszkanie z Sebastiao do Santosem, a Armand wynajmował swoje w pobliżu fabryki, choć hrabia podejrzewał, że większość czasu spędza z jakąś dziewczyną. A dlaczego nie, pomyślał pobłaźliwie. Chłopiec powinien się zabawić.

Hrabia przeszedł przez hall i udał się do gabinetu. Przeczytał ponownie raport finansowy sporządzony przez człowieka, który zajął miejsce Verroneta. Boże, jak mu brak Verroneta. Jak ten człowiek mógł być tak głupi, by pozwolić sobie zginąć! Satere pracuje dla niego od trzech lat i ciągle jeszcze nie jest w stanie dostarczać mu takich szczegółów, jak potrafił to Verronet. Jego raporty nigdy nie podają niczego szczególnego poza informacjami, kiedy i gdzie była Leonia; miasto, państwo, teatr. Czasami też — z kim. Ostatnio zaczęło się pojawiać często jedno nazwisko. James Jamieson, Amerykanin. Ostatni jej kochanek, jak mógł przypuszczać. W ciągu bezsennych nocnych godzin tłukło mu się po głowie pytanie, co ma z nim zrobić. Znał odpowiedź. Nic. Nic nie może zrobić, dopóki nie znajdzie Amelii, a to stracona sprawa. Nie było nawet śladu dziecka, a sprawdzone zostały wszystkie możliwe drogi. Verronet był dokładny. Nigdy nie znajdzie Amelii, a bez niej nigdy nie będzie miał Leonii. Wsparł głowę na rękach i wbił niewidzące spojrzenie w wypolerowaną powierzchnię biurka. Leonio, pomyślał bezradnie. Leonio, musisz do mnie wrócić jak najszybciej. Nie mogę już znieść tej samotności.

Marie-France powiodła szczęśliwym spojrzeniem po siedzących przy stole. Nieczęsto zdarzało jej się mieć tu obu chłopców.

Co zdumiewające, nawet Gilles został z nimi. Nieodmiennie zadziwiało ją, że gdy chciał, potrafił być takim uroczym człowiekiem. Dlaczego nie może być taki zawsze? Ale Gilles to dwaj różni ludzie. Nawet dla własnych synów. W jednej chwili był pobłażliwym ojcem, a w następnej zimnym, obojętnym człowiekiem interesu. Nigdy nie wiedzieli, jaki ma w danym momencie nastrój. Gilles był teraz jedynym, który cierpiał. Wiedziała, że cierpi i знаła przyczynę. Nigdy nie zapomniał Leonii i tego dziecka.

— Mamo, kiedy Sebastian będzie wracał do Brazylii, chciałbym z nim wyjechać — powiedział Gerard. — Czuję, że znam jego rodzinę jak własną, tyle o nich słyszałem.

— To prawda — odezwał się Sebastiao. — Czyta zawsze listy mojej malej kuzyneczki, tak że zna wszystkie rodzinne anegdoty.

— A co ty powiesz, ojczy? — spytał Gerard.

— Tak, dlaczego nie — odrzekł hrabia nieobecny głosem i spojrzął zegarek. Druga trzydzieści. Jeśli pojedzie teraz do miasta, złapie nocny pociąg do Monte Carlo. Wiedział, że Leonia tam jest.

— Po południu muszę wracać do Paryża — oświadczył żonie.

Czy nie może poczekać bodaj do zakończenia obiadu urodzinowego, pomyślała zirytowana. Podniosła kieliszek.

— Za ciebie, Armandzie — powiedziała z uśmiechem do syna. — Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój drogi.

— I wielu jeszcze szczęśliwych urodzin, chłopcze — dodał Gilles, uśmiechając się do ukochanego syna.

Armand podniósł i podparł z boku długą maskę de Courmonta. Chciał obejrzeć jeszcze raz nieskazitelny silnik. Wyjął klucz i sprawdził sworzeń. Wcisnął ręce za błyszczące rurki i poruszył kable. Kiedy wprowadzał go do garażu, słyszał coś jakby lekkie drgania, ale wszystko wygląda dobrze. Wyjedzie za jakieś pół godziny. Jeśli ojciec zechce, podrzuci go do Paryża, nie będzie musiał brać Hoskinsa. Wytarł ręce w szmatę i opuścił maskę. Zamknęła się z lekkim trzaskiem, a on uśmiechnął się zadowolony. Dobry, solidny, świetnie zaprojektowany wóz.

W domu wsunął głowę do gabinetu ojca.

— Wyjeżdżam za jakieś pół godziny, tato. Podrzucę cię, jeśli chcesz. Zobaczymy, jak się prowadzi.

Gilles włożył dokumenty do teczki i przeszedł do bawialni, by pożegnać się z Marie-France. Siedziała przy otwartym oknie, obok niej kłębiły się kolorowe włóczki. Pracowała nad gobelinem. Ciemne, wijące się włosy otaczały jej twarz. Spojrzała na niego dużymi oczami, w których malował się sceptycyzm.

— Wyjeżdżam do Paryża z Armandem — obwieścił — a potem pewnie wyjadę z miasta na tydzień lub dwa.

— Dokąd tym razem? — spytała z nikłym uśmiechem. — Chicago czy Cap Ferrat?

— A co to za różnica — odparł chłodno.

— Nie wiem, po co mnie tym męczysz, Gilles. Od lat już trwa to twoje *bez różnicy*. Pochyliła się nad swoją pracą.

Patrzył na nią przez chwilę. Są małżeństwem od dwudziestu sześciu lat i są sobie obcy. Odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

Armand czekał już w samochodzie.

— Wspaniale — powiedział. — Wypróbujemy go, tato. Zobaczmy, co potrafi.

Długi czerwony wóz pędził wiejskimi drogami, prowadzony doskonale pracującymi rękami Armanda. Brał pewnie zakręty, poddając go próbie. Wiedział dokładnie, jak powinien dźwięczeć silnik i brzmiało to niczym symfonia. Każda część dobrze nastawiona.

Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Dochodziła szósta, co znaczyło, że dojedzie do Paryża przed ósmą. Zostawi ojca na *Ile Saint-Louis* i pojedzie do Klaudyny. Będzie na niego czekała, może w tej ślicznej liliowej koszulce... Potem zabierze ją na kolację do *Cafe Cezar*. Ona lubi to miejsce.

Koło kierownicy zadrżało lekko w jego rękach. Czy to kamień na drodze? Znów wszystko w porządku. Może jednak powinien się zatrzymać i sprawdzić? Czy to nie te same drgania, które czuł rano? Spojrzał ponownie na zegar. Już późno. Skierował wóz na zakręt w stronę wzgórza. To świetne urodziny. Ojciec był miły, wydawało się też, że między nim a matką wszystko w porządku. Zawsze jest napięta atmosfera, gdy są razem. A co to takiego? Drżenie z kierownicy przebiegło mu przez ręce. Zabrał stopę z pedału gazu. Bardziej wyczuł niż usłyszał trzask kolumny, gdy wylaływa się z łożysk. Następny zakręt wyłonił się przed nim. Przyduślił stopa hamulec i poczuł,

jak samochód zarzuca. Wóz przekoziółkował dwukrotnie, po czym oparł się w rowie przy drodze, a koła jeszcze kilka minut obracały się bezsensownie w powietrzu.

Gilles wiedział, że coś musiało się stać, ale nie wiedział co. Głowa nie pracowała mu najlepiej. Zmusił się do otwarcia oczu. Wszystko było czarne. Przeważenie przebiegło mu przez plecy. Poczul, że drży. Odepchnął się rozpaczliwie. Twarz miał wciśniętą w czarną skórę siedzenia. Gdzie jest Hoskins? A może to on prowadził? Nie, to Armand! Naparł na ciężar nad sobą. Bez rezultatu. Musi się dostać do Armanda. Nagle zrozumiał, że słyszy ludzkie głosy. A więc są tu ludzie, pomogą mu dostać się do Armanda.

— Tutaj —zawołał łamiącym się, cichym głosem. —Pomóście mi. Musimy odnaleźć mojego syna.

Zobaczył nad sobą przerażone ogorzałe twarze i podniesiono ciężar z jego piersi.

— Niech się pan nie rusza — powiedział jeden z mężczyzn. — Posłaliśmy po ambulans. Niech pan lepiej leży spokojnie, aż przyjedzie lekarz i policja.

— Ale mój syn — wykrzyknął słabo. — Musicie pomóc mojemu synowi.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

— W porządku — powiedział. — Będą tu za kilka minut.

Biedny stary, pomyślał ze współczuciem i spojrzął na drugą stronę drogi, gdzie leżał młody człowiek. Zdażył go już obejrzeć. Nie żył, niestety.

Sebastiao patrzył na Gerarda, przemierzającego powoli korytarz. Rozpaczliwie pragnął coś zrobić, bodaj coś powiedzieć, co pomogłoby przyjacielowi. Drętwiał na wspomnienie twarzy Marie-France i wykrzyuczanych przez nią słów.

— Dlaczego to nie Gilles? Dlaczego to nie on?

Gerard objął matkę ramieniem. Na jego zeszywniałej twarzy malował się ból.

— Maman — wyszeptał. — Maman, proszę cię...

Zwykle tak miła twarz przybrała lodowaty wyraz.

— Muszę pojechać z tobą do szpitala — powiedziała. — Mój mąż tam jest. To mój obowiązek.

Jej obowiązek! Sebastiao był wstrząśnięty. Jakie jest życie tych ludzi? Siedzi teraz przy łóżku męża. Zoperowano mu nogi i był jeszcze nieprzytomny, ale nie zgodziła się odejść, dopóki z nim nie porozmawia. Wiedział, że Gerard czegoś się obawia. Co ona ma zamiar powiedzieć mężowi?

— Gerard — odezwał się wreszcie, biorąc go za ramię. — Chodź, napijemy się czegoś, nie ma sensu tu czekać. Doktor wróci dopiero za kilka godzin.

— Nie mogę zostawić jej tu samej, Sebastiao. Muszę z nią zostać.

Sebastiao wrócił na swoje miejsce.

— W porządku — skinął głową. — Poczekamy.

Czy to świt, czy też świat stracił nagle kolory? Gilles wbił z wysiłkiem spojrzenie wółprzymkniętych oczu w szary półmrok. Zdolał dostrzec sufit i światło pośrodku. Odwrócił lekko głowę w lewo i zalała go fala rozżarzonego bólu. Ktoś był tuż koło łóżka. Strasznie chciał zobaczyć, kto to jest. Spróbował coś powiedzieć, ale w ustach miał coś dziwnego. Nie mógł poruszyć językiem; był gruby, ciężki i obcy. Chciało mu się pić. Czy nikt nie da mu łyka wody? Musi się odezwać.

— Leonia? — Zmusił język do kilku sylab. — Leonia?

Pochyliła się nad nim, a on czekał na znajomy zapach. Nie widział jej dobrze, ale na pewno pozna po woni jaśminu.

— Gilles!

To była Marie-France. Wysoki, lodowaty głos.

— Gilles! — powtórzyła. — Czekam tu, aż się obudzisz, ponieważ sama chcę ci to powiedzieć. Armand nie żyje. Zginął przez ten twój przeklęty samochód... Z powodu twojego zaniedbania. Zabiłeś naszego syna, Gilles. — Jej twarz była nieprzejednana, a głos nieubłagany. — Zawolałeś Leonie, a przecież odeszła od ciebie wiele lat temu. A teraz ja cię zostawiam. Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Usłyszał lekkie stuknięcie, gdy cicho zamknęła za sobą drzwi. Został sam. Sam z okropną prawdą. Armand nie żyje. Jego syn nie

żyje! Chciał krzyknąć, wyrzucić z siebie cierpienie ostrymi dźwiękami. Tak właśnie czuje się człowiek, który traci syna. Rozdzierający ból. W mózgu rozbłysła nagła wizja. Młoda uśmiechnięta twarz Charlesa d'Aureville'a obrysowana okularami lornetki. Kiedy zginął, miał chyba tyle lat co Armand. Jego rodzina przeżywała wtedy to, co on dzisiaj. Tylko że śmierć tamtego nie była przypadkowa. To on go zabił. A teraz ona powiedziała, że zabił Armanda.

— Boże! — zapłakał.

Ale Bóg nie miał litości.

52.

Zimny wiatr dął od oceanu i miotając się wściekle po nabrzeżu w Deuville, łomotał brezentem chroniącym małe łodzie. Jim podniósł kołnierz palta i wydłużył krok. Skreślił za róg i znalazł się w bocznej uliczce, wychodzącej na morze. Wąska uliczka zabudowana była szarymi, piętrowymi domami, mieszczącymi głównie sklepy. Gospodarstwo domowe, wyposażenie dla żeglarzy, garaż, mały sklep spożywczy pachnący mocno rybami i parę barów. Marynarskie nazwy — *Pêcheurs* i *Trydent*. Znajdujący się po lewej stronie ulicy *Pêcheurs* był tym, którego szukał.

Drewniane koraliki zasłony postukiwały na wietrze, a wyblakła zielona okiennica klekotała o okno, kołysząc się na jednym zawiasie. Jim przeszedł przez zasłonę i znalazł się w małym korytarzyku. Naprzeciw siebie miał obdrapane drewniane drzwi. Pchnął je i wszedł, a wiatr wcisnął się razem z nim.

Jasno oświetlony bar był czystszy niż się spodziewał. Za typowym, obitym cynkową blachą kontuarem niewielki wąsaty mężczyzna popijał ze szklanki i pokasływał, paląc papierosa. Kilku grających w kacie w domino rybaków podniosło wzrok.

Jim zasiadł przy barze.

— Poproszę piwo — powiedział, kładąc portfel na kontuarze.

Mężczyzna ocenił portfel z wprawą. Otworzył butelkę i napelniwszy ostrożnie szklankę, postawił przed Jimem. Piana była kremowa, schłodzone piwo smaczne.

— Proszę się poczęstować — zaproponował Jim z zachęcającym uśmiechem, kiwając głową w stronę barmana.

— *Merci, monsieur.* — Barman podziękował krótko i nalał sobie kieliszek pernoda.

— Niezbyt tu pełno dzisiaj — zauważył Jim.

— O tej porze roku nigdy nie ma zbyt dużo ludzi.

— Chyba niezbyt wielkie tu połowy — rzekł znów Jim. — Deauville stało się zbyt eleganckie. Za wiele jachtów, nie ma miejsca na rybackie kutry.

— To prawda, monsieur.

— Słyszałem, że jest pan świetnym żeglarzem.

— Kto to panu powiedział?

— Barman w *Grandzie*, Jean-Luc Grenier — wyjaśnił Jim.

— Kuzyn mojej żony — powiedział barman i uśmiechnął się lekko.

— Tak. Powiedział mi, że czasami zaciągał się pan przy regatach, jak potrzebowali uzupełnić załogę.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się nagle.

— Tak, proszę pana. I jestem bardzo dobry. Ale teraz nie ma co rozglądać się za załogą. Regaty się skończyły aż do następnego sezonu.

— Nie, to mnie nie interesuje. Szukam kogoś innego. Człowieka, który również od przypadku do przypadku zaciąga się jako załogant. Potężny facet, rudawy, trochę otyły. — Jim wziął portfel i otworzył znacząco. — Musi się tu kręcić od lat, znika na jakiś czas, a potem wraca. Nikt z miejscowych.

Barman pochylił się nad kontuarem, wpatrzony w portfel.

— A dlaczego chce pan znaleźć tego człowieka? — spytał pociągając pernod.

Jim wyprostował się i zatrzasnął głośno portfel.

— Sądzę, że to moja sprawa.

— Tak, oczywiście. — Mężczyzna drgnął. — Po prostu jestem ciekaw. Myślę, że mógłbym panu powiedzieć, co wiem... — Oczy miał utkwione w portfel. Jim wydobył jeden banknot i położył na kontuar/e. Wydobył drugi i położył obok pierwszego.

— No więc?

Mężczyzna wcisnął banknoty do kieszeni i pociągnął pernod.

— Jest tylko jeden człowiek, który tak wygląda. Bywa tu tylko latem, a i to nie zawsze. Bierze przypadkowe sezonowe roboty, prowadzi wycieczki albo pracuje w porcie; trochę malowania, trochę stolarki, takie tam rzeczy. Był tu ostatnio. Nie jest lubiany. Bójki pijatyki... — Barman wzruszył ramionami. — Lepiej nie zadawać się z tym człowiekiem, monsieur.

Jim położył na kontuarze kolejny banknot.

— A po sezonie — zniżył głos — gdzie się udaje?

— Myślę, że na południe, monsieur. To wszystko, co wiem. Wydaje mi się, że do Cannes albo do Monte Carlo. Tam sezon trwa znacznie dłużej, do samej zimy. Tam zawsze jest praca dla marynarzy.

— Jak się nazywa?

Barman dopełnił sobie kieliszek.

— Tego panu nie mogę powiedzieć, monsieur, ale jeśli pan zapyta w porcie, może będą wiedzieli. Latem pracował trochę dla Lesage'a.

Jim dokończył piwo jednym haustem i ruszył do drzwi.

— Dziękuję — rzucił przez ramię.

Barman pociągnął pernod i zadrżał w podmuchu, który wpadł przez drzwi.

Jim był podniecony. Czyżby to było to? Domyślił się, że ten człowiek musi być wędrownym robotnikiem, który wraz z sezonem i według humoru przenosi się z kurortu do kurortu. Deauville to eleganckie uzdrowisko. Nie brak tu zajęć i można zarobić. Dlaczego nie miałby wrócić po kilku latach, kiedy wszystko przyschło? Poza tym, nie był o nic oskarżony. Nie było go o co oskarżyć. A pamięć ludzka jest krótka. Jimowi potrzebne było tylko jego nazwisko.

Lesage był największym przedsiębiorcą w porcie. Jego teren obejmował połowę nabrzeża. Spacerowe parowce na jednodniowe wycieczki, małe łodzie, które wypożyczał wędkarzom, oraz eleganckie jachty jego klientów, zacumowane teraz na zimę, ciągnęły się szeregami, ustawione bokiem do wody.

Siwowłosa mężczyzna za biurkiem włożył pośpiesznie marynarkę, gdy Jim wszedł do biura.

— Dzień dobry — uśmiechnął się uprzejmie. — Czym mogę panu służyć?

— Dzień dobry. Widzę, że macie tutaj niezłe łodzie.

— Mam kilka na sprzedaż — jeśli to pana interesuje. — Mężczyzna rozpromienił się. — O ile nie chce pan specjalnej, robionej zgodnie z pana wskazówkami. Mamy własną stocznię, dalej na wybrzeżu.

— Chyba interesowałaby mnie łódź — rzekł Jim niedbale. — Coś mniejszego. Żona bawi się w żeglowanie. Chociaż mając ją na pokładzie, będę raczej musiał wynająć kogoś w charakterze załogi.

— Nie ma problemu, proszę pana. W sezonie ludzie zawsze szukają pracy. Zaciągną się i będą utrzymywać na łodzi czystość i porządek. Możemy to panu załatwić.

— Znajomy mówił mi, że miał ostatnio dobrego człowieka, takiego rudego faceta.

— Rudego? To na pewno chodzi o Marigny. Ale nie polecałbym go panu. Rzeczywiście dobry pracownik, ale trochę dziwny człowiek. Nie, nie byliśmy z niego zadowoleni. — Wciągnął policzki i zatarł ręce poruszony. — Żeby być uczciwym, proszę pana, trochę za bardzo lubi wódkę. Myślę, że znajdziemy dla pana kogoś lepszego. Czy mogę teraz pokazać panu nasze łodzie. Mamy kilka, które będą odpowiednie dla pana potrzeb.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — rzekł Jim, kierując się do drzwi — przyjdę jeszcze raz później. Spieszę się na spotkanie.

O trzeciej wszedł do paryskiego pociągu i rozsiadł się wygodnie. Patrzył na zapisane w notesie nazwisko. Marigny. Być może to ten człowiek zamordował Charlesa d'Aureville'a. Oby to był klucz do uwolnienia Leonii od jej przeszłości. Teraz musi tylko odnaleźć tego Marigny. Spojrzył na zegarek. Jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się złapać pociąg do Nicei. To trochę potrwa. Będzie musiał przeczesać każdy port, każdą przystań i nabrzeże między Menton a Marsylią, by go znaleźć.

Marok wziął egzemplarz *Le Monde* ze sklepu pod arkadami w pobliżu londyńskiego hotelu *Brown*. Miał zamiar przeczytać później, po przedstawieniu. Rzucił okiem na nagłówki i przebiegł

szybko oczami stronę. Doniesienie o poważnych obrażeniach hrabiego de Courmont oraz śmierci jego młodszego syna w wypadku jego ostatniego modelu sportowego wozu krzyczało wyróżniającymi elementami graficznymi i wielką czcionką.

Złożył gazetę starannie, by wiatr mu jej nie porwał, i przeczytał szybko wiadomość. Choć hrabia miał połamane nogi i żebra, jego życiu nie groziło niebezpieczeństwo. Mój Boże, pomyślał z goryczą, dlaczego to nie on!

Ruszył z powrotem do hotelu. Zostają w Londynie jeszcze na dwa wieczory. Czy powinien powiedzieć Leonii teraz, czy po zakończeniu występów? Pamiętał, jak ostatnim razem ukrył przed nią informację. Ale to co innego, teraz jej powie. Będzie chciała wiedzieć.

Leonia ubierała się i planowała zakupy. Chciała kupić coś dla Jima. Dobre angielskie rzeczy — miękkie kaszmirowe pulowery i jedwabne piżamy w paski. Burlington Arcade i Jermyn to cudowne miejsca. Uśmiechnięta szczotkowała włosy. Jak cudownie jest kogoś kochać. I być kochanym.

— Długo trwało, Leonio Jamieson — powiedziała — ale wreszcie znalazłaś to, co daje ci twoją *przynależność*.

Usłyszała głos Maroka w saloniku i odłożywszy szczotkę wyszła, by się z nim zobaczyć.

— Jak się masz — powiedziała, całując go lekko w policzek. — Nie poszedłbyś ze mną po zakupy?

— Jest coś w gazecie, Leonio. Chodzi o hrabiego. Zdarzył się wypadek.

Patrzyła na niego rozszerzonymi łękiem oczami.

— Nie zginął, ale jest ciężko ranny. To zdarzyło się w jego własnym samochodzie. Jego młodszy syn zginął.

Zginął! Przypomnieli jej się dwaj mali chłopcy jedzący z namaszczaniem lody w *Cafe de Paris* w Monte Carlo wiele lat temu. Biedny mały chłopiec. A monsieur żyje. Boże, co za ironia. Niewinny chłopiec ginie, a on żyje! Wzięła gazetę w drżące ręce. Poważne uszkodzenia nóg i klatki piersiowej... Wspomnienie przyciśniętego do niej silnego ciała przemknęło przez jej głowę. Nie, nie powinien być ranny. Nigdy nic nie powinno go zranić. Jest niepokonany. Czy nie udowodnił tego przez te wszystkie lata?

Nie chciała myśleć o jego ciele tak... złamanym. Lepiej, by umarł. Powinien umrzeć.

Marok wyjął gazetę z jej rąk, a ona spojrzała na niego z rozpaczą.

— Dlaczego, Marok? Dlaczego to nie on zginął? Czy nie ma sprawiedliwości?

— Nic nie wiem na temat sprawiedliwości, ale możesz to nazwać zapłatą — odparł. — Jedno młode życie za inne. Będzie teraz cierpiał, Leonio. Na pewno.

53.

*H*otel *Villa d'Aureville* w Copacabanie był dokładnie taki, jak mały uroczy wiejski

dom. Proste białe ściany zwieńczone były ciemnymi belkami sufitów. Na wypolerowanych drewnianych podłogach leżały cudowne dywany, zabrane przez Izabellę z *Chateau d'Aureville*. Nasycony błękitny z Kermanu, wspaniały złoto-liliowy dywan modlitewny z Kashanu, kremowozłoty z Senny oraz bogate czerwieniami z Ferahanu i Bokhary. Najdelikatniejsze i najrzadsze zdobiły ściany. Połyskiwały jedwabście z mrocznych kątów obok portretów dawnych Aureville'ów oraz wielkich płócien wspnianych kwiatów, tak znakomicie oddanych przez zmarłych dawno holenderskich mistrzów, że niemal czuło się zapach róż i peonii, których żywi krewniacy zapełniali wazy i misy na stołach i serwantkach oraz kosze na korytarzach.

Wygoda i luksus, myślała Izabella, chodząc po hotelu. Luksus wyłącznie najlepszych rzeczy. Żadnej ostentacji, to nigdy nie było jej celem. Szerokie wygodne sofy pokryte były przytłumionym kwiecistym perkałem w zgasłych koralach i zieleniach lub miękkimi brokatami w wyblakłych błękitach i jasnym złocie, i zarzucone kusząco poduszkami. Na małych stolikach ze złocistym światłem lamp, rozlewającym się miękkimi kręgami, leżały pisma i książki, a na okrągłym stole w salonie wpółzakończona wielka układanka. Żaden gość nie mógł się oprzeć chęci spróbowania. Cały efekt polegał na wrażeniu domu stojącego tu od stuleci, tyle że bez jego niewygod.

Łazienki miały najnowocześniejsze wyposażenie i najbardziej puszyste ręczniki, łóżka wabiły swą wygodą, a haftowana bielizna była najlepsza, jakiej mogła dostarczyć Europa. W każdym pokoju stały świeże kwiaty, przy łóżkach leżały książki dla cierpiących na bezsenność, na srebrnej tacy stała woda sodowa, koniak i herbatniki. Każdego gościa znano tu z imienia. Upodobania gości do pokoi, jedzenia i win, tego co lubią i nie lubią oraz ich specjalne życzenia zapisywano w kartotece, tak że gdy wracali, witano ich tak, jakby nigdy nie wyjeżdżali. Wszystko było dokładnie tak, jak sobie życzyli i nie musieli o nic prosić.

Była to oaza na pustyni. Przeniesiony do Brazylii zakątek Francji. Był doskonały. Przynajmniej tak uważała Izabella, a ponieważ dziesięć pokoi i osiem apartamentów zawsze było zajętych, uznała, że jej goście też tak go oceniają. W tych dniach spędzała w hotelu więcej czasu niż w domu. Początkowo, gdy Edward się ożenił, było jej bardzo ciężko, jednak dzięki Bogu Xara okazała się na tyle wrażliwa, by zrozumieć uczucia Amelii. Teraz, gdy miało przyjść na świat dziecko, Amelia była równie podniecona jak Edward.

Patrzyła jak młoda panienka rozmawia przy biurku recepcyjnym z senhorem Vasconcellosem. Pospieszyła ku nim natychmiast. Pozostawała jej tylko nadzieja, że nie ma z nim kłopotów. Senhor Vasconcellos należał do ludzi, którzy rodzą się, by narzekać. Gdy tu był, nic nigdy nie było dobrze, a przy wyjeździe dziękował zawsze za cudowny pobyt i przyrzekał, że wkrótce znów przyjedzie. I zawsze przyjeżdżał!

— Miał pan zapewne męczącą podróż, senhor Vasconcellos — mówiła Amelia. — Paulinho zaprowadzi pana do apartamentu. Tak, oczywiście ten sam, a ja sprawdzę, czy kąpiel dla pana się szykuje i wyślę tacę z herbatą. Rumiankowa, prawda? Kolacyjne menu już na pana czeka. Mamy wspaniałe kuropatwy z Yorkshire i jestem pewna, że będą panu smakować.

Izabella obserwowała ją z uśmiechem. No, no, kto by pomyślał. Vasconcellos uśmiechnął się zadowolony. Najwyraźniej czuł się powitany z rewerencją, a to było chyba najważniejsze. Fakt, że takie prowadzenie hotelu kosztowało majątek, nie był ważny. Zawsze znajdą się ludzie gotowi płacić za to, co najlepsze.

— Pani hrabino — zgiął się nad jej ręką rozpromieniony — pani wnuczka dziedziczy pani urok. Pomyślała dla mnie o wszystkim.

— Szczęśliwa jestem, że to słyszę, senhor Vasconcellos. Rozumiem, że tym razem zostanie pan z nami przez tydzień. Mam nadzieję, że zje pan któregoś dnia ze mną obiad w *Pavillonie*.

— Ależ oczywiście, madame! Z największą przyjemnością.

Pospieszył za Paulinho, a Amelia odwróciła się do babki z szerokim uśmiechem.

— Całkiem dobrze sobie radzę — stwierdziła z triumfem. — Myślę, że mogłabym samodzielnie prowadzić taką placówkę.

— Nie całkiem — odparła Izabella spokojnie — ale bardzo dobrze ci idzie. Uczysz się.

— Babciu, kiedy w przyszłym roku skończę szkołę, nie chcę iść do college'u. Chcę pracować tu z tobą.

W oczach Izabelli odmalowało się zaskoczenie.

— Ależ Amelio, pojedziesz do Ameryki, tam są doskonałe warunki do dalszej nauki dla ciebie.

— Wiem, wiem, ale ja to lubię robić, babciu. Zgódź się, proszę cię. Wiesz przecież, jak ci już pomagam.

Śliczna twarz dziewczyny jaśniała zapałem. Miała już prawie szesnaście lat i była piękna. Ręce i nogi nabrały wreszcie miękkich linii, była wysoka, jeszcze nie czarująca, ale miała wdzięk młodego zwierzątka. Do wszystkiego odnosiła się zawsze z energią i zapałem. Cokolwiek robiła, traktowała to jak najważniejsze w tej chwili zajęcie na świecie, z kimkolwiek przebywała, stanowił dla niej najbardziej interesującą osobę. Wszystkiemu poświęcała swą uwagę absolutnie. Czy to Roberto opowiadał jej o swych najnowszych wyczynach w polo, czy też zgłaszał kolejną skargę Vasconcellos, potrafiła utkwic w rozmówcy cudowne piwne oczy z tak napiętą uwagą, gdy słuchała go z lekko rozchylonymi wargami, że czuł się najbardziej interesującym, najważniejszym na świecie człowiekiem. Ma zniewalający urok, myślała Izabella. Na razie całkowicie niewinny, ale gdy już nauczy się go wykorzystywać, będziemy mieli kłopoty. Lub też mielibyśmy, gdyby nie była tak oddana Robertowi.

— Więc jak, babciu? — przymilała się Amelia. — Naprawdę nie chcę jechać do college'u. Chcę zostać z tobą i...

Głos jej się załamał. Czy chciała powiedzieć z *Edwardem*, czy z *Robertem*?

— Porozmawiam z Edwardem — obiecała jej Izabella — choć nie jestem pewna, Amelio, czy będzie z tego zadowolony. Wiesz przecież, że jego zdaniem powinnaś wstąpić do college'u.

Amelia rozpromieniła się.

— Jeśli tylko mu powiesz, jaką pomocą jestem dla ciebie, z pewnością się zgodzi.

— Zobaczymy. Ach, byłabym zapomniała. Masz list od Sebastiao. Przyszedł dziś rano. Leży na półce.

— Cudownie! — Amelia chwyciła list i wsunęła do kieszeni. — Do zobaczenia, babciu — zawołała i ruszyła w stronę plaży.

Listy zawsze brała na plażę. Teraz też otworzy wobec zielonego bezkresu Atlantyku. Będzie miała uczucie, że ma przed sobą Francję i w jakiś sposób znajdzie się bliżej niego. Wiedziała, że to głupie, ale teraz, gdy stała się starsza, zaczęła też być przesądna. Zrzuciła sandały i zostawiwszy je pod palmą, pobiegła przez całą szerokość wiecznie ciepłego piasku nad samą wodę. Zwróciła się do niej twarzą w symbolicznym geście i otworzyła kopertę.

Trzy strony. Wspaniale długi list. Czas już najwyższy, wieki minęły od ostatnich wiadomości od niego. Jest we Włoszech. Podróżuje z przyjacielem. Byli w Wenecji; zrobił dla niej kilka szkiców. Mosty, gondole, pałace, place... Wszystko cudowne. Myśli o niej i tęskni za nią. Może napisać do niego na poste restante do Rzymu, gdzie teraz się udaje. Ma nadzieję, że sprawy między nią a Robertem układają się lepiej.

Wsunęła list z powrotem do koperty i usiadła na piasku. Podciągnęła kolana i z brodą wspartą na rękę wpatrywała się w dal. Już ponad tydzień nie widziała Roberta. Oczywiście, uczy się do egzaminów, i ona wie, że to bardzo ważne. Od tego zależy możliwość wstąpienia na dobry uniwersytet.

— Oksford — mówił z dumą. — Albo Heidelberg.

Zawsze wybierał miejsca o romantycznie brzmiących nazwach, tyle że nigdy nie był pewien, co właściwie chce studiować. Powiedział, że pomyśli o tym później, po egzaminach. Pamiętała mgliście, że Oksford to miejsce zagubione gdzieś w głębi Anglii. Straci go, jeśli tam pojedzie. Tak samo, jak straciła Sebastiao. Tyle że Roberto z pewnością nie będzie pisał do niej z takim poczuciem obowiązku,

jak on. Jedyna korzyść, że odciągnęłoby go to od Diega. Ja nie ubiegam się o Roberta jak o nagrodę, ja go po prostu kocham, myślała. Co ja zrobię, jeśli on wyjedzie? Wstała, strzepując piasek ze spódnicy. Cóż, jeszcze nie wyjechał. Zobaczy go dziś wieczorem i będzie mu życzyła szczęścia na jutrzejszym egzaminie.

Diego i Roberto szli *Rua Ovidofr*, nie zwracając uwagi na przechodniów. Byli pogrążeni w rozmowie. Stanowili przystojną parę: Diego ciemny, szykowny, Roberto jasny, wysportowany. Obaj mocno opaleni po spędzonym na *fazendzie* lecie. Zatrzymali się przy *Cafe Miltonho* i usiedli przy stoliku na zewnątrz.

— Dwie *cafezinhos* i dwa razy *cachaca* — rzucił Diego przechodzącemu kelnerowi.

— Nie piję *cachaci* — rzekł Roberto. — Ty też nie powinienesz. Diego wzruszył obojętnie ramionami.

— O co chodzi? Myślisz, że się upijesz jedną *cachacą*?

— Wiem, że nie — odrzekł Roberto z westchnieniem. Ale wiem także, że nie skończy się na jednej, a mamy się uczyć do jutrzejszego egzaminu.

— Daj spokój, Roberto. Zbyt poważnie do tego podchodzisz. Wiesz dobrze, że przefruniesz przez ten egzamin.

— Problem w tym, że nie jestem tego pewien, a jeśli dalej będę razem z tobą tracił czas, to z pewnością nie. Słuchaj, Diego, ile czasu przebałaganiliśmy w tym tygodniu? Mój ojciec myśli, że siedzę u ciebie i uczę się z tobą, a twój myśli, że ty jesteś u mnie.

Diego roześmiał się.

— Daj sobie spokój z tym zamartwianiem się. Otrzymasz dostateczny, zawsze dostajesz.

— Ale żeby jechać do Europy, potrzebuję mieć co najmniej średni... Ojcu sprawiłoby to naprawdę przyjemność.

— Nie przejmuj się, Roberto, będzie zadowolony z twojego dostatecznego. Jeśli otrzymasz więcej, zawsze będzie tego oczekiwał. Rób tylko tyle, aby byli zadowoleni, zawsze ci to mówię.

— Do diabła, Diego! Chcę jechać do Europy w przyszłym roku! Diego opuścił ramiona. Wypił *cachacą* jednym haustem.

— Okropne — rzekł nachmurzony. — Ty sobie wyjedziesz do Europy, a ja będę tkwić w tym pustkowiu na *fazendzie*.

— Może gdybyś się trochę przyłożył, też mógłbyś wyjechać.

— Nie mam szansy. Majątek się wali. Ojciec mówi, że potrzebna nam wszelka pomoc. Dlaczego ten kraj pozbył się niewolników? — dodał i zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie. — Chińscy emigranci są niewiele warci, a Włosi są jeszcze gorsi. Zupełnie nie potrafią pracować. A teraz on spodziewa się, że wrócę do domu i będę pomagał. A niech to szlag, to niesprawiedliwe!

Roberto wiedział, że *fazenda* Bonavente przeżywa kłopoty i nie tylko ta jedna. Poważne problemy z siłą roboczą oraz kilka nieurodzajnych sezonów zemściło się na wielu starychmajątkach kawowych.

— Gdyby mój ojciec miał kłopoty, pomógłbym mu — rzekł.

Diego popatrzył na niego przez chwilę. Czy rzeczywiście tak myśli? Pewnie tak. Zrezygnowałby z wyjazdu do Europy i pracował *na fazendzie*, gdyby jego ojcu było to potrzebne. Nie da się ukryć, że Roberto jest głupi. Może *miękki* byłoby lepszym słowem i tę jego stronę dałoby się chyba wykorzystać.

— To ojca wina, *iefazenda* ma kłopoty, dlaczego u diabła ja mam cierpieć z tego powodu?

— Praca na *fazendzie* to nie takie znów cierpienie.

— Nienawidzisz tego tak samo jak ja. Obu moim braciśkom udało się. Byli na tyle dorośli, by uciec, zanim do tego doszło. Teraz tylko ja pozostałem. No i moja siostra, ale żadnego z niej pożytku. Boże, nie mogę jej znieść! Żeby choć była ładna!

— Jesteś niesprawiedliwy. To porządna dziewczyna, a Amelia mówi, że jest przemiła.

— Przemiła? Amelia to powiedziała? Do diabła, dlaczego zawracamy sobie głowę tymi bezużytecznymi dziewczynami? Pamiętaj, jak mówiłem ci o domu madame Susany? Chodźmy tam, gdzie mają prawdziwe dziewczyny.

Roberto spojrział na niego. Wizja czerwonych podwiązek na delikatnych białych udach oraz długich nóg w czarnych pończochach przemknęła mu przez głowę. Śnił o nich każdej nocy. Uda, miękkie piersi, jak będzie ich dotykał, jak będzie pachniała dziewczyna...

— Susana mnie zna — blefował Diego, dostrzegając wahanie w oczach Roberta. — Pozna nas z prawdziwymi pięknościami.

Mówię ci, Roberto, ta Szwedka, którą miałem, była fantastyczna... Nienasycona... Musiałem pieprzyć ją przez całą noc.

Roberto przelknął *cachacę*.

— Nie mam czasu, wiesz, że muszę pracować dziś wieczór. Poza tym nie mamy pieniędzy.

Diego wyciągnął z kieszeni koszuli zwitek zatuszczonych banknotów.

— Co na to powiesz? — spytał, machając nimi Robertowi przed nosem.

— Skąd je wziąłeś?

— Uratowałem je przed deszczem! Chryste, co za różnica, skąd je wziąłem? Są, mam je. Idziemy!

— Ale dla Susany to z pewnością nie wystarczy.

Diego zmarszczył czoło i policzył szybko. Roberto miał rację.

— W takim razie znam inne miejsce. Trochę tańsze, trochę wulgarne, trochę bardziej... podniecające. Tam pozwolą ci robić wszystko, co zechcesz. — Uśmiechnął się. — No chodź, Roberto — szepnął. — Zaopiekują się nami śliczne dziewczyny... dwie, może trzy naraz. — Przychylił się bliżej. — Nie masz pojęcia, co one potrafią... Będziesz zachwycony.

Roberto poczuł przenikające go przy tych słowach drżenie. Ale nie może, nie powinien iść, dwie albo nawet trzy dziewczyny... Co one z człowiekiem robią?

Diego odepchnął krzesło i rzucił kilka monet na talerzyk.

— Cóż — powiedział. — Ja idę.

— Czekaaj — rzekł Roberto, odsuwając krzeselko z pośpiechem.

Obskurne marmurowe schody prowadzące do *Hotel Orfeo* chroniła przed oczami ciekawskich przechodniów postukująca paciorkowa kotara oraz potężny portier. Stał z założonymi spokojnie masywnymi ramionami, oparty o ścianę. Czapkę z wypisaną z przodu spłowiałymi literami nazwą *Hotel Orfeo* nasunął głęboko na oczy i zdawał się nie dostrzegać nikogo i niczego spod jej daszka. Pot perlił się na masywnej piersi i odznaczał się plamami na białej koszuli, a on skrobał w zamyśleniu jednodniowy zarost na brodzie, patrząc na zaśmiecony chodnik.

Diego podszedł pewnie do drzwi i stanął nagle na widok wielkiej stopy, która pojawiła się między nim a schodami.

— Chłopaczki mają pieniądze? — Oczy portiera przeslizgnęły się po nich badawczo.

Roberto spojrział na niego ze strachem, w obojętnym głosie brzmiała groźba.

— Jasne. — Diego wyjął zwitek banknotów. — Mnóstwo. Pan mnie przecież zna, byłem tu już.

Stopa została obojętnie odsunięta i portier powrócił do kontemplowania chodnika.

— Jesteś pewien tego miejsca? — wyszeptał idący za Diego Roberto. To wygląda trochę obskurnie.

— Poczekaj — rzucił Diego przez ramię. — Zobaczysz, to najlepsze miejsce w Rio.

Pewnym gestem odsunął na bok wiszącą w wejściu zakurzona pluszową kotarę i wszedł do pokoju. Od podłogi do sufitu zawieszony był mocno zapyłonym czerwonym pluszem podwiazanym pętlami z pozbawionego już blasku złotego sznura oraz zdobiony frędzlami. Słabe światło matowych szklanych żyrandoli oświetlało zmęczone umalowane twarze i obnażone piersi kilkunastu dziewcząt, siedzących na ustawionych pod ścianami kanapach. Panowało tu nieznośne gorąco. Para sennych wentylatorów obracała się monotonnie pod sufitem, podnosząc jedynie kurz. Między sterzącymi piersiami zmierzającej ku nim dziewczyny perliły się krople potu.

Roberto odczuł wielkie rozczarowanie. Nie miała ani czarnych pończoch, ani purpurowych podwiązek. Nie było też żadnego faceta, który śmiałyby się z młodą blondynką w długich satynowych majteczkach i pił z nią szampana. Te dziewczęta nie siedziały tu, by flirtować, kokietować i uwodzić. One były gotowe do dzieła. A ja, zadźwięczało w nim przerażone pytanie. Co my tu robimy?

Dziewczyna uśmiechnęła się do nich wilgotnymi czerwonymi ustami. Ma śliczne zęby, nasunęło mu się mimowolnie na myśl. Piersi również wspaniałe. Opuścił szybko oczy. Nigdy przedtem nie widział obnażonych piersi dziewczyny. Talię miała przepasana zielono-niebieską szarfą, na nogach pantofle na wysokich obcasach. I to było wszystko. Nad pełnymi udami trójkąt łonowy porośnięty był ciemnymi gęstymi włosami. Hipnotyzowało go to tajemne miejsce.

— Witamy w *Orfeo* — powiedziała. — Co panom podać do picia?

— *Cachaca* — polecił Diego, obejmując ją ramieniem i pieszcząc jej piersi. Zachichotała i przycisnęła się do niego. Roberto odwrócił oczy.

Kotara podniosła się nagle i w drzwiach ukazał się karykaturalny stwór. Pofalowana od tłuszczu i zmięta wiekiem twarz kobiety była upudrowana na białło. Nad pozbawioną konturów szkarłatną szramą ust patrzyły małe blade oczka. Umalowane na czarno rzęsy były sztywne od tuszu, a uczesane w wymyślne loczki rzadkie rude włosy otaczały maskę jej twarzy. Ubrana w błyszczącą, nisko odciętą czarną suknię, obwieszona była krzykliwymi nagrodami za jej profesję, kolebiącymi się na bezkształtnym ciele. Na każdym palcu pulchnych rąk błyszczwały pierścienie. Twarz kobiety wykrzywiła się w czymś, co miało stanowić uśmiech.

— Dobry wieczór, senhores — powiedziała. — Co możemy panom dziś zaproponować? Widzicie nasze dziewczęta. Mamy też, oczywiście, wybór *specjałów*... Tylko proszę mi powiedzieć, co panowie lubią, a ja sprawię, że to dostaniecie. Zapłata z góry, oczywiście.

— Oczywiście — potwierdził chłodno Diego, opróżniając jedynym haustem szklaneczkę *cachaci*. Patrzył na nią z pogardą, gdy podreptała do baru w zbyt ciasnych dla jej pulchnych stóp pantoflach.

— Każe się nazywać *Madame Wiktoria* — mruknął kpiąco do Roberta. — Uważa, że wygląda jak stara angielska królowa. — Zaśmiał się. — Takie miejsce jak to ma jednak jedną dobrą stronę: możesz mieć każdą, o którą poprosisz. Wszystko, co ci wpadnie do głowy.

Ciemnowłosa dziewczyna ruszyła wolno przez pokój i stanęła przed nimi.

— Jestem Marisa — powiedziała, przysuwając się do Diegoa.

Roberto spazmatycznie chwycił powietrze, patrząc jak Diego dotyka i obmacuje ciężkie piersi. Podnosił je, waząc w dłoniach i miażdżył w dłoniach na oślepie, bez odrobiny *delikatności*, wreszcie jego palce zacisnęły się na podniesionych sutkach i skrzyły je z okrucieństwem. Dziewczyna zakrzyczała.

— To krowa — orzekł Diego. — Zobaczymy, co innego tu się jeszcze znajdzie.

— Jezu, Diego, nie wolno ci sprawiać jej bólu! — wykrzyknął Roberto.

— Nie znasz tych dziewczyn. Są do wszystkiego przyzwyczajone. Mówię ci, tu możesz robić, co chcesz.

Roberto wypił swą *cachacę* szybko, świadomy patrzących na niego w oczekiwaniu oczu siedzących na sofie dziewcząt. Czuł zbierający mu się na plecach pot i wyciągnął rękę po następny kieliszek. Widział, jak Diego rozsiada się między dwiema dziewczynami, a te chichocząc obejmują go obnażonymi ramionami.

— Chodź, Roberto, weź butelkę i przysiądź się do nas!

Roberto ruszył niepewnie przez pokój, potykając się lekko. Mocna *cachaca* zaczęła działać. Jakby z oddali słyszał śmiechy dziewcząt. Zatrzymał się i potrząsnął głową. Pomogło. Oprzytomniał trochę. Usiadł ostrożnie na brzeżku czerwonej pluszowej sofy, patrząc w oczekujące oczy. Piwne, uśmiechające się do niego kpiąco, ponure i niecierpliwe niebieskie, chcące mieć wszystko jak najszybciej za sobą i zielone, które już wszystko widziały. Widział zapraszające purpurowe uśmiechy obojętnych twarzy, obnażone piersi z różowymi brodawkami, drapieżne, podniecające go dłonie, pieszczące jego włosy, twarz, uda. Jedna z dziewcząt usiadła mu na kolanach i objęła go za szyję. Poczuł gwałtowny przypływ pożądania. Bał się, że nie zdoła się opanować i zrobi z siebie durnia. Wciągnął głęboko powietrze. Dziewczyna wiała się ze zrozumieniem, śmiejąc się.

— Jestem Romana — zamruczała. — Masz, jeszcze jeden kieliszek dla ciebie. — Podniosła szkło do jego ust. — Pozwól, że ci to zrobię, wypij to. O rany, ale jesteś śliczny. Mam dzisiaj szczęście. Nieczęsto zdarzają mi się tacy ładni chłopcy.

Miała rude włosy, jasnoniebieskie oczy i skórę koloru świeżego mleka. Położył rękę na znaczonych niebieskimi żyłkami miękkich piersiach.

— Już lepiej — szepnęła. — Nie wstydź się. — Zgięła się, pochyliła głowę i chwyciła ustami jego twardy różowy sutek. — Czy tak nie lepiej... Nie jest przyjemnie? O tak, podoba ci się, prawda?

Zatracił się w dotyku piersi, miękkiego ciała i w nagości dziewczyny.

Diego zepchnął ciemnowłosą dziewczynę z kolan i stanął, obserwując ich przez chwilę. Romana uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo, gdy ruszył przez pokój, by porozmawiać z Madame. Zachciało mu się śmiać. Wszystko okazało się znacznie łatwiejsze, niż przypuszczał. Roberto nie potrafił się oprzeć.

Z *cachacą* we krwi i usługami paru dziewcząt nie uda mu się zdać jutrzejszego egzaminu. Będzie musiał zostać w Brazylii. Ze mną, pomyślał triumfalnie. Nie mógłby znieść wyjazdu Roberta. Musiałby wytrzymać sam na *fazendzie*. Bez pieniędzy, bez dziewczyn, bez niczego? Teraz go ma. Ręce mu drżały, gdy szeptał do ucha liczącej banknoty Madame Wiktorii. Romana skinęła głową, gdy Madame wskazała jej korytarz.

— Tędy, mój blondasku — powiedziała dziewczyna i postawiła Roberta na nogi. Objęła go mocno w pasie i powlokła korytarzem.

W kolanach miał dziwne uczucie i pokój też wydał mu się dziwny. Nie wiedział, czy to ściany są za blisko, czy łóżko zbyt duże. Rzucił się na nie, odwracając oczy od drażniącego oczu światła. Romana rozwiązała szarfę i zarzuciła ją na lampę. Światło zmieniło się w przytłumione żarzenie. Wygląda teraz ciepło, myślał patrząc w oszołomieniu na dziewczynę. Ciepła i delikatna. Rozpięła mu koszulę i ściągnęła z ramion, a gdy rozpiniała mu spodnie, położył jej ręce na piersiach. Roześmiała się na widok jego nabrzmiałej męskości.

— O — mruknęła. — O tak, chłopczyku, jesteś już całkiem gotowy. Usiadła na nim okrakiem i pochyliła się. Biust dziewczyny drażnił jego pierś, tarł się o niego szorstki rudawy trójkąt. Była ciepła, wilgotna, miękka. Czuł, że umiera z podniecenia, rozsadzi go i on wybuchnie. Dziewczyna nie przestawała. Wciąż dotykała go i tarła... Nagle znalazł się w niej, wślizgnął się i zaczął uderzać. Dziewczyna zaciskała się w środku, a ręką miażdżyła mu jądra. Poczul, że to już.

Diego i czarnowłosa dziewczyna doturlali się do nich nadzy, śmiejąc się. Romana odsunęła się i poczuł wilgoć. Kręciło mu się w głowie. Czuł się wyczerpany, pusty.

Po chwili wzdrygnął się i oprzytomniał. Wciąż leżał nagi na łóżku. Słyszał pomruki głosów i lekki płacz tuż obok siebie. Otworzył oczy i zobaczył przykucniętego Diega. Przyglądał się z zainteresowaniem dwu dziewczynom, pieszczącym się wzajemnie.

W płataninie rak i rozsuniętych nóg, z wciśniętymi w siebie brodawkami piersi i poszukującymi rękami, całowały się z drgającymi językami. Ciało Roberta zadygotało w odpowiedzi. W gardle mu zaschło, *cachaca* pulsowała w żyłach. Zamknął oczy. Purpurowy w świetle lampy obraz dwóch ciał palił pod powiekami. Poczł sunącą po brzuchu rękę i drgający na udzie język. Coraz bliżej i bliżej. Drugie miękkie usta dopadły jego ust i rude włosy Romany otarły się o jego twarz, gdy czarnowłosa dziewczyna zgięła się i wzięła jego wyprężoną męskość w usta. Była wspaniała i nie mógł tego wytrzymać. Jęknął i ugryzł drgający język Romany. Zobaczył za jej plecami Diega i usłyszał dyszenie dziewczyny. To Diego wszedł w nią. Roberto pocałował ją znowu i wciągając jej język, patrzył jak Diego wbija się w dziewczynę. To było ponad jego siły. Dygocząc całym ciałem zamknął oczy. Zatracił się w uniesieniu ciała i swych doznaniach, wił się, drgał i trząsł cały. Ciemna dziewczyna odsunęła się, a on poczuł inne usta, inne ręce, twarde i silniejsze, brutalniejsze, znajome usta. Zakrzyczał z pożądania. Ciało wystrzeliło na nowe wysokości, nowe wybuchy światła, barw i fantazji. To był Diego i on wiedział o tym. I pragnął tego. To była najwyższa rozkosz.

54.

W Key West była piąta trzydzieści sierpniowego popołudnia. Dzień przebiegał według znanego wzorca. Najpierw przyjemne ciepło wczesnego ranka, potem narastający stopniowo upał i coraz wyższa wilgotność, aż do wieczornego przygasania. Amelia siedziała przy otwartym oknie swego pokoju w *Villa Encantanda* i patrzyła na fioletowe chmury, piętrzące się nad zatoką, podczas gdy ziemia czekała w zapierającej dech ciszy. Nie odzywał się ptak, nie szumiały owady, nawet wielkie szeleszczące liście palmy trwały w bezruchu. Około szóstej postrzępione fosforyzujące rozwidlenie błyskawicy rozcięło stojące nisko niebo. Jaskrawa, wijąca się niebieskość wpadła do zatoki i grzmot przetoczył się przez niebo. Belki *Villi Encantanda* odpowiedziały trzaskiem. Pierwsze ciężkie krople deszczu zasłoniły gniewne morze i już rozpoczęły wygrywanie werbli na dachu. Odbijały się na tarasie, wypływały strumyczkami z rynien, płynęły schodami i opadały ze wzgórza. Przypisana rytuałem wieczorna burza trwała godzinę, potem niemal natychmiast ustał deszcz, niebo zaczęło się przejaśniać, przedwieczne słońce ukazało się znowu, a nasycona wodą ziemia zaczęła parować w upale. Ptaki świergotały radośnie, owady podjęły przerwane dzieło, w lekkim odświeżonym powiewie zaszeleściły palmy. Po krótkiej chwili taras wysechł i znów wyszli na zewnątrz, by cieszyć się ochłodzonym powietrzem i zapachami z przemytego deszczem ogrodu. Usiedli zastanawiając się, czy zejść na kolację do St. James, czy też przyrządzić ryby,

które złowił Edward. Zupełnie dobrze im to szło; kiedyś Edward złapał nawet małego rekina, którego przewoźnik zabobonnie wrzucił z powrotem do wody.

Xara wydawała się zmęczona bardziej niż zwykle i Amelia patrzyła na nią z obawą. Siedziała w wielkim ratanowym fotelu ze stopami wspartymi na stoleczku; rozdęty brzuch ostatnich dni ciąży szpecił młodą kobietę. Xara była ogromna i nawet jej własne zdumione oczy nie mogły pojąć, jak jej ciało radzi sobie z coraz większymi potrzebami dwójki dzieci, które kopały i wierciły się niemal bez przerwy.

— Naprawdę nie jestem głodna, Amelio — powiedziała z uśmiechem. — Idź z Edwardem na kolację do hotelu, a wracając przynieście mi lody z mango.

W miejscowym barze z lodami znano ich dobrze. Nagła namiętność Xary do lodów mangowych i Amelii do czekoladowych z bezami stały się wieczornym zwyczajem niczym burza.

— Jesteś pewna, że wszystko w porządku? — spytał zatroskany Edward. — Wyglądała na bardzo zmęczoną i wiedział, że ma kłopoty ze snem. — A może zostaniemy tu z tobą? — powiedział i ucałował jej rękę. — Nie chciałbym zostawiać cię samej.

— Dobrze się czuję, Edwardzie... To po prostu ciąża. Z pewnością nie jestem chora. Poza tym lepiej śpię, kiedy cię tu nie ma.

— No dobrze, jeśli jesteś pewna. Chodź, Amelio, zafunduję ci największy stek w St. James.

Szli ze splecionymi ramionami piaszczystą ścieżką. Skręcając za róg, odwrócili się, by pomachać Xarze. Odpowiedziała im, wdzięczna niebiosom, że między nią a Amelią wszystko się wreszcie ułożyło. Z początku było trudno. Dopiero kiedy Amelia zrozumiała, że nic nie zagraża jej stosunkom z Edwardem, to chociaż nigdy nie pomyślała o niej jak o matce, zaprzyjaźniły się. Zamknęła oczy. Potrzebowała kilku godzin dla siebie. Wiedziała, że dzieci mają zamiar urodzić się tej nocy. Wiedziała to przez cały dzień.

Edward popijał wino i patrzył, jak Amelia pałaszuje stek. Nadal oscylowała między niepewną nastolatką a młodą damą, choć ostatnio, ku jego żalowi, znacznie częściej bywała młodą panną. Niezrozumiałe wygnanie Roberta na *fazendę* pozostawiło Amelię

zdezorientowaną i samotną i Xara zaproponowała, by zabrali ją do siebie na Florydę.

— Amelia będzie mi dotrzymywać towarzystwa, kiedy będziesz ślezał z architektami nad planami, czy też będziesz musiał udać się do Miami — stwierdziła.

— Edwardzie — Amelia przerwała jego rozmyślania. — Jak myślisz, dlaczego Roberto nie pisze do mnie?

Spojrzał w jej zmartwioną twarz i poczuł żal i bezradność ojca, którego córka przestała już być dzieckiem, a on nie może chronić jej przed ciosami życia. Pragnął przez moment, by nadal była beztroskim sześciolatkiem. Wszystko wtedy było takie proste.

— Nie jestem pewny, Amelio, zapewne ciężko pracuje.

Odłożyła nóż i widelec i wpatrzyła się w okno. Nie wiedziała, co zrobił Roberto, słyszała tylko, że nie wrócił do domu przez dwie noce, nie pokazał się nawet na ważnych egzaminach, a gdy wreszcie przyszedł do domu, wyglądał podobno okropnie. Nikt jej nic nie powiedział, ale z plotek wśród służby oraz strzępów rozmów między Izabellą i Edwardem, i Edwardem i Xarą złożyła sobie całą historię. Wynędzniały i chory przez tydzień nie wychodził z domu. Nie pozwolono jej zobaczyć się z nim, nie tylko zresztą jej, i jedyny raz w życiu widziała rozwścieczonego Francisco do Santosa. Luiza próbowała go uspokoić, wytłumaczyć, że to tylko szczeniacki wybryk, ale był nieugięty. Nie będzie europejskiego uniwersytetu dla Roberta. Nie stawiając się na egzamin, automatycznie go oblał. Został odesłany *na fazendę* na trzy miesiące, w czasie których ojciec miał przemyśleć, co z nim zrobić.

— Może pracować w polu z ludźmi — stwierdził. — Ciężka praca dobrze mu zrobi, będzie miał czas, by uporządkować sobie w głowie.

Ale Diego był na *fazendzie* również.

— To wszystko wina Diega Bonavente, mówię ci — powiedziała poważnie. — Cokolwiek się stało, to z jego powodu. On ma zły wpływ na Roberta. Ale ponieważ Teo Bonavente jest dobrym przyjacielem Francisco, wszyscy udają, że tego nie widzą. Diego to zły chłopak, Edwardzie. Ja to wiem.

— Jesteś pewna, Amelio, że to nie zazdrość przemawia przez ciebie? Zawsze uważałaś Roberta za swojego przyjaciela; chciałaś

byście byli tylko wy dwoje, razem. Mogło tak być, kiedy byliście dziećmi, ale teraz dorośliście. Wkrótce będziesz miała szesnaście lat, a Roberto ma osiemnaście. To już młody mężczyzna, musi wybrać w życiu swą własną drogę.

Odepchnęła niecierpliwie krzesło. Dlaczego nikt poza Sebastianem nie widzi, jaki zły jest Diego?

— Myślę, że on jest złym człowiekiem — powiedziała z pasją, a w piwnych oczach zadrgały łzy. — Wiem, że Roberto będzie miał własne życie, ale to wszystko dzieje się za sprawą Diega i pewna jestem, że to z powodu Diega nie pisze do mnie. Czy tego nie widzisz? Sebastian jest na uniwersytecie w Europie, ale przynajmniej pisze, opowiada mi różne rzeczy, dzieli się ze mną swoimi sprawami...

— Może masz rację, Amelio, ale Roberto wyjechał *nafazendę* i to jest jego kara. Nie wydaje mi się, by dobrze czuł się z Diegiem. Musimy poczekać na jego powrót, wtedy zobaczymy, co będzie. Chodź — powiedział, biorąc ją za rękę. — Popatrzmy na zachód słońca nad zatoką, a potem weźmiemy lody dla Xary. Założę się, że wiem, jaki smak wybierzesz.

— A ja założę się, że nie wiesz — odparła śmiejąc się.

— Czekoladowe z bezami.

— Nie — powiedziała, wsuwając mu rękę pod ramię. — Dzisiaj będą brzoskwiniowe. Bardzo lubię brzoskwiniowe.

Lody leżały zapomniane w rozpuszczającej się kałuży na kuchennym stole. Wrócili, by zobaczyć, że poród się zaczął.

— Moje dziewczynki są już w drodze — rzekł Edward z szerokim uśmiechem.

— Nasi chłopcy — poprawiła go miękko Xara.

— Chłopcy czy dziewczynki, będą szczęśliwy — oświadczył.

Amelia stała na tarasie z Edwardem, patrząc na mrugające pod nimi światła miasta. Zastanawiała się przedtem, jak będzie się czuła, kiedy nadejdzie ten moment i teraz już wiedziała. Słyszała krzyk Xary, to było straszne, przerażające. Nie dbała o nic, dzieci też jej nie obchodziły. Modliła się tylko, by z Xarą wszystko było w porządku.

Edward objął ją ramieniem, a ona odwróciła się do niego i wtuliła twarz w jego pierś.

— Wszystko będzie dobrze, Amelio — powiedział, gładząc ją po włosach. — Prosiła, by ci przekazać, że wszystko w porządku.

Vincente d'Aureville urodził się o trzeciej rano. Edward stał obok Xary, uśmiechając się do maleńkiej drobinki. Ich syna.

— Czy to nie najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałeś? — zamruczała dumna Xara.

— Najpiękniejsze — przytaknął. — A ty jesteś najśliczniejszą mamą. Kocham cię, Xaro. I jego też kocham.

— Poczekaj — ostrzegła go z uśmiechem. — Zatrzymaj trochę miłości dla Jeana-Paula, naszego drugiego.

Jean-Paul urodził się dokładnie w dwie godziny później i ważył pół kilograma mniej. Ale jest równie piękny i tak samo doskonały, myślała Amelia, patrząc na nich niepewnie.

Leżeli w podwójnej kołysce, a ich zmarszczone, zaczerwienione twarzyczki z oczami zaciśniętymi przed obcym, nieznanym światłem wyglądały jak jeszcze nie rozwinięte kwiaty. Byli równie wyczerpani jak ich matka. Niełatwa jest długa droga na świat.

— Xaro, są cudowni — mówiła i wstrzymując dech dotykała maleńkiej rączki, zachwycającej doskonałymi paznokietkami i przerażającej zarazem maleńkością. — Już ich kocham. Nie mogę się doczekać, by ich wziąć.

— Weźmiesz, kochanie, tylko się obudzą. Oni są także twoi. Są przecież twymi braćmi.

Amelia popatrzyła na dzieci z żalem. Xara jest miła, ale naprawdę są tylko jej kuzynami, nie braćmi. Spojrzała na wspartą na poduszkach Xarę. Była bardzo zmęczona, ale wyglądała ładnie w świeżej niebieskiej koszuli z zarzuconym na ramiona koronkowym szalem. Moja mama też musiała się tak czuć, kiedy się urodziłam, pomyślała. A mój ojciec stał pewnie przy kołysce i tak samo się mną zachwycał.

— Xaro — powiedziała, siadając na łóżku i ujmując jej rękę. — Powiedz mi, jakie to uczucie, kiedy się jest matką?

— Och, Amelio — młoda kobieta uśmiechnęła się do niej miękko. — Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to jest! To najcudowniejsze uczucie na świecie.

55.

Jechali srebrnym bentleyem do Paryża i Leonia milczała. Jest zbyt cicha, myślał Jim, manewrując wozem w nieoczekiwanych korkach na przedmieściach Tours. Wiedział, dlaczego.

Mieli za sobą cudowny, szczęśliwy dzień w *Chateau d'Aureville*: dzień sportu, rozdzielanie nagród oraz świętowanie urodzin. Urodzin Amelii. Gdy wyjeżdżali, dzieci otoczyły ich ciasno, całując i domagając się uścisków. Gdy Jim podał pudło z prezentami do rozdzielenia po ich wyjeździe, rozległy się nowe okrzyki zachwytu. Tak, to był dla nich wspaniały dzień.

Spojrzał ponownie na żonę. Wpatrywała się w drogę przed sobą, a jej gładkie czoło przecięte było bruzdą.

— No dobrze — powiedział, przyciskając pedał gazu, gdy dostali się na dobry kawałek prostej drogi. — Porozmawiajmy. O co chodzi?

Leonia wyprostowała się i spojrzała na niego. Mocny, interesujący profil. Patrzył przed siebie, kierownicę trzymał pewnie i zdecydowanie. Oczywiście, doskonale wie, o co chodzi, tylko chce ją zmusić, by o tym mówiła. Lepiej powiedzieć, powtarza zawsze. Nigdy więcej nie chowaj w sobie niczego. Rozmawiaj ze mną!

— Amelia skończyła dziś szesnaście lat — zaczęła. — Cały czas żyłam nadzieją, że któregoś dnia jakimś cudem znów ją zobaczę, ale z każdym rokiem te możliwości oddalają się coraz bardziej.

Jim zmarszczył brwi. Nadal nie udało mu się ustalić miejsca pobytu rudowłosego mordercy, ale nie tracił nadziei. Przeczesał południe Francji od granicy do granicy, ale tego człowieka po prostu tam nie było. Odpowiadano mu, że może wyjechał do Hiszpanii lub Włoch. Każda stocznia i każdy port zostały powiadomione, by w razie pojawienia się Marigny skontaktowano się z nim. Nic więcej nie można było zrobić.

Leonia nadal żyła w przeświadczeniu o nieustającym zagrożeniu ze strony hrabiego. Przetrzymał wypadek, który każdy inny przypłaciłby życiem lub co najmniej nieodwracalnym kalectwem, a on w ciągu roku był z powrotem u steru swego ogromnego królestwa.

De Courmont na nogach, których potrzaskane kości połączone były metalem, przemierzał Europę z energią, której mógłby mu pozazdrościć młodszy i sprawniejszy mężczyzna. Jednak z jednym już skończył. Nie szpiegował już Leonii. Po wypadku był zbyt chory, a później z jakiegoś powodu nie zostało to ponownie podjęte. Nadal jednak przysyłał jej kwiaty do teatrów, zawsze jaśmin. Czy kiedykolwiek z niej zrezygnuje? Jim nie był tego pewien. Biały jacht tkwił zawsze przycumowany w zatoce. Czy dowiedział się, że wyszła za męża? Czy o to chodzi? Niewielu ludzi wie. To była jedna z najlepiej strzeżonych we Francji tajemnic i Leonia stała się przy tym upierała. Tylko do momentu, gdy przestanie występować, mówiła. Cóż, to ostami rok. Potem będzie po prostu panią Jamieson, jego żoną i kochanką. Ale nie pozwoli, by straciła nadzieję na ujrzenie córki.

— Kiedy się pobieraliśmy, przyrzekłem ci, że znów zobaczysz Amelię, i pewnego dnia ją zobaczysz. Tylko daj mi czas.

Z westchnieniem odchyliła się z powrotem na poduszki oparcia.

— Poczekam — skinęła po prostu głową.

— Ubawiłem się dziś z twoimi dziećmi — zmienił temat. — Jesteś jak stara kobieta, która żyje w bucie, a twoje dzieci wychodzą drzwiami i oknami. Ale z pewnością cię kochają.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie.

— Pamiętasz wyraz twarzy małego André, kiedy usłyszał, że zdobył nagrodę? I ilości jedzenia, pochłaniane przez Geneviève?

Jim ma rację, ona ma czterdzieścioro dzieci, nie jedno. Ma też Jima. Nawet kiedy był zajęty, kiedy często wyjeżdżał do Nowego Jorku, by zajmować się swoimi rozlicznymi interesami, zawsze był

na miejscu, gdy go potrzebowała. Gdy wyjeżdżał, nigdy nie czuła się porzucona czy samotna tak jak wtedy, gdy wyjeżdżał monsieur. Dni miała pracowite i wypełnione radością oczekiwania na jego powrót. Była szczęśliwa, pewna jego miłości.

— Zdamy do teatru — powiedział, spoglądając na zegar. Nie miała wątpliwości. Jim zawsze się o nią troszczy.

U *Voisina* było tłoczno jak zwykle, ale Gerard de Courmont nie miał trudności ze znalezieniem stolika dla ich trójki.

— Jak ty to robisz? — zdumiewał się Sebastião, gdy szli za *maitre d'hôtel* przez pełną salę.

— To nie moja zasługa — szepnął Gerard — tylko mojego ojca. Od lat tu przychodzi.

Agneta Lofgren usiadła na krześle, które jej podsunął, i rozejrzała się wokół zaskoczona. Miejsce było znacznie wspanialsze, niż przypuszczała, gdy ją zapraszali na pożegnalną kolację. Przez lata wspólnych studiów nie brali jej nigdzie poza bistro i kawiarniami.

— Mam nadzieję, że stać was na to — rzekła podejrzliwie.

Olbrzymia karta nie pokazywała cen, jakby pieniądze były zbyt wulgarną kwestią, by o nich mówić.

Sebastião obejrzał salę z uznaniem. To rzeczywiście dobry wybór. Gerardowi można zaufać. Zawsze wie, gdzie znaleźć to co najlepsze, choć przypuszczał, że mając takiego ojca, musiał odbyć dobrą praktykę. Pomimo wielkości sali panował tu intymny nastrój; było to miejsce dla kochanków, jak choćby tych dwoje przy stole obok. Mężczyzna nie odrywa wzroku od kobiety. Trzymają się za ręce pod stołem i on co chwila gładzi jej nagie ramię. Trzeba przyznać, że ramię jest śliczne. Kobieta ma również piękne włosy. Miedzianoblond burza. Podobały mu się. Szkoda tylko, że nie może zobaczyć jej twarzy, gdyż siedzi do niego plecami, ale mógłby się założyć, że jest piękna.

— Widzę, że patrzysz na Leonie — odezwał się Gerard. — Nie dziwię ci się.

— Leonia? To ona? Widziałem ją tylko na scenie, pewnie wygląda zupełnie inaczej.

— I tak jest — rzekł Gerard cicho. — Wiem to dobrze.

Sebastiao i Agneta spojrzeli na niego z zaciekawieni.

— To ty ją znasz?

— Niezupełnie, ale panowała nad całym moim dzieciństwem. Z oddalenia, oczywiście. Można powiedzieć, że zmieniła losy de Courmontów.

— Ale w jaki sposób, Gerardzie? — zapaliła się Agneta.

— Leonia była kochanką mojego ojca. Był nią opętany. Z tego co wiem, nic się nie zmieniło.

Sebastiao patrzył zdumiony na Leonię. A więc jest także *femme fatale*, nie tylko wielką pieśniarką. Mężczyzna, z którym siedzi, musi być jej najnowszym kochankiem. Jak też może wyglądać taka *femme fatale*?

— Czy nadal jest jego kochanką? — wyszeptała Agneta.

— Nie, oczywiście, ale wciąż jest bardzo piękna.

Sebastiao spojrział ponownie na kobietę. Wysoka, bardzo szczupła, ubrana była w przejrzystą srebrną suknię, bynajmniej nie skromną. Przynajmniej tak wyglądała z tyłu.

Jim popatrzył po sali. Młodzi ludzie obok najwyraźniej dobrze spędzają czas; dwaj młodzi mężczyźni i ładna dziewczyna. Jeden z młodzieńców był najwyraźniej porażony widokiem Leonii.

— Zdaje się, że przy sąsiednim stole masz gorącego wielbiciela — powiedział z lekkim uśmiechem, gdy pochwycił spojrzenie młodego człowieka.

— Naprawdę?

Odwróciła się. Młodzi ludzie dobrze się bawią. Jak cudownie mieć tak nieskomplikowaną młodość, a nie wiecznie walczyć. Napotkała zaszokowane spojrzenie młodego blondyna i uśmiechnęła się zaskoczona. Wielkie nieba, czy takie na nich wywiera wrażenie? Był tak zadziwiony, że musiała się do niego uśmiechnąć. Odwróciła się do Jima przepraszająco.

— Widzisz, kochanie, w przyszłym roku o tej porze nikt nawet mnie nie rozpozna. Może nawet nie będą mnie pamiętać. Jeszcze kilka występów i będę należeć tylko do ciebie.

Sebastiao położył dłoń na ramieniu Gerarda.

— Gerard — odezwał się podniecony. — To niesamowite!

— Co takiego? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. Co się stało?

— Leonia — wyszeptał. — Ta Leonia... Ona wygląda jak moja kuzynka Amelia.

— No to masz szczęście, chłopie.

— Ależ nie, nie rozumiesz—nie ustępował. —Leonია wygląda dokładnie tak jak ona. Mogłyby być siostrami!

Agneta i Gerard spojrzeli na niego zdumieni.

— Mówię wam — powtórzył Sebastiao. — Amelia to jej odbicie. To niesamowite!

— Różne rzeczy się zdarzają — szepnęła Agneta. — Słyszałam już o równie dziwnych przypadkach.

Sebastiao wypił łyk szampana. Patrzył na Leonię. Tamci już wychodzili. Wiktor pospieszył do nich, by osobiście przytrzymać jej krzesło. Gdy mu dziękowała, usłyszał brzmienie niskiego, melodyjnego głosu. Czekał, musiał zobaczyć ją raz jeszcze. Leonia wsunęła torebkę pod pachę i odwróciła się. Uśmiechnęła się bezpośrednio do niego; piwne oczy z owym szczególnym figlarnym błyskiem, który tak dobrze znał i ten sam szeroki, koralowy uśmiech. Skinęła im uprzejmie głową i popłynęła przez salę, obdarzając uśmiechami oczarowanych gości, którzy odwracali się, pragnąc na nią popatrzeć.

— To Amelia — powiedział Sebastiao do Gerarda, a w jego głosie brzmiało niedowierzanie. — Mówię ci, Gerardzie, to jest Amelia!

56.

Roberto do Santos uczesał się starannie i popatrzył uważnie na swoje odbicie. Nie podobało mu się to, co widział. Wizerunek w lustrze sprawiał dobre wrażenie — niebieskooki blondyn, opalony i wysportowany, trzeźwy a zarazem zapalony młody biznesmen pracujący z Edwardem nad nieskończoną ilością szczegółów budowy hotelu na Florydzie. Ale on widział też to, co kryło się głębiej. A inni? Czy oni też to dostrzegają? Zwłaszcza Sebastiao. Brat znał go dobrze, wyczuwał kiedy sprawy miały się źle. Sebastiao chciał się dowiedzieć, dlaczego nie pojawił się na egzaminie, a jego kuśiło, by zwierzyć mu się z tego, co się naprawdę stało. Ale nie mógł. Nie teraz. Minęło kilka miesięcy. Sprawy posuwały się zbyt szybko. Wciąż pragnał tego innego, mrocznego świata Diega. Włóczenia się po kafejkach i burdelach, gdzie kobiety o pustych oczach i ostentacyjnie obnażonych ciałach stanowiły dla nich obietnicę spełnienia wszystkich pragnień; po barach, gdzie nerwowi mężczyźni targowali się chyłkiem o względy młodych chłopców, oraz po obskurnych kawiarniach, gdzie spotykało się drobnych handlarzy narkotyków, wszelkich wyrzutków społeczeństwa i innych, tak jak oni niesionych prądem nocnego życia ludzi. Nie mógł żyć bez Diega. Potrzebował go. Na wspomnienie tamtej nocy w burdelu zalewała go fala gorąca. Diego traktował całą sprawę zdawkowo. Zdarza się, powiedział, kiedy znajdzie się grupka, która będzie to robić tak jak wtedy. To tylko seks. Czy rzeczywiście? Roberta nieustannie dręczyło to

pytanie. Nigdy już się to nie powtórzyło, a jego nie ciągnęło do uprawiania seksu z mężczyznami, których spotykali w klubach dla homoseksualistów, choć często był o to molestowany. Nie, to po prostu Diego. Patrzył zrozpaczony w swoje czyste, opalone, bez-troskie odbicie w lustrze. To perwersyjna, zwichrowana miłość, ale wiedział, że kocha Diega Bonavente.

Cofająca się fala utwardziła i schłodziła piasek, i konie galopowały radośnie płaską plażą Ipanemy w chłodzie wczesnego poranka. Sebastião zwolnił i obejrzał się na Amelię. Prowadziła konia linią przybrzeżnych fal około stu metrów za nim. Zatrzymał się. Jechała na oklep i długie nogi wystające ze starych szortów trzymały konia z niewymuszoną władzą. Patrzył na jej włosy powiewające na wietrze i myślał, że wygląda niczym dumna postać na przodzie starego galeonu. Jedno było pewne — młodziutkie dziewczątko, które widział, gdy ostatni raz był w Rio, dorosło. Nadal naiwna i niewinna, nadal impulsywna i mówiąca wszystko prosto z mostu, zdobyła nową dojrzałość i mając szesnaście lat stała się piękną młodą dziewczyną. A on ją kochał. Zawsze ją kochał, ale teraz to coś innego. Teraz pragnął wyciskać pocałunki na pełnych koralowych wargach, pragnął trzymać ją w ramionach i czuć bicie jej serca, pragnął pieścić i koić z miłością. Teraz był w niej zakochany. Kiedy będzie miała osiemnaście lat, oświadczy się jej. Na razie traktuje go jak najlepszego przyjaciela; jest jej powiernikiem, koi jej lęki i jest świadkiem jej codziennego życia. Znał jej duszę tak głęboko, jak pragnął poznać jej ciało. Wiedział, że jest zakochana w Robercie, był jednak pewien, że jej to przejdzie. Tych dwoje połączyło życie, gdy byli maleńkimi dziećmi; to po prostu zażyłość i pokrewieństwo. Nie wyszła jeszcze w świat, nie spotkała innych mężczyzn.

— Sebastião — wykrzyknęła, puszczając konia na twardy piasek obok niego. — Zgłodniałam, a ty? Chodźmy na śniadanie w *churrascaria* w *Barra de Tijuca*.

Popatrzył badawczo w ołowiane niebo.

— Myśle", że powinniśmy wracać. Szykuje się burza.

— Zdażymy — odparła niepoprawna optymistka.

Dobrze jej było. Cudownie móc wybrać się z kimś na konną przejażdżkę. Roberto nigdy tego ostatnio nie robił. Zawsze jest albo zbyt zajęty, albo zbyt zmęczony. Nie chciała o nim myśleć. Zbyt dobrze czuła się teraz w towarzystwie Sebastião, by pozwolić, aby cokolwiek to zakłóciło. Przechyliła się nad końskim grzbietem i wzięła go za rękę.

— Opowiedz mi o Paryżu — poprosiła. — Wciąż próbuję namówić babcię, by mnie tam zabrała, ale jak dotąd nie udaje mi się. Czy ona wyobraża sobie, że mi się tam coś stanie? Czy to naprawdę takie grzeszne miasto, Sebastião? Tylko wódka i szampań, i pełne napięcia gry o wielkie stawki między czarującymi, podstępными, znającymi życie mężczyznami a luksusowymi, ekstrawaganckimi obwieszonymi biżuterią kobietami w jedwabiach.

— Oczywiście, że tak — potwierdził kpiąco. — Jak myślisz, dlaczego tak długo tam siedziałem?

Zachichotała.

— W takim razie muszę się tam szybko wybrać. Brzmi to wspaniale. Czy możesz sobie wyobrazić mnie jako jedną z tych kobiet, jak spowita w gronostaje flirtując z królami i książętami? Och Sebastião, dlaczego ona nie chce mnie tam zabrać? To nie jest w porządku! Poza tym ja się tam urodziłam — to moja ojczyzna. Przecież tam są nasi krewni, inni d'Aureville'owi i dawni przyjaciele babci... Powinna tam pojechać i odwiedzić ich.

Słowa Amelii przeniosły go do ciepłej przytulności *Voisina*. Zobaczył zjawisko w przejrzystym szyfonie. Kobietę z oczami Amelii i z jej włosami. Ona *musi* być d'Aureville.

— Możesz uznać to za dziwaczne — rzekł — ale widziałem w Paryżu kobietę, która może być twoją krewną. Wyglądasz dokładnie tak jak ona. Kusilo mnie, by ją zaczepić, zapytać, gdyż wasze podobieństwo było tak uderzające, że chyba musi należeć do d'Aureville'ów. Ale jest taka sławna, że nie chciałem mieszać się w jej prywatne życie.

— Sławna? Więc mamy we Francji sławnych krewnych? Ależ, Sebastião, to fantastyczne! Dlaczego jest sławna, co ona robi?

— Jest pieśniarką. Ma swój własny styl, własny sposób śpiewania popularnych pieśni. Ma zdecydowanie inny wygląd, bardzo egzotyczny.

Amelia odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

— To zupełnie inaczej niż ja. We mnie nie ma nic egzotycznego.

— Mówię ci, Amelio, że ona mogłaby być tobą. Poza tym, oczywiście, że jest od ciebie starsza. Jest bardzo piękna, nawet jeśli ma tyle lat, że mogłaby być twoją matką.

— Sebastiao, jaki ty jesteś romantyczny! Mam nadzieję, że kiedy będę starsza, ktoś też powie o mnie *ona jest wciąż bardzo piękna*. — Odrzuciła włosy i podniosła brodę wyzywająco. — Będę tak wyglądać, kiedy będę troszkę bardziej *doświadczona*.

— Właśnie — zaśmiał się. — Tak właśnie wygląda Leonia.

Amelia rozwarła szeroko oczy zaskoczona.

— Jak powiedziałeś?

— Leonia, piękna pieśniarka...

— Ma na imię Leonia?

— Tak. Chyba nie ma nawet nazwiska. Znana jest po prostu jako Leonia. Może rodzina d'Aureville wyrzekła się jej, gdy wkroczyła na występną drogę sceny?

Amelia ściągnęła wodze i spojrzała na niego badawczo. Leonia, która wygląda dokładnie tak jak ona. Tak powiedział. I ma tyle lat, że mogłaby być jej matką... To z pewnością coś więcej niż tylko zwykły zbieg okoliczności. Nie wiedziała, czy naprawdę chce usłyszeć odpowiedź, ale musiała zapytać.

— Czy ona naprawdę wygląda tak jak ja... To znaczy, czy *naprawdę*? Czy nie wypileś po prostu trochę wina, ona miała jasne włosy tak jak ja i była piękna, a ty byłeś w romantycznym nastroju?

Powiedziała to z tak nieoczekiwaną powagą, że zdumiało go to.

— Nie — odparł. — Niczego takiego nie było. Była tak do ciebie podobna, że wpadłem wprost w osłupienie.

— Sebastiao, wszystko niemal, czego dowiedziałam się o mojej matce, jedyna pewna rzecz, jaką mi o niej powiedziano, to to, że wyglądałam dokładnie tak jak ona i że miała na imię Leonia. Nie wyglądałam tak jak ludzie z rodziny d'Aureville, nie jestem podobna ani do ojca, ani do Edwarda... Wyglądałam tak jak moja matka!

Co ona ma na myśli? Że Leonia to jej matka?

— Twoja matka nie żyje, zginęła w wypadku na łodzi, kiedy byłaś maleńkim dzieckiem. Przecież wiesz o tym.

— Ja tego nie wiem, Sebastiao! Wiem tylko to, co mi powiedzieli. Och, ty nic nie rozumiesz! Nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się nic o niej nie wie. Zawsze była tajemnicą; sekret,

kórego nikt nie chce zdradzić. Sebastiao, czy to możliwe, że ona żyje, a oni nie chcą, abym o tym wiedziała?

O mój Boże, co też ja jej podsunąłem, pomyślał przestraszony Sebastiao. Nie powinienem był w ogóle tego mówić! To przecież nie może być prawda; ona po prostu zawsze tak tęskniła za matką. Co ja powiedziałem? Mogłaby być twoją matką? Co za głupiec, co za idiota ze mnie!

— Amelio, to na pewno nieprawda!

— Moja matka miała na imię Leonia, a- ja jestem do niej podobna. To jest prawda, Sebastiao! Może miałeś rację, może d'Aureville'owie nienawidzą ją za to, że występuje; może uznali, że nie jest ich godna. Może mój ojciec uciekł z nią. Och, nie wiem, ale dowiem się wszystkiego.

Zawróciła konia i puściła go galopem.

Dogonił ją i razem jechali do domu.

— Co masz zamiar zrobić? — zawołał, przekrzykując wiatr.

Amelia spojrzała na niego triumfalnie.

— Zapytam Edwarda — odchrząknęła. — Chcę wiedzieć, czy moja matka żyje.

Edward złożył starannie gazetę i nalał sobie drugą filiżankę kawy. Koty Amelii przycisnęły się pod stołem w nadziei, że jak zawsze dostaną od Xary jakiś kasek, choć Edward zabraniał jej to robić.

— Mają takie urocze ząbki — powiedziała pobłażliwie. — Popatrz, uwielbiają melona; zobacz, jak oblizują sok.

Zaskoczeni podnieśli głowy, gdy drzwi otworzyły się na całą szerokość i wpadła Amelia. Bosa, potargana, prosto ze stajni, gdzie zostawiła Sebastiao, który miał zająć się końmi.

— Muszę z tobą pomówić, Edwardzie — powiedziała stanowczo.

— Czy coś się stało? — spytał zdziwiony jej tonem.

— Muszę pomówić z tobą *na osobności*.

— Ależ jesteśmy na osobności. — Uśmiechnął się do niej. — Tylko my troje, no i koty, oczywiście.

Xara dostrzegła drżące w jej oczach łzy.

— Idź z nią, Edwardzie — poparła dziewczynę. — Widocznie potrzebuje być tylko z tobą.

Amelia wybrała drogę za dom, potem przez ogród, prowadząc instynktownie na szeroką przestrzeń plaży, gdzie tylko ocean mógł ich podслуchać.

Piętrzące się chmury mknęły w porywach wiatru i niebo straciło nagle całe swe światło. Morze z zielonego zmieniło się w szaroniebieskie, cętkowane bielą. Edward podniósł kamyk i cisnął przez fale, patrząc jak wpada z chlupnięciem w głębinę. Czekał aż Amelia zacznie mówić. Co Roberto zrobił tym razem? Za bardzo się nim przejmuj. Powinna chodzić na przyjęcia, spotykać innych młodych ludzi. Jest już dość dorosła.

— A więc, Amelio — zaczął miękko — masz kłopoty?

— Edwardzie, kim jest Leonia?

Spojrzał na nią oniemiały.

— Dlaczego o to pytasz? Leonia była twoją matką, oczywiście.

Amelia przysunęła się bliżej i niecierpliwie odgarnęła włosy z oczu. Serce jej biło gwałtownie. Czy powinna zapytać? Pytała przecież przez te wszystkie lata, a on ją okłamywał. Nigdy więcej nie będzie mogła mu zaufać. Ani jemu, ani babci. A jeśli to prawda, a na pewno tak, w takim razie ona ma matkę, jej matka żyje. Musi się dowiedzieć.

— I to ta sama Leonia, ta sławna? Pieśniarka z Paryża, która wygląda dokładnie tak jak ja?

Edward miał wrażenie, że jego serce zapada się jak kamyk w wodzie. Oczekiwał jakiejś historyjki o tym, jaki podły był dla niej Roberto, a ona zadała mu to pytanie. Skąd się dowiedziała? To mógł być tylko Sebastiao. Co ma teraz zrobić? Co jej powiedzieć? Patrzyła na niego wyczekująco, a w piwnych oczach czytał oskarżenie.

— Edwardzie, muszę wiedzieć — nie rezygnowała.

— Tak. — Skinął głową z westchnieniem. — To twoja matka.

Nie potrafiła opanować przepływającego przez nią falami drżenia.

— Dlaczego mnie okłamałeś? — zakrzyzczała. — Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mi powiedziałeś, że ona nie żyje?

Wiatr porwał jej słowa i poniósł ich echo przez załamujące się fale, aż znikły w nich z westchnieniem.

Edward objął dziewczynę ramieniem.

— Amelio, to wszystko jest takie trudne; musieliśmy ci tak właśnie powiedzieć. Zmuszeni byliśmy to zrobić dla twojego

bezpieczeństwa. Leonia nas o to prosiła, kiedy oddawała nam ciebie, byśmy się tobą zaopiekowali.

Odepchnęła go gwałtownie.

— Oddała mnie... wam? — krzyczała przez wiatr. — Dlaczego? Nie chciała mnie?

— Ależ tak, oczywiście, że cię chciała. Ale nie mogła cię zatrzymać. To długa historia, Amelio.

— A mój ojciec... Czy też gdzieś żyje, ukryty przede mną?

— Nie! Twój ojciec zginął w wypadku. To prawda. — Patrzył na nią z obawą. Twarz miała szarą, cała się trzęsła. — Chodź, kochanie, wracajmy do domu. Chodź do domu.

— Nie. Nie wytrzymam w zamknięciu... Muszę zostać tutaj.

Rozrzuciła szeroko ramiona i patrzyła przez lzy na dzikie, szalejące morze. Wspomniała czułość Xary do jej nowo narodzonych dzieci. Jej matka ją porzuciła, oddała.

— Jak ona mogła, Edwardzie? — wykrzyknęła, łamiąc się w jego ramionach. — Jak mogła mnie opuścić? Czy nie wiedziała, czym to dla mnie będzie? Inni ludzie mają matki, które je kochają, chcą ich... W czym ja byłam gorsza?

Delikatnie wytarł palcem lzy z jej oczu. Co ma jej powiedzieć? Ile z całej historii spreparować, by oszczędzić jej bólu? Nie może powiedzieć, że jej ojciec został zamordowany. Tego nigdy jej nie powie.

— Chodź, małeńka — rzekł miękko. — Pospacerujemy i wszystko ci wyjaśnię. Ale musisz pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, twoja matka kochała cię. Widziałem, jak trzymała cię w ramionach. Nigdy w to nie wątp. Właśnie dlatego, że cię kochała, dała ciebie nam — twojej babci i bratu twojego ojca. Po drugie, choć jesteś jeszcze bardzo młoda, musisz spróbować zrozumieć pewne bardzo złożone sprawy między dorosłymi. Będzie to dla ciebie trudne, ale musisz się postarać.

Szli powoli plażą w narastającym przygnębieniu.

— Od czego mam zacząć — zastanowił się głośno. — Tak, myślę, że wszystko zaczyna się od Leonii.

To była historia, którą opowiedziała mu tamtego wieczoru nad rzeką. Historia biednego dzieciństwa, zagmatwanego związku z tajemniczym „monsieur”, wreszcie przekazania im dziecka w opiekę, gdy była przekonana, że to jedyny sposób uratowania życia córce.

— Wiedziała — kończył — że będziesz miała dobre życie, lepsze niż to, które mogłaby ci dać sama. Serce jej pękało, Amelio d'Aureville, kiedy złożyła ciebie, swoje dziecko, w ramiona babci i pocałowała po raz ostatni. To blizna, którą będzie nosić zawsze.

Amelia chwyciła go za rękę. Z całych sił starała się zrozumieć i objąć brakujące fragmenty jej życia.

Edward skończył opowiadanie i zapadła cisza, przerywana jedynie loskotem przybrzeżnych fal. Zaczęło padać. Ciężkie krople bębniły w morze, rozbijając gładką powierzchnię wody. Stali przemoknięci, niepomni na burzę, owładnięci wspomnieniami przeszłości.

— Rzeczywiście jesteś do niej podobna — odezwał się wreszcie Edward. — Z każdym rokiem bardziej. — Odgarnął mokre włosy z jej twarzy. — Włosy masz takie same — powiedział załamującym się głosem. Amelia wtuliła się mocniej w jego objęcia. Stali tak przytuleni, a deszcz mieszał się z łzami na ich twarzach.

— Muszę ją zobaczyć, Edwardzie. Przecież to rozumiesz, prawda? — mówiła stłumionym głosem w jego pierś. — Jest moja matką.

— Ale Amelio, po tylu latach... Ona nie chciała, abyś wiedziała. Czy tak będzie dobrze?

— Czy nie rozumiesz, że teraz, kiedy wiem, że mam matkę, muszę ją poznać, aby się dowiedzieć, kim naprawdę jestem!

Patrzył na malującą się na jej twarzy determinację i zdawał sobie sprawę, że bez względu na przeszkody zamierza odszukać matkę. Czy ma jej pozwolić na wyjazd do Francji? Teraz to już z pewnością bezpieczne. Po tylu latach... Poza tym ona ma prawo.

— Dobrze — powiedział, całując ją delikatnie. — Pojedziemy najszybciej jak się da.

— Och Edwardzie, dziękuję ci. — Przytulili się do niego z westchnieniem.

— Chodź, całkiem przemokliśmy. Wracamy, musimy poczynić przygotowania.

Biegli przez plażę z powrotem do ciepła i bezpieczeństwa *Villi d'Aureville*.

Diego wślizgnął się przez bramę hotelu. Nie był tu pożądanym gościem i wiedział o tym, ale szukał Roberta. Nie widział go już cały tydzień, a wiedział, że nie ma go w domu, ponieważ stamtąd zaczął poszukiwania. Ogród był pusty, stajnie też, przeszedł więc obok zacienionego tarasu. Na stole stała pusta szklanka, na fotelu otwarta książka, ale nikogo w pobliżu nie było. Wszedł do otwartych zapraszająco drzwi. Obrzucił spojrzeniem hall, oceniając rozmieszczone na wypolerowanych skrzyniach drobiazgi. Pośrodku, na okrągłym stole z różanego drzewa obok wazy z kwiatami leżała złota papierośnica Edwarda. Wsunął ją cicho do kieszeni i wycofał się. Był zadowolony. Warta jest co nieco. Jeśli nawet Roberta tu nie ma, wyprawa nie okazała się daremna.

Omijając biegnące pod oknami ścieżki, przemknął przez ogród do *Pavillonu* i przez kuchenne drzwi wszedł do środka. Na wielkich kuchniach parowały czajniki, z pieca wynoszono pryskające tłuszczem mięsa. Wciągnął z przyjemnością cudowne zapachy. Nie miałby nic przeciwko zjedzeniu tu obiadu. Dlaczego Roberto nigdy go nie zaprosił?

Niepostrzeżenie wyslizgnął się z kuchni na korytarz, gdzie mieściło się niewielkie biuro. Mógłby przysiąc, że trzymają tu pieniądze. Ponieważ wszyscy się znają, muszą sobie ufać. Z pewnością część pozostawiają na wierzchu. Co za głupcy! Wyszczerył zęby i ruszył korytarzem, stawiając cicho stopy. Drzwi były lekko uchylone i ze środka dobiegły go głosy. Mówił Edward.

— Widzisz, maman, to chyba najlepsze, co możemy zrobić. Jeśli nie pozwolimy Amelii jechać do Paryża, by spotkała się z matką, znajdzie sposób, by to zrobić później. I zrobi to sama. Tak będzie bezpieczniej.

Zdumiony Diego wstrzymał oddech.

— Monsieur nie jest już z pewnością dla niej zagrożeniem. To już tak dawno — rzekła Izabella.

Edward przypomniał sobie strach w oczach Leonii, gdy mówiła o tym mężczyźnie i o niebezpieczeństwie grożącym Amelii. Mówiła, że zabije dziecko w swej niepohamowanej zazdrości. Ale to było szesnaście lat temu. Maman ma rację. Zagrożenie z pewnością osłabło. Jaki mężczyzna będzie tak długo pielęgnował w sobie namietność? Leonia powiedziała, że jest zdolny do wszystkiego, ale wtedy była taka młoda i bezbronna, no i musiała chronić dziecko.

— Masz rację, maman, upłynęło wiele czasu. Teraz Amelia ma matkę, która jest sławną kobietą, znakomitością... Powiedziałem jej *prawie* wszystko... o Charlesie i o zagrożeniu, jakie stanowił dla niej monsieur. Nie chciałem, by pozostała w przeświadczeniu, że Leonia ją porzuciła. Ma prawo spotkać się z matką. Nie możemy dłużej trzymać ich w oddaleniu od siebie. Chciałbym, abyś ją zabrała, maman... W Paryżu będzie potrzebowała pomocy kobiety, nie mojej.

Na korytarzu zaszemrały ciche pośpieszne kroki. Diego wślizgnął się z powrotem do kuchni, a stamtąd wyszedł do ogrodu. Wyszedł przez bramę na *Avenida Atlántica* i z rękami w kieszeniach ruszył piaszczystą drogą. Uśmiechnął się. A więc jest jakaś matka! Jakaś tajemnicza postać, znakomitość z przeszłością! I jeszcze stanowiący zagrożenie *monsieur*. No, no! Pójdzie o zakład, że niewielu ludzi wie o nagłym zdobyciu matki przez Amelię. Nigdy nie wiadomo, kiedy takie informacje się przydadzą.

Sebastian patrzył na brata.

— Jak mam rozumieć to, że nie chcesz jechać? — nie ustępował. — Jak możesz odmawiać, Roberto? Wiesz, ile twoje poparcie znaczy dla Amelii.

— To nie to, że nie chcę jechać — tłumaczył się mętnie Roberto, unikając oczu brata. — Ja po prostu... no, powinienem tu zostać. Jest przecież robota.

Nawet dla jego własnych uszu słowa te zabrzmiały pusto, a poza tym on także chciał jechać do Francji i być z Amelią. Ona się boi i powinien tam z nią być, by jej pomóc. Ale Diego zagroził mu, że jeśli wyjedzie, powie jej wszystko. Był to szantaż i Roberto doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nagle Amelia i zwykle, porządne życie, jakie sobą reprezentowała, wydały mu się nieskończenie upragnione. Dałby wiele, by tamto nigdy się nie wydarzyło, by nigdy nie poznał *Hotel Orfeo* i rozkoszy tamtego życia. Ale tamto stało się już jego częścią. To także jest jego życie, przypominał mu wewnętrzny głos.

— Pojadę z wami — rzekł nieoczekiwanie. — Naprawdę chcę jechać, Sebastian. Wiem, że potrzebne jej nasze wsparcie.

— Więc dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? — Sebastiao zirytował się. — Powinieneś oszczędzać nam zbędnych kłopotów. — Popatrzył na młodszego brata ze znużeniem. — Może byś powiedział jednak, o co chodzi. Dlaczego tak trudno się z tobą dzisiaj rozmawia?

Roberto wzruszył ramionami i odwrócił się, by brat nie dostrzegł malującego się w jego oczach strachu. Zrobi to, pojedzie. Sprowokował Diega i jeśli Diego powie, będzie musiał stawić czoło całej tej sprawie. Ale sam nie jest w stanie powiedzieć Sebastiao. On nie.

57.

Pomocnik Gillesa de Courmonta poderwał się i otworzył drzwi przed pracodawcą.

— Dziś wieczorem już mnie nie będzie, Satere — obwieścił hrabia, ruszając przez wielkie biuro Kompanii Automobilowej de Courmonta.

Satere odprowadził go wzrokiem ze zdumieniem. Zazwyczaj pracował do dziesiątej, jedenastej w nocy, a rano przychodził wcześniej niż ktokolwiek z pracowników. Spędzał w biurze tyle czasu, że Satere zastanawiał się, czy szef ma w ogóle jakieś życie osobiste. Może dzisiejszego wieczoru czeka na niego kobieta? Satere uśmiechnął się.

— Cholera — warknął Gilles, gdy ból przeszył mu kolano. — Dlaczego to się nie kończy?

Przypomniawszy sobie długie miesiące w szpitalu, kiedy powiedziano mu, że nie będzie już nigdy chodził. Przypomniawszy sobie rozpacz, którą wtedy przeżywał. Jak walczył z bólem przy ćwiczeniach z przywiązanymi do stóp ciężarkami i zmuszał się, by podnieść się z łóżka i znowu stanąć na nogach. Jak przekonywał lekarzy, że musi to zrobić i że to robi. Ale oddałby obie nogi za życie Armanda, choć bez nóg wolałby nie żyć.

Przemyslał wszystko. Tylko jedna rzecz mu pozostała: chciał znowu zobaczyć Leonie. Nie mógł znieść myśli, że mógłby umrzeć i nie zobaczyć jej.

Hoskins poderwał się, by otworzyć drzwi granatowej limuzyny.

— Przepraszam, sir. Nie wiedziałem, że wychodzi pan wcześniej — rzekł usprawiedliwiając się.

— Powiniennem był cię uprzedzić. — Hrabia spojrział na zegarek. — Najpierw *Ile Saint-Louis*, potem wyjeżdżam o siódmej do teatru. Sam będę prowadził.

— Tak, sir.

Pożegnalny występ Leonii. Nie może go przepuścić.

Garderoba Leonii była pełna kwiatów; wylewały się na korytarz i szare ściany upstrzone były plamami kolorów niczym wielka wystawa kwiatowa.

— Ludzie, to miło, że ją przyjmujecie, kochacie, uwielbiacie; powiedzcie, czego chcecie? — Jim skłaniał się z namaszczeniem przed kolejnymi bukietami, gdy szli do jej pokoju. — Ale cóż, pani Jamieson nie potrzebuje więcej kwiatów. Będę jedynym człowiekiem, któremu wolno będzie kupować jej kwiaty. Dziękuję, dziękuję.

— Radosny jesteś, kochanie — powiedziała, gdy wpadł do pokoju ze śmiechem.

— To tylko mój własny głupi żart — odparł, całując ją głośno. — Jak się czujesz, będąc prawie zwyczajną panią Jamieson?

— Dopóki nie skończy się występ, nawet nie mam zamiaru o tym myśleć — powiedziała twardo. — Jeśli sobie na to pozwolę, nigdy mi się nie uda. Po prostu chcę iść do domu z tobą i zwinąć się na łóżku.

— To właśnie, najdroższa, będziemy robić po twoim występie... Zwiniesz się ze mną i morzem *Roederer Cristal*. Dla sławnej gwiazdy wszystko co najlepsze!

— Och Jim, jesteś wariat. — Śmiejąc się odchyliła głowę, by umalować oko. — Jak wygląda sytuacja?

— Ludzie walą stadami, wszystko będzie wypełnione, handlarze na ulicy żądają pięć razy tyle co w kasie. I dostają!

— Zobacz jaką kopalnię złota zamykasz — rzuciła kpiąco. — Tam ludzie się dorabiają, a ty się z tego wyśmiewasz.

— Ty jesteś wystarczająco bogata. Więcej pieniędzy ci nie potrzeba, poza tym są łatwiejsze sposoby zarabiania. Przekonasz

się — uprzedził ją — mam zamiar zrobić z ciebie rekina finansowego.

— Myślę, że będę po prostu zwykłą panią Jamieson — przypomniała mu jego słowa, po czym wstała i zrzuciła kimono.

— Och, pani Jamieson — rzekł miękko, gdy uśmiechnęła się do niego kusząco, ubrana tylko w pantofle na wysokich obcasach. — Pani nigdy w niczym nie będzie zwyczajna.

Podeszła do niego i wtuliła się w jego otwarte ramiona. Uwielbiała czuć przy sobie jego mocne ciało. Całował ją zgłodniały.

— Rozmazujesz mi makijaż — mruzczała z zamkniętymi oczami.

— Leonio — powiedział. — Dzięki Bogu, to ostami wieczór!

Amelia uznała Paryż za najbardziej romantyczne miasto świata. To nie miejsce, które powoli zdobywa sympatię człowieka. Ona pokochała je od pierwszego wejrzenia. Pod błękitnym niebem początku maja kwitły kasztany, tarasy kawiarni pełne były ludzi, kobiety ubierały się szykownie, a młode dziewczęta były tu znacznie bardziej stylowe niż w Rio. Zdecydowanie musi kupić sobie trochę nowych rzeczy. Może też zmieni uczesanie.

— Paryż — zwróciła się do pijącego naprzeciwko niej pernod Roberta — stanowi dla dziewczyny natchnienie. Tu każda wygląda pociągająco, nawet jeśli naprawdę nie jest ładna.

— W takim razie masz szansę — zakpił.

— Czy wyglądam okropnie? — zapytała przestraszona.

Specjalnie na podróż kupiła garsonkę i bladobrzoskwiniowe płócienko wydało jej się wtedy bardzo eleganckie. Ale tutaj kobiety nie nosiły takich fałd, a ich żakiety wydawały się nieco krótsze.

— Wyglądasz ślicznie — zapewnił ją. — Jak zawsze.

Uśmiechnęła się do niego, pochlebiona.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki miły? — spytała, czując nagle podejrzenie.

— Bo cię kocham — odparł krótko. Nie wiedział, dlaczego właśnie tak to powiedział, te słowa po prostu mu się wymknęły. A on naprawdę ją kocha. Z nią czuje się swobodnie. Tygodnie spędzone na statku z Izabellą, Sebastiao i Amelią były dla niego jak rekonwalescencja po ciężkiej chorobie. Znowu stał się sobą i to

dzięki niej. Odkupiła go swą niewinnością. Patrzyła na niego lekko speszona. Ujął jej rękę.

— Zawsze będę cię kochać, Amelio — powiedział.

Amelia westchnęła, uszczęśliwiona. Nigdy nie wątpiła w to, że ją kocha, ale chciała to od niego usłyszeć. Potarła ręką policzek, czując rozpierającą ją radość. Roberto ją kocha i teraz ona może wszystkiemu stawić czoło.

— Ja też będę cię zawsze kochać — rzekła cicho.

Sebastiao przecisnął się między stolikami i usiadł.

— Babcia jest zbyt zmęczona po podróży, by zejść na kolację — oświadczył — więc będziemy sami. — Rzucił gazetę na stolik, dając znak kelnerowi, by przyniósł mu piwo.

Amelia westchnęła.

— Wszystko czego naprawdę chcę, to zobaczyć się z moją matką — powiedziała — ale babcia uważa, że trzeba kilku dni, by się z nią skontaktować i poczynić odpowiednie przygotowania. Chciałabym po prostu mieć to już za sobą. Och, Sebastiao, tak się boję.

Spojrzał na nią ze współczuciem. To zrozumiałe, że tak to przeżywa; kto byłby spokojny w takich okolicznościach?

Oślupiał, gdy mu powiedziała, że Leonia jest jej matką. Mówiła nawet więcej, a on, choć nie zadawał żadnych pytań, musiał tu z nią przyjechać. Nie mógł pozwolić, by sama stanęła wobec tej sprawy. Może będzie jej potrzebne mocne ramię, by mogła się wyplakać. Podniósł gazetę marszcząc brwi. Czy ma jej powiedzieć? Jednak chyba powinien. Otworzył gazetę na stronie, gdzie wielkie obwieszczenie wymieniało imię Leonii i podsunął dziewczynie.

— Spójrz — powiedział cicho. — Jeśli chcesz, możesz ją dzisiaj zobaczyć.

— Występ pożegnalny — przeczytała głośno. — Leonia w gmachu teatru opery. Dziś o ósmej.

Słowa tańczyły jej przed oczami. To jej matka i będzie tu dziś wieczorem! Nagle staje się rzeczywista. Przestaje być osobą, którą jej wyobraźnia obdarzała głosem, uśmiechem oraz słowami własnego autorstwa. Jej matka stała się rzeczywistością.

— Sebastiao, muszę ją zobaczyć! Czy możemy tam pójść? Jeśli zobacze ją najpierw na scenie, może później nie będzie to takie

obce, kiedy się z nią spotkam. — Jeżeli, dodała w duchu, starczy mi w ogóle odwagi.

— Jest już siódma — rzekł Roberto, patrząc na zegarek. — Chodźmy. Jeśli to występ pożegnalny, będą tłumy.

Sebastiao torował sobie drogę przez oblegającą teatr ciżbę. Obwieszczenie na kasie mówiło, że wszystkie bilety wyprzedane, ale widział kręcących się w tłumie pokątnych sprzedawców. Znalazł jednego i chwyciwszy go za ramię, zaczął się ostro targować szybką francuszczyzną. Bilety były nieprawdopodobnie drogie, ale miejsca zdobył dobre — pośrodku, z przodu pierwszego balkonu. Przepchnął się z powrotem na schody, gdzie Amelia i Roberto czekali w napięciu.

— Mam — zawołał, machając w powietrzu biletami, gdy przeciskał się do nich.

— Wiedziałaś, że ci się uda — wykrzyknęła Amelia. — Sebastiao, jesteś strasznie mądry. Zawsze wiesz, jak wszystko załatwić.

Roberto odczuł lekkie ukłucie zazdrości. Wolałby, aby to jemu Amelia mówiła takie rzeczy.

— No to chodźmy — powiedział, biorąc ją za rękę. — Wejdzmy już.

A więc to tak, myślała Amelia, rozglądając się po dużej rokokowej sali. Wszyscy ci eleganccy ludzie w wieczorowych strojach, te tłumy na balkonach, wszyscy są tutaj, by zobaczyć jej matkę. Znają ją lepiej niż ona; wiedzą, czego mają się spodziewać i jaka ona jest. Obciągnęła nerwowo spódnicę i wsunawszy włosy za uszy, wychyliła się cała do przodu. Patrzyła na nie kończący się potok ludzi zajmujących miejsca. Żałowała, że zabrakło jej czasu na to, by się przebrać. Tyle że gdyby miała czas, mogłaby zmienić zdanie. Orkiestra zaczęła wchodzić do kanału i gdy dyrygent zajął swoje miejsce, rozległy się oklaski. Skłonił się publiczności i ujawniwszy batutę odwrócił się do muzyków, dając im znak do rozpoczęcia uwertury. Światła na sali zaczęły przygasać. Rozdygotana Amelia wciągnęła głęboko powietrze. Poczula na dłoni rękę Roberta.

— Wszystko jest dobrze, Amelio — szepnął. — Jestem z tobą.

Szeleszcząca jedwabną taftą Karo spieszyła przejściem z Alfonssem, przepraszając cicho, gdy przeciskali się do swoich miejsc pośrodku piątego rzędu.

— Dzięki Bogu, zdążyliśmy — szepnęła. — Byłabym strasznie zła, gdybym straciła cokolwiek z jej ostatniego występu.

— Widziałś samochód przed teatrem? — spytał Alfons.

Widziała. Znajomy ciemnogramatowy wóz był zaparkowany bezpośrednio naprzeciw teatru.

— Nie myślisz chyba, że mógłby to przepuścić — odpowiedziała szepem. — Jestem pewna, że nie pozbył się nadziei na ściągnięcie jej do siebie z powrotem. Poczekaj, aż przeczyta w gazetach obwieszczenie. Wtedy będzie wiedział, że przegrał.

Żał jej go było trochę. Zmarnował swoje życie w daremnym gonieniu za Leonią, a przecież nawet jej naprawdę nie kochał, a jeśli, to bardzo dziwną miłością. Dla nich wszystko to wydawało się takie odległe, zagubione gdzieś w przeszłości, a on nadal tym żył. Zadziwiający człowiek. W innych okolicznościach byłby kimś wspaniałym.

Jim stał z Leonią w kulisach, czekając na jej wyjście. Patrzyła przed siebie w milczeniu, skupiona na muzyce, oddalająca się od niego. Setki razy widział, jak zmienia się z Leonii, którą on znał, w obcą, egzotyczną, *sceniczną*, i teraz właśnie dokonywała się ta przemiana. Słuchała muzyki, stojąc spokojnie z pochyloną głową, a gdy nadeszła jej chwila, wyprężyła się, odrzuciła głowę do tyłu i wkroczyła na scenę. Przemierzała ją wyniośle, czarując liryzmem pierwszej piosenki. To była doskonała magia i gdy orkiestra zagrała pierwsze takty, niemal żałował, że widzi to po raz ostami.

Gdy wkroczyła na scenę, oklaski były ogłuszające. Przez teatr niesły się okrzyki i zatrzymała się na chwilę, zaskoczona. Potem uniosła ramiona w powitaniu i skłoniła się z uśmiechem.

Amelia przygryzła wargi, starając się opanować łzy. Patrzyła na złoćistą, fantastyczną istotę, uśmiechającą się ze sceny do witających ją tłumów. Jeszcze nie zaczęła śpiewać, a już zachęcali ją

i krzyczeli *brawo*. Chwyciła wilgotną od potu rękę Roberta. Ledwie mogła patrzeć.

Sebastiao obserwował jej twarz. Czy dobrze się czuje? Patrzy tylko na Leonię, pochłania ją. Nie można było pomylić z kimś tych dwóch profili. Były takie same.

Leonia zaczęła śpiewać i Amelia wychyliła się do przodu napięta. Była to delikatna pieśń o wiosennej miłości, o bardzo młodej dziewczynie. Świat piosenki wypełniały motyle i kwitnienie kwiatów, ale pod nimi był smutek i poczucie straty. Amelia słuchała w skupieniu, pragnąc jednocześnie znaleźć się bliżej, lepiej ją zobaczyć. Leonia była bardzo wysoka i szczupła, włosy miała takie jak ona, uczesane w złoty obłok, a w małeńkie warkoczyki na czubku głowy wplecione miała kolorowe paciorki. Jej suknia była piękna, choć bardzo śmiała. Amelia nigdy niczego podobnego nie widziała. Dwa cienkie złote ramiączka trzymały spływający potokiem doskonały jedwab, przecięty nisko na biodrach i opadający do obutych w sandały stóp. Rozcięte boki umożliwiały swobodne poruszanie się po scenie i Leonia przypominała złotego lwa, czarującego widownię.

Czy ta piękna, ekstrawagancka kobieta to rzeczywiście jej matka? Chwyciła mocniej rękę Roberta. Czy rzeczywiście wygląda jak *ona*? Wszystko to było jakieś dalekie i nierealne. Spojrzała na Roberta z niedowierzaniem. Uchwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się do niej, próbując dodać jej otuchy.

— Roberto... Ja do niej nic nie czuję— szepnęła ze smutkiem. — Nie czuję, że to moja matka. To po prostu piękna, obca kobieta.

Marok ze swego zwykłego miejsca w końcowych rzędach rozglądał się z zadowoleniem po zapełnionym teatrze. Wspaniała pożegnalna gala, wszystko idzie doskonale. Publiczność uwielbia ją. Dla nich wszystko, co robiła, było doskonale. Uśmiechnął się na wspomnienie pierwszego koncertu. Jaka była przerażona i jak on się o nią denerwował. Każda chwila, kiedy była na scenie, stanowiła dla niego mękę. A teraz! Żałował niemal, że zdecydowała się odejść, tyle że nadszedł wreszcie czas na jej własne szczęście. Ciężko pracowała i on także. Nie będzie mu przykro, gdy pożegna

się z tym trybem życia. Wiecznie w drodze — coraz inne miasto, inny pokój hotelowy... Może nawet jakoś się urządzi, ożeni, powróci do hotelarstwa.

Drzwi za nim otworzyły się i odwrócił głowę, by zobaczyć, kto przyszedł. Gilles de Courmont skinął mu głową, przechodząc mimo. Teraz już zawsze kłaniali się sobie; dawno już przestali udawać, że się nie poznają. Ten drań jest nadal przystojny, pomyślał Marok. Kto by mógł powiedzieć, że wypadek zrobił z niego niemal kalekę. Jego twarz nie zdradzała śladów przeszłości. Żadna z intryg i spisków, żadne szalone namiętności ani brutalność — nic go nie naznaczyło. Był nie do pokonania. To dla niego ostatnia możliwość ujrzenia jej. Co teraz będzie robił? Przeczyta obwieszczenie w gazetach i będzie wiedział, że stracił ją ostatecznie. I co potem? Z hrabią nigdy nic nie wiadomo. Człowiek myśli, że się poddał, a on okazuje się w tym momencie najbardziej niebezpieczny.

Popatrzcie na nich, myślał Gilles, obserwując publiczność. Zjadają ją, pożerają. Głupcy! Czy nie wiedzą, że nigdy nie poznają prawdziwej Leonii? Tylko on ją zna. Oparł się o ścianę, modląc się, by noga przestała choć trochę boleć. Co ma zrobić teraz, gdy ona odchodzi? Czy ma zamiar ukryć się w zajeździe i pracować w swym ukochanym ogrodzie? Wiele by dał za to, by móc odwrócić los, a ona nigdy nie miała tych przeklętych praw własności. Zapach jaśminu z gałązeczki w butonierce napłynął wraz z ciepłym powietrzem i hrabia przymknął oczy. Wyobrazził ją sobie taką, jaką bywała z nim. Dziś także posłał jej jaśmin. Zawsze trzymała jego jaśmin w garderobie. Wiedział o tym. Nigdy go nie odsyłała. Trzymała, by przypominał jej jego. Patrzył, jak kroczy przez scenę. Tak samo, jak wkraczała na przyjęcie do Karo tego wieczoru, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Leonio, gdybyśmy tylko mogli cofnąć czas! Ale nigdy z ciebie nie zrezygnuję.

To zupełnie jak romans między mną a publicznością, myślała Leonia. Cokolwiek robię, są nastawieni na uwielbianie mnie. Skłoniła się powtórnie, gdy domagali się bisów. Odwróciła się z uśmiechem do stojącego w kulisach Jima, po czym do czekającego

na jej znak dyrygenta. Skinęła mu głową i w przygasających światłach przeszła na środek sceny. Została sama w małym złotawym kręgu. Stała z opuszczoną głową, wyprężona na lekko rozstawionych nogach. Publiczność czekała w pełnej napięcia ciszy na to, co miało nadejść.

Leonia podniosła głowę powoli i spojrzała na nich z oddalenia. Niski, namiętny głos pieścił pierwsze słowa pieśni, którą napisał dla niej Jacques. Pieśni, która uczyniła ją sławną. Śpiewała o miłości, o przeżyciach kobiety leżącej obok trzymającego ją w objęciach mężczyzny. Zatraciła się cała; czuła pieśń całą sobą. Muzyka zamierała powoli, przygasł reflektor. Zapadła ciemność i cisza. Publiczność poderwała się na nogi. Ludzie klaskali, krzyczeli, błagali o więcej. Światła na scenie zapłonęły znowu i bukiety zaczęły przelatywać przez rampę, ale Leonii już nie było. Zaśpiewała swą ostatnią pieśń.

Tłum personelu zgotował jej owację, gdy szła objęta z Jimem korytarzem za kulisami. Zatrzymali się przed drzwiami jej garderoby i odwróciła się, by jeszcze raz popatrzeć.

— A więc, kochanie — rzekła z westchnieniem radości — zostawiłam Leonię tam, na scenie. Teraz jesteśmy tylko my dwoje.

— I tak być powinno, pani Jamieson. — Pocałował ją delikatnie i otworzył drzwi.

Czekoladka ziewnęła i przeciągnęła się pod lampkami toaletki, aż roześmieli się na ten widok.

— Już nie będziesz teatralnym kotem, Czek — zawołała Leonia triumfalnie. — Jesteśmy wolne!

Jim wyjął z wiaderka butelkę szampana i otworzył ją szerokim gestem, gdy w drzwiach pojawił się Marok, a za nim Karo z Alfonsem.

— Właściwy moment — zawołał rozlewając. — Właśnie mamy wypić za przyjaźń.

Leonia zarzuciła Marokowi ramiona na szyję.

— Smutno ci, Marok — spytała.

— Nie, nie jestem smutny. To było fantastyczne pożegnanie. Zawsze się mówi, że lepiej odejść, gdy jest się na szczycie, a ty nigdy nie byłabyś zdolna być lepsza niż dziś.

— To prawda, Leonio — odezwała się Karo i z szumem szafirowej tafty zasiadła na sofie. — Prawie płakałam i jestem pewna, że Alfons także... W każdym razie musiał przecierać okulary.

— Wiesz, że jestem sentymentalny na punkcie Leonii — rzekł Alfons. — To znaczy, w stosunku do was obu... i do prawdziwej miłości.

— Muszę za to wypić — wtrącił się Jim. — I za przyszłość.

— Przepraszam panią — odezwała się woźna, wsuwając głowę do pokoju — ale przyszli młodzi ludzie, którzy upierają się przy spotkaniu z panią.

— Dziś wieczór z pewnością mnóstwo ludzi chciałoby się z tobą spotkać — zauważyła Karo ze śmiechem.

— Rzeczywiście, nie mogę teraz nikogo widzieć — powiedziała Leonia. — Proszę im powiedzieć, że ich przepraszam, ale jestem zbyt zmęczona.

— Oni mówią, że pani ich zna, że przysłali pani list. Powiedzieli, że pewnie go pani już przeczytała i że to bardzo ważne.

Marok wziął kopertę i podał jej. W środku był zwykły kawałek papieru z zeszytu. Nieznane, okrągłe dziewczęce pismo. Spojrzała na podpis. „Amelia”. Amelia? Zaczęła powoli czytać. *Mam nadzieję, że nie będzie pani zbyt zaskoczona moim przybyciem, ale dopiero niedawno dowiedziałam się, że jestem pani córką. Edward i babcia uznali, że dobrze byłoby dla mnie, abym do pani przyjechała. Czy zechciałyby pani spotkać się ze mną, tylko na parę minut?*

Oszołomienie sprawiło, że twarz Leonii stężała w nienaturalnym uśmiechu. Wpatrywała się w te słowa i czytała je znowu. Amelia jest tutaj!

— Co się stało, Leonio?

Głos Karo zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Z wysiłkiem oderwała oczy od listu.

— To Amelia — odparła cichym, opanowanym głosem. — Moja córka. Jest tutaj.

Karo wyciągnęła list z bezwolnej dłoni Leonii i przeczytała szybko.

— Boże, to rzeczywiście Amelia! — wykrzyknęła. — Jim, co mamy robić?

Błada Leonia siedziała sztywno przy garderobie.

— Oczywiście, że się z nią zobaczę — powiedziała. Drżała cała i Jim ścisnął jej ramię, pragnąc ją uspokoić.

— Na pewno dobrze się czujesz? — spytał cicho. — To może poczekać, aż ci przejdzie. Możesz spotkać się z nią później. Powiem jej, aby przyszła do hotelu.

— Ale ja chcę... Muszę ją zobaczyć teraz, natychmiast! Tak długo czekałam, a ona przychodzi do mnie nie wiadomo skąd... po prostu zjawia się tak niespodziewanie.

Marok spojrzął z niepokojem na Alfonsa. Obaj myśleli o tym samym. Przez tyle lat robili wszystko, by nigdy nie doszło do takiej sytuacji, a teraz właśnie wobec niej stanęli. Leonia, monsieur i Amelia byli tu, pod jednym dachem.

— Pójdę po nią.

Jim ruszył do drzwi i Leonia opadła z powrotem na fotel. Czek zeskoczyła z toaletki i mrucząc, zwinęła się na jej kolanach. Leonia oparła chłodną rękę na ciepłej sierści. W pokoju zapanowała cisza. Wszyscy spoglądali po sobie niepewnie.

— Może chcesz zostać sama? — zwróciła się Karo do Leonii łagodnie.

— Nie, nie odchodźcie. Od samego początku braliście w tym udział... jesteście jakby rodziną. Zostańcie ze mną.

Amelia wraz z Sebastiao i Robertem czekała za sceną.

— A jeśli nie będzie chciała się ze mną zobaczyć? — wyszeptwała zdenerwowana. Słyszała drżenie w swym głosie i na próżno usiłowała je opanować.

— Zobaczy się z tobą — odparł z przekonaniem Roberto. — Tylko dla niej to z pewnością będzie najpierw wstrząs. Amelio, nie sądzisz, że lepiej, byś do niej sama poszła? Uważam, że powinniśmy pomyśleć też i o niej. Może nie chceć, aby w takim momencie było tam dwóch obcych ludzi.

Sebastiao poparł brata.

— Poczekamy na ciebie na zewnątrz. To bardzo osobista chwila, a my nawet jej nie znamy.

Na widok zmierzającego korytarzem w ich stronę mężczyzny Amelia zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Dobrze — zdecydowała. — Wejść sama.

Jim spojrzął na trzy jasnowłose głowy, zwrócone ku niemu wyczekująco. Dwaj opaleni, dobrze prezentujący się młodzieńcy i dziewczyna. Niemal stracił oddech. To mogłaby być Leonia, tyle że znacznie młodsza. Ale bez wątpienia to ona. Konsjerżka popatrywała na nią zza okularów ciekawie; mimo swego słabego wzroku musiała dostrzec podobieństwo.

— Dzień dobry. — Jim wyciągnął rękę do dziewczyny. — Pani z pewnością jest Amelią. Wszędzie bym panią rozpoznał. Jestem Jim Jamieson. Leonia prosiła, bym przyprowadził panią do jej garderoby.

— Dzień dobry — odparła Amelia uprzejmie. — Moi kuzyni Roberto i Sebastiao do Santos.

— Poczekamy na zewnątrz, Amelio — rzekł Sebastiao, ruszając do drzwi. — Pamiętaj, że jesteśmy tutaj.

— Nie bój się — szepnął Roberto, odwracając się niechętnie, gdy ruszyła z Jamiesonem długim, pomalowanym na zielono korytarzem.

Jim spojrzął na idącą obok niego dziewczynę. Z wyprostowanymi ramionami i uniesioną brodą była gotowa stawić czoło wszelkim przeciwnościom losu. Tak, to córka Leonii.

— Pani matka jest trochę oszołomiona — powiedział, gdy podeszli do drzwi — ale to chyba zrozumiałe, prawda? Poza tym wszystko stało się tak nagle, ale bardzo chce się z panią zobaczyć.

Amelia spojrzała na niego piwnymi oczami Leonii.

— Naprawdę? — spytała cichym, niepewnym głosem.

Objął jej szczupłe ramiona.

— Nie ma dnia, by nie myślała o pani — powiedział cicho. — Jest pani dla niej najważniejszą istotą na ziemi.

Otworzył drzwi i odsunął się, by ją przepuścić. Stała jak wryta, gdy zobaczyła utkwione w nią cztery pary oczu.

Mały brązowy kot podbiegł do niej i mruczając, zaczął się ocierać o jej nogi. Amelia patrzyła na złotą kobietę siedzącą przy toalecie. Nawet ze swoim makijażem i nieprawdopodobnym uczesaniem była do niej podobna. Jeśli miała kiedyś jakieś wątpliwości, teraz wiedziała na pewno, że to jej matka.

Leonia podeszła do Amelii i ujęła ją za rękę.

— Amelio — powiedziała miękko, uśmiechając się do tak bliskiej jej twarzy. — Tyle razy zastanawiałam się, co powiem, jeśli kiedykolwiek znów cię zobaczę, a teraz nie mogę znaleźć właściwych słów... Mogę tylko powiedzieć, że dzięki tobie jestem bardzo szczęśliwa. Zawsze myślałam, że to ja cię odnajdę, a to ty mnie odszukałaś.

Pocałowała ją w policzek.

Amelia zamrugła, by powstrzymać łzy.

— Jestem szczęśliwa, że tu przyjechałam, madame — powiedziała skrepowana. — Och, wie pani — dodała porywczo — kiedy się o pani dowiedziałam, musiałam panią zobaczyć... Musiałam panią poznać, no i...

— Tak? — odpowiedziała Leonia cicho, nadal trzymając ją za ręce.

— I dowiedzieć się, kim jestem.

— Cóż... teraz już wiesz. I jak?

— Myślę, że jest pani piękna — odparła Amelia ostrożnie.

Leonia odwróciła się do patrzących na nie osób.

— Wszyscy moi przyjaciele znali cię, kiedy byłaś maleńkim dzieckiem — powiedziała spokojnie. — Wszyscy trzymali cię na rękach, chronili i kochali cię. Oni także są częścią twojego życia.

Karo odetchnęła z ulgą. Nie uświadamiała sobie, że cały czas wstrzymywała oddech i że trzęsą się jej ręce. Musi coś zrobić, by przerwać panujące w pokoju napięcie. Odstawiła kieliszek z szampanem, który ścisnęła cały czas i podeszła do Amelii.

— Jestem Karo Montalva. — Uśmiechnęła się. — A pani matka ma rację. Trzymałam panią, kiedy była pani malutka. Już wtedy była pani śliczna. Nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszę, że panią teraz widzę. — Objęła Amelię i uściskała mocno.

— Jim, a może by szampana dla wszystkich, wszak to przecież uroczystość?

Marok nie odrywał oczu od Leonii. Zdenerwowana, nie bardzo wiedziała, co robić. Najwyraźniej obawiała się wystraszyć dziewczynę okazaniem nadmiernych uczuć. Uśmiechnął się, gdy Amelia grzecznie podała mu rękę. Pamiętał, jak zabierał ją w długą drogę z Menton do Tours.

— A to Alfons — przedstawiła Karo. Alfons ujął Amelię za rękę i pocałował.

— Cieszę się, że znów się widzimy, Amelio. Widzę, że pani babcia bardzo dobrze się panią opiekuje.

— Więc pan zna moją babcię? — Amelia była zaskoczona, ale to miał być wieczór samych niespodzianek.

— Tak, oczywiście. Proszę jej przekazać ukłony ode mnie.

— Ale ona też jest ze mną. To znaczy w hotelu, madame...

Leonia wzdygnęła się na to słowo. Czego się spodziewała? Że Amelia nazwie ją matką? Nie mogła, są sobie obce. Pragnęła zamknąć Amelię w objęciach, przytulić, pokryć uroczą młodą twarz pocałunkami; czesać ją, rozmawiać z nią o strojach i o chłopcach. Tylko jeden Bóg wiedział, jak bardzo pragnęła być jej matką.

— Madame... Jestem pewna, że babcia chciałaby zobaczyć wszystkich państwa.

— Naturalnie. — Leonia uśmiechnęła się. — Musimy się z nią zobaczyć. A Edward? Czy on też przyjechał?

— Edward bardzo chciał tu być, ale musiał wyjechać na Florydę. Prosił mnie, abym przekazała pani szczególne wyrazy miłości. To Edward opowiedział mi o pani. — Usiadła na stołeczku obok Leonii. — Powiedział, jaka była pani wspaniała, jaka piękna... i że nie chciała pani mnie zostawiać.

Leonia wyciągnęła rękę i pogłaskała ją po głowie.

— Nigdy się nie dowiesz, jakie to było dla mnie straszne — rzekła cicho i jak bardzo za tobą tęskniłam.

Amelia uśmiechnęła się do niej i był to uśmiech tak przyjemny, że wszyscy odczuli jego ciepło.

— Och, ja także tęskniłam za tobą — powiedziała, zarzucając Leonii rękę na szyję. — Och, mamę, tak bardzo za tobą tęskniłam.

Sebastiao i Roberto stali na szczycie szerokich schodów teatru, obserwując rozpraszający się tłum ludzi. Odjeżdżali dorożkami, powozami i limuzynami i odchodzili na własnych nogach. Odchodzili do gwarnych restauracji, uśmiechnięci i ożywieni, wciąż podnieceni występem.

— Chciałbym się dowiedzieć, co się stało — niepokoił się Roberto.

Sebastiao chodził z uporem po górnym stopniu.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Spojrzał na zegarek. To już piętnaście minut. Nielatwa sytuacja dla niej i dla jej matki.

Samochód po drugiej stronie ulicy był dobrze znajomy. Długi ciemnogramatowy de Courmont. Oczywiście, wóz ojca Gerarda. Czyżby Gerard był tutaj? Nie, to hrabia. Sebastiao zbiegł ze schodów na jego widok.

— Proszę pana — zawołał. — Proszę pana!

De Courmont podniósł głowę zdumiony.

— Sebastiao! Nie wiedziałem, że wróciłeś do Francji. Jak się masz. — Podał mu rękę. — Czy Gerard wie, że przyjechałeś?

— Nie, panie hrabio — odparł Sebastiao. — To niespodziewana podróż, przyjechaliśmy dziś po południu. To mój brat, Roberto.

— Bardzo mi miło. — Roberto skłonił się grzecznie. — Sebastiao zawsze wspomina, jak miły był pan i pana rodzina, kiedy przebywał w Paryżu.

— Jedziecie gdzieś? — spytał Gilles. — Mogę was podwieźć. A może macie wolny czas na kolację? Będzie mi miło, jeśli zechcecie mi towarzyszyć.

— Dziękujemy bardzo, ale obawiam się, że nie możemy. Czekamy na naszą kuzynkę, a potem wracamy do hotelu. A czy mógłby pan powiedzieć Gerardowi, że jestem w *Ritzu* i że zadzwonię do niego jutro?

— Jutro? Niestety, Gerarda nie ma w Paryżu. Wyjechał w interesach do Londynu. Wróci za kilka dni. Nadal ma wasze dawne mieszkanie. Jak się zdaje, podoba mu się to miejsce. No — rzucił szybko — idę już. Zapraszam do siebie, Sebastiao. Ciebie, Roberto, oczywiście także. — Machnął im jeszcze ręką, wsiadając do wielkiego wozu.

Patrzyli w ślad za nim. Silnik mruczał łagodnie na niemal całkowicie opustoszałej już ulicy.

— Zawsze wydaje mi się jakiś taki zrozpaczony — powiedział Sebastiao ze współczuciem.

Leonia wpatruje się w Amelię niczym jastrzęb, pomyślała Karo. Obserwuje każdy jej ruch i słucha każdego jej słowa z absolutną uwagą. Wie, że znów ją straci. Co innego może zrobić?

Wie, że monsieur czeka na dole. Do licha, dlaczego nie pośle go po prostu do diabła, aby nie mógł skrzywdzić ani jej, ani Amelii? Dlaczego go nie wykpi, nie powie mu, że blefuje, dlaczego nie zdobędzie się na trochę odwagi? Karo patrzyła na Alfonsa bezradnie. Wiedziała, dlaczego. Ponieważ Leonia nie zaryzykuje życia Amelii, a monsieur raz już przecież zabił. Nawet teraz, po siedemnastu latach, Leonia się boi.

— Ależ musicie wszyscy państwo zjeść z nami jutro kolację — powiedziała Amelia z wyżyn nowo odkrytej pewności siebie. — Teraz, gdy wszystkich znam — roześmiała się i upiła trochę szampana — mam nową rodzinę. Och, zapomniałam o Robercie i o Sebastiao.

— Twoi przyjaciele — odpowiedział Jim.

— Moi kuzyni. Czekają na mnie przed teatrem. Muszę wrócić do babci. Nawet nie wie, że tu przyszliśmy. Sądziliśmy, że poczekamy, napiszemy lub zadzwonimy najpierw, ale kiedy dowiedzieliśmy się, że tu jesteś, bałam się, że stracę szansę. Po prostu nie mogłam czekać. — Spojrzała na Leonie przeprasza-
jąco. — Zawsze byłam niecierpliwa — westchnęła.

Leonia roześmiała się.

— Ale czy musisz tak szybko odjeżdżać. Przecież dopiero się odnalazliśmy.

Amelia stała speszona. Pragnęła uciec. Ten pokój, wszyscy ci ludzie, to napięcie przytłaczały ją. Patrzyła na nich niepewnie. Panowała nad sobą, ale nie wiedziała, ile jeszcze będzie w stanie wytrzymać. Jedną częścią swej istoty rozpoznawała Leonie jako matkę, podczas gdy druga krzyczała w niej, że to obca kobieta. Chciała zarzucić jej ramiona na szyję, a zarazem pragnęła stąd uciec.

— Muszę iść — powiedziała ostrożnie — ale jutro spotkamy się znowu.

Leonia ujęła ją za rękę.

— Odprowadzę cię do wyjścia.

W korytarzu było pusto. Szły trzymając się za ręce do ciężkich żelaznych drzwi.

— Wiem, jak się czujesz—odezwała się Leonia cicho. — Jesteś częścią mnie, a ja jestem częścią ciebie, ale jesteśmy dla siebie nieznajomymi. Trzeba wielu spotkań, może nawet wielu lat,

Amelio, ale jesteś moją córką i pewnego dnia naprawdę się poznamy. — Ucałowała Amelię miękko w oba policzki, trzymając jej twarz z czułością. — Kiedy ostatni raz to robiłam — szepnęła — byłaś maleńkim dzieckiem, a teraz jesteś już prawie kobietą. Ale nigdy cię nie zapomniałam.

Amelia objęła ją i rozplakała się.

— Jestem tu teraz — powiedziała, uspokajając ją. — Wszystko będzie dobrze.

Zbiegła na dół i na rogu ulicy odwróciła się i podniosła rękę pozdrawiając patrzącą za nią matkę. Leonia zawsze wyobrażała sobie, jaka będzie szczęśliwa, gdy znowu ujrzy Amelię, ale nigdy nie sądziła, że będzie to dla niej taka sama radość jak wtedy, gdy trzymała Amelię w ramionach po raz pierwszy.

— Amelio! — Sebastiao chwycił ją i przytulił mocno. — Dobrze się czujesz?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem, Sebastiao. To było dla mnie za dużo. Jest taka piękna, kochana, delikatna... Kocham ją, ale... jest obca. Nie wiem, co jej powiedzieć, czego ona ode mnie oczekuje. Och, nie wiem, jak ci to wszystko wytłumaczyć.

— Dobrze, dobrze, nie próbuj — rzekł uspokajająco. Wracajmy do hotelu. Trzeba wszystko przemyśleć.

— Bardzo było trudno? — spytał ze współczuciem Roberto, ujmując ją za rękę.

— Tylko z mojego powodu. Ona była cudowna. Może jej łatwiej, zawsze o mnie wiedziała, zawsze pamiętała. Ja jej nie znałam. Jestem taka oszołomiona.

— Nie martw się — powiedział, ściskając mocniej jej rękę.

— Zajmiemy się wszystkim. Wszystko się ułoży, Amelio.

Leonia otworzyła drzwi i rozmowa umilkła. Wiedziała, że mówili o niej.

— No i? — spytała ze słabym uśmiechem.

— Myślę, że zostawimy was samych — powiedziała Karo. Jej ciemne oczy patrzyły na Leonie ze zrozumieniem. — Cieszę się, że cię znalazła — dodała miękko — że wreszcie ją zobaczyłaś.

Leonia patrzyła, jak wychodzą z pokoju w milczeniu.

— Chodź, kochanie—odezwał się Jim. — Pójdziemy do domu.

Owinał ją peleryną, wsunął jej do ręki Czekoladkę i po raz ostami ruszyli teatralnym korytarzem. Odwróciła się jeszcze raz, by popatrzeć. Nadal czuła przebijający się przez wszystkie kwiaty zapach jaśminu.

Siedziała obok niego z Czekoladką na kolanach i czekała, co powie.

— Wiesz, monsieur był wtedy w teatrze — rzekł spokojnie.

— Siedział z tyłu, jak zwykle.

Monsieur! Po raz pierwszy w życiu zapomniała o nim. Wzdrygnęła się i przestraszona kotka prychnęła z pretensją. Poczowała spływający jej po plecach zimny pot. Amelia była w teatrze razem z nim; mógł ją widzieć. Czy to możliwe, by wiedział?

— Jestem pewien, że nie wie — uspokoił ją Jim, wyczuwając bieg jej myśli. — Ale jeśli ona tu zostanie i spotkasz się z nią znowu, dowie się.

— Co mam robić? — spytała cicho.

— Tylko ty możesz podjąć decyzję — odrzekł po chwili namysłu. — Tylko ty wiesz dokładnie, do czego jest zdolny. Jeśli uważasz, że nie stanowi już zagrożenia...

— Nie, on wciąż jest groźny.

Jaśmin nadal stał w jej garderobie, monsieur nadal siadywał w teatrze, a gdy wracała do domu, do zajazdu, jacht zawsze tam czekał. ^

— Dobry Boże! — wykrzyknęła. — Czy nigdy się od niego nie uwolnię?

Jim wziął ją za rękę i uściśnął mocno.

— Pewnego dnia to nastąpi. Wierz mi, Leonio. Któregoś dnia ja go usunę.

58.

Izabella spoglądała na puste cokoly po obu stronach wrót *Chdteau d'Aureville*. Wieńczące je niegdyś gryfy teraz pilnują wejścia do *Villi d'Aureville* w Rio.

— Zostały przeniesione tak jak my — powiedziała, wskazując Amelii miejsce, gdzie stały przez trzysta lat.

— Och babciu — zachłysnęła się dziewczyna. — Jak mogłaś pogodzić się z tym, że opuszczasz to miejsce!

Park powoli otwierał się przed nimi, ukazując swe uroki. Najpierw część leśna z zagajnikami buków, srebrnych brzóz i jesionów, potem między drzewami migotanie rzeki wijącej się na skraju posiadłości, sięgającej na południu długiego trawnika na pochyłości i małego dopływu, sanktuarium łabędzi, dzikich kaczek i czapli, wydr rzecznych i setek innych pomniejszych stworzeń. Na tarasowato opadającej ziemi tu i ówdzie rosły rozłożyste dęby i kasztany w otoczeniu dzwonków, bzów, goździków i żonkili.

— Teraz zobaczysz dom — powiedziała do Amelii, chwytając ją za rękę i składając się do przodu. — Zaraz za tym zakrętem.

Wyłaniał się potężnymi zarysami. Znajome szarozółte kamienie, wysokie okna, które zawsze chwytaly słońce. Poczula palace pod powiekami lzy. Dobrze jest wrócić.

— Jest cudowny! — wykrzyknęła Amelia. — Piękny!

Roberto patrzył przez okienko samochodu na nieregularne kształty, gdy objeżdżali dom. Amelia ma rację. Jest cudowny.

Miejsce dające poczucie pewności i bezpieczeństwa. Tu ma się wrażenie, że nic złego nie może się stać, że życie jest uporządkowane i zaplanowane, że żaden inny, ciemny świat nie istnieje. To nie wilgotny tropikalny upał parzący człowieka, by szydzić z jego ciała najdzikszymi żądzami. Zastanawiał się rozmarzony, jak to jest, kiedy jest się człowiekiem żyjącym w takim miejscu. Człowiekiem przestrzegającym tradycji, dbającym o dobre imię rodziny; z kimś prostolinijnym, uczciwym i mocnym z boku. Z kimś takim jak Amelia.

Szli szerokimi schodami starego domu oddaleni trochę od Izabelli, nie chcąc zakłócać jej wspomnień, gdy zatrzymała się na chwilę, by popatrzeć na znajomy widok.

— Przybyłam tu jako panna młoda — powiedziała z nikłym uśmiechem — gdy miałam osiemnaście lat. Przeżyłam tu wiele szczęśliwych chwil... wiele lat w miłości... Nie chcę jednak, abyście myśleli, że ten powrót jest dla mnie smutny. Od chwili, gdy zabrałam Amelię do Brazylii, moje życie się zmieniło, stało się bogatsze. Ja także się zmieniłam. Nie jestem już tą kobietą, która tu żyła. Niczego nie odmienię. Mój dom jest w Rio, wśród was wszystkich.

— Babciu—powiedziała Amelia, przytulając się do niej.—Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Wielkie frontowe drzwi stały otwarte szeroko na ciepły wiosenny dzień, ale Izabella pociągnęła za uchwyt dzwonka. Usłyszała, jak echo niesie znajomy dźwięk przez jej stary dom. Cudownie, że Leonia zaproponowała im, by tu przyjechali. Napisała w liście, że jest taki sam jak był, tyle że pełen dzieci.

Wciąż trudno było pogodzić się z tym, że Leonia nie zobaczy więcej Amelii. Gdyby nie jej przemily mąż, Izabella nie uwierzyłaby, że po tylu latach to nadal jest niemożliwe, ale Jamieson przekonał ją. Co najdziwniejsze, Amelia przyjęła tę decyzję spokojnie.

— Spotkałam się z nią, babciu, i jestem szczęśliwa. To moja matka i zawsze będę myśleć o niej jak o matce, ale jesteście sobie obce. Nie wiem, o czym z nią mówić. Ona nic o mnie nie wie, o moim życiu... Od czego zacząć, jak to nadrobić? Babciu, ja się niemal cieszę, bo nie wiem, co robić.

Izabella poczuła smutek. Amelia zwyciężyła tylko po to, by znów przegrać.

— Zobaczysz ją znowu, Amelio — powiedziała. — Później, kiedy będziesz starsza. Przyjdzie taki dzień, kiedy będziesz potrzebowała matki i wtedy do niej przyjdiesz.

Wyjeżdżali z Paryża tego samego popołudnia i zaskoczonym chłopcom powiedziały, że postanowiły odwiedzić zamek, a potem udać się na południe Włoch. Izabella przyrzekła, że pojedą do Florencji i Wenecji.

Dobiegł ich tupot biegnących stóp i nagle-hall zapełnił się dziećmi. Nadeszła młoda uśmiechnięta zakonnica, by ich powitać, a dzieci ustawiły się z obu stron.

— Przepraszam bardzo — zaczęła się usprawiedliwiać wychowawczyni. — Chcieliśmy się przygotować. Dzieci miały opracować powitania, ale oczekiwaliśmy państwa nieco później.

Czterdzieści rozradowanych młodych twarzy uśmiechało się do nich z zaciekawieniem, pozdrawiając chóralnym *bonjour*. Najmłodsza dziewczynka, podciągając w pośpiechu skarpetki, podała Izabelli przewiązany podwójną cienką wstążeczką bukiet kwiatów, zebranych wcześniej rano w lasach i na łąkach wokół zamku.

— Jaki śliczny — powiedziała Izabella, składając pocałunek na wyciągniętej w oczekiwaniu buzi czterolatki. — To najładniejsze kwiatki, jakie kiedykolwiek widziałam. — Znajomy słoneczny aromat cofnął ją o całe dziesięciolecia wiosennych łąk i lasów pełnych dzwonek.

— Pomyśleliśmy, że byłoby miło, gdyby to dzieci państwa oprowadziły — odezwała się siostra Agnes — chociaż nie jest to naturalnie konieczne. Jeśli pani sobie życzy, może pani chodzić, gdzie pani zechce... Nie chciałabym, by zakłócano pani jej wspomnienia.

Izabella wzięła za rękę czterolatkę.

— Nie mogłabym nawet wymarzyć sobie lepszego sposobu oglądania mojego starego domu niż w towarzystwie dzieci — odparła, gdy szły przez hall.

— Potem chciałabym odwiedzić kaplicę.

Amelia wyslizgnęła się przez drzwi małej kaplicy i ruszyła z powrotem dróżką prowadzącą do zamku. Zatrzymała się, by raz jeszcze spojrzeć na grobowiec d'Aureville'ów. Na jasnej marmurowej powierzchni uskrzydłone anioły głośno na wsze strony chwałę Pana, a rozkoszne pulchne amorki igrały na jej skraju. U stóp płyty, pod epitafium na pamiątkę męża Izabelli, leżał bukiet polnych kwiatów. Poza Jeanem-Paulem pochowany był tam też jej syn, Charles. W porywie serca Amelia przebiegła przez trawę i oparła się o grobowiec, przykładając policzek do chłodnego muru.

— Kochałabym cię — wyszeptała. — Jestem pewna, że kochałabym cię, ojcze, gdybym cię znała.

Odstąpiła o krok i popatrzyła na anioły. Sprawiały wrażenie, że czekają tylko na jakiś sygnał. Odwróciła oczy i odeszła cicho przez trawę do alejki prowadzącej do zamku.

Izabella chciała przez chwilę pozostać w kaplicy sama i Amelia zostawiła babkę w ciszy jej wspomnień. Spokój, myślała idąc powoli alejkami żółtych i zielonych drzew, to właśnie tu przeżywam. Jestem blisko mojego ojca, tu rosłam. Znam wszystkie te miejsca — alejki, brzegi rzeki, kwietne tarasy — z opowieści, których słuchałam w dzieciństwie. To tak, jakby to był mój dom. A teraz mam prawdziwą matkę, nie cień ze snów. Któregoś dnia poznamy się, a na razie mogę być zadowolona. Wiem już, kim jestem.

— Amelio!

To Roberto wołał do niej z drugiego końca utworzonego przez listowie tunelu. Poderwała się do biegu i wpadła prosto w jego otwarte ramiona. Zakręcił nią w powietrzu.

— Roberto, jestem taka szczęśliwa! — wykrzyknęła. — To miejsce jest cudowne. I wszystko wreszcie się porządkuje, nabiera właściwych wartości.

Ruszyli ręką w rękę w stronę rzeki.

— Chciałbym tu zostać na zawsze — powiedział chłopiec. Przystanęli patrząc na trzepoczące gwałtownie skrzydłami przelatujące dzikie kaczki. I nigdy więcej nie spotkać Diega, dodał w myśli. Potargane włosy Amelii fruwały na wietrze i dziewczyna sprawiała wrażenie gotowej do lotu, rozsadzanej energią, mogącej sprostać każdemu wyzwaniu losu.

— Amelio d'Aureville — zaczął cicho. — Kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?

Piwnie oczy rozszerzyły się gwałtownie, a po chwili odmalowało się w nich takie rozradowanie i szczęście, że nie mógł się powstrzymać i pocałował uśmiechające się usta. Roześmiała się pod jego pocałunkiem, wywinęła się z jego objęć i pobiegła na szczyt wzgórza. Stała tam przez chwilę i patrząc na niego śmiała się z rozpierającej ją czystej radości.

— Oczywiście, że za ciebie wyjdę — wykrzyknęła triumfalnie, wyrzucając ramiona wysoko ku niebu. — Zawsze myślałam, że za ciebie wyjdę, Robercie do Santos. — Wychyliła się w powietrze, rozkołysana, rozbrykana jak młode zwierzę na wiosnę. — W moje siedemnaste urodziny!

Wspiął się do niej, a ona czmychnęła ze śmiechem i odwróciła się do niego kpiąco.

— Zawsze biegałam szybciej od ciebie — wykrzyknęła przez ramię.

— Nieprawda — odkrzyknął, doganiając ją. — Widzisz!

Chwycił ją za ramię i obrócił ze śmiechem do siebie. Objął ją, a ona pokryła jego twarz pocałunkami. Potem on zaczął ją całować, wciągając świeże słodkie wargi, zachwycony, gdy przytuliła się do niego mocniej. To jest prawdziwe szczęście i należy do niego. Nigdy więcej nie zobaczy Diega.

59.

Jim siedział na tarasie z gazetą na kolanach. Spoglądał w dół, na ogród, gdzie Leonia zakładała grządkę bratków wokół drzewa Bébé. Wyciągnięta w trawie Czekoladka wygrzewała się w słońcu. Dobiegł go głos mówiącej do kotki Leonii. Uśmiechnął się.

Pewnie opowiada jej o Amelii. Od ich spotkania w ubiegłym tygodniu nie przestawała mówić o córce. Tłumaczyła sobie, że nie ma prawa się smucić, bo nareszcie ją poznała i wie, jak jej córka wygląda i jaki ma głos. Przeżyła wreszcie moment, gdy ją objęła i pocałowała, ma też pewność, że któregoś dnia znów ją zobaczy. Pewnego dnia ona będzie wolna, Amelia będzie jej potrzebować i znów będą razem. Nie pojmował, w jaki sposób to przekonanie wyłoniło się spod rozpaczliwej decyzji odesłania Amelii, ale tak było i Leonia czuła się szczęśliwa.

Spojrzał znów na gazetę. Wyrazisty nagłówek mówił wszystko. *Sekretne małżeństwo Leonii. Pani James Jamieson, żona amerykańskiego rekinia finansowego...* Uśmiechnął się. Dlaczego dla Europejczyków wszyscy amerykańscy ludzie interesu stają się automatycznie *rekinami*? Tak czy inaczej, jest wreszcie.

— Jim — zamachała do niego Leonia — idę do drogi, żeby wziąć pocztę. Poproś madame Frenard o świeżą kawę, dobrze? I bułki! Jestem głodna.

Odłożył gazete i wszedł do środka. Lubił ten dom tak samo jak ona. Podobały mu się grube, chłodne białe ściany i wyłożone

terakotą podłogi, lukowate drzwi i okna z zielonymi okiennicami. Podobało mu się też to, co z tego domu zrobiła Leonia. Błyszczące podłogi pokryte zostały miękkimi dywanami, na ścianach wisiały interesujące obrazy, wygodne miękkie fotele zapraszały do odpoczynku. To był prawdziwy dom. Okna otwarte były na słońce, którego promienie wydobywały wciąż zwrócony ku ścianie posążek Sechmet.

— Prawie cię pokonałem — odezwał się, idąc korytarzem.

Duża chłodna kuchnia pachniała ziołami, kwiatami i świeżym chlebem. Na wyszorowanym sosnowym stole stały w nieładzie poręczne dzbanki, koszyki, na płaskim półmisku marynowało się w winie i listkach laurowych sprawione jagnię. Obiad, pomysłał z zadowoleniem, tnąc sobie płat wędzonej szynki ze spiżarni.

— Madame Frenard, możemy dostać kawę?

— Wyniosę ją państwu na taras — uśmiechnęła się.

— Dziękuję. I jeszcze parę bułeczek dla Leonii.

Wyszedł z powrotem na taras, zadowolony ze spokojnego dnia. Leonia siedziała i czytała list.

— Nic szczególnego — wyjaśniła. Tylko parę słów od Karo. Jest też coś dla ciebie, z Marsylii.

Otworzył szybko. Człowiek, którego poszukiwał, przyszedł w ubiegłym tygodniu do stoczni Legranda szukając pracy, ale nie pokazał się, by ją podjąć. Podniósł wzrok zadowolony. Pierwszy realny ślad. Jeśli to ten, to znaczy, że żyje i jest tu, na południu. Spojrzał na czytającą Leonie i schował starannie list do kieszeni. Teraz jej jeszcze nie powie, musi mieć pewność.

Gerard de Courmont był zadowolony ze spaceru. Na jasnym błękitnie nieba nie było ani jednej chmurki i w rozedrganym świetle każdy miejski wróbel, każdy gołąb popisывał się, jak gdzieś w bogatej zieleni za miastem. Przebudzony Paryż wylewał się na ulice. Konsjerżki w czarnych pończochach i szalach siedziały w zalanych słońcem bramach i dziergały delikatne ażurowe sweterki dla niemowląt, robotnicy na budowach pracowali bez koszul, zaróżowione dziewczęta w ślicznych powiewnych sukienkach flir-

towały z młodymi ludźmi przy stolikach kawiarnianych ogródków pod kwitnącymi kasztanami. Nadchodziło lato, ale nie dla wielkiego domu na *Ile Saint-Louis*.

Lokaj zamknął za nim drzwi i słońce zostało odcięte. Zachwył Gerarda dla cudownego błękitnego dnia przygasł. Nie było tu miejsca na radość wczesnego lata. Jedynie nieskazitelna wspaniałość wypolerowanych lat umarłych.

— Czy ojciec jest w domu? — spytał, idąc przez hall, a jego kroki dudniły w ciszy.

— Znajdzie go pan w gabinecie — odparł Bennett.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Gerard zastukał i wszedł. Ojciec bez uśmiechu podniósł oczy znad biurka.

— Gerard? — zdziwił się.

— Spodziewałem się ciebie dopiero jutro.

Głos miał znużony i tak brakowało mu animuszu, jakby cała radość pięknego letniego świata na zewnątrz opuściła go na zawsze. Wygląda jak wtedy, gdy zginął Armand, pomyślał Gerard.

— Przyjechałem nocnym promem — wyjaśnił, starając się, by jego głos brzmiał wesoło — i cieszę się, że to zrobiłem. Taki piękny dzień... nie sposób oprzeć się Paryżowi wiosną. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść obiad w restauracji w Lasku Bulońskim. Może poszedłbyś ze mną, ojczu. Usiedlibyśmy gdzieś na tarasie i wzięlibyśmy butelkę wina. Dobrze by ci to zrobiło. — Powiedział te słowa i pomyślał, że nigdy nie przypuszczał, by mógł mówić do ojca **O** czymś, co dobrze mu zrobi.

— Nie wiem, Gerardzie. — Hrabia wziął leżące na biurku dokumenty i ułożył je przed sobą w porządku plik. — Mam pracę.

— Daj spokój, ojczu, odłóż to na chwilę. Cieszyłbym się z twego towarzystwa.

— Naprawdę? — Dosłyszał gorycz w głosie ojca i zeszywniał. A czegoż on od niego oczekuje? Wziął gazetę z fotela obok biurka i usiadł. — Chciałbym zabrać cię na obiad, ojczu — powtórzył. — Jest cudowny dzień i byłoby mi miło, gdybyśmy poszli razem.

— Przepraszam — rzekł hrabia ze znużeniem i odchyliwszy się do tyłu, zamknął oczy. Rzeczywiście byłoby miło. Pozwól tylko, że dokończę ten list.

Gerard wziął do ręki gazetę. Była starannie złożona wokół wiadomości o odkryciu potajemnego małżeństwa Leonii z panem

Jamesem Homerem Aleksandrem Jamiesonem III. A więc o to chodzi! Jak on może dręczyć się kobietą, której właściwie nie widuje już od szesnastu lat? Jaka ta Leonia musi być kobieta? Jak głębokie musi być to uczucie i dlaczego dopuścił, by zniszczyło mu życie?

— A, byłbym zapomniał — rzekł hrabia, podnosząc wzrok znad listu. — Poprzedniego wieczoru spotkałem twojego kolegę Sebastião. Prosił mnie, by ci powiedzieć, że jest w *Ritzu*.

— Sebastião? Co on tu robi, u licha? Wrócił do Brazylii ledwie parę miesięcy temu.

— Był ze swym młodszym bratem w teatrze. Czekali na swoją kuzynkę. Byli na pożegnalnym koncercie Leonii.

Gerard spojrział na ojca zaskoczony. Nigdy przedtem nie słyszał, by wymówił jej imię. Może teraz, gdy ją ostatecznie stracił, pogodzi się z tym i zacznie żyć własnym życiem.

— Dziwne — powiedział rozmyślnie wesoło. — Kiedy ostami raz byłem z Sebastião, widzieliśmy ją u *Voisina* i przysięgał, że ona stanowi wprost obraz jego młodej kuzyneczki... czy też, że Amelia wygląda dokładnie tak jak ona. Powiedział, że to niesamowite, że mogłaby po prostu być jej matką.

Hrabia wbił wzrok w syna. Co też on mówi? Jakaś kuzynka Amelia, która wygląda jak Leonia? W gardle mu zaschło i gdy zdobył się na sformułowanie pytania, głos miał chrapliwy.

— Kuzynka Sebastião... jak ma na imię?

— Amelia. Ma dopiero szesnaście lat, ale on szaleje na jej punkcie. Nazywa się Amelia d'Aureville.

Hrabia zeszywniał. Drętwota i ból przebiegły przez całą rękę, a potem do ramienia, tak jak owej nocy, gdy pojechał do zajazdu odszukać Leonię. Odchyłony na oparcie zielonego skórzanego fotela zaczął chwytac spazmatycznie powietrze. Przez wszystkie te lata mógł ją mieć, była w Rio z Sebastião. Mój Boże, jakim był idiota, jakim głupcem, że tego nie przewidział. Te wszystkie stracone lata! A teraz ona jest w Paryżu. Gdyby zdobył dziewczynę, Leonia byłaby wreszcie jego. Ramię drętwiało coraz silniej, ból przeszył pierś i zacisnął się na sercu. Zakrzyczał. Ten sam ściskający, palący ból.

— Co ci jest, ojcze? — Gerard poderwał się na nogi.

Spotkał pełne niedowierzania spojrzenie ojca.

— Bennett — krzyknął do hallu. — Natychmiast wezwijcie lekarza. Ojciec zachorował.

— Ojcie — powiedział cicho, ale hrabia go nie słyszał. Łapał powietrze w krótkich, ciężkich rżeniach. Oczy miał zamknięte, twarz zbieła pod bujnymi siwymi włosami.

— Och ojcie — powtórzył Gerard, ujmując chłodną rękę. — Czy naprawdę nie rozumiesz, że za wiele tych wzruszeń?

60.

Mała stocznia na przedmieściu Nicei składała się z kilku szop, ustawionych przypadkowo nad samą wodą. Nad piaszczystym podwórzem wznosił się dźwięk piły. Paru ludzi pracowało przy stępce zgrabnej kilkumetrowej łodzi żaglowej. Podnieśli głowy, gdy Jim zatrzymał się za nimi.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam — odezwał się z uśmiechem. Jego ciężka, z amerykańską wymową francuszczyzna zawsze wywoływała wystarczające zaciekawienie, by mógł zwrócić również uwagę obojętnych robotników stoczniowych. Tak samo jak wyjęty przez niego banknot z wypisanym na nim nazwiskiem.

— Szukam tego człowieka — powiedział. — Taki rudy facet, potężny i raczej tęgi.

Banknot zniknął w kieszeni niebieskiego kombinezону.

— Rude włosy — powtórzył robotnik. — Tak, to Marigny. Pracował tutaj.

— Pracował?

— Taaa. Wyrzucono go z godzinę temu... Za picie. W robocie nigdy nie jest pijany, ale zawsze trochę zawiany. Wie pan, jak wypije, strasznie się robi zaczepny. Pobił się tu z jednym rano, no i z szefem. Teraz pan rozumiesz. Tak roboty nie utrzymasz.

— Na pewno nie — przytaknął Jim i wyciągnął następny banknot.

— Wie pan, gdzie on mieszka?

— Spóźniłeś się pan. On już wyjechał. Nigdy długo nie siedzi w jednym miejscu. Jak tu jest, to w parę tygodni ma trzy różne pokoje. Wyniósł się do Paryża. Mówił, że czeka tam na niego mnóstwo pieniędzy. Nie musi na nie tyrać, tak jak my wszyscy głupi. To wariat — dodał, spluwając z pogardą w piasek. — Jak go pan szukasz — odezwał się nagle — to on pewnie poszedł na stację, na pociąg do Paryża.

— Wielkie dzięki — rzucił Jim, idąc przez podwórze.

Następny pociąg do Paryża będzie w południe. Powinien zdążyć. Spozstrzegł go, gdy podszedł do wejścia na stację. Krzepki mężczyzna w niebieskiej koszuli włókł się peronem, trzymając w ręku niewielki kuferek. Jim patrzył jeszcze, jak znika w trzeciej klasie paryskiego pociągu. Poszedł za nim i przechodząc wolno wzdłuż wagonu, rzucił okiem do środka. Marigny usiadł na końcu. Ludzie stali już w korytarzu i konduktor sprawdzał bilety.

— Paryż — potwierdził konduktor, przecinając bilet Marigny i przeszedł do następnego pasażera.

A więc jedzie do Paryża, by wziąć oczekujące tam na niego pieniądze. Pieniądze, na które *nie musi tyrać*. Wygląda na to, że Marigny wychodzi wreszcie z ukrycia, jedzie do Paryża, by odszukać Gillesa de Courmont.

Jim zajął miejsce w wagonie pierwszej klasy i oddał się rozmyślaniam. Nagle wszystko stało się proste i oczywiste. Nie ma potrzeby konfrontowania hrabiego ze świadkiem jego zbrodni. Uczyni to za niego morderca. Monsieur z pewnością zapłaci. Uśmiechnął się. Przyjdzie czas i monsieur dowie się, że on wie. Groźba ujawnienia tajemnicy będzie dla niego rzeczą straszną. Wyjął z kieszeni dużą złotą cebulę i sprawdził godzinę. Dwunasta. Pociąg odjeżdża punktualnie jak zawsze. Może odpocząć i zjeść coś. To był bardzo dobry dzień.

Marie-France piła herbatę ze ślicznej delikatnej filiżanki w różyczki, ale nie sprawiało jej to najmniejszej przyjemności. Patrzyła chłodno na męża i czytającego mu gazetę Gerarda. Nigdy nie powinna była tu przychodzić. Gilles nic dla niej nie znaczy, tak zresztą jak ona dla niego. Przyjdę do niego tylko z rodzinnego obowiązku, uprzedziła syna, gdy ją o to poprosił. Gerard nic nie

odpowiedział, a ona zastanawiała się, czy rozumie przynajmniej, co znaczyły dla niej te wszystkie lata, przeżyte bez miłości z jego ojcem. Gdy za niego wychodziła, była bardzo młoda. Miała zaledwie osiemnaście lat. Mogła mieć szczęśliwe rodzinne życie. Westchnęła i odstawiła filiżankę. Nie należała do kobiet, które biorą sobie kochankę. Zamiast tego całą swą czułość i miłość przelała na dzieci.

Gilles patrzył w okno. Pewnie słuchał szczegółowego raportu o fuzji dwu kompanii stalowych, który odczytywał mu Gerard. Kiedy mówiła mu, że żałuje, iż to nie on zginął w wypadku tylko Armand, tak właśnie myślała. Teraz po raz drugi oszukał śmierć. Nic nie jest w stanie go złamać.

Jego profil na tle czystego błękitnego nieba nie stracił nic z dawnej wyniosłości. Siedział odchyłony do tyłu w fotelu na kółkach, którego nienawidzi, nadal interesujący i ubrany równie nieskazitelnie jak zawsze. Taka sama koszula w paseczki, starannie zawiązany przez służącego jedwabny krawat. Jego ręce nie były w stanie poradzić sobie nawet z tak prostym zadaniem; drżące dłonie nie mogły utrzymać na tyle spokojnie gazety, by sam ją przeczytał. Stopy w doskonale wyczyszczonych ręcznej roboty trzewikach spoczywały na podnóżku, złożone tam przez służącego. Na bezużytecznych teraz nogach hrabia miał doskonale uprasowane spodnie. Dlaczego los nie dokończył tego, co zapoczątkował atak serca? Gilles był sparaliżowany od pasa w dół, ale było coś jeszcze gorszego. Stracił głos. Nikt nie wiedział, dlaczego. Od trzech miesięcy interniści i neurologzy próbują rozwikłać ten problem, ale nikt nie może sobie z tym poradzić. Być może głos wróci, kiedy minie szok. Jest to możliwe, jak powiedzieli Gerardowi.

Gilles odwrócił głowę i ich spojrzenia spotkały się. Ciemnoniebieskie oczy mężczyzny były zimne i puste. O czym on myśli? Nie można było się tego dowiedzieć. Nie mówił, zbyt trzęsąca się ręka nie pozwalała mu pisać.

Wstała pośpiesznie.

— Gerardzie, muszę już iść—powiedziała, unikając oczu męża.

— Odwiozę cię do domu, mamó. — Gerard odłożył gazetę. — Wrócę wieczorem — rzekł do ojca i ujął jego rękę. — Wtedy poczytam ci jeszcze. A może wziąć bilety do teatru albo na koncert?

Gilles potrząsnął głową i ponownie wbił wzrok w okno. Gerard popatrzył na ojca ze smutkiem. Nigdy nie wychodzi. Nie chce, by zabierano go do parku. Rozpaczliwie wstydzi się swej niemocy.

Marie-France zatrzymała się w drzwiach.

— Do widzenia, Gilles — powiedziała.

Wiedziała, że usłyszał, ale nie dał po sobie tego poznać. Nie powinna była tu przychodzić.

Jim szedł za Marigny w dyskretnej odległości. Chyba miał rację. Stracił trochę pewności co do planów tego człowieka, gdy ten skręcił do domu naprzeciwko >stacji, ale okazało się, że to tani dom noclegowy. Wynajął tam zapewne pokój i zostawił kuferek, bo niedługo wyłonił się z powrotem, gotów do akcji. Lub też prawie. Najpierw była wizyta w *Bar Augustine*, a potem w *Bar Michel*, potem jeszcze w kilku innych. Ten człowiek dużo pił, co do tego nie było najmniejszej wątpliwości, a facet w stoczni powiedział, że alkohol czyni go agresywnym. Może dodaje sobie właśnie animuszu przed czekającym go zadaniem. To musi być zabójca Charlesa.

Jim przystanął, gdy tamten zatrzymał się w bramie dużego prywatnego domu. Marigny wahał się przez chwilę, a potem ruszył dziedzińcem do szerokich schodów. Uniósł krótką, szeroką łapę i pociągał za uchwyt dzwonka. Czekał, przytupując niecierpliwie.

Po chwili lokaj otworzył ciężkie drzwi i Marigny zaczął mówić. Lokaj potrząsnął głową. Jim przeszedł na drugą stronę ulicy i idąc wolno wzdłuż ogrodzenia obserwował, co się będzie działo dalej. Na pomoc lokajowi przybył portier, ale nie udało im się wyrzucić Marigny, bowiem mężczyzna wstawił stopę w drzwi. W hallu siedział na inwalidzkim wózku Gilles de Courmont. A więc to prawda — jest inwalidą. Drzwi zamknęły się nagle i Marigny znalazł się w środku.

Gilles patrzył na stojącego przed biurkiem człowieka. Byli w gabinecie sami. Mężczyzna nie przestawał mówić, grożąc mu. Tak, pomyślał ze znużeniem, to szantaż. Dlaczego Verronet musiał zginąć na Amazonce? Był mu tak potrzebny! Tylko on potrafił

sobie radzić z tego typu sprawami. Verronet byłby jego głosem, jego rękami; nikomu innemu by nie zaufał.

Marigny chodził po gabinecie pewny siebie. Kto by pomyślał, że stary będzie w takim stanie. No cóż, to tylko ułatwia sprawę. Może mówić cały czas, a stary drań nawet jednym słowem mu nie odpowie.

— Pójdę do niej — zagroził.

— Powiem jej wszystko. Powiem jej, coś pan zrobił. Nie będziesz pan z tego zadowolony, co? Jest teraz sławna... i bogata. Oczywiście — otarł rękawem pot z ziemistej, pozbawionej zarostu twarzy — potem mogę iść wszędzie... Do pańskiego syna albo żony...

Podszedł do bocznego stolika i wzięwszy karafkę z whisky, nalał sobie do szklanki potężną porcję.

— Nalać? — spytał, kołysząc w powietrzu delikatnym weneckim wyrobem. Karafka spadła na podłogę i z lekkim trzaskiem rozsypała się na setki kawałeczków, a whisky rozprysnęła się na starym kremowo-złotym chińskim dywanie. Marigny wyszczerzył zęby, patrząc na pozbawioną wyrazu twarz hrabiego.

Gilles poczuł, jak pot pokrywa mu plecy. Odepchnął się od biurka i zaczął niezdarnie manewrować ciężkim wózkiem, gmerając kluczem przy lewej dolnej szufladzie. Z rozpaczą myślał, jakie to wszystko trudne, gdy ręce nie chcą robić tego, czego się od nich żąda. Wreszcie klucz wszedł do zamka i szuflada wysunęła się skrzypiąc. Przegiął się na bok i wsunął rękę do środka. Zawsze trzymał tam gotówkę. Nigdy nie wiadomo, kiedy się okaże, że natychmiast potrzebne będą pieniądze na jakiś interes. Albo dla szantażysty, pomyślał ponuro. Patrzył zafascynowany na dłoń, z mozołem zamykającą się wokół pliku banknotów. Zupełnie jakby to nie była jego ręka. Wreszcie drgnęła w ostatnim zgięciu i palce zacisnęły się w uchwycie. Wyczerpany przeniósł rękę do przodu i złożył ją bezwładnie na kolanach.

Wzdrygnął się przed kwaśnym odorem potu i przetrawionego alkoholu, gdy Marigny pochylił się nad nim.

— Dzięki — rzekł, wkładając banknoty do kieszeni. — Wielkie dzięki, panie hrabio. — Ruszył do drzwi i kopnął po drodze ze śmiechem kawałek szkła. — Mówią, panie hrabio, że Bóg karze grzeszników. Nad panem najwyraźniej czuwa. — Poklepał się po

kieszeni z szerokim uśmiechem. — Ja tu wróce — powiedział. — Jak się rozejda.

Boże, ten człowiek wróci, a ja jestem bezsilny, myślał Gilles. Nie mogę się ruszać, nie mogę mówić. Nie mam jak się go pozbyć. Muszę tu siedzieć i czekać. Czekać i zastanawiać się, kiedy znów przyjdzie i komu może powiedzieć. Wpatrywał się ponuro w zamknięte drzwi.

Zanim Marigny wkroczył do baru przy ruchliwym skrzyżowaniu *rue Ponsard*, zdążył już odwiedzić trzy takie przybytki. Jim wszedł za nim, zajął miejsce w drugim końcu lokalu i popijając wolno szkocką, nie spuszczał go z oka. Pijący samotnie przy barze mężczyzna nie odzywał się do nikogo. Czy udało mu się osiągnąć to, po co przyjechał? Jak ma się tego dowiedzieć? Marigny zamówił kolejną wódkę, sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął zwitek banknotów. Podał jeden barmanowi, który patrzył nań chwilę w zdumieniu, nim poszedł do kasy, by wrócić z pełną garścią reszty. Marigny dał mu duży banknot; jego szantaż musiał się powieść.

Marigny podniósł się nagle, odepchnął whisky jak człowiek, który się spieszy i ruszył do wyjścia. Jego zataczający się chód był jeszcze bardziej niepewny. Potknął się o schodek i odwrócił się z pretensją, by na niego spojrzeć, po czym zatoczył się na chodnik. Jim siedł za nim, zastanawiając się, co robić dalej. Marigny był za bardzo pijany, by można było z nim rozmawiać. Czy wróci do domu noclegowego, by to odespać?

Mężczyzna zatoczył się znowu i ruszył do baru znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Zza rogu wyłonił się samochód i Jim zdążył jeszcze uchwycić wyraz przerażenia na twarzy kierowcy. Uderzenie podrzuciło Marigny i wydawało się, że wielkie zwiotczone ciało zatrzymało się na chwilę w powietrzu, nim trzasnęło z ohydny łomotem o ziemię.

Samochód uderzył o krawężnik i stanął. Kierowca opadł w szoku na kierownicę. Jim rzucił się przez ulicę do Marigny, który leżał twarzą na krawędzi chodnika. Oczy miał otwarte i nieruchome. Nie żył. W ręce trzymał gruby zwitek pieniędzy hrabiego. Wysuwały się spod jego palców i unoszone wiatrem, sunęły powoli ulicą.

A więc Marigny to zrobił. Monsieur zapłacił szantażyście i teraz każdego dnia będzie oczekiwał jego powrotu. Każdego dnia będzie się zastanawiał, czy przyjdzie znowu. Będzie siedział unieruchomiony w swoim wózku, niemy i żyjący strachem. Strachem, że jego tajemnica wyjdzie wreszcie na jaw. Jim spojrział na groteskowo wygięte martwe ciało. Monsieur nigdy nie dowie się, że szantażysta zginął. Nadal będzie żył ze swoim strachem. Marigny udało się to, w czym przygrywali wszyscy inni. Monsieur stracił swą moc.

Jim patrzył na twarz mordercy Charlesa d'Aureville'a.

— No, Leonio Jamieson — mruknął. — Masz swoją zemstę.

Księga trzecia

(1910-1919)

61.

Na ślubną suknię Amelia wybrała kosztowną jedwabną białą taftę i wspaniała tkanina podtrzymywała jej smukłą sylwetkę w powietrzu. Czekwała cierpliwie z uniesionymi ramionami, gdy krawcowa upinała jej stanik w talii i cieszyła się wirowaniem szerokiej spódnicy na szeleszczących falbanach halki. Sama zaprojektowała sobie suknię. Wraz z Xarą i Izabellą ślęczała nad szkicami i ilustracjami, aż uzyskała to, o co jej chodziło. Podwójna falbana zdobiła skraj spódnicy i biegła środkiem krótkich bufiastych rękawów. Okrągły dekolt obnażał szyję, zostawiając miejsce na piękne perły, które w niemowlęctwie dostała od matki.

— Przymierzmy welon — powiedziała Xara i ujęła dziesięć metrów jedwabnego tiulu, stanowiącego spód dla starej brukselskiej koronki, którą miała na swym ślubie Izabella, przedtem zaś jej matka i babka. Z *senhorą* Delfina upięły welon na trzymanej przez Amelię sztywno głowie i ozdobiły ją prowizorycznie wiankiem kwiatków z jedwabiu, choć na dzień ślubu przewidziany był wianek z kwiatu pomarańczy.

— Doskonale — oceniła Xara. — Teraz Roberto zakocha się w tobie bez pamięci.

Z lustra patrzyło na Amelię jej odbicie. Wizerunek nieznanomej dziewczyny, kruchej w obłokach jedwabiu, tiulu i koronki, wydelikaczonej dziewczęcą bielą. Za trzy tygodnie będzie *senhorą* Amelią Castello do Santos, kobietą zamężną. Żoną Roberta. Zmieni się

całe jej życie. Ona i Roberto będą razem cały czas, każdą swą wolną chwilę on będzie spędzał z nią. Diego wydawał się znikać z ich życia, jakby nigdy nie istniał. Roberto był teraz taki inny, taki czuły, kochający. Nadal droczył się z nią, ale teraz było inaczej: ich przekomarzania i zabawy kończyły się pocałunkami i pieszczotami. Stawały się one coraz bardziej namiętne, bardziej poszukiwawcze, gdy odkrywali nową dla siebie wzajemną fascynację swymi ciałami, a Amelia uświadomiła sobie istnienie nowej namiętności.

To Roberto nas wstrzymuje, myślała w poczuciu winy. Ona chciała więcej; rozpaczliwie pragnęła, by nie przestawał całować, pragnęła dziwnych dotyków tak bardzo znanych jej dłoni. Poczekaj, Amelio, szeptał jej wtedy, całując jej płonące policzki, wkrótce będziemy małżeństwem.

Pukanie do drzwi wyrwało ją z marzeń.

— Hej — usłyszała głos Sebastiao. — Mogę wejść?

— Nie, nie! Panienko, nie wolno mu. — Senhora Delfina pospieszyła do drzwi przestraszona. — Nie może zobaczyć panny młodej w sukni ślubnej przed dniem ślubu.

Amelia wybuchnęła śmiechem.

— Ale to nie jest pan młody — powiedziała. — To Sebastiao.

— Amelia!

Wyglądała tak młodo we wspaniałej sukni ślubnej; dziewczyna u progu kobiecości. Narzeczona, o której zawsze marzył. Zacerwnął głęboko powietrza. Lepiej będzie, jak wyniesie się stąd i wróci dopiero na ślub. Zbyt bolesne jest siedzieć tutaj i patrzeć na jej szczęście.

— Przyszedłem tylko, by się pożegnać — wyjaśnił. — Nie spodziewałem się przedpremierowego występu panny młodej w pełnej gali.

— I co? — spytała Amelia, wstrzymując oddech. — Co myślisz?

— Będiesz najpiękniejszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widziało Rio — zapewnił ją. — Wszyscy mężczyźni będą zazdrościć Robertowi.

Zacerwieniła się.

— Oczywiście, że nie, głupi — prychnęła. — Ale dlaczego się żegnasz? Dokąd się wybierasz?

— Uciekam od tych wszystkich zwariowanych przygotowań. Nikt o niczym innym nie mówi, a hordy do Santosów wręcz nas

zalewają. Wyjeżdżam, by skorzystać póki się da z odrobiny spokoju na *fazendzie*. Wróć na twój ślub.

— Sebastiao — rzekła z wyrazem obawy w oczach — ale nadal będziesz moim przyjacielem, prawda? To znaczy, kiedy będę mężatką?

Biedactwo, pomyślał. Nie wie, że to już nie będzie to samo.

— Oczywiście, że tak. — Poklepał ją po policzku uspokajająco. — A kiedy będę daleko stąd, spodziewam się nadal otrzymywać listy z małymi rysunekczkami. Choć zapewne wkrótce będziesz mi opowiadać wszystko o swoich cudownych dzieciach.

— O dzieciach? — wykrzyknęła zdumiona tą myślą.

— No wiesz, kobiety miewają dzieci.

— Tak, ale jeszcze nie teraz. Dopiero jak dorosnę.

— Och Amelio! — Sebastiao objął ją mimo rozpaczliwych protestów krążącej wokół senhory Delfiny. — Malutka Amelio — szepnęła. — Ty już jesteś dorosła.

Pocałował ją w czubek nosa.

— Do zobaczenia w kościele — rzucił jeszcze, zatrzymując się, by pocałować Xarę.

Pomyślała, że głos ma radośniejszy niż wyraz twarzy. Czyżby Sebastiao także liczył na Amelię? I czy nie lepiej byłoby, by to z nim właśnie związała się Amelia? Westchnęła. To tylko bzdurne gdybania. Decyzja należy do Amelii.

Senhora Delfina złożyła starannie suknię i schowała do wielkiego pudła. Pozbawiona jedwabnej wspaniałości stroju Amelia wróciła do swego codziennego wyglądu.

— Och, biedna Onca — wykrzyknęła, biegnąc do wielkich podwójnych okien prowadzących na taras. — Siedzi tam cały czas zamknięta.

— Też powinnam o tym pamiętać — zrzędziła senhora Delfina. — Nawet nie chcę myśleć, co jej pazury zrobiłyby z welonem.

Młodziutki puszysty jaguar leżał w cieniu z tylnymi łapami wyciągniętymi na całą długość i łbem złożonym na przednich. Słupki balustrady kładły na kremowej sierści paski cienia, przypominające piękny czerwonozłoty odcień, jaki uzyska zwierzę, gdy dorosnie. Onca spojrzała na Amelię żalonym wzrokiem porzuczonego kociaka.

— Dąszasz się — powiedziała Amelia. — Nie dziwię ci się. Chciałaś tylko zobaczyć, co się dzieje, prawda?

Kot nastawił uszu i spojrział na Amelię z nadzieją.

— No chodź już — zamruczała Amelia, biorąc ją na ręce i całując miejsce tuż nad świecącym nosem. Niezdarna łapa **Onci** uniosła się do zabawy, ale Amelia zdążyła ją chwycić, nim pazury sięgnęły jej twarzy.

— O nie, Onca, najpierw musisz się nauczyć, że twoje pazury mogą mnie pokaleczyć.

Kot leżał w jej ramionach brzuchem do góry, spokojny jak dziecko, a ona przemawiała do niego cicho, drapiąc go w brodę i gładząc miękkie futro.

— Nigdy niczego podobnego nie widziałam — zachwycała się Xara. — To stworzenie jest naprawdę do ciebie przywiązane. Nie wiem, co będzie, jak stanie się zbyt duża i będziesz musiała się jej pozbyć.

— Pozbyć się **Onci!** Och Xaro, nigdy tego nie zrobię.

Xara spojrzała na zwierzę z powątpiewaniem. Nie była zadowolona, kiedy Edward dał ją Amelii jako upominek przedślubny. Wiedziała, jak Amelia lubi wszystkie koty, a młody jaguar był zachwycający. Jednak kiedy dorośnie, stanie się potężnym zwierzęciem.

— Ja ją uczę — oświadczyła Amelia z dumą. — Zobacz, już chodzi przy nodze. — Kot poszedł za nią posłusznie i zatrzymał się, gdy przystanęła. — Jeszcze nie umie siadać, ale nauczy się. Nie powinnaś się martwić, Xaro, wielu ludzi trzyma w domu jaguary. Są naprawdę wierne swoim właścicielom.

Onca przeturlała się na grzbiet i usiłowała pochwycić wstążkę, którą Amelia poruszała nad nią.

— Onca — powiedziała z uwielbieniem. — Jesteś najmilszym prezentem ślubnym.

Roberto skierował się na targowisko. Mimo wczesnej pory pełne było kupców, tragarzy i klientów takich jak on, robiących zakupy dla sklepów, restauracji i hoteli. Była piąta rano, a on przychodził tu codziennie w ciągu **ostatnich** dwóch miesięcy, by uczyć się nabywać produkty dla *Hotel d'Aureville* i *Pavillonu*. Była to tylko

jedna strona tego, co Edward nazywał *nauką jego rzemiosła*. Trzymając ręce w kieszeniach przyglądał się, jak zastępca kierownika *Pavillonu* przebiera w stosach krewetek i sprawdza dojrzałość oberżyn. Ilości już z nim uzgodnił. Wiedział, że marnowanie czy nadmierne zakupy mogą spowodować ruinę finansową restauracji. W *Pavillonie* nigdy nic się nie marnowało, a jednocześnie wszystko było zawsze świeże.

— Wróć już do kuchni, senhor Roberto — rzekł młody kierownik. — Czekają tam na mnie.

Roberto wyprostował się. Codzienne wstawanie o wpół do piątej nie było łatwe. Jednak warto, pomyślał, przeciskając się przez gwarną ciżbę na ulicę. Żeby prowadzić hotel, trzeba poznać każdą stronę jego pracy, od zakupu jarzyn do nadzorowania restauracji, od właściwego witania gości po prowadzenie ksiąg rachunkowych. Gdy rozpoczął pracę w hotelu, odkrył że interesują go wszystkie aspekty działalności hotelarskiej. Oceniał, że dwa lata potrwa, zanim utworzy sobie drogę na *Rúa Ouvidor* i będzie mógł się nazwać dyrektorem hotelu. Wtedy będzie mógł pracować wszędzie — we Francji, w Szwajcarii, może nawet w Anglii. Poczul żal na myśl o straconej szansie Oksfordu. To wina Diega. Nie, to nieprawda. To jego własna słabość spowodowała, że nie poszedł na decydujące egzaminy. Ale zapłacił za to pracując przez te wszystkie miesiące na *fazendzie*.

Spojrzał na zegarek i pchnął drzwi *Café Miltinho*. Pora na szybką kawę przed powrotem.

Kawiarnia była zaskakująco pełna. Mieszananina ludzi z bazaru jedzących śniadanie przed dniem ciężkiej pracy, która dla wielu z nich rozpoczęła się o północy, i ludzi nocy, dla których właśnie się ona kończyła. Ich twarze przypomniały mu, jak sam wyglądał po takich nocach. Wstret i żal. Dzięki Bogu, wszystko to już przeszłość. Teraz jego życie to Amelia; jego urocze, proste, niewinne życie.

— O, witaj. — W znajomym głosie brzmiał uśmiech i bez podnoszenia oczu wiedział, do kogo należy. — Jakie to uczucie być zareczonym? Czy nie przypomina trochę tuczenia przed zarznięciem?

Roberto jednym łykiem przełknął gorącą kawę i z trzaskiem odstawił filiżankę na spodek. Diego położył mu rękę na ramieniu.

— Mogę się przysiąc? Chyba nadal jesteśmy przyjaciółmi? — Przynął się z krzesłem bliżej. — Miałem zamiar spotkać się z tobą, jak tylko zobaczyłem obwieszczenie, ale nie było mnie w mieście. Recife, Bahia... tu, tam, no wiesz.

— Jesteś zaproszony na ślub — odezwał się Roberto sztywno — wraz z rodzicami. Moja mama wysłała zaproszenie.

Oczy Diega pod gęstymi ciemnymi brwiami błyszcząły rozbawieniem.

— Wiem. A jak masz zamiar sobie z tym poradzić? Cóż, małżeństwo... Co noc ta sama kobieta...

Jasnoniebieskie oczy Roberta spotkały się z ciemnym spojrzeniem Diega i tysiące wspomnień przemknęło w tej wymianie.

— Powinieneś wiedzieć — rzekł Roberto oschle — że żenię się z Amelią, ponieważ ją kocham.

Odwrócił oczy, podniósł prawie pustą filiżankę i osuszył ją. Wszystko, byle tylko uniknąć oczu Diega.

— Miłość! — Diego prychnął pogardliwie. — Co znaczy miłość dla kogoś takiego jak ty? Wiesz, że jesteś inny. Obaj jesteśmy. Żeń się, ale będziesz żałował.

Przynął się bliżej i Roberto wyczuł w jego oddechu *cachacé*. Wiedział, jak musiał spędzić tę noc; niemal czuł smak piesszczot na ciele Diega.

Roberto wstał gwałtownie i odtrącił krzesło w pośpiechu. Zaczął gorączkowo przepychać się do drzwi między ludźmi odwracającymi głowy w zaciekawieniu.

— Przyjdę na twój ślub — mówił podążający za nim Diego — i potrafię się odpowiednio znaleźć. Możesz się nie obawiać. Ale mam kłopoty *z fazendą* i potrzebuję twojej pomocy.

Roberto nie zwolnił kroku i Diego mówił dalej, podbiegając obok niego.

— Chodzi o ojca — powiedział. — Wiesz, jak mu od lat ciężko. Nie rozumiem, dlaczego nie sprzedał *fazendy*, kiedy miał taką możliwość, ale on trzyma się jej wbrew wszystkiemu i calusieńką oddał w zastaw hipoteczny; co do hektara. Dom też. Teraz nie może zapłacić i poborcy straszą go, że przyjdą i zajmą dom.

Roberto stanął. Bonavente to najdawniejszy przyjaciel jego ojca. Dlaczego nie wie, że ma takie kłopoty?

— Ależ to strasznej musimy poprosić mojego ojca, by mu pomógł. Pożycz mi pieniądze na zapłacenie długu.

— No, tak... — Diego rzucił mu krótkie spojrzenie. — Właściwie to on to już zrobił. Tyle że po drodze się rozplynęły.

— O czym ty mówisz? Gdzie są pieniądze?

— Twój ojciec dał czek mnie, jako przedstawicielowi ojca w Rio. — Wzruszył ramionami i nikły uśmiezek wykrzywił kąćki jego ust. — Mam jego pełnomocnictwo. Łatwo było załatwić sobie wypłatę. Zrobiłem parę inwestycji, myślałem że będę miał fart, ale wygląda na to, że źle je oceniłem. No i wiesz, jak szybko topnieją pieniądze. Trochę tu, trochę tam...

— Przecież to nie były *takie sobie* pieniądze. Na litość boską, Diego, zrujnowałeś własnego ojca!

Diego uśmiechnął się. Szczupła, pociągająca twarz, słodka, nie skażona nocną hulanką ani najmniejszym bodaj wyrzutem sumienia.

— Znasz mnie, Roberto. Zawsze mówisz, że jestem nic niewart. Ale teraz jest problem poborcy. W ciągu kilku dni pojedzie na *fazendę*, by ją przejąć. Myślę, że gdyby udało mi się nie dopuścić, by tam pojechał, dogadałbym się z nim. Dałbym mu teraz trochę pieniędzy i przyrzekł, że później dam resztę, żeby tylko zbyć go na jakiś czas. Potrzebna mi twoja pomoc, Roberto.

— Nie — rzucił twardo Roberto, odwracając się. — Nie mam zamiaru ci pomagać.

— No tak, oczywiście. — Diego nadal szedł obok. — Chyba chcesz się ożenić z Amelią, co?

Roberto zwolnił kroku.

— O czym ty mówisz?

Zwróceniu do siebie twarzami nie patrzyli na przechodniów, potracających ich na ruchliwej ulicy.

— Nie chciałbym być zmuszony do powiedzenia jej prawdy o tobie, Roberto. Naprawdę pragnę, byście byli oboje szczęśliwi.

Uśmiech Diega był równie niewinny jak uśmiech dziecka, gdy z rękami w kieszeniach czekał na jego reakcję.

Roberto nie mógł zrozumieć, jak może być tak swobodny. Przecież szantazuje. Co on ma teraz zrobić? Co w ogóle może zrobić?

— To nie dla mnie. — Diego zmienił taktykę. — To dla ojca. Wiem, że nie miałem racji. Ale teraz muszę mu pomóc. I ty też musisz mi pomóc.

— Co mam zrobić twoim zdaniem? — spytał Roberto sztywno.

— Potrzebuję pieniędzy. Zdobądź, ile możesz. — Diego myślał o hotelowym sejfie. Teraz Roberto będzie musiał się na to zgodzić. — Istotną sumę, Roberto! — Nie chciał określać kwoty, wolał, by zrobił to Roberto. Czekał na jego reakcję, ale chłopiec milczał. — Chcę też, abyś pojechał ze mną na *fazendę* — dodał po chwili. — Będę potrzebował twojego poparcia przy rozmowie z tym poborca; może nie przyjąć mojego słowa. Powiesz mu, że jesteś zarządcą majątku twojego ojca, który działa jako poręczyciel. Tobie uwierzy.

Roberto zaciął wargi.

— Nie! Pieniądze ci dam, ale nie pojedę z tobą.

— Ależ pojedziesz. — Diego uśmiechnął się; wiedział, że wygra. — Będzie jak dawniej, Roberto. Tylko ty i ja.

Pomyślał jeszcze tylko, że dopóki z nim nie skończy, Roberto nie wróci do Amelii.

Diego był przemily. Uprzejmy, mówiący miękko, nic z dawnego zuchwalstwa. Zręcznie manipulował Robertem, przekonując go do wyjazdu na *fazendę*.

— Zmieniłem się — oświadczył. — Wiem, że źle postąpiłem i że muszę wszystko naprawić. Przyrzekam ci, że nigdy więcej niczego takiego nie zrobię.

Miał uśmiech zwyczajcy, ale w jego oczach była taka szczerłość, że Roberto zaczął się zastanawiać, co z tego jest prawdą.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, że jedziesz ze mną.

Położył rękę na jego ramieniu. Lekkie dotknięcie znajomej ręki odezwało się wstrząsem w całym ciele Roberta. Nigdy nie pozbył się tamtych wspomnień. Nie pomogło zepchnięcie ich do najdalszych zakamarków pamięci.

— Bądźmy znowu przyjaciółmi — przekonywał Diego. — Znamy się całe życie, zapomnijmy o tym co było. No, Roberto! — Dłoń Diega zacisnęła się mocniej. — Podajmy sobie ręce.

Pociąg dowiózł ich do pobliskiego małego miasteczka i na reszcie drogi wynajęli sobie konie. Jechali na przelaj, omijając długą drogę traktem, podczas gdy poborca musiał z niego skorzystać. Jechało im się łatwo, ale było bardzo gorąco i Roberto poczuł wielką ulgę,

gdy dotarli wreszcie do dróżki wiodącej wzdłuż plantacji Bonaven-
te. Do domu mieli jeszcze piętnaście mil, ale Diego zaczął okazywać
zaniepokojenie. Czyżby nie zauważyli poborcy? Puścił konia galo-
pem i chmura suchego pyłu uniosła się spod kopyt zwierzęcia.
W odległości kilku mil od dużego domu, przez szerokość leśnego
pasa otaczającego *fazendę*, dostrzegli mężczyźnę. Zapadał mrok
i najwyraźniej szykował się do noclegu. Koń stał spętany, a on
zbierał drewno, by dołożyć do niewielkiego ogniska. Na ich widok
podniósł rękę w powitaniu.

Diego zmierzył go z końskiego grzbietu chłodnym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, iż zdaje pan sobie sprawę, że znajduje się na
prywatnym terenie?

— Jadę na *fazendę*, senhor, ale nie chciałem przybywać tam
późnym wieczorem. *Patrdo* to starszy człowiek, nie chciałem go
niepokoić. Pojadę rano.

Diego z wściekłością zaciął mężczyźnę biczem i poborca za-
chwiał się pod nieoczekiwanym ciosem w bok głowy.

— Nigdzie nie pojedziesz — warknął Diego pogardliwie.

— Jezus, Maria! Diego! — Roberto wychylił się z konia. —
Co robisz? — wykrzyknął.

— Wynoś się, Roberto! Załatwię to po swojemu.

Diego zeskoczył z konia i podszedł do chowającego się za
Robertem człowieka.

— Chciałem sobie tylko z tobą porozmawiać o moim ojcu —
rzekł nieco już spokojniej.

Roberto patrzył na Diega z obawą. Wydawał się chłodny
i rozsądny, jakby przezwyciężył już wybuch pierwszej wściekłości.

— O pańskim ojcu? — powtórzył mężczyźna chrapliwym
głosem.

— O *patrdo*, z którym masz się spotkać rano — wyjaśnił
Diego i wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, pieniędzy Ro-
berta. — Mam zamiar zapłacić ci, co jesteśmy dłużni. Zdaje
się, że zależy ci tylko na pieniądzu, czy nie tak?

— To prawda, senhor. *Fazenda* nie ma dla nikogo zbyt wielkiej
wartości. Jeśli ma pan pieniądze, wolelibyśmy zapłatę.

Roberto patrzył na pieniądze w rękę Diega. Było to wszyst-
ko, co miał w banku. Wszystko, z czego pokrywało się wydarze-
nia rodzinne i prezenty urodzinowe; były w tym niewielkie

spadki po zmarłych ciotkach i zapis, który dziadek uczynił na jego rzecz, gdy się urodził. Przynajmniej, pomyślał z rezygnacją, pójdzie na dobry cel, jeśli pomoże uratować *fazendę* Teo Bonavente.

— Dobrze — zaczął Diego spokojnie. — Usiądźmy przy ogniu i porozmawiajmy. Mam ze sobą flaszkę, możemy się napić po jednym.

Podał butelkę mężczyźnie, który pociągnął głęboki łyk i zakaszał, gdy wódka spłynęła mu do gardła. Wytarł usta wierzchem dłoni. Diego podał butelkę Robertowi, a gdy ten potrząsał głową, sam pociągnął potężnie.

— Spójrzmy na papiery, senhor — zażądał.

Czekali w napięciu w rozbłyskach płomieni, gdy Diego sprawdził dokumenty. W panującej wokół ciemności przytłaczała ich wilgoć; ze stygnącej ziemi wydobywały się małe wstęgi pary. Poszycie lasu szeleściło nocnym życiem, gdzieś daleko ujadł pies.

Diego znów pociągnął z butelki.

— No cóż, człowieku — odezwał się, grzebiąc za pasem. — Mam te pieniądze przy sobie.

Niespodziewanie chwycił mężczyznę i odchylił mu głowę do tyłu. Cienki nóż błysnął przy gardle poborcy.

— Chcę twojego podpisu na tym, senhor — warknął, trzymając dokument przed oczami poborcy.

— Diego! Co ty robisz? — Roberto poderwał się na równe nogi.

— Stój! — ostrzegł Diego głosem równie ostrym jak nóż, który trzymał w ręku. Zadowolenie łączyło się z widniejącą w jego oczach groźbą i Roberto zatrzymał się w pół kroku, zdjęty nagłym strachem. — Mówiłem ci, że załatwię to po swojemu — rzekł Diego i odwrócił się do poborcy. — To zaświadczenie stwierdzające, że dostałeś pieniądze. Podpisuj.

— Ale pan mi nie zapłacił, senhor.

— Właśnie... Podpiszesz to, czy mam cię zabić?

— Podpiszę, jak da mi pan pieniądze. — Głos poborcy drżał.

Diego zaśmiał się i nacisnął nóż. Na szyi mężczyzny pojawiła się krew. Poborca szybko wyciągnął rękę po papier.

— Podpiszę go, senhor — powiedział cienkim z przerażenia głosem.

Diego zwolnił uścisk i podał poborcy pióro.

— Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze — zwrócił się do Roberta, błyskając zębami w uśmiechu.

Roberto odetchnął z ulgą.

Poborca trzymał papier w trzęsącej się dłoni. Diego przeczytał, złożył starannie i wsunął do kieszeni. Pochylił się do przodu i Roberto dostrzegł błysk noża. Jednym błyskawicznym ruchem przeciął gardło mężczyzny i krew trysnęła w płomienie. Mężczyzna osunął się bezwładnie w ogień. Roberto wydał ostry krzyk i chwyciwszy ciało, odciągnął je od ognia.

— Chryste Panie! Diego, coś ty zrobił! — krzyknął.

— Zabiłem go, ma się rozumieć — odparł Diego beznamiętnym tonem, wkładając nóż w płomienie, by go wyczyścić. — A co miałem zrobić?

— Powiedziałeś mi, że chcesz go przekonać, że porozmawiamy z nim i dojdziemy jakoś do porozumienia.

— Z tymi draniami nie dojdiesz do porozumienia. — Głos Diega był chłodny i spokojny. — Tylko zapłać albo... No i tym razem było *albo*. Co, nie widzisz, że mam podpisane pokwitowanie? Facet po prostu znika. Pomyśla, że uciekł z pieniędzmi, albo że został napadnięty. To się stale zdarza. Nikt nigdy się nie dowie, co zrobiliśmy.

— Zrobiliśmy?

— Przecież też tu byłeś! A może nie? — Diego zaśmiał się. — My obaj, Roberto. Uratowaliśmy *fazendę* mojego ojca, i tylko to się liczy. Teraz musimy tylko pozbyć się go.

Roberto spojrzął na skrwawione ciało u swoich stóp.

— Pozbyć się go? Ty zwariowałeś, Diego.

Trząsł się cały i szarpały nim mdłości.

— Wcale nie zwariowałem, jestem tylko po prostu praktyczny. Stał mi na drodze i spowodowałby mnóstwo kłopotów. To było doskonale rozwiązanie. A teraz chodź, pomożesz mi go pogrzebać.

— Nie mogę — wyszeptał Roberto. — Nie mogę tego zrobić.

Diego podszedł do ogniska i położył mu rękę na ramieniu.

— Oczywiście, że możesz — powiedział niemal po ojcowsku. — Daj spokój, to nie takie trudne. Wykopiemy dół i sprawimy mu przyzwoity pochówek. Nie możemy go tu tak zostawić, bo ktoś go znajdzie i będziemy mieli kłopoty. Poza tym nikt nie będzie wiedział, kto to zrobił. Czy to ty, czy ja.

Oczy Roberta rozszerzyły się z przerażenia, gdy Diego wyjął z torby przy siodle dwie łopatki.

— No, rusz się — rzucił ostro. — Trzeba zakończyć robotę.

Roberto uświadomił sobie, co się stało i zrozumiał sens całego wydarzenia. To nie był wcale akt przemocy pod wpływem chwilowego impulsu. Diego od samego początku planował to morderstwo. Zaplanował też wciągnięcie w to jego, tak by nie miał już żadnego odwrotu. W myślach Roberta wypłynęła niewinna, uśmiechnięta twarz Amelii. Dobry Boże! Stracił Amelię. Diego nigdy nie pozwoli mu odejść.

Wziął łopatkę i ruszył za nim w zarośla. Przenieśli razem ciało i złożyli w zacienionej mogile, po czym przykryli ją liśćmi. Skończyli i patrzyli po sobie w milczeniu.

— Jedźmy lepiej do ciebie — odezwał się wreszcie Diego, rozkopując nogą pozostałości ogniska. — Mój ojciec nie wie, że tutaj jestem, i lepiej, że tak jest. W ten sposób, gdy go o cokolwiek spytają, będzie mógł powiedzieć prawdę. Nikogo nie widział, a w domu był tylko z matką.

Jechali do domu do Santosów w milczeniu. Kiedy Roberto zobaczył wreszcie jaśniejsze okna, wydało mu się, że nic nigdy nie wyglądało bardziej przyjaźnie i bezpiecznie. Pomyślał z rozpaczą, że dla niego nic już nie będzie takie jak dawniej. To były najgorsze chwile jego życia.

Tia Agostinha była już bardzo stara, ale nadal królowała nad służbą. To ona wtoczyła się do hallu na powitanie.

— Roberto — rozpromieniła się, otwierając szeroko ramiona. — Co za niespodzianka dla twojej starej ciotki. — Chodź tutaj i pocałuj mnie.

— Jestem trochę brudny, Tia Agostinha. — Roberto pochylił się, by ją pocałować i wywinał się z jej objęć. — Przyjechaliśmy z daleka. Musimy się najpierw doprowadzić do porządku.

— A to kto? — spytała, wpatrując się w ciemność za nim.

— To tylko ja, Tia Agostinha — rzekł Diego, wchodząc do hallu.

— A, Diego. No to chodźcie obydwaj. Rzeczywiście, wyglądacie okropnie. Popatrzcie tylko na to błoto na podłodze. A co

to takiego? — Agostinha dotknęła marynarki Roberta. — Krew! Jesteś ranny?

— Nie, nie... — Roberto odsunął jej rękę. — Nie jestem ranny. Nic mi nie jest. To tylko skaleczenie. Pójdę się umyć.

— Skaleczenie? I tyle krwi?

Roberto opuścił wzrok na koszulę, gdzie krew poborcy zastygła ciemną, rdzawą plamą. Szarpnęły nim mdłości. Poczul, że musi natychmiast zdjąć wszystko, co ma na sobie.

Sebastiao otworzył drzwi gabinetu. Kto mógł przyjść o takiej godzinie? Wszedł do hallu i zobaczył bladego, zmiętego Roberta ze stojącym po prawej stronie Diegiem.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony. — Co wy tu robicie? Robert zachwiał się i kolana ugięły się pod nim.

— Agostinha, on jest ranny! — wykrzyknął Sebastiao, rzucając się ku osuwającemu się na podłogę bratu. — Dobry Boże, zobacz, w jakim jest stanie! Diego, co się stało?

— Spadł z konia — skłamał Diego bez zająknięcia. — Myślę, że był zmęczony i nie zauważył długiej gałęzi, gdy jechaliśmy przez las. Uderzyła go i zrzuciła z siodła. Dlatego jest taki ubłocony.

Sebastiao rozchylił koszulę Roberta i obejrzał nietkniętą pierś. Podniósł delikatnie ręce i sprawdził. Nie było żadnej rany. Roberto otworzył powoli oczy i z wielkim wysiłkiem usiłował się podnieść.

— Pomóż mi — polecił szorstko Sebastiao i Diego podszedł pośpiesznie. Postawili Roberta na nogi i na wpół zawlekli do małego biura, gdzie go posadzili w fotelu. Ogień migotał wesoło, chroniąc przed chłodem wilgotnej nocy. Agostinha krzątała się między nimi, przestraszona.

— Powiedz mi, co się stało, mój kochany — powiedziała. — Pozwól, niech ci stara ciotka pomoże.

Roberto giął się i ukrył głowę w dłoniach.

— Nic nie możesz zrobić — rzekł słabo. — Nikt nic tu nie może zrobić. Za późno.

— O co tu w ogóle chodzi? — zażądał wyjaśnień Sebastiao. — Radzę ci, Diego, abys powiedział. Cokolwiek to jest, jestem pewien, że to znów twoja sprawka.

— O czym ty mówisz? — postawił się Diego. — Nic się nie stało! Roberto jest po prostu zmęczony i zbyt dużo pracuje, to wszystko.

— On wcale nie spadł z konia i ty dobrze o tym wiesz — rzekł Sebastiao z groźbą w głosie. — Muszę wiedzieć, co się stało.

— Nic się nie stało, nic takiego...

— Ależ tak, Diego, stało się. — Roberto patrzył na niego z udręką.

— Roberto... — w oczach Diega malowało się ostrzeżenie.

Sebastiao podniósł rękę i dotknął rdzawych plam na koszuli Roberta.

— Czyja to krew? Na litość boską, co wyście zrobili?

— Powiem mu, Diego! Musimy mu powiedzieć, co się stało. — Roberto był nieugięty.

— Nic się nie stało! Nie wiesz, co mówisz, Roberto. Jest w szoku, nie widzisz! — W oczach mówiącego do Sebastiao Diega migotały złe błyski. — Spadł z konia. Wszystko będzie dobrze, tylko musi się dobrze wyspać.

Roberto wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

— Wyspać się! — wykrzyknął. — Dobrze się wyspać! Nigdy nie będę w stanie zasnąć.

Diego ruszył do drzwi.

— Powiedz mu, Diego, albo ja to zrobię!

Diego zatrzymał się z ręką na klamce. Tia Agostinha patrzyła na nich przerażona. Czuła w powietrzu zło i przemoc.

— Diego zabił go, Sebastiao! Zabił poborcę podatkowego — Roberto wyduszał chrapliwe słowa z zaciśniętego gardła. — Zmusił go do podpisania pokwitowania na pieniądze, a potem poderżnął mu gardło. To jego krew mam na sobie. Pomagałem Diego pochować go w lesie.

Cała czwórka stała sparaliżowana. Nawet Diego nie był w stanie się poruszyć.

— Ooo! — rozległ się w ciszy skowyt Agostinhy, podnoszącej ramiona ku niebu. — Morderstwo! To morderstwo!

Nim Diego zdążył nacisnąć klamkę, Sebastiao znalazł się przy drzwiach.

— O nie! — warknął gniewnie. — Zostaniesz tu, Diego.

Uśmiech czał się w kącikach ust Diega.

— To prawda — rzekł łagodnie. — Zabiłem go. Zrobiłem to dla ojca... Wiesz, że byłby stracił *fazendę*. Ona znaczy dla niego

wszystko, tak jak wasza. Od pokoleń należy do naszej rodziny. Gdyby ją stracił, życie nie miałooby dla niego sensu. Musiałem mu pomóc, Sebastiao. — Głos Diega był miękki, przekonujący. — Jak mogłem patrzeć na ruinę własnego ojca? Nie miałem zamiaru zabić tego człowieka, tak się po prostu stało.

— To nieprawda — przerwał Roberto zmęczonym głosem. — On zaplanował to morderstwo. Nie powiedział ci, że nasz ojciec dał mu pieniądze, by przekazał panu Bonavente na uregulowanie zaległości hipotecznych, a on je ukradł. Ukradł je naszemu ojcu, i swojemu. A kiedy stanął w obliczu tego, co się stało, postanowił zamordować. Zmusił mnie, namawiał, bym z nim pojechał, ale nie wiedziałem, co on zamierza. Przysięgam, że nie wiedziałem! Myślałem, że potrzebuje jedynie mojej pomocy w przekonaniu poborcy, by poczekał jeszcze trochę. Ja mu pożyczyłem pieniądze.

Sebastiao odwrócił się do Diega.

— A ty zabiłeś człowieka i zatrzymałeś pieniądze.

Diego wyciągnął z kieszeni dokumenty.

— Mam pokwitowanie — rzekł chłodno. — Jak wszyscy wiedzą, został spleacony.

— Ale my wiemy, że nie. — Głos Sebastiao wyrażał najwyższe obrzydzenie. Miał chęć uderzyć tę delikatną, uśmiechniętą twarz. Jak Roberto mógł dać się w to wciągnąć!

— Oczywiście — zauważył Diego z pewnością siebie — nic w tej sprawie nie zrobicie.

— Dlaczego tak uważasz?

— Ponieważ Roberto miał w tym równie duży udział jak ja. Zawsze mogę powiedzieć, że to on pchnął go nożem, że po prostu oszalał, że był pijany. Wiesz przecież, że twój mały braciszek zupełnie nieźle pociąga...

— Nigdy ci nie uwierzą — wykrzyknął wstrząśnięty Sebastiao. — Masz już w Rio złą opinię, policja będzie wiedziała, że to ty. Roberto nie jest bez winy, ale nie jest zabójcą!

Diego podszedł do kominka i lekko pochylony, kopnął z nonszalancją okrągłak w ognisko.

— Roberto ma jednak powód, dla którego nic nie powie. — Mam im powiedzieć? — zwrócił się do Roberta drwiąco.

Roberto wyglądał jak skazaniec, oczekujący na opadnięcie topora. Sebastiao patrzył na niego z litością. Myślał o Amelii, z taką

radością szyczącą się do ślubu, takiej uroczej w strojnej białej sukni; myślał o ojcu i matce. Diego dawał do zrozumienia, że są sprawy, o których nikt nie może się dowiedzieć. Nie wiedział, co to takiego, ale musiał coś zrobić, by go powstrzymać. Napełnił kieliszek koniakiem i podał Robertowi.

— Nie ma nic takiego, o czym bym już nie wiedział, Diego — zaczął — i bez względu na to, co masz do powiedzenia, zostaniesz aresztowany za morderstwo. Łatwo będzie wykazać, co stało się z pieniędzmi, które dał ci mój ojciec.

Diego wyglądał na zaniepokojonego. Jego groźba nie wywarła żadnego wrażenia.

— A co z przyszłym mężem Amelii? Tylko kilka tygodni pozostało do ślubu. A wasz ojciec — co z nim?

Wściekłość załaziła twarz Sebastiao. Chwyił Diego za kołnierz.

— Mój ojciec dał ci te pieniądze z przyjaźni. By uratować wasz dom, wasze życie. Twojego ojca! Jak śmiesz teraz mu grozić! I Amelii. Bardzo łatwo ją zranić, ale ty nie masz już nic do wygrania, Diego. Czy nie rozumiesz, że Roberto z tobą skończył?

— To prawda? — Diego szarpnął się i odwrócił do Roberta. — Czy to prawda, Roberto?

— Tak. Możesz mówić, co chcesz i robić, co chcesz. Nie chcę cię więcej widzieć. — Roberto przymknął oczy, jakby spodziewał się ciosu.

— Możemy zawrzeć umowę, Diego — odezwał się nieoczekiwanie Sebastiao. — Nic nie powiem, ale pod jednym warunkiem: że nigdy więcej nie zbliżysz się do naszej rodziny. Masz pieniądze Roberta. Wykorzystaj je na wyjazd z kraju. Jeśli nie, pójdę na policję. A teraz ostrzegam cię, Diego. Nie wyobrażaj sobie, że za kilka miesięcy pojawisz się znowu i nic się nie stanie. Masz się trzymać z daleka od Roberta i od Amelii. Na zawsze!

Diego zawisł oczami na twarzy Roberta, nadal siedzącego bezsilnie w wielkim fotelu. Nie mógł pozwolić sobie na wplątanie się w konflikt z prawem. Nawet gdyby przedstawił swoją wersję wydarzeń, w Rio i w Santos ciążyło na nim parę innych spraw. Spojrzał jeszcze raz na Roberta i ruszył do drzwi.

— Doskonale — zwrócił się do Sebastiao. — Wyjadę. Jutro wsiadam na statek. Napiszę do ojca i powiem mu, że dług został zapłacony przez senhora do Santos a i że spróbuje szczęścia w innym

kraju. Kto wie — dokończył z szerokim uśmiechem — może będzie zabawnie?

Agostinha cofnęła się pod ścianę, gdy przechodził, zabobonnie zasłaniając twarz fartuchem, by uchronić się przed złym okiem.

Roberto siedział wpatrzony w ogień. Tańczące płomienie migotały mu przed oczami, a on czekał na stuknięcie zamykanych drzwi. Wreszcie wszystko się skończyło.

— Nie mam zamiaru pytać cię o nic więcej — powiedział Sebastiao — ponieważ myślę, że na dzisiejszą noc masz dość. Nie chcę żadnych wyjaśnień. Nie chcę nawet wiedzieć, o czym mówił Diego. Wiem, że nie jesteś winien temu, co się stało dzisiejszej nocy, i to mi wystarcza. Ale o jedno cię proszę. Nie, ja cię ostrzegam, Roberto. Nic z tego nie może stać się powodem krzywdy Amelii. Cokolwiek zdarzyło się w przeszłości, nie może jej zranić. Czy jasno się wyraziłem?

Roberto skinął głową żałośnie.

— Wierz mi, Sebastiao, oddałbym wszystko, by nigdy nie spotkać Diega. Kocham Amelię, wiesz o tym. Nigdy nie zrobię nic, co by ją skrzywdziło.

Sebastiao uspokoił się.

— W porządku — rzekł, pomagając Robertowi stanąć na nogi. — Idź do łóżka i niech Agostinha da ci coś ze swych leków, abys mógł spać. Jutro zaczynamy wszystko od nowa.

62.

S lub we wspaniałym starym kościele *Nossa Senhora do Gloria* był radością i żądą z bogatych złotych i srebrnych rzeźb ołtarza nie promieniła większym blaskiem niż twarz Amelii, gdy przyrzekała swą miłość Robertowi. Kroczyła z ręką wspartą na jego ramieniu obstawionym kwiatami przejściem ku uśmiechniętym twarzom pięciuset krewnych i przyjaciół, i przy akompaniamencie wzruszającej muzyki organów szczęście otaczało ją niczym pulsująca aura.

Zagrzmiały dzwony i cudowna panna młoda wraz z nowożeńcem wyszła na światło słońca pięknego błękitnego dnia. Oboje byli młodzi, jasnowłosi i piękni.

Izabella wsparta na ramieniu Francisco Castello do Santosa szła za orszakiem sześciu małych druhen z rodziny do Santosów. Ze wzruszeniem patrzyła na tę scenę.

— Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić niż widok tych dwojga — rzekła cicho do Francisco. — Jest rzeczą słuszną, że tak się stało. Zawsze byli razem.

Francisco spojrział na syna z dumą.

— Cieszę się, że zatrzymał Amelię w naszej rodzinie. Nie mógłbym znieść jej straty. Teraz będziemy mieć wspólne wnuki, Izabello.

Roześmieli się na myśl, że mówią o wnukach, gdy orszak ślubny jeszcze nie opuścił kościoła. Wiedziała jednak, o czym myślał. Teraz, gdy Amelia wyszła za Roberta, rodziny do Santosów

i d'Aureville'ow połączone są czymś więcej niż tylko odległym pokrewieństwem.

Wielki namiot rozciągnięty od tarasu *Pavillon d'Aureville* przyłączył ogrody do restauracji i goście rozsiedli się kołem na drewnianej podłodze położonej na trawnikach, rozkoszując się wszystkim, co mógł dostarczyć na weselne przyjęcie *Pavillon*. Roberto zadał sobie wiele trudu, by znaleźć dobrych muzyków, więc dźwięki radosnych samb i pieśni karnawałowych przeplatały się teraz z walcami i romantycznymi melodiami z Europy i Ameryki.

Edward patrzył na swoją małą dziewczynkę: śliczna panna młoda, radośnie elegancka w szeleszczącej sukni, witała gości, śmiała się z Robertem z ich wspólnych żartów, kroїła tort i odbierała toasty i komplementy z prostym, niewymuszonym wdziękiem. Miał nadzieję, że zawsze będzie tak szczęśliwa jak tego dnia.

— Czy zatańczysz ze swoim starym ojcem? — spytał pełen smutku.

Oplół ją ramionami i uśmiechnął się do pięknych oczu.

— Wiem, że to brzmi jak banał, a ja zachowuję się pewnie jak każdy inny ojciec na weselu swej córki, ale wydaje mi się jakbym wczoraj niósł cię na rękach, a największym wydarzeniem tygodnia było wyróżnienie się twojego kolejnego ząbka, czy też dzień, kiedy po raz kolejny musieliśmy opatrywać twoje rozbite kolano.

Amelia oparła twarz na jego piersi. Czuła pod policzkiem szttywność wykrochmalonej białej koszuli.

— Jesteś najlepszym ojcem, jakiego mogłaby mieć dziewczyna. Co ja bym bez ciebie zrobiła? Pamiętasz, jaka byłam zazdrosna o twój ślub? Skąd mogłam wiedzieć, że ty i Xara czuliście się tak właśnie jak ja dzisiaj.

— Powiem ci w sekrecie, że gdyby to był kto inny, nie Roberto, byłbym bardzo zazdrosny.

Amelia zaśmiała się, mile polechtana.

— Cieszę się, teraz nie czuję się taka winna wobec ciebie i Xary. Czuję się jednak winna wobec mojej matki. — Przez jej twarz przemknął cień.

— Niepotrzebnie — rzekł Edward cicho. — Mogłaby przyjechać, ale według niej lepiej i bezpieczniej było tego nie robić.

Znów pomyślał o liście Leonii do niego. Nigdy nie uwolniła się od strachu, nawet teraz, kiedy monsieur stał się kaleką i samotnikiem. Nadal panował nad jej życiem.

— Pewnego dnia pojedziemy, by znów się z nią spotkać — powiedziała Amelia stanowczo. — Wie przynajmniej o Robercie, wie, za kogo wychodzę za męż. Za kogo wyszłam — poprawiła się ze śmiechem. — Edwardzie, bardzo chciałabym ją kochać. Cieszę się, że ją spotkałam, bardzo mi to pomogło. Myślę, że tak naprawdę to spotkanie z matką pozwoliło mi wreszcie dorosnąć. Kiedy przestała być dla mnie tajemnicą, poczułam się bezpieczna. Kocham ciebie i babcię, ale nie mogę powiedzieć, że kocham moją matkę. Czy to nie straszne?

— Nie, nie straszne. To zrozumiałe. — Edward uśmiechnął się do niej, dodając otuchy. — Kto wie, może pewnego dnia poznacie się lepiej. Ale, Amelio do Santos, to dzień twojego ślubu i powinnaś myśleć tylko o własnym szczęściu.

Biedna Leonia, myślał obracając Amelią, aż długa jedwabna spódnica unosiła się z szumem, a śmiejąca się dziewczyna oparła się mocno plecami o podtrzymujące ją ramię. Biedna Leonia, tak bardzo pragnęła tu być. Jest zawsze tą, która poświęca swe szczęście.

Z tłumu gości wyłonił się Roberto, by zabrać żonę.

— Czas się przebrać, Amelio, wkrótce wyjeżdżamy.

Wysunęła się z objęć Edwarda.

— Odszukam Xare, by mi pomogła — powiedziała, odwracając się do niego z ostatnim uśmiechem, i już jej nie było.

Edward pił szampana i patrzył posępnie przez ukwiecony namiot w stronę oceanu. Szmaragdowe fale z pysznymi białymi grzywami podwijały się miękko, po czym złagodniałe, zsuwały się powoli na białą plażę.

— Nie martw się — usłyszał za sobą głos Sebastiao. — Wszyscy ojcowie panien młodych przeżywają to tak jak ty.

Edward odwrócił się do niego z melancholijnym uśmiechem.

— Czy to widać?

— Masz to wprost wypisane na twarzy. — Sebastiao wyciągnął do niego pełny kieliszek. — Proszę. Utopmy nasze smutki w szampanie.

— A więc ty także? — Edward spojrzał na niego zdziwiony.

— Ja także. — Sebastiao oparł się łokciami na balustradzie. — Nie było mi sądzone. W istocie nigdy nie miałem szansy. Zawsze kochała Roberta. Ja byłem „dobrym przyjacielem” — powiedział, opróżniając kieliszek. — I mam zamiar nim pozostać.

— Nie miałem pojęcia, Sebastiao, że...

Głos Edwarda brzmiał miękko i Sebastiao podniósł rękę na znak protestu.

— Zwyciężają najlepsi — rzekł lekko. — Chodź, Edwardzie. Myślę, że czas już sypać ryż i płatki róż.

— Amelio — odezwała się Xara z wahaniem, gdy ta zapinała elegancką niebieską suknię. Podała jej odpowiednie bladoniebieskie pantofelki.

— Czy wszystko będzie w porządku? To znaczy, dziś w nocy? Amelia obróciła się na pięcie z szeroko otwartymi oczami.

— Myślisz o nocy poślubnej? — spytała rozpromieniona. — Oczywiście, że wszystko będzie dobrze, Xaro. Tak naprawdę, to nie mogę się tego doczekać! Od miesięcy już chciałam, by Roberto kochał się ze mną, ale upierał się, byśmy poczekali z tym do ślubu. — Chwyliła rękę Xary impulsywnie. — Czy to jest cudowne, Xaro? — spytała, łapiąc powietrze. Czy to jest najwspanialsza rzecz, jaka ci się w życiu przydarzyła?

— Kiedy kocha się kogoś, jak ty kochasz Roberta — odparła Xara łagodnie — wtedy tak.

Amelia zobaczyła nagle Edwarda w innym świetle. Ujrzała bardzo przystojnego mężczyznę, w którym była zakochana śliczna kobieta, jaką była Xara. Wsuwając stopy w niebieskie pantofelki uśmiechnęła się do Xary w poczuciu nowej wspólnoty.

— No, jestem gotowa. — Ucałowała Xarę nagle. — Dziękuję ci za wszystko. Bardzo się cieszę, że wyszłaś za Edwarda.

— Ja też. — Xara roześmiała się. — Teraz lepiej poszukam moich dzieci, zanim narobią zbyt wiele kłopotów.

Roberto czekał na Amelię przy schodach *Villi d'Aureville*. Poszli z powrotem przez ukwiecone ogrody do namiotu i oczekujących gości. Z Amelią trzymającą ślubny bukiet rozdawali pocałunki ostatniej chwili. Nim odeszli, Amelia odwróciła się ze stopnia zaprzęzonego w parę cudownych białych koni powozu i rzuciła lekko bukiet w stronę gości. Wśród wybuchów śmiechu kwiaty znalazły się w rękach Sebastiao, który przekazał je drobniutkiej druhnie.

— Masz, malutka — powiedział. — Zachowaj go. Pewnego dnia ty też będziesz szczęśliwą panną młodą.

— Do widzenia, do widzenia — przecinały powietrze radosne okrzyki. Powóz przejechał aleję i ruszył nad oceanem w stronę nabrzeża, skąd statek miał ich zabrać do Nowego Jorku. Mieli udać się przez Florydę do Key West i *Villa Encantanda*.

— I cóż, senhorą Castello do Santos?

— I cóż, senhor Castello do Santos?

Uśmiech połączył ich z przyszłością. Ona była jego żoną, on jej mężem. A on nigdy nie pozwoli jej odejść.

Amelia wahała się. Czy powinna włożyć wykończoną koronką *écru* zieloną satynową w cienkie paseczki, czy też białą, opadającą fałdami do wysokiego kwadratowego karczka haftowanego w maleńkie kwiatki? Zirytowana nagle dotykiem satyny wciągnęła przez głowę białą koszulę i spojrzała w lustro. Tak, ta powinna być dobra. W każdym razie wszystko jest przykryte. Podciągnęła do góry haleczkę, by ściągnąć majtki i zatrzymała się z ręką na pasku. Spojrzała w lustro. Czy nowo poślubiona mężatka powinna zostać w majtkach? Co robić? Och Xaro, pomyślała. Gdybyś tu była, tyle pytań bym ci zadała. Opuściła spódnice, postanawiając ich nie zdejmować. Gładziła niecierpliwie elektryzujące się od szczotkowania włosy. Dlaczego właśnie dzisiejszej nocy są takie niesforne? To zapewne morskie powietrze. No cóż, to wszystko. Nie ma powodu, by zwlekać, a w pokoju obok czeka Roberto. Wciąż nie mogła się zdecydować. To śmieszne, powiedziała sobie twardo. Przecież to nie obcy człowiek, tylko Roberto. I czyż na to nie czekała, nie pragnęła tego? Tylko że teraz wszystko stało się faktem i było inaczej.

— Amelio, czy wszystko w porządku?

Głos Roberta przypląnął do niej z daleka. Wyprostowała ramiona i chwyciła powietrze.

— Jestem — obwieściła, krocząc boso przez sypialnię.

Przyczesany starannie Roberto miał na sobie niebieską piżamę. Pachniał cytrynową wodą kolońską.

— Wyglądasz ślicznie — powiedział.

— Ty też — odparła cichutko.

— I na przestraszona — dodał jeszcze.

Spojrzała na niego w poczuciu winy.

— Wszystko jest dobrze — rzekł miękko. — Jesteś zmęczona i obydwoje wypiliśmy troszkę za dużo szampana. Może usiądziesz

tu przy mnie, tak jak siadywaliśmy jako dzieci? Pamiętasz? Zawsze szeptalaś mi w łóżku wszystkie swoje sekrety.

Leżeli obok siebie patrząc w sufit. Otoczył ją opiekuńczo ramieniem. Duży statek kołysał się lekko pod nimi i Amelia czuła, jak uspokajają się napięte mięśnie.

— I jak dzień ślubu, senhora do Santos?

— Cudownie — rzekła cicho. — Śliczny był kościół z tymi białymi kwiatami; i takie słodkie druhny w różowych sukienkach z falbankami i w satynowych pantofelkach ze wstążeczkami oplatającymi ich malutkie nóżki; i babcia taka elegancka w liliowej sukni i tym cudownym wielkim kapeluszu; i Luiza z Francisco; i Xara... Tylko Xara mogła włożyć na ślub czerwień; wyglądała jak z obrazu Goi. I Edward... Wiesz, strasznie mi go żal. Był taki smutny, jakby tracił mnie na zawsze. Ale powiedziałam mu, że to nieprawda. Wiem, że jest najlepszym ojcem, jakiego może mieć dziewczyna.

— I czym jeszcze byłaś zachwycona? — spytał, głaszcząc jej włosy.

— Czym jeszcze? Och, już nie pamiętam. Chyba wszystkim.

— A co ze mną?

Amelia odwróciła się w jego ramionach i pocałowała go lekko.

— Wiesz, że cię kocham.

— Powiedz mi to jeszcze raz — zamruczał, całując jej powieki.

— Kocham cię — wyszeptala.

Jego skóra tak miło pachniała. Przesuwał językiem po jej powiekach, a ona uniosła twarz do pocałunku. Usta Roberta zamknęły się na jej wargach i poczuła, jak coś się w niej budzi. Zaczął pieścić ręką jej szyję i pomyślała, że tak właśnie musi wyglądać niebo. Podniósł jej gęste włosy i ukrył twarz w ciepłym miękkiego karku. Trzymał ją tuż przy sobie i całował z nieprawdopodobną czułością. Amelia wstrzymywała oddech w oczekiwaniu. Kochała go tak bardzo, że jego ręka na piersi stanowiła dla niej najbardziej naturalną z możliwych rzeczy i odczuć. Bóg chciał, by tak wyglądała miłość. Nic poza tym nie miało znaczenia. Jej opory pierzchły, ciało dziewczyny dało mu odpowiedź i przywarła do niego mocniej. Wszystkie obawy o koszulki i majtki przestały istnieć; ledwie zauważyła, że ich nie ma, i gdy oboje byli już nadzy, instynktownie poszukała go drżącą ręką.

Dla Roberta po raz pierwszy seks łączył się z miłością. Odepchnął mroczne wspomnienia brutalnych namiętności. Czułość i szacunek, jakie żywił dla Amelii, sprawiły, że stał się najsubtelniejszym, najbardziej rozumiejącym kochankiem. Amelia leżała pod nim, nie zdając sobie sprawy, że uśmiecha się przyciskając go mocno. To było cudowne i zawsze wiedziała, że tak właśnie będzie. Nie wiedziała, czy czuła to, co robił na koniec, ale kiedy otworzyła oczy i ujrzała jego napiętą od namiętności twarz, wiedziała, że to jest cudowne.

63.

Nil zawsze był głównym gościńcem Egiptu, ruchem ulicznym feluk z łańcuchem ożaglowaniem, które wyglądały tak samo jak przez mijające wieki i dynastie. Leonia już od świtu siedziała na pokładzie pięknej łodzi mieszkalnej w Luksorze i patrzyła, jak pierwsze promienie słońca złocą masywne urwiska Dejr-el-Bahari i Doliny Królów na zachodnim brzegu rzeki. Znalazła się tu zarówno z powodu miejsca, z którego mógł pochodzić jej ojciec, jak też z powodu Sechmet.

— Bahri — powtórzyła, gdy ślęczeli z Jimem nad mapą, którą odkryła w angielskiej księgarni w Nicei miesiąc temu. — Czyżby mój ojciec stąd pochodził? To podobieństwo brzmienia jest zbyt niezwykle, by stanowiło jedynie zbieg okoliczności. Może mam tu krewnych... Może nawet mój ojciec powrócił i żyje tu?

— Zrozum, że to nieprawdopodobne. — Jim jak zwykle myślał racjonalnie.

— Tak, ale może jednak...

W oczach Leonii jaśniała taka nadzieja, że nie mógł odbierać jej złudzeń. Wystarczy jej tego później. Tylko on wiedział, jak bardzo przeżyła to, że zrezygnowała z udziału w ślubie Amelii. Poza faktem, że nie przestawało być dla niej realne niebezpieczeństwo, którego tyle lat się obawiała, oboje zdawali sobie sprawę, że sytuacja jest nie do przyjęcia. Leonia doceniała dobre intencje zaproszenia d'Aureville'ów, ale starczyło jej taktu i siły ducha, by pozostać w cieniu. Jim doskonale wiedział, jak ją to bolało,

i wdzięczny był losowi, że pragnienie odnalezienia własnej przeszłości a także chęć zobaczenia Sechmet odwróciły jej myśli od córki.

— No dobrze — zgodził się wreszcie. — Jedźmy do Egiptu. Zobaczymy świątynię Ptaha i słynny posąg Sechmet. Raz na zawsze usuniemy ją z twoich myśli. — Był to czas, gdy Leonia uleczona już była ze swej wiary w to, że Sechmet rządzi jej losem.

Leonia przeniosła wzrok na pobliski brzeg. Ominęła oczami grupę łodzi mieszkalnych, gdzie służący w czerwonych fezach krzatali się przy myciu pokładów i polerowaniu błyszczących już mosiężnych poręczy, i zatrzymała się na widok pustyni, która uwalniała wreszcie swe długo skrywane skarby i tajemnice bogów zadziwionemu światu. Ale nie jej tajemnicę. Byli w Luksorze już trzy dni, a ona nie zdobyła się jeszcze na odwiedzenie świątyni Ptaha. Nie zobaczyła jeszcze posagu Sechmet. Nie rozumiała, dlaczego to odkłada. Ciągłe mówiła sobie, że chce najpierw dowiedzieć się czegoś o swej rodzinie, poczuć się bardziej Egipcjanką, bliższą swych korzeni i własnej przeszłości. Tylko czy tak było naprawdę? A może to strach? I jeśli to strach, to czego ona się boi?

— Leonio. — Jim ukazał się na pokładzie. W rękę trzymał filiżankę z gęstą czarną kawą. Spróbował, skrzywił się, po czym usiadł obok żony. — A więc, jakie masz plany na dzisiaj?

— Myślę, że moglibyśmy zwiedzić Dolinę Królów, podobno grobowce są fascynujące.

Popatrzył na nią sceptycznie.

— Nie Sechmet?

— Nie dziś, Jim.

Dobre i to, pomyślał, pijąc kawę. Grobowce będą przynajmniej bardziej interesujące niż użeranie się z bezmyślnymi urzędnikami w rozsypujących się biurach, gdzie ospałe wentylatory nie były w stanie rozpedzić przygniatającego upału, unosiły jedynie warstwy delikatnego pyłu z wysuszonych dokumentów przeszłości. Stosy papierów pokrywały szafki i podłogi i przyczajone w kątach przypominały przewracające się, obłe wieże. Może któryś z tych kruchych, zapyłonych dokumentów zawierał dzieje narodzin i śmierci rodziny o nazwisku Bahri, ale Jim był pewien, że nigdy go nie znajda.

— Myślę, że moglibyśmy udać się do którejś z tych wiosek — powiedziała Leonia. — Porozmawialibyśmy z ludźmi, zapytali, czy nie znają jakiejś rodziny o nazwisku Bahri.

— Wezmę przewodnika, który będzie dla nas tłumaczem — zdecydował się Jim — ale nie chcę, abyś podsycała w sobie zbyt wiele nadzieję. Bardzo cię o to proszę.

— Dobrze — westchnęła.

Habib Yassin miał dopiero dwadzieścia cztery lata, ale był już doświadczonym przewodnikiem. Jak powiedział swoim klientom, bardziej czuł się w domu w grobowcach i świątyniach przeszłości aniżeli we własnym mieszkaniu.

— Urodziłem się nie w tym wieku, co trzeba — mówił, czyszcząc okulary o koszulę, gdy zmiierzali w stronę Doliny Królów. — Powinienem żyć w czasach XVIII Dynastii. Może zresztą żyłem.

Leonia spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— O czym pan mówi, Habib?

Habib umieścił okulary na potężnym nosie. Zza grubych szkieł okragle jak dwie wiśnie ciemne oczy jaśniały entuzjazmem.

— Starożytni Egipcjanie wierzyli, że człowiek po śmierci przemierza świat podziemny i jeśli przetrwa tę podróż, narodzi się znowu. Czuję się tak w świecie starożytnej kultury, że czasem wydaje mi się, iż tak właśnie było ze mną. — Uśmiechnął się do Leonii wesoło. — Zrozumie pani, o czym mówię, gdy zobaczy pani grobowce.

Ani opowiadanie Habiba, ani żadna z ilustracji i książek nie przygotowały ich na ogrom tego, co sami ujrzeli. Wspaniałe świątynie grobowe króla Mentuhotepa i królowej Hatszepsut wynurzały się ze skalistego podłoża masywu kotliny Dejr-el-Bahari, wzbudzając grozę swą potęgą.

Jim wziął Leonię za rękę, a Habib snuł opowieści sprzed i 100 roku przed naszą erą, jakby wszystko działo się wczoraj. Człowiek uginał się pod ciężarem mrocznego majestatu miejsca, które było jednocześnie tak stare i tak bezpośrednio bliskie.

Leonia wpatrywała się przez unoszący się w powietrzu świetlny pył w malowane fryzy. Jarzyły się jasno: terakota, koral, turkus i złoto.

— To nie są po prostu opowieści i legendy — rzekł cicho idący obok niej Habib. — Ci ludzie żyli. Królowie władali tymi ziemiami. Mieli dzieci, pałace i swoich bogów. — Wskazał palcem szczegóły fryzu. — Ten człowiek z wołami, którego pani tu widzi, istniał, uprawiał tę ziemię, był właścicielem tych wołów... No i wyglądał dokładnie tak, jak został przedstawiony.

— Wydaje mi się, jakbym go znała — powiedziała Leonia ze ściśniętym gardłem.

— Historia jest ponadczasowa, gdyż żyje w każdym człowieku — zauważył Habib. — Każdy z nas został ukształtowany przez wydarzenia przeszłości.

— Czy pojedzie pan z nami? — spytała nagle Leonia. — Do wsi. Muszę odnaleźć moją własną przeszłość.

— Oczywiście, madame — zawahał się. Jim wytłumaczył mu jej misję i on także uznał ją za daremną.

— Te wsie nie są już tym, czym były kiedyś. Wielu ludzi odeszło szukać pracy w miastach. Rozproszyli się w Kairze i w Aleksandrii. Zostało tylko to, co martwe. — Habib wskazał ręką grobowce.

Leonia i Jim wymienili spojrzenia. Wzruszył ramionami, ale nie rzekł ani słowa.

— Przecież możemy spróbować — powiedziała z uporem. — A potem udamy się do Karnaku.

I wreszcie do Sechmet, pomyślał Jim.

Leżała na łóżku wpatrzona w sufit. Gorącą popołudniową ciszę zakłócało jedynie miarowe furkotanie skrzydeł wentylatora pod sufitem i cichy plusk wody o łódź. Nagie ciało śpiącego na brzuchu obok niej Jima lśniło od potu. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć. W panującym upale nie można było leżeć blisko siebie, tak jak mieli we zwyczaju, i brakowało jej tego bezpośredniego fizycznego kontaktu. Dlaczego zmusiła go do tego daremnego trudu? Teraz wiedziała już, że nigdy nie odnajdzie swej rodziny. Wsie działały na nią przygnębiająco. Przytłaczające, wszechogarniające ubóstwo. Nie przybliżyła się do swych korzeni. Widok odzianych w czarne szaty starych kobiet w domach z wypalanej gliny, teraz już niezatarte wbity w jej mózg, sprawił, że poczuła się bardziej obca

niż wtedy, gdy było to dla niej tylko zawieszonym w pustce marzeniem. Jeśli to była jej przeszłość, nie czuła się jej częścią.

Co innego Kair. To było zrozumiałe. Miasto z gorącymi, zatłoczonymi ulicami i tajemniczymi pustymi alejkami, bazarami pełnymi wspaniałości i przypraw, tandetnych pamiątek i starych skarabeuszy, ponurych sklepików, których wąskie wejścia wiodły niczym tunele do mrocznych, cienistych pomieszczeń, gdzie handlowano wszystkim... Eleganckie kobiety z włosami barwionymi henną i ubrane w suknie przywiezione z Paryża, ale używające pochodzących z tutejszych bazarów kosmetyków i perfum; miejscy biznesmeni, przystojni w świeżo wyprasowanych garniturach i słomkowych kapeluszach, kupujący dla swych pulchnych kochanek złote błyskotki od rzemieślników, którzy siedząc ze skrzyżowanymi nogami na matach wyrabiali śliczne kolczyki i naszyjniki według zawitych starych wzorów...

Leonia westchnęła. Czuła się częścią Kairu, ale tego — nie. Wiedziała, co miał na myśli Habib. Dolina Królów była bardziej żywa niż te wsie. Może jej ojciec żył w którymś z takich miejsc i uciekł przed wyjąławiającym zaciskaniem się macek przeszłości. Nie potrafiła wyobrazić sobie tutaj swego ojca. Łatwiej było jej myśleć o nim jako o buńczucznym młodym siłaczem, czarującym wpatrzony w niego oczy dziewcząt na widowni, gdy galopował po arenie na końskim grzbiecie, czy też mającym jakiś stragan w mrocznych alejkach na bazarach Kairu.

A co z Sechmet? Czy to też tylko majak? Nagle zrozumiała, że nie może dłużej czekać. Pojedzie do świątyni Ptaha teraz, tego popołudnia. Spojrzała na śpiącego obok Jima. Lepiej będzie, jeśli wybierze się sama.

Zsunęła się ostrożnie z łóżka i spojrzała na zegar. Czwarta trzdzieści. Do piątej słońce straci trochę ze swej mocy. Wiedziała też, że o piątej znajdzie Habiba w kafejce przy przystani.

Habib podniósł nad głową Leonii parasolkę od słońca. Długa aleja nie była wysadzana drzewami. Przez całą drogę do świątyni Mut prowadziły ich stojące po bokach królewskie sfinksy z głowami baranów. Słońce paliło nadal i pod delikatnym muślinem sukni Leonia czuła spływające jej po plecach maleńkie strużki potu. Szli, by zobaczyć hieroglify we wrotach świątyni, te same, które miała wypisane na swoim posążku Sechmet.

Habib zaczął opowiadać zawiłe dzieje świątyni.

— Często wielkiego faraona obwoływano po śmierci bogiem, tak że stawał się połączeniem władcy i boga. Tak też było po śmierci króla Amona i jego imię zostało połączone z imieniem boga słońca Ra. Stało się imieniem Amona-Ra. Bogini Mut była jego małżonką i symboliczną matką bogów. Ta świątynia, teraz niestety już w ruinie, została wzniesiona przez króla Amenhotepa III i zastąpiła wcześniejsze zabudowania, znajdujące się na tym terenie. Mut oraz Bastet, święty boski kot starożytnych Egipcjan, byli ściśle związani z Sechmet. W tej świątyni znaleziono bardzo wiele małych posążków Sechmet. Niektórzy mówią, że ponad sześćset i stąd prawdopodobnie pochodzi pani posążek, madame.

Świątynia była rozsypującą się ruiną i tylko niżej położone pozostałości wskazywały na jej dawną wielkość i wspaniałość, wraz z jej widokiem rozsypały się również nadzieje Leonii. Kolumny wejściowe były złamane i mocno zerodowane, tylko na kruszącym się kamieniu nadal widniały ślady hieroglifów.

Habib tłumaczył, wodząc palcem po pływającej powierzchni.

Modlitwa do Sechmet

Ty, która jesteś małżonką wszystkich bogów

Ty, która tchniesz oddech życia

w nozdrza swych umiłowanych.

O wspaniała w swej mocy

która chronisz ziemię

obrończyni tych, których kochasz

Sechmet o straszliwych oczach

Pani rzezi

Zwiastunko zarazy i śmierci.

Sechmet, wielka małżonko najpotężniejszego

Ty, która zsyłasz ogień na swych wrogów.

Twoi wrogowie przepadną...

Pozostała część wiersza zniknęła jak pył w wietrze pustyni. Leonia patrzyła na tajemnicze znaki wyryte tu przez dawno zmarłego mistrza, a uprzejmy młody Egipcjanin tłumaczył dla niej nieme przesłanie z głębi wieków. To stąd pochodził jej posążek,

choć nigdy nie dowie się, jak jej ojciec wszedł w jego posiadanie. Przesunęła palcami po konturach hieroglifów. Kamień wydał się jej ciepły i żywy.

Teraz mogła wreszcie zobaczyć Sechmet.

Świątynia Amona była ogromna. Wspaniałość jej kolumn mniej ucierpiała od działania suchych pustynnych wiatrów. Gdy szli przez dziedziniec, Leonii zaparło dech w piersiach z zachwyty.

Habib prowadził ją przez sześć świetnych kolumnowych przejść, aż znaleźli się na dziedzińcu świątyni boga Ptaha. Leonia poczuła przebiegający jej po plecach chłód. Słońce zsuwało się za horyzont, ale złotawe promienie wciąż rozświetlały widok. Dlaczego w takim razie odczuwa strach? To po prostu świątynia i wiele czasu upłynęło od dnia, kiedy ludzie zanosili tu modły.

Podenerwowana szła za Habibem do najdalszej północnej sali, drżąc w nagłym chłodzie grubych kamiennych murów.

— To sanktuarium Ptaha, niestety już bez dawnego splendoru. — Habib poprowadził ją przez następną salę. — A to sala poświęcona Hathor, pysznej bogini miłości.

Kamienne mury były suche i kruche, ale wciąż zdawały się wydzielać wilgoć, której nikłe światło słoneczne przeciskające się przez niewielkie szczeliny w ścianach i w sklepieniu nie było w stanie pokonać. Leonia pożałowała nagle, że nie ma tu Jima. Ruszyła niechętnie do trzeciej sali.

— Tam, madame, znajdzie pani wielki posąg Sechmet. Jest wykuta w granicie i została postawiona przez króla Totmesa III z XVIII Dynastii...

Leonia ledwie słuchała jego wyjaśnień. Nagle owładnęło ją wrażenie, że wszystko to pomyłka. Zapragnęła odejść, uciec stąd. Nie mogła jednak, musiała ją zobaczyć.

Postąpiła w stronę cienistego wejścia, opierając dłoń o wilgotny mur.

— Proszę poczekać, madame. Pójdę z panią — zawołał Habib.

— Nie, proszę, nie. Chcę wejść sama.

Przymknęła oczy, by przyzwyczaić je do mroku i wilgotne powietrze wcisnęło się przez opuszczone powieki. Coś zaszeleściło

i Leonia otworzyła oczy przestraszona. Bezpośrednio przed nią, niczym jakaś przerażająca zjawa z innego świata, jawiła się potężna figura Sechmet. Instynktownie cofnęła się o krok, walcząc z zalewającym ją dławiącym strachem.

Nikły snop światła przeszywał mrok sącząc jeden promień na lwią głowę bogini. Nad piękną twarzą ze stylizowaną grzywą widniał słoneczny dysk, symbolizujący powiązanie z bogiem słońca i połyskiwał jak pylista korona. Ciało wyrzeźbione było twarde, choć z krągłymi, wysokimi piersiami i łagodnymi ramionami było bardzo kobiece. Jako bóstwo chroniące życie, Sechmet w prawej dłoni trzymała jego symbol, klucz do życia, w lewej zaś zwój papirusu, wskazujący na moc sprzyjania rozkwitowi życia.

Leonia ponownie postąpiła do przodu, zafascynowana, wabiona przez posąg jego urokiem. Teraz była już pewna, że nie ma się czego obawiać. To jedynie ciemność i nieprawdopodobna wielkość posągu zrodziły jej niepewność. Podniosła wzrok i spojrzała w twarz bogini. Granit był gładki i obojętny.

— Jestem tu — wyszeptwała. — Nie wiem, czego od ciebie oczekuję, ale przyszłam wreszcie.

Pozbawiona wyrazu lwia twarz trwała nieporuszona i Leonia podeszła jeszcze bliżej. Zbliżyła się na wyciągnięcie ręki, musiała tylko sięgnąć. Zrób to, powiedziała sobie. Przez wszystkie te lata myślałaś o Sechmet. Więcej — myślałaś, że Sechmet ma nad tobą władzę, że twój los jest z góry określony. Dotknij jej.

Pogładziła gładką granitową dłoń. Kamień był lodowato zimny, ale Leonia poczuła w palcach ogień. Krzyknęła z bólu i zachwiała się, usiłując się cofnąć. Nie mogła się poruszyć. Cienie zawirowały wokół niej i opadła na kolana, przywierając do wyciągniętej ręki bogini. Mózg jej wypełniały dziwne dźwięki, kolory i gorąco. Po chwili wszystko ustąpiło, przyszło uspokojenie, ból w palcach znikł, tylko w ręce pozostało kojące ciepło z granitowej dłoni. Podniosła głowę i spojrzała w oświetloną ostatnim promieniem słońca twarz Sechmet. Wiedziała, że nie myliła się przez te wszystkie lata. Nie było sposobu dowiedzieć się, jak czy też dlaczego była może związana z Sechmet w swym poprzednim życiu, ale cokolwiek to było, musi się z tym pogodzić.

Granit wznosił się nad nią lodowato zimny jak przedtem. Cofnęła rękę i wstała z kolan. Jeśli przyszła tu, pragnąc uwolnić

się od ciężaru przeszłości, nie osiągnęła celu, pogodziła się jednak z tym, co miała przynieść jej przyszłość, bez względu na to, co to miało być.

Wycofując się od posagu doszła do wyjścia i rzuciwszy przez ramię ostatnie spojrzenie, wyszła na ciepłe powietrze wieczoru. Spojrzała na rękę. Była obrzmiała, z posiniaczonymi palcami.

— Czy dobrze się pani czuje? — Habib patrzył na nią z obawą.

— Tak, naturalnie.

Odetchnął z ulgą.

— Dziwne opowieści krążą o tym posagu. Już się zacząłem **O** panią niepokoić. Długo pani nie wracała.

— Dziwne opowieści? — powtórzyła.

— Sechmet to potężna bogini i jej działanie wciąż jest odczuwalne. Były zamachy na posag. Wielu ludzi uważa, że jest ona uosobieniem zła. Są nawet tacy, co przysięgają, że posag wyciągał ramiona i dotykał ich, niektórzy w jego obecności popadali w omdlenie.—Okulary Habiba błyszczały w ostatnich promieniach słońca, kryjąc jego oczy. — Kto wie — kontynuował — czy to dobro, czy zło, ale bez względu na to, w jaki sposób Sechmet oddziałuje na ludzkie życie, jest wszechmocna.

Leonia milczała, wyczerpana tym, co przeżyła. Habib patrzył jak przysiadła na kamieniu.

— Sechmet była doskonałą kochanką — dodał łagodnie. — Pozwalała każdemu mężczyźnie zobaczyć w sobie to, czego w niej szukał.

— Powinnaś była pozwolić, bym z tobą poszedł — powtórzył Jim już chyba dziesiąty raz.

— Jim, musiałam iść sama. Nie pytaj mnie, dlaczego. Po prostu wiedziałam, że muszę.

— A teraz powracasz z tą nieprawdopodobną opowieścią!

Leonia spojrzała na rękę. Fioletowe piętna znaczyły zewnętrzzną krawędź. Czyżby się myliła? Czy potknęła się tylko i wyciągnęła rękę, by uchronić się przed upadkiem? Tak właśnie uważał Jim.

— Zabiorę cię tam jeszcze raz — powiedział zdecydowanie. — Pójdziemy razem i wtedy zobaczymy, co zrobi Sechmet!

Leonia patrzyła przez okno. Była ósma rano i słońce świeciło jasno. Zapowiadał się kolejny gorący dzień. Nagle poczuła dojmującą tęsknotę za swojskim widokiem zajazdu. Dość już miała tego surowego, spieczonego słońcem pustynnego świata i jego wiekowych snów.

— Nie, wystarczy. — Westchnęła. — Proszę cię, Jim, zabierz mnie do domu.

Patrzył w jej twarz badawczo, pragnąc zrozumieć jej prawdziwe uczucia. Wydawała się spokojna, jasno myśląca, nawet zadowolona.

— Dobrze, pani Jamieson—powiedział z ulgą.— Pakuj swoje skarby. Jedziemy do domu.

64.

Hotel przy *rue Delamberts* wyglądał szaro i Diego rozglądał się po wstępnym korytarzu ze złością. Do diabła, co on robi w takim miejscu? Stara kobieta za brudnym kontuarem pchnęła ku niemu klucz bez uśmiechu, a on podał jej kilka franków opłaty za noc. Nienawidził Paryża, Francuzów również. Chodnik we wzorki na schodach był wydeptany przez przemierzające go wiecznie niezliczone stopy i wesoła niegdyś czerwień, wtopiona teraz w brudne tło, nabrała odcienia martwego, zszarzałego brązu. Obok niego przebiegła kobieta w kwiecistej sukni. Jej papieros zostawił w powietrzu gryzący ślad niebieskiego dymu. Diego odprowadził ją wzrokiem. Wyszła przez otwarte na oścież drzwi i na ulicy spojrzała najpierw w prawo, potem w lewo, po czym ruszyła w dół. Wiedział w jakim rodzaju hotelu się znalazł. Oceniał spojrzeniem kobietę. Może tak udałoby się zdobyć trochę pieniędzy. Szlag by to! Alfonsi, których widział w barach, zabiliby go. Zresztą, to żadna forsza. Jemu potrzebne są prawdziwe pieniądze, takie, za które człowiek je kolację w *Ritzu*, a nie pije w tanim barze.

Lichy zamek odskoczył lekko i Diego ogarnął wzrokiem swój pokój. Na obdrapanej komodzie stała miednica w różowe kwiatki, dzbanek, leżał też mały, biały kiedyś ręcznik. Pod ponurym oknem, którego mizerna stora przysłaniała przygnębiający widok muru innego budynku, stało krzesło. Diego zapalił światło i zwieszająca się pod sufitem goła żarówka oświetliła łóżko. Brązowe drewniane

węzłowie było podrapane i pocięte, na różowej szydełkowej kapie widać było złowrogo wyglądające plamy. Diego rzucił swą doskonałą skórzaną walizkę na krzesło i odsunął na bok kapę. Był wyczerpany. Nie pamiętał, kiedy ostami raz porządnie spał. Wyciągnął się ze znużeniem na łóżku; powinien mieć więcej rozumu i nie grać przy takim zmęczeniu. W ciągu ostatnich trzech dni spał cztery, może pięć godzin. Łóżko wygięło się w środku, zużyte niezliczonymi dziesięciominutowymi namiętnościami i Diego kręcił się, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Goła żarówka świeciła mu w oczy i odwrócił głowę zirytowany. Na białym płótnie poduszki obok swej głowy zobaczył długi czarny włos.

— Chryste Paniel — wykrzyknął, podrywając się z łóżka. — Do cholery, co ty tu robisz, Diego Bonavente!

Z rękami w kieszeniach zlustrował pokój z obrzydzeniem.

— W porządku, Diego — odezwał się znowu, a uśmiech rozjaśnił przystojną twarz. — Tu nie ma przyszłości. Wiesz przecież, co zawsze robiłeś. Jak masz kłopoty, zaczynaj od nowa.

Chwycił walizkę i wyszedł. Zostawił drzwi otwarte na oścież i zapalone światło. Zbiegł lekko ze schodów i poszedłszy do kontuaru, postawił ostrożnie walizkę na podłodze obok siebie.

— Nie odpowiada mi ten pokój — oświadczył krótko starej. — Chcę pieniądze z powrotem.

Oczy w czerwonych obwódkach spojrzały na niego ponuro.

— Nie oddajemy pieniędzy — powiedziała, poprawiając czarny szal. — Chciał pan pokój i pan zapłacił.

Diego przechylił się przez kontuar.

— Dawaj pieniądze — rzekł cicho. Przysunął twarz do twarzy kobiety: w głosie zabrzmiała groźba. Stara przelknęła nerwowo. W pobliżu nie było nikogo, nawet ulica była pusta.

Diego wyciągnął rękę i chwyciwszy za szal, zacisnął go na jej szyi.

— Powiedziałem, dawaj...

— Masz, masz, weź sobie!

Kobieta otworzyła szufladę i podała mu kilka franków.

Diego zajrzał do szuflady. Zobaczył kilka banknotów. Niewiele tego, ale nawet najmniejsza sumka może się przydać. Nie puszczając kobiety zgranał pieniądze i wsunął do kieszeni. Pochylił się jeszcze

mocniej i uśmiechnął się do niej. Uśmiech był delikatny i pełen wdzięku, ale miękki głos brzmiał groźnie.

— Jeśli komuś o tym powiesz, zabiję cię — oświadczył, nie przestając się uśmiechać. — Zapamiętaj to sobie.

Podniósł walizkę i ruszył do drzwi. Stara kobieta nie spuszczała z niego oczu. Obciągnęła szal trzęsącymi się rękami. To wariat, mógł ją zabić. Gdy wyszedł za drzwi i znalazł się na ulicy, powróciła jej knajacka odwaga. Po raz pierwszy przestraszyła się.

— Nie wracaj tutaj — wrzasnęła do oddalających się pleców. — Spróbuj w *Ritzu*, zobaczysz, jak tam lubią takich jak ty!

Diego odwrócił głowę i roześmiał się. Doszedł aż do opery i przy ostatnim skrzyżowaniu wziął dorożkę. Mógł zajechać z szykiem. *Ritz* to było doskonale miejsce, by zacząć.

Diego wzruszył ramionami w świeżo wyprasowanej wieczorowej marynarce i przyjrzał się sobie uważnie w złożonym lustrze. Poprawił czarną muszkę na sztywnym białym kołnierzyku koszuli. Zapalił papierosa i uśmiechnął się z zadowoleniem do swego odbicia. Szkoda, że musi zastawić złotą papierośnicę Edwarda i zapalniczkę od Cartiera, jak również kolumbijskie szmaragdowe spinki do mankietów. Wzruszył ramionami; to tylko chwilowe niewygody. Nie miał wątpliwości, że w dzień czy dwa odzyska je od przyjaznego właściciela lombardu na Montparnasse.

Wysokie zaciągnięte aksamitnymi zasłonami okna ukazywały ciemniejące szybko wieczorne niebo i światła placu Vendôme, migoczące w letnim deszczu. Przez szyby dochodził lekki szum ruchu ulicznego. Paryż szykował się do kolejnego wieczoru zabaw. Diego uśmiechał się w oczekiwaniu, wprowadzając się do pięknego pokoju z różowymi abażurami lamp i miękkimi dywanami. Orzechowe łóżko było solidne, a ciężka jedwabna kapa nieskazitelna. Później, wieczorem, zostanie złożona starannie przez małą pokojóweczkę, a sztywne białe prześcieradła będą zapraszały zmęczonego gościa.

Wziął miękki skórzany portfel ze złotymi okuciami i przeliczył nędzne, poplamione banknoty. Powinien być pełen sztywnych, czystych papierów, banknotów o wysokich nominałach. Tylko że, pomyślał filozoficznie, wciskając go do kieszeni, żebracy nie

wybierają. Na biurku pod oknem leżała jego jedyna wartościowa rzecz — bilet powrotny pierwszej klasy do Rio de Janeiro. Podniósł go i obejrzał. Zawsze przecież jest Roberto. Minęły już dwa lata. Czy nie nadszedł czas na ponowne nawiązanie kontaktów? Znając Roberta, jednego był pewien. Po dwóch latach musi być dokładnie znudzony Amelią.

W barze *Ritza* obowiązywała dziwna zasada: nie wpuszczano samotnych kobiet i Amanda St. Clair uznała ją za nader przykrą. Przede wszystkim, jak dziewczyna może poznać mężczyznę, jeśli nie pójdzie tam, gdzie bywają mężczyźni. Zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Tam przystojna, dobrze ubrana dziewczyna może wejść wszędzie lub prawie wszędzie. Nie myślała, oczywiście, o imprezach w rodzaju balów. Chodziło jej o kawiarnie, restauracje i bary, najczęściej odwiedzane przez ludzi teatralnych profesji, dramaturgów, producentów, przedsiębiorców, kręcących się przy teatrze dandysów i panienek z chóru jak ona.

Amanda dygotała przy wejściu do baru. Kiedy w Londynie przedstawienie zostało nagle zamknięte, wydało jej się dobrym pomysłem zabrać wszystkie oszczędności i wybrać się na kilka dni do Paryża, zanim powróci do domu. Teraz nie była tego pewna.

— Jakież kłopoty?

Na zadane po angielsku pytanie obejrzała się zaskoczona. Mężczyzna był młody i bardzo przystojny. Szczupły, ciemny, sprawiał wrażenie obcokrajowca.

— Z czego pan to wywnioskował?

— Że ma pani kłopoty?

— Nie, że jestem Amerykanką.

Diego roześmiał się.

— Francuzki nie wyglądają tak jak pani — powiedział. — Amerykańskie dziewczyny są zdecydowanie bardziej pociągające.

Amanda odpowiedziała mu uśmiechem, mile polechtana.

— Nie chcą mnie wpuścić do baru. — Odęła wargi. — Nawet kiedy powiedziałam, że to nie w porządku.

Diego skłonił się.

— Czy pozwoli pani, że będę jej towarzyszył, miss...

Amanda rozpromieniła się.

— St. Clair. Amanda St. Clair z Morristown w Pensylwanii. Teraz mieszkam, oczywiście, w Nowym Jorku.

Diego podał jej rękę i dziewczyna, nie przestając mówić, wsunęła mu pod ramię białą, gładką dłoń.

— Pracuję w rozrywce — wyjaśniła, gdy wchodzili do baru. — Jestem tancerką, wie pan. Naturalnie, także śpiewam. I śpiewam bardzo dobrze. Mister van Gelen twierdzi, że zasługuję na specjalną solową partię w jego następnym przedstawieniu.

— Naprawdę? Oszłomiła mnie pani, miss St. Clair. Niewiele wiem na temat teatru, a dla takiego laika jak ja to zawsze brzmi fascynująco. /

Oceniał dziewczynę szybko. Niewiele po dwudziestce, elegancko ubrana, choć założyłby się, że na strojenie się wydaje każdy posiadany grosz. Ambitna, być może na drodze do kariery. Z pieniędzmi w torebce przybyła po raz pierwszy do Paryża. Czy warta jest butelki szampana? Omiótł krótkim spojrzeniem pełną entuzjazmu twarz. W otwartych szeroko jasnoniebieskich oczach malowała się naiwność. Poza tym jest w Paryżu sama.

— Kelner — rzucił. — Proszę szampana.

Amanda uśmiechnęła się rozradowana. Szampan! Czy nie ma szczęścia? A poza tym on jest taki przystojny.

— Nawet nie wiem, jak się pan nazywa — dokonała nagłego odkrycia.

— Diego Bonavente. — Uniósł jej dłoń do ust. — Ja także jestem w Paryżu obcy. To wielkie dla mnie szczęście, że się spotkaliśmy, miss St. Clair.

— Proszę mi mówić Amando — rzekła przejęta, a oczy rozszerzyły jej się z zadowolenia, gdy musnął wargami jej dłoń. Paryż zaczął jej się podobać.

— Szampan dla pana. — Kelner postawił przy nich wysoki srebrny kubełek i otworzywszy z wprawą butelkę, napełnił kryształowe kieliszki. Położył rachunek na talerzyku i postawił dyskretnie przy łokciu Diega, który spojrzał nań od niechcienia.

— Proszę dopisać to do mojego rachunku — powiedział. — Proszę też zarezerwować mi stolik w restauracji na kolację. Na dwie osoby — dodał, uśmiechając się do Amandy. — Za godzinę.

— Tak jest, proszę pana. Do jakiego numeru mam dopisać?

— Pokój trzysta dwadzieścia pięć — wyjaśnił Diego, kładąc na talerzyku hojny napiwek.

— Tak jest, proszę pana. Dziękuję panu.

— Trzysta dwadzieścia pięć — zaszemrała Amanda. — Jaki dziwny przypadek! Ja jestem w trzysta dwudziestym szóstym.

Diego uśmiechnął się do wielkich niebieskich oczu. To jest wprost zbyt łatwe. Podał jej kieliszek.

— Za bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, Amando — szepnął w śliczne uszko.

— Nasze plantacje kawy są bardzo rozległe — tłumaczył jej wylewnie, gdy jedli kolację przy intymnym świetle świec w sali jadalnej eleganckiego hotelu. — Ale zawsze miałem upodobanie do przygód. Odbyłem już połowę podróży dookoła świata i ostatnie miejsce, które odwiedziłem, okazało się najbardziej zyskowne.

— Gdzie to było? — spytała oszołomiona Amanda.

— W Kolumbi. Wydobywanie szmaragdów.

Powiedział niemal prawdę. Był w Kolumbii i przebywał na terenach, gdzie wydobywano szmaragdy, ale jego noga nigdy nie postąpiła w kopalni. Są łatwiejsze sposoby zdobywania szmaragdów niż kopanie ich w skałach. I rzeczywiście odchodził stamtąd z kieszenią pełną lśniących zielonych kamieni, niestety, wszystko zdążył już przegrać. Zostały mu tylko dwa oprawne w złoto kaboszony, z których zrobił sobie spinki; leżały teraz w lombardzie.

Oczy Amandy zrobiły się jeszcze większe.

— Och Diego! Szmaragdy! To wspaniałe. Ty masz kopalnię?

— Oczywiście. — Diego wzruszył ramionami. — Ale rzadko tam ostatnio jeżdżę. Kolumbia to taki nieciekawy kraj. Nowy Jork to co innego. Chciałbym tam być razem z tobą, Amando.

Amanda przyglądała niesforny kosmyk jasnych włosów i uśmiechnęła się do niego spod ciemniejszych rzęs. Jaka jest szczęśliwą dziewczyną, że pierwszego wieczoru w Paryżu spotkała takiego cudownego mężczyznę. Przystojny, czarujący — i bogaty.

Zalecanie się do Amandy St. Clair staje się nie tylko nudne ale i kosztowne, myślał Diego, oglądając rachunek hotelowy, który

położono mu dyskretnie na biurku. Poza tym w ciągu dnia musiał stwarzać pozory, że załatwia jakieś interesy, ponieważ nie miał pieniędzy, by ją gdzieś zabrać, a potem każdego wieczoru obstawać przy kolacji w drogim *Ritzu*. Kiedy chciała iść do *Chez Martine*, gdyż bywali tam ludzie rozrywki, tłumaczył jej, że *Ritz* jest bardziej romantyczny. Rzucił rachunek na biurko. Musi wykonać szybko jakiś ruch, inaczej hotel zacznie na niego naciskać. Poza tym musi to zrobić, nim Amanda straci wszystkie pieniądze na nowe suknie. Musiała przecież być jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej pociągająca dla bogatego konkurenta. Będzie musiał to załatwić dziś wieczorem.

Amanda siedziała naprzeciw Diega przy ich stole w jadalni *Ritza* i myślała, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w Paryżu. Ale tego wieczoru nie był tak rozmowny jak zwykle. Wyciszony, wydawał się przebywać myślami gdzie indziej. W poczuciu winy zastanawiała się, czy to ona coś złego zrobiła. Czy zdenerwowała go czymś? Albo gorzej — może znudził się nią? Wątpliwości przemieniły się w strach. Nie może go stracić, stanowi zbyt cenną zdobycz.

— Co się stało, Diego?

W wielkich niebieskich oczach widniało zatroskanie i Diego poklepał lekko jej rękę.

— Oczywiście, zauważyłaś, że coś jest nie w porządku — powiedział z ponurym uśmiechem. — Jesteś taka wrażliwa.

Amanda uspokoiła się. A więc to nie jej wina.

— Powiedz mi — poprosiła. — Może mogłabym ci pomóc.

Diego wpatrywał się markotnie w obrus.

— Pomóc? Nie, nie możesz. — Podniósł wzrok i uśmiechnął się nagle. — Nieważne — rzucił, udając wesołość. — Może opowiesz mi, co dzisiaj robiłaś.

Amanda przypomniała sobie, co jej się przydarzyło po południu.

— Nigdy nie zgadniesz, kogo widziałam, jak robiłam zakupy u Poireta!

Jezus, Maria, teraz traci pieniądze u Poireta, pomyślał w panice Diego.

— Rzeczywiście. — Uśmiechnął się. — Kogo?

— Leonie! — Amanda wyprostowała się w krześle dumnie. — Słynną pieśniarkę. Rok temu widziałam jej występ w Nowym Jorku. Była niesamowita. Oczywiście, od czasu, gdy wyszła za męża, nie występuje już publicznie, ale nadal jest tak samo piękna.

Imię Leonii zadźwięczało w mózgu Diega jak sygnał. Przypomniał sobie korytarz *Pavillonu* i głos mówiącego do Izabelli Edwarda. Leonia — imię sławnej francuskiej matki Amelii. Czyżby to ta sama kobieta? Musi być! A reszta? Było jeszcze coś o mężczyźnie. *Monsieur* Właśnie, mężczyzna, o którym mówiono *monsieur*, stanowił jakieś zagrożenie dla Amelii.

— Powiedz mi — odezwał się z nagłym zainteresowaniem — jak ta Leonia wygląda.

— Nie wiesz? — Amanda była zdumiona. — Bardzo wysoka i elegancka. Ma najcudowniejsze piwne oczy, a kiedy uśmiechnęła się do mnie, odniosłam wrażenie, że rozmowa ze mną sprawia jej rzeczywiście przyjemność. Ma też wspaniałe blond włosy, tyle że dziś miała je gładko ściągnięte, gdyż robiła zakupy. Jest wciąż taka piękna! — Amanda ukazała w uśmiechu ładne drobne zęby. — To najbardziej podniecająca rzecz, jaka mi się zdarzyła w Paryżu... Oczywiście poza tym, że spotkałam ciebie.

Diego ujął jej dłoń i ucałował. W tym coś jest, gdyby tylko mógł ustalić co i jak to wykorzystać. Ile wie Amelia, no i ile wie Roberto.

— Czy nie było kiedyś związanego z nią strasznego skandalu? — spytał lekko. — Wydaje mi się, że coś sobie przypominam.

— A, masz na myśli dziecko. To było wiele lat temu, na samym początku jej kariery. Jakiś bogaty człowiek twierdził, że jest ojcem jej córki i usiłował odebrać jej dziecko. Naturalnie, nie udało mu się, ale nie wiem dlaczego. Ktoś mi kiedyś opowiadał tę historię, i pisano o tym we wszystkich gazetach.

Właśnie, gazety! Jutro pozna dokładnie całą historię. Wtedy będzie wiedział, co z nią zrobić.

— Amando, nie wiem, co pocznę bez ciebie — powiedział, przesuwając wargami po obnażonym ramieniu dziewczyny.

Gwałtowne drżenie przebiegło przez plecy Amandy.

— Beze mnie?

Diego złożył krótki pocałunek na jej ramieniu.

— Nie chciałem ci mówić, ale mam złe wiadomości z domu...
Chodzi o mojego ojca.

Otworzyła szeroko oczy zatroskana.

— Ale nie... umarł?

— Nie, jest jednak bardzo chory i muszę natychmiast wracać.
Zawahał się. — Nie tak to wszystko planowałem.

— Co planowałeś? — Na stole między nimi drżał płomień świecy, a intymność czerwonych ścian alkowy przesłoniętej pnącą rośliną kryła ich przed ludzkimi spojrzzeniami. Tylko kelner kręcił się w pobliżu, a szumy rozmów w sali zlewały się z dźwiękami małej orkiestry w salonie.

Diego zajął jej w oczy.

— Chciałem cię prosić o rękę i zabrać cię ze sobą do Brazylii jako moją żonę, ale teraz...

— Och Diego! — Amanda pochyliła się ku niemu. — Ależ możesz mnie o to poprosić!

— Czy wyjdiesz za mnie, Amando? Tak bardzo cię kocham! Jesteś najdoskonalszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Jesteś taka piękna, wrażliwa, utalentowana. Chciałbym zainwestować w wasze przedstawienie, aby moja piękna żona mogła zostać gwiazdą — tak jak Leonia.

Amanda wstrzymała oddech.

— Tak — odparła cicho. — Tak, wyjdę za ciebie.

— Tylko jest pewien problem — zaczął Diego, całując promieniejącą ze szczęścia dziewczynę w policzek. — Mam w tej chwili we Francji bardzo niewiele pieniędzy. Spodziewam się od ojca przekazu bankowego, ale teraz nie mam czasu, by czekać, aż pieniądze nadejdą z Brazylii. — Rozłożył ręce przeproszającym gestem i osunął się z powrotem na krzesło. — Nie jestem nawet w stanie opłacić podróży mojej przyszłej żony i zabrać jej ze sobą do domu, do Brazylii.

— Wszystko jest dobrze, Diego. Ja mam pieniądze. Mogę zapłacić za siebie.

Diego zeszytniał.

— Jako dżentelmen nie mogę ci na to pozwolić, Amando!

— Ależ dlaczego nie? Mamy zamiar się pobrać, prawda?

— Czy naprawdę to zrobisz? — rzekł ciężko, gdy spotkali się spojrzzeniami. — Jaki jestem szczęśliwy, że cię poznałem. Nie

przypuszczałem, by kobieta mogła być tak doskonała, tak wspaniała.

Amanda poczuła rozpaczliwe pragnienie pocałowania go. Był takim dżentelmenem i traktował ją jak prawdziwą damę. Nigdy nie uczynił nic więcej poza pocałunkiem. Na razie. Zaczęła wyobrażać sobie, jak to będzie. We dwoje, nadzy razem w łóżku.

— Jest jeszcze jedna rzecz — rzekł Diego zgnębiony. — Moje pieniądze są unieruchomione jako depozyt w pewnej transakcji handlowej. Jeśli wyjadę, nie regulując płatności, stracę je. To niewielka suma, ale nienawidzę tracić.

— Powiedziałaś ci, abys się niczym nie martwił — rzekła szczęśliwa Amanda, wtulając głowę w jego ramię. — Mam trochę pieniędzy, może wystarczy, by ci pomóc.

Diego otoczył ją ramieniem.

— Kocham cię, Amando — wyszeptał — i bardzo pragnę cię pocałować, objąć cię z całych sił.

Zwróciła ku niemu ładną buzię z oczekującym rozchyleniem warg.

— Nie tutaj — rzekł cicho. — To zbyt publicznie, kochanie. Możemy iść do ciebie?

Pomógł jej włożyć koronkowy żakiecik i wziął jej torebkę. Pożegnał się miło z kelnerami i ruszyli trzymając się za ręce. Przeszli przez restaurację do foyer, a stamtąd do windy.

Dzień był męczący, ale owocny. Walizka stała w oczekiwaniu przy drzwiach i Diego obrzucił pokój ostatnim spojrzeniem. Zadzwoił do *Chez Martine*, gdzie miała na niego czekać Amanda, i zostawił wiadomość, że się spóźni, prosząc jednocześnie, by tam na niego czekała. Dawało mu to pewność, że nie natknie się na nią po drodze z hotelu. Poradził sobie i przykro byłoby wszystko zepsuć, pomyślał z uśmiechem.

Portier poderwał się, by wziąć od niego bagaż i Diego siedł z nim szerokim korytarzem. Dobry hotel, pomyślał z uznaniem. Tu właśnie się zatrzyma, gdy będzie w Paryżu następnym razem. Wyciągnął cienką złotą cygarniczkę i zapalił mocnego francuskiego papierosa. Smakowały mu. Czuł przyjemność dotyku delikatnej zapalniczki Cartiera, na jego mankietach jaśniały szafirowe spinki.

W drzwiach dał portierowi napiwek z przyjemnie wypchanego portfela i wskoczył do dorożki, która miała go zawieźć na stację. Tego wieczoru wypłył z Cherbourga.

Bardzo udany dzień. Archiwum gazety wykazało daleko idącą pomoc i umożliwiło brazylijskiemu dziennikarzowi przejrzenie starych roczników. Bardzo byli uszczęśliwieni, że mogą też dla niego dokonać tłumaczenia. W ten sposób już wiedział. Amelia pochodziła z nieprawego łoża; więcej nawet — wydawało się wątpliwe, by Charles d'Aureville był jej ojcem. *Monsieur* — tak. A *monsieur* to hrabia de Courmont.

No, no! Jaka szkoda, że nie można dostać się do hrabiego. Byłby nawet skłonny poczynić jakieś kroki w tym kierunku, ale nikt go nie widywał. A poza tym jest osobistością tak wpływową, że wręcz to onieśmielające. Nie, ta informacja będzie najlepsza do wykorzystania przeciwko Ameli. Znowu wraca do rozgrywek z Robertem. Wybuchnął nagle śmiechem i przestraszony woźnica obejrzał się.

— Wszystko w porządku — rzekł Diego. — Po prostu miałem świetną podróż.

65.

Roberto wziął marynarkę i poklepał kieszeń, by sprawdzić, czy list nadal tam jest. Papier zaszeleścił uspokajająco i uśmiechnął się, zarzucając marynarkę na ramiona. Amelia będzie bardzo zadowolona. Ale czy na pewno? Ruszył ścieżką z hotelu do willi. Może teraz, kiedy jest w ciąży, nie będzie tak zadowolona z tej informacji. Zwolnił kroku, rozważając wylaniający się przed nim problem. Odtrącił niecierpliwie na bok leżący przed nim na ścieżce kamyk. To był długi dzień. Potrzebna mu jest kąpiel, musi przegryźć coś szybko, a potem ma jeszcze robotę. Prowadzenie i sukces działalności *Hotel d'Aureville* to siedem dni pracy w tygodniu; często też siedzi do późna przy porządkowaniu papierów. Dziś wieczorem musi po prostu sprawdzić wyliczenia.

— Roberto?

Na dźwięk znanego drwiącego głosu zatrzymał się w pół kroku jak wryty. Powoli uniósł wzrok. Diego stał naprzeciw niego uśmiechając się. Każdy rys jego twarzy miał wryty w pamięć; twarde zielone oczy, ciemne brwi, szerokie, pełne wargi, a także szczupłe, zwarte ciało. Był elegancko ubrany w doskonałą koszulę i płócienną marynarkę. Postarzał się.

— Nie masz zamiaru przywitać się ze starym przyjacielem? — Diego postąpił ku niemu z szeroko otwartymi ramionami. — Zapomnijmy, co było.

— Co tu robisz? — Słowa z trudem wydobywały się z zacisniętego gardła Roberta.

— Nie mogłem pozostać na zawsze za granicą, Roberto. To także mój dom, wiesz przecież.

Serce Roberta wydawało się bić podwójnym rytmem.

— Sebastiao ostrzegł cię...

— Roberto, proszę cię, wysłuchaj mnie. — Diego nadal trzymał otwarte błagalnie ramiona. — Upłynął długi czas. Przeszłości i tego, co się stało, nie zmienię, ale wstydzę się tego głęboko. Byłem młodym głupcem i robiłem różne okropne rzeczy, ale zmieniłem się. Przysięgam. Nigdy nie wybaczę sobie tego, co się stało, ale mam nadzieję, że *ty* mi wybaczysz.

— Nie chcę cię tutaj, nie chcę cię widzieć... Odejdź z mojego życia.

Roberto opuścił ramiona. Czuł spływający po piersi pot. Chciał wyminąć Diega, ale dawny przyjaciel zagroził mu drogę. Musiałby go odepchnąć.

— Roberto, przysięgam ci, że jestem inny. Wysłanie mnie stąd było najlepszą rzeczą, jaką Sebastiao mógł dla mnie zrobić. Byłem daleko od wszystkich starych złych wpływów, daleko w moim własnym świecie. Musiałem stać się dobry. Pojechałem do Kolumbii. Podjąłem tam pracę przy wydobywaniu szmaragdów. To cholernie ciężka praca, Roberto, ale trzymałem się jej. Żyłem jak świnia w jakimś zapomnianym granicznym górniczym miasteczku. Odsiadywałem swój wyrok. Musiałem to robić. Winien ci byłem za to, co zrobiłem. To doświadczenie uczyniło mnie nowym człowiekiem. Czuje, że zmyłem z siebie przeszłość.

Roberto ruszył w jego stronę. Odsunął rozłożone ręce, wzdragając się przed tym kontaktem.

— Trzymaj się ode mnie z daleka — wymamrotał. — Nie obchodzi mnie, gdzie byłeś, ani jak się zmieniłeś. — Poszedł dalej i odwrócił się przed zakrętem. — Trzymaj się też z dala od Amelii — ostrzegł. — Jeśli zbliżysz się do niej, zabiję cię, Diego.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Diego patrzył za idącym Robertem. Wzruszył ramionami. No cóż, jeśli taką drogą ma się to potoczyć, będzie musiał przyjąć inną linię postępowania.

Onca z łbem złożonym na masywnych łapach leżała w kącie pokoju Ameli. Muskuły lśniącego grzbietu kurczyły się lekko na bzyczenie uporczywej muchy; współprzymkniętymi bursztynowymi

oczami, przypominającymi trochę kolorem oczy Amelii, zwierzę obserwowało swoją panią.

Przebudzona Amelia poruszyła się i Onca natychmiast uniosła łeb. Czujnymi ślepiami wpatrywała się w nią i gdy Amelia spuściła nogi z łóżka, kot podniósł się i wyciągnął potężne cielsko.

Amelia ziewnęła.

— No, Onca, czas wstawać. Roberto wkrótce przyjdzie do domu. — Poglaskała gładkie rudawe futro. — Później zabiorę cię na spacer — powiedziała. — Jak będzie chłodniej.

Ubrała się szybko i uczesała włosy. Było później niż myślała. Lepiej jej się spało po południu, nocami miała kłopoty. Może to nawet nie kłopoty, myślała gładząc zaokrąglony brzuch. Po prostu dziecko wybrało sobie noc na budzenie się. Będziemy musieli doprowadzić to do porządku, gdy już się urodzisz, pomyślała z czułością.

Onca zeszała ze schodów i wyszała na taras. Postawiła uszy, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Roberto. Przerzucił marynarkę przez krzesło, nalał sobie whisky przy kredensie i wypił szybko. Poczul się lepiej. Ręka mu się trzęsła, gdy odstawał szklanke. Musiał napić się jeszcze.

— Roberto. — W drzwiach prowadzących na taras ukazała się Amelia. — Nie słyszałam, jak przyszedłeś, ale Onca niczego nie przepuści. — Ze zdumieniem patrzyła na wódkę w ręku męża. Roberto rzadko pił coś poza winem. — Czy coś się stało?

Zmusił się do uśmiechu, gdy nachylił się, by ją pocałować.

— Oczywiście że nie, a nawet wprost przeciwnie. Jak zajrzysz do kieszeni mojej marynarki, znajdziesz list od Edwarda.

— Od Edwarda! — wykrzyknęła i podniósłszy marynarkę zaczęła przetrząsać gorączkowo kieszenie. Od ostatnich wiadomości od Edwarda i Xary z Key West upłynęło kilka tygodni!

— Zaproponowano mi pracę zastępcy dyrektora *Palacio d'Aureville* w Miami, kiedy zostanie otwarty w przyszłym tygodniu — rzekł Roberto od niechcenia.

Amelia pisnęła z radości.

— Ależ to fantastyczne! Kiedy wyjeżdżamy?

Przerzucała list pośpiesznie: bliźniaki są cudowne, Xara czuje się dobrze, Edward też, hotel jest już na ukończeniu. Wreszcie! Jest luksusowy i będzie chlubą d'Aureville'ów. A oni chcą, by Roberto podjął pracę z widokami na stanowisko dyrektora. To

najlepsza wiadomość, jaką mogła sobie wymarzyć. Wiedziała, że Roberto był na nią przygotowany. Pracował bardzo ciężko i zasłużył sobie na taką możliwość.

Roberto opróżnił drugą szklanke.

— Nie masz nic przeciwko wyjazdowi z Rio?

Amelia zamyśliła się. To znaczyłoby, że jej dziecko urodzi się w Ameryce. Uśmiechnęła się do męża.

— Nie mam nic przeciwko temu, by nasze dziecko było małym Amerykaninem.

— Cieszę się, że to mówisz. — Złożył lekki pocałunek na jej włosach. — Słuchaj, Amelio, mam sporo pracy i nie mam chęci na kolację. Mam zamiar zamknąć się w biurze i wziąć się do roboty. Może byś poszła do hotelu i zjadła kolację z babcią?

Amelia była mocno zawiedziona.

— Nie uczymy tego? — spytała, oplatając mu szyję ramionami. Pachniał obco wódką. — *I love you, senhor do Santos*, zastępczo dyrektora luksusowego *Palagio d'Aureville*.

— Ja też cię kocham, senhora do Santos — odparł z uśmiechem — ale mam naprawdę zbyt dużo pracy, by świętować. Może jutro wieczorem.

— Obiecujesz? — Amelia przywarła do jego ust.

— Przyrzekam — odpowiedział roztargnionym tonem, podnosząc po drodze marynarkę.

Amelia patrzyła za nim rozmarzona. Myślała o tym, jaki jest pociągający, jak jego ciało zbiega się w zwartych biodrach, jak niebieska koszula pasuje do jasnych włosów, starannie teraz zawsze przyczesanych, ale nadal dość długich.

— Chodź, Onca — powiedziała, przypinając łańcuch do obroży kota. — Idziemy spotkać się z babcią.

Z dołu dobiegł go jakiś dźwięk i spojrzał na zegarek. Czyżby Amelia już wróciła? Nie, za wcześniej, to pewnie Ofelia sprząta. Powrócił do swych obliczeń.

Villa d'Aureville na Copacabanie jest dokładnie taka sama, pomyślał Diego, dodając sobie odwagi whisky z karafki na kredensie. Przełknął, smakując delikatny, aromatyczny alkohol. Wołał *cachacę*, nic nie przewyższa dobrej *batidy*, a on wypróbował ich już kilka. Zasiadł na białej kanapie i ze stopami opartymi na niskim

marmurowym stoliku przed sobą popijał whisky. Zawsze podobał mu się ten dom. Bardzo odpowiadał mu jego nowoczesny, elegancki i swobodny styl. Znacznie bardziej niż *fazenda*. Pamięć podsunęła obraz wielkich kufrów i kredensów z ciemnego drewna, obitych ćwiekami skórzanych krzeseł i ciężkich stołów na masywnych nogach. Nie, zdecydowanie bardziej jak w domu czuł się tutaj. D'Aureville'owie umieją łączyć stare z nowym. Podszedł do kredensu i nalał sobie drugą szklanke. Wrócił na kanapę i karafka wyslizgnęła się nagle z jego niepewnych rąk na marmurowy stolik. Pękła na pół i zapach whisky zmieszał się z wonią kwiatów.

— Szkoda — mruknął Diego, rozciągając się na poduszkach. — Szkoda whisky.

Roberto stanął w drzwiach i Diego zwrócił się do niego z uśmiechem kpiących zielonych oczu.

— Witaj, stary przyjacielu. Znów tu jestem.

— Ostrzegalem cię, że masz się trzymać z daleka — rzekł Roberto lodowatym tonem.

— Wejdz, Roberto, czuj się jak u siebie. Wejdz! — powtórzył Diego zniecierpliwiony. — Muszę z tobą pomówić.

Roberto zawałał się w drzwiach.

— Nie mamy o czym mówić.

— Ależ mamy, i to cholernie dużo, wiesz o tym, Roberto. — Złość wykrzywiła twarz Diega. — Zbyt wiele zaszło między tobą a mną, abyś był teraz taki chłodny i obojętny. Wejdz tu, Roberto!

Roberto przeszedł powoli przez pokój i zasiadł naprzeciwko Diega. Ogarnął spojrzeniem stłuczoną karafkę i rozlaną na marmurowym stoliku whisky.

— W porządku — odezwał się oficjalnie. — Mów, co masz do powiedzenia.

Diego uśmiechnął się znowu. Tak jest lepiej. Teraz rozmowa jest bardziej w jego stylu.

— Potrzebuję pieniędzy—rzucił szorstko. — Dużo pieniędzy, i to natychmiast. Chcę, żebyś mi je dał, a potem odejść i zostawić cię w spokoju. Znów powrócę do Paryża. Podoba mi się tam. Uważam, że to... bardzo interesujące miasto. Oczywiście, dla mężczyzn o moich przyzwyczajeniach, drogie.

Roberto milczał. Znów szantaż. Zastanawiał się gorączkowo, co ma zrobić. Nawet jeśli zdobędzie pieniądze i da mu, on przyjdzie

znowu, a potem znowu. Nie zrobi tego, postanowił nagle. Nie może. Musi stawić czoło konsekwencjom. Przed jego oczami pojawił się obraz szczęśliwej, ufniej twarzy Amelii i zaokrąglonego ciała, noszącego ich nie narodzone jeszcze dziecko.

— Oczywiście, burdele w Paryżu nie są takie dobre, jak niektóre z tych, które znamy — mówił Diego dalej — nie ta technika, brak tej finezji...

Zsunął stopy ze stolika i przeszedł ponownie do kredensu, chcąc się jeszcze napić. Koniak — to mu będzie odpowiadało. Postawił ostrożnie butelkę na stoliku.

— Wiesz — rzekł łaskawie — uważałem. To po prostu był wypadek. Zwykły wypadek, Robercie. Wysunęła mi się z rąk.

Śmiech Diega wypełnił pokój i Amelia zeszywniała zdumiona, gdy zamykała za sobą drzwi wejściowe. Onca zastrzygła uszami i warknęła cicho. Amelia położyła jej rękę na łbie, by ją uspokoić, i stanęła nasłuchując.

— Daj spokój, Roberto, nie bądź taki... napij się. W imię dawnych czasów. — Diego wlał koniak do szklanki i pchnął w stronę Roberta.

Oczy Amelii rozszerzyły się. Nie, to nie może być Diego! Zmarszczyła brwi. To przecież kilka lat. Roberto powiedział jej, że Diego uciekł z domu, ponieważ miał kłopoty z policją, że wyjechał za granicę i nigdy nie wróci, i że jego postępowanie doprowadziło do ostatecznego zerwania między nimi.

Ściągnęła mocniej łańcuch **Onci** i weszła do salonu.

— No proszę, nasza Amelia! Pani tego domu i przyszła mama, jak widzę.

Diego obrzucił poufnym spojrzeniem jej ciało i Amelia poczuła występującą na jej policzki krew.

— Diego?! Co ty tu robisz?

— Wpadłem po prostu, by zobaczyć starych przyjaciół. Co, bez przyjacielskiego pocałunku na powitanie, Amelio? — Diego wybuchnął szyderyczym śmiechem.

— Nigdy cię nie całowałam, Diego Bonavente, i nigdy tego nie zrobię.

Podeszła do Roberta i spojrzała na rozbitą karafkę. Onca cofnęła się od stołu, odwracając łeb od oparów alkoholu.

Diego wyszczerzył zęby. Teraz, z Amelią, sytuacja jest wręcz wymarzona. Roberto nie odważy się na odmowę. Przeszedł przez pokój i zasiadł przy wielkim fortepianie. Na połyskującym hebanowym drewnie utworzył się wokół szklanki lepki krążek. Przebiegł palcami po klawiszach.

— Myślałem, że mógłbym rozerwać cię trochę jedną czy dwiema paryskimi piosenkami. Może z tych, które śpiewała kiedyś twoja matka, Amelio?

Twarz zaskoczonej Amelii pozbawiona była wyrazu i Diego zaśmiał się. To będzie bardzo łatwe.

Roberto ujął żonę pod rękę i odprowadził do drzwi. Onca szła za nimi, ogłądając się nerwowo. Kot wyczuwał nabrzmiałą napięciem atmosferę.

— Idź na górę, Amelio — rzekł Roberto cicho. — Pozwól, że ja się tym zajmę.

— O co chodzi, Roberto, co się stało?

— Później ci powiem — odparł zdecydowanie. — Proszę cię, Amelio, idź na górę.

Amelia ujęła krótko łańcuch **Onci** i wkroczyła na schody. Usłyszała za sobą stuk zamykanych drzwi.

Sypialnia była spokojna, okna otwarte na ciepłe powietrze nocy. Usiadła z wysiłkiem w łóżku i gładząc łeb **Onci**, nasłuchiwała dochodzących z dołu dźwięków. Panowała absolutna cisza i Amelia opadła na poduszki z westchnieniem, rozmyślając nad tym, co się dzieje.

Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła, krótki wybuch podniesionych głosów, po czym znów zapadła cisza. Amelia drgnęła i usiadła. Ta cisza była nie do zniesienia. Chwyciła łańcuch **Onci** i zeszła pośpiesznie ze schodów.

Mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie. Diego pił koniak z butelki, Roberto trzymał się za głowę; ze skaleczenia płynęła krew. Podłoga zasypana była szkłem. Obaj podnieśli oczy, gdy z **Onca** u boku weszła do pokoju.

— Myślę, że lepiej, byś już poszedł, Diego — powiedział Roberto cicho. — Jak na jedną noc, narobiłeś wystarczającą ilość szkód.

— Jeszcze nie skończyłem — odezwał się Diego z niewinnym uśmiechem. — Wciąż jeszcze nie porozmawialiśmy sobie, Amelio, a myślę, że mamy wiele do omówienia.

Głos Amelii skoczył o ton wyżej i Onca podniosła czujnie łeb.

— Nie mamy nic do omówienia, nie ma też niczego, co chciałabym od ciebie usłyszeć.

— W takim razie powinniśmy chyba porozmawiać o tobie. Jest to i owo, co zainteresowałoby Roberta. Na pewno chciałby coś usłyszeć o swej arystokratycznej żoneczce.

Amelia wpatrywała się w niego osłupiała. O czym on mówi?

— A poza tym — mówił dalej Diego — Amelia chciałaby na pewno usłyszeć co nieco na twój temat, prawda Roberto?

Odstawił butelkę na stół z teatralną ostrożnością i zaczął chodzić po pokoju. Z rękami w kieszeniach zwrócił się nagle do swej ofiary. Czuł swoją siłę.

Onca siedziała spokojnie przy boku Amelii i obserwowała każdy ruch w pokoju.

— No co, nie chcesz poznać lepiej swego kochanego męża, Amelio? Może drastyczne szczegóły są zbyt przykre dla kobiety **O** tak szlachetnej przeszłości jak twoja? No cóż, powiem ci to teraz, Amelio d'Aureville. Roberto należy do mnie, jesteśmy związani więzami mocniejszymi, niż ty możesz w ogóle zrozumieć. Węzami krwi i ciała, Amelio.

Roberto pochylił się ku niemu z ciężką alabastrową popielniczką w ręku.

— Zabiję cię, Diego! Jeszcze jedno słowo, a zabiję.

Diego odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

Zabijesz mnie? Nie zabijesz, Roberto. Nie możesz beze mnie żyć. Wiesz, jacy jesteśmy razem. Daj spokój, Roberto. To Amelii powinienes się pozbyć.

— Dość! — krzyknął Roberto. — Wystarczy. — Podniósł popielniczkę ostrzegawczo. Z gardła **Onci** wydobył się niski, bulgoczący ryk i przetoczył się przez pokój.

— Czy wiesz, kim ona jest? — mówił Diego ze śmiechem. — To córka dziwki, dziewczyny z kabaretu, z której bogaty facet zrobił swoją utrzymankę. Ona nie jest wcale d'Aureville. Leonia nie była nigdy żoną Charlesa, a jej ojciec to *monsieur*. — Odwrócił się do Amelii. — Żyjesz w kłamstwie, moja miła. Całe życie w kłamstwie. Jesteś tak samo d'Aureville jak ja.

Ręka Amelii drżała i podniecona Onca szarpnęła się na łańcuchu i wyciągnęła do przodu. Łzy zapiekły Amelię pod powiekami.

O czym on mówi? Dlaczego ona nie jest d'Aureville? Słyszała wykrzykiwane przez Roberta groźby i szyderczy śmiech Diega, a wszystko zdawało się dobiegać skądś z daleka. Takie odległe, dziejące się gdzieś indziej... nie tu i nie z nią. Gdy Roberto ruszył w stronę Diega, powietrze strzelało przemocą. Wyczuwała wściekłość męża. Ma zamiar z jej powodu zabić Diega. Nie może mu na to pozwolić. Onca warczała i przeżyła się drapiąc łapami w wypolerowane deski podłogi.

— Onca — szepnęła Amelia, gdy zwierzę szarpnęło się do przodu. Poczula ostry ból w ramieniu i zwolniła chwyt. Łańcuch wyslizgnął się z otwartej ręki i wielki kot wyskoczył w powietrze, rzucając się do gardła Diega. W ułamku sekundy, nim kot dopadł człowieka, w ręku Diega błysnął nóż. Gdy z potężnymi szczękami zaciśniętymi na szyi padał pod ciężarem zwierzęcia, pchnął nóż w jego brzuch.

Człowiek i zwierzę leżeli na podłodze bez ruchu. W pięknym salonie, zasypanym potłuczonym szkłem i zalanym whisky i krwią, zapadła cisza.

Amelia wiedziała, że nie żyją, jeszcze nim Roberto przyklęknął nad nimi. Człowiek zginął z jej powodu, a ona nic nie odczuwała. Tylko jak przez mgłę dobiegało skądś pytanie, dlaczego. Zwolniła łańcuch Onci i teraz ona też nie żyje. Twarz Roberta zszarzała. Nie panował nad głosem. Objął ją ramieniem.

— Odprowadzę cię na górę, Amelio.

— Co się ze mną stanie, Roberto? — spytała, krocząc przy nim posłusznie. — Czy policja mnie zabierze?

Roberto spojrział na nią przerażony.

To był wypadek, Amelio. To Onca go zabiła. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

Amelia słyszała drżenie w jego głosie. Wiedziała, że to dla niej usiłuje zachować spokój. Był dla niej taki dobry, taki czuły. Ale to przecież nie był wypadek!

Roberto pomógł jej się położyć.

— Wezwę lekarza i babcię — powiedział. — A potem muszę zawiadomić policję. Wszystko będzie dobrze, Amelio. Przrzekam ci.

— Roberto — spytała nagle. — Co on miał na myśli, kiedy mówił, że nie jestem d'Aureville?

— To bzdury, Amelio. On tylko chciał narobić nam kłopotów — odparł Robert martwym głosem. — Zapomnij o tym, kochanie. Ja się wszystkim zajmę.

Roberto zszedł na dół. W cichym powietrzu nocy nadal drżała przemoc. Stał w drzwiach salonu i patrzył na dwa ciała. Ręka Diega nadal była zaciśnięta na tkwiącym w brzuchu zwierzęcia nożu, jego zielone oczy patrzyły w sufit bez wyrazu. Krew z otwartego gardła spłynęła po białej koszuli i zmieszała się na dywanie z krwią jaguara.

Twarz Roberta wykrzywił ból. Po jego policzkach zaczęły spływać łzy. Boże, kochałem go, pomyślał. Pomimo wszystko kochałem go.

Policja bała się niepokoić biedną senhorę do Santos więcej, niż było to konieczne.

— Taka straszna rzecz przydarzyła się senhorze — powiedział kapitan ze współczuciem. — To jednak nie pierwszy przypadek. Te wielkie koty bez żadnego ostrzeżenia stają się niebezpieczne.

Policjanci szybko usunęli ciała i salon został do czysta wymyty z krwi.

— Co oni zrobią z Diegiem? — spytała Roberta, patrząc na miejsce na podłodze, gdzie padł.

— Zabiorą go do szpitala. — Zostanie pochowany jutro — dodał po chwili.

— Pójdiesz na pogrzeb?

— Muszę, Amelio — rzekł krótko.

Po jej twarzy zaczęły spływać łzy.

— Nie płacz, Amelio, to nie twoja wina, naprawdę.

— Nie płaczę z powodu Diega — zaszlochała. — Płaczę z naszego powodu. Czy nie rozumiesz, że nic już nie będzie tak jak było?

— Ależ tak, będzie — uspokoił ją. — Wszystko będzie dokładnie tak jak było. Chodź, połóż się, nie możesz tak się podniecać. Pomyśl o dziecku.

Dziecko! Zapomniała o dziecku! Zadrzała. Dzięki Bogu, jej dziecko nigdy się o tym nie dowie, nie będzie wiedziało, że jego matka zabiła.

— Doktor Valdez da ci coś na sen — powiedział Roberto, odgarniając jej włosy z czoła. — Rano poczujesz się lepiej. I pamiętaj, Amelio, za kilka tygodni wyjeżdżamy na Florydę. Mamy przed sobą nowe życie.

Leżała w ciemnym pokoju i przymknawszy oczy, oddała się rozmyślaniom. Tak, dzięki Bogu mają przed sobą nowe życie. Życie bez Diega. I bez Onci, jej pięknej, uwielbianej Onci. Łzy wypływały spod zamkniętych powiek i wsiąkały w poduszkę. Opłakiwała **Oncę**, opłakiwała własną utraconą niewinność.

66.

Leonora zapaliła świece i postąpiła krok do tyłu, patrząc z zadowoleniem na stół. Niebieskie talerze usiane drobnymi ciemnoniebieskimi i żółtymi kwiatkami, obstawione pełnymi wdzięku kryształowymi kieliszkami na wysokich nóżkach, czekały przy pięciu miejscach. Obrus był w najjaśniejszym odcieniu błękitu, a przy talerzach leżały delikatne żółte serwetki. W dwóch pękających srebrnych świecznikach, świecących kiedyś georgiańskim paniom przy łóżkach, stały grube miodowe świece, a świeżo ścięte nagietki i chabry pyszniły się w okrągłej oblanej żółtym szkliwem wazie.

Efekt był doskonały. Jeszcze tylko sprawdziła butelki z różowym winem w srebrnym kubelku. Doskonały stół na letnią kolację ze starymi przyjaciółmi oraz na podwójną uroczystość: piątą rocznicę jej ślubu oraz narodziny jej wnuczek, bliźniaczek Lais i Leonory do Santos.

Lais i Leonora wypowiedziała głośno ich imiona, szczęśliwa. Leonora urodziła się pół godziny przed Lais i Amelia napisała jej w liście, że przypomina jej Leonie. Dlatego właśnie zdecydowała się na imię Leonora.

Może była po prostu miła, pomyślała Leonia. Jeśli to jednak prawda, podwójną uprzejmością jest nazwać dziecko imieniem po matce, którą ledwie zna. Amelia zaczęła pisać do niej w ostatnich miesiącach ciąży i Leonia stwierdziła, że nie jest w stanie zarówno oprzeć się przyjemności, jaką jej to sprawia, jak też rozproszyć wątpliwości, jakie wywoływała w Amelii ich korespondencja.

Po tylu latach korespondencja była najbezpieczniejszym układem. Na początku były to krótkie liściki mówiące o postępach ciąży oraz o tym, jak bardzo podoba jej się życie na Florydzie, ale stopniowo, w miarę jak otrzymywała odpowiedzi Leonii, ich listy zmieniły się w korespondencję przyjaciółek. Leonia stała się powiernicą nowych wrażeń Amelii z jej życia w Ameryce oraz odczuć związanych ze zbliżającym się macierzyństwem.

Leonia wspomniała zmienną w nastrojach młodą dziewczynę, która pojawiła się w jej garderobie owego pamiętnego wieczoru i pomyślała, że jej córka stała się dorosła. Było w niej jednak coś jeszcze, jakiś ton, który ją dręczył. Jakiś smutek, coś więcej niż świadomość, że życie nie jest usłane różami, że to nie tylko szczęście i beztraska miłość.

Usłyszała odgłos samochodu na drodze i pośpieszyła do drzwi. Dom jak zawsze był otwarty na letnie powietrze, a stojące po bokach donice geranium znaczyły się plamami koloru na tle białych ścian.

— Leonio, kochanie, wieki całe się nie widziałyśmy!

Karo wyglądała zachwycająco w spódnicy z surowego jedwabiu i bluzce z opadającymi ramionami. Puszczone swobodnie włosy podpięte miała po bokach perłowo-turkusowymi grzebieniami.

— Wyglądasz cudownie — wykrzyknęły jednocześnie, szukając nowych znaków upływu czasu na swych twarzach.

— Ani o dzień starsza — stwierdziła Leonia zdecydowanie.

— Ty również — potwierdziła Karo. — Roześmiały się ze swej głupoty. — Mógłby kto pomyśleć, że mamy siedemdziesiątkę — rzekła Karo. — Ale rzeczywiście, wyglądasz tak samo jak piętnaście lat temu. Tylko masz szczęśliwszą twarz.

Usta Leonii rozciągnęły się w uśmiechu.

— Masz absolutną rację i zapewne jest tak właśnie dlatego, że jestem szczęśliwa.

— A Jim?

— Och, byłby jeszcze szczęśliwszy, gdybym, pozwoliła mu pracować osiemnaście godzin na dobę. Teraz kupuje ziemię wzdłuż wybrzeża. Uznał, że pewnego dnia nabierze wartości. Cały czas poświęca na planowanie, jak to rozwinie, oczywiście jeśli nie wyjeżdża do Nowego Jorku czy San Francisco. Czasami wyjeżdżam z nim, ale częściej zostaję tutaj i pielęgnuję ogród. Staję się leniwa, Karo. Jestem zbyt przywiązana do tego miejsca, by chciało mi się dokądkolwiek wyjeżdżać.

— Tego właśnie zawsze pragnęłaś, czy nie tak? — powiedziała Karo. — Chciałaś zabezpieczenia, jakie daje własna ziemia. On kupuje ją dla ciebie, Leonio. Wie, że znaczy dla ciebie więcej niż brylanty.

Leonia zamyśliła się na chwilę.

— Może i tak... Poza tym, mam Jima, nie potrzebuję niczego więcej. Z nim czuję się bezpieczna.

Ich oczy spotkały się w uśmiechu.

— Cieszę się — powiedziała Karo.

Alfons i Marok zatrzymali się z Jimem, by podziwiać z dróżki widok zatoki. Przysłaniając oczy przed zachodzącym słońcem, ogarniali wzrokiem rozległy cypel i wapienne ścieżki przecinające przylądek.

— Och, nie mogę czekać — wykrzyknęła Leonia i pobiegła ścieżką na ich spotkanie. Zrzuciła ramiona na szyję Marokowi. — Ty dezerterze — roześmiała się, całując go głośno. — Nie widziałam cię prawie pół roku.

Jej twarz jest tak samo pełna życia jak w dniu, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, czającą się nerwowo w alejce za sklepem Serrat. I tak samo piękna, myślał Marok.

— Jestem człowiekiem pracy — tłumaczył się, podając wielkie pudło jej ulubionych truflii od *Tanrades* z Paryża. — Praca w hotelu jest bardzo absorbująca. Właściwie nigdy nie mam czasu dla siebie.

— Powinieneś prowadzić któryś z hoteli tutaj — rzekła stanowczo. — Wtedy przynajmniej częściej byśmy cię widywali. A jeśli tego nie zrobisz, ja będę musiała jeździć częściej do Zurychu.

Powrót Maroka do hotelarstwa był uwieńczony sukcesami, ale oddalenie nie sprzyjało kultywowaniu przyjaźni.

— Słyszałem, że mamy podwójną uroczystość. — Ujął Leonie pod rękę i ruszyli do domu. — Czy dowiemy się, co to takiego?

— Dopiero po kolacji — oświadczyła. — Wtedy wam powiem. — Poprowadziła na taras, gdzie Jim napelniał wysokie kieliszki miejscowym wermutem, który miał aromat świeżego tymianku ze zbocza wzgórza, oraz wspaniałym, pachnącym jagodami *cassis*.

— To jest boskie! — stwierdziła Karo. — Dlaczego żyje się gdzie indziej, a nie po prostu tutaj?

— Dokładnie to samo myślę — przytaknął Alfons.

— Powiedz — rzekła Karo, wciągając powietrze — co jest na kolację? Pachnie cudownie.

— Nadziewana oberżyna, pieczone jagnię, a przedtem krewetki do jedzenia palcami, ze świeżym majonezem pani Frenard, oraz szparagi. Później zaś tyle malin i truskawek, ile będziecie w stanie zjeść. — Leonia roześmiała się, widząc rozpromienienie w twarzach swych gości.

— Wzniosę toast — rzekł wesoło Marok. — Także za was oboje. Życzymy wam wiele szczęścia z okazji rocznicy ślubu.

— Wiele szczęścia — powtórzyli Karo i Alfons.

Jim objął ramiona Leonii.

— Nie uwierzylibyście, jak musiałem ją tropić — rzekł z szerokim uśmiechem. — Powiedziałem jej jednak, że jestem dla niej wymarzonym mężczyzną.

Ich szczęście było tak widoczne, że goście pławili się w jego blasku. Kto mógł przypuszczać, że Leonia będzie kiedyś taka szczęśliwa, pomyślała Karo, wspominając hrabiego. Leonia rzadko o nim mówiła. Zamilkła na ten temat, gdy rozeszła się wieść, że jest unieruchomiony po udarze, mówiono nawet o uszkodzeniu strun głosowych, w wyniku którego nie może mówić. Gdy się znała silną osobowość hrabiego, trudno było uwierzyć w te plotki, ale była to chyba prawda. Przez większą część roku mieszkał w wielkim apartamencie w *Hotel de Paris* w Monte Carlo i od czasu do czasu wypływał na jachcie, choć mówiono, że opuszcza hotel tylko głęboką nocą, aby nikt nie mógł go zobaczyć na wózku. Karo wzdrygnęła się i uniosła kieliszek do ust. Gdyby jego namiętność do Leonii była zdrowa, to on mógłby otaczając ją ramieniem stać dziś tutaj na uroczystości z okazji rocznicy ślubu.

— Zapraszam wszystkich — zawołała Leonia. — Kolacja na stole. Marok, siadasz po prawej, Alfons po mojej lewej ręce. Zostawiam Jima dla ciebie, Karo.

— Świetnie — rzekł Jim. — Od lat próbuję zostać z nią sam na sam.

— Widzicie! Jesteśmy małżeństwem tylko pięć lat, a on już goni za moją najlepszą przyjaciółką — wykrzyknęła, gdy zajmowali miejsca, po czym podniosła kieliszek. — Nie mogę czekać dłużej — powiedziała z rozpromienioną twarzą. — Chciałabym, abyście wypili za Lais i Leonorę do Santos, bliźniaczki Amelii. Moje wnuczki!

— Leonio, ach, Leonio, cudownie! — Karo była zachwycona. Marok i Alfons uśmiechnęli się tylko na tę demonstrację uszczęśliwienia.

— Co więcej — podjęła Leonia — może odebrano mi moją córkę, ale ona sama obiecała mi, że zobaczą moje wnuczki. Kiedy będą już odpowiednio duże, przywiezie je do mnie.

Karo pomyślała o wszystkich zwykłych, szczęśliwych babciach mających codzienny czy cotygodniowy kontakt z dziećmi i ich potomstwem. Uniosła kieliszek w toaście za zdrowie dzieci. Dziwne, jak Leonia nauczyła się cieszyć z drobiazgów, czerpać radość z czegoś tak małego, pomyślała. Mglista obietnica przyszłej wizyty wystarczyła, by nie posiadała się ze szczęścia.

Kolacja z nieodłącznymi dyskusjami i ploteczkami ciągnęła się długo. Rozsiedli się jeszcze raz na tarasie z kawą. Goście myśleli o czekającym ich powrocie do domu.

— Nie rozumiem, dlaczego tu nie zostaniesz — narzekała Leonia, gdy Karo szykowała się do wyjścia.

— Nie masz wystarczająco dużej szafy, by trzymać jej ubrania — rzekł Alfons kostycznie. — I tak musimy brać apartament z dwiema sypialniami, aby mogła wszystko zmieścić. A przyjechalibyśmy tu tylko na cztery dni!

Leonia objęła przyjaciółkę.

— Cudownie, że nie zmieniłaś się od dnia, kiedy cię poznałam — powiedziała, wspominając szafy pełne jedwabi i satyn oraz szkatułki z biżuterią.

— Co to za kobieta bez upiększeń — zawołała Karo beztrąsko, gdy schodzili ścieżką. — A więc spotkamy się jutro. Zaplanowałam na wieczór małą partyjkę.

Alfons jęknął.

— Ona mnie zrukuje — powiedział, pomagając jej wsiąść do samochodu.

— Nigdy — odrzekła kpiąco. — Ja zawsze wygrywam.

Marok zasiadł za kierownicą.

— Dziękujemy ci za cudowny wieczór — powiedział cicho. — Tęsknię za tobą, Leonio — dodał i w jego oczach odmalowało się wzruszenie.

— Ja także za tobą tęsknię, stary przyjacielu — Leonia zarzuciła mu ramiona na szyję.

Jim ujął ją za rękę i ruszyli do domu ścieżką, którą Leonia wyłożyła kiedyś kamieniami.

— Nie dałem ci jeszcze prezentu — przerwał milczenie. — Chciałem poczekać, aż będę mógł ci to pokazać, a teraz jest trochę za późno.

Popatrzył w niebo. Stojący wysoko księżyc zalewał świat białawym blaskiem. Przylądek wyglądał jak zasłona teatralna, namalowana na łagodnie marszczącej się powierzchni morza.

— Poczekaj tutaj — powiedział sadzając ją w fotelu na tarasie. — Zaraz wrócę.

Patrzyła na cudowną scenę przed sobą. Za każdym razem, gdy tu przebywała, nie było dwóch takich samych wieczorów. Morze i niebo zawsze wyglądały inaczej. Odetchnęła z przyjemnością. Jej dom to najcudowniejsze miejsce na ziemi.

— Zamknij oczy — polecił jej Jim — i wyciągnij rękę.

Zamknęła oczy posłusznie. Poczowała w ręku sztywny, szeleszczący papier. Badala go palcami zaintrygowana.

— Czy mogę już otworzyć oczy? — zapytała.

— Teraz już tak — odparł.

Zobaczyła dokumenty, jakie już kiedyś widziała. Dokumenty z różowym sznurkiem i czerwonym woskiem pieczęci. Prawo własności, przeczytała z uczuciem, że już je widziała. Monsieur dał jej taki prezent. Prawo własności tego domu. Zaczerpnęła głęboko powietrza i przeczytała. Prawa własności na całą ziemię na wschód od domu aż do przylądka, ziemię na tyłach aż do podnóża wzgórz ponad drogą oraz kilka hektarów na zachód. Zdumiona podniosła na niego oczy.

— Jesteś panią wszystkiego, na co patrzysz, Leonio Jamieson — powiedział z cwaniackim uśmiechem. — To wszystko twoje.

Stała obok niego, patrząc na zalany światłem księżycy pejzaż. To wszystko naprawdę jest jej. Drzewa, wzgórza, wapienne ścieżki — wszystko. Wsunęła rękę w dłoń męża i oparła głowę na jego ramieniu. Najcudowniejsze w tym było, że nie obwarował tego warunkami, tak jak uczynił to monsieur, lecz dał z miłością.

— Jak mam ci podziękować? — spytała cicho. — To najwspanialszy prezent, jaki od ciebie dostałam.

— Wiem — rzekł, ściskając jej dłoń. — Zawsze wiedziałem, czego ci potrzeba.

Nie odpowiedziała. Nie mogła. Jim wie, czego ona potrzebuje, wie, co zrobić, by czuła się bezpieczna. I dał jej całą tę ziemię. Dzięki niemu stała się kimś, kim zawsze chciała być. Kobieta posiadającą majątek.

67.

Po południu Lais i Leonora drzemały spokojnie w osłoniętym żaluzjami półmroku pokoju dziecinnego *Villa Encantanda*. Amelia uśmiechnęła się lekko i zamknęła za sobą delikatnie drzwi. Następnie zajrzała do pokoju Vincente i Jeana-Paula. Sześcioletni chłopcy leżeli w łóżkach w identycznych pozycjach — na brzuchach, z głowami odwróconymi w prawo i mocno zaciśniętymi oczami. Poranek był burzliwy, niespokojny, upał dawał się wszystkim we znaki, ale w końcu wszystkie dzieci posnęły. Pozostawało mieć nadzieję, że nim się zbudzą, upał zelżeje choć trochę i będą mniej marudne.

Amelia wyszła na taras i rzuciła się w rozpięty na dwóch niskich słupkach hamak. Słońce połyskiwało mosiężnie na jasnym, bezchmurnym niebie. Amelia westchnęła. Nie ma co spodziewać się ochłodzenia. Dlaczego w tym roku wydaje się, że jest o wiele goręcej niż zawsze? Jednak lepiej tu niż w Miami. Miała rację, że uciekła przed tą obezwładniającą człowieka wilgotnością. Jeszcze tydzień i hotel zostanie zamknięty na trzy miesiące posezonowej przerwy i Roberto z Edwardem będą mogli do nich przyjechać. A potem, kiedy ochłodzi się po największych upałach i rozpocznie się nowy sezon, Roberto zostanie nowym dyrektorem.

Wyłączna piecza nad takim świetnym hotelem to zajęcie pochłaniające wszystkie siły. Roberto będzie pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę i spędzał w *Palagio* więcej czasu niż w ich spokojnym małym domu. Jeszcze mniej niż teraz.

Zmarszczka przecięła jej czoło. Roberto wydaje się szczęśliwy. Kocha swą pracę, dzieci uwielbia, kocha ją, ale to już nie jest to samo. Obraz salonu *Villi d'Aureville* z okrwawionymi ciałami na podłodze wcisnął się nieproszony w jej myśli. Otworzyła oczy, próbując odegnać wspomnienie. Czy w ciągu tych dwu lat był bodaj jeden dzień bez myśli o tym? Wiedziała, że Roberto również o tym myśli, chociaż od pogrzebu Diega nie wspomniał nawet słowem tamtych wydarzeń. Skończono, powiedział jej wtedy, a my musimy zapomnieć o wszystkim i żyć dalej. Musimy myśleć o dzieciach i o naszym wspólnym życiu. W jej głowie kłębiły się pytania. Może jednak lepiej, by nigdy nie poznała odpowiedzi. Teraz już wiedziała, że nigdy nie będzie tak samo. Tak jak zawsze Diego odniósł w końcu zwycięstwo i stanął między nimi.

Upał był nie do zniesienia. Nawet śladu najłżejszego powiewu. Spuściła nogi z hamaka i boso weszła do domu. W pokoju było chłodniej. Zrzuciła w półmroku ubranie i położyła się na łóżku. Było szerokie, wygodne, zaścielone na białe. Przewidziane dla kochanków czasu sjeisty, pomyślała. Na popołudnie takie jak to, kiedy żar namiętności odpowiada upałowi na zewnątrz.

A co ona, Amelia do Santos, wie na temat namiętności? Zna miłość; przecież kocha Roberta i on kocha ją. Miłość jest podłożem ich kontaktów seksualnych. Ale nie jest to wszechogarniająca namiętność. Czy kiedykolwiek ją pozna? Jest panią do Santos, jej zapracowany mąż kocha ją, a ona ma małe dzieci, by wypełniły każdą lukę, która mogłaby pojawić się w jej życiu.

Odwróciła się i zamknęła oczy. Czy to kobietom wystarcza?

Hilliard Watkins z książką pod pachą przemierzał cudowny wewnętrzny kolumnowy dziedziniec *Palagio d'Aureville*. Szukał jakiegoś zacienionego miejsca z odrobiną bodaj powiewu, który by stępił bezwzględny upał tego dnia. Skinał uprzejmie głową na powitanie dwóm starszym damom, eleganckim jak zawsze. Z prostymi *bostońskimi* plecami, w wykrochmalonym płótnie i praktycznych pantoflach z Nowej Anglii sprawiały wrażenie absolutnie niewrażliwych na upał. Jedynym ich ustępstwem na rzecz pogody były szerokie słomkowe kapelusze, których nigdy nie zdejmowały, nawet wewnątrz. Ich brat to inna sprawa. W oczach za oprawionymi

w złoto okularami zawsze skrzyły się ogniki, a panama na głowie starszego pana przekrzywiona była zawadiacko. Watkins założyłby się, że w swoim czasie był niezłym rozrabiaką i teraz stare panny trzymały go żelazną ręką. Jednakże kiedy one kładły się spać, Watkins widział go w barze popijającego koniak i rozmawiającego z barmanem.

W ostatnich tygodniach sezonu poza nim państwo Peabody byli jedynymi gośćmi tego wspaniałego hotelu.

Watkins przeszedł przez długi, zacieniony murowany taras i stanął, wpatrując się w morze. Głębokie markizy chroniły rzędy wielkich okien przed bezpośrednim działaniem słońca, ale nawet w ich cieniu nie było najłżejszego powiewu. Oparty o balustradę patrzył na falujące posepnie pod mosiężnym niebem morze. Nie ma co się zastanawiać, jego pokój będzie najchłodniejszym miejscem do cichej lektury.

— Pan do Santos?

Stara dama stała przed Robertem wyprostowana, w kapeluszu tkwiącym na głowie prosto i w nieskazitelnych pantoflach na stojących równiutko stopniach. Za nią czaił się brat. Był bardziej pochylony od siostr, a niebieskie żyłki na jego nosie wskazywały na upodobanie do wieczornego popijania koniaku.

— Panie do Santos, mój brat jest przekonany, że zbiera się na sztorm.

Roberto wskazał damie krzesło.

— Obawiam się że o tej porze roku tego właśnie należy się spodziewać, miss Peabody. Wie pani, to koniec sezonu.

— Pan nie zrozumiał — odparła sztywno. — Nie zwykły sztorm. Huragan.

Roberto spojrział na nią zaskoczony. Co może wiedzieć ta wykrochmalona bostońska dama na temat huraganów?

— Wszystkie oznaki na to wskazują — kontynuowała stanowczo starsza pani. — Mój brat twierdzi, że czuje to w powietrzu. Ma w tych sprawach doświadczenie.

— Tak, tak — potwierdził roztrzęsiony pan zza pleców siostry. — Morze Południowochińskie, wie pan. Byłem tam wiele lat...

— Cicho bądź, Henry, kiedy ja mówię. — Siostra przerwała mu w połowie zdania i Henry zdjąwszy okulary zaczął czyścić je nieskazitelnie białą chusteczką.

— Chcielibyśmy wiedzieć, jakie środki ostrożności ma pan zamiar przedsięwziąć w związku z tym, panie do Santos.

— Obawiam się, że nie pomyślałem o tym, miss Peabody. Nie było żadnych ostrzeżeń o kierującym się w naszą stronę huraganie. Hotel posiada jednak przeciwsturmowe okiennice, mamy przygotowane worki z piaskiem na okna i oczywiście wszystkie przenośne sprzęty — meble, wazy z kwiatami i temu podobne — zostaną wniesione do środka. Hotel będzie odpowiednio zabezpieczony, ale, jak powiedziałem, nie dostaliśmy żadnego ostrzeżenia sztormowego.

— On nadchodzi — odezwał się Henry nagle. — Zawsze się tak zaczyna. Niech mi pan zaufa, mister do Santos i już poczyni przygotowania. Będzie tu wraz z zapadnięciem nocy. — Posłał im zza okularów rozpromieniony uśmiech. — Zupełnie jak w dawnych czasach — rzekł podniecony. — Pamiętam jak w siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy stary Cooper i ja badaliśmy wyspy...

— Mój brat był w służbie zagranicznej — wyjaśniła stara pani, przerywając bratu gładko. — W takim razie opuścimy pana, by zająć się wszystkim, mister do Santos.

Starsza pani była już po siedemdziesiątce i mimo jej apodyktycznego sposobu bycia Roberto czuł się za nią odpowiedzialny.

— Jeśli państwo się niepokoją, miss Peabody, możecie wyjechać teraz na północ, za godzinę odjeżdża pociąg do St. Augustine.

— Zamówiliśmy sobie tutaj pokoje na następny tydzień i mamy zamiar zostać, mister do Santos. Dziękujemy panu.

Henry ruszył za oddalającą się siostrą.

— Będzie spora zabawa — szepnął konspiracyjnie. — Myślę, że spodoba mi się ten huragan.

Edward wciągnął ostami worek z piaskiem na miejsce przed wielkimi oknami prowadzącymi na wychodzący na morze taras i wytarł chusteczką czoło. O ile byłoby łatwiej, gdyby nie to, że w związku z zamknięciem hotelu w przyszłym tygodniu zredukowali już liczbę personelu do niezbędnego minimum. Z drugiej

strony można sobie wyobrazić panikę, gdyby hotel był pełen gości. Wzdrygnął się na tę myśl.

Podniósł głowę znad sterty worków i popatrzył po tarasie. Wszystkie białe plecione meble zostały wniesione do środka, skrzynie z kwiatami i misy, które można było poruszyć, zostały umieszczone w magazynach. Markizy zostały złożone i mocno przypięte, choć przypuszczał, że jako pierwsze padną ofiarą sztormu. Wzruszył ramionami filozoficznie. Miał nadzieję, że to najgorsze, co może ich spotkać.

Mimo że była dopiero czwarta, panował półmrok. Nadal nie było nawet śladu wiatru i żaden ptak nie odezwał się w zapierającej dech ciszy. Pomyślał o Xarze i Amelii na Key West. Tam zapewne wszystko w porządku. Strażnik wybrzeża powiedział Robertowi, że tak daleko na południu nie ma niebezpieczeństwa i że jeśli nawet sztorm dotrze do Miami, to tylko ogonem zawadzi tamten rejon. Zastanawiał się, na ile te przewidywania okażą się trafne.

Zapalone w hotelu światła odbijały się od czarno-białej marmurowej posadzki wysokiego hallu; za zamkniętymi na głucho okiennicami panowała całkowita cisza. Roberto przeszedł przez puste korytarze. Dienne pokojówki odesłał już do domu i tylko szef personelu, Michel, jego dwaj zastępcy oraz barman Jordan nie wyjechali jeszcze na posezonową przerwę. Byli też jeszcze czterej ostami goście sezonu.

Pozamykał starannie wszystkie drzwi i zabezpieczył je żelaznymi sztabami. Ludzie są w środku. Nic więcej nie mógł zrobić.

Miss Peabody z towarzyszącym jej z tyłu bratem spłynęła z szerokich schodów. Nieodłączna panama starszego pana była mocniej przekrzywiona niż zwykle.

— Dochodzi piąta — obwieściła starsza pani. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, herbatę wypijemy w małym salonie.

— Oczywiście, madame. — Roberto uśmiechnął się.

Żaden huragan nie zakłóci zwyczajów miss Peabody.

O szóstej wiatr już wyl i słyhać było bębniecie deszczu. Okiennice, z dala dobiegał łoskot morza zwałającego się wielkimi spienionymi bałwanami na brzeg. W wpół do siódmej zgasło światło. W hallu postawiono trzy ogromne kandelabry. Przy ich drgającym

świetle obie panny Peabody, Henry oraz Hilliard Watkins jako czwarty zasiedli do brydża. Edward przyniósł dla podniesienia ducha szampana oraz małe kanapeczki, jak na elegancki piknik. Wiatr od niskich gwałtownych porykiwań wzmógł się do przenikliwego skowytu. Roberto chodził po hotelu niespokojnie. Słuchanie tych wszystkich odgłosów, gdy nie mogło się popatrzeć na to, co się dzieje, było przerażające.

O dziesiątej wydawało się, że łomoczący okiennicami i drzwiami wiatr osiągnął swą najwyższą siłę. Ponad wichrem słyszeli trzask łamanych krzewów, pękających drzew i fontann, wywnioskowali, że garaże i zabudowania gospodarcze także zostały roztrzaskane i zmiecione sztormem. Co chwilę dziwny poryw łomotał w ciężkie drewniane drzwi jak domagający się wejścia wojownik.

Roberto wiedział, że Edward się denerwuje. O jedenastej miała nadejść wielka fala. Nie było sposobu sprawdzić, jak wysoki jest poziom morza, ale sądząc z bliskości dobiegających dźwięków uważali, że pokryło już plażę i zaczęło zalewać długie pochyłe trawniki między plażą a tarasem. Jeśli wiatr będzie wciąż taki jak teraz, razem z silną falą przypływu...

Wyciągnięty jak długi na kanapie w hallu Henry Peabody pochrapywał lekko. Uspilo go sześć kieliszków szampana; tak samo podziały na siostry dwa. Drzemały wyprostowane w fotelach po obu stronach brata.

Roberto uświadomił sobie, że nagle zapadła cisza. Niemal zakłuło go w uszach. Nie nastąpiło osłabienie siły wiatru, nie zelżał jego gwizd, po prostu wiatr zamarł.

Henry Peabody usiadł ziewając i wzięwszy chusteczkę, znów zaczął czyścić okulary.

— Jesteśmy w środku tego, co się nazywa okiem cyklonu. Wiatr będzie szalał wokół nas w odległości kilku mil. Oczywiście wróci, ale już z przeciwnego kierunku. Teraz można wyjrzeć i zobaczyć, jakie są rozmiary szkód.

Edward i Robert spojrzeli na niego zdumieni. Henry Peabody stał się kopalnią wiadomości.

Spokojne niebo rozświetlały gwiazdy. W ciepłym, ciężkim od wilgoci powietrzu nie było najłżejszego powiewu. Rozbłyśki nie-

bieskich błyskawic przecinały bezgłośnie niebo, a całe stada ptaków z podnieconym świergotem krążyły wokoło i spadając gwałtownie, gromadziły się bezładnie przy szczytach dachów i na огоłoconych z liści drzewach.

— Biedne stworzenia były niesione wiatrem setki mil — rzekł Henry, schodząc z marmurowych schodów — z każdego zakątka, gdzie huragan omiółł ziemię.

Oceniali oczami ogrom zniszczenia. W przepelnionych basenach tkwiły wyrwane z korzeniami drzewa. Ciężkie kamienne wazony leżały rozbite. Na zasypanym potrzaskanymi kafelkami tarasie stała deszczowa woda, której przesycona ziemia i przepelnione kanały nie były w stanie przyjąć.

Ocean nadal walił się na wybrzeże z przerażającym rykiem. W odległości niecałych stu metrów od nich potężne fale omywały trawnik, zwiększając szybkość, gdy pływ nabierał mocy. Nawet teraz, w ciszy, ocean stanowił potęgę, z którą należało się liczyć i Edward spozjrzał na Roberta z niepokojem.

— Potrzeba nam więcej worków z piaskiem na okna od strony morza — rzekł. — I lepiej, byśmy się pospieszyli.

Z pomocą Watkinsa, szefa, jego dwóch zastępców oraz barmana przytaszczyli ciężkie worki na miejsce.

— Powinno wystarczyć — wydyszał spocony z wysiłku Roberto. Wziął z wdzięcznością papierosa od Watkinsa i wsparty o balustradę tarasu wpatrzył się w spienione morze.

— Jedyne co nam pozostaje, to czekać — rzekł Edward.

Nagły podmuch wiatru uderzył w nich z nieprawdopodobną siłą. Mężczyźni biegli nieporadnie, pchani i obracani przez wielką moc, która rzuciła ich w końcu na ziemię.

Roberto leżał oszołomiony. Wiatr wyrывał oddech z jego ust, a on dyszał, kryjąc głowę w ramionach. Przez palce widział Watkinsa czołgającego się do rogu hotelu i uczeponego balustrady tarasu Edwarda.

— Chwyć się tego — krzyknął Edward przez wiatr. — Jak dotrzemy do rogu, skul się i biegnij.

Czepiając się balustrady przesuwali się centymetr po centymetrze, walcząc z rzucającym się na nich od morza wiatrem. Zacinający ostro deszcz oślepiał ich. Złowieszczo blisko rozlegał się huk fal.

— Teraz! — wrzasnął Edward. — Ruszaj!

Widział jak Roberto znika w deszczu i modlił się, by udało mu się schronić za róg. Białe grzywy fal przelewały się przez trawnik pod nim.

— Boże — wyrzeźił. — Za chwilę zwali się na taras.

Zatoczył się w ślad za Robertem i spychany przez wiatr biegł bokiem niczym krab, łapiąc spazmatycznie powietrze. Zgięty we dwoje, parł do przodu z opuszczoną głową. Roberto i Watkins już tam byli, wciśnięci we względny spokój zawietrznej strony bramy. Czekali dysząc w swym chwilowym schronieniu, zastanawiając się, co robić dalej.

— Myślisz, że uda nam się dostać do głównego wejścia? — spytał Roberto.

— Nie mamy wyboru — odparł Edward ponuro. — Jeśli zostaniemy tutaj, utoniemy.

Bokiem, z plecami przyklejonymi do ściany sunęli wzdłuż wschodniego skrzydła hotelu, potykając się i ślizgając w błocie, aż dotarli do żalosnych pozostałości ślicznego kiedyś zewnętrznego ogrodu, który dzielił ich teraz od drzwi hotelu.

— Nie mamy wyboru, musimy przygiąć się jak najniżej i przeć dalej — zawołał Roberto, kierując się w noc.

Edward pochylił głowę i skulił ramiona. Musi im się udać. Nadal przed sobą, lekko na lewo, widział Roberta, ale nigdzie nie było śladu Watkina.

Oślepieni deszczem i ciemnościami szarpali się z wichrem, nieświadomi wyrwanej z korzeniami palmy, którą niosło na nich z prędkością pociągu pośpiesznego. Roberto zobaczył ją pierwszy; wysoki ciemny kształt wynurzający się z nocy. Krzyknął i wysunął ręce w górę daremnym gestem, jakby chciał ją złapać. Pień uderzył obu mężczyzn jednocześnie i padli jak tracone kostki domina. Wiatr rozwiewał głosy wokół nich i Edward zaczął stopniowo dostrzegać przykucniętą nad nim postać.

Próbujemy podnieść drzewo, wszystko będzie dobrze — wrzeszczał Watkins. — Niech pan się jeszcze nie rusza. — Edward uświadomił sobie nagle, że wokół nich faluje woda i zrozumiał, że morze zalało taras. Czuł ból w ramieniu, a płynąca ze zranionej głowy krew zalewała mu oczy.

Napinając się i ciągnąc uwolnili Edwarda. Przygwoździła go górna część drzewa, która odbijając się uderzyła go w głowę, ale główna część uderzenia poszła w prawe ramię i wisiało teraz bezwładnie na pogruchotanych kościach. Robert nadal był uwięziony, grubsza część drzewa trzymała go całym swym ciężarem.

Musicie pomóc Robertowi — krzyczał Edward. — Na litość boską, pomóżcie mu... — Wiatr niósł jego słowa w ciemność.

— Zaraz go podniesiemy — odkrzyknął Watkins. — Musimy wrócić, nim morze nas wszystkich zagarnie.

Zgięci w pół ruszyli z mozołem do drzwi. Z obu stron podtrzymywali Edwarda, dla którego każdy krok stanowił niewypowiedziane cierpienie. Otworzyli drzwi, wepchnęli go do środka i z powrotem rozplynęli się w burzy. Edward dysząc osunął się po drzwiach. Pot i deszcz zmieszane z krwią kapały na elegancką marmurową posadzkę. Stare damy drzemały w migocącym świetle świec.

Ból w ramieniu był nie do zniesienia i Edward zagryzł wargi, by nie krzyżeć. Co z Robertem? Jeśli się nie pospieszą, będzie za późno. Utopią się wszyscy. Gdy to pomyślał, rozległo się uderzenie i trzask pękającego szkła. Morze zważyło się na zabezpieczone workami z piaskiem okna.

Drzwi otworzyły się ponownie i deszcz wraz z wiatrem wcisnęły się do hallu. Pogasły świece w grzechoczących kandelabrach, a kieliszki i drobiazgi zatrzeszczały na podłodze, nim czterej mężczyźni połączonym ciężarem swych ciał zdołali zatrzasnąć z powrotem drzwi.

— Czy jest tu kto? Co się dzieje — rozległ się w ciemności spokojny, pewny głos jednej z panien Peabody.

Edward ruszył po omacku w stronę kandelabrow.

— Wszystko w porządku, miss Peabody — zawołał, a jego głos zabrzmiał obco nawet dla niego samego. — Za chwilę zapalimy świece.

W rozedrganym świetle świec patrzył, jak przeniesiono Roberta przez hall i położono ostrożnie na kanapie. Ludzie odsunęli się na bok z szacunkiem. Unikali oczu Edwarda, a on patrzył na nich oszołomiony. To nie może być prawda. Nie chciał w to uwierzyć. Roberto jednak nie żył.

— Czy moglibyście panowie zabrać pana do Santosa na górę? — spytała miss Peabody cicho. — Połóżcie go na jakimś łóżku. A ty przynieś panu Edwardowi kieliszek koniaku, Henry. Siostra ma praktykę pielęgniarską — zwróciła się do Edwarda. — Obejrzy pańskie ramię.

Trzask pękającego szkła odpowiedział na kolejne nagłe uderzenie sztormu.

— Myślę, że rzucę na to okiem — oświadczyła spokojnie starsza pani — i zobaczę, co da się zrobić.

Odrętwiały Edward patrzył, jak znika przed wielkim salonem. Miss Peabody rządziła, a była nieposkromiona. Oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Mężczyźni nieśli na górę ciało Roberta. Widział, jakby to było wczoraj, małego jasnowłosego chłopczyka z Zeze, jego ukochanym baranem, potem młodego wysportowanego chłopca o mocnych nogach, grającego w polo; chłopca o dobrym sercu, zawsze łagodzącego nieporozumienia między Amelią a swymi kolegami. Mąż Ameli, chłopiec i mężczyzna, którego zawsze kochała, ojciec jej dzieci. Edward leżał i oplakiwał chłopca, którego znał, i płakał z powodu tragedii, która czeka Amelię.

Koszmar nocy jeszcze się nie skończył. Morze przelewało się na tarasie i zalewało ogrody, fale rozbijały się o okiennice. Budynek drżał jak tonący statek. Stali roztrzęsioną, wystraszoną grupką, popijając szkocką, a noc trwała i ni wichura, ni morze nie chciały osłabić swego szaleństwa. Siostry siedziały na kanapie, robiąc spokojnie na drutach, i po raz pierwszy nie narzekały, gdy brat dołączył do pijących.

Była już siódma rano, a w szparach żaluzji nie drgał najmniejszy przebłysk wschodu. Noc i dzień wyglądały tak samo i dopiero koło południa wichura zelżała nieco i niebo zaczęło się przejaśniać. Huragan przeszedł pozostawiając za sobą kilwater śmierci i zniszczenia.

68.

Amelia nie wiedziała, co było gorsze — chwila, gdy Edward powiedział jej, że Roberto nie żyje, czy pogrzeb, gdy biedne pogruchotane ciało złożone zostało na spoczynek pod czystym złotym niebem Florydy. To bez znaczenia, myślała znużona, nic już nie ma znaczenia. Przyniosła krzesło do okna i usiadła wpatrzona w niebieską zatokę.

W *Villa Encantanda* panowała cisza. Babcia powróciła do Rio, Xara i Edward byli w Miami ze swoimi i jej dziećmi. Wspomnienie małych córeczek obudziło w niej poczucie winy. Miesiąc upłynął, odkąd tylko w towarzystwie babki przybyła do Key West; miesiąc temu widziała po raz ostami dzieci. I minęły dwa miesiące od śmierci Roberta. Samo to słowo wywoływało w niej chłód. Zamknęła oczy z bólu, jakby zobaczyła wciśnięte w błoto przez pień palmy jego piękne, i mocne ciało.

To nie do zniesienia! Nic nie pozostało, nie ma po co żyć, jęknęła cicho w pustym pokoju. Nie ma po co! Babcia przypominała jej o Lais i Leonorze, przypomniała, że są także dziećmi Roberta. Powinna dziękować Bogu, że choć to jej zostawił. Skąd babcia miała wiedzieć, jak dalekie zdawały jej się teraz te dwie słodkie blondyneczki. Zbyt małe, zbyt niewinne, by wiedzieć cokolwiek ponad to, że tęsknią za miłym panem, którego właśnie uczyły się nazywać tatą. Może babcia miała rację i dziewczynki powinny stanowić dla niej pociechę, ale nią nie były i to z pewnością jej

wina. Jest nieczułą matką. Pograżona w swym smutku zaniedbuje własne dzieci.

Czuła się całkowicie bezradna. Nie potrafiła walczyć ze swymi przeżyciami. Przytłoczona bólem, pograżała się w nich bezwolnie. Pragnęła zawsze już siedzieć w ciemnym pokoju i nigdy z nikim nie rozmawiać. Tak było łatwiej.

Edward szedł nabrzeżem zatopiony w myślach. Był tu za namową Xary. To był jej pomysł, a on miał tylko żarliwą nadzieję, że się uda. Klucze pobrzękiwały mu w kieszeni marynarki, gdy szedł główną ulicą do lodziarni. Kupił porcję czekoladowych i porcję brzoskwińowych — ulubione lody Amelii. Uśmiechnął się nad swoją bezmyślnością. Rozumuje zupełnie jak dziecko, jakby lody mogły jej pomóc. Izabella uprzedziła go, że Amelia przestała jeść, że niczym się nie zajmuje. Nie wychodzi z domu, nikogo nie widuje. Coś muszą z nią zrobić. Wtedy właśnie Xara wpadła na ten pomysł. Edward westchnął tylko. Oczywiście, miał nadzieję, że się uda.

Usłyszała niespodziewane kroki w hallu i przestraszyła się. Nie miała pojęcia, kto mógłby przyjść. Spojrzała na zegarek. Czwarta, musiała się zdrzemnąć. To pewnie tylko służąca Zita. Jednak nie, to niemożliwe. Dała służbie wolny tydzień, chciała zostać sama. Dźwięk dobiegł ją ponownie i podbiegła do drzwi sypialni. Stała, nasłuchując w napięciu. Hałas dobiegał z kuchni.

— Kto tam? — zawołała, otwierając drzwi, po czym przeszła galerią i stanęła na szczycie schodów.

— To ja, Edward — dobiegło ją z dołu.

Nogi ugięły się pod nią. Patrzyła na niego, oparta bezsilnie o balustradę.

— Edward? Co ty tu robisz?

Pospieszył w górę na powitanie.

— Przyjechałem, by cię zobaczyć, oczywiście.

Objął ją i przytulił. Wydawała się lekka jak piórko. Kości młodej kobiety przypominały pod jego rękami kostki ptaka. Odsunął ją od siebie i popatrzył na nią krytycznie.

— Tak też myślałem — rzekł z przyganą w głosie. — Ty nic nie jesz.

— Odżywiam się wystarczająco — broniła się słabo. — Wszystko jest dobrze, naprawdę, Edwardzie. Nie ma powodu, by przybywać tu z takim pośpiechem tylko dlatego, że babcia wyjechała. Dobrze mi samej.

— Nie jestem tego pewien — odrzekł Edward ponuro. — A twoim dzieciom na pewno nie jest dobrze.

Oczy Amelii rozszerzyły się w nagłym przestraszeniu.

— Czy stało się coś złego?

— Nie, nic złego, tylko w przyszłym tygodniu są drugie urodziny Lais i Leonory i dobrze by było, aby ich matka także pojawiła się na ich święcie. Zwłaszcza teraz, gdy nie mają już ojca — dodał z rozmysłem.

Wstrząśnij nią, powiedziała Xara. Musisz ją wydobyć z tej okropnej apatii, obarczyć odpowiedzialnością, zmusić, by stawiała temu czoło. Ona musi — dla dobra dzieci i własnego.

Amelia cofnęła się o krok. Co on mówi? Czy nie wie, że mówienie o tych sprawach przekracza jej wytrzymałość?

— Ja... właśnie leżałam u siebie w pokoju — wyszeptwała, ruszając z powrotem pod ścianą korytarza.

Edward chwycił ją mocno za rękę.

— Zejdź ze mną na dół — powiedział, ciągnąc ją za sobą. — Przyniosłem coś dla ciebie.

— Edwardzie... ja nie czuję się najlepiej... chyba lepiej będzie, jak wrócę i położę się z powrotem. Och, zapomniałam, dałam służbie tydzień wolnego; musisz udać się na kolację do St. James.

— A co proponujesz, bym zjadł?

Całą odpowiedzią na jego pytanie była obojętna twarz.

— Chodź ze mną — powtórzył, schodząc ze schodów.

Dwa opakowania lodów na kuchennym stole zaczęły się już rozpuszczać. Edward posadził Amelię na krześle i zacerpnął do czarki po łyżce każdego smaku.

— Proszę — podał jej z szerokim uśmiechem. — Twoje ulubione.

Czy on nie rozumie, że nie ma już dla niej dobrych rzeczy? Zobaczyła wpatrzona w nią ze współczuciem oczy Edwarda. Nie tknięte lody stały przed nią.

— Niejedzenie niczego nie rozwiąże, Amelio. Nie przywróci Robertowi życia.

Opuściła oczy i długie rzęsy położyły się cieniami na bladych policzkach. Niedawno jeszcze takie wspaniałe, jej włosy wisiały zaniedbane w martwych strąkach. Ręka Edwarda zdrząła na łyżeczce. Straszne było tak ją ranić, ale musiał to robić, by ją ratować.

— Lais i Leonora czują się doskonale — zaczął. — Wszędzie ich pełno, nic nie jest w stanie ich zatrzymać. Bardzo mi przypominają cię, kiedy byłaś w ich wieku, i to jest wspaniałe. Oczywiście, są również podobne do ojca, Roberto był blondynem tak jak ty, Lais ma jego oczy, takie cudownie czyste i niebieskie...

— Przestań! — Z głosu Amelii przez ból przebił się gniew. — Dlaczego to robisz... Przestań Edwardzie, błagam cię!

— A więc twoim zdaniem będzie w porządku, jeśli teraz, kiedy Roberto nie żyje, nie będziemy o nim mówić? Amelio, jak mam określić taką głupotę? Roberto ma prawo do wspomnienia, do tego, by o nim mówiono, by go *kochano*. Czy nie widzisz, że jego śmierć stała się częścią naszego życia? Że my wszyscy z nią żyjemy?

Patrzyła na niego z kamienną twarzą i Edward zawahał się. Czy nie pospieszył się zbyt szybko? Jeśli nawet, nie ma już odwrotu.

— W Miami jest dwoje dzieci, które potrzebują matki. Więcej, Amelio. One mają *prawo* do swojej matki. Ich ojciec zginął i ich przyszłość spoczywa w twoich rękach. Są zależne całkowicie od ciebie, Amelio do Santos.

Amelia podniosła brodę jak po ciosie. Edward ma rację, dzieci to jej obowiązek. Ale ona nie chce wracać do Miami, nie chce w ogóle nigdzie się ruszać. Chce tylko pozostać w ciszy swego pokoju na górze. Jak może wrócić, śmiać się i bawić z dziećmi; być taką, jakiej jej się spodziewają, jaką zawsze była? Teraz wszystko się zmieniło. Jej życie stało się puste.

Edward wyjął z kieszeni klucze i pokazał jej.

— To klucze do *Palacio d'Aureville* — rzekł spokojnie. — Miałem je wręczyć Robertowi w przyszłym miesiącu, przy obejmowaniu przez niego stanowiska dyrektora. Ciężko na to pracowałem i zaproponowałem mu tę pracę bez najmniejszego wahania. Zasłużył sobie na nią.

Położył klucze na stole między nimi i odsunął krzesło. Kafelkowa podłoga odpowiadała echem na jego kroki, gdy zaczął chodzić po kuchni.

— Wszystkie zniszczenia w hotelu zostaną usunięte, szkody naprawione, wymyta ziemię nałoży się ponownie. Spodziewamy się, że otworzymy w terminie i przez pierwsze dwa tygodnie hotel będzie przynajmniej w połowie zajęty. Później mamy już pełną rezerwację do końca sezonu. Robimy dwa baseny oraz salę gimnastyczną; Michelowi marzą się nowe potrawy do rozpieszczania naszych gości. Personel jest już przygotowany i czeka. Potrzebujemy teraz tylko dyrektora.

Amelia siedziała przy stole sztywno, zastanawiając się, dlaczego on musi teraz to wszystko mówić, i co ją to wszystko obchodzi.

Edward wpił się w nią oczami.

— Włożyliśmy mnóstwo pracy w *Palacio cTAureuille*, ja, Xara, babcia, Roberto. A jeszcze więcej pieniędzy. Stanowisko dyrektora jest twoje, Amelio.

Podniosła głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Roberto chciałby, aby tak było — kontynuował. — Prowadziłaś hotel w Rio dla babcia pomagałaś też Robertowi w *Palacio* i nie widzę powodu, byś nie mogła poradzić sobie z tym zadaniem. — Uniósł rękę, gdy próbowała oponować. — Nie przyjmuję odmowy, Amelio. Nie będzie żadnego innego dyrektora. Jeśli nie przyjmiesz tej pracy, *Palacio d'Aureuille* będzie stało zamknięte.

Podszedł do stołu i pchnął do niej klucze.

— Proszę, oto klucze. *Palacio d'Aureuille* czeka na ciebie. To wyzwanie, Amelio, i wiem, że je podejmiesz.

Ruszył do wyjścia i odwrócił się jeszcze od drzwi. Siedziała plecami do niego, nieporuszona.

— Zjedz lepiej lody, zanim się rozpuszczą — zawołał.

Usta Amelii drgnęły w półuśmiechu. Trzeba nie łąda opanowania, by podjąć taką grę. Była pełna podziwu dla niego. Poza tym wiedziała doskonale, że skoro wygłosił takie oświadczenie, dotrzyma danego słowa i jeśli ona odmówi przyjęcia tej propozycji, nie otworzy hotelu. Nie pozostawiał jej wyboru. Podniosła ciężkie klucze i tak jak robił to wiele razy Roberto, zważyła je w dłoni. Kafelek zapiszczał, gdy odepchnęła krzesło i ruszyła do drzwi, by dogonić Edwarda. Wyzwanie, powtórzyła głośno. To coś więcej niż tylko wyzwanie. To będzie straszliwa szarpanina i ciężka praca, ale podobał jej się ten pomysł. I to jeszcze jak!

69.

W czerwcu **1914** roku Leonia uważała groźbę wybuchu wojny w Europie za śmieszną. Kto mógłby wyobrazić sobie wojnę, kiedy świeci słońce, Morze Śródziemne wydaje się jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle, a delikatny powiew chłodzi rozkoszne letnie noce? Kto mógłby chcieć zakłócić taką doskonałość?

Jak może wybuchnąć wojna, gdy lipcowe ulice Paryża pełne są pięknych młodych ludzi ubranych wedle najświeższej miejskiej mody, którzy zawsze sprawiają wrażenie, jakby udawali się bądź wracali z jakiegoś szalonego, ekstrawaganckiego przyjęcia? Muzyka unosila się nad paryskimi ogródkami i chodnikami jak mgielka, a cudowny aromat kawy i zapach świeżo pieczonych bułeczek dręczyły wczesnych porannych przechodniów. Ale w kawiarniach Francuzi czytali gazety w pełnej zgnębienia ciszy, a pogawędki przeszły z kobiet na temat wojny, z wakacji w Deauville na problemy Bałkanów.

— To musi przyjść, Leonio — rzekł Jim — odkładając upstrzoną mocno wyeksponowanymi nagłówkami gazetę na stół między nimi.

Leonia piła kawę i spoglądała na ogródek *La Coupole*, unikając jego oczu. Nie chciała niszczyć tego cudownego poranku rozmową o wojnie.

— Chowanie głowy w piasek ani wierzenie w cuda nic nie da, Leonio. Sytuacja jest poważna.

— Ale ludzie mówią, że gazety przesadzają, że wszystko się ułoży.

— Już za późno, moja droga, to już się rozkręca. Musimy podjąć jakąś decyzję.

— Jaką decyzję?

— Czy mam cię zabrać do Ameryki, czy też zostaniemy tutaj i będziemy próbować stawić temu czoło.

Opuścić Francję, kiedy szykuje się tu wojna? Zostawić zajazd? Do diabła, walczyła i cierpiała, by zdobyć ten dom, a teraz miałyby tak zwyczajnie zrezygnować i zostawić go wrogowi?

— Nigdy — rzuciła z pasją. — Nigdy nie opuszczę Francji. Zabiję każdego, kto spróbuje zabrać mi zajazd!

Jim uśmiechnął się szeroko. Wiedział, jaka będzie jej odpowiedź.

— W porządku. To wszystko wyjaśnia. Zostajemy. Następny problem, to jak zostanie przyjęte zgłoszenie się Amerykanina do francuskiej armii.

Leonia miała egoistyczną nadzieję, że nie przyjmą go do wojska. Przerażała ją myśl, że zostanie sama, bez niego, lub że — co gorsza — Jim znajdzie się w walce. Dostał przydział do służby wywiadowczej i nagle Leonia odkryła inną stronę osobowości beztroskiego, lubiącego wygody mężczyzny, który kiedyś ją ścigał i zwyciężył. Zawsze pogodny uśmiech maskował teraz troskę w jego oczach, a pełne pewności siebie plany na temat ich przyszłości pokrywały pogłębiające się uczucie daremności, gdy wydarzenia na świecie pędziły na łeb, na szyję do jedyne go, ostatecznego celu. W jego miłości do niej czuło się namiętność mężczyzny, który nie ma pewności, ile im jeszcze pozostało wspólnych dni.

Przewidywali taki obrót wydarzeń, a jednak wydawało się, że wszystko stało się tak nagle. Armie przemierzały Europę, na granicach gromadzono baterie, a młodzi Francuzi zostali nagle wciśnięci w mundury i wysłani na front.

Leonia była w zajeździe sama. Jim wyjechał rano do Paryża. Ich pożegnanie było spokojne i bez łez, choć tym razem optymizm Jima zawiódł go niemal całkowicie.

— Nie wiem, jak długo to będzie trwało, Leonio — wyszeptał, przygarniając ją mocniej do siebie — i nie wiem, kiedy cię znowu zobaczę, ale pamiętaj, że cię kocham... Czy kiedykolwiek zrozumiesz, jak bardzo cię kocham?

— Nic się nie stanie — odparła zapalczywie. — Jestem tego pewna. Nie zniszczy nas żadna wojna!

Kotka wskoczyła jej na ręce, wyczuwając coś niedobrego. Drżała cała, a jej podniesiony głos przeszedł w ochryple zawrodożenie, gdy samochód Jima znikł w oddali.

Dzwonił do niej z Paryża następnego dnia i każdego kolejnego wieczoru przez cały miesiąc, a potem miesiącami panowała cisza, nagły przeskok był nie do zniesienia. Nieoczekiwanie pojawiał się w domu, tylko na kilka dni, a oni udawali, że życie jest, jakie jest, aż nadchodził nieubłagany termin i znów musiał wyjeżdżać.

Po kilku miesiącach nie mogła wytrzymać dłużej tego oczekiwania i bezczynności. Wojna toczyła się na północy, na dalekich od jej błękitno-złotej Prowansji wzgórzach i w okopach, ale widziała ją na ściągniętych twarzach kobiet na bazarze, martwiących się o synów i mężów, wśród graczy w *boule* na skwerze, gdzie pojawiali się tylko znękanii starzy ludzie. Młodych mężczyzn na ulicach nie było.

Dwa dni trwało, nim udało jej się połączyć z Karo w Paryżu, ale osiągnęła dokładnie to, czego chciała. W ciągu godziny miała spakowane rzeczy. Czekoladka siedziała w swym koszyku z tyłu wozu, w baku była wypożyczona od starego przyjaciela benzyna i Leonia jechała do Paryża. Wybierała się na wojnę.

— Nie pozwolą nam walczyć — twierdziła Karo z oczami błyszczącymi podnieceniem — ale mamy inne możliwości, by pomóc.

— Chcę być *tam* — nie ustępowała Leonia — na froncie. Nie chcę ukrywać się na tyłach i zajmować się zwijaniem bandaży. Czy nie możemy przynajmniej pomagać rannym? Potrzebują ambulanśów, prawda? Więc dostarczymy im ambulanse, Karo.

Zdobyły fundusze na dwanaście ambulanśów i odprowadziły je na front w zespole wytwornych kiedyś paryskich dam, ubranych teraz w eleganckie, ale wygodne szaro-czerwone mundury, zaprojektowane przez ukochanego krawca Karo. Nie były przygotowane na przerażające sceny pozostałości pól bitewnych, ale wiozły

ranych ludzi, zaciskając zęby, by nie zwracać uwagi na pełen żalości płacz i krzyki, na dźwięki i zapach wojny. Przemykając się jak najbliżej linii frontu, popychane przez nienawiść do nieprzejednanego, brutalnego wroga, ratowały pogruchtane, skrwawione szczątki tego, co stanowiło kiedyś młodość Francji i Anglii. Nie zwracały uwagi na pociski i ogień i jakby ich pojazdy miały skrzydła, przeskakiwały, zdobywając dla swych ambulansów nazwę *skrzydlatych wózków*. Ironię losu dla Leonii stanowił fakt, że prowadzone przez nie samochody były wozami de Courmonta, karabiny, w które uzbrojeni byli żołnierze, pochodziły z zakładów zbrojeniowych de Courmonta w Valenciennes, ciężkie działa, których nieprzerwany ogień sprawiał, że głucho pod koniec dnia, pochodziły ze stalowni de Courmonta.

Kiedy wszystkiego było już dla niej za dużo, kiedy czuła, że nie znieśie dłużej widoku krwawiących ran, spojrzeń cierpiących, przerażonych oczu, zapalania papierosów i wtykania w usta konających, pakowały wraz z Karo do swych ambulansów kilkunastu apatycznych młodych ludzi. Nie byli ranni lecz znajdowali się w stanie ciężkiego szoku, sprawiali wrażenie, że przeszli przez zbyt wielkie piekło, by o nim mówić i by o nim zapomnieć. Zabierały ich na południe, do zawsze gościnnego zajazdu pod czułą opiekę Frenardów, oczekując, że tamtejszy spokój umożliwi im poczucie się z powrotem ludźmi, i gdy czasami to się udawało, wiedziały, że jest jeszcze nadzieja.

Zdarzało się, że w czasie tych wizyt bez uprzedzenia pojawiał się Jim. Przeżywali wtedy kilka wspólnych dni, ekstatycznych, choć bolesnych wiszącą nad nimi groźbą jego odjazdu. Nigdy nie mówił o tym, co robi, i nadal na powierzchni był tym samym wesołym, sardonicznym człowiekiem, ale wyczuwała nową dla niego gorycz, drażącą go tak samo głęboko jak jej własna ją.

Alfons, którego duma została boleśnie zraniona, gdy powiedziano mu, że jest za stary do służby wojskowej, pozostał w Paryżu i zaangażował się w rozmowy na temat międzynarodowego kredytowania zaopatrzenia wojennego i dostaw paliw. Wartość jego pracy dla Francji była wręcz niewymierna, ale nie kompensowało mu to fizycznej separacji od miejsc, gdzie jego zdaniem powinien się znajdować: na linii frontu, w walce z wrogiem.

To Jim przyniósł wiadomość o jego śmierci. Karo, która wróciła właśnie z długiej tury obsługi ambulansu, trzymała wysoko uniesioną głowę, gdy mówił jej to, co sama już wyczuła. Alfons nie stał się ofiarą kuli wroga. Powaliła go szalejąca w kraju grypa.

— Nie wyszłam za niego — powiedziała cicho, a łzy spływały jej po policzkach. — Nigdy sobie tego nie wybaczę, jak też tego, że nie było mnie przy nim. Nigdy nie dostał munduru, ale umarł dla kraju. Wiem, że spodziewał się po mnie postępowania godnego jego żony, żony oficera i dzielnego człowieka. Mam tylko nadzieję, że wiedział, że go kocham.

Powróciła na front następnego ranka. Nie płakała. Jechała w przekonaniu, że skoro nie może zabijać wroga, może przynajmniej ratować ilu tylko zdoła Francuzów.

Czasami przenikał jakiś list od Amelii z Florydy. Zupełnie jak z jakiejś innej planety, gdzie świat nadal jest pełen barw a nie wszechogarniającej szarości. Leonia z zachwytem czytała o swoich wnuczkach. Wiadomości o nich napępniały ją nadziejami na przyszłość, której problemy stały się nieoczekiwanie istotniejsze niż kiedykolwiek było zagrożenie ze strony hrabiego.

Informacja o śmierci Roberta, równie okrutnej i nie zasłużonej jak na polu bitwy, dotarła do niej w kilka miesięcy po wydarzeniu. Pośpiesznie napisany list Amelii powiększył jeszcze gorycz oddalenia od córki i świadomość niemożności uczestniczenia w radościach jej życia czy kojenia jej smutków.

Równie nagle jak się rozpoczęła, fala zawróciła. Latem **1918** roku wraz z serią zwycięstw aliantów niebo nad Francją rozjaśniło się i nadzieja wróciła do ludzkich serc.

W listopadzie Paryż i Londyn muzyką i winem, tańcami i fajerwerkami na ulicach czciły zawieszenie broni. Dla Jima i Leonii wystarczyło, że znów są razem i patrzą na ciemne niebo z wielkiego białego łóżka w prostym pokoju starego zajazdu.

Jeszcze jedno *wydarzenie* podkreśliło dla Leonii słowo *koniec*. Znaczenie rodziny mężczyzny, a właściwie jego powiązanie z Krummerem, jednym z największych niemieckich potentatów stalowych i zbrojeniowych, sprawiło, że doniesienia w gazetach miały kilka akapitów. W dzień po podpisaniu zawieszenia broni Rupert von Hollensmark jechał do fabryki Krummera w Essen. W gęstej mgle samochód wypadł z drogi. Rupert zginął na miejscu.

Leonia przechadzała się po plaży, wspominając ich romans. Byli tacy młodzi, tak nieprawdopodobnie młodzi i ona taka w nim zakochana. Wszystkie ważne wydarzenia jej życia rozgrywały się tu, w zajezdzie, do którego on ją przywiózł. Wszystkie jej powikłane związki i miłości. Monsiuer, który kupił dla niej ten zajazd, Charles, który dał jej Amelię, a teraz Jim i ich wspólne życie. Stracona miłość pozostawiła gorzko-słodkie uczucie żalu i ze smutkiem pomyślała o Rupercie i Puschi.

70.

Amelia wracała przez ogród *Palacio d'Aureville* do małego białego domu z własnym ogrodem — domu jej i jej małej rodziny. Sprawdziła duży zegarek na reku; ostatnio czas stanowił w jej życiu nader istotny czynnik. Szósta. Ma dokładnie godzinę na kąpiel i zabawę z dziewczynkami, nim położy je do łóżka. Potem musi wrócić do hotelu i sprawdzić rezerwacje. Nie mogą dopuścić do powtórzenia się incydentu z większą niż możliwa ilością rezerwowanych miejsc, jak się stało w ubiegłym miesiącu. Do dziś nie udało jej się wykrzyć popełnionego błędu. Było to niewybaczalne i fakt, że w ciągu trzech lat jej zarządzania nigdy się to nie zdarzyło, nie miał żadnego znaczenia. To nie powinno było w ogóle się stać i jej zadaniem jest sprawić, by nigdy więcej się nie powtórzyło. Zawsze coś się dzieje, pomyślała z wymuszonym uśmiechem, gdy otwierając furtkę ruszyła do zawsze stojących otworem drzwi wejściowych.

— Mama, mama — rozległy się zgodne głosy i dziewczynki rzuciły się na jej spotkanie. Dwie główki w obramowaniu jasnych loczków, pulchne, brązowe od słońca biegnące nóżki i przepychające się rączki. Lais będzie oczywiście tą pierwszą, która do niej dopadnie. Leonora uśmiechnie się tylko i pozwoli jej na to.

— Ja pierwsza — dyszała Lais, obejmując rękami kolana matki. — Sebastiao jest tutaj — usłyszała Amelia, gdy pochyliła się, by pocałować córkę.

— Tu jestem, mamusi. — Leonora podniosła buzię do pocałunku. — Sebastiao jest tutaj.

— Co za radość! — Amelia ujęła dziewczynki za ręce i ruszyła z nimi ścieżką. — Założę się, że przywiózł wam prezenty.

Lais spojrzała na nią niebieskimi oczami Roberta.

— Największą, największą lalkę, jaką widziałas!

Rozpostarła szeroko ręce, by pokazać jej wielkość i Amelia roześmiała się. Znała skłonność do przesady swej córki.

— Nie, jest taka duża. — Leonora zakreśliła rękami skromniejszy wymiar.

— Według mnie nadal jest bardzo duża — powiedziała Amelia wesoło. — Chodźmy popatrzeć.

— Jak się powodzi pracującej kobiecie? — Dobry wygląd Sebastiao zawsze przywodził jej na pamięć Roberta. — Piękna i czarująca jak zawsze — rzekł całując ją.

Amelia zagłębiła się w fotelu.

— Nie czuję się zbyt czarująca. — Pokręciła głową z uśmiechem. — Ale miło, że to mówisz. I czuję się znacznie lepiej, gdy cię widzę.

— Twoje słowa to muzyka dla moich uszu — powiedział, podając jej paczkę. — Czy mógłbym cię porzucić?

— Prezent? Och Sebastiao, nie powinienesz robić sobie kłopotu... Jesteś za dobry, zawsze przynosisz mi prezenty.

Co ona by bez niego zrobiła. Był opoką, na której mogła się wesprzeć przez ostatnie lata. Wysłuchiwał jej kłopotów, rozmawiał z nią o wszystkich jej problemach, pomagał wyjaśniać wątpliwości, które miała na własny temat. Pocieszał, dodawał otuchy, a kiedy było trzeba, straszył. Kochała go za to.

Białe pudło przewiązane srebrną wstążką nosiło nazwę eleganckiego sklepu z Nowego Jorku. W środku leżała najcudowniejsza koronkowa bluzka.

— Powiedziano mi, że to najnowszy fason — tłumaczył z obawą, niepewny, jak to przyjmie.

Amelia przyłożyła do twarzy delikatną koronkę i uśmiechnęła się do niego.

— To chyba będzie najpiękniejsza rzecz w mojej garderobie — powiedziała. — Sprytnie ją wybrałeś, Sebastiao. — Zaśmiała się wyobrażając sobie jak wchodził do sklepu z damskimi strojami. — I odważnie — dodała.

Spojrzała na sukienkę, którą nosiła. Od niepamiętnych czasów nie kupowała sobie niczego nowego. Po prostu zbyt mało było

czasu, by zajmować się jeszcze zakupami. Nie miała czasu na nic. Tylko hotel i dzieci. Wahala się między nimi niczym wskazówka metronomu; każda minuta przydzielona. Dla niej nie pozostawała nawet jedna wolna chwila.

— To po prostu przekupstwo, abys zjadła ze mną kolację.

— Ależ, Sebastiao, muszę wrócić do pracy. Powinam sprawdzić rezerwacje z ostatniego miesiąca, poza tym jest kolacja z okazji rocznicy ślubu państwa Freelandów i tańce w sali balowej. Naprawdę muszę tam być. Muszę się upewnić, że wszystko jest w porządku.

— Amelio, czy nikt ci nie powiedział, że tajemnica sukcesu polega na umiejętności przekazywania? Przekazywania, moja droga, składania części swoich obowiązków na personel. Przecież po to go masz!

Amelia uśmiechnęła się melancholijnie.

— Wiem, wiem. Tylko, że... no wiesz, Sebastiao, to w końcu moja odpowiedzialność, a ja nie chcę, by coś poszło źle. Edward ma do mnie zaufanie.

— Ufa ci dzięki temu, jak wykonujesz swoją pracę. Od trzech lat jest to hotel cieszący się na Florydzie największym powodzeniem. Dlaczego miałby ci nie ufać? I dlaczego ty nie miałabyś ufać swojemu personelowi? Przecież sama ich sobie dobrałaś.

— Masz rację, chyba powinnam pozwolić im na większą samodzielność. Problem w tym, że tak mnie to wszystko wciąga, iż nie mogę wytrzymać, by się samej nie angażować. Ja po prostu to wszystko uwielbiam. — Amelia roześmiała się i posadziła sobie na kolanach Leonorę. — Ale teraz to twój czas, prawda, kochanie? — powiedziała, całując córeczkę. — A może się wykapiemy?

Leonora miała takie same piwnobursztynowe oczy jak Amelia i jak Leonia.

— To moja kolej siedzieć na końcu bez zatyczki — przypomniała, szarpiąc Amelię za rękę. — Powiedz jej, powiedz Lais, mamusiu. Nie będziesz siedziała w moim końcu — ostrzegła siostrę.

Lais poderwała się i pobiegła do drzwi.

— Ja będę tam pierwsza i usiądę, gdzie będę chciała — zawołała, zrzucając z siebie ubranie.

Amelia i Sebastiao wybuchnęli śmiechem.

— Nie martw się, Leonoro, zrobię tak, że nie będziesz siedziała w końcu z zatyczką. — Sebastiao podniósł małą i posadził sobie na ramionach.

— No, zobaczymy, jak będziesz pływać. — Spojrzał na Amelię, gdy szli schodami obok siebie. — A co z kolacją? Czy przejechałem całą tę drogę z Nowego Jorku po to tylko, by cię zobaczyć, ale siedzieć na kolacji samotnie?

— Ach, co za patos! — Amelia obdarzyła go szerokim uśmiechem. Naprawdę dobrze go było widzieć. — Czy dziesiąta nie będzie za późno?

— Niech będzie dziesiąta.

Włożyła do koronkowej bluzki szeroką białą spódnicę. Włosy podpięła grzebykami nabijanymi perełkami, a w uszy wpięła uformowane w krople perły; talię ujmował mocno srebrny pasek. Czula się świetnie. Nie poświęcała ostatnio wiele uwagi swemu wyglądowi, ale czas wreszcie zacząć. Zastanawiała się, co Sebastiao **O** tym pomyśli.

Czekał na nią przy wydzielonym stole restauracji **Palacio**. Było dziesięć po dziesiątej i sala pełna była gości ceniących kuchnię Michela i elegancję wystroju lokalu. Wszędzie widać było rękę Amelii — w delikatnych serwetach koloru najjaśniejszej mięty, w prostej, ciężkiej srebrnej zastawie, w porcelanie z Limoges i w ślicznych kwiatach. Jej uformowany i wyrobiony pod wpływem Izabelli smak był bez zarzutu. I ona sama taka jest, myślał Sebastiao, odsuwając krzesło na jej widok. Zastanawiał się, co myślała, gdy ją zapraszał. To odpowiedni czas, czuł to. Byli już tak blisko.

— Sebastiao, mam pewien pomysł i chciałabym, abyś mi powiedział, co o tym myślisz.

Twarz miała taką poważną, że zaczął się zastanawiać, co może być tym razem. Czy zaplanowała powiększenie hotelu o pięćdziesiąt pokoi? A może dodatkowe korty tenisowe i teren do polo? Nie przepuści niczego. W swej wyobraźni i sprycie wydaje się mieć prawdziwe wyczucie wszystkiego, co może przynieść powodzenie.

— A więc powiedz mi — odparł myśląc, jak pięknie wygląda w tej białej koronkowej bluzce.

— Wojna we Francji już się skończyła. Chcę zabrać dzieci, by poznały wreszcie swoją babcie.

Bardziej mogłaby go tylko zaskoczyć oświadczeniem, że odchodzi i zostawia komuś innemu zarządzanie hotelem. Wiedział, że pisuje do Leonii, choć rzadko o niej wspominała. Najwyraźniej jednak pomysł wyjazdu musiał już od jakiegoś czasu dojrzewać w jej głowie.

— To chyba dobra myśl — rzekł ostrożnie. — O ile twoja matka się zgadza. — Pamiętał ich ucieczkę z Francji, kiedy Leonia była przekonana, że Amelii grozi niebezpieczeństwo.

— Nie mam zamiaru jej informować — oświadczyła Amelia. — Po prostu pojedę i znajdę ją.

— Tak jak ostatnim razem? — Sebastiao uniósł brwi ze zdziwieniem.

— Nie, nie tak. Tym razem nie ucieknę. Jakikolwiek były problemy w czasie, gdy byłam dzieckiem, z pewnością już nie istnieją. Mam dwadzieścia cztery lata i jestem wdową z dwojgiem dzieci. — Amelia wzruszyła ramionami. — Niebezpieczeństwo istnieje tylko w głowie mojej matki, a ja uważam, że dzieci mają prawo poznać swoją babkę.

Sebastiao wziął ją za rękę.

— Masz rację, to dobry pomysł. Dobry dla ciebie i dla dzieci. A także dla twojej matki.

Amelia odetchnęła z ulgą. Sebastiao jest taki zrównoważony; gdyby próbował jej to odradzać, musiałaby zrewidować swoje myślenie, a przynajmniej wysłuchać, jakie ma argumenty przeciwko jej decyzji.

— Jak to dobrze. Cieszę się, że to aprobujesz. Łatwiej mi będzie powiedzieć Edwardowi.

Dawne ożywienie rozjaśniło jej twarz i przez chwilę zobaczył pełną życia i zapału młodą dziewczynę, która była jeszcze tak niedawno.

— Och Sebastiao, tak się cieszę!

— Ich oczy spotkały się.

— Dlaczego chcesz jechać sama, Amelio? Czy nie mógłbym wybrać się z tobą?

— Nie chcesz chyba ciągnąć się po Europie za wdową i jej stadkiem! Musisz pomyśleć o swej praktyce architektonicznej w Nowym Jorku, a także o tuzinie zapewne ślicznych i dziewczęco uroczych przyjaciółek.

Amelia odrzucała jego propozycję lekko, tak jak robi się to ze starym przyjacielem, ale Sebastiao nie miał zamiaru pozwolić jej się zbyć.

— Amelio, nie tak o tym myślałem... Chciałbym, abyś została moją żoną.

Długie, o ciemnych końcach rzesy opadły na jej policzki.

— Zawsze cię kochałem — mówił dalej. — Moglibyśmy być szczęśliwi razem, tak jak jesteśmy teraz. Najpiękniejsze dni mojego życia to te, które spędzam z tobą i twoimi dziećmi.

Był dla niej najdroższym przyjacielem na świecie i zawsze tak będzie. Prawdą też było, że są razem szczęśliwi. W małżeństwie z Sebastiao znalazłaby spokojną, rozsądną i zawsze kojącą miłość. Wspomnienie Roberta przemknęło jej przez głowę; tyle w ich związku było młodości, wszystko było takie delikatne i cudowne. Ale teraz jest już inna. Jest kobietą i pragnie odczuwać jak kobieta. Może kiedyś, któregoś dnia spotka kogoś, kto rozbudzi w niej namiętność, a ona poczuje, że naprawdę żyje.

— Sebastiao. — Spojrzała mu w oczy błagalnie. — Nie mogę. W każdym razie nie teraz. Nie jestem gotowa do małżeństwa, choć ja również kocham cię całym sercem. Naprawdę. — Ucisnęła niepewnie jego rękę. — Muszę jechać do Francji sama. Muszę mieć czas na uporządkowanie swoich uczuć.

Może pospieszył się zbyt, w końcu to dopiero trzy lata.

— Kiedy wrócisz, będę tutaj, jeśli będziesz mnie potrzebować — powiedział uśmiechając się.

Amelia odetchnęła uspokojona.

— Zawsze będę cię potrzebowała. Już teraz możesz mi pomóc. Chcę zabrać dzieci najpierw do Paryża i zanim wybiorę się na Lazurowe Wybrzeże, spędzić w nim kilka dni. Czy masz tam jakichś przyjaciół? Chciałabym mieć kogoś znajomego, do kogo mogłabym się zwrócić, gdyby coś się nie układało.

Pomyślał o Gerardzie de Courmont. Wreszcie jest możliwość, by poznał Amelię.

— Mam. Napiszę do niego niezwłocznie i powiadomię go, że przyjeżdżasz. Będzie zachwycony, że może pokazać ci Paryż.

— Cudownie — rzekła Amelia. — Nie mogę się doczekać, by go poznać.

71.

Gerard prowadził przez noc duży granatowy wóz. Każdy kilometr, który pokazywał się na liczniku przed jego oczami, powiększał odległość między nim a przebywającym w Monte Carlo ojcem. Nigdy nie było mu łatwo w jego towarzystwie, choć teraz hrabia mógł znowu mówić i zelżało okropne uczucie, że jego ojca otacza całkowita izolacja. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, pomyślał, gdy światło świtu ukazało przedmieścia Paryża, że jest dzielny i nie poddaje się. Starszy pan potrzebował całego swego męstwa, by znosić to wszystko. Największą goryczą była dla niego niemożność chodzenia. Gilles de Courmont niełatwo godził się z pozycją inwalidy, nie cierpiał fotela na kółkach, nienawidził bezużytecznych nóg. Już drugi raz w życiu dręczył się codziennymi ćwiczeniami, które pokonałyby człowieka o połowę młodszego, i największym triumfem jego ostatnich lat był dzień, kiedy bez niczyjej pomocy stanął przy swoim fotelu. Po raz pierwszy od pięciu lat stanął wyprostowany na własnych nogach. Gerard musiał przyznać, że w wieku sześćdziesięciu lat ojciec jest nadal przystojnym mężczyzną. Normalnie człowiek jego poglądów i z jego pozycją cieszyłby się życiem z jakąś piękną kobietą u boku. Jego ojciec zapewne nadal czepiał się przeszłości i jedynej miłości swego życia, Leonii. Nigdy się o niej nie mówiło; między ojcem a synem nie było żadnych szczerych rozmów, ale podejrzewał, że ona ciągle tam jest — w skłębionej świadomości jego ojca.

Przez most i *Quai d'Orléans* poprowadził samochód do wielkiego domu. Od kiedy ojciec żyje na stałe w Monte Carlo, Marie-France objęła ich dom w mieście. Otworzyła jego okna na świeże powietrze, ożywiła wyblakłe ściany, zmieniła tapicerkę i sprawiła nowe, piękne zasłony. Mimo wielkości i wspaniałości tego miejsca, po raz pierwszy od lat można się w nim było czuć jak w domu.

O wpół do szóstej wszedł do hallu. Był czas na śniadanie, a zanim przyszedł do biura, wypił morze kawy. Plany rozbudowy galerii dostarczały tak fascynujące problemy, jak kwestia oświetlenia.

Przebiegł pospiesznie oczami oczekujące na jego biurku listy. Znalazł list od Sebastião. Doskonale, od dawna już się nie kontaktowali. A więc mała Amelia d'Aureville ma przybyć do Paryża! Pamiętał listy ze śmiesznymi rysunekczkami, które pokazywał mu Sebastião; Amelia z okrągłą buzią i kręconymi włosami, z linią ust uniesioną w uśmiechu, gdy była rozradowana, i opuszczoną w dół na znak złego humoru.

Rzucił list na biurko. Ciekawe, jak powodzi się jej teraz, wdowie z dwojgiem małych dzieci. Cóż, jest bardzo zajęty, ale w imię starej przyjaźni z Sebastião będzie musiał znaleźć dla niej trochę czasu.

Paryż otwiera się przed nimi jak kwiat, myślała Amelia. Płynęli powoli Sekwaną, zanurzając się pod starymi mostami, a one zachwycały się, że miasto umieściło tak wiele świetnych budowli nad rzeką, by turyści tacy jak one mogli je teraz podziwiać. Lais i Leonora stały uczipione burty statku, a niania ani na chwilę nie wypuszczała ich z mocnego chwytu na wypadek, gdyby wychyliły się za mocno.

Amelia siedziała oparta swobodnie na drewnianej ławce. Przyjemnie było tak sunąć, słuchając **beznamiętnego** głosu przewodnika, wymieniającego nazwiska i daty. Przyjemnie było znowu znaleźć się w Paryżu. Poprzednia wizyta była zbyt krótka i tym razem chciała poznać go naprawdę. To dziwne, pomyślała. Jest we Francji, ale nie czuje wcale wielkiej, naglącej potrzeby natychmiastowego wyjazdu na południe. Po prostu dobrze jej razem z dziećmi, zachwyconymi, że mają ją tylko dla siebie. Rozkwitały wprost otoczone jej opieką. Może nawet stawały się trochę rozpuszczone. A właściwie dlaczego nie, pomyślała pobłażliwie. Chociaż dzisiaj-

szego popołudnia powinny naprawdę przespać się trochę, bo inaczej nie dotrwią do kolacji.

Śliczny stateczek wmanewrował z powrotem do przystani i dzieci rzuciły się szarymi kamiennymi schodkami na górę, z chichotem uciekając przed goniącą je nianią. Tak, nadszedł czas na spokojny obiad, a potem małe dziewczynki będą musiały iść do łóżka.

Amelia siedziała w cichym, zalanym słońcem apartamencie *Crillona* i czytała list od Gerarda de Courmont, przyjaciela Sebastiao. Bardzo dobrego przyjaciela, jak podkreślił. Samotność i towarzystwo córeczek odpowiadały jej tak bardzo, że przez chwilę żałowała niemal, że Gerard zaprosił ją na jutro na obiad. Pomyślała jednak, że dobrze jej zrobi uwolnienie się na godzinę czy dwie od dzieci. A poza tym, czy nie będzie miło zjeść obiad z Francuzem w Paryżu?

Podeszła do szafy i przejrzała wiszące ubrania. Dlaczego w Paryżu czuła się zaniedbana i pozbawiona gustu? Nie miała nic, co mogłaby włożyć na obiednie spotkanie z mężczyzną. Aż się prosi o niewielkie zakupy. A może powinna się także uczesać, spróbować czegoś nowego, nieco bardziej modnego?

Gerard ze zdumieniem rozpoznawał wysoką blondynkę w letniej żółtej sukience, zмирzającą ku niemu przez hall *Crillona*. Usłyszał w myśli słowa Sebastiao sprzed kilku lat, że Amelia wygląda tak samo, dokładnie tak samo jak Leonia. I rzeczywiście. Sebastiao powiedział, że musi być jakąś dawno zagubioną krewną.

— Madame do Santos?

Amelia obdarzyła go szerokim uśmiechem, wesołość zaiskrzyła także w jej piwnych oczach, a Gerrardowi wydało się, że jej uśmiech oświetlił hotel lepiej niż jego mieniące się żyrandole.

— A pan to zapewne Gerard de Courmont — odparło zjawisko w nienagannie brzmiącej francuszczyźnie. — Z opisu Sebastiao rozpoznałabym pana wszędzie, a był bardzo pochlebny, monsieur de Courmont. Sebastiao twierdził, że będzie pan najprzystojniejszym mężczyzną w polu widzenia.

Roześmiała się i ciche korytarze hotelu odpowiedziały jej echem. Gerard ujął ją za rękę.

— A pani oczywiście może być wyłącznie Amelią — rzekł z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. — Poznałbym panią wszędzie.

— W takim razie cieszę się, że Sebastiao nie sprawił nam obojgu zawodu. Byłoby bardzo niezręcznie, gdyby dziwna cudzoziemka zaczęła molestować jakichś przystojnych panów.

Patrzyli na siebie i obydwójce odczuwali tę samą przyjemność. Gerard czuł wprost, jak serce w nim rośnie. Ujął Amelię pod ramię i poprowadził do drzwi. Odwołał w myśli plan zabrania jej do eleganckiej, wytwornej restauracji. Był cudowny letni dzień, miał u swego boku piękna, podniecającą kobietę i jedynym miejscem dla niej mógł być Lasek Buloński.

Jechali przez park pod przesączającymi się przez liście drzew cytrynowozłotymi promieniami słońca. Płowoblond włosy Amelii rzucały maleńkie, przypominające obłoczki cienie na czystą brzoskwiniową cerę jej twarzy. Usta jej zaokrągliły się w wyrazie zadowolenia, a żółta suknia dawała delikatny jak płatki jaskrów refleks koloru na kościach podbródka.

Patrzył na nią i myślał, że to najpiękniejsza, najbardziej pociągająca kobieta, jaką kiedykolwiek poznał. Sebastiao zawsze mówił, że jest w niej zakochany. Teraz wiedział już, dlaczego.

— To chyba najwspanialsze miejsce na obiad w tak piękny dzień — zauważyła Amelia, skrepowana nagle tym, że siedzą naprzeciw siebie. Siedzieli przy stole w cieniu wielkiego, rozłożystego kasztana i spoglądała dyskretnie na mężczyznę. Rzeczywiście, wyglądał bardzo dobrze. Wysoki, barczysty, z ciemnoniebieskimi oczami o głębokim odcieniu najciemniejszej części oceanu i zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami, które układały się lekkimi falami nad wysokim, inteligentnym czołem. Mimo goszczącego na niej uśmiechu, twarz zdradzała poważnego człowieka. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie trzymanej w karbach siły i czuła się przy nim nieco niepewnie, ale było to bardzo pociągające.

— Sebastiao napisał mi, że owdowiała pani niedawno — powiedział, a jego słowa wdarły się wstrząsająco w delikatne powietrze popołudnia. — Pragnę wyrazić pani swoje współczucie.

Amelia była przerażona. Nie oczekiwała, że powie coś takiego. Dlaczego nie podejmie po prostu zwyczajnej rozmowy, jaką zazwyczaj prowadzi się przy obiedzie?

— Dziękuję — odparła sztywno. — To było trzy lata temu.

— Amelio, jeśli mamy lepiej się poznać, musiało to zostać powiedziane. W przeciwnym razie zjemy tylko miły obiad, nic więcej. Pogawędzimy sobie o Paryżu i o pani podróży i będzie to na pewno miłe, ale ja chciałbym poznać panią naprawdę.

Po raz pierwszy w życiu zabrakło jej słów. Okrągłymi ze zdumienia oczami patrzyła na *pragnącego ją lepiej poznać* silnego nieznanego.

— Chociaż — mówił dalej — czuję się tak, jakbym już panią znał. Sebastiao pokazywał mi pani listy, te z maleńkimi rysunczkami.

— Pamiętam, rysowałam mapki rzek, nad którymi byliśmy, albo portrety moich kotów.

— Były też pani wizerunki. Mała, okrągła buzia i masa kręconych włosów, jednak nie dokładnie takie, sądząc z tego, co widzę teraz.

Amelia roześmiała się i jego twarz pojaśniała.

— O tak, tak jest znacznie lepiej. Teraz jest pani odprężona i możemy porozmawiać jak starzy przyjaciele, a nie para nowych znajomych.

Wytrzymał jej spojrzenie.

— Jest pan bardzo bezpośredni, panie Gerardzie de Courmont — powiedziała, zwracając spojrzenie na leżące przed nią menu.

— Po prostu czuję, że możemy być przyjaciółmi. Paryż może stać się dla zwiedzającego miastem samotnym, a ja chciałbym pokazać je pani, jeśli mi pani pozwoli.

Oczy ich spotkały się znowu. Serce Amelii przyspieszyło, radość zabarwiła jej policzki kolorami.

— Z przyjemnością skorzystam — odparła cicho.

Jak na człowieka, który zrobił na niej wrażenie kogoś bardzo poważnego, gdy szła mu naprzeciw w hallu hotelu *Crillon*, Gerard zachowywał się bardzo swobodnie. Zasypywał ją anegdotami z ich studenckich dni z Sebastiao i nagle zobaczyła ich obu w całkiem nowym świetle; beztroscy studenci architektury, podejmujący szalone eskapady młodości. Gerard był tak naturalnym rozmówcą, tak łatwo się z nim rozmawiało, że ona także zaczęła opowiadać. Wspominała dzieciństwo w *Villi d'Aureville* na Copacabanie z Se-

bastiao, Robertem, Edwardem i babcią, przypominała wydarzenia, które wydawały się zagrzebane gdzieś w zakamarkach podświadomości i śmiejąc się beztrzesko, dzieliła się nimi z Gerardem de Courmont.

— Wie pani, to dziwne — powiedział w pewnym momencie — ale zawsze wydawało mi się jakoś, że Sebastiao myśli o małżeństwie z panią.

Amelia opuściła oczy na stojący przed nią półmisek *fraises des bois*. Pachniały latem, a słodki czerwony sok rozlał się plamą na srebrze. Ten ciemnooki mężczyzna wie o niej chyba stanowczo za dużo. Wie nawet o Sebastiao. To nie w porządku, że ma nad nią taką przewagę, a ona wie o nim tak niewiele. Z jakiegoś powodu nie chciała, by wiedział, że Sebastiao proponował jej małżeństwo. Nie teraz, w każdym razie.

— Nie, to był zawsze Roberto. Sebastiao wiedział o tym.

Gerard wziął z czarki jagodę i podał jej. Uśmiechnął się patrząc, jak bierze ją delikatnymi różowymi wargami.

— Proszę, nich mi pani powie, Amelio, dlaczego przyjechała pani do Paryża? I to sama?

— Nie jestem sama. Wzięłam ze sobą dzieci.

Nagle zapragnął ją pocałować. W swej otwartości była jak dziecko; nie umiała z nim flirtować.

— Chcę spędzić tu tydzień, a potem wybieram się na południe, na Lazurowe Wybrzeże. — Zabrzmiało to w jej ustach wręcz egzotycznie. Pełna tajemniczości nazwa cudownego nieznanego.

— To także nie jest miejsce na samotny wyjazd.

Amelia zaczerwieniła się. Co on ma na myśli?

— Nie będę tam sama, mam zamiar kogoś odwiedzić... dawną przyjaciółkę.

— Nie chciała mówić mu o matce. Dopiero co go poznała.

— Wie pani — rzekł nagle — w Ogrodach Luksemburskich jest teatr lalkowy, na *Faubourg Saint-Honore* mamy wspaniały sklep z zabawkami, znam też miejsce, które zachwyciłoby dzieci, gdyby zaprowadzić je tam na obiad.

Amelia wyprostowała się w krześle. Nie przestawał jej zakakiwać.

— Gdzie? Myślę o obiedzie.

— Wyobrażałem sobie piknik. Tutaj, w Lasku. A potem mógłby być cyrk...

Amelia wybuchnęła śmiechem. Jest niewątpliwie sprytny. Najpewniejsza droga do jej serca wiodła przez dzieci.

— Więc jutro? — Podniósł brwi pytająco.

— Jutro — zgodziła się, nie przestając się śmiać.

— Już się na to cieszę.

Późnym popołudniem odprowadził ją do hotelu.

— Proszę, niech pani pozwoli zaprosić się na kolację — rzekł, gdy szli przez hall.

— Tego nie mogę zrobić. Dzieci na mnie czekają.

— W takim razie kolacja z panią i z dziećmi.

— Nie, naprawdę. — Potrząsnęła głową. — Dzieci będą zmęczone, a ja chcę, aby zjadły wcześniej, w numerze.

Elegancka mała winda zdobiona kutymi, złożonymi zawijaszami zatrzymała się przed nią. Edward wyciągnął rękę.

— Proszę nie odmawiać — nie rezygnował. — W pewnym momencie dzieci muszą przecież iść spać. Jeśli nie może pani iść na kolację, może wybralibyśmy się do teatru czy choćby na spacer. Nocny Paryż!

Nie mogła się oprzeć urokowi, z jakim ją przekonywał.

— Dobrze, może w takim razie przyjdzie pan dziś i pozna moje córki, zanim położę je spać. A potem z przyjemnością pójde się przejść. Nic nie wiem na temat nocnego Paryża.

— A więc pokażę go pani — zapowiedział, zadowolony z siebie.

Szli wolno nad Sekwaną i Amelia myślała, że nigdy nie zapomni tego spaceru. Nad Paryżem wznosiło się granatowe niebo letniej nocy, a ich drogę wyznaczały żółte lampy, oświetlające pary, cieszące się jak oni balsamicznym powietrzem wieczoru i swoją obecnością. Tyle że tamci są zapewne kochankami, myślała Amelia, patrząc na splecione ramiona i rozmarzone spojrzenia. A my nie, my jesteśmy tylko przyjaciółmi. Czy rzeczywiście? Czyż nie здаwała sobie sprawy, jak on spleta palce z jej plecami? Z jego wzrostu i barczystych pleców? Spojrzała na rysujący się na tle nieba profil

mężczyzny. Był sympatycznie wyniosły; miał w sobie siłę, która ją pociągała. Wyglądał na człowieka, który wie, czego chce.

Gerard prowadził ją przez swoje miasto i nagle sam zobaczył je innymi oczami. Wszystko wygląda inaczej, kiedy człowiek jest zakochany, pomyślał. Teraz wiedział, że nigdy dotąd nie kochał.

Jak inne pary usiedli przy jednym ze stolików rozstawionych pod drzewami. Pili smakujące likierem napoje i patrzyli sobie w oczy. Mówili niewiele. To wszystko dzieje się zbyt szybko, myślała Amelia. To nie jest realne; po prostu czuję się w Paryżu samotna, a to jest pierwszy mężczyzna, którego spotkałam po tak długim czasie. Do tego mężczyzna bardzo pociągający.

— Muszę wracać — odezwała się i wzięła torebkę. — Robi się późno.

— Proszę, niech pani nie odchodzi.

Oczy miał tak skupione, że zdawał się wnikać w jej najtajniejsze myśli.

— Nie mogę, dzieci...

— Proszę, Amelio.

— Nie, muszę iść. — Odsunęła krzesło zdecydowanie.

W taksówce usiadł tuż przy niej, ale nie próbował jej pocałować. Trzymał ją spokojnie za rękę, gdy wracali do hotelu.

— A więc do jutra — rzekł, podnosząc jej dłoń do ust.

Ciemnoniebieskie oczy były **ostatnią** rzeczą, którą widziała, gdy winda uniosła ją od niego. Patrzyła na swoją rękę, którą jego usta musnęły przed chwilą. Nie umyję ręki, by nie zmyć tego pocałunku, pomyślała niczym pensjonarka.

Leonora i Lais maszerowały trzymane za ręce przez Gerarda. W swych marszczonych sukieneczkach w kwiatki, z których jedna była różowa, a druga niebieska, wyglądały jak potargane aniołki. Skarpetki ścigały im się w białe buciki i Leonora podskakiwała co kilka kroków, próbując je podciągnąć. Lais nie przejmowała się tym. Życie było dla niej zbyt ciekawe, by miała się interesować skarpetkami, a jej głowę zaprzatali jeźdźcy na białych, stojących dęba konikach i gimnastyczki w błyszczących kostiumach, zawieszane nad ich głowami na trapezie. Podniecenie tryskało z niej krótkimi wybuchami śmiechu, gdy podskakiwała, ściskając rękę Gerarda.

— Nie cierpię kłownów — odezwała się Leonora i ujęła go mocniej za rękę. — Byli straszni.

— Straszni, Leonoro? Myślałem, że cię rozśmieszali!

— Czasami, kiedy się przewracali, ale nie ten smutny, z białą twarzą i szpiczastą czapką... On był naprawdę straszny!

— Ona się boi — rzekła Lais z pogardą. — Wcale że nie był, ty ciamajdo!

Dolna warga Leonory zaczęła drżeć i Gerard uściśnął dłoń dziecka ze współczuciem.

— Czasami są — zapewnił ją. — To pewnie dlatego, że pierrot zawsze wygląda tak smutno. Ale on nie jest prawdziwy, to tylko aktor. I pewnie też ma małe córeczki.

— Naprawdę? — Zgnębiona buzia Leonory rozjaśniła się. Z Gerardem jest dobrze, on wszystko rozumie. Ożywiła się i zaczęła przeskakiwać łączenia płyt chodnika.

Gdy wyłonili się zza rogu, Amelia zamachała do nich ręką. Sądząc z ich wyglądu, musiały spędzić czas bardzo dobrze. To miłe ze strony Gerarda, że zechciał zabrać je do cyrku, choć ona sama miała co do tego wątpliwości. Chcę je poznać, powiedział jej, tak samo jak mam zamiar poznać ciebie. Zacerwieniła się na wspomnienie spojrzenia, którym ją przy tym obdarzył. Bez wątpienia zajęli się wzajemnym poznawaniem siebie dość gruntownie; kilka dni w Paryżu przedłużyło się do prawie dwóch tygodni. Gerard spędzał z nią i z jej dziećmi każde popołudnie, a one zdążyły się już w nim zakochać. Uroczy wujek zabierał je do teatru kukielkowego i na koniki, woził na wiosłowej łódce po stawie w parku i przynosił wspaniałe piknikowe kosze ze smakołykami, które zachwycaly dzieci; nigdy też nie protestował przeciwko lepkim palcom na jego eleganckich marynarkach.

Patrzyła jak spieszą ku niej; wisiały na jego rękach i śmiały się z jakiegoś żartu. Dziewczynki przyjęły go do rodziny tak naturalnie, jakby znały go od zawsze. To ona raczej miała wątpliwości. Usiłowała utrzymać ich coraz większą zażyłość na poziomie przyjaźni. Jeszcze nawet się nie pocałowali. Jeśli to zrobimy, myślała uśmiechając się do niego, wszystko może się zmienić.

Dziewczynki podekscytowanymi głosami domagały się wysłuchania opowiadań o cyrku.

— Cóż, wydaje mi się, że dobrze się bawiliście. — Amelia odgarnęła włosy z rozgrzanych czoł i pocałowała obie dziewczynki, po czym rozwiązała im szarfy i podciągnęła skarpetki.

— No, teraz lepiej. Myślę, że wypijecie mleko, a w tej kawiarni mają najlepszy na świecie czekoladowy tort.

Oczy dziewczynek zaokrągliły się na widok polanego czekoladą wielowarstwowego tortu i palec Lais zawisł nad leżącą na jej talerzyku porcją.

— Nie waż się, Lais do Santos — rzekła Amelia, marszcząc czoło. — Widelczykiem!

Gerard roześmiał się na widok rozczarowania na twarzy dziewczynki. Słodka kremowa masa stanowiła wielką pokusę dla małych palców.

— Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem, że zakochałem się w kobiecie z dwójką tak rozkosznych dzieci. Łatwo je kochać; tak samo jak mamę.

Amelia chwyciła powietrze.

— Nie powinienes mówić takich rzeczy — powiedziała cicho, gdy dzieci podniosły wzrok znad tortu na jej spurpurowiałą twarz.

— Czy to znaczy, że on nas wszystkich kocha, mamusiu? — spytała Leonora. Piwne oczy nad umazaną czekoladą buzią były bardzo poważne.

— Naturalnie — potwierdził Gerard z emfazą. — A teraz jedzcie tort i pozwólcie mi porozmawiać z waszą mamą. Pójdiesz dziś ze mną na kolację?

Co wieczór jadła z nim kolację. Wydawało się, że Gerard zna wszystkie małe przytulne bistra Paryża, oświetlane świecami i odwiedzane przez zakochanych. Trzymali się za ręce rozmawiając, a on całował ją w policzek. Znała zapach jego wody kolońskiej jak swojej własnej, wiedziała, jak jego poważna twarz potrafi się nieoczekiwanie zmieniać w czarujący uśmiech, znała każde drgnienie jego ust, gdy mówił. Zetknięcie ich dłoni sprawiało jej przyjemność a zarazem napełniało ją obawą. Znała każdą pojedynczą kostkę, nawet linie opiłowania paznokci.

Leonora oparła się o nią sennie.

— Musimy wracać — stwierdziła Amelia i podniosła córeczkę z krzesła.

— No to chodźmy — powiedział Gerardj biorąc na ręce Lais. — Czas na kąpiel — rzekł miękko do dziewczynek.

Potężna kobieta przy kasie na środku bistra obserwowała ich melancholijnym spojrzeniem. Byli tu już trzeci wieczór z rzędu; stanowili taką śliczną parę i tak bardzo byli w sobie zakochani. Wpatrując się w siebie łowili każde swoje słowo, rozplatali ręce tylko do wykonania prozaicznego zadania zjedzenia tego, co postawiono między nimi. Z westchnieniem zazdrości przyjmowała pieniądze podawane przez odchodzącego gościa. Dobrze być młodym, beztroskim i tak zakochanym.

— Naprawdę muszę niedługo wyjechać z Paryża — powiedziała Amelia, odsuwając talerz. Zbyt wielkie odczuwała napięcie, by jeść.

— Nie wyjeżdżaj, proszę cię. — Gerard wpatrywał się w jej oczy błagalnie. — Zostań tu ze mną.

— Muszę wyjechać, przyjechałam tu z określonego powodu.

— Czy twoi przyjaciele spodziewają się ciebie tak szybko? Nie możesz im powiedzieć, że przyjedziesz później? Proszę cię, Amelio, nie chcę cię teraz stracić... Dopiero zaczęliśmy.

Nie zapytała, co miał na myśli. Wiedziała jaką odpowiedź usłyszy, a nie była pewna, czy jest na nią przygotowana. Zna go zaledwie dwa tygodnie. Czy można się zakochać w ciągu dwóch tygodni? Roberta знаła całe życie. Tak, ale to jest co innego. Czy rzeczywiście?

— Jednak muszę wyjechać.

Nie dosłyszał w jej głosie zapału i odetchnął z ulgą. To było małe zwycięstwo. Przynajmniej nie zniknie mu jutro.

— Chodźmy — zwrócił się do niej, podając jej rękę. — Chcę z tobą potańczyć. — Przynajmniej w ten sposób będzie mógł trzymać ją w objęciach.

Kasjerka wzięła od niego pieniądze i westchnęła znowu. Patrzyła, jak wychodzą w ciepłą letnią noc. Tak, życie jest dobre, kiedy się kocha.

O trzeciej nad ranem, gdy szli po tańcach do domu placem de la Concorde, pocałował ją. Przytuleni, ze splecionymi rękami

tańczyli całymi godzinami i namiętność unosiła się w nim, niczym soki w drzewie na wiosnę. Stali przez chwilę, przywarci do siebie ustami, wreszcie Gerard uwolnił ją. Patrzyli sobie w oczy, szukając odpowiedzi na sekretne pytania kochanków.

— Chcę się z tobą kochać — rzekł jej cicho do ucha. — Chcę cię trzymać, pieścić, całować. Nie chcę, abyś odeszła, Amelio. Chcę mieć cię zawsze obok siebie, kiedy budzę się rano. Zostań ze mną, proszę cię.

Amelia poczuła drżenie w kolanach i gdyby nie podtrzymujące ją ramiona, upadłaby chyba. Dzieci śpią w hotelu i tam jest jej miejsce. Co ona tu robi? Dlaczego stoi na środku *Place de la Concorde* i całuje się z Gerardem? Gorzej — dlaczego pozwala sobie na takie uczucia? Niemal go nie zna.

— Muszę iść do domu.

Nawet dla niej samej zabrzmiało to głupio. Tak naprawdę, chciała powiedzieć, że go kocha i że także go pragnie.

Gerard objął jej talię. Miękkie ruchy jej bioder odzywały się tętnieniem w jego głowie.

— Jutro chcę cię zabrać w wyjątkowe miejsce — wyszeptał.

— Tak — odparła. Jutro pójdzie z nim, gdziekolwiek on zechce.

Pod hotelem pocałował ją w czubek nosa.

— Na herbatę do mojej matki — wyjaśnił. — Chcę, aby poznała kobietę, z którą chcę się ożenić.

Amelia patrzyła za nim oszołomiona. Czy dobrze usłyszała? Weszła do windy na miękkich nogach i oparła się o wyściełaną ścianę. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i gdy winda zatrzymała się, tańcząc podążyła korytarzem. Życie jest wspaniałe! Poznała go zaledwie dwa tygodnie temu, jest nieprzytomnie zakochana, a on już *prawie* poprosił ją o rękę. Czego więcej może dziewczyna potrzebować do szczęścia?

Amelia patrzyła na wznoszący się nad nią pokryty freskami sufit okazałego domu. Lokaj prowadził przez marmurowy hall do małego salonu, gdzie oczekiwała ich hrabina de Courmont.

— Nie wiedziałam, że twoja rodzina jest aż tak znakomita — wyszeptwała do Gerarda, słuchając jak jej kroki odbijają się echem pod wysokim sklepieniem.

— Ależ nie — szepnął w odpowiedzi. — My wszyscy nienawidzimy tego domu, ale przydaje się, gdy jesteśmy w Paryżu.

— Marie-France de Courmont, drobna, urocza kobieta powitała ją uśmiechem i jeśli była w nim jakaś niepewność, Amelia nie dostrzegła jej, gdy Gerard przedstawiał ją matce.

Marie-France ujęła dłoń Amelii, mając wrażenie, że ją rozpoznaje. Stojąca przed nią dziewczyna mogła być Leonią sprzed dwudziestu lat. Może jest troszkę wyższa, odrobinę bardziej wiotka, z nieco szerszą brodą, ale to Leonia. Spojrzała na syna. Czy on niczego nie dostrzega? Ale przecież nigdy nie znał Leonii, z tego co wiedziała, nigdy jej nawet nie spotkał, chociaż widywał ją na scenie.

Prowadziła uprzejmą rozmowę, starając się panować nad swymi uczuciami. Podała gościowi filiżankę herbaty.

— Gerard powiedział mi, że pani dom jest w Brazylii, madame do Santos.

— Tak, madame, a przynajmniej był do niedawna. Obecnie mieszkam na Florydzie.

Marie-France mieszła herbatę już dziesiąty raz. Dziewczyna ma na imię Amelia i tak nazywała się córka Leonii. Dziecko, które musiała ukryć przed Gillesem. *A Gilles twierdził, że dziecko jest jego*. To nie może być prawda, myślała przerażona.

— Moja rodzina to Francuzi — mówiła Amelia.

Gerard wziął małą kanapkę. Patrzył na gawędzące kobiety. Jeśli matka była zaskoczona jego nieoczekiwanym oświadczeniem, że chce ożenić się z kobietą, którą poznał ledwie parę tygodni temu, przy tym wdową z dwojgiem dzieci, nie okazała tego. Powiedziała mu nawet, że podoba jej się ta myśl. Dwie gotowe wnuczki to cenna wartość.

— Przepraszam, że o to pytam — rzekła Marie-France nagle — ale czy panieńskie nazwisko pani brzmi d'Aureville?

Amelia otworzyła szeroko oczy w zdumieniu.

— Tak, ale skąd pani to wie?

Cieniutka filiżanka zagrzechotała na spodku, gdy Marie-France odstawiała go na stół.

— Znałam pani matkę. Dawno temu.

Jej oczy napotkały pytające spojrzenie Gerarda. Nie, nigdy nie dowiedział się o procesie, który jej mąż wytoczył Leonii o prawo

do jej dziecka. Nie wie, że uznał Amelię za swoją córkę; tylko Leonia zna prawdę. Marie-France wierzyła jej przez te wszystkie lata, ale teraz...

— Zna ją pani? — Żadne słowa w ustach hrabiny de Courmont nie mogły zadziwić Amelii bardziej niż te.

— To było dawno temu. Ja... spotkałyśmy się na jakimś przyjęciu, jak sądzę. — Marie-France zdobyła się na najwyższy wysiłek. — Była nadzwyczajną kobietą, nawet wtedy.

Gerard utkwiał w niej spojrzeniem. Czy ona rzeczywiście mówi to, co on słyszy? Że Amelia jest córką Leonii? Odchylił się na oparcie fotela osłupiały. Oczywiście, że to prawda. Sama Amelia to powiedziała. Wszystkie elementy szczęknęły w jego mózgu jak kule w magazynku ładowanego rewolweru. Leonia, która jak cień unosiła się nad jego dzieciństwem i wczesną młodością, obiekt szalonej namiętności jego ojca... Boże drogi, cóż za doskonała ironia losu. Poszedł w ślady ojca, zakochał się w córce Leonii.

Marie-France prowadziła uprzejmą rozmowę o spojrzeniu turysty na Paryż i o dzieciach Amelii, ale słowa kobiet ledwie do niego docierały. Ojciec wystarczająco zniszczył ich życie. Tu się to musi zatrzymać. Nic go nie zmusi, by zrezygnował z Amelii. Wyjeżdża na południe. Naturalnie, chce się spotkać z matką! Teraz wiedział, co powinien zrobić. Raz na zawsze rozwiąże problemy z ojcem.

Herbata wlokła się dla Amelii w nieskończoność. Z ulgą pożegnała się z Marie-France. Co się dzieje z Gerardem? Przez ostatnie pół godziny nawet słowem się nie odezwał. Pewnie żałuje, że ją tu przyprowadził. Może nie pasuje do tej świetnej posiadłości, z jej portierem i lokajami. Co złego się stało? Szła przez hall z bezwładnie opuszczonymi ramionami.

Gerard ujął ją za łokieć i pociągnął, by szła szybciej.

— Chcę, abys spakowała swoje rzeczy — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu — i była gotowa jutro do wyjazdu.

Patrzyła na niego zdezorientowana. Czy to znaczy, że chce, aby wyjechała?

— Wyjechać? Ale Gerardzie...

— Jedziemy na południe — oświadczył, prowadząc ją po schodach. — Moim samochodem.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ muszę się spotkać z twoją matką, moja droga Amelio. — Gerard patrzył w jej piękne oczy. Jak ma powiedzieć, że jej matka przed laty była kochanką jego ojca? — Chcę również, abyś ty spotkała się z *monsieurem*.

Pamięć Amelii drgnęła i poczuła ból jak przy szarpnięciu włosa, twarz Diega wypłynęła z przeszłości. *Nie jesteś d'Aureville*, powiedział. *Twój ojciec to monsieur*.

— *Monsieur* to mój ojciec — rzekł Gerard, całując jej zgnębioną twarz. — Zawsze tak jest nazywany.

Była tak blada i napięta, gdy siedziała obok niego w samochodzie, że zaczął lękać się o jej zdrowie.

— Czy moja matka wyrządziła ci przykrość? — spytał, gdy skręcał na most. — Powiniennem być się domyślić, że Leonia to twoja matka. Jesteś przecież tak do niej podobna.

Amelia nie była w stanie mówić. Chciała uciec od niego i od całej tej sytuacji. Prerażona myśl nie chciała uznać straszliwej prawdy: jeśli Diego miał rację, ona i Gerard są dziećmi jednego ojca.

Amelia miotła się po apartamencie jak szalona, wrzucając rzeczy do wielkich waliz. Poganiała nianię i uspokajała przestraszone dziewczynki.

— Jedziemy nad morze — obwieściła. — Babcia na nas czeka.

Leżała nie mogąc zasnąć i płacząc w poduszkę, przeklinała Diega. W głowie jej tętniło, rozum odmawiał rozważania po raz kolejny wszelkich możliwych ewentualności. To bez sensu, myślała zrozpaczona. Tylko jedna osoba zna prawdę. Musi jechać na wybrzeże i zapytać matkę.

Pociąg łomotał, w przedziale było gorąco i duszno. Gdy otworzyły okno, zasypał je pył i sadze; gdy je zamknęły, trudno było oddychać. Dzieci były coraz bardziej zmęczone i marudne, Amelię rozboleła głowa. Podróż wlokła się w nieskończoność. Wreszcie pociąg zaczął zwalniać. Jechał nad wybrzeżem, a wokół widać było plantacje oliwek i drzewka cytrynowe. Spokój i piękno tego miejsca wlały w jej serce odrobinę otuchy. Niedługo zobaczy się z matką. Dowie się wszystkiego. Matka powie jej prawdę.

72.

Słońce prażyło z bezchmurnego nieba. Leonia szła ścieżką z deptającą jej po piętach Czekoladką. Była piąta, wkrótce słońce straci swą moc. Wieczór będzie spokojny i wonny; czas drinków z Jimem na tarasie. Życie było niemal doskonałe, nawet wyjazdy Jima do Ameryki podkreślały jeszcze ich szczęście, gdy wracał stęskniony i znów byli razem. Wszystkie jej poprzednie wcielenia wydawały się tak odległe i nierzeczywiste... To, co pozostało, było mocne i realne. Praca z dziećmi w *Chateau d'Aureville*, dobrzy przyjaciele, jej dom i jej ziemia, a nade wszystko jej miłość do Jima. Był uśmiechem jej życia i dzielił z nią wszystkie jego radości; czy to świeże langusty z zatoki, czy wyjazdy za granicę, czy gwiazdziste noce na tarasie zajazdu, gdy słuchali szumu morza. Nawet monsieur wtopił się jakby w tło, choć jego jacht często przebywał w zatoce. I wraz ze zmniejszeniem się groźby, jaką dla niej stanowił, Sechmet przestała niepodzielnie panować nad jej wyobraźnią. Podniosła zmęczoną kotkę, przełożyła sobie przez ramię i słuchała zadowolonego mruczenia.

Czy to jej wyobraźnia, czy też ona sama przekonywała się przez te wszystkie lata, że Sechmet rządzi jej losem? Wzruszyła ramionami i przyspieszyła kroku. Nie ma zamiaru teraz o tym myśleć. Odległa, dawno obumarła przeszłość. Rzeczywistość to słońce igrające na czubkach drobnych fal w błękitnej zatoce, zagajniki drzewek oliwkowych oraz woń kwiatów i dzikich ziół. Weszła na

szerokie schody prowadzące z plaży do domu i zatrzymała się w pół kroku, nasłuchując. Brzmiało to jak dziecięcy śmiech. Ponownie dobiegł ją ten dźwięk. Dwie identyczne uśmiechnięte buzie patrzyły na nią nad balustradą tarasu. Lais i Leonora machały do niej rękami.

— Babciu, babciu—wołała Leonora. —Przyjechałyśmy, żeby cię odwiedzić.

Przez chwilę nie mogła pojąć, co się dzieje, ale natychmiast oprzytomniała i rozradowana pobiegła na górę, do wnuczek.

Uniesione buzie czekały na jej pocałunki, małe rączki wyciągały się, by ją objąć. Nie ma w nich najmniejszych zahamowań, myślała, gdy walcząc ze łzami radości tuliła je do siebie.

— Niech was obejrzę — powiedziała, a głos jej drżał, gdy śmiejąc się odsunęła je na odległość ramienia. — Ty jesteś Leonora, bo masz piwne oczy swojej mamy, a ty jesteś Lais, bo masz niebieskie oczy twego taty.

— A ty wyglądasz tak samo jak mama — stwierdziła Lais.

— Tylko ładniej — dodała Leonora, wieszając się na jej ręce. — Mama powiedziała, że jesteś bardzo piękna i że długo na nas czekałaś.

— Od chwili, gdy się urodziłyście — zapewniła je, trzymając mocno w rękach małe, ciepłe łapki.

— To nie widziałaś nas wtedy, jak się urodziłyśmy? — spytała zdziwiona Lais.

— Nie, teraz widzę was pierwszy raz... Taka jestem szczęśliwa, że znalazłam was na moim tarasie. Ale gdzie wasza mama?

— Rozmawia w środku z Jimem. — Lais pobiegła do domu. — Poszukam jej.

Leonora pogłaskała miękkie brązowe futerko Czekoladki i kotka otarła się o jej nogi, po czym leżąc na grzbiecie zaczęła się przewracać z łepkiem przekreconym na bok i podwiniętymi pazurami. Czekala na pieszczoty.

— Och, jaka ona śliczna. — Leonora przykucnęła i głaskała delikatnie miękkie futerko na brzuchu kotki.

— Mamo!

Leonia spotkała spojrzenie córki i lata rozłąki odleciały jak zamknięte strony przeczytanej już książki.

— Mamo, musiałam cię zobaczyć. —Amelia objęła matkę, a łzy spływały jej po policzkach. — Potrzebuję cię — wyszeptala.

— Ależ tak, kochanie. — Ręce Leonii zatrzepotały uspokajająco nad miękkimi włosami Amelii. — Jesteś tutaj i wszystko będzie dobrze.

Wzięła Amelię za rękę i wprowadziła do chłodnego salonu. Jeszcze godzinę temu myślała, że życie jest niemal doskonałe. Teraz takim się stało. W końcu jej córka jest razem z nią. Potrzebuje jej. I nazwała ją matką.

Jim czekał, kiedy wracały do salonu z dwójką małych dzieci, ciągnących się za nimi. Na twarzy Leonii błąkał się lekki uśmiech zadowolenia, gdy sadzała Amelię na kanapie przy sobie. Ale dziewczyna płakała. Jim wyczuł napięcie Amelii, gdy wraz z nim czekała na powrót Leonii. Wyglądała na zmęczoną i roztargnioną, choć dzieci po podróży były raczej ożywione. Stały teraz w drzwiach, Leonora z kciukami w buzi i Lais podskakująca z nogi na nogę.

Leonia z łatwością sobie z tym poradzi; to powinien być najszczęśliwszy dzień w jej życiu i jeśli zrobi coś, by osuszyć łzy Amelii, taki będzie. Zostawił je same. Niech powiedzą sobie wzajemnie wszystko, co mają do powiedzenia.

— Chodźcie, dziewczynki — zawołał, chwytając je za ręce. — Zobaczymy, co madame Frenard ma dla nas dobrego w kuchni. Ona piecze fantastyczne ciastka. A co byście powiedziały na pójście na plażę?

Amelia otarła łzy wierzchem dłoni.

— Twój mąż to taki miły człowiek — powiedziała. — Wszystko potrafi zrozumieć.

Leonia nie wiedziała, co mogło być przyczyną łez córki. To musi być coś więcej niż tylko ponowne spotkanie z matką, była tego pewna. Amelia nie wygląda na dziewczynę, która płacze z byle powodu.

— Nawet nie jestem w stanie ci powiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwa, że mam cię tutaj, Amelio, i to z dziećmi. Są takie uroczę i tak nadzwyczajnie podobne. Mam nadzieję, że przyjechałaś, aby pobyc tu trochę.

Nagle przestraszyła się, że straci ją równie szybko, jak za pierwszym razem.

Amelia zaczerpnęła głęboko powietrza.

— Kiedy przybyłam do Paryża, miałam się zaraz wybrać do ciebie, ale... Spotkałam kogoś. Och, mam, to wszystko jest takie

skomplikowane. — Łzy znowu napłynęły do jej oczu i pociągnęła nosem ze złością. — Przepraszam, nie miałam zamiaru płakać. To miały być radosne odwiedziny... Miałam przywieźć dzieci, żebyś je poznała... Tylko widzisz, mamó, spotkałam kogoś w Paryżu i zakochałam się.

Łzy znów popłynęły jej po policzkach i Leonia podała córce chusteczkę.

— Ależ kochanie, to wydaje mi się najbardziej naturalną i bardzo miłą sprawą. Skąd te łzy?

Amelia przyłożyła chusteczkę do oczu.

— Nie chciałabym ranić cię pytaniem... Nie chcę wtrącać się w twoje sprawy, mamó, ale... Człowiek, w którym się zakochałam, to *Gerard de Courmont*.

Leonia z wysiłkiem stłumiła wybuch historycznego śmiechu. Tylko co gratulowała sobie, że przeszłość stała się wreszcie przeszłością i że *monsieur* zniknął z jej życia. *Gerard de Courmont!* Starszy syn, młody chłopiec z kawiarni sprzed lat. Wygląda jak *monsieur*. Pamięta — ciemnoniebieskie oczy, ciemne włosy, ten sam wyniosły profil. Znużona oparła się plecami o kanapę. Amelia zakochała się w synu hrabiego!

Amelia przyglądała się matce, czekając na jej reakcję. W oczach Leonii było zmęczenie i smutek, nie było jednak przerażenia, którego się spodziewała, gdyby...

— Mamó — wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Leonii. — Znam tylko część tej historii, tylko powierzchnię. Nie chcę grzebać się w twoim życiu ani cię krytykować, ale zrozum, muszę poznać prawdę! — Znów zaczęła głąboko powietrza. — Czy ja naprawdę jestem d'Aureville... czy... czy ja może jestem de Courmont?

Oczy matki patrzyły na nią w zaskoczeniu, ale nie było w nich żadnego wahania, żadnej ukrytej tajemnicy.

— Co ci przyszło do głowy? Naturalnie, że jesteś córką Charlesa d'Aureville. Z jakiego innego powodu miałabym oddawać cię jego rodzinie na wychowanie? — Nagle uderzył ją sens pytania córki. — Och, biedne dziecko, moje biedne dziecko! Pozwól, że powiem ci, co się stało. Powinnaś wiedzieć.

— Nie. — Amelia odczuła tak wielką ulgę, że nie potrzebowała wyjaśnień. Nie, to nieważne. To wszystko, co chciałam wiedzieć. —

Oczy jej nabrzmiały łzami radości. — To byłoby zbyt okropne. Mamo, Gerard chce, abym została jego żoną i zabral mnie do domu i przedstawił swojej matce... Stąd się dowiedziałam.

Nagle podejrzenia napłynęły falą; syn hrabiego utrzymuje, że jest zakochany w Amelii, ale czy naprawdę? Może po prostu rozgrywa taką grę, może działa w porozumieniu z ojcem; może wreszcie monsieur ma Amelię w rękach. Boże, nie może, by poznała te podejrzenia; dziewczyna dość już przeszła. Co ma teraz zrobić?

— Gerard chce, abyś za niego wyszła?

— Tak! Jest taki cudowny, mamo, nie umiem ci powiedzieć... Nigdy przedtem nic takiego nie przeżywałam. Kochałam Roberta przez całe życie, ale nie było to takie jak teraz. Wiem, że ty i ojciec Gerarda... no, że się nienawidzicie, ale czy to się nie skończyło? Tyle lat minęło... Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie?

Biedna Amelia, biedne dziecko. Nie wie, że to monsieur jest odpowiedzialny za śmierć jej ojca, za morderstwo! A Gerard? Czy jest taki jak Gilles, bezwzględny i poszukujący zemsty, której chciał monsieur? W oczach Amelii widziała ufne oczekiwanie na odpowiedź. Jak ma jej powiedzieć takie okropne rzeczy? A jeśli to robi, czy nie straci córki znowu — tym razem na zawsze? Nie była przygotowana na podjęcie takiego ryzyka. Odetchnęła głęboko. Sama musi sobie z tym radzić, choć nie wie właściwie jak.

— Kiedy wyszłam niedawno na spacer, myślałam o tym, że wszystko wydaje się takie już odległe, zagubione w przeszłości. Masz rację, Amelio, liczy się tylko teraźniejszość. A więc, kiedy zobaczę Gerarda de Courmont?

— Nie wiem. — Amelia spieszyła się. — Prawdę mówiąc, ja po prostu uciekłam. Nie mogłam zostać w Paryżu i być z nim, dopóki się nie dowiem. Och mamo, on pewnie myśli, że go nienawidzę. Co mam zrobić? Może powinnam zadzwonić do niego i wszystko mu wytłumaczyć?

Leonia uśmiechnęła się przewrotnie.

— Jeśli Gerard choć trochę przypomina swego ojca, będzie wiedział, gdzie jesteś i jest już w drodze.

Coś jest nie tak. Jim obserwował Leonię uśmiechającą się do zebranej po raz pierwszy razem przy stole rodziny. Jej naturalna

wylewność przygasła, na dnie jej oczu krył się jakiś niepokój i tym razem nie była to jej ciągła obawa przed Gillesem de Courmonten. Ten człowiek to bezsilny inwalida, który żyje zapewne strachem, że szantażujący go zabójca wróci i znów mu będzie groził.

— Cóż, to prawdziwe święto. — Jim poklepał rękę siedzącej obok niego dziewczynki. — Ty jesteś Lais czy Leonora? — zapytał z szerokim uśmiechem.

— Lais — odparła dziewczynka chichocząc.

— Dobrze, Lais. To lemoniada dla ciebie, a to dla Leonory. — Jim napełnił im szklanki z dużego kryształowego dzbanka z pływającymi kawałkami cytryny. — Wzniesmy wszyscy toast. Za waszą mamę i za waszą babcię. Za to, że nareszcie są razem.

Trącił się kieliszkiem z dziećmi. Roześmiały się, gdy lemoniada pry snęła na stół.

— To z pewnością najszczęśliwszy dzień w życiu twojej matki — zwrócił się do Amelii. — Latami na to czekała.

Amelia była już spokojna. Zupełnie jakby знаła ich zawsze. Czuła się z nimi tak dobrze, tak swobodnie.

— Powinien ty być jeszcze ktoś, teraz, kiedy mam wyjść za Francuza. Przynajmniej tak myślę... jeśli on nadal tego chce.

— Za Francuza?

Amelia była bardzo podobna do Leonii, kiedy się uśmiechała, jej także uśmiech rozjaśniał całą twarz.

— Za Gerarda de Courmont. Czy mama panu nie powiedziała?

Jim i Leonia wymienili spojrzenia. A więc o to chodzi. Mój Boże, ta dziewczyna chce wyjść za syna hrabiego!

— Miło mi to słyszeć, Amelio — powiedział, pomagając dzieciom przy pieczonym kurczaku. Jak Leonia ma zamiar się z tym uporać? Patrzył, jak pijąc wino trochę za mocno ścisnęła kieliszek. No cóż, tego nie brali pod uwagę.

Prowadził przez noc wielkiego granatowego de Courmonta i wciąż kotłowała mu się w głowie historia, którą wreszcie opowiedziała mu matka. Nie dziwił się ucieczce Amelii. Wiedział, że jest tylko jedna osoba, do której mogła się udać. Leonia. Nie znał piekła, które rozpełtało się w duszy Amelii aż do chwili, gdy matka opowiedziała mu wszystko. Ona jednak przysięgała, że Leonia

powiedziała jej prawdę. Była tego pewna. Monsieur był kochankiem Leonii, nie był jednak ojcem jej dziecka. Nacisnął pedał gazu z wściekłością. Nic mu nie stanie na drodze — ani ojciec, ani Leonia. On i Amelia to przyszłość i mają prawo do szczęścia. Skrecił na przedmieścia i zwolnił, po czym przejechał na nadbrzeżną drogę. Jeszcze kilka mil i będzie z Amelią.

Słońce ogrzewało zbocze wzgórza, gdy doprowadził wreszcie samochód do parkingu przy *La Vieille Auberge*. Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. Siódma, wcześniej jak na taką wizytę. A jeśli Amelii m nie ma? Odsunął natychmiast tę myśl i wysiadłszy z samochodu, zatrzasnął za sobą drzwi. Oczywiście, że tu jest, gdzie mogłaby pojechać? Za otwartymi drzwiami wejściowymi słyszał w głębi miękkie pacnięcia ścierki na mokrej podłodze. Zawahał się z ręką na dzwonku.

— Czy jest tam kto? — zawołał cicho.

W szparze drzwi na końcu hallu ukazała się twarz kobiety.

— Przepraszam, że przeszkadzam tak wcześniej — zaczął — ale przyjechałem prosto z Paryża. Czy jest ktoś w domu?

Madame Frenard skinęła głową.

— Pan Gerard de Courmont zapewne? Pani Leonia oczekuje pana. Powiem jej, że pan przyjechał.

Gerard spojrział na kobietę zaskoczony. Oczekuje go?

— Pani prosi, by poczekał pan w salonie. Przyniosę panu kawę, a pani zejdzie za chwilę.

Zaprowadziła go do salonu i znikła ponownie. Usiadł na kanapie, ale po chwili wstał i zaczął nerwowo przemierzać pokój. Dziwne, że spotyka się po raz pierwszy z kobietą, której mglista obecność zdominowała całe jego życie.

Leonia pojawiła się w drzwiach. Za nią stał Jim. Nie zgodził się, by sama próbowała przez to przejść. Nie jesteś już niezależna, stwierdził. Wszystko to w równym stopniu oddziałuje na ciebie jak na mnie. Poza tym wydaje mi się, że potrzebny ci ktoś w pobliżu. Podała się z wdzięcznością, nie wiedziała przecież, co może się stać. Zdanie Jima na temat uczciwości Gerarda będzie dla niej decydującym czynnikiem.

— Dzień dobry.

Gerard odwrócił się, zaskoczony niskim brzmieniem głosu Leonii. Postąpił z ukłonem do przodu. Wygląda jak monsieur,

kiedy go spotkałam po raz pierwszy, pomyślała Leonia. Czula tę samą mocną osobowość, tę samą siłę woli, która zapewniała hrabiemu powodzenie w interesach. Ale spojrzenie młodego człowieka było łagodniejsze, a w kącikach oczu widać było lekkie zmarszczki wesołości. Uśmiechnął się do niej szczerym, pełnym uśmiechem, który przeczył malującej się na jego twarzy niepewności i zmęczeniu.

— Mój mąż, mister Jamieson — dokonała prezentacji.

— A więc — odezwał się Jim, nalewając kawę — posłuchajmy, co ma nam pan do powiedzenia, monsieur de Courmont. Amelia jest tutaj, ale sędzę, że należy wyjaśnić pewne rzeczy, zanim pan się z nią zobaczy.

Patrzył na Gerarda badawczo i mieszał kawę. Zupełnie jak ojciec, lustrujący przyszłego pretendenta do ręki swej córki, myślała Leonia z wdzięcznością.

— Nielatwo mi... — Gerard zawahał się.

— Może pan mówić swobodnie, Gerardzie — rzekła cicho Leonia. — W tym domu nie mamy przed sobą tajemnic.

— Dobrze, madame, chociaż niewiele właściwie mam do powiedzenia. Kocham Amelię. Spotkaliśmy się w Paryżu parę tygodni temu, choć może pani przyjąć, że poprzez przyjaźń z jej kuzynem Sebastiao do Santosem znam ją od lat. Nie miałem pojęcia, że jest pani córką, dopóki moja matka się z nią nie spotkała i nie zrozumiała sytuacji. Powiedziała mi o procesie, jaki wytoczył pani mój ojciec oraz o tym, że ukrywała pani córkę przed nim. Pani córkę, nie jego. — Przerwał, by podkreślić sens ostatniego zdania.

Leonia skinęła głową powoli.

— Proszę mówić dalej.

— Przyjechałem tu, by prosić Amelię o rękę. Chciałem także prosić panią, by nie dopuściła, aby przeszłość złamała naszą wspólną przyszłość. To pani przeszłość, madame, i mojego ojca. Błagam, niech pani nie pozwoli, by jego błędy, jego przewiny, wpłynęły na pani osąd. Przyjechałem tu tylko dlatego, że kocham Amelię. Może tak samo jak kiedyś mój ojciec kochał panią.

— Pański ojciec nigdy mnie nie kochał. — Słowa wyrwały się z jej ust, jakby drżały tam od lat w oczekiwaniu na jej wypowiedź.

— Proszę mi wybaczyć, madame, ale moim zdaniem myli się pani. Tragedią mojego ojca jest to, że zbyt mocno wszystko

przeżywa, a jednocześnie z powodu jakiegoś wykrzywienia w psychice nie jest zdolny tego okazać.

Leonia starała się nie patrzeć w oczy Jima. Dlaczego tak jej wali serce?

— Jak pana zdaniem ojciec zareaguje na fakt, że chce pan poślubić moją córkę; dziewczynę, którą kiedyś uznawał za swoje dziecko?

Gest Gerarda był bardzo wymowny.

— Nigdy nie wiedziałem, co czuje mój ojciec, ale cokolwiek to będzie, nie wpłynie na mój zamiar poślubienia Amelii. Sam rządzę moim życiem.

Leonia wiedziała, że nie kłamie. W jego twarzy było tyle szczeroci i obaw. Widziała przed sobą beznadziejnie zakochanego młodego człowieka. Nie chciała tego powiedzieć, ale musiało to być powiedziane.

— Jest coś jeszcze i powinien pan to wiedzieć. Dotyczy to pańskiego ojca. Zrozumie pan, dlaczego obawiam się obdarzyć pana zaufaniem, a także dlaczego boję się o bezpieczeństwo Amelii. Bardzo trudno mi to powiedzieć, Gerardzie, ale pański ojciec był... zamieszany w śmierć Charlesa d'Aureville.

— W jego śmierć? — Gerard spojrział na nią ostro.

— To był podobno wypadek, nic nie zostało udowodnione, ale mam powody sądzić, że... miał w tym swój udział.

Czy to się nigdy nie skończy? Gerard ukrył głowę w dłoniach. Głos Leonii dobiegał do niego jak z oddali.

— Pański ojciec sprawił, że bałam się o bezpieczeństwo Amelii. To z jego powodu ukryłam ją w Brazylii, z rodziną d'Aureville... z jego powodu nie mogłam być razem z moim dzieckiem.

Gerard wpatrywał się w podłogę. Był przytłoczony tym, co usłyszał. To było gorsze niż mógł sobie wyobrazić. Znał swego ojca wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że musiał się zneść nad nią, ale udział w śmierci Charlesa d'Aureville?

— Czy mój ojciec go zabił? — spytał ochryplym głosem.

— Nie, nie... nie zabił go. Był w to zamieszany. — Leonia nie była w stanie ranić go jeszcze bardziej. To przecież nie jego wina. Jak mogłaby powiedzieć, że jego ojciec jest mordercą?

— Madame, mój ojciec to stary człowiek, starszy nawet niż wskazują na to jego lata. Jest inwalidą. Przez kilka lat nie był

w stanie nawet mówić i tylko straszliwym wysiłkiem przezwyteżył w pewnym stopniu swą niesprawność. Cokolwiek zdarzyło się w przeszłości, zapewniam panią, teraz nie jest zdolny nawet do dbania o siebie i potrzebuje stałej opieki. Nie mogę powiedzieć, że zapomniał o przeszłości, ponieważ tego nie wiem. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko, nikt zresztą nie był, poza może panią. Ale przyrzekam pani, że Amelii nigdy nie spotka żadna krzywda. Jest teraz bezpieczna, madame, jestem tego pewien. Nie mogę pani prosić, by wybaczyła pani mojemu ojcu, ale błagam, by nie dopuściła pani, aby jego winy miały wpływ na nasz los. Niech ta walka się skończy, madame, bo jedynymi ofiarami będziemy w niej Amelia i ja.

Jim odszedł do Leonii i położył jej rękę na ramieniu.

— Gerard ma rację: co było, to minęło. Skoro on i Amelia kochają się, tylko to jest ważne.

Gerard spojrział na niego z wdzięcznością. Jeśli kiedykolwiek potrzebował sojusznika, to właśnie teraz.

— Leonia chwyciła Jima za rękę, chciała mu wierzyć, naprawdę chciała mu wierzyć.

— Gerard!

W drzwiach stała Amelia, a zza jej szlafroka wyglądały ciekawie dzieci. Rozpoznały go i senność zniknęła błyskawicznie z ich twarzy.

— Gerard, to Gerard! — wykrzykiwały podskakując i rzuciły się w otwarte ramiona młodego mężczyzny.

Leonia widziała miłość w promieniejącej twarzy córki. Patrzyła, jak jej wnuczki wskakują Gerardowi na kolana, a on nad ich głowami uśmiecha się do Amelii. Kocha ją, to pewne. Należą do siebie i ona nie ma prawa ich rozdzielić. Przeszłość jest przeszłością Jej i hrabiego. Gerard przysiągł, że ojciec jest teraz bezradny. Podniosła wzrok na Jima, a on spojrział jej w oczy uspokajająco.

— Cóż — odezwał się wesoło — troszkę za wcześnie na szampana, ale proponuję, byśmy uczcili to śniadaniem. Chodź, Leonio, zostawmy ich samych. Lais, Leonora, idziemy zobaczyć, co się szykuje na śniadanie.

Gerard i Amelia patrzyli sobie w oczy przez szerokość pokoju.

— A więc wysłuchałaś tego opowiadania?

Skinęła głową.

— Ale to ich dzieje, nie nasze.

Gerard przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona. Tam było jej miejsce.

— Kocham cię, Amelio — wyszeptał. — Nigdy więcej nie uciekaj ode mnie.

— Nigdy — potwierdziła.

Czuł słodki zapach jej włosów, gdy wtulała twarz w jego ramię.

— Amelio, mój ojciec to człowiek, którego twoja matka bała się przez te wszystkie lata. Sądziła, że chce ją skrzywdzić.

— Poruszyła się w jego objęciach i spojrzała na niego zdeorientowana.

— Nam trudno zrozumieć takie uczucia — kontynuował — ale nie wątpię, że były prawdziwe. Wtedy. Wszystko to już przeszłość, Amelio. To stary człowiek i bezradny inwalida. Chciałbym, abyśmy raz na zawsze pozbyli się tego brzemienia. Czy pójdziesz ze mną po obiedzie na spotkanie z nim? Jako jego przyszła synowa? Proszę cię, Amelio, zrób to dla mnie!

— Tak — odparła bez chwili wahania. Jeśli Gerard twierdzi, że tak będzie dobrze, to znaczy, że tak będzie.

Gerard odetchnął z ulgą. Dziś przeszłość zostanie pochowana i ostatecznie zakończona.

Apartament Gillesa de Courmont w *Hotel de Paris* zajmował pół piętra. Wychodzące na oranżerię balkonowe okna przesłonięte były przed silnym popołudniowym słońcem i pokój pogrążony był w niemal zbyt chłodnym półmroku. Gerard doprowadził Amelię do fotela pod oknem i otworzył żaluzję, wpuszczając światło słońca. Służący odszedł, by powiadomić hrabiego o ich przybyciu.

— Wszystko jest dobrze — uspokajał ją Gerard. — Kiedy widziałem go dziś rano, czułem się dobrze. Powiedział, że to dla niego najlepsza wiadomość od lat i że będzie szczęśliwy, mogąc cię poznać. Ma tylko nadzieję, że nie sprawi ci przykrości jego niesprawność i nie wpłyną na ciebie problemy przeszłości.

Widział, jak bardzo jest zdenerwowana. Nie potrafiła tego ukryć pod maską uśmiechu. Przecież jego ojciec był powodem, dla którego nigdy nie mogła być z matką, nigdy nie mogła wrócić do Francji.

— Pan hrabia oczekuje państwa.

Gilles siedział za szerokim, obitym skórą biurkiem, pokrytym książkami i gazetami. Na otwartym tomie przed nim leżały, przytrzymując strony, okulary do czytania. Jedno skrzydło okiennic było otwarte i pasmo światła układało się przed nim tak, że na początku trudno było zobaczyć jego twarz i Amelia stała przed biurkiem niepewnie.

— Wybacz mi, że nie mogę cię powitać tak jak się należy, ale jesteś serdecznie witana, moja droga. Długo czekałem na tę chwilę.

Głos miał miękki, lekko zachrypnięty, i gdy łapał powietrze, dzielił zdania na części. Musiał wkładać w to ogromny wysiłek i w Amelii obudziło się współczucie dla tego człowieka.

— Ja także się cieszę, że mogłam pana poznać, monsieur.

Mimowolnie nazwała go tak, jak zawsze zwracała się do niego Leonia i hrabia wzdrygnął się. Tak bardzo przypominała swą matkę, że odczuł ból. Ten sam odcień jasnych włosów przypominający dobrego szampana. Wspominał ich pierwszy raz na jachcie. Zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Słuchał słów Gerarda.

— Będiesz zachwycony dziećmi, ojczu. Dwie już gotowe wnuczki. Czego więcej może człowiek chcieć?

Wnuczki Leonii! Oczywiście. Gilles wyprostował się zadowolony. Trafił mu się uśmiech losu. Oto dziewczyna, której poszukiwał przez ponad dwadzieścia lat. Wreszcie jest jego. Małżeństwo z Gerardem przypieczętuje to. I nie tylko to. Jej dzieci także znajdują się w jego mocy. Ukształtuje je tak, jak będzie chciał. Uśmiech zadowolenia błakał się na jego wargach i obserwujący go Gerard odczuł przyjemność. Po raz pierwszy od wielu lat starszy pan wygląda na szczęśliwego. I to była najlepsza rzecz, jaka w ogóle się stała.

Kelner przyniósł mrożoną herbatę i Gerard podał ojcu szklanekę. Dostrzegł bezwiedne drżenie jego ręki. Miał tylko nadzieję, że nie było to dla ojca zbyt męczące; zbyt dużo przeżyć jak na jeden dzień.

— Zaraz wychodzimy, ojczu — rzekł, popijając herbatę. — Nie chcemy cię męczyć.

— Nonsens — rzucił hrabia obcesowo. — Nie jestem zmęczony. Może mógłbym poznać niedługo moje wnuczki. Przywieźcie je jutro na cały dzień na jacht. Myślę, że im się spodoba.

— Na pewno.

Amelia przysunęła się lekko z krzesłem. Chciała go lepiej zobaczyć. Kochanek jej matki odpowiedział chłodno na jej spojrzenie. Oczy miał takie jak Gerard; były tylko ciemniejsze i ich spojrzenie było bardziej uporczywe, ale mogło to być rezultatem osłabienia wzroku. Nadal był przystojnym mężczyzną, choć cechowała go pewna kruchość, charakterystyczna dla długotrwałego inwalidztwa. Barki jednak miał nadal szerokie i widziała, jaki musiał być kiedyś silny. *Silny i bezwzględny*, tak określiła go Leonia i taki był zapewne w stosunku do niej. Teraz jednak był jedynie starzejącym się w samotności człowiekiem, ofiarą udaru.

— Idziemy już, ojcze. Wystarczy, jak na jeden dzień. Jutro przyjdziemy z dziećmi.

— Tylko wcześniej — powiedział z ożywieniem. — Przyjdźcie wcześniej.

— Przyjdziemy na śniadanie — odparła Amelia żartobliwie. — Dzieci będą się cieszyć na te odwiedziny.

Obeszła biurko, by uścisnąć mu dłoń. Starła się nie patrzeć na wózek. Najwyraźniej nie chciał, by go widziała.

Ręka Amelii była chłodna. Patrzył w jej oczy i spojrzenie dziewczyny przeniosło go w świat jego wspomnień. Takie same oczy jak Leonii.

— A więc do jutra — powiedziała i wiedzona impulsem pochyliła się, by złożyć pocałunek na jego policzku.

Hrabia patrzył za odchodzącą parą. W drzwiach odwrócili się jeszcze i unieśli ręce w geście pożegnania. A więc jego syn wygrał tam, gdzie on przegrał! Przesunął lekko palcami po miejscu, gdzie pocałowała go Amelia. Ale on jeszcze nie skończył! O nie! jeszcze nie przegrał. W istocie gra dopiero się zaczyna.

Hoskins dostarczył list osobiście. Przyjechał z Monte Carlo do zajazdu i czekał na odpowiedź. Leonia była sama. Widziała z tarasu, jak Jim łowi ryby z małej łódki. Gerard i Amelia zabrali dzieci do Nicei na całe popołudnie.

Wielki granatowy wóz z herbem na drzwiach stał na dole. Hoskins czekał niecierpliwie na odpowiedź.

Spojrzała ponownie na prostą białą wizytówkę z wytłoczonym na górze *de Courmont*. Pismo hrabiego było trochę mniej pewne, ale nadal znajome i nadal wywołujące ukłucie strachu w sercu.

Leonio, uważam, że musimy się spotkać i omówić zaistniałą sytuację. Jestem pewien, iż zgodzisz się ze mną, że wiele jest do powiedzenia. Czy zrobisz mi ten zaszczyt i spotkasz się ze mną dziś wieczorem na jachcie o 18.30? Gilles

Chodziła po tarasie poruszona. Myśl o spotkaniu z nim była dla niej fascynująca. Dotknęła ręką włosów. *Czy uzna ją jeszcze za piękną?* O czym ona myśli? Nie może się z nim spotkać. *Nie robi tego.* Chociaż on ma rację. Oczywiście, że muszą się spotkać i omówić sytuację. Czyż ich dzieci nie zamierzają się pobrać? Ponownie spojrzała na jego słowa. Były raczej niewinne, ale nie ufała mu. Gilles jest sprytny; nigdy nie zdarzyło się, by czegoś nie knuł. A ona miała pewność, że jeszcze z nią nie skończył.

Przeszła z tarasu do swojej sypialni. Promień światła odbijał się od posążka Sechmet. Stała na chwilę przed nim i spojrzała w pozbawione wyrazu oczy. Wyciągnęła niepewnie rękę i dotknęła znajomej figurki. Nagrzany słońcem kamień był ciepły jak ciało.

Zaspana kotka przeturlała się na łóżku do niej, ale tym razem Leonia nie zwróciła na nią uwagi. Wzięła arkusz papieru listowego i zaczęła szybko pisać. *Przyjdę, Leonia.* I by nie zmienić zamiaru, pobiegła chodnikiem, aby dać zapisek szoferowi.

Uniósł rękę do czapki i podziękował.

— Pan hrabia powiedział, że mam wrócić o szóstej po panią, madame — powiedział, wsiadając do wozu. — Będę punktualnie.

Leonia patrzyła za odjeżdżającym samochodem. Chmura pyłu wznosiła się jego śladem. Monsieur wiedział, że ona przyjdzie.

73.

Wyglądziła spódnicę prostej morelowej sukni i przewiązała ją w talii miękkim paskiem. Odbicie w lustrze ukazało jej szczupłą kobietę, naturalnie elegancką, z gładko zaczesanymi jasnymi włosami i ozłoconą słońcem twarzą. Nad szerokimi kośćmi policzkowymi czujnie patrzyły piwne oczy. W tym samym pokoju szykowałą się jako młoda dziewczyna na spotkanie z hrabią. Wychodziła, by spotkać się z nim na jachcie, tak jak czyniła to teraz. Tylko wtedy kochał się z nią. Zajrzała do małej, białej skórkowej torebki. Leżący na podszewce rewolwer sprawiał wrażenie delikatnego, tylko jego czerń była groźna. Zatrzasnęła torebkę i wzięła ją pod pachę. Była gotowa.

Odizolowany od mniejszych łodzi jacht przycumowany był w głębokiej wodzie na samym końcu małej przystani. Dokładnie o wpół do siódmej Leonia weszła na trap i ruszyła znanym pokładem. Dosięgła ją fala wspomnień i przystanęła na chwilę, rozglądając się. Ich pierwszego lata leżeli tam, wyżej, i opalali się nago. Podawała na obiad owoce i skakali z podestu w najbardziej niebieskie z mórz. Wiele razy przemierzali ten pokład w rozgwieżdżoną noc po długiej, powolnej, perlącej się szampanem kolacji, zanim zaniósł ją do swej spartańskiej sypialni, gdzie pożerali się w wybuchu namiętności.

Strach wgrzył się jej w żołądek. Cienkie, drażniące skrobanie sprawiło, że wcisnęła rękę w dołek, próbując je uciszyć, ale po chwili przepłynęło przez nią tak, że drżąc oparła się o burtę. Nikogo nie było wokoło i wiedziała, że znajduje się na statku sama z hrabią. Czeka na nią w gabinecie. Co ma zamiar jej powiedzieć? Co ma zamiar zrobić?

Wzięła się w garść. Może się myli i on w ogóle niczego nie zamysła, może jest po prostu zmęczonym, chorym człowiekiem. Lecz jeśli nie? Wsunęła małą torebkę mocniej pod pachę i wyprostowała ramiona. Podniosła głowę i ruszyła w stronę gabinetu.

Monsieur stał przy stole. Na ścianie nad nim wisiał jej portret, malowany przez Alaina Valmonta. Powinna była się tego domyślić, pomyślała z goryczą. Hrabia wspierał się ciężko na okutej srebrem lasce. Wózek czekał złowrogo z boku. Gdyby nie ta laska i nowe dla niego wychudzenie, można by cofnąć zegar o prawie trzydzieści lat. Leonia stała w drzwiach, łapiąc oddech. To nie był strach. Znów odezwała się dawna magia. W miarę jak oczy przywykały do półcienia pokoju, odkrywała w jego twarzy linie choroby i cierpienia. Dostrzegła lekkie drżenie trzymającej laskę ręki. Ale głębokie, ciemnoniebieskie oczy były tak samo nieodgadnione i patrzyły na nią z dawnym uporem. Fizyczne schorzenie nie wpłynęło ani trochę na psychikę hrabiego, ani na jego uczucia.

— Leonio. — Głos miał chłodny i uprzejmy, lecz bardziej szorstki niż dawniej. — Cieszę się, że przyszłaś.

Patrzyła na niego, jak łapie powietrze.

— Wyglądasz pięknie jak zawsze. Masz suknię w kolorze, który najlepiej u Ciebie lubiłem.

Leonia milczała. Stała w drzwiach. Ani nie wchodziła, ani nie wychodziła.

— Nie wejdziesz? Jak widzisz, szampan czeka.

Zroszona drobnymi kropelkami wilgoci butelka *Roederer Cristal* stała w srebrnym wiaderku. Z tłącego się na popielniczce cygara unosiła się cieniutka, niebieska smużka wonnego dymu. Wsparty ciężko na lasce monsieur wyciągnął do niej rękę.

— Proszę, Leonio, skoro już dotąd doszłaś...

Leonia weszła do pokoju z wahaniem. Poruszała się tak ostrożnie, jakby szła po linie. Wiedziała, z jakim napięciem na nią czeka i uświadomiła sobie, jak wiele wysiłku kosztuje go to, że cały czas

stoi. Nie podając mu ręki usiadła naprzeciw niego. Nie sprawiało jej satysfakcji obserwowanie, z jaką bezradnością opada w wielki skórzany zielony fotel, ten sam, który wybrała kiedyś do jego gabinetu w domu przy placu Saint Georges.

— A więc, Leonio, od czasu twojej pierwszej wizyty na tym jachcie zmieniła się sytuacja. — Napełnił szampanem wysokie kieliszki. — Pamiętasz tamten dzień? Byłaś biedną, zrozpaczoną, porzuconą przez kochanka dziewczyną. Ty byłaś bezradna, a ja byłem silny. A popatrz na mnie teraz. Mogłabyś powiedzieć, że to kara boska. Jeśli wierzysz w Boga.

— Monsieur, nie przyszedłem tu, by rozmawiać o przeszłości ani o nas.

Hrabia uniósł kieliszek i wyciągnął w jej stronę.

— Przepraszam, nie podniosę się ponownie.

Gdy ujmowała kieliszek, ich ręce zetknęły się i to krótkie dotknięcie wywołało w obojgu mocny oddźwięk.

Leonia usiadła szybko z powrotem. Piła delikatny szampan i patrzyła na niego nad kieliszkiem.

— Leonio, jeśli wrócisz do mnie, wszystko znów będzie dobrze. Twoje siły wystarczą na nas oboje. Z tobą będę taki jak dawniej.

Upór w spojrzeniu hrabiego graniczył wręcz z fanatyzmem. Wychylił się do przodu owładnięty pragnieniem i drżącą ręką chwycił gałkę laski.

— Leonio, czy nie widzisz, że cię potrzebuję, a ty potrzebujesz mnie, choć udajesz, że tak nie jest? Wiem, że czujesz to samo co ja. Zawsze tak było.

— Monsieur, mówi pan bzdury. — Głos Leonii był twardy i lodowato spokojny. — Jak już powiedziałam, nie jestem tu, by rozmawiać o naszym życiu. Przyszedłem, by pomówić o naszych dzieciach.

— Leonio, zapomnij o przeszłości. Zapomnij o wszystkim, myśl tylko o nas. Proszę cię, abyś do mnie wróciła... Znów będziemy razem, będziesz żyła jak królowa. Dam ci wszystko, co zechcesz. Tylko powiedz, że do mnie wrócisz. Potrzebuję cię, Leonio.

*Teraz jej potrzebuje. Teraz zrobi wszystko, aby została. Zaki-
pięła wściekłością.*

— Monsieur, niechże pan wreszcie zrozumie, że nienawidzę pana za to, co pan mi zrobił. Nigdy do pana nie wrócę. Jestem

szczęśliwa. Mam kochającego męża; kochającego mnie naprawdę, a nie pożądanego z doprowadzającą do szaleństwa namiętnością. Ja także go kocham. Moje życie jest wypełnione, a teraz, kiedy mam córkę i wnuczki, niczego więcej nie potrzebuję.

Jej głos był niski; panowała nad gniewem i monsieur wzdragał się przy każdym jej słowie, jakby zadawała mu ciosy.

— Przyszłam tu tylko z jednego powodu. Aby pomówić o mojej córce i pańskim synu.

— *Twojej córce?* — Parskające z jego ust słowa ociekały ja-dem. — Tylko *twojej*, Leonio? Czy o czymś nie zapomniałaś?

Czy on naprawdę wierzy w to, że Amelia to jego dziecko, czy tylko ją straszy? Trudno było coś na ten temat powiedzieć, gdyż jego twarz była nieprzenikniona jak zawsze.

— Amelia to córka Charlesa d'Aureville... i nie zapominajmy o nim.

Lekceważącym wzruszeniem ramion odrzucił niejasną pogroźkę.

— To było tak dawno; to zapomniana przeszłość. Amelia to terażniejszość, zdecydowana terażniejszość. Tylko ty wiesz, czym jest dzieckiem, ale sądząc z wszelkich logicznych przesłanek, jest moja.

— Logika nigdy nie odgrywała większej roli w naszym życiu, monsieur, i zbyt późno teraz, by do niej się odwoływać. Czy mam rozumieć w takim razie, że nie ma pan zamiaru pozwolić na związek Gerarda i Amelii z powodu tego śmiesznego twierdzenia?

Trzęsącą się ręką odstawiła kieliszek na stół i szampan prysnął jej na spódnicę.

— Ależ skąd, Leonio. Jestem bardzo zadowolony, że mają się pobrać. Pomyśl tylko... Amelia będzie wreszcie członkiem mojej rodziny. Ośmielę się twierdzić, że skoro wychodzi za Gerarda, będziemy się obydwójce często widywać. Pomyśl o tym. Po tylu latach czekania będzie moja.

Leonia zeszczywniała. Był tak triumfujący, że musiał coś knuć. Zawsze tak wyglądał, kiedy wygrywał.

— Oczywiście — podjął — byłoby znacznie przyjemniej, gdybyś ty była ze mną także. Bylibyśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną. Są jeszcze urocze dzieci, które będą teraz również moimi wnuczkami. Wiele się nauczyłem od czasów Charlesa d'Aureville.

Byłem wtedy młodszy i znacznie bardziej porywczy... Poza zabójstwem są inne sposoby wykańczania wrogów. Niełatwo mi było uzbroić się w cierpliwość i wyczekać odpowiedniej chwili... Jest nieskończona różnorodność sposobów znęcania się nad ludźmi. Tu słowo, tam podejrzenie... Łatwo będzie zwrócić młode główki przeciwko ich matce. Biedne małe istoty, zaniedbywane przez nią. No i biedny Gerard. Żona zawsze taka zajęta, wyjeżdżająca w interesach; widuje się ją tu i tam, być może z mężczyzną... to wszystko takie proste, Leonio. Mogę to wszystko zorganizować. Oczywiście, jeśli do mnie nie wrócisz.

Wpatrywał się w jej twarz, czekając, jak zareaguje, ale ona była daleka. Patrzyła niewidzącymi oczami ponad nim, jakby spoglądała w przyszłość, którą jej prezentował.

— Biedne małe dziewczynki — zamruczał. — Biedne malutkie wnuczki. — Jego uśmiech wskazywał na świadomość zwycięstwa.

Mały rewolwer odciął się mocną czernią od jej zręcznej ręki i hrabia spojrzął na nią zaskoczony. Nie myśli tego poważnie, nie jego Leonia. Ona chce go tylko nastraszyć.

Śmiech hrabiego przetoczył się przez pokój; pozbawione radości lekceważenie.

— Nigdy się z tego nie wywiniesz — rzekł z pogardą. — A zresztą nigdy tego nie zrobisz. Tylko pomyśl o tytułach. „Leonia zabija kochanka — jej córka wychodzi za jego syna”.

To było takie zabawne, tak strasznie zabawne. Jak może mierzyć do niego z rewolweru, jest przecież teraz z nim związana.

— Nie będziesz więcej manipulował moim życiem — wyszeptwała z twarzą tuż przy jego twarzy. — Wystarczy, mam tego dość.

Śmiech hrabiego urwał się nagle. Gdy uniosła broń i przytknęła mu do skroni, twarz miała spokojną i zdecydowaną. Poczul na skórze chłód metalu i przeniknął go strach.

Dobry Boże, ona naprawdę ma zamiar to zrobić. Ona chce go zabić! Wsunął rękę i chwycił ją za przegub. Leonia szarpnęła rękę i hrabia pochylił się do przodu nieporadnie. Prawie mu się udało. Wzmocnił uścisk. Nawet w swoim stanie nadal przewyższał ją siłą. Serce mu zakołatało i zaczęło łomotać. Ręka opadła bezwładnie na kolana. Łapał spazmatycznie powietrze, a tętniące serce ścisnęło się boleśnie w piersi. Nie mógł się poruszyć. Pałace żelazo opasało mu piers. Dlaczego ona go nie ratuje? Próbował ułożyć usta w słowa.

ale nie mógł ich wypowiedzieć. Ona nigdy ich nie usłyszy. Leonio, czy nie wiesz, że cię kocham? Pomóż mi.

Zapomniany rewolwer połyskiwał na miękkim dywanie. Hrabia łapał spazmatycznie powietrze. Jego twarz pokryła się plamami, ciało miał skręcone bólem. Leonia pochylała się nad nim, z napięciem wsłuchując się w słowa, które nigdy nie miały zostać wypowiedziane. Co się z nim dzieje? Gdzieś tu powinny być te tabletki. Opuściła wzrok na rewolwer. Jeszcze przed chwilą była gotowa pociągnąć za spust. Spojrzała na hrabiego. Jego ciemne oczy czekały na to, co miała zrobić.

Do pokoju wpadł powiew wiatru i dym z cygara podrażnił jej oczy. Podniosła rękę, by otrzeć łzy wyciśnięte przez cierpki opar. Powinna poszukać tabletek. On umiera, a ona nie może znieść jego cierpienia.

— Tabletki — szeptała, chwytając jego ręce. — Kochanie, powiedz mi, gdzie masz tabletki. Gdzie?

Wpatrywał się w nią pociemniałymi z bólu oczami. Powiedziała do niego *kochanie*. Czuł się szczęśliwy. Dyszał; ból atakował znowu. Ona musi zrobić to, co on chce. Musi! Czy nie wie, nie słyszy jego serca? Żadna tabletką nie uratuje go teraz, ale nie może umrzeć i nie trzymać jej w ramionach... Umrzeć bez jej ust, jej pocałunków... jej miłości.

— Powiedz mi — błagała Leonia. — Proszę cię, monsieur.

To wprost nie do zniesienia. Nie może pozwolić, by umarł. Nie monsieur, nie on — taki silny, taki nieugięty. Wszystko, co usiłowała w nim zwalczyć, było zarazem tym, co w nim kochała. Ujęła jego ręce i zaczęła okrywać pocałunkami.

— Sprowadzę pomoc, monsieur — szepnęła. — Poszukam lekarza.

Nie wytrzyma, jeśli ona odejdzie. Ona nie może zostawić go samego, tylko z tym bólem. Trzymała jego ręce, ale nie czuł aksamitnego dotyku jej skóry. Dobiegał go tylko świeży, letni zapach jej włosów i jaśminu. Pocałuj mnie. Leonio, tylko mnie pocałuj... Daj mi swoją siłę, masz jej więcej niż my oboje...

Podłożyła mu ręce pod głowę i wepchnęła poduszkę na miejsce, próbując ułożyć go wygodniej, by łatwiej było mu oddychać. Wpatrywał się w jej oczy takim niebieskim, takim ciemnym i nagłym spojrzeniem. Pochylała się i trzymając jego głowę w rękach, pocałowała go w usta.

— Idę, monsieur — szepnęła ruszając do drzwi. — Idę sprowadzić pomoc. Czekaj na mnie, wrócę tak szybko, jak będę mogła.

Obróciła się w drzwiach i zniknęła. Słyszał jej kroki na gładkim tekowym pokładzie. Uciekała od niego. Siedział bezwładnie z oczami wbitymi w drzwi. Modlił się, by znów się pojawiła, by wróciła, aby nie mogła go opuścić. Zamknął oczy. Jeszcze raz przeżywał swe odczucia, gdy go pocałowała. Dotyk jej ust, jej ręce na twarzy i oddech na policzku. Powiedziała, czekaj. Czekaj na mnie. Czy nie wie, że całe życie spędził, czekając na nią? Nawet kiedy mieszkali razem i wychodził do biura, czekał tylko, aż będzie mógł znowu być z nią. Nie pamiętał już, jaką przyjemność czerpał z bólu odchodzenia i zostawiania jej, kiedy zmuszał się do życia bez niej, by przeżywać namiętność powrotu i ponownego połączenia się z nią. Leonio, Leonio, wróc do mnie.

Nagły powiew przeleciał przez kabinę. Zaszumiał zasłonami i dotknął jego policzka jak jej ciepły oddech. Poczuł mocny, aromatyczny zapach cygara. Otworzył oczy z wysiłkiem i spojrzał na stół pod oknem. Srebrny kubełek z butelką ich specjalnego szampana połyskiwał wilgocią. Zobaczył stojące obok pełne kieliszki. Ciężka kryształowa popielniczka, na którą odłożył cygaro, była pusta. Cygaro tliło się na politurowanym blacie biurka. Patrzył na zakwitające na gładkiej powierzchni bąbelki. Cienka niebieska zasłona wybrzuszyła się w lekkim powiewie, cygaro potoczyło się w jej stronę i zatrzymało między fałdami tkaniny. Patrzył zahipnotyzowanymi oczami, jak piękna zasłona trzepocze lekko, ukrywając jego tajemnicę. Na jak długo? Potem zobaczył rozchodzący się powoli brązowy znak przypalenia. Pierwszy mały płomień zawiął się językiem na niebieskie płótno, marszcząc je w szary popiół. Wreszcie zobaczył wielki jęzor pomarańczowego płomienia. To było wprost piękne, jak ogień przelizywał się przez stół w jego stronę.

Wózek czekał w odległości zaledwie dwu kroków, ale równie dobrze mógłby stać w odległości mili. Był zbyt dumny, by pozwolić, aby oglądała go w tym wózku. Nie chciał, by wiedziała, że jest inwalidą. A teraz nigdy już jej nie zobaczy. Ból w piersiach zacisnął się mocniej. Przymknął oczy i ujrzał jej twarz. Leonio, Leonio, kocham cię! Walczył o oddech. Płomienie pełzły coraz bliżej, gryzący dym dławił tak samo, jak jego własne serce, spychające go w ciemność.

Żaluzje w pokoju Leonii były opuszczone, odcinając ją od ciepłego, pełnego jeszcze słońca wieczoru. Czekoladka leżała przytulona do niej w wielkim łóżku, a ona tysięczny raz wspominała widok pięknego białego jachtu. Dźwięk trzaskającego szkła, jęk skręcającej się blachy, potem skrzywienie i syk wielkich załamujących się wręg. A potem nic. Tylko wypalony szary kadłub. Usiłowała uciec myślami od obrazu hrabiego, schwytanego w pułapkę płomieni.

— Chciałam — szeptała. — Chciałam go uratować. Nie chciałam, by zginął. Nie tak! Ale dlaczego? Dlaczego, skoro poszłam tam go zabić?

Czy to współczucie, czy też nadal miłość? Gdy go pocałowała, przez chwilę było tak, jakby nigdy się nie rozstawali. Zniknęły wszystkie tamte okropne lata. Co czuł, gdy go całowała? Czy przyjemność z odniesionego zwycięstwa? A może kochał ją naprawdę? Nigdy się tego nie dowie.

Spojrzała na oświetlony wiecznie palącą się lampą posążek Sechmet. Lwia twarz była spokojna, wyniosła i chłodna. To po prostu wyrzeźbiony w kamieniu posążek. Nie musiała czytać, знаła słowa inskrypcji na pamięć. *Sechmet... małżonko wszystkich bogów... obrończyni tych, których kochasz... zsyłasz ogień na swych wrogów.*

Wstała, przeszła przez pokój i wyciągnęła rękę. Posążek był chłodny i obcy. Bezosobowy. Skończyło się. W jej życiu nie będzie już ciemnych zakrętów, ukrywania, tajemnic.

Podbiegła do okna i otworzyła żaluzje, wpuszczając ostatnie promienie słońca. Innymi oczami pochłaniała piękny widok, białe tarasy, jadeitowoszmaragdowy ogród, bezkresny błękit zatoki i nieba. Była wolna.